

J.G.Farrell

Singapurskie kleszcze

tłumaczył Waław Niepokólczycki

Singapur nie powstał stopniowo, jak powstawało większość miast, poprzez naturalne nawarstwianie się placówek handlowych na brzegach rzeki lub u tradycyjnego zbiegu szlaków handlowych. Został pewnego ranka w początkach dziewiętnastego wieku po prostu wymyślony przez człowieka spoglądającego na mapę.

- Musimy tu zbudować miasto - powiedział on do siebie - w połowie drogi między Indiami a Chinami. Będzie to wielki punkt przystankowy na szlaku handlowym na Daleki Wschód. Zważcie, Holendrom to się nie spodoba i Penang też nie będzie z tego rad, nie wspominając o Malakce. - Owym człowiekiem był sir Thomas Stamford Raffles: przed wojną jego posąg z brązu stał na Empress Place w kamiennej niszy przypominającej muszlę małża (obecnie został stamtąd usunięty i stoi, odkuty w kamieniu, w cienistym miejscu nad rzeką). Nie był to osobnik z zapadniętymi policzkami, jak czytelnik mógłby oczekiwać, lecz mężczyzna o niezdecydowanym wyglądzie, we fraku.

Wyspa Singapur, choć kiedyś mieszkali tu ludzie, gdy przybył na nią, była w znacznej mierze opuszczona, jeśli nie liczyć ogromnej ilości szczurów i stonóg. Raffles ujrzał również dość złowieszczy widok - mnóstwo ludzkich kości i czaszek, ślady działalności miejscowych piratów. Nie zwlekał jednak z przeprowadzeniem układów z zaniepokojonym krajowcem, po czym przystąpił natychmiast do wznoszenia, jak mówi jego biograf, masztu flagowego, wysokiego na trzydzieści sześć stóp. „Naszym celem - pisał w liście do przyjaciela - nie jest zdobycie terytorium, lecz handel: wielkie handlowe emporium i punkt oparcia, z którego będziemy mogli rozciągać nasze wpływy polityczne, w miarę jak okoliczności będą tego wymagały”. Czy stojąc na pustej plaży, wśród rojów szczurów i stonóg kłębiących się u jego stóp, i patrząc na sztandar, Raffles przewidywał lata pomyślności oczekujące Singapur? Niewątpliwie tak.

Kiedy się zastanawiacie, jakie mogło być to miasto przed czterdziestu laty, nie wyobrażacie sobie barbarzyńskiej osady pogranicznej w środku dżungli. Wystarczyłoby przejść się po śródmieściu z szerokimi alejami i trawnikami i rzucić okiem na monolityczne budynki rządowe, luksusowe domy towarowe i marmurowe dostojęństwo banków, a zdalibyście sobie sprawę, iż Singapur jest dziełem wielkiego i cywilizowanego narodu. To prawda, miasto posiadało również mniej imponujące dzielnice, zamieszkałe przez Tamilów, Malajów i przede wszystkim Chińczyków. W tych „niższych regionach” chińskie tajne stowarzyszenia niewątpliwie dopuszczały się potwornych zbrodni, porywały własnych współobywateli, staczały przerażające wojny terytorialne, faszerowały się narkotykami i tak dalej. Gdyby ktoś z was był po prostu gościem w mieście, powiedzmy marynarzem, w tych przedwojennych latach Singapur z pewnością nie wydałby mu się mniej krzykliwy, mniej podniecający niż jakikolwiek inny wielki port Wschodu. Poszedłby pić i tańczyć do jednego z parków rozrywkowych, może nawet do „Wielkiego Świata”, którego sala taneczna, ogromna i akustyczna jak stodoła, była przez wiele lat miejscem rozrywki samotnych żeglarzy. Za jedne dwadzieścia pięć centów mógłby tańczyć z najpiękniejszymi fordan- serkami Wschodu, słuchać najgłośniejszych orkiestr i podziwiać wspaniałe smoki namalowane na ścianach. Za dawnych dobrych czasów, zanim po wybuchu wojny zaczęły napływać tu wojska, „Wielki Świat” mógł pomieścić całą załogę statku i jeszcze wydawał się pusty, jakby nie było w nim nikogo prócz ciebie i dwu czy trzech Chinek, które siedziały przy twoim stoliku z wymalowanymi lalkowatymi twarzami, gotowe cię podeprzeć małutkimi, ale krzepkimi rączkami, gdybyś nadmiernie wypełniony piwem Tiger zdradzał skłonności osunięcia się pod stół.

Tam też, gdybyś wyszedł na chwiejnych nogach na zewnątrz, w gorącą noc, mógłbyś wdychać owe niezrównane zapachy kadzidła, nagrzonej skóry, mięsa smażącego się w oleju kokosowym, pieniędzy i czerwonego jaśminu, i olejku do włosów, i chuci, i drzewa sandałowego, i niebiosą wiedzą czego jeszcze, zapachu niczym samo tchnienie życia. A z dachu Domu Marynarza albo jakiegoś mniej szacownego budynku mógłbyś zobaczyć wielki purpurowy neon reklamujący Maść Tygrysią, zaś obok niego, z nastaniem kompletnej ciemności, strażnika tej maści, wielkiego tygrysa z szablitymi kłami i jarzącymi się pomarańczowymi pręgami, który rozpoczyna conocną włóczęgę po uśpionych dachach Singapuru. Ale nie ma co przeczyć, niektóre części miasta były krzykli

we, inne nędzne i z czasem stawały się coraz bardziej takie - już w 1940 ściany tanich hotelików i domów noclegowych, dotąd nieprzeniknione, zza których rzadko dochodził jakiś stłumiony jęk czy westchnienie, zaczęły przepuszczać muzykę radiową, dźwięki gitar i słowa biuletynów. Każde wielkie miasto ma swoje złe strony. Poszukujemy więc czegoś przyjemniejszego w lepszych częściach miasta, na eleganckim europejskim przedmieściu Tanglin, na przykład, gdzie mieszkał z rodziną Walter Blackett, prezes słynnej handlowo-ajencyjnej firmy Blackett i Webb sp. z o.o.

Na pierwszy rzut oka Tanglin przypominał zwyczajne ciche europejskie przedmieście o krętych, obrzeżonych drzewami ulicach i ładnych domach. W pobliżu znajdowały się pola golfowe z szacowną zielenią, za żywopłotami widać było liczne korty tenisowe, a nawet baseny pływackie. Ludzie wiedli tu żywot spokojny i niespieszny. A mimo to, gdy się bliżej przyjrzeć, było to przedmieście gotowe każdej chwili pęknąć w szwach od nadmiaru energii tropikalnej. Wszędzie wyrastało bujne listowie, z determinacją nieznaną naszej ugrzecznionej europejskiej roślinności. Na wszystkim rozsmarowana była niby szpachlą ciemna połyskliwa zieleń, a w tym mroku (dżungla bywa mroczna) coś złowieszczonego, co jeszcze przed chwilą wydawało głos, teraz jakby wstrzymało oddech.

Gdybyś zostawił swój bungalow na kilka miesięcy bez opieki, a sam pojechał do kraju na urlop, najprawdopodobniej stwierdziłbyś po powrocie, że zielone pędy omotały każdą wystającą część i usiłują ściągnąć ją ku ziemi, potężne korzenie paproci drążą dziury pomiędzy ceglami, zaś żarłoczne owady, niczym chodzące szczęki, pożywiają się drewnianymi częściami konstrukcji. Ponadto tutejsze komary są jakże dalekimi kuzynami łagodnych owadów, co nas tak irytują w letnie wieczory w Anglii: w Tanglinie musiałeś stawić czoło budzącej lęk odmianie anopheles, która niczym małutkie latające strzykawki rozsiewa śmiertelną dawkę malarii. A jak miałeś szczęście uniknąć malarii, był inny komar, ubrany w piłkarskie skarpety w paski, gotów zastrzyknąć ci gorączkę tropikalną. Jeżeli twoje dziecko upadło podczas zabawy w ogrodzie i skaleczyło się w kolano, musiałeś uważać, by żadna mucha nie siadła na ranie, w przeciwnym razie za dzień, dwa musiałbyś z niej wyjmować pincetą białe jajeczka. W owym czasie, gdy część przedmieścia stała na obrzeżu dżungli, nader często widywało się małpy, węże i podobne stwory odwiedzające twój ogród, by zrywać owoce lub połykać my

szy (albo nawet pożreć szczeniaka, jeśli się im wydał apetyczny). Ale ja chcę jedynie dać do zrozumienia, że oprócz zwykłych wygód życia na przedmieściu, istniały również pewne niedogodności.

Nie opodal miejsca, w którym mieszkali Blackettowie, Orchard Road schodzi łagodnie w dół (jest to spadek o znaczeniu raczej psychologicznym niż rzeczywistym), biegnąc niemal prosto około mili aż na skraj Dzielnicy Chińskiej i centrum handlowego, gdzie Walter miał swoją główną kwaterę przy Collyer Quay i gdzie w dni robocze toczył swe boje. Tam, w centrum handlowym, gdzie niegdyś zamieszkiwały szczury i stonogi kotłując się, pożerając, kopulując, powstawały i upadały firmy, zatapiały w siebie wzajem kły lub pokrywały jedna drugą, by wydać na świat małe, tdk jak się to dzieje wszędzie indziej w wielkich miastach kapitalistycznych. Lecz tu, w Tan glinie, ludzie chodzili pełni spokoju i według ustalonego porządku wokół codziennych spraw, najwyraźniej oddaleni od tego zgiełku, oddaleni zwłaszcza od gęstego tubylczego tłumu. A jednak się poruszali, jak można by przypuszczać, z regularnością wskazówek zegara. Wyobraźcie sobie zegar w szklanej obudowie: wskazówki poruszają się niezmiennie wokół własnych spraw, a jednocześnie widzimy działanie różnych sprężyn, kółek i trybików. W ten sposób uporządkowane życie na przedmieściu Tanglin było uzależnione od miasta leżącego w dole i ładu stałego za Groblą łączącą z nim wyspę, których koncerty handlowe, plantatorskie i kopalniane stanowią kółka i trybiki, zaś niema, gigantyczna siła robocza to sprężyny stale wywołujące nacisk przenoszony z jednej części tego organizmu na drugą... i nie tylko w owym czasie i nie tylko na Tanglin, oczywiście, lecz dużo dalej w czasie i przestrzeni - aż na was oddalonych o tysiące mil, którzy teraz czytacie sobie w łóżku albo na leżaku na trawniku, lub na mnie, gdy siedzę przy stole i piszę.

2

Ogólnie biorąc Blackettowie mieli powody, aby się cieszyć ze spokoju i coraz dostatniejszego życia, jakie wiedli w Singapurze w 1937 roku. Zaledwie raz czy dwa w ciągu tych dwudziestu lat od zakończenia pierwszej wojny światowej zdarzyło się coś, co zakłóciło ich spokój ducha, lecz nawet i to nie było niczym szczególnie poważnym. Prawda, że ich starsza córka, Joan, miała skłonności do zadawania się z nieodpowiednimi młodzieńcami... ale na takie rzeczy każda rodzina z dorastającymi dziećmi powinna być przygotowana.

Choć jego żona, Sylwia, była tym bardzo poruszona, sam Walter podchodził do tej sprawy początkowo ze spokojem. Joan, która dopiero co wróciła z pensji w Szwajcarii, z trudem przyzwyczajała się do życia w Singapurze, z dała od swoich europejskich przyjaciół. Buntowała się i odnosiła się z pogardą do prowincjonalnych manier tutaj panujących, co Walter uważał za całkiem naturalne po pobycie w takiej szkole (nawiasem mówiąc pomysł wysłania Joan na pensję powstał w głowie jej matki). Żywił nadzieję, że z czasem dziewczyna się z tym upora.

Przyjaźń Joan z pierwszym z tych młodych ludzi, nie mającym grosza przy duszy kapitanem lotnictwa, którego poznała Bóg wie gdzie, była zapewne aktem buntu. Sama nawet nie próbowała udawać, że człowiek ten jest coś wart. Ponadto wiedziała dostatecznie dobrze, co jej rodzice, mający mglisty pogląd o służbie państwowej, sądzą choćby o generałach i wicemarszałkach, których obowiązek przyznał do Singapuru, nie mówiąc już o kapitanach lotnictwa. Walter nigdy nie widział owego osobnika, ponieważ Joan miała tyle rozsądku, aby nie przyprowadzać go do domu. Czekał spokojnie, aż córka zmadrzeje, tłumacząc żonie z lekkim rozdrażnieniem, iż jej lzy i obawy są stratą energii, którą mogłaby spożytkować z większą korzyścią w innym celu, ponieważ Joan wkrótce oprzytomnieje bez pomocy matczynych łez. W odpowiednim czasie, nieco dłuższym niż oczekiwał, ufność Waltera została usprawiedliwiona. Joan pozbyła się kapitana lotnictwa równie tajemniczo, jak go znalazła. Na chwilę w domu Blackettów zagościł spokój.

Wkrótce jednak zdarzyło się, że pani Blackett, próbując w palcach

li a kość materiału bawełnianej sukienki Joan, usłyszała nieoczekiwany ■szelest papieru. Cóż to takiego? Czy pozostawiono z pralni? Pani Blackett przypadkiem dotknęła sukienki w miejscu, gdzie znajdowała się kieszeń! Joan, która właśnie miała ową sukienkę na sobie, zaczerwieniła się i powiedziała, że to nic szczególnego, po prostu kawałek papieru.

- W takim razie - odparła pani Blackett - należy go natychmiast wyrzucić, bo to źle wypychać sobie w taki brzydki sposób kieszenie niepotrzebnymi rzeczami. - Jej palce szybko jak błyskawica wśliznęły się do kieszeni i wyjęły ów okropny papier (tak jak przypuszczała: list miłosny!), nim Joan zdążyła umknąć. Wynikła z tego scena, a krzyki, histeria, tupanie nogami dosięgły nawet uszu Waltera, który siedział na górze w swojej ubieralni i dumiał nad interesami. Czekał chwilę, by burza ucichła, lecz słysząc, że wzbiera na siłę, poczuł się w końcu zmuszony zejść na dół, w obawie, by paniom z tej irytacji coś się nie stało. Jego wejście natychmiast uciszyło i matkę, i córkę - stały wpatrzona w niego szklistymi oczyma, z wciąż falującymi piersiami i śladami łez na policzkach. Szybko odesłał Joan do jej pokoju, a kiedy wyszła, upomniał żonę, iż kazał jej traktować te sprawy ze spokojem.

- Rzecz w tym, moja droga, że te sceny nie przynoszą nic dobrego. Wręcz przeciwnie. Chciałbym wiedzieć, ile się dowiedziałaś o tym młodo- dzieńcu w rezultacie tych wszystkich krzyków i wrzasków? Założę się, że nie.

To prawda. Pani Blackett zwiesiła głowę. Joan oświadczyła, że prędzej umrze, niż powie, gdzie go poznała, gdzie on pracuje, a nawet jak się nazywa.

- Wygląda na to, że ma na imię Bany - rzekł Walter z westchnieniem, przeglądając list - i mogę ci nawet powiedzieć, gdzie pracuje, ponieważ napisał na firmowym papierze. Co zaś się tyczy tego, gdzie go poznała, nie ma to najmniejszego znaczenia. Zatem jedyne, co osiągnęłaś, to zraziłaś do siebie Joan. Na przyszłość bądź uprzejma poradzić się mnie, nim powiesz cokolwiek Joan o jej chłopcach. Pójdę teraz na słówko do tej młodej damy.

Walter szedł po schodach w zamyśleniu. Małżeństwo córki było sprawą, której dotychczas nie poświęcał specjalnej uwagi. Jednakże była to bez wątpienia sprawa wielkiej wagi nie tylko dla Joan, tak samo jak stanie się w odpowiednim czasie także i dla małej Kate, jego młodszej córki, lecz potencjalnie i dla firmy. Ostatecznie, jeżeli się jest człowiekiem bogatym, nie można pozwolić, by córka wychodziła za mąż za pierwsze go z brzegu niebieskiego ptaka, który się nawinie. Zgoda na taki związek byłaby klęską. Rzecz w tym, iż Joan znacznie lepiej przysłużyłaby się samej sobie i firmie Blackett i Webb, gdyby zgodziła się na poślubienie kogoś, kogo pozycja w kolonii odpowiadałaby jej pozycji.

Tak się akurat składało, że było w Singapurze kilku młodych ludzi, z którymi mogła zawrzeć tego rodzaju zadowolający związek i którzy ze względu na urodę Joan o niczym innym nie marzyli. Lecz kiedy po powrocie z pensji Joan otrzymała jedną z takich propozycji małżeństwa, zapalała oburzeniem. Uznała całą sprawę za niesmaczną i staromodną. Wyjdzie za mąż, za kogo będzie miała ochotę. Naturalnie wywołało to z kolei oburzenie starszych państwa Blackettów. Walter zapragnął się dowiedzieć, po co wydał spore pieniądze na taką szkołę, jeśli nie po to, aby wpojono w jego córkę nieco poczucia rzeczywistości. Jednakże Joan trwała w uporze i Walter szybko doszedł do wniosku, że najlepszą taktyką jest cierpliwość. Poczekaj i zobaczy, co z tego wyniknie, taktownie usuwając w międzyczasie z drogi nieodpowiednich młodych ludzi. Mimo sceny, która właśnie miała miejsce, Walter ufał nadal, że Joan jest dziewczyną zbyt rozsądną, by związać się na trwałe z kimś, kogo jej rodzice uważają za nieodpowiednią partię.

Idąc po schodach Walter zastanawiał się, czy nie zbesztać córki i nie nakazać jej, aby zerwała wszelkie kontakty z młodym człowiekiem. Postanowił jednak nadal zaufać jej zdrowemu rozsądkowi i rzekł tylko:

- Joan, kochanie, nie mam nic przeciwko temu, żebyś sobie flirtowała z młodymi ludźmi, pod warunkiem, że będziesz rozsądna i nie zrobisz nic, czego byś mogła potem żałować. Stanowczo się jednak sprzeciwiam, byś denerwowała matkę. Na przyszłość, proszę, bądź bardziej dyskretna i chowaj swoje listy miłosne w jakimś bezpiecznym miejscu. - Joan, która spodziewała się następnej awantury, patrzyła na niego ze zdumieniem, kiedy wręczał jej list stanowiący powód całego zamieszania.

Czy Walter bardzo ryzykował reagując tak łagodnie? Zdaniem żony tak. On jednak ją uspokoił. Był w przyjaznych stosunkach z prezesem firmy, na której papierze młody człowiek pisywał listy miłosne, i często spotykał się z nim w klubie. Wierzył, że gdyby miało dojść do najgorszego i zainteresowanie Joan owym młodzieńcem nie osłabło, wystarczyłoby jedno skinienie głową i mrugnięcie okiem, aby facet został wysłany z Singapuru na bezpieczną odległość (w razie potrzeby do Anglii). Jak się okazało, taka interwencja nie była potrzebna - w pewnym wieku

I nic bardziej nie studzi zapału, jak zgoda lub przyzwolenie rodziców. Barry (kimkolwiek był), niepokieszony, mógł nadal rezydować w Singapurze.

Niebawem pani Blackett zdecydowała, iż najlepszą drogą zapobiegania, aby Joan nie zadawała się z nieodpowiednimi młodzieńcami, jest postaranie się o odpowiednich. To prawda, że w Singapurze odczuwało się poważny brak tych ostatnich, ale postanowiła sporządzić listę i zobaczyć, co się da zrobić... cały kłopot z Joan, to że nigdy jeszcze nie poznała nikogo odpowiedniego. Teraz ona położy kres całej sprawie zapraszając raz w tygodniu na herbatę paru wybranych przez siebie młodych ludzi. Poprosi Joan, aby grała rolę gospodyni, a poza tym nad wszystkim będzie mógł osobiście czuwać sam Walter. Co on o tym myśli? Czy to nie wspaniały pomysł?

Walter miał wątpliwości. Wątpił, czy Joan zainteresuje się którymkolwiek z młodych ludzi popieranym przez jej matkę. A jeszcze bardziej umocnił się w tym przekonaniu, kiedy zobaczył zrobioną przez żonę listę. W końcu jednak się zgodził, częściowo dlatego, że nie widział żadnego powodu, aby żona nie mogła raz zrobić tak, jak chce, a częściowo dlatego, iż miał pewną ukrytą słabość. Ta słabość, tak miła i sympatyczna, że mogłaby uchodzić za zaletę, to że jako człowiek z pewnym doświadczeniem życiowym przepadał za rozmową z młodymi ludźmi dopiero startującymi w życiu. Zdarzało się więc, gdy zaczęły się te cotygodniowe herbatki i Joan siedziała z zesnuowanymi ustami, zbuntowana, a jej zielone oczy były twarde jak kamyczki, że Walter ożywał się i świetnie się bawił. Pani Blackett tymczasem spoglądała to na męża, to na córkę, to znów na młodego gościa usiłując ocenić, jakie wywołują na sobie wzajem wrażenie. Prawdę mówiąc każdy młody człowiek zazwyczaj siedział i patrzył zaniepokojony, podczas gdy Walter zalewał go potokiem słów - bądź co bądź był to Blackett z firmy Blackett i Webb, człowiek bardzo ważny w Straits Settlements, a rodzice młodego człowieka upominali go przecież, żeby uważał i nie popełnił żadnej gąfy, i choć raz zachował się jak należy.

Od kilku lat Walter miał miły zwyczaj brania swoich gości pod ramię i prowadzenia wzdłuż rzędu obrazów wiszących w salonie. Zdarzało się więc, że młody człowiek przeznaczony dla Joan pozwalał się, acz niechętnie, wyrwać z fotela, gdzie czuł się bezpieczniejszy i pewniejszy, że niczego nie przewróci, a Joan tymczasem pozostawała na swoim miejscu przy imbryku, milcząca i ze zbuntowaną miną, ignorując błagałne szeptki matki, aby choć odezwała się do swego gościa lub dotrzymała towarzystwa panom w wędrownym salonie.

Część obrazów, które Walter pokazywał młodemu człowiekowi, była prymitywna w stylu i malowana być może przez miejscowego artystę lub utalentowanego oficera marynarki zajmującego się w wolnych chwilach malarstwem: na jednym z malowideł był trójmasztowiec, który właśnie ładowano cukrem lub korzeniami, i rząd tubylczych tragarzy z pakunkami na głowach maszerował w kiepskiej perspektywie wzdłuż chwiejnego mola otoczonego dżunglą. Na następnym, wykonanym wytrawniejszą ręką, przedstawiona była czynność rozładowywania tego samego statku w Liverpoolu, potem następowało kilka obrazów przedstawiających port Rangun i Walter wykrzyknął:

- Spójrz! Ładuj ą ryż. Wszystkie statki to oczywiście wciąż jeszcze żaglowce i Rangun jest senną wioską. Ale poczekaj!

W dawnych czasach, wyjaśniał, podczas gdy młody człowiek u jego boku popatrywał na niego niespokojnie, biały ryż nie przetrwałby długiej podróży wokół Przylądka, więc przewożono go w postaci zwanej „ryżem ładunkowym”, to znaczy jedna piąta nie łuskanego ryżu i cztery piąte z grubsza oczyszczonego w ręcznych łuszczarniach. Na cały Wschód, głównie do Indii, był przewożony w postaci nie łuskanej („Te chamy łuskały go same”). Następnie Walter kreśląc pospiesznie historię miasta prowadził swego gościa (a raczej gościa Joan) do obrazu Rangunu z późniejszego okresu.

- Wiesz, jak zdążył się tymczasem rozrosnąć? I jak maszyny parowe zastąpiły na statkach żagle? Chociaż niektóre z nich mają oczywiście i jedne, i drugie. A wiesz, co to te wielkie budynki z kominami? To są łuszczarnie parowe!

Bo teraz, z otwarciem Kanału Sueskiego w 1870, można już było wysyłać do Europy czysty ryż i w ten sposób wyeliminować właścicieli łuszczarni, którzy czyścili „ryż ładunkowy” w Londynie.

- Zrzuć ich - komentował Walter z dezaprobatą. - Byli za powolni. Człowiek interesu musi być czujny. - I jeśli akurat tak się zdarzyło, że młody człowiek właśnie rozpoczynał karierę handlową, Walter poświęcał trochę czasu, aby go pouczyć, jak to zawsze trzeba być gotowym, by pójść z duchem czasu i nigdy nie brać wszystkiego za dobrą monetę.

- Idź tam do nich! - syczała tymczasem teatralnym szeptem pani Blackett do córki. - Jesteś niegrzeczna dla swojego gościa.

- Ależ mam, mówiłam ci już chyba z tysiąc razy... -1 to była prawda... rzeczywiście mówiła.

Ostatni obraz Rangunu został namalowany z początkiem naszego stulecia i ukazywał, jak kwitnący handel ryżem doprowadził do wzrostu i rozwinęcia się miasta w wielki nowoczesny ośrodek handlowy, który na Wschodzie przewyższają jedynie Bombaj i Kalkuta. Walter przyciągał swego skonsternowanego jeńca bliżej obrazu i po chwili przyglądania się rojnym od ludzi nabrzeżom rzeki Rangun wskazywał palcem piękny magazyn i wykrzykiwał:

- Nasz pierwszy! Pierwszy, jaki należał do firmy Blackett i Webb. A raczej Webb i Spółka, bo tak firma się wówczas nazywała. Dotychczas mamy dokładnie taki sam magazyn tu, w Singapurze, nad rzeką. Widzisz teraz, jak odrobina handlu może wpłynąć na wzrost miasta? -1 z wyrazem zadowolenia na twarzy prowadził odpowiedniego dla córki młodego człowieka do dalszych obrazów przedstawiających Kalkutę, Penang, Malakkę i sam Singapur w różnych stadiach rozwoju.

- Widzisz, jak udało nam się sprawić, że te malutkie miściny rozwinęły się we wspaniałe miasta? Oto co odrobina cyny i kauczuku działy dla Singapuru.

Pozostał jeszcze jeden obraz do obejrzenia, i to najważniejszy ze wszystkich, ale pani Blackett zaczynała już się niecierpliwić i wzywała Waltera i jego słuchacza na jeszcze jedną filiżankę herbaty. Te herbatki, doszła do przekonania, nie wywierały pożądanego skutku. Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl i przyjrzała się córce podejrzliwie. Czy to możliwe, że brak zainteresowania Joan dla gościa jest spowodowany jakimś nowym romansiem z jakimś nowym nieodpowiednim młodym człowiekiem?

Po jednej z takich herbatek Walter został sam, zadumany, w salonie, zaś Joan, z nagłą przyjaźnią zrodzoną z poczucia ulgi, odprowadziła swego gościa do samochodu, a potem poszła do małej Kate, która czekała na trawniku ze spaczoną rakieta tenisową na partię francuskiego krykieta. Joan była wciąż jeszcze dostatecznie smarkata, by lubić takie gry. Gdy limuzyna młodego człowieka pełzła w kierunku bramy, w oknie ukazała się jego blada twarz i dłoń, którą pomachał, lecz nikt nie zwracał uwagi na jego odjazd. On jednak dostrzegł pędzącą radośnie za piłką tenisową Joan, podczas gdy Kate toczyła rakieta wokół swego pulchnego ciała, i pomyślał z bólem: „Co za wspaniała dziewczyna!” W dodatku jaka zamożna. Po raz pierwszy w życiu zgadza się całkowicie ze swoimi rodzicami. Tylko straszna szkoda, że ze starego Blacketta taki dziwak!

Tymczasem pani Blackett skorzystała ze sposobności, żeby wkraść się na górę do pokoju Joan i przeczytać dzienniczek córki dla własnego spokoju. Wzięła ten niewielki brulion i zaczęła szybko przerzucać stronicę. Jak dotąd nic. Nie znalazła niczego obciążającego. Westchnęła z ulgą, kiedy pod jej kciukiem przesunęły się w ten sposób całe tygodnie. Lecz nagle, gdy doszła niemal do ostatniego tygodnia, doznała niemiłego wstrząsu, bowiem język dzienniczka zmienił się z angielskiego w mieszaninę nic nie znaczących liter. Co to u licha znaczy? Niewątpliwie tylko jedno, że Joan zaczęła pisać dzienniczek szyfrem! A to z kolei musi oznaczać, iż ma coś do ukrycia! Pani Blackett, poważnie zaniepokojona, próbowała coś zrozumieć z galimatiasu liter, ale daremnie. Jedno, co zdołała odkryć, to wciąż powtarzające się imię (zakładała, iż było to imię, ponieważ zaczynało się z dużej litery): Solrac!

„O, Boże, tym razem na pewno Węgier!” - pomyślała podnosząc dłoń do czoła.

Na dole w salonie zastała jeszcze Waltera, dumającego przed najważniejszym obrazem swojej kolekcji, tym, którego nie miał czasu pokazać młodemu gościowi Joan. Wzruszeniem ramion przyjął rewelację żony o dzienniczku pisanym szyfrem i powiedział, żeby się uspokoiła...

każda rodzina z dorastającymi córkami musi być przygotowana na tego rodzaju kłopoty. Jest to całkowicie naturalne. Pani Blackett odeszła bynajmniej nie uspokojona.

Wiszący na poczesnym miejscu w ogromnym salonie obraz, przed którym Walter teraz stał, nie był jeszcze jednym widokiem powstającego miasta, ale przedstawiał mężczyznę. Był to portret samego starego Webba, brodatego pana o ostrych rysach i wielkiej godności. Walter, ilekroć miał po temu okazję, prowadził gości do tego portretu i mówił z pełnym szacunku zapalem o swoim dawnym wspólniku, człowieku, bez którego on sam „nie doszedłby do niczego”. Bowiem to właśnie pan Webb stworzył młodemu Walterowi Blackettowi szansę współzawodnictwa z tak olbrzymimi firmami Dalekiego Wschodu jak Guthries, Jardines i Sime Darby, wyrażając zgodę na połączenie swego potężnego przedsiębiorstwa z początkującą firmą Waltera. I powiodło im się razem znakomicie, tak iż niemal od razu powstało między nimi prawdziwe zrozumienie. Ponadto starzejący się już pan Webb potrzebował energii młodszego wspólnika. W odpowiednim czasie rezultatem tych poczynań stała się firma Blackett i Webb Sp. z o.o.

Człowiek mniejszego formatu, czując, że słabnie, starałby się z ponurą zaciętością trzymać wszystko w swoich rękach, co po kilku latach skończyłoby się tym, że zarówno kauczuk jak i agencja stałyby się dla niego za wielkim ciężarem. Lecz stary pan Webb, który nigdy nie bał się stawić czoło niemiłym realiom, zdawał sobie sprawę, iż w najbliższych latach sam niczemu nie podola. Może też dostrzegał mgliście nadciągające niebezpieczeństwa następnego dziesięciolecia - zwłaszcza rosnącą rywalizację z Japonią o rynki Dalekiego Wschodu. Mało jest w życiu rzeczy równie trudnych dla człowieka jak rezygnacja z kierownictwa firmą, którą sam stworzył i rozbudował. Jednak pan Webb uporał się z tym trudnym zadaniem gładko, kiedy Walter przejął firmę całkowicie w 1930 roku. A między dwoma mężczyznami pozostała nadal silna więź wzajemnego szacunku.

Po przejściu na emeryturę zainteresowanie pana Webba skupiło się na niewielkich posiadłościach ziemskich Mayfair Rubber Company, które zatrzymał, jak tłumaczył, jako zabawkę starego człowieka. Był prezesem tego towarzystwa, lecz nie pociągało to za sobą uciążliwych obowiązków - Mayfair było jednym z szeregu towarzystw niezależnych, których codziennym zarządzaniem zajmowali się wspólnie Blackett i Webb ze sprawnością, jakiej żaden z nich z osobna nie mógłby osiągnąć. Nie, bardziej prawdopodobne było, iż widział Mayfair jako wygodny Dom Starego Dżentelmena. Z tego punktu widzenia Mayfair przedstawiało się bardzo kusząco, jakkolwiek szczupłe były dochody z jego posiadłości ziemskich w Johore.

Przechodząc na emeryturę dżentelmen w starszym wieku potrzebuje miłego domostwa do zamieszkania - towarzystwo Mayfair od lat posiadało swoją siedzibę w Singapurze, nie w dzielnicy handlowej, jak można by oczekiwać, ale w zbudowanym bez jednolitego planu istic pałacowym bungalowie w Tanglinie, sąsiadującym ze wspaniałą rezydencją Waltera, tak że dzielił ich tylko przyjemny spacer przez otaczające te dwie budowle tereny. Dżentelmen na emeryturze potrzebuje szacunku i wsparcia ludzi, którzy go otaczają... a kogo się więcej szanuje i wspiera, jak nie prezesa własnego towarzystwa handlowego? Potrzebuje czegoś, co wzbudzałoby w nim zainteresowanie życiem, aby się z niego nie wypsnąć przez nieuwagę, która jest udziałem ludzi starszych wiekiem... a któż może zrobić to lepiej niż własne towarzystwo kauczukowe? Z drugiej strony, potrzebuje, aby go pozostawiono w spokoju, nie nagabywano niepotrzebnie, bo ludzie coraz bardziej go irytują... a czy się dba o czyjś spokój ducha bardziej jak o spokój ducha prezesa? Ten ostatni punkt był szczególnie ważny dla starego pana Webba.

Mieszkał samotnie całe życie i wcale nie zamierzał zmieniać swych nawyków tylko dlatego, że się posunął w latach. Rzecz zdumiewająca, ale był żonaty. Lecz jego żona zawsze mieszkała w Anglii. Poślubił ją w późnym wieku i nigdy nie zachęcał do przyjazdu na Malaje. Może się obawiał, że ludzie będą się z niego śmiali, ponieważ była prawie trzydzieści lat od niego młodsza (umarła już, przeżył ją mimo tych trzydziestu lat różnicy). Bardziej prawdopodobne, że po prostu wolał mieszkać sam, a jego żonie, o ile wiadomo, to nie przeszkadzało. Ponadto składał jej w Anglii wizyty, ilekroć interesy zmuszały go do podróży. W czasie jednej z takich wizyt sprawił, że zaszła w ciążę, co świadczy, że byli w zażyłych stosunkach. Rezultatem ich związku był syn, Matthew, który podobnie jak matka nigdy nie odwiedził Singapuru.

Swego czasu pan Webb nosił się z myślą, że młody Matthew powinien poślubić Joan. Tak, stary żywił dla niej życzliwe zainteresowanie, gdy była małą dziewczynką, zasypując ją srebrnymi łyżeczkami, kółkami na serwetki i sznurami pereł. Niechybnie pan Webb, nawykły do własnych nieco despotycznych stosunków rodzinnych, nie widział żadnych powodów, aby nie móc wykorzystać własnego autorytetu celem

połączenia rodzin tak samo jak firm. Walter uśmiechnął się. Oszczędzi łoby to tych wszystkich kłopotów z nieodpowiednimi młodymi ludźmi! Jednakże od połowy lat trzydziestych, a nawet wcześniej, przestano wspominać o tym związku.

Matthew i Joan... byli jakby stworzeni dla siebie. Co za szkoda! Tak się jednak złożyło, że ani Walter, ani reszta jego rodziny, z wyjątkiem młodszej córki, Kate, nigdy nie widzieli Matthew, chociaż i oni czasami bywali w Anglii. Matthew i syn Waltera, Monty, byli mniej więcej w tym samym wieku, ale gdy Monty był w szkole w Anglii, Matthew... został wysłany na nauki do Szwajcarii, Szwecji czy innego kraju. Bo jak przypomniał sobie Walter, patrząc ze smutkiem na portret swojego dawnego współnika, w tej gładkiej i poza tym nieskazitelnej budowli, jaką pan Webb wznosił wokół siebie, przygotowując sobie godną i wygodną starość, pojawiła się jedna paskudna rysa.

Stary Webb, choć jego władze umysłowe pozostały pod wieloma względami nienaruszone, dał się porwać pewnym nowoczesnym ideom odnośnie diety i wykształcenia i wychował syna zgodnie z tymi ideami. Była to z całą pewnością tragedia godna pióra tego... jak on się nazywa?... tego francuskiego nudziarza... tak, Balzaka. Matthew został wysłany do najbardziej postępowej ze szkół, jak słyszał Walter, gdzie koedukacja została posunięta do takich granic, że nie robiono żadnych różnic między płciami. Do dzieci zwracano się per „obywatel” taki a taki. Chłopcy i dziewczęta nosili takie same obwisłe, obszerne pantalone i obcisłe kurtki. Kąpali się razem nago, mieli tak samo ostrzyżone włosy, grywali w te same gry i mogli kłaść się spać w którejkolwiek sypialni chcieli, pod warunkiem, że nie wolno im było sypiać w tym samym miejscu dwie noce pod rząd.

Była to niewątpliwie najbardziej skrajna ze wszystkich prywatnych szkół, do których Matthew uczęszczał. Inne zapewne specjalizowały się co najwyżej w czymś tylko tak radykalnym jak wegetarianizm i jakiejś formie przymusowego nauczania. Jednakże myśl o tych szkołach prześladowała Waltera po dziś dzień. Starał się jak umiał remonstrować, lecz starszy pan był uparty i zdradzał skłonności do urazy. Sprawa musiała upaść. Lecz Walter mógł sobie tylko wyobrazić, jak bardzo źle musiały te wszystkie szkoły wpłynąć na młodego Matthew. Wydawało mu się nad wyraz żałosne, że ten stary dżentelmen, którego całe życie było istnym wzorem prawości, ciężkiej pracy i samodyscypliny, nie mógł się oprzeć tak dziwnym i podcinającym siły teoriom, stanowiącym całkowite przeciwieństwo wszystkiego, co sam kiedykolwiek popierał.

Walter byłby bardzo rad, gdyby bieg wypadków dowiódł, iż się myli, gdyby ów wegetariański rys nie spowodował tragedii, której się obawiał. Lecz tak się nie stało. Jedna z wizyt pana Webba w Anglii zbiegła się akurat ze strajkiem powszechnym w 1926. Matthew był wówczas studentem Oksfordu. Gdy jego koledzy studenci radośnie i ochoczo opuścili sale wykładowe, by pomóc przełamać strajk, Matthew ukrył się w swoim pokoju i zamknął drzwi na klucz. Mimo zamkniętych drzwi pan Webb wdał się w dyskusję z synem, w czasie której niewątpliwie powoływał się na patriotyczne uczucia.

Walter nie miał relacji z pierwszej ręki z tego spotkania, ale wyobrażał sobie, jak pan Webb stoi na trawniku Brasenose College przytrzymując dłońmi siwe włosy na lodowatym wietrze hulającym na dziedzińcu, a smętni wykładowcy uniósłszy głowy znad książek patrzą na tego przedstawiciela cierpiącej ludzkości z niesmakiem zza okien z oprawionymi w ołów szybami. Podobno pobłąkawszy się w ten sposób dzień czy dwa, ów stary zuch zaofiarował swe usługi jako konduktor tramwajowy. Nie skorzystano z nich, oczywiście. Mimo całego swego entuzjazmu był o wiele za wątpliwy do tak poważnych zadań jak pobieranie opłat za przejazdy i spędzanie rozrabiaków pałąk z tylnego pomostu.

Niegdyś zakładano, że Matthew zajmie w przyszłości jego miejsce w firmie. Po roku 1926 przestano jednak o tym mówić. Jego matka zmarła nagle w cztery lata później i od tej pory rzadko wspomniano o Matthew. Wiedzano, że mieszka w Genewie, gdzie ma jakieś zajęcie przy Lidze Narodów. A tego właśnie, stwierdził w duchu Walter, należało się spodziewać po kimś z takim wykształceniem! Stary pan Webb żył nadal i przy pewnych okazjach towarzyskich można go było nadal zobaczyć w ogrodzie lub salonie Waltera, równie pełnego godności i wyprostowanego jak na portrecie, który Walter właśnie kontemlował. „Matthew i Joan... cóż za szkoda. Byłoby to najodpowiedniejsze dla firmy”. I z westchnieniem poszedł szukać żony, która z ołówkiem i kartką papieru schroniła się w swoim pokoju, postanowiwszy złamać szyfr zastosowany przez córkę w dzienniczku.

Jeszcze nigdy w życiu pani Blackett nie zdobyła się na tak wielki wysiłek umysłowy jak w czasie kilku następnych dni, kiedy próbowała wydobyć jakiś sens z tych tajemniczo pomieszanych liter. Próbowała wszystkich sposobów, zadrezczała swój mózg jedną teorią za drugą, za

słała całą podłogę sypialni zgniecionymi arkusikami papieru, schudła, zmizerniała i wszystko na nic. Wreszcie, kiedy siedziała zrezygnowana przed lustrem toaletki patrząc na odbicie swojej twarzy z zapadniętymi oczyma i wciąż trzymając w ręku karteczkę z linijką piekielnego szyfru Joan, przyszedł jej w sukurs przypadek - spojrzawszy w lustrze na odbicie pisma stwierdziła, że może odczytać je bez trudu! Był to najprostszy ze wszystkich szyfrów stosowanych przez dzieci: szyfr lustrzany. Gorączkowo pochwyciła inne kartki z zaszyfrowanymi zdaniami, które przepisała z dzienniczka Joan, i przysunąwszy je do lustra czytała poruszając ustami... Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Walter z poważnym wyrazem twarzy.

- On nie jest Węgrem! - wykrzyknęła pani Blackett. - On jest...

— Wiem, Brazylijczykiem. To jeszcze gorsze.

- Walter, skąd wiesz?

— Po prostu zapytałem Joan. Ponadto mam wrażenie, że tym razem to może być poważniejsze.

Walter zaczynał dochodzić do przekonania, że chociaż trudności tego rodzaju są całkiem naturalne i każda rodzina z dorastającymi córkami winna być na nie przygotowana, to jednak z tym Brazylijczykiem Joan trochę przesadziła. Znużony wysiłkami żony, by rozwikłać szyfr Joan, zdecydował się zapytać córkę wprost. Joan odparła bez wahania, iż obiekt jej uczuć jest sekretarzem poselstwa brazylijskiego w Pekinie i przyjechał na dłuższy urlop do Singapuru. Pobiorą się zapewne za rok lub dwa w Rio de Janeiro, gdy tylko Joan zdąży przejść na katolicyzm. A chociaż jego rodzina nie jest zbyt zamożna (a ściślej mówiąc znajduje się w tarapatkach), to jednak wywodzi się w prostej linii od jakiegoś tam króla Alfonsa hiszpańskiego, a może portugalskiego. Joan bardzo się ucieszyła, że ojciec podniósł tę kwestię, ponieważ właśnie chciała zapytać, czy może zaprosić Carlosa na herbatę. O tak, i jeśli Walter nie ma nic przeciwko temu, najlepiej byłoby poczekać z pokazywaniem mu wszystkich obrazów Rangun, przynajmniej na początku, póki się bardziej nie zżyją.

Sprawa niewątpliwie była poważna. Lecz Walter nie stracił zimnej krwi. Wiedział, że Joan jest uparta, i szybko zdecydował, iż mimo całego niebezpieczeństwa, najlepiej postępować jak dotychczas, licząc na jej rozsądek. Uznał, że z czasem córka sama pojmie, iż zubożały Brazylijczyk jest absolutnie wykluczony jako kandydat na męża. Jednakże wzmianka o małżeństwie była niepokojąca. Odparł więc ostrożnie, iż nie widzi żadnego powodu, dlaczego Carlos nie mógłby przyjść na herbatę. Joan ucałowała go za to.

Carlos, jak się okazało, nosił monokl w oku, udając brytyjskiego dżentelmena. Przy herbacie (tym razem z kolei pani Blackett siedziała milcząca i nadąsana) wyjaśnił Walterowi, że w poselstwie brazylijskim w Pekinie nie ma zupełnie nic do roboty... tam się nic nie robi, ani krzty, ani odrobiny, nic a nic! I wydobył z gardła wysoki, beklawy śmiech, też wzorowany na śmiechu brytyjskiego dżentelmena. Jednym z powodów, dlaczego nikt w Pekinie nie pracował, było to, że rząd chiński znajdował się gdzie indziej i to bardzo daleko! Mieścił się wiele mil dalej, w Nankinie! Tak czy owak rządy Chin i Brazylii nie miały sobie nic a nic do powiedzenia, ani jednego ludzkiego słowa! Zaden Brazylijczyk nie zbliżył się nawet w okolice Chin od wieków! Cóż więc człowiek ma robić? - pytał nie zauważwszy nawet, jak niefortunne wrażenie wywiera na Walterze. Cóż innego może robić, jak nie spędzać całe dni w bryczesach do konnej jazdy lub flanelowych spodniach tenisowych, a wieczorami tańczyć na dachu Grand Hotel de Pékin?

- W rzeczywistości nędzna to buda - dodał z żalem, ku lekkiemu zdziwieniu Waltera. Po dłuższym milczeniu upuścił z ponurą miną monokl w chusteczkę i zaczął go pocierać. Walter zgodził się z tą jego ostatnią uwagą. Rzucił szybkie spojrzenie na Joan, lecz nie mógł wyczytać z jej kamiennej twarzy, co o tym myśli.

Carlos chrząknął. Czasem, kiedy chcieli odpocząć od Pekinu, jeździli na urlop do Szanghaju. Rozpogodził się troszeczkę. Czy Walter wie, że teraz w nocnych lokalach w Szanghaju najnowszy szał to lambeth walk?

Poznawszy Carlosa Walter się uspokoił. Joan, rozsądna dziewczyna, która wiedziała, jaką wagę miało ewentualne małżeństwo dla interesów ojca i jej samej, nie mogła nie spostrzec, jak nieznośny jest to człowiek. Walter był zdumiony, że córka zdołała z nim wytrzymać choćby dzień, a co dopiero cały tydzień. Niepojętym jednak sposobem przychodziło jej to bez trudu i wkrótce z jednego tygodnia zrobiło się kilka. Z biegiem czasu ufność Waltera malała. Był już niemal zdecydowany użyć swej ojcowskiej władzy dla przerwania tych kontaktów, kiedy tak się akurat zdarzyło, że wspomniął o tej sprawie swojemu francuskiemu przyjacielowi, niejakiemu François Dupigny bawiącemu przejazdem w Singapurze. Dupigny, którego Walter zapytał o pochodzenie młodego człowieka w nadziei, że dowie się czegoś kompromitującego, sprawował ważną funkcję w rządzie indochińskim, z ramienia francuskiego

Ministerstwa Spraw Kolonialnych. Był to człowiek o szerokich koneksjach na Dalekim Wschodzie i chętnie słuchał plotek. | Chociaż, jak się okazało, Dupigny nie wiedział nic o Carlosie, na wieść, że Walter zamierza zakazać dwojgu młodym widywania się, uniosł w przerażeniu obie ręce. Przeciwnie, oznajmił, nie może być nic gorszego! Młodym powinno się nie tylko udzielać zgody na tak częste przebywanie w swoim towarzystwie jak na to przyzwoitość i dobre obyczaje zezwalają, lecz nawet ich do tego zobligować. W takich okolicznościach nie lepiej nie chłodzi uczuć jednej młodej osoby, jak zażyła znajomość z drugą!

Waltera zaskoczył ten cyniczny pogląd, choć musiał przyznać, że mogła w nim być odrobina prawdy. Jednakże według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy by się nie zgodził na tak oryginalne potraktowanie sprawy, gdyby właśnie wówczas Joan nie poprosiła go o pozwolenie na wyjazd do Szanghaju w towarzystwie Carlosa... i oczywiście mamy, którą należało przekonać, że powinna wystąpić w roli przyzwoitki. Joan naturalnie spodziewała się odmowy i widząc, że ojciec się waha, zaczęła przejawiać oznaki buntu i oburzenia. Lecz wahanie Waltera dotyczyło nie tyle Carlosa, ile sytuacji politycznej w Szanghaju i ogólnie w Chinach. Pamiętał zamieszki, jakie tam były w 1932 roku, których wyrazisty opis otrzymał od kierownika szanghajskiej filii firmy Blackett i Webb. Osobliwa scena, którą ów kierownik opisał, utkwiała nie wiedzieć czemu na zawsze w pamięci Waltera: chłodna noc styczniowa, zamierające uderzenia dzwonu zegara na wieży Urzędu Celnego nad moknącym w deszczu miastem i nagły grzechot karabinów i broni maszynowej.

Tak jak zwykle z tymi chińskimi „incydentami” wszelkie za i przeciw całej sprawie były okryte grubą warstwą niejasności. Jedno wiedziano na pewno: że zaraz po jedenastej wieczorem zbrojny kontyngent japońskich Morskich Sił Desantowych poprzedzony ludźmi niosącymi płonące pochodnie przekroczył granice Osady Międzynarodowej i wszedł do Chapei. Bardzo antyjapońsko, antycudzoziemsko i prorewolucyjnie nastawiona Dziewiętnasta Armia Marszowa powitała ich gradem kul - w jednej chwili ulice wokół Dworca Północnego zasłały trupy japońskich piechociarzy morskich. Japończykom nie przyszło do głowy, żeby wyłączyć światła uliczne i mając za plecami rzęsiście oświetloną Osadę Międzynarodową stanowili łatwy cel dla Chińczyków ukrytych w mrokach Chapei. A ponieważ Północna Ulica Seczuańska między Urzędem Poczтовым a Północną Ulicą Honańską pozostała oświetlona i odgłosy wystrzałów słyszeć było na całym terenie Koncesji Zagranicznej, wkrótce zaczęły się zjeżdżać taksówki i samochody wylądowane Europejczykami i Amerykanami w wieczorowych strojach, którzy zatrzymywali się w drodze z teatrów, restauracji i wieczornych przyjęć, aby się przyjrzeć temu widowisku. W ciągu kilku minut zebrał się wesoły, rozszczebiotany tłum, pito szampana i zbudzono właścicieli pobliskich kafejek, by dostarczyli gorącej kawy i kanapek. Ta pogodna, rozbawiona publiczność cieszyła się, że oto poczciwi starzy Japończycy wyręczają Wielką Brytanię, Francję i Amerykę w daniu Chińczykom nauuczki. Niewątpliwie bowiem Chińczycy, ze swym rosnącym antycudzoziemskim i nacjonalistycznym nastawieniem, zaczęli zanadto podnosić głowy. Gdyby im na to dalej pozwolić, niedługo skończyłyby się wszelkie handlowe i prawne przywileje Wielkich Mocarstw w Chinach.

Wciąż pełen niezdecydowania Walter zastanawiał się, że te antycudzoziemskie nastroje w Chinach wcale się nie zmniejszyły i mogą nadal być źródłem kłopotów. Z drugiej strony, dotyczą głównie Japończyków czyniąc z nich w ten sposób coś na kształt odgromnika dla Europejczyków i Amerykanów. Tej wiosny (roku 1937) było stosunkowo spokojnie, jeśli nie liczyć wzmożonych ruchów wojsk japońskich w Mandzurii. Ponadto różne garnizony Koncesji Zagranicznych zostały ogromnie wzmocnione, a Chińczycy byli tak bardzo zajęci walkami między sobą, że zagrożenie Szanghaju wydawało się znikome.

- Nie widzę powodu, dlaczego miałabyś nie pojechać - rzekł Walter spokojnie - pod warunkiem, że nie zrobisz żadnego głupstwa. - I aczkolwiek nie bez obaw, postanowił oczekiwać dalszego rozwoju wypadków. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że chcąc niechcąc małżeństwu córki z odpowiednim młodym człowiekiem należy poświęcić ogromnie dużo uwagi.

- Ale czyż nie rozumiesz, kochany tato - mówiła Joan leżąc na łóżku w samej bieliźnie i rozkoszując się powiewem od umieszczonego wprost nad nią wentylatora - że to mógł być wstrząs dla tak dobrze wychowanej dziewczyny jak ja, która zawsze przebywała albo w domu, albo w szkole. To było absolutnie wstrząsające i mama była tak zaskoczona jak ja, a przynajmniej zrobiła się biała jak kreda i myślałam, że zemdleje. Jej oczy miały taki śmieszny wyraz i nawet Carlos w tym swoim absurdalnym angielskim ubraniu wyglądał na z lekka wstrząśniętego. Właściwie to bardzo dobrze, że Carlos z nami był, chociaż nie sądzę, że o wiele lepiej od nas zna surowszą stronę życia, ale przynajmniej jego obecność działała uspokajająco. Jest bądź co bądź mężczyzną, choć wiem, że tobie wydaje się trochę śmieszny, ale jego ubiór, to był zdaje się tweedo- wy garnitur, wzbudzał wyraźne zaufanie. W każdym razie bez niego, jego tweedu i monokla mama z całą pewnością by zemdlą, a pomyśl tylko, jakie z tego mogłyby powstać problemy w samym środku tego, jak mu tam, Hongkew, kiedy mama już zaczęła się uskarżać, że jest zmordowana, bo spędziliśmy większość popołudnia na włóczeniu się po japońskiej części miasta w poszukiwaniu tego nieszczęsnego sklepu z jedwabiami, wciąż mylnie kierowani to tu, to tam, a tymczasem wkrótce miał zapaść mrok i mama chciała już wracać na Drogę Musującej Studni, gdzie czuła się bezpieczniejsza, bo jak tu się nie czuć nieswojo, skoro wszyscy kulisi z rikszami znikli, gdy tylko zjawili się japońscy żołnierze, a Carlos - ten ma pomysły! - kazał swojemu szoferowi czekać o kilka ulic dalej, zamiast tam przyjechać. Aha, czy pokazywałam ci resztki bąbli, jakie mam na nogach?

No, nie, tato, zgadzam się z tobą, że nic się nie stało... Nikt właściwie nas nie napastował, ale mógł. Mieliśmy raczej uczucie, że jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo. Szliśmy sobie spokojnie i nagle na ulicy pojawiło się mnóstwo samochodów i ciężarówek, z których wysypali się mali żołnierze japońscy... No, dobrze już, dobrze, przynajmniej, że był tylko jeden samochód i żadnych ciężarówek i wysiadło z niego tylko kilku żołnierzy, to znaczy z tego samochodu, ale mimo wszystko byliśmy trochę przestraszeni, kiedy zapędzili nas kolbami pod ścianę i był z nimi oficer, który wyglądał jak szympanś z szablą o kilka razy dla siebie za długą i wciąż bardzo śmiesznie się o nią potykał. Do tego momentu wszystko wydawało się zabawne, choć mama wyglądała na przełkniętą, a Carlos wciąż powtarzał bezradnie: „Co za awantura!”, co szczerze mówiąc nie było z jego strony bardzo pomocne, bo tyle to i my z mamusią potrafiłyśmy wymyślić. Więc spróbowaliśmy iść dalej, ale oni nam nie pozwolili, i wtedy Carlos przestał mówić: „Coś podobnego!” i zaczął trajkotać po portugalsku, cały czerwony na twarzy, bo zobaczył, że Japończycy zablokowali koniec ulicy, i bał się, że może się wplątać w Bóg wie co, może nawet jakiś incydent dyplomatyczny?

Oczywiście, wcale nie było powodu do niepokoju, ja nie mówię, że był! Ja tylko mówię, że można było się spodziewać, iż Japończycy zrobią się niemili, a ich bagnety wyglądały na bardzo ostre, choć było ich zaledwie kilku, i tymczasem ulica nagle zapełniła się ludźmi, którzy tłoczyli się wokół drzwi, przez które weszli żołnierze, i kilku z tych ludzi wyglądało na bardzo podnieconych, co jest wcale niepodobne do Chińczyków, zwykle tak poprawnych w zachowaniu i pilnujących własnych interesów (przynajmniej u nas, w Singapurze, prawda?), i nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak dużo mniejsi są od nas, bo nasze trzy głowy górowały ponad tłumem i czuliśmy się trochę jak w Podróżach Guliwera lub czymś w tym rodzaju.

W każdym razie potem z tych drzwi wyszło dwóch żołnierzy japońskich i kogoś nieśli. Z początku widziałam tylko tego idącego przodem, który trzymał dwa bardzo lśniące skórzane buty... reszty tego człowieka nie widziałam dobrze, przynajmniej z radością, tylko rękę wlokącą się po chodniku, a potem na jedno mgnienie oka zarys ciała w kurtce i spodniach rozpiętych i strasznie coś czerwonego w środku. Był zgięty w literę S, bo go w ten sposób nieśli, i też miał szablę, która szorowała po ziemi i plątała się pod nogami żołnierza trzymającego go pod pachami. Ale najwięcej wstrząsnął mną widok tej Chinki, którą wywlekli z tych drzwi i postawili pod ścianą... myślałam wtedy, że jest Chinką, bo miała na sobie pikowaną bluzę i czarne jedwabne spodnie, a nigdy dotąd nie widziałam, żeby jakaś Eurazjatka ubierała się inaczej niż po europejsku, mimo że jej włosy, które były bardzo rude, wydały mi się trochę dziwne, ale naturalnie pomyślałam, że je po prostu trochę ufarbowała, co było niczym w porównaniu z tym, jak się farbują te dziwaczne stwory w nocnych lokalach, które nam Carlos pokazywał poprzedniego wieczó

ru. Chodzi o to, że wyglądała, jakby była w moim wieku albo młodsza i w pewnej chwili dostrzegła mnie w tłumie i to mnie tak zdenerwowało.

Cóż, to nie moja wina, że żyłam dotąd pod kloszem, prawda? Nagle sobie pomyślałam, że gdybym nie była Angielką, mogłabym stać zamiast niej pod tą ścianą. Ten niski oficer wrzeszczał i bił ją. Twarz jej poszarzała, naprawdę poszarzała, zrobiła się jak popiół. Człowiek sam czuje się wstrząśnięty na widok kogoś tak przestraszonego. Bardzo długo potem mnie to dręczyło. Nie mogłam przestać myśleć, że gdyby była Angielką, dopiero by skończyła szkołę, tak jak ja.

Nie wiem, skąd ci ludzie się wzięli, ale ulica nagle się zapełniła i wokół japońskiego oficera i dziewczyny utworzyło się zwarte półkole, a ci dwaj żołnierze, którzy wynieśli nieboszczyka z domu, mieli trudności z przedostaniem się przez tłum. I nagle... był tak zajęty wrzeszczeniem na dziewczynę i biciem jej po twarzy, że nie widział stojącego za swymi plecami tłumy... nagle tłum ruszył do przodu i zagarnął jego i dziewczynę. Powstała szamotanina i myślę, że oficer próbował chwycić szablę, ale był w takim ścisku, że nie mógł tego zrobić. I właśnie wtedy Carlos powiedział: „Teraz mamy szansę prysnąć”, bo Japończycy, którzy blokowali koniec ulicy, biegli na ratunek swojemu dowódcy, i zdołaliśmy jakoś razem z Carlosem zawlec mamę za róg, potem odnaleźć samochód i wkrótce siedzieliśmy cali i zdrowi w Park Hotel przy jakże upragnionej herbacie, na Drodze Musującej Studni.

No i na tym się skończyło i nawet mama zaczęła powoli pojmować, że przeżyła przygodę, i czuła się całkiem zadowolona z siebie, zwłaszcza gdy Carlos zdobył gazetę, w której było napisane, że ten oficer został zwabiony przez dziewczynę do tamtego domu, a potem zamordowany przez komunistów. Nie napisano jednak nic, co się stało z dziewczyną. W każdym razie, jak mówię, wszystko się dobrze skończyło i spędziliśmy czas jak przedtem na zwiedzaniu, zakupach et cetera i byliśmy w nocnym lokalu „Moskwa”, który był pełen bosko pięknych Rosjanek, samych arystokratek, jak powiedział Carlos, aż czułam się o nie zazdrosna i... dziękuję ci, kochany tato, ale dobrze wiem, że nie, choć bardzo bym chciała... i tak dalej, a potem, potem przyszedł czas, żeby wsiąść na statek i wrócić do starego, kochanego Singapuru i mama musiała znowu zrobić awanturę pokojówce, że nie pakuje rzeczy jak należy, tylko zwija wszystko i wpycha do kufrów, i jak wiesz, mamie wystarczy spojrzeć na statek, a już dostaje choroby morskiej, więc to naprawdę szczęście, że był z nami Carlos, chociaż zaczynał nam działać na nerwy i ochrzciliśmy go po cichu „Teatralnym Lokajem”, bo zawsze był taki grzeczny i napsuszony... gdyby nie on, chodziłabym smutna i osowiała, bo mama tylko jęczała i łykała tabletki w kajucie.

No więc było dużo tańców i gier na pokładzie i wręcz olbrzymie posiłki i któregoś wieczoru spotkaliśmy się z innymi młodymi ludźmi i wszyscy trochę podpili i postanowiliśmy zwiedzić cały statek, powłóczyć się trochę po drugiej i trzeciej klasie, gdzie się normalnie nie chodzi. Więc wyruszyliśmy całą hordą, panowie w smokach, pałac cygara, a my, dziewczęta, w najwspanialszych wieczorowych toaletach, chichocząc po szampanie i opowiadając głupie dowcipy, a niektórzy z panów nawet w takich komicznych kapeluszach. Od razu natknaliśmy się na przeszkodę. Zamknięte drzwi. Steward nie chciał nas przepuścić. „Słuchaj, Carlos - powiedział jeden z panów - my się odwrócimy, a ty przekup tego wystraszonego faceta”. Zaraz wszyscy przyklasnęli i wypchnęliśmy Carlosa naprzód, a ponieważ on jest Brazylijczykiem, więc oczywiście świetnie umie przekupywać ludzi, i natychmiast mieliśmy przed sobą otwartą drogę.

Prawdę mówiąc, to właśnie wtedy zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że był to dosyć głupi pomysł, żeby włączyć się po tych innych klasach... Naprawdę nie mieliśmy nic do roboty! A jeden z panów, który pracował w dyplomacji... mówił, że się nazywa Sinclair-Sinclair (jąkał się i zawsze wypowiadał to podwójnie, więc w końcu nie wiem, czy naprawdę się tak nazywał, czy też powtarzał jedno ze swych imion) i skończył Harrow, i był bardzo zabawny, i pełnił funkcję któregoś tam z rzędu sekretarza w Bangkoku czy gdzieś... powiedział: „W-w-wiecie co, n-n-nie wiem, co wy o tym sądzicie, a-a-ale ja się t-t-troszeczkę rozczarowałem t-t-tymi innymi cz-cz-częściami statku”. Wyraził w ten sposób to, co każdy z nas myślał. A ktoś inny dodał: „Tu jest troszkę za obskurnie na mój gust, ale wcale nie mówię, że nie jest na swój sposób strasznie fajnie”.

I zaraz wszyscy zmarkotnieliśmy, co było straszne zważywszy, że jeszcze przed chwilą było nam bardzo wesoło. I właśnie wtedy doszliśmy do drugich zamkniętych drzwi i już, już mieliśmy zawrócić, lecz Carlos, alias Teatralny Lokaj, kogoś przekupił, tak jakoś machinalnie, i drzwi zostały otwarte, więc weszliśmy. I to był błąd, bo za tymi drzwiami było naprawdę ponuro i zorientowaliśmy się, że idziemy przez coś w rodzaju koszarnej sali sypialnej z kojami, na których w strasznym zaduchu leżą na wpół nadzy ludzie i chrapią, i wtedy Sinclair-Sinclair powie

dział: „Sądzę, że znaleźliśmy się w jednym z luków”, i którejś z dziewcząt zrobiło się słabo, ale ten człowiek zamknął za nami drzwi i nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto by je otworzył, i baliśmy się, że ta dziewczyna zemdleje, popadnie w histerię czy coś w tym rodzaju. Więc ktoś powiedział, że musi być jakiś sposób wydostania się na pokład... że jest takie prawo morskie czy coś, co mówi, że nawet pasażerowie trzeciej klasy muszą mieć możliwość wyjścia na pokład, więc postanowiliśmy wyjść na pokład i poczekać na świeżym powietrzu, póki Carlos nie przekupi kogoś, żeby nas zaprowadził z powrotem do pierwszej klasy. Nawiasem mówiąc, kiedy powiedziałam Sinclairowi o tym człowieku, którego widziałam w Szanghaju z dżemem truskawkowym wychodzącym z brzucha, on się tym wcale nie przejął i odparł, że widział całe mnóstwo podobnych wypadków i że Azjaci zawsze się wzajem zabijają. To dla nich nic wielkiego. I że to jest naukowo udowodnione, tak mi przynajmniej powiedział Sinclair.

W końcu znaleźliśmy jakieś schody i wyszliśmy dzięki Bogu na pokład, bo na dole było nie do wytrzymania. Ktoś powiedział, że teraz już wie, dlaczego luki nazywają się wnętrznościami statku, ale nikt się nie roześmiał, bo to było wulgarnie. A na pokładzie tu i ówdzie także spali skuleni ludzie, chyba Chińczycy. Im się chyba też nie podobało tam na dole. Było dosyć ciepło, świecił śliczny księżyc i wiał lekki wietrzyk. Po tym przeciskaniu się na dole, wyjście na świeże powietrze było wspaniałe i jeden z panów otworzył butelkę szampana, którą miał z sobą, i wszyscy napili się po łyku i znów było wesoło. I kiedy czekaliśmy na powrót Carlosa, Sinclair-Sinclair opowiedział nam o grze, w którą grywał z kolegami w Paryżu, kiedy się uczył francuskiego (oni z dyplomacji muszą się wszyscy uczyć francuskiego)... ta gra nazywa się saute-clo- chard: otóż wszyscy żebracy w Paryżu spiąją zimą na kratach zamykających wyloty ciepłego powietrza z tuneli metra, jeden obok drugiego, żeby im było ciepło, i gra polega na tym, żeby przeskoczyć jak najwięcej leżących obok siebie żebraków. Muszę przyznać, że to się wydaje trochę nieludzkie, ale w każdym razie Sinclair oznajmił, że postanowił pobić rekord świata w saute-Chinois, to znaczy przeskoczyć rekordową ilość Chińczyków, i że nigdy nie będzie miał lepszej do tego okazji jak teraz. Wszyscy mu przyklasnęli i w mgnieniu oka zdjął smoking i ruszył cwałem po pokładzie w stronę śpiących rzędem Chińczyków. Potem odbił się od pokładu i... och, przypomniałam sobie właśnie coś, o co chciałam cię zapytać. Kiedy płynęliśmy w tamtą stronę i zatrzymywaliśmy się w różnych portach, zanim dopłynęliśmy do Szanghaju... to chyba było rano po opuszczeniu Kantonu, kiedy zmierzaliśmy w górę rzeki do Wuchow w prowincji Kwangsi... w każdym razie ktoś wskazał klub golfowy na lewym brzegu i powiedział, że jest to zdecydowanie najbardziej ekskluzywny klub na świecie. A kiedy zapytałam czemu, powiedział, że dlatego, ponieważ ma tylko czterech członków, dyrektora i zastępcę dyrektora Standard Oil Company i takich samych rangą z Asiatic Petroleum Company, ale to śmieszne, prawda? Klub golfowy, który ma zaledwie czterech członków! On tylko żartował, prawda? Niemożliwe! Wielkie nieba! Jak to, Chińczycy nie grają w golfa? Teraz sobie ze mnie kpisz. Ale przepraszam, przerwałam opowieść: Sinclair odbił się od pokładu i przeskoczył co najmniej kilkunastu śpiących Chińczyków, i na szczęście nie wylądował na żadnym z nich... ale na nieszczęście zaczął o coś nogą, kawałek żelaza albo liny, czy bo ja wiem co, wywalił się i obtarł sobie paskudnie dłoń i kolana, porwał spodnie i narobił strasznego hałasu.

Wtedy kilku Chińczyków się zbudziło i popatrzyło na nas. Ja byłam blisko lampy i właśnie spoglądałam w stronę jednego z leżących jak tobołki ludzi, kiedy tobołek poruszył się i usiadł. To była ta dziewczyna, którą widziałam w Szanghaju, jak ją bił ten japoński oficer. Stałam zaledwie o parę kroków od niej. Poznałam ją, mimo że miała wciąż obrzmiałą i posiniaczoną twarz. Widziałam, że i ona mnie poznała. Uśmiechnęłam się i powiedziałam coś w tym rodzaju, że się cieszę, że wyszła z tego cała i jak się czuje? A ona początkowo*nic nie odpowiedziała, więc oczywiście pomyślałam, że nie umie po angielsku i jest wstrząśnięta, że ją ktoś poznał. Ale nagle przemówiła do mnie doskonałą angielszczyzną, wiesz, jak osoba wykształcona, żebym była tak łaskawa i nie mówiła nikomu o tym zdarzeniu i japońskim oficerze, bo się obawia, że gdy się to rozniesie, mogą jej nie zezwolić na wyjście na ląd w Singapurze, a ona chce tam uciec przed Japończykami. Powiedziała mi, że się nazywa panna Chiang, Vera Chiang, i że jej matka była Rosjanką, która musiała opuścić kraj w czasie rewolucji i potem umarła, a ona była wychowana na jakiejś amerykańskiej misji w Mandżurii czy gdzieś indziej i nie miała nic wspólnego z tym człowiekiem, który był zabity, i nigdy go przedtem nie widziała. No to ja oczywiście zapewniłam ją, że nikomu nie powiem, i dałam jej swoją firmową wizytówkę ze swoim imieniem i nazwiskiem, i powiedziałam, żeby się ze mną skontaktowała, jeżeli będzie miała kłopoty z uzyskaniem pracy czy coś. I to, kocha

ny tato, już chyba wszystko, tylko że Teatralny Lokaj zaczął robić sceny zazdrości, że rozmawiałem z Sinclairem-Sinclairem, ale to nie moja wina, że Sinclair był bardziej od niego zabawny i że nie mogę znieść, jak mężczyźni są zazdrośni i chcieliby cię mieć wyłącznie dla siebie, a na dodatek wciąż próbują wszczynać „poważne rozmowy”. W końcu przestałyśmy z mamą nazywać go Teatralnym Lokajem i przechrzciliśmy go na Gniewalskiego, bo cały czas chodził zaszępiony. Właśnie ze względu na niego z ulgą powitałam widok Singapuru i starego poczciwego Empire Dock, gdzie jak zwykle pełno małych ciemnoskórych chłopców, którzy nurkują po miedziaki, ale co mnie zaskoczyło, że było też kilku całkiem starych ludzi chętnych do nurkowania, tylko że my woleliśmy rzucać monety chłopcom. I to byłby już koniec, ale zapomniałam ci powiedzieć, co stało się z Sinclairem-Sinclairem. Jeden z Chińczyków, którego przeskoczył, okazał się ogromnym mężczyzną i wpadł w straszny gniew. Chwytał biednego Sinclaira i wyrzucił za burtę. Rozległ się potężny plusk i Sinclair zniknął w pianie za rufą... nie, tato, łaskoczesz... i nigdy go już nie ujrzeliśmy. Nie! Tato, przestań! To boli... Przepraszam, nigdy więcej nie będę kłamała! Przrzekam.

Pod koniec września roku 1940, na garden-party wydanym dla sporej liczby najwplywowszych ludzi w Straits Settlements, wydarzył się następny incydent, który zakłócił spokojne życie państwa Blackett. Joan niespodziewanie chlusnęła kieliszkiem szampana w twarz jednego z gości. Ofiarą padł młody oficer z biura amerykańskiego attache wojskowego, kapitan James Ehrendorf. Na szczęście jednak był on dość zaprzyjaźniony z rodziną Blackettów i nie zamierzał wyciągać z tego konsekwencji.

Powodzenie owego przyjęcia (na które nawiasem mówiąc obrano dzień urodzin starego pana Webba) miało doniosłe znaczenie zarówno dla Waltera jak i jego żony. Dla Waltera miało wagę jako zwiastun całego szeregu spotkań towarzyskich zaplanowanych dla uczczenia jubileuszu firmy w nadchodzącym roku. Firma Webb i Spółka została założona w Rangunie w roku 1891, a wkrótce potem otwarto jej pierwsze biuro w Singapurze. Spodziewano się, że dwanaście miesięcy świętowania, polegającego na urządzaniu licznych garden-party, pokazach ogni sztucznych i produktów firmy Blackett i Webb, osiągnie punkt kulminacyjny w Nowy Rok 1942 w jednym z tych monstrualnych pochodów karnawałowych, które Chińczycy w Singapurze tak bardzo lubią. Wybuch wojny w Europie postawił na pewien czas te uroczystości pod znakiem zapytania, lecz okazało się, iż rząd, mając na względzie cele propagandowe, pragnie, aby się one odbyły, jako odpowiedź na bezustanne antybrytyjskie ataki z Tokio. Uważano, że nic lepiej nie podkreśli znaczenia brytyjskiego panowania, jak przypomnienie pięćdziesięcioletniej historii jednego z wielkich domów handlowych i ogromnego bogactwa, które pomógł zgromadzić dla dobra wszystkich. Co zaś do Sylwii Blackett, owe garden-party odbywało się pod nieobecność jedynych jej rywali w kręgach towarzyskich kolonii (gubernator i lady Thomas wyjechali na ośmiomiesięczny urlop do Europy), toteż ufała, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, trudno o coś lepszego dla skonsolidowania jej i tak nieźle ugruntowanej pozycji towarzyskiej.

Blackettowie mieszkali we wspaniałym starym domu kolonialnym, jednym z tych już rzadkich w Singapurze, zbudowanym z cegły i datującym się sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Rzędy grubych kolumn, które wspierały górne balkony, w połączeniu z dwoma ciągami schodów, które spływały kaskadą na obie strony portyku niby śmietana przelewająca się z dzbanka, nadawały budynkowi wygląd klasyczny, niemal urzędowy, a zarazem wywoływały wrażenie swobody i komfortu, a nawet zmysłowości. Wrażenie to potęgowała bujna i barwna roślinność ogrodów, do których prowadziły owe schody. Tryskały tam fontanny na starannie przystrzyżonych ciemnozielonych trawnikach, obrzeżonych wspaniałymi drzewami „płomień lasu”. Za jednym równiutko przyciętym żywopłotem mieściły się korty tenisowe, za innym ścieżka prowadząca do Ogrodu Orchidei. W środku najrozleglejszej części trawnika był basen pływacki, którego szmaragdowe wody rzucały migotliwe ognie odbitego słońca na zasłonięte okiennicami okna sypialni na górze i wydawały się płynną murawą. Za basenem cienisty szpaler z drzew orzecha pili o białych kwiatach lub purpurowo-czarnych owocach, zależnie od pory roku, wiódł do jeszcze barwniejszej bujności krzewów. Ktokolwiek zaplanował tę część ogrodu, pragnął uciec od prawdziwej, nieco zadumanej roślinności tropikalnej, aby stworzyć atmosferę barwności i świetności tropików z dziecięcej wyobraźni. Różowy karbowany mirt i afrykański śláz tłoczyły się koło białych kwiatów kopsji i zdumiewającego szkarłatu indyjskiego drzewa koralowego, a za nim milcząca orkiestra kolorów - kasja, bliźniarka łapanowata, chrzan, „róża gór” i drzewa kartoflowe o białych i bladofioletowych kwiatach, że aż się w głowie kręciło. Mieniące się barwami motyle, niektóre wielkości dłoni, o morel owych, zielonych lub cytrynowych skrzydłach, przenosiły się w przesyconym zapachami powietrzu z kwiatu na kwiat. Jednakże pani Blackett już nie zapuszczała się w tę część ogrodu mimo jego barwności i wspaniałości. Mdlilo ją od słodkiego, mocnego zapachu kwiatów. Ponadto ten barwny liściasty gaj przylegał do terenów Spółki Kauczukowej May fair i pani Blackett obawiała się, że dostrzeże tam starego pana Webba, jak chodzi po ogrodzie nago i ścina sektorem róże lub też Bóg wie co wyprawia.

Jeszcze nim Joan chlusnęła winem w twarz kapitana Ehrendorfa, pani Blackett zdawała sobie sprawę, iż będzie musiała rozwinąć wszyskie swoje talenty towarzyskie, aby uniknąć skandalu z gatunku tych, o jakich się później mówi przez całe lata w takich miejscowościach jak Singapur. A to dlatego, że Walter, nie porozumiawszy się z nią uprzednio, zaprosił generała Bonda, głównodowodzącego Sił Zbrojnych Singapuru, podczas gdy ona sama, nie porozumiawszy się z Walterem, zaprosiła marszałka Babingtona, dowódcę Sił Powietrznych na Dalekim Wschodzie. Już od dłuższego czasu w kolonii krążyły plotki na temat rywalizacji tych dwóch oficerów. Otwarta niechęć, jaką generał żywił dla marszałka, była równa tej, którą marszałek przejawiał wobec generała, i odzwierciedlała się jak w gabinecie luster w twarzach całych zastępów adiutantów i młodszych oficerów, którzy starali się naśladować swoich dowódców. Marszałek Babington, jak zapewniały pogłoski krążące po licznych barach w mieście, aż skręcał się z zazdrości, iż jego rywal, jako głównodowodzący Sił Zbrojnych Singapuru, był z racji urzędu członkiem Zgromadzenia Ustawodawczego i miał prawo do tytułu „ekscelencja”, którego on sam nie posiadał, aczkolwiek granice jego lenna, „Daleki Wschód”, były znacznie rozleglejsze.

Obecnie jeden z tych panów gawędził ze swoim sztabem w pobliżu kortów tenisowych, podczas gdy drugi, otoczony podwładnymi, przebywał w pobliżu Ogrodu Orchidei, żaden zaś nie wiedział o obecności drugiego na garden-party. Jasne, że w takich okolicznościach musiałby się stać cud, by ci dwaj panowie się nie spotkali. Ach, pani Blackett wspomniała z wyrzutem zasadę, którą przed wieloma laty wprowadziła i której do tej pory skrzętnie przestrzegala, że nigdy nie zaprosi do swojego domu żadnych wojskowych. Do diabła! Ze względu na wybuch wojny w Europie pozwoliła sobie na dosłowną interpretację tej zasady, wpuszczając ich do ogrodu. Jakże żałowała, iż to uczyniła! A teraz, na domiar złego, wygląda na to, że córka zamierzała wywołać skandal.

Pani Blackett właśnie gawędziła miło z jednym z członków Zgromadzenia Ustawodawczego. Ów pan opowiadał jej o tym, jak Japończycy wkraczają na północne obszary Indochin, a Francuzi nie stawiają oporu. Czemu nie stawiają oporu, dopytywała się grzecznie, chociaż w rzeczywistości zajęta była kwestią, czy marszałek Babington przyjdzie do Ogrodu Orchidei. Dlatego, wyjaśnił ów pan, że Niemcy wywierają naciski na Rząd Vichy. I wtedy, ni stąd, ni zowąd, Joan chlusnęła kieliszkiem szampana w twarz jednego z gości.

- Wschodnio-azjatycka sfera współdobrobytu? Co to takiego? - wykrzyknęła pani Blackett w przerażeniu. Jej zdumiony rozmówca wyjaś-

nil, że jest to japoński chwyt propagandowy w celu zdobycia dominacji gospodarczej nad różnymi krajami Dalekiego Wschodu.

- Och! - wyrzekła pani Blackett odzyskując panowanie nad sobą.

Joan z niewiadomych przyczyn uśmiechała się. Uśmiechała się nawet, chociaż dość sztucznie, w chwili, gdy chlusnęła winem w twarz kapitana Ehrendorfa. Trzeba przyznać, że niewiele było wówczas w jej kieliszku, ale dość, by zmoczyć jego przystojne uśmiechnięte rysy, osiąść kropelkami na brodzie i utworzyć na mundurze ciemne plamki. Kapitan przestał się uśmiechać zaledwie na chwileczkę, ale wyglądał na zaskoczonego. Wyjął z kieszeni chusteczkę i starannie wytarł twarz, traktując ze szczególną uwagą cieniutki wąsik nad wargą. Drugą ręką ujął Joan delikatnie pod ramię i pociągnął nieco głębiej w błękitnawy cień „płomienia lasu”, pod którym stali. Na szczęście byli na skraju trawnika i tylko pani Blackett dostrzegła to zdarzenie. Joan oswobodziła ramię z uścisku kapitana Ehrendorfa i dalej stali spokojnie.

- Jeśli interesują pana Indochiny - rzekła pani Blackett pogodnie, lecz stanowczo do pana ze Zgromadzenia Ustawodawczego - musi pan porozmawiać z panem François Dupigny, który niedawno uciekł stamtąd z generałem Catroux... obaj golusięcy. Znajdzie go pan koło kortów tenisowych. - Z tymi słowami pozostawiła nieco skonfundowanego rozmówcę i poszła w stronę „płomienia lasu”.

Gdy się zbliżyła, stwierdziła, że Joan i Ehrendorf rozmawiają zupełnie spokojnie o orkiestrze „Sammy i jego Rytmiczne Urwisy”, której dźwięki dobiegały z pobliza basenu. Orkiestra ta, śmiała innowacja wprowadzona przez jej syna, Monty'ego, też była przyczyną niepokoju pani Blackett, która obawiała się, by nie uznano jej za wulgarną. Kapitan Ehrendorf zapewnił panią Blackett, że orkiestra cieszy się ogromnym powodzeniem i sam widział, jak wypolerowany but generała Bonda postukiwał do taktu. Jedno było pewne: generał przesunął się bliżej basenu... lecz to mogło być spowodowane uznaniem dla urody kąpiących się dziewcząt, które pluskały się wywijając koziółki jak delfiny w szmaragdowej wodzie pod estradą ustawioną dla orkiestry - to był też pomysł Monty'ego, aby co ładniejszych młodych gości zaprosić do kąpieli. Pani Blackett, przerażona, ponieważ była to pierwsza oznaka, iż generał Bond opuścił stosunkowo bezpieczny teren Ogrodu Orchidei, spojrzała ku orkiestrze, której metalowe instrumenty rzucały rażące oczy błyski w popołudniowym słońcu, i zobaczyła, jak czterech chińscy saksofoniści w szkarłatnych kurtkach i białych spodniach wstają jednocześnie z tylnego rzędu, aby odegrać kilka taktów i znów usiąść. „Muszę szybko odszukać Waltera” - pomyślała. Zastanawiała się zarazem, czy przypadkiem nie zmyśliła tej sceny między Joan a kapitanem Ehrendorfem. Lecz rzut oka na mundur kapitana wystarczył, by ją przekonać, że nie - na cienkim materiale wciąż widniały ciemne plamki, choć już zaczynały znikać w tym upale.

- „Na Berkeley Square brzmia słowika trele - zawodziło jęklonie czterech Rytmicznych Urwisów objawsz się za ramiona i zbliżywszy głowy do mikrofonu. - Uwiercie mi, bo byłem tam w niedzielę...”

Wśród gości nie opodal basenu pani Blackett dostrzegła z ulgą Waltera.

- Jesteście pewni, że nie zostaną uznani za wulgarnych? - zapytała w roztargnieniu i oboje młodzi musieli ją ponownie uspokajać, że na pewno nie.

- Więc co ona zrobiła Jimowi Ehrendorfowi? - dopytywał się Walter, który opuściwszy towarzystwo przy basenie zajął punkt obserwacyjny przy balustradzie pod portykiem, w miejscu, gdzie się zbiegały dwa ciągi schodów wiodących do ogrodu. Już od pewnego czasu przyglądał się stąd posepnie, jak generał Bond z oficerami sztabowymi na podobieństwo niewielkiego stadka owiec pasącego się spokojnie koktajlami zbliża się coraz bardziej do kortów tenisowych, gdzie marszałek Sił Powietrznych Babington czyha w zasadzce ze swą watahą wilków.

- Widzę, że będę musiał dać tej młodej damie reprimendę! - Ale nie oderwał wzroku od poruszającej się w dole grupki oficerów.

Tak się składało, iż Walter wiedział trochę więcej niż większość ludzi w Singapurze o przyczynie starć tych dwóch dowódców. Dzielił ich mianowicie pogląd, jak winny być bronione Malaje i przez kogo. Marszałek Babington nasiąkł fanatycznymi doktrynami Ministerstwa Lotnictwa, utrzymywał, że tylko RAF zdoła uporać się z tym zadaniem. Generał Bond natomiast wierzył, jak każdy żołnierz z krwi i kości, iż zamiast pokładać ufność w samolotach, których skuteczności należy zaledwie domniemywać, sprawą obrony Malajów winny się zająć siły lądowe. I oto pech chciał, że obie strony sporu znalazły się w ogrodzie Waltera!

- Pytałaś, co jej u licha strzeliło do głowy, żeby oblewać winem naszych gości? - rzekł Walter z gniewnym spojrzeniem, aby zarazem zniechęcić biskupa Singapuru, który stał w dole, na trawniku, i uśmiechał się, zapewne zamierzając podejść.

- Wiesz, jaka Joan jest impulsywna. Ma to po mnie. - Wzruszyła bezradnie ramionami.
 - Singapur jest za mały, żeby mogła sobie pozwalać na takie rzeczy
- utyskiwał Walter. - Ale oczywiście to może nie mieć żadnego znaczenia. - Mimo wszystko martwił się. Czemu ona to zrobiła?

Stopniowo przekonał się, że jego wcześniejsze obawy, aby Joan nie uparła się wyjść za mąż za kogoś nieodpowiedniego, były bezpodstawne. Nie była skłonna do wiązania się z ludźmi, którzy jej nadskakiwali - niepotrzebnie martwił się zatem tym śmiesznym Carlosem. Przeciwnie, jak doszedł do wniosku, w tym właśnie tkwi cały kłopot. Joan okazała się kapryśna i nieobliczalna w swym postępowaniu wobec tej jakże nielicznej garstki pożądanych młodych ludzi z kolonii. Prawda była taka, że Walter wcale się nie zdziwił na wieść, iż Joan chlusnęła winem w twarz młodego Ehrendorfa (który, choć bardzo miły, nie bardziej nadawał się dla niej na męża niż Carlos). W ciągu ostatnich trzech lat, kiedy wyzbywała się swoich ostatnich cech uczennicy, którą tak kochał, i niedostrzegalnie zmieniała się w młodą kobietę, było bardzo wiele podobnych incydentów, dość w rzeczy samej trywialnych, lecz w sumie niepokojących. Jednemu nieszczęśliwie zakochanemu młodemu plantatorowi kazała nawet wejść w ubraniu do basenu. Wszedł, ale nie pomogło mu to w zaskarbianiu jej uczuć. Niewątpliwie małżeństwo córki jest czymś, czemu należy poświęcić sporo uwagi, czy człowiek chce, czy nie.

Orkiestra przestała na chwilę grać i jego żona poszła poprosić Rytmicznych Urwisów, żeby nie wytrząsali śliny z instrumentów do basenu pływackiego. Słońce schowało się za chmurkę i choć nie zrobiło się ani trochę chłodniej, coś jakby dreszcz przeszedł wśród zebranych gości, jakieś złowieszcze przeczucie, które być może istniało tylko w wyobraźni Waltera.

Z łokciami wspartymi o kamienną balustradę, a brodą na dłoniach Walter popatrywał markotnie na rozmawiających gości, na wpół dumając nad perspektywami małżeńskimi córki, na wpół zaś poddany hipnotycznemu działaniu siatki refleksów słońca na powierzchni basenu, wciąż łagodnie falującej, chociaż ostatnia z kąpiących się piękności, owinięta w płaszcz kąpielowy i odprowadzana przez Monty'ego, szła już w stronę pawilonu-przebieralni. Sam Walter rzadko pływał, nigdy zaś publicznie - był przewrażliwiony na punkcie pasa włosów, gęstych jak szczecina, który z niewiadomych przyczyn porastał wąską limą jego stos pacierzowy, od szyi po kość ogonową. Ta szcześć jeżyła się, kiedy był zły, a czasem nawet w chwilach intymnych. Żona zwierzyła mu się kiedyś w zaufaniu, że w każdą noc ich miesiąca miodowego nawiedzał ją sen, w którym dawała się prowadzić w głąb lasu dzikowi i tam, na kobiercu z liści, z dala od wszystkich, owo zwierzę ją pokrywało wypełniając leśną ciszę swym chrząkaniem. Walter wówczas wzruszył tylko ramionami, ale czuł się urażony tym żoninym snem. To prawda, że mógłby pływać z przyjaciółmi, gdyby zechciał włożyć staroświecki kostium kąpielowy z karczkiem i rękawkami w miejsce skąpych i nazbyt wszystko odsłaniających ramiączek. Lecz Walter był również bardzo czuły na punkcie swego ubioru.

Pstryknęła kamera. Walter odwrócił się nagle, świadom, że zrobiono mu zdjęcie. Skinął na przechodzącego właśnie wysokiego mężczyznę po pięćdziesiątce, o udęczonym wyglądzie. Człowiek ten, niejaki major Brendan Archer, został przedstawiony państwu Blackett przed kilkoma laty przez tego samego François Dupigny, który dał Walterowi tak cenną radę, jak oderwać Joan od nieodpowiedniego młodego człowieka. Major Archer, który, choć cywil, zachował swą rangę na pamiętkę, jak przypuszczał Walter, wojny światowej, zaprzyjaźnił się nie tylko z państwem Blackett, lecz i ze starym panem Webbem. Staruszka ujęła powierzchowność majora, wywołująca wrażenie nieco ponurej uczciwości, toteż obdarzył go niezwykle uprzejmością, proponując udział w Spółce Kauczukowej Mayfair, swojej zabawce, aczkolwiek

może nie dlatego, że było tyle pracy, ile że chciał mieć do kogo mówić. W każdym bądź razie major przypuszczalnie nie miał nic lepszego do roboty i wkrótce zainstalował się w małym bungalowie po drugiej stronie drogi. Walter zaaprobował ten układ. Major był człowiekiem dyskretnym i rozsądnym, chociaż niestety bez ambicji. W sam raz nadawał się do tego, by mieć na oku starego pana, który w miarę upływu lat zdradzał skłonności do coraz to większych dziwactw. Nie szło po prostu o wegetarianizm i nawyk przycinania róż nago - obecnie pan Webb zapraszał czasem młodych Chińczyków obojga płci, aby prowadzić z nimi ćwiczenia gimnastyczne nago „dla rozwoju sił fizycznych i ciała”. Nie było jednakże w tym fakcie nic niestosownego ani tajemniczego, chociaż Walter słyszał, iż te nieliczne młode kobiety, które pan Webb zdołał zwerbować, zgodziły się rozwijać swe ciała z pobudek finansowych. Pan Webb po prostu wierzył, że jeśli Chiny mają się kiedykolwiek podnieść z upadku i przestać być rozbitym i dekadentkim narodem, stanie się to jedynie poprzez rozwój fizyczny i ożywienie umysłowe oraz obfitość zjadanych jarzyn. Mimo to, jego poczynania martwiły i smuciły Waltera choćby dlatego, że pan Webb był nadal właścicielem znacznej części udziałów firmy. Walter nie mógł być całkowicie pewien, czy pan Webb nie poczyni drastycznych zmian w swoim testamencie, w rezultacie niepomyślnego ochłodzenia stosunków z synem. Było to niepokojące. Należało dopilnować, aby to nie nastąpiło. W tym właśnie miał dopomóc major.

Walter i major zaczęli przechadzać się w cieniu portyku rozmawiając o losach wojny w Europie, a Walter jednocześnie nie spuszczał oka z gości na wypadek jakichś kłopotów. Niebawem rozmowa przeszła na obchody jubileuszu firmy Blackett i Webb - Walter pragnął nakłonić majora do większego zaangażowania w planowaniu pochodu karnawałowego, który miał stanowić kulminacyjny punkt uroczystości. Major reprezentował typ człowieka sumiennego, mającego czas, który zwykle zgłaszał się na ochotnika do organizowania takich rzeczy jak bale na cele dobroczynne, pikniki urządzone na rzecz sierot, zbiórki na fundusz zakupu bombowców dla Brytanii i temu podobne. Jednakże dziś z niewiadomych przyczyn wzdragał się przed zaproponowaniem swoich usług.

Jubileusz tak wielkiego domu handlowego jak Blackett i Webb wcale nie jest tak łatwo zorganizować, jak się wydaje. Wybór formy obchodów jest sprawą delikatną, nad którą Walter i jego rada dyrektorów musieli sobie dobrze nałamać głowy. Próbowali znaleźć precedens w życiu handlowym Singapuru, ale bezskutecznie - oto jakie są skutki zajmowania czołowego miejsca w jakiejś dziedzinie, nie ma bowiem kogo naśladować. Wspomniano uroczystości dla uczczenia królewskiego jubileuszu w roku 1935. Wszystkie banki w Singapurze spowiły wówczas swe kolumny w czerwień, biel i błękit. Nawet Yokohama Specie Bank na rogu Battery Road, tuż obok Robinsona, wspomniał Walter, przystroił się w brytyjskie flagi. Do obchodów jubileuszu królewskiego przyczynił się również RAF - zbombardował i podpalił konstrukcję wzniesioną na palangu. Może uda się nakłonić RAF, by zbombardował również coś dla firmy Blackett i Webb?

Lecz w końcu wszystkie te ambitne projekty musiały upaść, ponieważ w Europie wybuchła wojna. Byłoby bardzo niestosowne urządzać takie wymyślne obchody, podczas gdy londyńscy akcjonariusze walczą o życie. Musiano zatem porzucić na garden-party, fajerwerkach i karnawałowym pochodzie. Właśnie ten ostatni, zdaniem Waltera i rady dyrektorów, stwarzał największą okazję do uczynienia czegoś niezwykłego, co mieszkańcy Singapuru będą pamiętali i co będzie jakby apoteozą handlu oraz tradycji brytyjskich w kolonii, które przyczyniały się do dobrobytu wszystkich ras.

W odpowiednim czasie znaleziono slogan jubileuszowy tego pochodu: „Ciągłość w Dobrobycie”. Rząd, dręczony ustawicznie japońską propagandą, jakoby biały człowiek miał wyzyskiwać swych azjatyckich poddanych niczym niewolników, przyklasnął tej idei entuzjastycznie, a nawet pokusił się o zasugerowanie, aby w pochodzie wzięli udział nie tylko Chińczycy, lecz również inne rasy. Gdyby jeszcze w pochodzie wzięło udział kilku Europejczyków, nie miałby on wówczas charakteru przedstawienia urządzonego przez niewolników dla swoich panów. Europejczycy nie powinni też ograniczać się w nim do ról królewskich czy dostojników siedzących na tronach itp. - nie powinni wzdragać się, w miarę potrzeby, przed występowaniem w rolach tak podrzędnych jak nogi smoka. Zakładano jednak, iż gdyby stary pan Webb zechciał wziąć udział w pochodzie, winien być niesiony na najwyższej platformie, na tronie, jako uosobienie Dobrobytu. Któż bowiem lepiej niż pan Webb, założyciel firmy, mógłby wystąpić jako personifikacja Ciągłości w swoim kościstym, pełnym dostojęstwa kształcie?

Oczyma duszy Walter widział, jak ten wspaniały pochód smoków, kukiel i platform reprezentujących sukces handlowy firmy Blackett i

Webb wije się ulicami dzielnicy chińskiej przy wtórce orkiestr dętych i trzasku fajerwerków, a następnie wspina pod górę pod Dom Rządowy, gdzie przeprawuje przed sir Shentonem Thomasem stojącym na werandzie. Istny tryumf rzymski! A mimo to idea nie zyskała sobie jak dotąd poparcia wśród Europejczyków, których Walter usiłował nakłonić do wzięcia udziału w „pochodzie narodów”. Co wcale nie znaczy, że Walter oczekiwał od nich entuzjazmu... ale zważywszy na fakt, iż w Europie toczy się wojna, można było się spodziewać więcej poparcia z ich strony. Wyjaśniwszy to wszystkim majorowi Walter umilkł na chwilę, aby dać mu czas na zgłoszenie swej kandydatury do komitetu organizacyjnego, jeśli nie do wzięcia udziału w samym pochodzie. Lecz major, choć sprawiał wrażenie przyciśniętego do muru, chrząknął tylko i skubał w milczeniu wąsa.

- Oczywiście obecność Europejczyków w pochodzie nie jest absolutnie konieczna. Prawdopodobnie będziemy musieli się zadowolić Eur- azjatami, o pobielonych kredą twarzach. Ostatecznie tego rodzaju pochody operują symbolami. Natomiast Europejczycy są nam potrzebni do zorganizowania imprezy. - Walter znów urwał, a major znów tylko skubał w milczeniu wąsa.

- Absolutnie niezbędni - oświadczył Walter z energią wyczuwając, że major mięknie.

- Cóż, sądzę... - zaczął niechętnie major. Ale w tej właśnie chwili uratował go reporter eurazjatyckiej gazety, który nagle się pojawił w źle dopasowanym białym garniturze, aby przeprowadzić z Walterem wywiad na temat firmy. Z notesem i ołówkiem w ręku, reporter, który był ze „Straits Timesa”, dostosował krok do przechadzających się panów i Walter, dawszy na razie majorowi spokój, jął opowiadać płynnie o początkach firmy.

Gdy Walter przejął całkowity zarząd nad firmą Blackett i Webb w roku 1930, z uwagi na kryzys stanął wobec poważnych trudności. Osobiście był zdania, że to właśnie ów katastroficzny spadek działalności handlowej dał mu okazję wykazania swoich talentów.

- Gdy handel kwitnie - wyjaśnił raczej majorowi niż reporterowi Jj każdy potrafi zrobić pieniądze, a to z tej prostej przyczyny, że cokolwiek się robi, okazuje się dobre. Dopiero kryzys ujawnia słabe strony firmy.

„Prezes pokonuje wczesne przeszkody” - zapisał młody człowiek ze „Straits Timesa” nie przerywając spaceru.

Z powodu przypadkowego charakteru rozwoju firmy, złożoność interesów była tak wielka, że mogłaby normalnego śmiertelnika doprowadzić do szaleństwa. Lecz Walter nie przywiązywał do tego wagi twierdząc, że wczesne poczynania jego współnika należy uznać za złoty wiek firmy. Gdy stary Webb rozpoczynał swą działalność handlową w roku 1890, był po prostu kupcem towarów kolonialnych. Początkowo przechodziły przez jego ręce ryż, herbata, koprą, korzenie, ananasy, a nawet opium. A także oczywiście ludzie, bo jak wszyscy inni przewoził również kulisów z Południowych Chin na Malaję i Jawę, zazwyczaj jako ładunek pokładowy. Ale głównym jego zainteresowaniem był handel ryżem w Birmie. Dzięki umowie z innymi kupcami z Rangunu mającej na celu utrzymanie niskich cen, jakie płacono chłopom, można było osiągnąć ogromne zyski. Ten rodzaj handlu nie był pozbawiony ryzyka, ze względu na dostawy terminowe i ograniczony transport.

„Duże zróżnicowanie towarów zapewnia firmie znakomity start” - zapisał reporter.

- Tak, to właśnie z tym człowiekiem powinien pan porozmawiać - rzekł Walter, gdy jego wzrok spoczął na starym panu Webbie. Staruszek, prosty jakby kij połknął, siedział w cieniu, koło Ogrodu Orchidei, trzymając się nadzwyczajnie jak na swoje lata. Młodzi dyrektorzy firmy podchodzili do niego kolejno, najwidoczniej według jakiegoś przez nich samych ustalonego porządku, aby wymienić z nim parę zdań. Zdarzało się, że kiedy któryś z młodych ludzi wykrzyknął mu swoje nazwisko do ucha, staruszek odpowiadał ponuro:

— Znałem dobrze twojego ojca. - I w jego stalowych oczach pojawiał się słabiutki błysk. W niewielkiej od nich odległości osobnik o trupim wyglądzie i plecach tak zaokrąglonych, że wyglądały, przynajmniej w odczuciu Waltera, jak początek garbu, przyglądał się zza kwitnącego krzewu temu rytuałowi z szyderstwem. Był to odpychający, chytry So- lomon Langfield, prezes konkurencyjnej firmy Langfield i Bowser, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Choć Walter nie znosił Lang- fielda, był rad, że stary przyjął zaproszenie na garden-party - najwidoczniej ciekawość Langfielda wzięła górę nad jego pragnieniem zignorowania inauguracji obchodów jubileuszu firmy Blackett i Webb, który przypadał na rok czy dwa przed jubileuszem jego własnej firmy. Pozwoliwszy sobie poświęcić chwilę na zakosztowanie przyjemności towarzystwa Langfielda, Walter powrócił do opowiadania o swoim dawnym współniku, lubił bowiem wspominać zreczność, z jaką stary Webb kie

rował interesem w tych pionierskich dniach, kiedy za każdym rogiem zdawała się czyhać kłeska. Na przykład w latach, kiedy w Bengalu występował głód, co się zdarzało okresowo, chłopci w Birmie zatrzymywali swoje zbiory, wiedząc, iż kupcy będą musieli zapłacić im, ile zażądata, lub nie dotrzymać terminów dostaw. Stopniowo jednak sytuacja kupców się poprawiła. Indyjscy lichwiarze przeniknęli do delty, gdzie uprawiano ryż, i nakłaniając wieśniaków do zaciągania pożyczek doprowadzili ich do takiego stanu, że ci już nie mogli zatrzymywać zbiorów w celu uzyskania wyższych cen nawet wtedy, gdy na rynku dawał się odczuwać brak ryżu.

Kroczący obok Waltera major miał ponurą minę. Nie lubił słuchać o ludziach tonących w długach, choćby miało to służyć nie wiadomo jak szczytnym celom. Lecz Walter, coraz bardziej się zapalając, ciągnął dalej:

- Widzi pan, indyjscy lichwiarze w Birmie i na mniejszą skalę tutaj, na Malajach, podziałali na wieśniaków jak mydło na skórę. Zmiękczyli ich dla nas. Oczywiście niektórzy z tych lichwiarzy stali się naszymi konkurentami, ponieważ zakładali własne łuszcarnie ryżu, ale nie było na to rady. Gdyby ci lichwiarze nie przyzwyczaili chłopów do operowania gotówką (co oczywiście oznaczało w praktyce pogrążenie ich w długach) w miejsce wymiany towarowej, kupcy poszliby z torbami, nie wyłączając pana Webba. Jeden nieurodzaj i dostawy terminowe diabli biorą! -1 Walter wytrzeszczył swe niebieskie oczy w udanym przerażeniu. „Uległość wieśniaków ściąga na rynek ryżowy spekulantów grających na zwyżkę!”

- Ależ to straszne - mruknął major. - Chciałem powiedzieć, że nie wiedziałem...

Trzeba było wiele czasu, żeby birmańscy wieśniacy do reszty zmiękli, ale około roku 1893 kupcy z Rangunu mieli już w ręku klucz, który zamykał rynek: a mianowicie kontrolę nad łuszczarniami ryżu w całym kraju.

- Natychmiast - wyjaśnił Walter wykonując energiczny ruch dłonią, jakby coś przecinał - obniżyli cenę nie łuskanego ryżu o połowę. W 1882 płacili sto dwadzieścia siedem rupii, w 1893 tylko siedemdziesiąt siedem. To się dopiero nazywa opanować rynek!

W wyniku tego obniżenia cen tysiące zrujnowanych wieśniaków musiało opuścić kraj. Mieli pecha, bo to właśnie oni mozolnie pracowali nad wytrzebieniem dżungli, co miało jeszcze jedną dobrą stronę, przy najmniej dla pana Webba i innych kupców. Można teraz było wprowadzić tańszą metodę upraw przez najęcie robotników sezonowych, tej niezawodnej „armii pracy”, która, z czym major musi się zgodzić, tak bardzo się przyczyniła do wzrostu dobrobytu ludzkości. Mówiąc otwarcie, nie trzeba już było utrzymywać robotnika i jego rodziny przez okrągły rok, można go było sprowadzać do wykonania określonej pracy, jak sadzenie lub żniwa. Tradycyjne społeczności wiejskie przestały istnieć i Birmańczycy musieli się nauczyć podróżować w poszukiwaniu pracy kulisów lub sezonowej, co z punktu widzenia producenta było systemem znacznie tańszym i wydajniejszym.

- Delta ryżowa została przemieniona w „fabrykę bez kominów”, jak to ktoś określił - podsumował z zadowoleniem Walter, zastanawiając się, co majora gryzie, że wygląda jeszcze bardziej zmartwiony niż zwykle. „Nowoczesne metody zwiększają produkcję, wieśniacy zaczynają podróżować”.

- Ależ to tragiczne! - wybuchnął major nie mogąc dłużej opanować oburzenia. - Wręcz haniebne!

Walter jednakże nie zwracał na niego uwagi, ponieważ nie był to koniec opowieści. Jeszcze i w latach późniejszych kupcy napotykali różne problemy. Birmańczycy z końcem stulecia zostali w przeważającej mierze zredukowani do roli kulisów, ale Hindusi i Chińczycy, którzy lepiej rozumieli zachodnie metody prowadzenia interesów, zaczęli zakładać własne łuszcarnie w głębi kraju i oczyszczać ryż na eksport osłabiając przez to monopol wielkich europejskich łuszcarni w Rangunie. Kiedy w roku 1920 Blackett i Webb oraz inne firmy europejskie próbowały jak zwykle utrzymać niską cenę ryżu nie łuskanego, nie udało im się i musiały przepłacać („Znów te cholerne dostawy terminowe”). Więc w następnym roku firma Blackett i Webb przyłączyła się do innych większych europejskich domów handlowych tworząc słynny Kartel Bullin- gerski, dla uzgodnienia wspólnej polityki zakupu i sprzedaży.

- Cóż, nie było w tym nic nowego. Lecz ktoś... niech mnie pan nie pyta kto!... użył swego wpływu w spółce kolejowej, aby opłaty za przewóz ryżu omielonego były znacznie wyższe od cen przewozu ryżu nie łuskanego. - Walter zachichotał na wspomnienie tego wydarzenia sprzed dwudziestu lat. - A wynik! Łuszcarnie wewnątrz kraju nie mogły już konkurować w eksporcie z Rangunem. Znów wszystko zaczęło się toczyć gładko!

Major mruknął coś niedosłyszalnie, chwytając się za głowę.

- Co pan mówi, majorze? Skargi? Oczywiście, skargi były! Zawsze są. Nacjonaści przedstawili sprawę Zgromadzeniu Ustawodawczemu w roku 1929. Ale ponieważ minęło prawie dziesięć lat, dochodzenie nic nie dało. Ponadto ceny światowe spadły i ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie.

„Dochodzenie w sprawie cen przewozowych ryżu wypada z szyn” - zanotował reporter tłumiąc ziewnięcie. W jaki sposób doszło do tego, że firma Blackett i Webb zajęła się kauczukiem? Musiał powtórzyć pytanie, ponieważ Walter właśnie przyglądał się gościom, aby się upewnić, czy wszystko odbywa się jak należy.

Rytmiczne Urwisy zaczęły znowu grać - tym razem melodię „Pędź, króliczku, pędź”. Na dole, nie opodal basenu, jeden z oficerów zastygł na chwilę z nosem w górze, jakby wywęszył RAF w powietrzu. Lecz Bawington ze swymi ludźmi znajdował się wciąż w bezpiecznym, zawietrznym miejscu koło kortów tenisowych. W chwilę później oficer znów zaczął gawędzić i popijać, choć tym razem jakby trochę czujniejszy. Wśród tego stadka uwijali się w białych kurtkach kelnerzy z tacami z szampanem lub pahits. Joan i Ehrendorf wciąż stali razem, nieco na uboczu. Joan właśnie wyciągnęła swój kieliszek w stronę kelnera niosącego butelkę szampna owiniętą w białą serwetkę. Czy Walterowi się tylko tak wydało, czy Ehrendorf rzeczywiście leciutko się cofnął, gdy Joan podnosiła kieliszek do ust?

Jest to całkowita prawda, wyjaśniał Walter, zwróciwszy się znów do swoich towarzyszy, że ryż był zaledwie jednym z wielu rodzajów produktów tropikalnych, którymi spółka Blackett i Webb zajmowała się od samego początku. Ale raptem kauczuk stał się dla nich najważniejszy. W latach aktywności handlowej pana Webba, to jest od około 1880 do 1930 roku, nastąpił wręcz cudowny eksport kapitału z Wielkiej Brytanii do kolonialnego Imperium. Zadaniem tego kapitału było osiągnięcie wysokich korzyści inwestycyjnych związanych z taniością siły roboczej i powstaniem możliwości nabywania ziem w koloniach. Już przed wojną światową pan Webb zaczął nabywać plantacje, aby zapewnić sobie stałe dostawy produktów, którymi handlował. Jak się później okazało, nikt nie był w dogodniejszej sytuacji niż pan Webb, którego uczciwość była niepodważalna, a firma już nawykła do zarządzania plantacjami, aby skorzystać z ogromnego popytu na kauczuk, jaki powstał z rozwojem motoryzacji. Taki dom handlowy, zamiast ryzykować własne zasoby (przemysł ten był nowy: popyt mógł ulegać wahaniom), mógł czerpać z ogromnego rezerwatu srebra, które nagromadziło się w Wielkiej Brytanii dzięki rewolucji przemysłowej i do tej pory leżało bezproduktywnie. Odtąd firma zaczęła się raptownie rozrastać. Następne lata spędzono na zakładaniu plantacji i odkupywaniu już założonych, a potem rejestrowaniu ich w Londynie jako spółki kauczukowe, wykorzystując reputację firmy Blackett i Webb i jej udziały dla przyciągnięcia inwestorów. W wyniku tych działań firma ukonstytuowała się jako ciało zarządzające znacznej ilości niewielkich towarzystw kauczukowych.

„Rosnąca koniunktura na produkcję kauczuku powiększa zasoby firmy wbrew elastyczności popytu!” - zanotował reporter zapalając się do swego dzieła.

Na początku lat dwudziestych firma Blackett i Webb była już w stanie prowadzić interesy ze spółkami europejskimi w zamian za prawo wyłączności reprezentowania ich w Singapurze. Popyt na kauczuk sprawił, że linie okrętowe specjalizujące się w tego rodzaju frachtach uczyniły firmę Blackett i Webb swoją agencją na Dalekim Wschodzie. Towarzystwa ubezpieczeniowe, wszelkiego rodzaju fabrykanci, w nadziei uzyskania nowych rynków zbytu na Malajach lub w Holenderskich Indiach Wschodnich, firmy inżynieryjne i budowlane poszukujące kontraktów. .. W mgnieniu oka firma Blackett i Webb stała się pośrednikiem we wszelkiego rodzaju interesach obejmujących z Singapuru ogromny obszar, dzierżąc w żelaznym uchwycie ziemię i siłę roboczą o niezmiernym potencjalnym bogactwie. I wszystko, z wyjątkiem może eksportu ananasów i spraw przeładunkowych, kwitło. Blackett i Webb mogli z satysfakcją spoglądać na tych pięćdziesiąt lat spędzonych w służbie dla społeczeństwa.

- Jak ci na imię, synu?

- Malcolm, proszę pana.

- Bystry z ciebie chłopak, Malcolm - rzekł wielkodusznie Walter. - Nie lękaj się pracy, a dojdiesz daleko.

- Dziękuję panu.

Muzyka znowu umilkła. Rytmiczne Urwisy, wyczerpane wysiłkiem w wilgotnym upale, siedziały odpoczywając. Walter nagle zauważył coś dziwnego: stary pan Webb, siedzący samotnie w cieniu drzewa i chwilowo opuszczony przez młodych dyrektorów, nie był sztywny jakby kij połknął, lecz wzruszająco oklapły. Czy to możliwe, że staruszek za

dużo sobie popił w dniu swego jubileuszu? Ale przecież nigdy nie tykał alkoholu. Bardziej prawdopodobne, że był zanadto zmęczony, aby dbać o prostą postawę. A mimo to nie powinno się go zostawiać samego, zwłaszcza dziś.

Walter opuścił majora i już miał podejść do swego dawnego współnika, gdy zdał sobie sprawę, że w innej części ogrodu wypadki przybierają niebezpieczny obrót. Zapewne jeden z oficerów powiedział do generała Bonda, żeby pójść i popatrzeć na grę w tenisa, bowiem generał ze swym stadkiem ruszył właśnie zdecydowanym krokiem w tym kierunku. Byli jednak wciąż w pewnej odległości od kortów, kiedy marszałek lotnictwa Babington i jego podwładni, najwyraźniej podjąwszy decyzję odwiedzenia Ogrodu Orchidei, wychynęli nagle zza żywopłotu. Dwie rywalizujące ze sobą grupy zatrzymały się i patrzyły na siebie spode łba.

- O Boże! - jęknął Walter i pomknął, aby je rozdzielić. Lecz oto znów mu przeszkodzono, tym razem nagłym wołaniem jednego ze służących. Walter przybył w samą porę, by ujrzeć, jak stary pan Webb zsuwa się z fotela i stacza na trawnik. W tej samej chwili pierwsze ciężkie krople opatrnościowej ulewy zaczęły padać na trawnik i robić kręgi na powierzchni basenu, rozpraszając gości, którzy dotąd nie zauważyli, co się stało ze starym panem Webbem. Goście śmiejąc się pobiegli szukać schronienia, a Walter z majorem, wspomagani przez zatrwożoną służbę, zanieśli staruszka do domu.

- Och, nie! Jeszcze nam tylko brakowało śmierci! - lamentowała pani Blackett. - Co za dzień! - Stanowczo przyjęcie nie było udane.

7

Czy pan Webb rzeczywiście nie żył? Początkowo bardzo trudno było się o tym przekonać. Spieszny orszak, który go niósł do domu, aby nie niepokoić gości, podążał okrężną drogą, za rozstawionym na trawniku namiotem z przekąskami. Stamtąd ruszył szybkim krokiem do bocznych drzwi normalnie używanych przez służbę. Ciało pana Webba było nadzwyczaj lekkie mimo swej długości - ten stary kapitalista składał się niemal wyłącznie ze skóry i kości. Major oddał swoją część dzwiganego ciała jednemu z boyów, a sam pobiegł zatelefonować po karetkę.

Wróciwszy niebawem do salonu stwierdził, że pan Webb, który jednak wciąż oddychał, leży na sofie stojącej dziwnym trafem tak blisko swego portretu na ścianie, że jego buty znajdowały się o kilka cali od identycznych butów na portrecie. Ten zbieg okoliczności wywołał u majora dziwne uczucie, że patrzy na ołowianego żołnierzyka, który się przewrócił. Natychmiast odepchnął tę myśl i przepełniony troską, bowiem szczerze lubił staruszka, pospieszył do miejsca, gdzie Walter roz- sznurowywał z szacunkiem buty i zdejmował je z sędziwych stóp. Chcąc się okazać pomocny, major rozluźnił sztywny kołnierzyk staruszka, po czym znów pospieszył zobaczyć, czy nie ma wśród gości lekarza.

Wkrótce jednak przyjechała karetka i wypadki potoczyły się zwykłym torem. Staruszek przeżył poważny atak serca i nie należało oczekiwać, że pożyje długo. Walter powrócił z posepną miną na przyjęcie. Nie było co prosić gości o rozejście się do domów, gdyby nawet miał podobny zamiar, już bowiem zaczęli wychodzić sami. O wpół do ósmej w ogrodzie panowała cisza. Boye skończyli sprzątanie po gościach, dostawcy przekąsek zwinęły swe namioty, orkiestra udała się do miejsca wieczornych występów. Walter nie miał pojęcia, co się stało z resztą rodziny. Podejrzał, że żona poszła się położyć w swojej sypialni. Powiedziawszy jednemu ze służących, aby przysłał do niego Joan, Walter poszedł rozmyślać do swojej ubieralni, skąd miał wspaniały widok na spokojny już teraz ogród.

Ten malutki pokój z wysokim sufitem był jedynym miejscem, o czym wiedziała zarówno rodzina jak i służba, gdzie mu nie wolno było

nigdy bez pozwolenia zakłócać spokoju, tutaj to bowiem usadowiony na poręczy starego fotela przy oknie oddawał się rozmyślaniom. Ten nawyk siadywania zawsze w tym samym miejscu nadał matowej skórze fotela lśniący połysk na poręczy bliższej okna. Przed nim stała komoda z tekowego drzewa z błyszczącymi mosiężnymi okuciami i szufladami, w których zależnie od ich rozmiarów leżały koszule, kołnierzyki czy chustki do nosa. W alkowie przy drzwiach stała ogromna edwardiańska umywalnia, również z mosiężnymi okuciami, a taka głęboka, że śmiało można by w niej wykapać spaniela lub dziecko.

Teraz, kiedy garden-party dobiegło do smutnego końca, Walter miał sporo do przemyślenia i nie za wiele na to czasu. Lada chwila mogli przybyć nowi goście, jeśli ich nie ubiegła wieść o ataku, jakiemu uległ pan Webb. Na dole, w stołowym pokoju, na lśniącym białym obrusie leżało osiemdziesiąt srebrnych nakryć. Obiad ten zorganizowano jako coś w rodzaju prapremiery obchodów jubileuszowych firmy Blackett i Webb, dla zaznaczenia rozpoczęcia jakby kampanii, która osiągnie swój punkt szczytowy w wielkim pochodzie noworocznym anno domini 1942. Na obiad były zaproszone osoby z najbliższych kręgów handlowych i rządowych, by złożyć gratulacje Walterowi, a zwłaszcza staremu panu Webbowi, który właśnie tego dnia obchodził urodziny. Walter kazał sekretarzowi powiadomić telefonicznie możliwie jak najwięcej gości obiadowych o odwołaniu imprezy. Lecz w tej ostatniej minucie niewątpliwie dotarcie do nich wszystkich okaże się niemożliwe. Cóż, tym gorzej. Ci, którzy przybędą, zostaną przyjęci i nakarmieni. Gdyby przyszło zaledwie kilku, każe się nimi zająć Monty'emu. Będzie to dla niego dobra zaprawa.

Walter patrzył przez okno na owady krążące wokół lamp przy basenie i słuchał odgłosów tropikalnej nocy, która niby jakaś wielka maszyna zaczęła burczeć, hurkotać i brzęczeć, a odgłosy te z wolna potęgowały się w miarę pogłębiania się ciemności. I kiedy tak słuchał, rozmyślał nie o nadciągającej śmierci współnika (o tym pomyśli niebawem), ale o małżeństwie córki. Walter był uważany, i sam się uważał, za kochającego ojca. Prawda jednak była taka, że po obiecującym początku, jakim było urodzenie syna, Monty'ego, żona obdarzyła go tylko dwiema córkami, Joan i małą Kate. Czegóż by nie dokonał ze swą firmą, gdyby miał synów! Kochał, oczywiście, swoje córki, lecz zawsze były dla niego niczym kula u nogi. I nie mógł się powstrzymać od gorzkich porównań pomiędzy własną rodziną a rodziną Firestone'ów. Wydawało mu się szczytem niesprawiedliwości, że Harvey Firestone nie tylko założył taki wspaniały interes, lecz jeszcze na dodatek spłodził na własne podobieństwo pięciu energicznych synów, przez co interes rozwinął. Swego czasu Walter żywił nawet bardzo ciepłe uczucia dla Firestone'ów i nawet co pewien czas wysyłał świąteczną kartę na ich rodzinną farmę w Ohio. Ale stosunki między producentami i fabrykantami oziębły, kiedy brytyjscy i holenderscy producenci doszli do porozumienia w sprawie ograniczeń dostaw kauczuku dla ustabilizowania ceny. Firestone i amerykańscy konsumenci przystąpili do politycznego kontraktaku... i teraz, chociaż już i tak za wiele się tego uprawia, obsadzili drzewami kauczukowymi ogromne obszary Liberii! Co można zrobić z takimi ludźmi!

- Cały kłopot z Harveyem polega na tym, że odurzyła go własna potęga oraz fakt, że jeździ na wycieczki z prezydentem, tym politykiem od siedmiu boleści.

Synowie są aktywnymi, córki pasywnymi. To było zawsze, według Waltera, aksjomatyczne. Tym niemniej pozostaje jeden znany od wieków sposób, w jaki córki mogą się stać aktywnymi, a mianowicie przez odpowiednie małżeństwo. Przez rozsądne zamążpójście córka może za jednym pociągnięciem dokonać więcej niż jakakolwiek ilość synów w ciągu całego życia. Ileż to można by osiągnąć, gdyby Joan się spodobała któremuś z młodych Firestone'ów! Walter odtrącił tę myśl ze zniechęceniem - nie wolno mu się zadreżać podobnymi rojeniami.

W ciągu minionych trzech lat w Joan zaszły znaczne zmiany. Stała się dojrzała. Przede wszystkim zaczęła się poważnie interesować firmą, znacznie bardziej niż Monty. Parę razy, gdy Walter potrzebował pomocy w pewnej delikatnej a poufnej sprawie, której nie chciał wyjawiać nawet najbliższemu współpracownikom, Joan okazała się bardzo przydatna wykazując naturalne zrozumienie ważnych kwestii, co musiał przyznać z przyjemnością. Romantyczne bzdury, które przywiozła z pensji, zastąpiło poczucie rzeczywistości. Walter zaczynał żywić nieśmiało nadzieję, że córka może przestanie wkrótce uważać małżeństwo opierające się na logice ekonomicznej za takie bardzo nieodosowne. Co jednak go zmartwiło, to chlustanie winem w twarze młodych ludzi i żądanie, aby wskakiwali w ubraniach do basenów. Trzeba też przyznać, że jak dotąd nie okazała większego zainteresowania odpowiednim młodym człowiekiem... ani starym, jeśli o to chodzi. Jest tylko jeden kupiecki syn, który spodobał się Joan, przypomniał sobie Walter, gdy wstał ze swego miejsca przy oknie i zaczął ubierać się

do obiadu. Był nim młody Langfield z firmy Langfield i Bowser Sp. z o.o., spadkobierca domu handlowego, takiego mniej więcej jak firma Blackett i Webb. Można by pomyśleć, że trudno o kogoś bardziej odpowiedniego. Ale nie. Langfieldowie byli jedyną rodziną trudniącą się handlem, z którą Walter nie pragnął żadnych kontaktów (a przynajmniej możliwych do uniknięcia, bowiem okoliczności zmuszały go do zasiadania z Langfieldem w różnorodnych komitetach). Jakaż ogromna radość wybuchłaby wśród Langfieldów, gdyby się dowiedzieli, jaką klęską skończyło się to garden-party! Doniesiono Walterowi, że już podobno rozpowiadają po całym Singapurze, iż w takim świętowaniu jubileuszu na ponad rok przed terminem jest coś wulgarnego. Walter aż zmarszczył brwi na myśl o obłudnym, jęczącym Uście z wyrazami żalu, jaki otrzyma od starego Solomona Langfielda jutro rano. Ten stary lis zapewne siedzi właśnie nad nim smakując pełne hipokryzji zdania. Walter pociągnął gniewnie za motyle skrzydła muszki i węzeł skurczył się do rozmiarów kamyka. Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Joan.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - Stała na widok nachmurzonej twarzy ojca, a potem podeszła i ujęła go za rękę. - Biedny tato, pewnie martwisz się panem Webbem? Zapomniałam, że to musi być dla ciebie cios po tylu latach.

- Hm? Co? O tak, oczywiście, trochę mną to wstrząsnęło. Był z całą pewnością wspaniałym człowiekiem i bez niego nigdy nie będzie tu tak jak dawniej. Ale przecież jeszcze nie umarł. Hm, chciałem się z tobą zobaczyć w następującej sprawie, Joan... Co to było z tym oblaniem winem Jima Ehrendorfa, o czym mówiła mi matka?

Joan uśmiechnęła się.

- Mama już nagadała? Nic nie było. Naprawdę. Po prostu zaczął mi działać na nerwy. Już nawet o tym zapomniałam.

- Ależ to bardzo miły człowiek - rzekł Walter patrząc na córkę ze zdziwieniem. - Wszyscy go lubią, choć jest Amerykaninem. Zresztą to najmniej amerykański Amerykanin, jakiego znam. Trudno o kogoś bardziej kulturalnego i lepiej wychowanego. Nie rozumiem, co ci strześliło do głowy, żeby chlusnąć na niego winem.

Joan chwilę patrzyła przez okno z szelmowskim, na wpół złośliwym, na wpół rozbawionym wyrazem twarzy, którego Walter nigdy dotąd u niej nie widział. Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem, czemu to zrobiłam. Chyba ciekawa byłam, jak się zachowa, czy się rozgniewa, czy nie. Nie rozgniewał się, oczywiście.

Jest zawsze taki na miejscu. - I dodała ze śmiechem: - Choćbym go nawet kopnęła w nogę, pewnie też najwyżej skrzywiłby się trochę z bólu. Na pewno by mi to wybaczył.

- Więc bardzo cię proszę, abyś na przyjęciach u mnie nie kopała go w nogę i nie robiła mu niczego innego, jeśli o tyra mowa. Musimy się zachowywać odpowiednio do pozycji, jaką zajmujemy w Singapurze. Obiecasz mi to?

Joan kiwnęła głową i uśmiechnęła się patrząc zarazem z zaciekawieniem na ojca, a właściwie na jego szyję.

- Co ty zrobiłaś ze swoją muszką, tato? Bardzo dziwnie wygląda. Daj, to ci ją zawiążę na nowo. Jestem specjalistką od wiązania muszek. Wyćwiczyłam się na Montym.

- Dobrze, ale usiądę, jeśli pozwolisz. - Zadarł brodę do góry patrząc w sufit, podczas gdy palce Joan wprawnie manipulowały przy jego szyi. - Jest jeszcze jedno, o czym chciałem wspomnieć. Widziałaś ostatnio pannę Chiang? Czy nadal ma pokój w Mayfair? Miałem zapytać o to majora.

Vera Chiang była ową Eurazjatką, którą Joan widziała najpierw w Szanghaju przed dwoma laty, aresztowaną przez Japończyków, a potem spotkała na statku płynącym do Singapuru. Przez dwa lata nie dawała znaku życia i Joan zastanawiała się parę razy, co też mogło się z nią stać... ale w końcu była jedynie maleńką kropelką w całej powodzi chińskich imigrantów, legalnych czy nielegalnych, która już od lat trzydziestu zalewała Straits Settlements. Aż tu przed dziewięciu miesiącami Waltera odwiedził w biurze przy Collyer Quay urzędnik Protektoratu Chińskiego. Pewna młoda Eurazjatką, aresztowana w związku z inspirowanym przez Powszechny Związek Pracy strajkiem w porcie singapurskim i skazana na deportację, podała jako swe uwierzytelnienie nazwisko Waltera i Joan. Ponieważ nie było niezbitego dowodu na jej powiązania z kampanią wywrotową infiltrowanego przez komunistów Powszechnego Związku Pracy i ponieważ nazwisko Blackett posiada znaczną wagę w kolonii, postanowiono cofnąć nakaz deportacji, jeżeli Blackettowie zgodzą się za tę dziewczynę poręczyć.

Walter nie lubił poręczać za ludzi, nawet za swoich dawnych pracowników - w najlepszym razie była to strata czasu, w najgorszym, źródło późniejszych kłopotów. Ponadto, on sam nie znał tej dziewczyny, a Joan już dawno przestała się nią interesować. Nade wszystko zaś był bardzo zajęty, a pech chciał, że stary Webb wybrał sobie właśnie ten dzień

Ina jedną ze swoich rzadkich ceremonialnych wizyt na Collyer Quay i już | od godziny siedział w biurze Waltera zabierając mu cenny czas. Gdyby Walter był sam, natychmiast pozbyłby się urzędnika, jednakże w tej sytuacji, dla zachowania form i ze względu na pana Webba, który zdawał się interesować sprawą, poczuł się w obowiązku zapytać, czy wiadomo coś więcej o dziewczynie. Okazało się, że niewiele. Była przyjaciółką czy też konkubiną pewnego sympatyka komunistów, którego deportowano rok wcześniej do Czungcingu, gdzie mimo powiązań komunistów z Kuomintangiem najprawdopodobniej został uśmiercony przez tych drugich. Od tego czasu panna Chiang z trudem zarabia na życie jako fordanserka czy też bardziej prawdopodobnie jako prostytutka, co też w dzisiejszych czasach nie jest zawodem zyskownym. Co zaś najbar- Jdziej podejrzanę w pannie Chiang, oświadczył urzędnik Protektoratu stając się bardziej wymowny i dziwnie przejęty („Kim u licha jest ten bałwan, że śmie tu przychodzić i zabierać mi czas?” - zapytywał siebie kwaśno w duchu Walter), to że jest ona bardzo wykształcona i mówi świetnie po angielsku! Walter, który miał już tego dość, wstał, żeby odprowadzić urzędnika do drzwi mówiąc, iż w takich okolicznościach nie sądzi, aby...

Już od pewnego czasu zdawał sobie sprawę, że pan Webb kręci się na krześle niespokojnie, lecz w tej chwili starszerek wybuchnął gniewem.

- A czemu nie miałyby być wykształcone? Co? Powiedźcie mi! W jaki sposób mają Chińczycy się zjednoczyć, jeżeli nie przez rozwój fizyczny i umysłowy? Powiedźcie! A ty przestań się uśmiechać. Ja już byłem w tej kolonii, zanim przyszedłeś na świat!

Starszerek wstał, pobladł z gniewu. Urzędnik Protektoratu, nieco speszony tym nagłym wybuchem, wymamrotał:

- Ja tylko chciałem powiedzieć, że jak tacy są wykształceni, może to znaczyć, że są agentami Kominternu. - Jednocześnie jego oczy zwięzły się podejrzliwie, jakby się zastanawiał, czy pan Webb przypadkiem nie jest też agentem Kominternu.

- Więc jeśli Blackett nie chce, ja za nią zaręczę! Oto moja wizytówka. Nazywam się Webb. Prześlijcie do mnie tę dziewczynę, jeśli potrzebuje pracy. Ja ją zatrudnię. I jeszcze coś: jedna więcej impertynencja w tym rodzaju, a porozmawiam sobie z twoim zwierzchnikiem, młody człowieku. Pierwsze, czego się musisz nauczyć, to nie trzymać rąk w kieszeniach, kiedy z kimś rozmawiasz, - Po tych słowach pan Webb wyszedł sztywnym krokiem z biura, a urzędnik (który jak się okazało nazywał się Smith) stał z na wpół wyciągniętymi z kieszeni rękami i jakoś dziwnie oblizując usta uśmiechał się do Waltera, i na tym się skończyło.

Vera Chiang, zwolniona od wyroku, zamieszkała u pana Webba w Mayfair. Jej rola była niewyraźna - najprawdopodobniej pomagała swemu pracodawcy werbować pozbawione środków do życia młode kobiety, o których ciała należało zadbać. Z całą pewnością udzielała lekcji angielskiego, bowiem pewnego razu major Archer, udawszy się na przechadzkę na tereny Mayfair, natrafił na nią przypadkiem, jak uczyła grupkę nagich dziewcząt zastosowania słów „robić” i „tworzyć”, o czym poinformował Waltera. Nie trzeba dodawać, że uciekł stamtąd w popłochu. Dziwna rzecz, ale mimo jej dotychczasowej reputacji i obecnego zajęcia, major bardzo ją polubił, tak samo jak pan Webb, choć nigdy nie wspominał o niej w obecności Waltera. Co do Joan, to choć odwiedziła parę razy pannę Chiang i dawała jej sukienki, których już sama nie nosiła, trudno by jej było jako Europejce przyjaźnić się z Eurazjat- ką, choćby nie wiadomo jak bardzo wykształconą. Takie przyjaźnie uważane były za niewłaściwe w klimacie towarzyskim Singapuru. Dziwnym zbiegiem okoliczności suknie Joan pasowały na pannę Chiang idealnie, bez najmniejszych poprawek. Nawet Walter ujrzawszy młodą kobietę w znajomej niebiesko-zielonej sukni, wrzucającą list do skrzynki na rogu ulicy, zwolnił samochód, aby podwieźć córkę, po chwili jednak przyspieszył mamrocząc pod wąsem. Walter w każdym bądź razie nie mógł pozwolić córce na przyjaźń z panną Chiang, zważywszy na jej podejrzanę stosunki z panem Webbem.

Przez cały ten czas Joan nie mogła odpowiedzieć na pytanie ojca z tego powodu, że jej wilgotny, różowy koniuszek języka był przygryziony mocnymi białymi zębami, co stanowiło zewnętrzną oznakę duchowej koncentracji potrzebnej do zawiązania muszki na czyjejszy szyi, zwłaszcza że muszka była skromnej długości, a szyja Waltera przypominała pień dębu. W końcu jednak uporała się z zadaniem.

- Nie widziałam jej od dłuższego czasu, ale sądzę, że jeszcze tam mieszka,

- Rzecz w tym - rzekł Walter wstając i podchodząc do lustra, aby obejrzeć dzieło córki - że nic pragniemy, aby tego rodzaju młoda kobieta pokazywała się w szpitalu przy łóżku pana Webba. Wiesz, jak ludzie plotkują. W razie konieczności zastanowimy się, czy nie dać jej jakiejś sumki, aby trzymała się z dala. Piękna robota, kochanie!

Walter schodził powoli ze schodów, znowu rozmyślając nad umiejętnością Harveya Firestone'a w płodzeniu męskich potomków. Jak on to, u licha, zrobił? Zatrzymawszy się z ręką na poręczy Walter doświadczył owego denerwującego uczucia, jakiego żaden inny biznesmen nigdy w nim nic wzbudzał - że został przewyższony. Nie trzech czy czterech, ale pięciu! To się dopiero nazywa szczęście... a raczej nie, nie tylko szczęście, lecz... jak to wyrazić?... z handlowego punktu widzenia, rzecz właściwa, trudna do zdefiniowania mieszanina szczęścia, oportunistu, biegłości i słuszności. Walter w czasie swej pierwszej wizyty w Akron w Ohio był niemal przytłoczony wrażeniem, że wszędzie wokół niego robi się rzeczy właściwe i słuszne, nie tylko w produkcji męskiego potomstwa, ale i w produkcji opon samochodowych i felg. Być może dobrze się złożyło, że on i Firestone stali na przeciwległych krańcach kauczukowego biznesu.

Walter zszedł kilka stopni niżej i znow się zatrzymał - jego nastrój zwątpienia w siebie minął. W tych dniach popyt na kauczuk wzrósł jak nigdy. Stało się to do pewnego stopnia dzięki wojnie i faktowi, iż brytyjski i amerykański rząd usiłowały zgromadzić zapasy, aby się zabezpieczyć przed ewentualnymi przerwami w dostawach. Ale przede wszystkim dzięki zdecydowaniu kilku ludzi, między innymi Waltera, którzy dowodzili, iż producenci mogą i muszą zgodzić się na ograniczenie ilości kauczuku, który wypuszczają na rynek. Nic było innego wyjścia (prócz bankructwa). Czoło Waltera, które na myśl o Harveju Firestone wyglądało jak morze w sztormową pogodę, przybrało łagodniejszy wygląd, gdy wspomniał, jak niektórzy z niedowiarków dowodzili, że już tego próbowano (mieli na myśli plan Stevensona z lat 1922-28) bezskutecznie. Walter nic dał się zniechęcić. Holenderskie Indie Wschodnie, jedyny kraj dorównujący Malajom w produkcji kauczuku, odmówiły wzięcia udziału w planie Stevensona, dlatego przedsięwzięcie wzięło w łeb. Ale tym razem H.I.W. muszą się dać przekonać! Istnieje tam mnóstwo plantacji kauczuku obejmujących ogromne obszary i nikt, nawal władze holenderskie, nie zna ich rozmiarów. Ody te plantacje zaczną dawać kauczuk i zalewać nim rynki, wówczas cały biznes związany z kauczukiem może upaść! Rzecz więc oczywista, iż kartel producentów musiał utrzymywać sztucznie jakąś rozsądną cenę, aby kauczuk nie stał się bezwartościowy. Walter i jego sprzymierzeńcy musieli zatem przekonywać niedowiarków, wśród których znajdował się Solomon Langfield, i w końcu zwyciężyli.

Zgodnie z nowym planem (mimo swej wcześniejszej przynależności do opozycji zdołał się jakoś zakraść do komisji szacującej) ustalono przybliżone wielkości rocznej produkcji dla poszczególnych krajów - dla Malajów, dla H.I.W., Indochin i innych pomniejszych producentów. Następnie powołano komitet międzynarodowy, który co kwartał decydował, jaki procent całkowitej produkcji tych krajów może zostać dostarczony na rynek światowy bez ryzyka spadku ceny spowodowanego nadmiarem kauczuku. W wyniku tych działań można było przyznać poszczególnym krajom określony tonaż kauczuku i oświadczyć, że w danym kwartale mogą wyeksportować tyle to a tyle i ani odrobiny więcej.

Jeśli wyobrazić sobie kauczuk nie w formie, w jakiej jest eksportowany, a mianowicie solidnych elastycznych płacht przypominających pęki pustych worków po mące, lecz w formie mleczka kauczukowego, które wolniutko wycieka z pni drzew, to Walter i jego koledzy-producenci mieli teraz w ręku kurek regulujący wpływ owego mleczka na rynki światowe, a tym kurkiem były ustalenia restrykcyjne. Wokół kurka gromadzili się spragnieni przemysłowcy, a nikogo z nich tak nie suszyło, jak ludzi z wytwórni opon samochodowych w Ameryce - Goodyea- rów, Goodriche'ów i oczywiście Firestone'ów. Wystarczyło odkręcić kurek, a zaczęli chłęptać do woli rozpryskując mleczko na boki niby coś tak bezwartościowego jak woda. Ale gdy się go zakręcało, usta im zaczynały pękać, a języki puchnąć. Przy dostatecznie wielkim pragnieniu przestawali zważać na cenę.

Walter śledził z zainteresowaniem manipulowanie kurkiem. W latach po kryzysie popyt na kauczuk był niewielki. Ale od 1936 roku, dzięki wzrostowi produkcji samochodów i godnej skąpca ręce manipulującej kurkiem, cena kauczuku zaczęła rosnąć i akcje firm produkujących kauczuk poszły w górę. Pod koniec owego roku przemysłowcy zwrócili się do producentów kauczuku z prośbą o większe dostawy na najbliższy rok. Komitet Restrykcyjny nie zdjął jednak z kurka swej surowej dłoni, a gdy Amerykanie go skrytykowali za brak kauczuku w

roku 1937, odparł chytrze, iż gdyby nawet zwiększył dopuszczalne granice eksportu i tak nie byłoby więcej kauczuku. Czemu? Przemysłowców aż zatkało, kiedy usłyszeli ten paradoks. No, bo po pierwsze, brak rąk do pracy. A po drugie, od lutego do kwietnia drzewa „zimują” i produkcja zawsze spada. Dla tych, którzy się znają na produkcji kauczuku, nie było to bardzo przekonywające, ale czy to ma znaczenie?

Walter zszedł ze schodów i ostatnie ślady nachmurzenia znikły z jego twarzy ustępując miejsca błogości. Bo kiedy plan restrykcyjny wszedł w życie, przyjmowano za rzecz zrozumiałą, że zapasy kauczuku nie mogą spaść poniżej pięciomiesięcznej chłonności rynkowej; a szło o to, aby interesy przemysłowców i ewentualne zwiększenie popytu nie ucierpiały z powodu braku dostaw lub zwłoki w dostawach kauczuku. A należy zważyć, iż Komitet Restrykcyjny nie chciał uczynić z kauczuku narzędzia mordy, lecz jedynie zapewnienie, w grzecznych słowach godnych samego Solomona Langfielda, „godziwej zapłaty pracowitemu producentowi”. Jednakże nikogo w Singapurze nie zdziwiło, a już najmniej Waltera, kiedy zapasy spadły poniżej ustalonej równowartości pięciomiesięcznej chłonności rynkowej i cena zaczęła rosnąć. Wkrótce to, co Komitet uważał za „godziwą zapłatę”, zaczęło również rosnąć. Siedem penów za funt, osiem penów, dziewięć... Plan działał. Walter przyglądał się temu oczarowany. Stojąc u stóp schodów zamachnął się pięścią w powietrze. Miał to być cios prosto w nos Firestone'ów.

Przytomniejąc, Walter zdał sobie sprawę, że Abdul, jego malajski majordom, podszedł cicho i patrzy na niego z zatorskaniem.

- Jakie wieści, panie?

- Dobre wieści, Abdul - odparł Walter zgodnie ze zwyczajem. Malaj-czyk najwyraźniej chciał mu coś powiedzieć. Nadstawił ucha.

- Co takiego, Abdul? Jogin? - Walter wytrzeszczył ze zdumieniem oczy na starego Malajczyka, który służył u niego od lat i dla którego miał sporo uczucia i szacunku.

Majordom wyjaśnił. Ów jogin przyszedł bawić gości. Był to pomysł młodego tuana Blacketta.

- Więc powiedz temu facetowi, żeby się wynosił. To ma być proszony obiad, a nie cyrk.

- Tak jest, tuan. - Staruszek uśmiechnął się lekko, bowiem łączyło go z Walterem wzajemne zrozumienie w kwestii zachowania młodego pokolenia i było całkowicie jasne, że nie mniej niż Walter uważa po* myśl sprowadzenia jogina na przyjęcie obiadowe za oburzający.

58

- Albo nie, zaczekaj, Abdul. Niech lepiej Monty sam podejmie decyzję odnośnie jogina. Nigdy się niczego nie nauczy, jeżeli wciąż będziemy mu mówili, co ma robić. Niech on dzisiaj pełni rolę gospodarza. Gości zapewne będzie zaledwie kilkunastu, więc można nakryć w pokoju śniadaniowym. Powiedz mu z łaski swojej, że ja się pokażę dopiero, jak zjedzą. Muszę popracować. - A kiedy stary sługa odchodził, Walter dodał: - Niechaj się chłopak uczy na własnych błędach, Abdul. Obawiam się, że nie ma innego sposobu, nie ma.

Siedząc samotnie w swoim gabinecie Walter ponownie zamyślił się nad swoją rodziną, tym razem nad synem. Monty był energiczny i pracowity. Zrobił dobrą robotę reorganizując administrację ich włości w czasach ponownego rozwoju interesów po kryzysie. Obecnie też robił dobrą robotę przeprowadzając przesadzanie drzew, bardzo często mimo sprzeciwu zarządców plantacji, którzy nie rozumieli sensu tych poczynań w czasie ogromnego popytu na kauczuk. Miał nawet smykałkę do interesów, która w miarę nabywania doświadczenia mogła się jeszcze rozwinąć. Ale chłopak był narwany, trudno inaczej to określić. Od czasu do czasu występował z tak dzikimi pomysłami, że aż człowiek zastanawiał się, czy on w ogóle cokolwiek rozumie. Jogin do zabawiania gości przy obiedzie! I to w taki dzień! Prawda, skądże mógł wiedzieć, że pan Webb zasłabnie, ale wszystko jedno! I to w dodatku, kiedy ledwie zdążyli ochłonać po tej chińskiej orkiestrze, którą uparł się sprowadzić na garden-party.

Ponadto Monty przestał już być, prawdę powiedziawszy, chłopcem. Skończył trzydziestkę. Jeśli miał w ogóle się czegoś nauczyć na własnych błędach, to najwyższy czas, aby wreszcie zaczął. Walter nie mógł się powstrzymać, aby go nie porównać, niestety na niekorzyść, z pięcioma młodymi Firestone'ami, których kiedyś widział na fotografii-wszyscy gładko uczesani i eleganccy w identycznych ciemnych garniturach. I wszyscy niechybnie świetnie zaznajomieni z treścią dzisiejszego „Wall Street Journal”. Żaden z Firestone'ów na pewno nie zaprosiłby na przyjęcie fakira.

Monty miał pewne zalety, ale cierpiał na poważny brak rozsądku. Być może nie miałoby to wielkiego znaczenia, gdyby ograniczało się do dziwacznych pomysłów zabawiania gości, ale niestety tak nie było. W roku 1936 wysłano Monty'ego na kilka miesięcy do Londynu, aby jako kierownik tamtejszego biura zapoznał się z europejską stroną działalności firmy, on zaś uwikłał firmę Blackett i Webb w coś, czego każdy

59

człowiek ze zdrowym rozsądkiem zdołałby uniknąć. Otóż pod koniec roku Monty poparł jej autorytetem ogromną falę spekulacji powstałej wśród kupców i maklerów z branży kauczukowej na Mincing Lane. Analizatorzy rynku z Mincing Lane, spoglądając w mglistą przyszłość, dostrzegli nie tylko grozący brak kauczuku, ale też bezustanny wzrost cen (w każdym bądź razie mówili, iż dostrzegli). Raporty maklerskie, oświadczyli, dowodzą niezbicie, iż Komitet Restrykcyjny postanowił podnosić ceny w nieskończoność - ostatecznie nie miało to większego znaczenia dla przemysłowców, którzy mogli po prostu obciążyć nadwyżkami klientów. A choćby nawet Komitet postanowił nie zwiększać ceny, dobrze wiadano na Mincing Lane, jeśli nie na Malajach, że nie można wyprodukować takiej ilości kauczuku, by sprostać wyższym niż ustalone przez Komitet normom ilościowym dopuszczanego na rynek surowca. Ponadto, brak było rąk do pracy. Znany też był fakt, że kiedy miejscowi właściciele drobnych plantacji, którzy produkują połowę malajskiego kauczuku, otrzymują większe sumki, co przy obecnych większych cenach musi nastąpić, mają przemiły zwyczaj rzucania narzędzi i zamiast wykorzystać koniunkturę, przespiają całe dni w hamakach. Więc tak czy inaczej niedobór kauczuku był nieunikniony. Istniała zatem okazja szybkiego dorobienia się majątku.

Otóż właśnie ze strony maklerów rynkowych należy tego rodzaju zachęty oczekiwać. Ostatecznie taki makler musi z czegoś żyć i Walter był ostatnim z ludzi, którzy mieliby mu to za złe. Spokojny rynek nie przynosi maklerowi zbyt wielkich korzyści - on chciałby, aby ceny wznosiły się lub spadały (obojętne, jedno czy drugie, byle tylko nie były stałe). A jeśli rynek nie fluktuuje samorzutnie, należy mu w tym dopomóc. Wystarczy jedna chłodna noc w Brazylii i mróz niszczy plantacje kawy. Wystarczy huragan na Jamajce i trzeba się pożegnać z bananami. Normalna sprawa. Trudno, aby Walter oczekiwał od maklerów rynku kauczukowego, iż będą postępowali inaczej tylko dlatego, że mają do czynienia z kauczukiem. Ale że Monty udzielił autorytetu firmy Blackett i Webb dla poparcia tak przebiegłej gry, było w oczach Waltera głupotą graniczącą z postępkiem imbecyla. Może na rozsądnym handlu akcjami kauczuku zarobił trochę pieniędzy dla siebie, a może nawet sporo, lecz jeśli tak, najwidoczniej stracił je w grach hazardowych. Ale nie po to został wysłany do Londynu. Fluktuujące rynki nie służą producentom, bo sztucznie wywołanej zwyczajnie towarzyszy zawsze jej ppnury cień - zniżka. A zniżka cen stwarza producentowi więcej trudności niż przyzniosła korzyści wcześniejsza podwyżka. Ale naprawdę gniewało Waltera coś innego, coś mniej uchwytnego - szkoda uczyniona dobremu imieniu firmy Blackett i Webb.

Walter wstał i przeciągnął się ze znużeniem. Po szmerze głosów z innej części domu zorientował się, że goście już przyszedli. Miał nadzieję, że Monty będzie się zachowywał z umiarkowaniem, odpowiednio do okoliczności. Wkrótce on sam pokaże się tam na chwilę. „Biedny, stary Webb!” - pomyślał siadając przy biurku i zaczął czytać plik telegramów, który nagromadził się przez popołudnie pod jego nieobecność. Lecz gdy tak siedział, gdzieś w głębi jego zaprzątniętego umysłu przemknęła niepostrzeżenie raz czy dwa niepokojąca myśl: „Komu pan Webb pozostawi swoje udziały w firmie?”

Po godzinie poczuł głód i przypomniał sobie, że od południa nic nie jadł. Z pokoju śniadaniowego doszedł go brzęk sztućców i słabe odgłosy pogodnej rozmowy. Jasne było, że nie na wszystkich zaciążył nadciągający kres pana Webba. Nie chcąc przyłączać się do tego pogodnego towarzystwa poszedł w stronę pokoju stołowego w nadziei, że może pozostawiono tam coś do jedzenia.

Wchodząc do pokoju stołowego doznał wstrząsu, gdyż służba, widać niepewna co do układu wieczornego przyjęcia, pozostawiła wszystko tak, jak było. Długi stół był wciąż nakryty srebrną zastawą na osiemdziesiąt osób. Wzdłuż całego stołu stały na przemian wazon z kwiatami i srebrne lichtarze, a przy każdym nakryciu mała rodzinka kieliszków, którymi miano wznosić toasty za pana Webba, obchodzącego swoje urodziny, za Waltera, za przyszłe powodzenie firmy. Lecz tym, co tak bardzo wstrząsnęło Waltera, były cztery głowy wielkości naturalnej z ciasta i lukru, z grubsza uformowane, ale rozpoznawalne, ustawione na bocznych stolikach w czterech rogach pokoju. Dwie z tych głów poznał natychmiast: jedna przedstawiała jego, dobrotliwego, z wielkim podbródkiem, policzkami nienaturalnie poróżowanymi ko- szyniłą, z łysiną z lukru. Druga, bardziej podobna, miała wychudłe i pełne godności rysy starego pana Webba. Walterowi zdało się, że wokół ust dawnego współnika błąkał się chłodny, cyniczny uśmiešek, i przez chwilę nieomal wierzył, iż przez ten umysł z owocowego ciasta za jasno- błękitnymi oczyma z cukru przemykają myśli: „Myślałeś, że się mnie wreszcie pozbyłeś, co?”

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia Walter poszedł z uśmiechem, żeby przeczytać napis z lukru, który obwieszczał, że owe wyroby cukiernicze

zostały zamówione z okazji urodzin pana Webba oraz inauguracji obchodów jubileuszowych firmy przez jej chińskich pracowników, którzy złożyli się na ten cel, jak domyślał się Walter, być może za taktowną zachętą wydziału reklamy, ale tym niemniej... Rzecz była zaskakująca, lecz miła, ze względu na kłopoty z robotnikami z kolonii. I pomyśleć, że jeszcze kilka tygodni temu praca w magazynach kauczuku ustala i cały Singapur trząsał się przed strajkiem powszechnym! „A kimże są dwaj pozostali?”

Jeden najwyraźniej miał być Churchillem, ale Churchillem ze skośnymi oczyma i wschodnim wyglądem, ewidentne dzieło chińskiego cukiernika. Chwilę dłużej trwało rozpoznanie czwartej głowy, o grubych rysach, wystających kościach policzkowych, ustawionej do Churchilla po przekątnej, lecz w końcu Walter zdał sobie sprawę, że musi to być Czang Kaj-szek. Jaki patriotyzm zachowali ci Chińczycy za morzami i, zważywszy wszystko, jak dobrze są zorganizowani!

W ciągu minionych trzech lat, kiedy na kontynencie to tu, to tam grzmiało i huczało jak odległa burza od starc japońsko-chińskich, na* stało wielkie rozmnożenie tak zwanych Towarzystw dla Poparcia Walki z Wrogiem, z których nie wszystkie, niestety, pozostawały pod kontrolą Kuomintangu. Przejęto złowieszcze listy wysyłane przez kurierów z Szanghaju do Malajskiej Partii Komunistycznej (według Biuletynu Połączonych Służb Wywiadowczych), które głoszą, iż „zwycięska walka o Chiny stanie się uwerturą dla ruchu emancypacyjnego w koloniach”. A memorandum Wydziału Specjalnego Policji Straits Settlements ostrzegało przed wpływami, jakie te towarzystwa mogą roztoczyć wśród Chińczyków na Malajach, dzięki ich antyjapońskiemu nastawieniu. Z pozoru nieszkodliwie zajęte gromadzeniem funduszy dla poparcia chińskiej armii wiele z tych organizacji „Ocalenia Narodowego” i „dla poparcia” były w rzeczywistości kierowane przez komuni* stów.

Nie znalazłszy nic do jedzenia i nie chcąc przerywać toku myśli wezwaniem kogoś z boyów, Walter odłamał ucho z głowy pana Webba i zaczął je żuć spacerując po pokoju. Iluż to jego własnych pracowników, którzy być może złożyli się na te wykonane z ciasta podobizny znienawidzonych imperialistów, było potajemnie członkami jakiegoś Zamorskiego Stowarzyszenia Chińskiego dla Poparcia Walki z Wrogiem i Ocalenia Narodowego lub jeszcze dziwniej mieniących się organizacji jak Młoda Krew i Żelazny Korpus Tępienia Zdrajców (ta

ostatnia, mimo swej mrożącej krew w żyłach nazwy specjalizowała się w niezbyt wojowniczych akcjach, jak na przykład smarowanie dziegciem witryn sklepów, których właściciele sprzedawali złom żelazny Japończykom), nie wspominając bardziej konwencjonalnych gangów, jak Towarzystwo Nieba i Ziemi. Niepokoiło Waltera, że tak mało wie, komu są naprawdę wierni jego pracownicy. „W każdym razie nie nam! Albo tylko wtedy, gdy im to odpowiada”. Strajki, które przez całe lato roku 1940 trzęsły w posadach kolonią, były ponadto lokalnym przejawem złowróżbnego ocknięcia się robotników na całym Dalekim Wschodzie. Szanghaj w tej właśnie chwili znajdował się w kleszczach strajku transportowców, który w miarę rozrastania się rozsiewał zarodki buntu daleko w krąg. Najpierw dotarły do pozostającej w rękach brytyjskich Szanghajskiej Spółki Tramwajowej, potem przerwała pracę chińska spółka przewozowa Omnibus. Wiatr przeniósł zarodki z Osiedla Międzynarodowego do Koncesji Francuskiej, gdzie się zagnieżdżyły wśród pracowników Compagnie Française de Tramways et d'Edairage Electrique de Shanghai.

- I zanim się opamiętam, strajk ogarnie wszystko! - Jeden z telegramów, który Walter przejrzał przed kilkoma minutami, przyniósł wiadomość o spotkaniu zorganizowanym dwudziestego siódmego przez Szanghajski Generalny Związek Robotniczy, na którym było reprezentowanych ponad dziewięćdziesiąt różnych związków zawodowych. Związek pracowników przemysłu gumowego, związek pracowników restauracji, związek pracowników włókiennictwa, związek pracowników oczyszczania, związek pracowników wytwórni sosów, związek kulisów portowych... i tak dalej, i tak dalej. Szanghaj mimo swej niewiarygodnie ryzykownej sytuacji politycznej był dla firmy Blackett i Webb ważny. Lecz Walter bardziej się martwił ogólnymi implikacjami tych strajków, bo za Szanghajem zwykle szedł cały Daleki Wschód. Trzeba przyznać, że robotnicy w Szanghaju byli rzeczywiście w rozpaczliwej sytuacji. Mimo to Walter nie wątpił, że zarodki mogą przelecieć nad Południowym Morzem Chińskim na Malaje i do Singapuru.

Walter nagle zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju: znów dostrzegł chłodny, cyniczny, nawet gorzki wyraz w lukrowych rysach twarzy swego dawnego współnika, jakby mózg z owocowego ciasta myślał: „Za moich czasów to by się nigdy nie mogło zdarzyć!” Cóż, to prawda. Gigantyczny świat pracy Malajów był bardzo potulny za czasów starego, kiedy to niemal bezustannie kotwiczyły na redzie statki z żałosnymi,

I cuchnącymi, najętymi kulisami, którzy zajmowali każdy cal wolnej przestrzeni. W tamtych czasach zawsze można było znaleźć tanią siłę roboczą. To kryzys w końcu spowodował zmianę. Stanąwszy wobec problemu ogromnej liczby bezrobotnych Chińczyków, rząd wydał sporo milionów dolarów na repatriację ich do Chin - ten przejaw hojności był wyrazem zimnej kalkulacji, że gdyby Chińczycy pozostali na Malajach, koszty opieki społecznej wyniosłyby znacznie więcej. Lecz nie wyszło to na dobre pracodawcom.

W 1933 roku Rozporządzenie w Sprawie Cudzoziemców zadało następny cios pracodawcom, bowiem dało rządowi władzę ograniczania liczby cudzoziemców przybywających do kolonii. Chociaż intencją wydania tego rozporządzenia było raczej zahamowanie napływu komunistycznych wywrotowców przybywających z Chin niż ograniczenie zasobów siły roboczej, tym niemniej wywarło taki właśnie skutek. Koszta rekrutacji w Chinach plus zwiększone ceny biletów okrętowych sprawiły, iż taniej było rekrutować robotników na miejscu, niż sprowadzać statkami najemnych kulisów. Jednocześnie rząd Indii, w przekonaniu, iż malajscy biznesmeni wyzyskują jego obywateli, podjął kroki zmierzające do ograniczenia napływu hinduskich robotników na Malaje.

A rezultat? Na Malajach i w Straits Settlements zaczęły wybuchać coraz częściej strajki. Dostawy taniej siły roboczej zostały ograniczone. Wielu pracowników rolnych i osadników na plantacjach ananasów, dotąd izolowanych od innych robotników, zdołało nabyć tanie japońskie rowery - i w ten sposób rozproszeni robotnicy rolni mogli się spotykać i stosować zbiorowy protest przeciwko niskim płacom.

„A my nawet nie mieliśmy tyle rozumu, żeby im sprzedawać te cholerne rowery!” - pomyślał Walter uśmiechając się wymuszenie do podobizny pana Webba.

Miało miejsce jeszcze inne wydarzenie. Mianowicie pozbawione pracy z powodu upadku przemysłu jedwabniczego, a zarazem nie podlegające ograniczeniom Rozporządzenia w Sprawie Cudzoziemców, Chinki przybywały teraz tłumnie, gdy tymczasem przed kryzysem, poza kobietami sprowadzanymi zza granicy do burdeli, było ich bardzo niewiele. Wynikiem tego było ich zagnieżdzenie się w kolonii. Kobiety zaczęły zajmować się gotowaniem i zakupem żywności, czym do tej pory trudnili się najemcy. Robotnicy, którzy niegdyś byli wykorzystywanymi nomadami wędrującymi z jednej plantacji lub kopalni cyny do drugiej, zaczęli się osiedlać i żądać praw obywatelskich. Migdałowe usta starego Webba mogłyby się skrzywić z pogardą na to, jak jego młodszy wspólnik pozwolił, by inicjatywa przeszła w ręce pracowników, ale czy zdołałby sam temu zapobiec?

Jeden z pierwszych strajków, choć wyodrębniony, był najpoważniejszy ze wszystkich. Zimą 1935 roku górnicy opanowali kopalnię węgla w Batu Arang i ustanowili samorządną radę. Proszę, proszę, rada robotnicza w samym środku brytyjskich Malajów! Na wieść o tym Walter poczuł się jak ogłuszony. Oczywiście, nie trwało to długo. Bo gdyby nawet ta kopalnia w Batu Arang nie stanowiła krytycznego ogniwa dla elektrowni i kolei, nie można było pozwolić, aby świeciła złym przykładem dla reszty robotników na Malajach. Policja bezzwłocznie zaatakowała ją i odzyskała. Lecz ten nierozważny czyn górników (jakże musieli być naiwni sądząc, że ujdzie im to na sucho!) był jak nagły poryw wiatru, który wzbija w powietrze puch ostu i mleczka. W odpowiednim czasie nasionka zdołały zakiełkować i wszędzie zaczęły wyrastać nowe strajki. W następnym roku przyszła kolej na zakłady przetwórstwa ananasów. Minął jeszcze jeden rok, a strajki wybuchały po raz pierwszy na plantacjach kauczuku. I co mógłby staruszek zrobić, by temu zapobiec? Absolutnie nic.

„Czasy się zmieniły. Oto, czego stary nie chciał nigdy zrozumieć. Myślał, że wszystko winno trwać tak, jak było. Ale czasy się zmieniły”.

I znów niepokojąca myśl pojawiła się w głowie Waltera: komu pan Webb pozostawi swoje akcje w firmie?

- Biznesmen powinien iść z duchem czasu - rzekł głośno. Po czym oderwawszy drugie ucho pana Webba, dla symetrii a także dla zaspokojenia apetytu, żując je swymi mocnymi żółtymi zębami Walter udał się na poszukiwanie syna i gości.

Walter nie usłyszał żadnych głosów, gdy szedł korytarzem do pokoju śniadaniowego, i poczuł przyływ nadziei. Pokój istotnie okazał się pusty, chociaż w powietrzu wciąż wisiał aromatyczny zapach cygar. Czyżby goście odeszli na znak szacunku dla starego pana Webba? Jeżeli tak, to tym lepiej, Walter bowiem czuł się zmęczony po trudach dnia. Lecz jeden z boyów sprzątających ze stołu wyprowadził go z błędu. Towarzystwo udało się do ogrodu, aby podziwiać talenty jogina. Walter ruszył do nich trzaskając ze zdenerwowania palcami. „Niech więc młody dureń uczy się na własnych błędach!”

Wychodząc w ponurym nastroju z rozkosznie chłodnego domu w skwarną noc Walter zobaczył, że niewielka grupka ludzi, mężczyzn w białych smokingach, pań w długich sukniach wieczorowych, zebrała się pod tym samym portykiem, z którego po południu śledził przebieg garden-party. Po obu stronach portyku skrzydła kamiennych schodów, połyskujące w mroku bielą, opadały zygazkiem ku trawnikowi, na którym tuż pod balustradą wzniesiono na drewnianych kozłach platformę do popisów jogina. Z góry na jogina skierowano dwa potężne reflektory, w których światło kłębiły się owady. Goście przyglądali mu się z zażenowaniem. Walter wszedł między nich, ściskając dłonie i odpowiadając w skąpych, pełnych powagi słowach na wyrazy żalu z powodu zasłabnięcia pana Webba. To prawda, oczywiście, mruczał, że stary dżentelmen dobrze przeżył życie. Mimo to trudno się oprzeć wrażeniu, że to kres epoki. Słowom Waltera, pełnym spokojnej godności, jakiej wymagała sytuacja, towarzyszył o zgrozo dziwny dyszkant z dołu, jakieś monotonne paplanie w języku, którego nikt nie potrafiłby zrozumieć, przerywane od czasu do czasu niezrozumiałą angielszczyzną. Doprawdy, było to wysoce nie na miejscu.

Nagle od strony trawnika, gdzie najwidoczniej czynił ostatnie przygotowania, nadbiegł skacząc po schodach Monty. Zacierał ręce i chichotał. Na jego widok serce w Walterze zamarło - chłopak był taki rozochocony!

- Jesteś, tato. Właśnie miałem po ciebie iść. Bałem się, że stracisz to widowisko. Facet jest naprawdę fantastyczny. Robi zdumiewające rzeczy.

Walter odprowadził syna na bok i rzekł cicho:

- Chcę, żebyś skończył z tym jak najszybciej. Bardzo wątpię, czy to w ogóle był dobry pomysł, zwłaszcza teraz, wobec tego, co się stało z panem Webbem, doprawdy, chyba oszalałeś.

- Och, słuchaj, tato... - protestował Monty.

Lecz Walter zignorował go i mówił dalej:

- Można by sądzić, że zwykły zdrowy rozsądek powinien ci to powiedzieć. .. Jak zareagują Langfieldowie, kiedy się o tym dowiedzą? Na pewno zaraz zaczną rozpowiadać, że jeszcze ciało pana Webba nie ostygło, a Blackettowie już tańczą na jego grobie!

Walter w podnieceniu powiedział to głośniejszym głosem niż zamierzał i szczecina podniosła mu się na plecach pod koszulą... Kilku gości zaczęło zdradzać oznaki zaniepokojenia tą prowadzoną szeptem nagłą sprzeczką między ojcem a synem. Walter zdał sobie sprawę, że nawet Monty spogląda jakoś dziwnie.

- W każdym razie pozbydź się tego faceta jak najszybciej - rzekł ostro.

Monty zeszywniał.

- Dobra, tato. Dobrze już, dobrze! - mruknął i przemknął szybko do balustrady, pod którą jogin demonstrował teraz swoje umiejętności. Walter nadal przesuwał się pośród gości, rozmawiając z nimi z powagą, jakby tuż poza zasięgiem wzroku, pod portykiem, działo się lub miało się zdarzyć coś niestosownego. A rozmawiając znów dumał ponuro, ile to szkody wyrządziły firmie różne pomysły Monty'ego, jak chociażby zamieszki wśród robotników na plantacjach w roku 1937, które zostały spowodowane, przynajmniej pośrednio, tym wielkim sztucznym boorem kauczukowym, który wzniesił Monty i biuro londyńskie jesienią 1936 roku.

Otóż sprawa była prosta: szybki wzrost cen kauczuku i zysków pracodawców nie uszedł, niestety, uwadze chińskiej siły roboczej. W Selan- gor i Negri Sembilan zaczęto uskarżać się na niskie płace. Na plantacjach Bangi w Ulu Langat zarządca próbował pozbyć się Chińczyków i zastąpić ich Jawajczykami. W odpowiedzi na to robotnicy na kilku innych plantacjach porzucili pracę. Ponadto, robotnicy z innych okręgów wkrótce zaczęli się do nich przyłączać, ponieważ robotnicy z plantacji Connemara, którzy sporządzili listę żądań dla Protektoratu Chińskiego

go, ruszyli z tą wieścią na wszystkie strony na rowerach, tych samych tanich japońskich rowerach, które firma Blackett i Webb za późno zdecydowała się importować w miejsce kosztowniejszych wyrobów z Birmingham i Coventry. Wkrótce ponad dwadzieścia tysięcy Chińczyków zaprzestało pracy.

A wszystko to było zupełnie niepotrzebne. Spokojna atmosfera Malajów została zachwiana. Zaczęły się nieprzyjemne sceny. Chińscy detektywi wysłani do wytropienia komunistów wśród strajkujących, idące fixe Protektoratu Chińskiego, zostali poturbowani. Rozbijano im głowy. Wkrótce ponad stu robotników znalazło się za kratkami i strajkujący dodali do swego pierwotnego żądania, wzrostu stawki dziennej o dziesięć centów, dwa nowe: zwolnienia aresztowanych i odszkodowania za uszkodzenie ciała, co w końcu musiało pociągnąć za sobą utratę prestiżu rządu.

A czemu było niepotrzebne? Ponieważ ów „niemal stały” boom kauczukowy, który Monty i analitycy rynku widzieli przez swe teleskopy pod koniec 1936 roku, okazał się mirażem, o czym każdy człowiek na Malajach i w Holenderskich Indiach Wschodnich mógł im powiedzieć. Cena kauczuku, śmiesznie wyśrubowana przez roszczenia maklerów, spadła, czemu dopomogła recesja w Ameryce. Spadła sprzedaż samochodów i z wiosną 1938 roku cena kauczuku wynosiła około pięciu penów za funt. Ledwie strajkujący wywalczyli wzrost płacy z sześćdziesięciu na siedemdziesiąt pięć centów za dniówkę, w wyniku zajadłych walk w całym kraju, a już zaczęto zwalniać robotników i znów obniżać płace. Lecz ten młody dureń Monty, nieczuły na wpływ szalonych fluktuacji cen na malajskich robotników na plantacjach (a nawet na całą strukturę społeczną Malajów, bo kiedy coś takiego raz się zacznie...), widział jedynie szansę szybkiego zysku. Zamiast zdusić te spekulacje maklerów, jeszcze ich podbechtywał. I to jest, myślał Walter z coraz bardziej posępną twarzą, następny przykład zmieniania się czasów. „Dzisiejsi młodzi ludzie nie mają poczucia odpowiedzialności za kraj!”

Jogin, jak stwierdził Walter patrząc na niego w dół z niesmakiem, był wysokim, chudym indywiduum, najwyraźniej Pendżabem. Ubrany tylko w białe dhoti i złoty turban. W środku turbana wielki biały klej-, not, najpewniej kawałek rżniętego szkła, lśnił w blasku reflektorów. Aczkolwiek jogin był chudy, nagi tors miał niepokojąco wyposażony | kształtne kobiece piersi. W pewnej odległości na prawo od zaimprowi zowanej sceny widać było kebuna Blackettów krzątającego się wokół płonącego ogniska.

Tymczasem pomocnik jogina, błądy Eurazjata ze złotymi zębami i w wyswiechtanym czarnym wieczorowym garniturze, chodził pomiędzy gośćmi podając do obejrzenia pudełko z pinezkami i tandetną filiżankę do herbaty. Goście brali je niepewnie w palce. Następnie Eurazjata rzucił pudełko joginowi, który je złapał, otworzył i zaczął z dość posępną miną wkładać po jednej pinezce do ust i łykać. Goście nadal przyglądali mu się z uczuciem zażenowania. Jedynym dźwiękiem, jaki było słychać, to zniecierpliwiony trzask palców Waltera.

Pudełko z pinezkami było duże i jogin zdawał się nie spieszyć, jakby smakując każdą z osobna. Wkrótce goście zaczęli na siebie popatrywać, jakby chcąc powiedzieć, jak tu straszliwie gorąco i czy to długo jeszcze będzie trwało? Niektórzy panowie, zwłaszcza ci, którzy cenili sobie czas, spoglądali z zafascynowaniem na zegarki. Wpływowy dyrektor jednej z firm produkujących w Singapurze opony odwrócił się nawet od balustrady.

- Tak - przyznał Walter szybko biorąc go pod ramię i zmuszając do przechadzki tą samą drogą, którą przemierzał tam i sam wcześniej tego dnia I to musi być wstrząs dla tych, którzy, jak pan i ja, znali go, kiedy był młodszy. Lecz w jego wieku... - wzruszył ze smutkiem ramionami.

- Obawiam się, że minie trochę czasu, nim zobaczymy podobnych mu ludzi - oświadczył dyrektor firmy produkującej opony przybrawszy wyraz grobowej powagi i znów zerknął na zegarek.

I podczas gdy jogin flegmatycznie łykał pinezki, obaj panowie zaczęli bezładnie dyskutować o tajemniczych, spijających mleczko kauczukowe ślimakach, które jakoby pojawiły się na niektórych odosobnionych plantacjach. Żaden z nich nie był skłonny brać owych ślimaków poważnie. :

- Mimo to - rzekł Walter - lepiej, żeby się o tym nie dowiedziano na Mincing Lane, bo jeszcze posłużą się tymi nieszczęsnymi stworami do nowej rundy spekulacji. - Umilkł przygnębiony, wspomniawszy skutki ostatniego spekulacyjnego boomu. Ci spekulatorzy działają na korzyść tych, którzy podobnie jak komuniści pragną wzniecić rozruchy w kolonii. Ileż to strajków widział Singapur w tym roku! Dokerzy strajkowali trzy miesiące... w czasie, kiedy transport kauczuku i cyny był sprawą najwyższej wagi, nie tylko ze względu na zysk, ale i na toczącą się woj-

Ledwie ten strajk ucichł, a wśród gwałtownych buntów rozpoczął PT drugi, w fabryce Firestone'a, i wtedy zamieszki już się rozprzestrzeniły wszędzie. Kauczuk leżał unieruchomiony, powstało katastrofalne Inagromadzenie się owoców u szczytu sezonu, ponieważ krajacze ananasów w przetwórnich zastosowali taktykę żółtego tempa, a na domiar złego rozgorzała walna bitwa między policją usiłującą aresztować przywódców w fabryce Tai Thong i robotnikami uzbrojonymi w kije, kamienie i butelki po wodzie sodowej.

Mimo tych głów z ciasta Walter zaczął żywić obawy co do lojalności swoich robotników. Co będzie, jeśli jubileusz firmy Blackett i Webb zostanie wybrany do celów propagandowych nie tylko przez rząd, aby wykazać Ciągłość Dobrobytu pod brytyjskim panowaniem, ale również przez komunistów dla zademonstrowania wyzysku i niezadowolenia robotników? Myśl o pochodzie ciągnącym się na wzgórzu pod Siedzibę Władz pośród wyjącego tłumu była bardzo niepokojąca. Jakże by się śmiali Langfieldowie!

- Dokąd oni zabierają Margaret? - zapytał nagle towarzysz Waltera, ponieważ eurazjatycki pomocnik jogina błyskając złotymi zębami wybrał spomiędzy gości właśnie jego żonę i zacierając dłonie prowadził ją po schodach do miejsca, gdzie jogin, skończywszy jeść pinezki, czekał z ponurą miną. W połowie schodów zawahała się i pewnie by zawróciła, gdyby nie nadbiegł Monty, aby ją uspokoić. Szczecina na plecach Waltera znowu zaczęła się jeżyć pod koszulą.

Eurazjata wyjaśnił przymilnym tonem, że pragnie tylko, aby pani zbadła jamę ustną jogina. Na dany znak jogin otworzył szeroko usta. Eurazjata szybko schwycił wzdrgające się palce damy i wetknął je w owe rozwarłe usta. Wyszarpnęła szybko rękę. Nie namacała żadnej pinezki. Monty, nie posiadając się z zachwytem, spojrzał promiennie ku balustradzie. W silnym świetle reflektorów wyglądał na bardziej podnieconego niż kiedykolwiek.

Tymczasem jogin, najwyraźniej czując przyływ apetytu, odgryzł uszko filiżanki, którą wcześniej puszczono w obieg między gości, i żuł je z chrzęstem. Przelknawszy uszko stłukł filiżankę o własną głowę, następnie wetknął rozbitą porcelanę w usta i schrupał ją całą. Tym razem o zbadanie jamy ustnej jogina został poproszony Monty, który potwierdził, iż filiżanka została zjedzona w całości. Nastąpiła krótka zwłoka, gdy jogin i jego pomocnik patrzyli na coś w tekturowym pudle pełnym słomy, jakby zastanawiając się, jak się najlepiej do tego zabrać. Walter przechylił się przez balustradę i kiwnął na syna ze zniecierpliwieniem.

- Chwileczkę, tato.

Jogin włożył szybko rękę do pudła i wyjął wijącego się, jabłkowo-zielonego węża, trzymając go za ogon. Wąż wykręcał się to w tę, to w tamtą stronę próbując go ugryźć, a wówczas jogin przesunął drugą ręką po ciele węża i schwycił mocno gada tuż przy głowie. Pomocnik zaczął walić dłońmi w kapiący od brudu bęben. Goście patrzyli na niego znad balustrady zaleknieni, bojąc się, czy nie stanie się coś złego. Jogin otworzył usta i wolno zbliżał ku nim głowę węża, który walił i grzmocił resztą ciała o przeguby jego rąk.

- Och, nie! - wykrzyknęła z przerażeniem jedna z dam. Głowa gada zbliżała się z sykiem i trzepotaniem języka coraz bardziej do ust jogina. Nagle jogin włożył sobie głowę do ust i odgryzł. Słychać było wyraźnie trzask kości i chrupanie, kiedy ją żuł i przetykał. Potem ukazał się różowy koniuszek języka oblizującego z ust kilka szkarłatnych kropelek. Walter patrzył na bezgłowe ciało węża, które wiło się po platformie i rysowało na jasnym drewnie lśniąco-czerwone znaki przypominające chińskie ideogramy, jakby usiłowało tym ostatnim wściekłym aktem coś wyrazić. Kilka pań pobladło i nawet sam Walter poczuł się wstrząśnięty.

- Proszę państwa do salonu - obwieścił głośno - na kawę i koniak. Tam jest chłodniej.

- Ależ tato, on jeszcze nie skończył! - wykrzyknął Monty wbiegając po schodach, kiedy Walter zaczął kierować gości do salonu. - On pije kwas azotowy. Niesamowite. Widziałem na własne oczy. Najpierw rozpuszcza w nim miedziaka, a potem wypija! A zanim wypije ten kwas, przejdzie boso przez ognisko... Tato, naprawdę... skoro już tu jest...

Walter patrzył chwilę z zaciśniętymi ustami na syna, a potem odwrócił się i wszedł do domu. Wkrótce jogin, pozostawiony sam ze swoimi sztuczkami, zdjął sandały i zaczął deptać boso tam i z powrotem po rozżarzonych węglach ogniska, a nieco dalej jego pomocnik toczył z Mon- tym podniesionym głosem spór w kwestii zapłaty.

Minęła jeszcze godzina, zanim Walter pożegnał ostatniego gościa. Kilku z nich miało schorowany wygląd. Jedna z pań, jak poinformował Waltera Abdul, dostała strasznych mdłości i musiała się położyć-zapewne spowodowała to ta upiorna scena z węzem. Musi pamiętać, żeby napisać jej przepraszający list z samego rana. Powinien również sprawić manto synowi, ale i z tym trzeba poczekać do rana, bo Monty przezornie gdzieś zniknął.

Walter wszedł ze znużeniem po schodach na górę. Nie myślał przez cały czas o żonie i teraz przypomniał sobie, że rozboleła ją głowa, więc położyła się do łóżka i zapewne denerwuje się tym, co zaszło podczas garden-party. Czy możliwe, że to wciąż ten sam dzień? Wydawało mu się, jakby garden-party odbyło się przed tygodniami. Nie spała leżąc jakby ogłuszona na gorze poduszek. Powiedziała, że czuje się troszeczkę lepiej, i spytała, gdzie się podzieli goście, bo jej się wydaje, że jest bardzo cicho.

- Bo ja wiem. Zdaje się, że został tylko młody Ehrendorf. Siedzi w salonie i pali papierosy. A co do innych...
- Walter wzruszył ramionami. Wszyscy goście wyszli. Monty wyszedł. Joan wyszła. Jogin wyszedł, pełen porcelany.

- Chcesz powiedzieć: pełen herbaty?

- Nie, nie chcę, naprawdę - odparł Walter trochę niepewnym tonem.

Pani Blackett westchnęła, lecz czuła się za słaba, aby wyjaśniać tę sprawę.

- Chyba powinienem pojechać do szpitala i zobaczyć, co ze starym Webbem.

Na dole Walter przekonał się, że jeszcze jeden gość dotychczas nie wyszedł i zrażony głuchą pustką właśnie zamierzał to uczynić - był nim doktor Brownley, lekarz domowy Blackettów. Doktor Brownley często odwiedzał Blackettów, ale raczej z okazji towarzyskich niż zawodowych. Zawsze był zapraszany na przyjęcia do Blackettów i zawsze przychodził - zjawiał się zwykle pierwszy i ostatni wychodził. Niepokoili go jednak świadomość, że wciąż był u Blackettów, a nigdy nie zapraszał ich do siebie. Ktoś mniej nałogowo przepadający za przyjęciami, w jakich specjalizowali się Blackettowie, gdzie człowiek wciąż ocierał się o ludzi znaczących w kolonii, zapewne uspokoiłby swe niespokojne sumienie przez odrzucenie dalszych zaproszeń. Tego leku jednak poczciwy doktor nie był w stanie zastosować. I choć niepokój z każdą następną okazją stawał się dotkliwszy, nie mógł postąpić inaczej, jak po prostu przyjąć zaproszenie. Teraz na widok Waltera skrzywił się wyraźnie, myśląc: „Już dwunasty raz jestem u nich, a jeszcze ani razu nie zaprosiłem ich do siebie!” Miał nadzieję, że uda mu się wysłiznąć niepostrzeżenie i w ten sposób uniknąć niezręczności przy pożegnaniu. Walter nie zauważył go wcześniej, ponieważ doktor wcisnął się za półkę z książkami, by nie wykryto jego obecności. Tym razem nie miał gdzie umknąć, więc wykrzyknął z serdecznością w głosie:

- Ach, jesteś, Walterze! Szukałem cię, żeby podziękować tobie i oczywiście twojej żonie za to zachwycające... zresztą jak zawsze... właśnie już wychodzę. Muszę. Słuchaj, wpadnijcie kiedyś do nas.. Może cię podwieźć? Ach, nie, przecież ty tu mieszkasz! Ha, ha, ha. No, ja już... Musicie nas odwiedzić... - Słowa przeszły w niezrozumiały pomruk, gdy doktor zamierzał zanurzyć się w przyjemny mrok na dworze. Takie zaproszenia, stwierdził doktor, dostarczają nieco ulgi w trudnych sytuacjach jak ta... ale człowiek czuje się znacznie gorzej potem, gdy staje przed perspektywą przyjmowania gości!

- Co proszę? - zapytał Walter zaintrygowany tym pomrukiem doktora. Doktor wzdygnął się.

- Ja tylko mówiłem, że musicie kiedyś do mnie przyjść - poczuł się zobowiązany powiedzieć wyraźnym i niedwuznacznym tonem.

- Och, dobrze. Czemu nie?-rzekł Walter. - Dobranoc, doktorze. - I po tych słowach wrócił do salonu.

Walter, który miał wstręt do szpitali, zamierzał wypić spokojną stengah przed złożeniem wizyty staremu wspólnikowi. Zapomniał o obecności młodego Ehrendorfa i niezbyt mu się spodobało, że salon był zadymiony papierosami. „W dzisiejszych czasach trzeba wyrzucać każdego gościa z osobna” - pomyślał, gdy Ehrendorf wstał grzecznie z gazetą w ręce. Jednakże miał o Ehrendorfie dobre zdanie i nawet mu współczuł, tak jak mężczyzna mężczyźnie, w jego kłopotach z Joan. Ale co na to poradzić, kobiety bywają dziwne. Gdyby któraś z nich chlusnęła winem w twarz Waltera, kiedy był młody, dałby jej klapsa. Ale cóż, on

nie miał nigdy pretensji do wytwornych manier Ehrendorfa i świetnie rozumiał, że ludzie o takich manierach nie dają kobietom na przyjęciach klapsów.

- Nie widział pan Joan? - zapytał Ehrendorf siadając, lecz jak z zadowoleniem zauważył Walter, na brzeżku krzesła, gotów zaraz wstać.

- Już od dłuższego czasu. Mam wrażenie, że wyszła gdzieś na resztę wieczoru.

- Cóż, w takim razie - rzekł Ehrendorf z wymuszonym uśmiechem - chyba mnie wystrychnięto na dudka. Głupstwo, nie pierwszy to raz. Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, skończę tylko drinka i pójdę sobie.

- Nie ma powodu do pośpiechu.

Walter zażądał swojej stengah i zagłębił się w fotelu, w rezultacie uradowany z towarzystwa Ehrendorfa, a tym samym niewielkim opóźnieniem wizyty w szpitalu. Walter ostatnio nie przepadał za Amerykanami - nagromadzona wokół Planu Restrykcyjnego gorczyz i wynikiły z niej kontratak amerykańskich konsumentów pozostawiły swój ślad. Lecz kiedy pewnego dnia kapitan Ehrendorf, wyznaczony na stanowisko attaché wojskowego w Singapurze i uzbrojony w list polecający do państwa Blackettów, zjawił się w ich domu, ani Walter, ani nikt z jego rodziny nie mogli nic mu zarzucić. Było tak w części dlatego, że ów list polecający pochodził od samego Matthew Webba, a Blackettowie ogromnie chcieli się czegoś dowiedzieć o Matthew i jego trybie życia (nawiasem mówiąc Walter będzie musiał wysłać telegram do tego nieszczęsnego chłopca o chorobie jego ojca), lecz głównie z tej przyczyny, iż sam Ehrendorf był niezwykle miły i czarujący. Był jakby specjalnie stworzony, aby rozwiać wszystkie przesady, jakie Walter żywił odnośnie Amerykanów.

„Amerykanie - myślał Walter - są wulgarni - ale nikt nie posiadał lepszego smaku od Ehrendorfa. Są głośni - lecz trudno o kogoś mówiącego ciszej. Są pozbawieni kultury - ale Walter jeszcze nie spotkał kogoś bardziej kulturalnego, gruntownie wykształconego, o lepszych manierach, większym takcie i większej wiedzy”. Ten człowiek, choć wydawało się to zdumiewające zawistnemu oku Waltera, był po prostu dżentelmenem. Walterowi w ogóle trudno było go uważać za Amerykanina. Przecież on nawet mówił po angielsku jak cywilizowany człowiek.

Ehrendorf nie zwlekał z opowiedzeniem Blackettom wszystkiego, co wiedział o Matthew, którego poznał w Oksfordzie. On sam był stypendystą fundacji Rhodessa na tym uniwersytecie (tu urwał na chwilę, lecz Blackettowie patrzyli na niego nie rozumiejąc) i spędził tam parę lat. W pięć czy sześć lat później w roku 1932 spotkali się przypadkowo w Genewie, gdzie Ehrendorf jako młodzieńki oficer był wyznaczony na pomocnika pana Normana Davisa w długich, przewlekłych i wyczerpujących dyskusjach na Konferencji Rozbrojeniowej. Matthew nie pracował wówczas w samym Sekretariacie Ligi Narodów, tylko w innej organizacji, której nazwy Ehrendorf zapomniał, lecz powiązanej z Ligą. Tyle ich było! Może w Biurze Pokoju Między Narodami albo Komitecie Czerwonego Krzyża? Może w Stałym Sekretariacie do Spraw Weteranów Wojennych i Ofiar Wojny? Albo Związku Pomocy dla Ludności Dotkniętej Klęską Żywiolową? Jednej rzeczy był pewien, i w tym miejscu się zaśmiał, że nie było to Międzynarodowe Biuro Miłośników Zwierząt, którego dość staroświecki program dążył do „rozciągnięcia zasad ludzkiej sprawiedliwości na świat zwierząt”. Podejrzywał, iż mogła to być z powodzeniem Międzynarodowa Liga Opieki nad Ludnością Tubylczą - tą dziedziną bowiem bardzo się interesował. Ale to nieważne! Jakże się ucieszyli z ponownego spotkania!

Genewa zimą była najbardziej przygnębiającym z miast, międzynarodowa społeczność zdradzała skłonności do tworzenia kategorii i podziałów narodowościowych, a genewski mieszcuch był najbardziej ograniczonym i lękającym się obcych ze wszystkich stworzeń dwuonożnych. Ehrendorf i Matthew, którego określił jako „najwspanialszego człowieka na świecie” i „cudowną jednostkę ludzką” (młodzieńka Kate parsknęła śmiechem, kiedy to powiedział, i zakryła dłonią usta), odrzuciwszy przygnębiające i jezuickie, ba, jansenistyczne pęta problemów rozbrojenia, oddali się własnym, znacznie ciekawszym dyskusjom na temat sztuki, seksu, Freuda, istnienia czy nieistnienia Boga, jak to zwykle młodzi, dodał z uśmiechem, na temat przyczyn wojny trzydziestoletniej i czy Defenestracja Praska odegrała kluczową rolę w upadku Pała- tynatu i Kościoła Czeskiego, oraz wielu innych spraw tego rodzaju, których nie zdążyli w pełni rozstrzygnąć w czasie pobytu w Oksfordzie. Matthew, „zachwycająca osobowość”, był dla Ehrendorfa idealnym towarzyszem w tym nudnym, prowincjonalnym mieście szwajcarskim. Zdołali nawet wyrwać się tej zimy na trochę do Londynu, żeby zobaczyć wystawioną przez Giełguda wspaniałą sztukę Rodneya Acklanda „Dziwna orkiestra” w St. Martin's Theatre. A potem niestety obowiązki obu sprawiły, że ich ścieżki znów się rozeszły. W następnych latach zdołali się spotkać zaledwie parę razy na krótki obiad w restauracji koło

tego czy innego dworca kolejowego tego czy innego z europejskich miast, w którym nitki znaczące ich drogę przez labirynt życia przypadkiem na krótko się zetknęły. Ale pozostawali za to w kontakcie listownym.

Walter dostatecznie znał amerykańskie hiperbole, by zdawać sobie sprawę, że Ehrendorf uważał Matthew za „najwspanialszego człowieka na świecie” niezbyt dosłownie. Amerykanie mieli skłonności do stosowania takich określeń do każdego ze znajomych, którego uważali za umiarkowanie nieszkodliwego. Jednakże to podnosiło na duchu. Dziwaczna edukacja, jaką ten biedny chłopak przeszedł, może więc w końcu nie całkiem go zniszczyła. Pani Blackett zareagowała na to ostrożnie - to paplanie o Defenestracji Praskiej, czymkolwiek ona była, nie wydało jej się takim dobrym znakiem. A co do Ehrendorfa, ten naprawdę był zachwycający. Blackettowie byli nim oczarowani. Nawet mała Kate, która przechodziła właśnie okres pogardy dla wszystkich mężczyzn, nie mogła się oprzeć jego urokowi.

Ehrendorf stał się częstym gościem Blackettów i przychodził bez żadnych wstępnych manewrów towarzyskich, które wciąż obowiązywały wśród starszych rodzin singapurskich. Zamiast posłużyć się przymocowaną do bramy skrzynką z małą szczeliną na karty wizytowe, a następnie odejść, jak wymagał rytuał, i czekać na przysłanie zaproszenia, kazał się podwozić służbowym wozem pod frontowe drzwi i wchodził śmiało nie zapowiedziany. Nigdy jednak nie zostawał długo. Zawsze dokądś właśnie zdążał... na przykład do Siedziby Władz Kolonii. Miał tak rozbrajającą swobodę zachowania, że Blackettowie wcale by się nie zdziwili, że w podobny sposób wpada do gubernatora i lady Thomas, jego żony, a już całkiem na pewno pozostawał w przyjacielskich stosunkach z adiutantem gubernatora i całym personelem („pokojem dla służby”, jak to określano w Domu Rządowym). Mógł też się spieszyć na przyjęcie do któregoś z poselstw albo gdzieś dalej, na jakąś konferencję w Manili, Sajgonie lub Batawii. Czasem, gdy się wybierał na jakieś przyjęcie, a Joan nie miała co robić, zapraszał ją szarmancko, aby mu towarzyszyła, i odjeżdżali służbowym samochodem na wystawne przyjęcie lub piknik na plaży. Oczywiście, mimo swych osiągnięć Ehrendorf był daleki od idealnego, a nawet dopuszczalnego wzorca jako kandydat na męża Joan. Lecz jego jawna życzliwość wstrzymywała państwa Blackettów od sprzeciwiania się na pewien czas atencjom, jakie składał ich córce. W każdym razie wkrótce stało się

dla Waltera jasne, iż najprawdopodobniej sprzeciwy nie będą potrzebne. Mimo bowiem pozornej delikatności, krucha kobiecość Joan była pokryta twardą powłoką. Przygnębiający dzień, który przeżył ten siedzący naprzeciwko niego młody człowiek, stanowiłby dalszy tego dowód, gdyby takowy jeszcze był potrzebny.

- Czy mógłby pan powiedzieć Joan, że czekałem na nią? - rzekł Ehrendorf bez urazy, gdy obaj mężczyźni podnosili się ze swoich miejsc. - Pewnie zapomniała, że się ze mną umówiła.

- Chyba tak - przyznał Walter dobrotliwie. - No, muszę już jechać na Outram Road. Mogę pana podrzucić na Market Street. - Ale na Ehrendorfa czekał samochód i każdy z nich udał się w swoją stronę.

Noc była bardzo gorąca i cicha, lecz jasna. Jazda otwartym samochodem pod rozgwieżdzonym niebem przez puste ulice orzeźwiła Waltera. Jakże spokojne w świetle gwiazd wydawały się niskie, kryte dachówką budynki sklepowe przy Orchard Street. Spostrzegłszy, iż California Sandwich Shoppe po prawej stronie ulicy jest jeszcze otwarty, Walter przypomniał sobie, że od wielu godzin poza uszami pana Webba nie miał nic w ustach. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kazać, aby sais się zatrzymał, lecz nie... nie czuł głodu. Upał i znużenie pozbawiły go apetytu. Przy końcu Orchard Street bentley skręcił w prawo, w Hill Street, przejechał obok białej, mauretańskiej fasady Orientalnej Spółki Telefonicznej i Telegraficznej, dygocącej w świetle gwiazd jak zjawy z Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy, a potem pomknął bezszelestnie na południowy zachód pod ciemnogrnatową plamą koszar policji, przez rzekę (wstrzymując oddech z powodu panującego tam smrodu Walter dostrzegł na chwilę zarys składów firmy Blackett i Webb na zakręcie rzeki, a bliżej przycupnięte galery i sampany, na których los kazał wieść żywot ogromnym rzeszom Chińczyków), a potem wzdłuż New Bridge Road ku Szpitalowi Ogólnemu. Walter znowu zadumał się nad losem Chińczyków.

„My tutaj, w Singapurze, być może ponosimy winę za przeludnienie, pracę nieletnich i slumsy, ale przynajmniej nie jest tu tak jak w Szanghaju!”

Dla Waltera Szanghaj był stałym przypomnieniem, rodzajem memento mori, o surowym świecie leżącym poza granicami brytyjskich rządów. Liczba ludności cudzoziemskich obszarów Szanghaju była zbyt

wielka już przed wojną, która objęła miasto w sierpniu 1937 roku. A w ciągu kilku tygodni napływ uchodźców do tego azylu podniósł ją do pięciu milionów. Ponadto byli to ludzie, którzy nawet w pokojowych czasach żyli na poziomie minimum egzystencji, aż nadto często cierpiąc na totalny brak środków do życia, kiedy to mężczyzna, by utrzymać rodzinę, musiał grzebać w śmietnikach i wylawiać przy nabrzeżu odpadki. „Można by sądzić, że nasi Chińczycy powinni być wdzięczni zważywszy na to, co przeżywają ich krewniacy w Szanghaju!” Walter wiedział o istnieniu makabrycznego termometru do mierzenia stanu zdrowia i dobrobytu ludności Szanghaju (a także innych miast chińskich) - był nim „porzucony trup”. Nawet w stosunkowo dobrych czasach - tak niepewny był poziom życia w Chinach - zbierano na ulicach ogromne ilości „porzuconych trupów”... ponad sześć tysięcy na ulicach Szanghaju w roku 1935. W 1937 znaleziono na ulicach i wysypiskach śmieci tego miasta ponad dwadzieścia tysięcy zwłok. W roku 1938 na skutek wojny ilość zebranych trupów wzrosła do ponad stu tysięcy w samej tylko Dzielnicy Międzynarodowej! „Kremacja sześciuset trupów - donosił zachęcająco raport Wydziału Zdrowia z tego roku - zajmuje tylko cztery godziny, aczkolwiek większa ilość dla całkowitego spalenia wymaga od sześciu do ośmiu godzin”.

No cóż, nic więc dziwnego, że siła robocza jest tak tania i wydajna, skoro robotnikowi wszędzie towarzyszy jego ponury doppelgänger, „porzucony trup”! „Naszym robotnikom w Singapurze może czasem trudno związać koniec z końcem, ale przynajmniej nie muszą mieć z czymś takim do czynienia. A dlaczego? Bo tacy ludzie jak stary Webb uznali za stosowne poświęcić życie nie bredniom politycznym o nacjonalizmie, opiece społecznej i równości, ale tworzeniu przedsiębiorstw, które dają rzeczywiste korzyści! Być może kiedyś zobaczymy, co tu będzie za uczta, gdy nasi podjudzający motłoch przyjaciele zaczną karmić ludzi, ale ja osobiście mam nadzieję, że nie będę na ich utrzymaniu!”

Na myśl o takiej perspektywie wezbrało w nim święte oburzenie, ale przypomniał sobie, że przynajmniej na razie komuniści porzucili swą antybrytyjską kampanię, aby skoncentrować wszystkie siły przeciwko Japończykom.

- Słuchaj, Mohammed - zapytał Walter nachylając się do ucha swego saisa - jesteś szczęśliwy, że mieszkasz w Singapurze?

- Bardzo szczęśliwy, tuan. - Walter nie widział twarzy kierowcy w mroku pod czarnym zarysem czapki, lecz dostrzegł błysk białych zębów w uśmiechu.

Niebawem, ukojone ogromem nocnego nieba, jego myśli wróciły do pana Webba, ale tym razem bez zadawnionej niechęci do surowych poglądów staruszka, jaką odczuwał tego wieczoru (te wzdrgliwe marcepanowe uśmieszki), tylko z sympatią i wdzięcznością. I po raz pierwszy poczuł przypływ żalu, owo bolesne wrażenie braku, niemal opuszczenie, gdy ktoś, którego życie było tak ściśle splecione z jego własnym, nagle znika. Bo mimo sędziwego wieku pana Webba, jego zasłabnięcie było zaskoczeniem - dopiero, kiedy pomagał go podnieść, zdał sobie sprawę, że pozostał z niego szkielet obciążony skórą, a także nie wyblakła moc osobowości, najwięcej zaś ważyły ciężkie angielskie buty. Ostatecznie przecież przeżył całe dziesiątki lat od chwili wycofania się z interesów. Dopiero w ostatnich paru latach zaczął zdradzać pewne oznaki słabości - raz doszedł do przekonania, że jego koledzy, dyrektorzy firmy, usiłują go otruć w makabryczny malajski sposób zwiniętymi jak sprężynka zegarka cienkimi włoskami bambusa, które następnie rozwijają się i przebijają kiszki lub osiadają niepostrzeżenie w błonie śluzowej pęcherza. Na szczęście wkrótce o tym zapomniał.

Potem nastąpiło końcowe rozplócenie się ognia przedsiębiorczości, który drzemał w nim od chwili przejścia na spoczynek. Zażądał, aby Walter rozbudował firmę Blackett i Webb w wielki kartel obejmujący całość produkcji na wzór Lever Brothers lub Dunlopa. Mieli już w swym ręku ogromne ilości kauczuku i mogli jeszcze znaleźć dla siebie miejsce w przemyśle olejowym. Czemu zatem nie mieliby zająć się produkcją i sprzedażą opon samochodowych i margaryny w Europie i Ameryce? Walter, chociaż uważał ten pomysł za śmieszny, mruknął u- spokajająco, że warto to przemyśleć. Lecz stary pan Webb zaczął zrzedzić i domagać się ustosunkowania do swojego planu. Walter wytłumaczył mu łagodnie, że okazja do takiego przedsięwzięcia dawno już minęła - konkurencja stała się zbyt potężna, a o kapitał i europejskich przedstawicieli zbyt trudno, gdyby nawet ten przemysł nie był tak surowo regulowany przez gospodarkę wojenną Wielkiej Brytanii. Pan Webb czuł się rozgoryczony i nie bardzo mu dowierzał zwać go „zwykłym handlarzem”... ale wkrótce ogień znów zgasł. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, aż do dzisiejszego fatalnego garden-party, na którym stoczył się z fotela w ową obcą, obłąną zmierzchającym światłem poczekalnię śmierci, ani marzenia o wielkim kartelu, ani obawy przed otru

ciem włoskami bambusa już go nie nękały. Jednakże sprawa oleju palmowego utkwiała w umyśle Waltera jak zwinięty włoszek bambusowy- początkowo nie zauważalna, z czasem coraz bardziej go irytowała. Firma Blackett i Webb winna była zająć się olejem palmowym już przed dziesięciu laty. Człowiek interesu musi iść z postępuem czasu. Jakże często, wspominając los właścicieli młynów do omielania ryżu w Londynie, których zrujnowało otwarcie Kanału Sueskiego, ostrzegał młodych ludzi, by nie myśleli, że w zmieniającym się świecie można prowadzić przedsiębiorstwo bez ustawicznych zmian!

Ominąwszy rojne, wąskie uliczki Dzielnicy Chińskiej, źle oświetlone i nawet o tej porze kipiące od złowrogiej, wywrotowej działalności, Bentley Waltera dojechał do Outram Road. Budynki szpitalne były rozrzucone na niewielkim zadrzewionym wzgórzu. Budynki pierwszej, drugiej i trzeciej klasy mieściły pacjentów o odpowiedniej pozycji społecznej. Pan Webb, naturalnie, leżał w budynku, który mógł mu zapewnić opuszczenie świata w należyty sposób. Bentley zatem podjechał pod sześć kremowych kolumn tworzących wejście do głównego budynku - Walter pozostał w samochodzie, a sais poszedł zasięgnąć wieści o panu Webbie. Po pewnym czasie Walter wysiadł z samochodu, żeby się przejść pod wysokimi palmami na trawniku przed budynkiem. Wysoko, na dachu, widział sylwetkę wieży zegarowej, ale było za ciemno, żeby zobaczyć, która godzina. Domyślał się, że musi być dobrze po północy. Przez otwarte okna parteru zobaczył salę ogólną szpitala, słabo oświetloną. Patrzył na nią przez chwilę na wpół z zafascynowaniem, na wpół z odrazą - widział mgliście nieruchome postaci leżące pod szumiącymi cicho skrzydłami wentylatorów. Więc taki to kres człowieka, który trzymał kiedyś w garści cały rangunski handel ryżem - w zasadzie nie bardzo się różni od kresu określanego w Szanghaju mianem „porzuconych trupów”.

Zgrzyt żwiru. Walter odwrócił się. Nadchodził sais w towarzystwie majora Archera. Major przybył tu wcześniej z podobną misją co Walter. Stary pan Webb pozostaje w niezmiennym stanie, nieprzytomny i sparaliżowany. Walter może popatrzeć na niego przez chwilę, jeżeli ma ochotę.

- Może jutro - odparł Walter kierując się z ulgą w stronę Bentleya. - Przyjechałem tylko, żeby się dowiedzieć, jak się czuje. - Zwlekał jednak z odjazdem i w końcu wyjaśnił, że zasłabnięcie pana Webba oznacza, iż trzeba będzie podjąć szereg trudnych decyzji. Co teraz zrobią z tematem „Ciągłości” w pochodzie jubileuszowym? Był to tylko jeden z wielu problemów, które w miarę jak pan Webb był coraz bliższy śmierci, wypływały na powierzchnię wody jak banieczki powietrza. I czy powinien coś przedsięwziąć, aby młody Matthew Webb przybył do Singapuru? - Ostatecznie to dla niego szmat drogi, skoro nie ma dziedziczyć.

Major okazał zdziwienie. Ależ oczywiście. Przecież zaledwie przedwczoraj pan Webb wspomniał, że Matthew będzie jego spadkobiercą! Prosił nawet majora przed kilkoma miesiącami, aby poświadczył jego podpis na odpowiednim dokumencie i jednocześnie bardzo ciepło się wyraził o tych, którzy poświęcili życie rehabilitacji tubylczych narodów.

- Nic mi o tym nie mówił - mruknął Walter rad z ciemności, które ukryły wstrząs, jaki ta wiadomość wywołała. Aż do tej pory miał pewne nadzieje, że wobec braku spadkobiercy on sam odziedziczy pokaźną część udziałów pana Webba w firmie.

- Chyba by mi powiedział, gdyby zmienił zdanie? - Postąpił chwilę z ręką na drzwiach samochodu, patrząc w gwiazdy.

- Cóż, pewnie jednak pójdę i spojrzę na niego - rzekł w końcu i kiwnąwszy głową majorowi ruszył ciężko tam, gdzie na łożu śmierci leżał jego dawny współnik.

Zdaniem lekarzy pan Webb miał przeżyć nie więcej jak kilka godzin. Lecz minęły godziny, dni i tygodnie, a staruszek żył. Walter miał rację, że nastąpił koniec jednej ery i rozpoczęła się druga. Lecz pan Webb zdołał jakoś przejść wstrząsy, zakrety dziejów i dotrzeć do wiosny 1941 roku. Gdyby nić łącząca go z życiem została od razu przerwana, co zapewne byłoby najlepsze dla wszystkich, najprawdopodobniej Walter uznałby, że nie warto wzywać Matthew jedynie po to, aby był obecny na pogrzebie. Lecz pan Webb trzymał się życia uparcie, a ponadto, skoro Matthew miał dziedziczyć udział ojca w firmie, Walter wolał go mieć blisko siebie, w Singapurze, gdzie łatwiej mu było przedstawić młode-emu człowiekowi jasny obraz ogromu odpowiedzialności towarzyszącej spadkowi. Ostatecznie tak mało wiedział o synu byłego współnika. Będzie on musiał sam oczywiście zdecydować, czy przyjedzie. Kto wie, czy nadal jest w Europie? Wielu co możniejszych ludzi w Anglii, według audycji radiowych J.B. Priestleya, przezornie przenosi się do Kanady i Stanów Zjednoczonych, pozostawiając niższymi klasom obronę swych majątków przed Niemcami. Walter nie znał sytuacji finansowej Matthew, lecz zakładał, że musi być zadowolający.

Jako dziecko Matthew przysłał kilka pełnych szacunku listów do „Kochanego Wujka Waltera”, dziękując mu (jego małym palcem były wyraźnie prowadzone ręką matki) za ten czy inny prezent bożonarodzeniowy. W latach po strajku powszechnym przyszło jeszcze parę listów. Ich cel nie był jasny, lecz Walter od razu go się domyślił. Młody człowiek, przepełniony skruchą za oziębienie stosunków z ojcem, chciał się czegoś o nim dowiedzieć. Naturalnie Walter w odpowiedzi dał mu uspokajający opis wygodnego życia staruszka w Spółce Kauczukowej Mayfair. Matthew nadal pisywał sporadycznie do Blackettów w latach trzydziestych, choć jego listy stały się krótsze, zaś informacje w nich zawarte nieco przypadkowe, jak gdyby spisywał jedynie to, co mu wpadło w oko, kiedy rozglądał się po hotelowym pokoju albo wyglądał przez okno (nie miał zdaje się nigdy własnego domu). Te listy przychodziły nie tylko z Genewy, ale czasem i z innych miast. Raz nawet przyszła wiadomość z Tokio, która przedstawiała stojącą po kolana w jeziorze owcę. „Jakież to może mieć sens?” - zastanawiał się zdumiony Walter, wpatrując się w owcę i usiłując odkryć jej znaczenie. Wyglądało zatem na to, że chłopak ostatecznie złożył wizytę na Dalekim Wschodzie.

Jeden z listów Matthew w 1939 roku doniósł, że młody człowiek wkrótce będzie w Londynie w jakichś niesprecyzowanych interesach. Tak się akurat złożyło, że Kate, wówczas prawie dwunastoletnia, zatrzymała się na kilka dni u ciotki przed powrotem ze szkoły do Singapuru na letnie wakacje, które miały zostać przedłużone przez wybuch wojny. Blackettów ogromnie ciekawił Matthew. Czemu by więc Kate nie miała pójść i porozmawiać z nim?

Walter natychmiast zatelegrafował do swego biura londyńskiego, aby telefonowali do wszystkich hoteli w Londynie, póki nie znajdą Matthew Webba. Tymczasem biedna Kate, której nie pytało o zdanie i która naturalnie bała się ewentualnego spotkania, czekała modląc się, aby Matthew się nie znalazł. Główną przyczyną jej rozpaczki była myśl, że będzie musiała pokazać się „mężczyźnie” w mundurku szkolnym, co zarówno ona jak i jej koleżanki zgodnie uważały za najwyższe upokorzenie. Ale we właściwym czasie, po dwu fałszywych alarmach, odnaleziono wreszcie Matthew w podrzędnym pensjonacie w Bloomsbury. Dyrektor londyńskiego biura firmy Blackett i Webb zapakował Kate do taksówki i powiózł na drugi koniec miasta.

Spotkanie rozpoczęło się dość niefortunnie. Matthew leżał właśnie w samych gatkach na łóżku i czytał książkę, a tymczasem jego przemokłe w czasie ulewy spodnie suszyły się na krześle pod oknem. Nie mając na sobie spodni nie chciał wpuścić dziewczynki do pokoju, chociaż, jak zauważył później Walter, należało uznać, iż był to jeden z owych nieprzewidzianych wypadków życiowych, do których przygotowała go postępową edukacją. Ponadto wydawało się początkowo, że nigdy nie słyszał o żadnej Kate Blackett i nie ma pojęcia, czego mogłaby od niego chcieć. Kate musiała wykrzykiwać wyjaśnienia przez zamknięte drzwi, budząc zaciekawienie innych pensjonariuszy. Tymczasem telefoniczny niewód, który wyłowił Matthew, rozbudził podejrzenia właścicielki pensjonatu, przekonanej, że ma pod swoim dachem jakiegoś złoczyńcę czy zbrojnego. Toteż upokarzające wyjaśnienia Kate były przeplatane żądaniem właścicielki pensjonatu, aby Matthew natychmiast opuścił jej dom. W końcu jednak Matthew wciągnął przemoczone spodnie i otworzył drzwi.

Później poproszono Kstc, aby opisała osobę, która się ukazała w otwartych drzwiach. No cóż, jej zdaniem był całkiem miły. Nie może nic więcej powiedzieć. Ach nie, może. Miał okulary. Pamiętała głównie, że mu chlupało w butach, kiedy szedł - najwidoczniej były również przemoczone. Wyszedł z pensjonatu ignorując całkowicie właścicielkę i dyrektora londyńskiego biura, który skonsternowany załamywał ręce. Kate, okropnie zaambarasowana awanturą, jaką wywołała, poszła z Matthew do herbaciarni za rogiem. Czowała się tak skrępowana, że z całej rozmowy pamiętała tylko to, iż kiedy Matthew później wstał, na krześle pozostała mokra plama. Jednakże bardzo dobrze im się rozmawiało, zapewniła ojca. Uważała, że Matthew jest bardzo miły.

A czemu mieszkał w tak podłym miejscu? Czemu podróżował w jednej tylko parze spodni i butów? Niepodobna, że z braku pieniędzy. Przypuszczalnie musieli mieć jakąś pensję, a poza tym, Walter był pewien, że mimo oziębienia stosunków stary pan Webb nie przestał posyłać synowi hojnej sumki.

- Obawiam się - rzekł Walter, kiedy omawiał rewelacje Kate z żoną - że te wszystkie pożal się Boże szkoły musiały jednak wywrzeć jakiś wpływ na tego młodzieńca, bez względu na to, co mówi Jim Ehrendorf. | Tak się jednak złożyło, że państwo Blackett mogli niewiele więcej dowiedzieć się od Ehrendorfa niż od Kate. Ehrendorf znał dokładnie poglądy Matthew na różne sprawy, w większości abstrakcyjne. Mógł powiedzieć, jakie Matthew ma zdanie o „socjalizmie”, co myśli o „czasie okresowym” J. W. Dunne'a i temu podobnych sprawach. Czego natomiast nie mógł dać państwu Blackett, to prawdziwego wyobrażenia o tym, jak wygląda. Czy jest żonaty? Jak się ubiera? No, a jeśli nie jest żonaty, to gdzie się stołuje? Ehrendorf musiał przyznać z uśmiechem, iż byli tak bardzo zajęci rozmową, że nie przyszło mu nawet do głowy pytać o tego rodzaju sprawy. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, uświadomił sobie, że spotkał Matthew raz czy dwa w którejś z restauracji w Genewie, jedzącego samotnie z książką opartą o dzban wina czy piwa. Ale niewiele więcej mógł sobie przypomnieć. Zgodził się jednak z Kate, że Matthew nosił okulary. Był tego pewien, ponieważ kiedyś, gdy przechadzali się pod platanami na Quai Wilson, stłukł je.

- Jak?
- Proszę?
- Jak je stłukł?

Lecz Ehrendorf nie pamiętał. Może mu spadły. Dyskutowali właśnie i ■ , ; na temat Traktatów lokarneskich. Matthew bardzo się oburzał na tego rodzaju traktaty - jako prawdziwy zwolennik Ligi nie miał zaufania do rozstrzygania spraw przez Wielkie Mocarstwa za zamkniętymi drzwiami.

- A więc - Walter uśmiechnął się - jedno, co może pan o nim powiedzieć, to że nosi okulary, o czym już wiemy.

- I że jest to doprawdy wspaniała jednostka ludzka - dodał Ehrendorf ciepło.

Ilekróć Ehrendorf wyrażał się ciepło o Matthew, Kate chichotała. Tym razem, kiedy zaczęła chichotać, Ehrendorf skoczył nagle na drugą stronę pokoju i chwycił ją, nim zdążyła umknąć. Podniósł dziewczynkę i choć była ciężka, przydźwigał pod pachą z powrotem. Tym razem zamierzał się wreszcie dowiedzieć, co ją tak śmieszy. W końcu Kate musiała się przyznać: śmiała się, ponieważ on zawsze nazywa Matthew „wspaniałą jednostką ludzką”, a jej ten zwrot wydaje się śmieszny! Słyszac to rodzice wymienili gniewne spojrzenia - ostatnio Kate odkryła, że ma poczucie humoru, oni zaś z tego powodu cierpieli. Lecz Ehrendorf uznał to zdarzenie za zabawne. Odtąd Matthew otrzymał wśród młodych Blackettów miano „Jednostki Ludzkiej”.

Otóż ponieważ stary pan Webb nadal trzymał się z uporem życia, trzeba było wysłać po Matthew, bez względu na to, jaki jest, i wykorzystać wszelkie wpływy, aby mógł pokonać trudności wojennej podróży. Na szczęście kauczuk był w tym czasie ładunkiem priorytetowym i Ministerstwo Zaopatrzenia odniosło się przychylnie do prośby Waltera, aby przysłano Matthew na miejsce ojca w Spółce Kauczkowej Mayfair. Minęło sporo czasu, nim odnaleziono Matthew przez agentów firmy (okazało się, że nie drapnął przezornie wraz z całym cwałującym stadem ludzi zamożnych), a jeszcze więcej czasu, zanim udało się załatwić wszystkie formalności. Wynik był taki, że minęły nie tylko tygodnie, lecz całe miesiące od owego nieszczęsnego dnia, kiedy starszy pan osunął się z fotela podczas garden-party, nim Walter w końcu otrzymał wiadomość, że Matthew już wyruszył w podróż z Anglii. Jednakże w tych czasach, jeśli ktoś nie był jakimś generałem albo ministrem, nigdy nie było wiadomo, kiedy dojedzie na miejsce, a nawet czy w ogóle dojedzie.

Pan Webb, choć sparaliżowany i wciąż niezdolny do komunikowania się z otoczeniem, został w odpowiednim czasie przewieziony z powrotem do Mayfair, gdzie pozostawał pod stałą opieką pielęgniarki. Wal

ter, który sam żywił lęk przed śmiercią w szpitalu, zlekceważył przeciwwskazania lekarzy i kazał przenieść starszego pana do domu. W nawale obowiązków zawodowych łatwiej było mu tam wygospodarować kilka minut, aby móc unieść róg moskitiery i ucisnąć uspokajająco chłodne palce ręki leżącej na prześcieradle.

Parę razy pan Webb próbował coś powiedzieć. Najwyraźniej coś o słońcu. To niemożliwe, aby słońce mu dokuczało, ponieważ żaluzje z prętów bambusowych wpuszczały do pokoju tylko przyćmiony blask. Być może staruszek wspominał miłe popołudnia spędzane z sekatorem w ręku, gdy się przyglądał odbłaskom słońca na skórze nagich gimnastyczek, które wyczyniały różne skłony, przysiady i wygibasy nabierając z każdym dniem coraz więcej sił. Tym niemniej niepokoił Waltera widok przyjaciela leżącego bezwładnie i oddychającego hałaśliwie pod namiotem z białego muślinu. Oczy pana Webba były na wpół otwarte, ale twarz na ogół bez wyrazu. „Oto jak wszyscy kończymy” - dumal posepnie Walter.

— To koniec ery - rzekł głośno do majora Archera, który stał obok niego w pełnej szacunku pozie u łóżka konającego prezesa.

Ponieważ pan Webb znów usiłował powiedzieć coś o słońcu, Walter zdecydował, że należy wezwać pannę Chiang.

Może jej obecność podziiała na niego kojąco. Kiedy pan Webb zapadł na zdrowiu, gimnastyczki i kulturyści otrzymali wynagrodzenie i niewielką premię i zostali rozpedzeni. Panna Chiang odrzuciła z oburzeniem ofertę dodatkowej sumy za pozostawanie z dala od swego dawnego pracodawcy, gdy leżał w szpitalu. Obecnie major otrzymał delikatne zadanie odnalezienia jej w którejś z czynszówek Dzielnicy Chińskiej i nakłonienia, aby zechciała odwiedzić pacjenta. Zgodziła się bez ceregieli i jej obecność istotnie wydawała się mieć kojący wpływ na staruszkę. Wciąż miała na sobie jedną z sukien Joan i Walter, ujrawszy ją kiedyś wychodzącą z Mayfair, był wstrząśnięty zarówno jej świetnym wyglądem jak i myślą o jej podejrzanych stosunkach ze starym Webbem. „Któż by pomyślał, że Webb skończy w taki sposób, trzymany za rękę przez pół-Azjatkę!”

Walter miał ostatnio bardzo mało czasu na odwiedzanie chorego. Interesy wymagały coraz to bardziej gorączkowej pracy, a ponadto był zaprzątnięty sprawą znalezienia odpowiedniego męża dla Joan. Obecnie, kiedy już stało się jasne, że pan Webb nie zapisał mu swoich udziałów w firmie, było ważniejsze niż kiedykolwiek, aby Joan zawarła rozsądne małżeństwo.

- Jakie żywisz uczucia dla Jima Ehrendorfa, jeśli wolno spytać? - zagadnął ją kiedyś, gdy zastał ją samą.
- Ach, Jim jest gotów włożyć dla mnie rękę w ogień - odparła ze śmiechem.

Walter milczał przez chwilę zastanawiając się nad jej słowami, które nie dały jednak odpowiedzi na jego pytanie.

- Nie wierzysz mi?
- Ależ wierzę, wierzę - rzekł Walter i teraz on z kolei się roześmiał. - Tylko że pragnąłbym wiedzieć, co ty czujesz do niego.

Joan wzruszyła ramionami patrząc gdzieś za okno oczyma niby zielone kamyki.

- Jest fajny. Ale denerwuje mnie i zastanawiam się, czy go nie rzucić... właściwie im prędzej to zrobię, tym lepiej. - Waltera zadowolili ta odpowiedź.

W kilka dni później zaczął jednak o niej myśleć w nieco odmiennym świetle. Zdarzyło się bowiem, że czekając na przyście Joan podczas rozmowy towarzyskiej, Ehrendorf powiedział coś, co Walter jako producent kauczuku uznał za rzecz niebywale interesującą i co wprawiło go w kłopotliwe położenie, jeśli miał nadal dążyć do zastąpienia Ehrendorfa w sercu Joan kimś bardziej odpowiednim na męża.

To kłopotliwe położenie Waltera wynikało pośrednio z udanego manipulowania kurkiem Planu Restrykcyjnego, który regulował strumień kauczuku płynącego na rynek, a którego on był jednym z głównych operatorów. Z powodu recesji 1938 roku i spadku cen do kilku penów za funt, komitet gwałtownie przykręcił kurek zmniejszając strumień do czterdziestu pięciu procent możliwości przepływowych. Odtąd w rezerwarze zapasów kauczuku poziom zaczął opadać i cena znów wzrosła. Z początkiem roku 1939 poziom opadł ponownie poniżej dolnej granicy bezpieczeństwa, lecz komitet nadal nie miał zamiaru odkręcać kurka.

Jak się okazało, stały, niezmienny wzrost cen wywołało tym razem nie próżniactwo miejscowych właścicieli drobnych plantacji ani wydajność krajów przemysłowych, ale wybuch wojny w Europie. Pod koniec 1939 roku, przy bardzo niskim poziomie rezerw (zaledwie dwumiesięczny zapas), cena ustaliła się na bardzo korzystnej stopie szylinga za

funt. Był to, niezależnie od uczuć patriotycznych, bardzo trudny okres dla Waltera i jego kolegów. Jaki ta wojna wywrze wpływ na zapotrzebowanie na kauczuk? Ich doświadczenia z pierwszej wojny światowej nie mogły być przydatne - w owych czasach przemysł gumowy ledwie się rozwijał. Lecz nie musieli długo czekać na odpowiedź. Mimo niechętnego odkręcania kurka poziom nadal spadał. Kauczuk był potrzebny bardziej niż kiedykolwiek.

W tym punkcie komitet zaczął odczuwać coraz to silniejsze naciski nie tylko ze strony rządu Stanów Zjednoczonych i brytyjskiego Ministerstwa Zaopatrzenia. Trzeba wypuścić na rynek więcej kauczuku! Niemiecki atak na Francję i Holandię poprzedniej wiosny (w maju 1940) zaniepokoił Amerykanów o przyszłe dostawy - postanowili zrobić zapas kauczuku dla swego programu obronnego. Założyli więc Towarzystwo Rezerw Kauczuku, które miało zakupić 150 000 ton po przyzwoitej cenie do dwudziestu centów za funt. Komitet zgodził się więc odkręcić kurek, aby na rynku znalazło się dość kauczuku i Amerykanie mogli dokonać zakupu. Wkrótce Amerykanie postanowili zwiększyć zapas do 330 000 ton.

Poza tym, wbrew wszelkim przewidywaniom, ilość kauczuku zużytego przez prywatnych fabrykantów nadal rosła i mimo zwiększonej dostawy na rynek, wciąż było go za mało. Dwadzieścia centów od rządu Stanów Zjednoczonych, które kiedyś uznano by za hojną sumę, zostało sprytnie przelicytowane przez prywatnych fabrykantów, którzy najczęściej (Walter nie mógł się nie uśmiechnąć na myśl o tym) byli wyznaczani na agentów rządu do dokonania zakupu kauczuku. Jakaż to była przykrość, kiedy Towarzystwo Rezerw odkryło, że po sześciu miesiącach usilnych starań jego spiżarnia była niemal tak samo pusta, jak na początku. Nawet gdy komitet wyraził wreszcie niechętnie zgodę na stuprocentowe otwarcie kurka na pierwszy kwartał 1941 roku, rynek nie został nasycony. Ponadto rozszerzające się wpływy japońskie sprawiły, iż kauczuk z Indochin i Syjamu nie trafiał do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Zdaniem Waltera nie mogło już być żadnych wątpliwości, że oto następowało zniszczenie marzeń producentów. Tym razem mieli do czynienia z prawdziwym brakiem kauczuku, a nie z pobożnymi życzeniami wygadanych londyńskich maklerów.

Obecnie, w lutym 1941 roku, rozmawiając swobodnie z Walterem o tym, jak bardzo Japończykom potrzebne są surowce, co pozwalało krajom zachodnim trzymać ich za gardło w potężnych kleszczach (gdzie jest u licha ta Joan, chyba nie wystawiła go znowu do wiatru!), młody człowiek zauważył mimochodem, że jego rodacy zamierzają nabyć dalsze 100 000 ton kauczuku dla Towarzystwa Rezerw.

- Co też pan mówi? - zapytał Walter niby od niechcienia, starając się ukryć zaskoczenie. Jeszcze nie słyszał o takim zamiarze. Był pewien, że żaden z producentów ani kupców w Singapurze o nim nie wiedział. Żaden z jego przyjaciół w komitecie też nie mógł wiedzieć! Szczerze mówiąc on sam ledwie mógł temu uwierzyć, to raczej chyba Ehrendorf się pomylił. Lecz Ehrendorf powtórzył, co powiedział - usłyszał to od kogoś w konsulacie.

- Przy okazji - dodał pogodnie - to ma być tajemnica, więc niech pan zachowa wiadomość dla siebie. Beztroskie paplanie może kosztować utratę posady, a nawet życia.

- Oczywiście - zgodził się Walter dobrodusznie i aby zmienić temat zapytał: - Co się panu stało w rękę? - Ehrendorf miał zabandażowaną lewą dłoń.

- Och, nic. To tylko oparzenie. - Walter już, już miał zapytać, jak do tego doszło, ale po zastanowieniu dał temu spokój. Zapanowało niezręczne milczenie, ale zaraz dały się słyszeć kroki Joan na schodach.

W marcu przepowiednia Ehrendorfa się sprawdziła, rozeszła się bowiem wiadomość, że komitet przystał na ofertę kupna dalszych 100 000 ton. Dało to Walterowi do myślenia. Parę dni wcześniej Joan zwierzyła mu się, że postanowiła nieodwołalnie przestać spotykać się z Ehrendorfem. Denerwował ją! Jednakże Walter zdał sobie sprawę, że może się to okazać dla niego z gruntu niedogodne, tak się bowiem złożyło, że w tej amerykańskiej zachłanności do nabywania kauczuku tkwiło coś, czego bardzo pragnął się dowiedzieć. Niewykluczone, że Ehrendorf mógłby mu to wyjawić.

Od kilku miesięcy Walter zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później powstaną trudności, jako że Towarzystwo Rezerw, choć miało na celu gromadzenie ogromnych ilości kauczuku, było stale przelicytowane przez wielkie firmy amerykańskie. Ze 140 000 ton, płynących teraz do Ameryki, do Towarzystwa Rezerw należało marne 5000! Taka sytuacja, przy coraz większym zaniepokojeniu rządu amerykańskiego znikomą ilością zapasów, nie mogła trwać! Do Singapuru już zaczynały docierać wieści, że władze amerykańskie mają właśnie zastosować jakieś środki zaradcze. Walter bardzo pragnął wiedzieć, jakie to będą środki, zanim zostaną zastosowane.

Można było zrobić tylko jedno. Chociaż nie lubił się wtrącać w prywatne sprawy Joan (z wyjątkiem, oczywiście, wypadku, gdy szło o potencjalnego kandydata na jej męża), postanowił wyjaśnić córce swoje kłopotliwe położenie. Wysłuchiwała pilnie, co miał do powiedzenia, i znów ucieszyła go swoją bystrością w interesach.

- Trudno coś sobie obiecywać, ale być może dowiedzielibyśmy się przypadkiem czegoś, co mogłoby przynieść firmie mnóstwo dobrego.

- A więc zawieszasz wyrok! - oświadczyła Joan z uśmiechem. - Ma chłopak szczęście, skoro ty sam się za nim wstawiasz!

Walter nie uważał się za człowieka, który łatwo popada w zwątpienie i zniechęcenie - cechowała go raczej pełna wigoru przedsiębiorczość. Ostatnio jednak nie mógł się wyzbyć uczucia, że jego dobrze znany świat w zastraszającym tempie wali się w gruzy. Niewątpliwie źródłem większości obecnych kłopotów na Dalekim Wschodzie byli Japończycy - od roku 1937, od ich marionetkowego rządu w Pekinie, ciągnęła istna nawałnica dekretów mających na celu zaszkodzenie europejskim i amerykańskim interesom w Chinach. Handel zagraniczny został powoli zamrożony i zastąpiony monopolami japońskimi. Dość spojrzeć na ogromną fabrykę papierosów, którą właśnie budowała w Pekinie Mandżurska Spółka Tytoniowa, złowieszczą budowlę, jeśli się zważy, iż wszystkie nie japońskie papierosy podlegają specjalnemu podatkowi dyskryminacyjnemu w całej Mongolii Wewnętrznej! Albo zastanowić się nad sposobem, w jaki Japończycy przejęli linie kolei Pekin - Mukden i Pekin - Suiyuan nie płacąc ani centa udziału w zyskach zagranicznych akcjonariuszom, którzy te koleje sfinansowali, nie wspominając już nawet o spustoszeniu, jakie poczynili w całych Chinach swoją wojskową walutą. Nie oszczędzili też firmy Blackett i Webb - jej działalność importowo-eksportowa z Szantungiem, która kiedyś odbywała się za pośrednictwem Tsingtao, została stamtąd wyparta antyzachodnimi restrykcjami karnymi do Weihaiwei, jedynie po to, aby i tam owe restrykcje ją osiągnęły. Walter niezbyt nawet potępiał Japończyków za to, że zagarniają, co mogą, ale ganił rząd brytyjski, iż pozwala, aby im to przeszło bezkarnie. Jednakże Walter żywił przekonanie, iż jego świat zaczęłby się walić i bez Japończyków. W minionym dziesięcioleciu strajki zmieniły cały charakter Malajów. Trwały też nadal - Walter już zaczął powątpiewać, czy w ogóle kiedyś ustaną. Obecnie przyczyną tych strajków był wzrost kosztów utrzymania wywołany wybuchem wojny w Europie - robotnicy zdawali sobie sprawę, że nastąpił również wzrost zysków. Przed pięcioma miesiącami (w grudniu 1940) zastrajkowało dwa i pół tysiąca na- rznaczy drzew kauczukowych w rejonie Bahau Rompin, domagając

się dolara i dziesięciu centów dziennie za nacięcie od 350 do 400 drzew. Zarządca plantacji natychmiast ich zwolnił, co oznaczało, że utracili prawo do zamieszkiwania w barakach. Utworzyli prowizoryczne obozowisko w Bahau Town. Gdy w kilka dni później przybyła policja, aby aresztować przywódców strajku, sympatyzujące z robotnikami tłumy stanęły w ich obronie. Miały miejsce przykre sceny, w czasie których policja otworzyła ogień zabijając trzech robotników.

Sprawa na tym się nie skończyła i zdaniem Waltera przez długie jeszcze lata najprawdopodobniej nie zakończy. Właśnie w tej chwili, gdy siedział w Klubie Krykietowym jedząc z kolegą lunch, strajkowali hinduscy robotnicy w okręgu Klang. Gdyby kiedyś próbował powiedzieć starymu Webbowi, że pewnego dnia hinduscy robotnicy wezmą udział w tej awanturze strajkowej, na pewno by nie uwierzył. Hinduscy robotnicy, choć opłacani gorzej niż chińscy, mają we krwi uległość i poszanowanie władzy. A mimo to trzeba ich teraz uspokajać przy pomocy wojska i policji! To przeobrażenie robotników zdumiewało wielu przyjaciół Waltera, ale nie jego. On oczekiwał już tego od dłuższego czasu. Wiedział, że zmieniona atmosfera w kraju stwarza ku temu podatny grunt. Dawny porządek odszedł na zawsze. Walter westchnął i zagłębił srebrną łyżeczkę w puddingu przycupniętym na talerzu, solidnej, zastygłej masie z szarawej tapioki z mleczkiem kokosowym i rzadkim, ciemnym syropem. Gula malacca! Jak ten zimny smaczek rozbudzał wspomnienia dawnych czasów w Singapurze!

Z zamyślenia wyrwało go pojawienie się boya, który przyszedł z przekazaną z biura wiadomością, że stan pana Webba się pogorszył. Czy może przybyć natychmiast? Walter, być może pod wpływem nostalgii, wypił kilka piw i rzecz niezwykła, nie czuł się całkowicie trzeźwy. Wstając rozejrzał się po sali - wielu gości było w mundurach, więc pomyślał: „Lepiej, żebym nie gruchnął tyłkiem o podłogę na oczach tego tłumu”. Udało mu się jednak bez trudu dobrać do drzwi i na korytarz nie tracąc godności. Dopiero na schodach pod wiktoriańskim portykiem z czerwonej cegły omal nie zderzył się z wysokim, chudym i nie posiadającym podbródka oficerem, który wchodził do Klubu. Potępiający wyraz twarzy oficera przeszedł w grymas irytacji, gdy Walter, chcąc się ochronić przed runięciem ze schodów na łeb na szyję, chwycił go za chudą rękę w podwiniętym rękawie koloru khaki. Jedno spojrzenie w te niebieskie oczy i na skąpy wąsik wystarczyło. Aczkolwiek Walter celowo unikał towarzystwa wojskowych, tego oficera rozpoznał na

tychmiast. Był to bowiem nie kto inny, tylko sam generał Percival, który ostatnio przejął dowództwo sił lądowych od generała Bonda (na miejsce rywala Bonda, Babingtona, też przyszedł ktoś inny). Lecz generał Percival wydał się przymglonym oczom Waltera niewiele bardziej ujmujący niż jego poprzednik.

- Bałwan! Czemu nie patrzysz, gdzie leżysz? - mruknął Walter pod nosem, puszczając generała i spiesząc na poszukiwanie swego samochodu.

Nim go jednak znalazł, spostrzegł znajomą sylwetkę, również w mundurze, podążającą od strony Victoria Memorial Hall. Był to Ehrendorf. Walter przywołał go i zamienili kilka słów. Walter ledwie mógł ukryć swoją niecierpliwość. Odrzucił zaproszenie Ehrendorfa na stengah, tłumacząc, że spieszy się do łóżka pana Webba, ponieważ wygląda na to, iż staruszek przestał stawiać opór śmierci i jego życie ma się ku końcowi.

- Przy okazji B pozwolił sobie Walter zapytać - czy słyszał pan coś więcej o nowych metodach zakupu dla Towarzystwa Rezerw?

- Ach, tak, oczywiście. - Pytanie jakby nieco zaniepokoiło Ehrendorfa. - Sądzę, że mogę polegać na pańskiej dyskrecji? - Walter zapewnił go co do tego udając obojętność.

- Zakupy mają być scentralizowane... nie będzie już prywatnych transakcji. Cały eksport kauczuku do Stanów Zjednoczonych ma być licencjonowany. Licencje będą wydawane tylko na dostawy za pośrednictwem centralnej agencji zakupu i na dopełnienie ważniejszych kontraktów terminowych.

- Rozumiem - rzekł Walter. - To ciekawe. Będą respektowane ważniejsze zamówienia? Kiedy to wchodzi w życie?

Ehrendorf nie wiedział.

- Chyba za kilka dni.

Walter pożegnał się z Ehrendorfem i opadł na tylne siedzenie bentle-ya.

- Mohammed - rzekł do saisa - zawieszysz mnie na Collyer Ouay, a potem pojedziesz do Mayfair z wiadomością dla majora Archera. Powiesz mu, że zatrzymały mnie bardzo ważne sprawy, ale przyjadę, jak tylko będę mógł. - Rozparł się na siedzeniu, zadowolony z podjętej decyzji. Wiedział, że była ona z rodzaju tych, jakie spotkałyby się u starego pana Webba z całkowitym zrozumieniem.

Był już wieczór, kiedy Walter skończył nadawać telegramy i przyje

chał do Mayfair; jak się okazało nie było specjalnej potrzeby się spieszyć - jego stary przyjaciel i wspólnik jeszcze żył. Nie wyglądał też, skoro o tym mowa, jakby jego stan uległ pogorszeniu. Pan Webb leżał sobie oddychając hałaśliwie w swoim podświetlonym namiocie z białego muslinu. Major wyjaśnił jednak, iż około południa przeszedł swego rodzaju kryzys, był jakiś niespokojny i powtórzył kilka razy słowo „słońce”, oraz kilka innych, aczkolwiek zbyt zniekształconych, aby mogły być zrozumiałe, przynajmniej dla majora.

- Ale najciekawsze - rzekł Walterowi - że Vera Chiang, która tu właśnie była, uważa, iż próbował wypowiedzieć: „Sun Yat-sen”.

- Nonsens! - wykrzyknął Walter. - Stary po prostu chciał iść przycinać sekatorem różę na golasa. Co tam Sun Yat-sen. - I poklepawszy majora pogodnie po ramieniu Walter ruszył przez zabudowania gospodarcze w stronę swojego domu. Lecz kiedy szedł, podążała za nim ukradkiem przez wyciszony ogród i chwyciła go w swe szpony, nim zdążył się znaleźć w bezpiecznych ścianach domu, ponura myśl: „Oto jak wszyscy kończymy, mamrocząc bzdury, które ludzie interpretują sobie, jak chcą!”

W następne wieczory, kiedy pan Webb, teraz znów niemy, wciąż leżał, a także przez cały czerwiec, lipiec i sierpień 1941 roku tęsknota Waltera za dawnym Singapurem stawała się coraz dotkliwsza. Być może był to paradoks, bo w dawnych czasach, o których czuł coraz przemożniejszą potrzebę mówienia majorowi Archerowi u łoża swego konającego wspólnika, interes nigdy tak nie kwitł jak teraz. Lecz w tamtych czasach atmosfera była inna, bardziej swobodna... nie, to nie była tylko kwestia młodości, choć fakt, że był młody, niewątpliwie miał swoje znaczenie. Nie, idzie o samo miasto. Singapur był w tamtych czasach inny. Prowadzenie firmy było przygodą, a nie ponurą walką o zyski jak ostatnio. Żył się w codziennej skali czasu - wszystko się działo wolniej, bez pośpiechu.

Walter spoglądał w górę, jakby szukając natchnienia w szarej, metalicznej plamie sufitowego wentylatora, a potem znów na dół, na falujący kokon moskitiery, w którym leżał stary pan Webb (mający wkrótce się wykluczyć w lepszy świat). Niegdyś w Singapurze wszyscy znali wszystkich. Były to czasy wielkich, rozłożystych domów kolonialnych, w których przetrwała z dziewiętnastego wieku tradycja szczerzej godności. Lecz cóż, wszystko to przeminęło z wiatrem. Z biegiem czasu również kawalerskie internaty, które firmy prowadziły dla swoich młodych pra-

cowników, zostały zastąpione przez bloki mieszkaniowe. A kiedy one znikły, wraz z nimi znikła cała uciecha, jakiej doznawali młodzi ludzie w tropikach.

Rozkład ten został spowodowany rozbudową Singapuru w wielką bazę marynarki handlowej i wojennej. Zaczęli napływać ludzie, którzy nie mieli prawdziwych powiązań z tym krajem. Z wojskowych był pewien pożytek, ciągnął wspomnienia Walter, zapominając, że major też był w swoim czasie wojskowym, ale oni byli nomadami, dziś tu, jutro tam, nigdy nie dbającymi o to, by poznać ludzi i kraj. Co było rezultatem takiego napływu? Ano to, że dawne poczucie przestrzeni i spokoju, które sprawiało, iż w Singapurze tak się przyjemnie żyło, przeminęło, na zawsze przeminęło.

- Sylwia i ja jeździliśmy samochodem w piżamach trzydzieści, czasem czterdzieści mil na kolację do przyjaciół w Johore. To się dopiero nazywa przyjemne życie!

A major, choć wolałby porozmawiać o rosnącym zagrożeniu ze strony Japonii w świetle polityki międzynarodowej, musiał przyznać, że jazda do przyjaciół w piżamach wydaje mu się najwyższym wzorem życiowego ukontentowania - oczywiście w owych czasach nie istniało ryzyko napotkania rozszalałych hord strajkujących robotników wymachujących parangami.

Klub Singapurski w dawnych czasach nie był, oświadczył Walter podczas innej wizyty w kilka tygodni później (ubiegając chęć majora, aby go zapytać, co sądzi o dopiero co ogłoszonej propozycji Roosevelta, że należy uznać francuskie Indochiny za kraj neutralny, z którego Japończycy mogliby otrzymywać żywność i surowce - major żył w dobrej komitywie ze starym panem Webbem i odczuwał bolesny brak zdecydowanych poglądów prezesa na kłopotliwe tematy polityki światowej), nie, nie był tygłem, w którym mieszały się ze sobą ludzie wszelkiego wieku i stanu, o nie! Człowiek jest obecnie narażony, że będzie się tam ocierał o jakichś młodych bałwanów prosto z Anglii lub też o ludzi, których nazbyt staranna angielszczyzna wyniesiona ze szkół publicznych chwilami zawodzi ujawniając Bóg wie jak wątpliwe pochodzenie. Lecz w tamtych czasach Klub był naprawdę ekskluzywny, stanowił miejsce uczęszczane przez starszych i co wpływowszych ludzi w kolonii, zarezerwowany wyłącznie dla mężczyzn, oczywiście, z wyjątkiem Nowego Roku, kiedy to zapraszano na lunch panie na tradycyjną potrawę: Bażant Lucullus! Tak, Klub Singapurski był kiedyś matczynikiem tuana

I Besara, jak ten tu starowina, i młody człowiek czuł się porządnie wystraszony, kiedy miał tam iść, by go odwiedzić.

Zaledwie dwa dni później, gdy major, niepokieszony po utracie towarzystwa swojego prezesa i niezdolny do zabrania się do papierkowej pracy, która go oczekiwała w bardzo opustoszałym teraz biurze, błąkał się po domostwie jak bezpieczny pies, znowu natknął się na Waltera, który zakradł się do domu nie zauważony przez nikogo i czaił się przy łożu starego.

- Kiedyś Singapur był z siebie dumny - oświadczył Walter ujrzawszy w drzwiach majora, ale zaraz się zawahał, być może zdając sobie sprawę, że tego rodzaju uwaga na samym wstępie może się wydać dziwna. Po chwili chrząknął i dodał: - Czy wszystko w porządku, majorze? Jeżeli będzie pan potrzebował pomocy, proszę mnie zawiadomić, to przyślę kogoś z biura.

Major przyznał, że wszystko jest w porządku. Bo rzeczywiście, odkąd firma Blackett i Webb zajęła się codziennym prowadzeniem spraw Mayfair, niewiele mu zostało do roboty prócz gry w karty z Dupignym (bowiem ten Francuz, obecnie bez grosza przy duszy Juchodźca w przeludnionym Singapurze, znalazł schronienie w jednym z licznych pokoi Mayfair) i otwierania o ustalonych godzinach budynku rekreacyjnego, który stary pan Webb kazał w patriotycznym odruchu wznieść na terenach Mayfair dla żołnierzy napływających do kolonii (na szczęście, żaden żołnierz jeszcze się tam dotychczas nie pokazał). Jednakże choć życie podążało swoim zwykłym jednostajnym trybem w zarządzie Spółki Kauczukowej Mayfair, na arenie międzynarodowej zaszły pewne niepokojące wypadki - w odpowiedzi na zajęcie przez wojska japońskie całych Indochin, Ameryka, Wielka Brytania i Holandia zamroziły japońskie aktywa. Nie trzeba być ekonomistą, aby zrozumieć, że postawiło to Japonię w trudnym położeniu. Czy tego rodzaju akcja przemówi Japończykom do rozsądku, czy też wywoła wojnę na Dalekim Wschodzie? Major bardzo chciał usłyszeć, jaka jest opinia Waltera na ten temat (znał już zdanie Dupigny'ego, bardzo pesymistyczne, ale wszystkie jego opinie były pesymistyczne), jednakże Walter pominął milczeniem tę ewentualność starcia się dwóch kontynentów, bowiem pragnął dać majorowi jakieś takie pojęcie o dawnym Singapurze. Unosząc róg moskitiery, by rzucić okiem na szarą, sztywną sylwetkę starego przyjaciela, wykrzyknął:

- Słowo daję, przed wojną światową nikt nam nie dorównywał! Po wojnie też, przez pewien czas.

Biorąc majora pod ramię opowiedział mu chichocząc, jak do Singapuru przyjechała wielka rosyjska tancerka, Pawłowa, spodziewając się, że wystąpi w sali teatralnej Ratusza, jednakże sala była już wynajęta Amatorskiemu Kółku Dramatycznemu. Menadżer tancerki powiedział, że na pewno Amatorskie Kółko Dramatyczne nie będzie miało nic przeciwko odłożeniu przedstawienia sztuki Gilberta i Sullivana, aby wielka balerina, przed którą były czołem najbardziej wyrafinowane, najbardziej perfumowane, najbardziej lśniące diamentami i wieczorowo ustrojone audytoria świata, mogła zatańczyć na najlepszej ze scen w kolonii. Lecz okazało się, że Amatorskie Kółko Dramatyczne miało coś przeciwko temu! Miało swą dumę! Zostało założone przed stu laty. Nie widziało żadnego powodu, dla którego miałyby odstąpić Victoria Hall jakiejś cudzoziemskiej artystce... która musiała odejść z kwitkiem i radzić sobie na małej scenie starego Klubu Niemieckiego. Walter parsknął śmiechem i śmiał się tak długo i głośno, aż się sufit trząsał, i nawet melancholijny major wydawał się rozbawiony... ale czy śmiech Waltera zagłuszył stłumiony krzyk spod moskitiery? Usta staruszka rozwarł jakiś dziwny grymas. Wydobył się z nich jakiś zniekształcony okrzyk, który mógł brzmieć: „Sun Yat-sen!” (albo też nie, trudno orzec).

Major wyrwał się z uchwytu Waltera, To chyba nie... a może tak? Skoczył z okrzykiem ku łożu swojego prezesa odrzucając jednym ruchem mgiełkę moskitiery. Lecz za późno! Ten uśmiech, czy grymas, cokolwiek to było, ten zduszony krzyk, cokolwiek miał znaczyć, były ostatnie.

- Więc jednak młody Matthew przybędzie za późno! - zauważył Walter ze smutkiem. - A może tu być lada dzień.

- Jeżeli masz wolną godzinę - rzekł Walter do Joan następnego dnia - chętnie ci coś pokażę.

Ojciec i córka usadowili się na tylnym siedzeniu bentleya. Walter najprawdopodobniej już wcześniej wydał instrukcje saisowi, ruszyli bowiem bez słowa i skierowali się ku rzece. Walter był bardziej milczący i cichy niż kiedykolwiek i cała ta wyprawa wydawała się Joan tajemnicza.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.
- Obejrzeć pewien magazyn - odparł Walter krótko i nie chciał więcej nic powiedzieć. Dopiero gdy samochód zaczął przedzierać się przez zatłoczone ulice nad rzeką, przerwał milczenie i zapytał Joan, czy widziała się z Ehrendorfem.

- Nic. Skończyłam z nim - odparła z uśmiechem.

- Ach, to dobrze - rzekł Walter i pochyliwszy się klepnął saisa po ramieniu. Z wielkim trudem z powodu mnóstwa ciężarówek, które rozładowywano przy nabrzeżu, gdzie cumowało po kilka szeregów galarów i tongkangów, dotarli wreszcie do wysokiego ceglanego budynku składowego na zakręcie rzeki. Budynek ten nie wyróżniał się niczym szczególnym, prócz faktu, że był zbudowany z cegły, w konserwatywnym stylu, i nosił napis: Blackett i Webb sp. z o.o., świeżo odmalowany na obchody jubileuszowe.

- Zapewne ciekawa jesteś, czemu cię tu przywiozłem? - spytał Walter z uśmiechem. - Jak wiesz, jest to po prostu magazyn, nic niezwykłego. Lecz dla mnie ten budynek ma dość dużą wagę, ponieważ jest pierwszym, jaki postawiliśmy tu, w Singapurze, a ponadto stanowi dokładną replikę pierwszego budynku Webba w Rangunie. Często tu przychodziłem jako młody człowiek i marzyłem. Nie znaczy to wcale, że Webb dawał mi dużo czasu na marzenia. Na górze jest mały kantorek... Wejdźmy tam, jeżeli się nie boisz, że zabrudzisz sukienkę.

Weszli przez małe drzwiczki wycięte w masywnej drewnianej bramie od ulicy. Po słońcu i skwarze, które panowały na zewnątrz, wewnątrz zdawało się chłodne i ciemne. W smudze słońca lśniącego u ich stóp i oświetlającego mgliście resztę przepastnej budowli, ukazując bele kauczuku piętrzące się wokół, iskrzyły drobinki kurzu.

- Marzyłem, że przyprowadzę tu kiedyś Monty'ego, ale wątpię, czy on mógłby zrozumieć, jak wielkie znaczenie ma dla mnie to miejsce.

Wspięli się, Joan pierwsza, a Walter za nią, na chwiejącą się drabinę, która prowadziła na zawieszoną w mroku nad ich głowami kładkę. Wspinając się Walter zauważył pod sukienką silne uda córki i pomyślał: „Tak, to krew Blackettów. Ona jest odważna. Jej matka nigdy by nie weszła na drabinę”. Kiedy weszli na kładkę, Walter poprowadził córkę przez labirynt bel kauczuku do kantorku z oknem wychodzącym na rzekę.

- Jesteśmy na miejscu - obwieścił. - Oto moje gniazdko. Usiądź na krześle. Ja siadę na stole. Otóż, moja kochana, nie przywiozłem cię tu

taj z pobudek wyłącznie sentymentalnych, chociaż częściowo tak. Chodzi o to, że teraz, kiedy pan Webb umarł, firma znalazła się na rozstaju i będę potrzebował twojej pomocy. Jak wiesz, Matthew Webb, który tu wkrótce powinien przyjechać, odziedziczył udział ojca w firmie. Otóż nie wiemy dobrze, jaki on jest, ale o ile mogę się zorientować, jest trochę nieodpowiedzialny. Nie chcemy, aby nam zaczął mącić w interesach, a zatem... Nie, Joan, daj mi skończyć... zatem bardzo by mi odpowiadało, ujmując rzecz krótko, a mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe mojej propozycji... odpowiadałoby mi, gdyby cię uznał za tak pociągającą, za jaką uznaje cię, powiedzmy, jego kolega Ehrendorf... Tak, tak, za chwilę, Joan, ale pozwól mi najpierw dokończyć. Otóż chcę, abyś zrozumiała, że nie proszę cię o nic więcej, chociaż będę bardzo rad, jeśli niedługo znajdziesz sobie dobrego męża... Po prostu zrób, żebyś mu się spodobała, a jak to zrobić, nie muszę ci mówić, chociaż... a to jest coś, czego nikomu nigdy nie mówiłem, nawet twojej matce... jednym z niezawodnych sposobów, w jaki kobieta może sprawić, aby mężczyzna stracił dla niej głowę, jest ciepło - zimno, znasz to, raz kochająca, raz obojętna, ten sposób postępowania kobiety jest, powiem wprost... jest dla mężczyzny nieodparty. No więc, to byłoby tyle, lecz zanim dasz mi odpowiedź, pozwól, że powtórzę dwie rzeczy. Po pierwsze, Matthew Webb mógłby poważnie zaszkodzić firmie jakimś nieodpowiedzialnym zachowaniem, a po drugie, wcale nie musisz wychodzić za niego za mąż, jeśli nie chcesz. Wystarczy, jeśli go weźmiesz na parę lat pod pantofel. To wszystko!

- Ależ tato! - wykrzyknęła Joan śmiejąc się i wstając z krzesła, aby uściskać ojca. - Jakiś ty staromodny, że wygłaszasz taką mowę! Już dawno uznałam to za rzecz samą przez się zrozumiałą, że chcesz, abym dla dobra firmy wyszła za mąż za Matthew. I oczywiście zgadzam się na to. Wszystko mi jedno, jaki on jest! Tak długo zwlekałeś z tym pytaniem. Już zaczęłam myśleć, że wcale go nie zadasz.

Część druga

Ze względu na niebezpieczeństwa wojny, konwoje zmieniające kierunek bez żadnego wyjaśnienia, rekwirowanie statków pasażerskich dla przewozu wojska, zajmowanie miejsc w samolotach w ostatniej chwili przez wojskowych dostojników, nie wspominając już o szpiegach, którzy czyhali wszędzie i przyglądali się przez lornetki wszystkiemu, co się tylko rusza na powierzchni ziemi, lub nadstawiali swoje zdradzieckie uszy wychylając kufle piwa w portowych piwiarniach, wysiłki Matthew Webba w dotarciu do Singapuru były raz po raz udaremniane. Wynik był taki, że minął prawie listopad, nim Matthew doznał do ostatniego etapu podróży. Do tego czasu, choć Blackettowie nie zapomnieli o jego bliskim przybyciu (Walter myślał o nim stale, a Joan przypuszczalnie też), straciło ono nieco na znaczeniu w pierwszych dniach po śmierci pana Webba. Walter mógł patrzeć teraz na tę sprawę z dalszej perspektywy, bowiem staruszek leżał w grobie już blisko miesiąc, a smutna wiadomość została przekazana Matthew do Colombo, gdzie chłopak utknął na czas nieograniczony, póki Walter nie użył wreszcie swych wpływów w RAF-ie. Ponadto, w panującej wówczas w Singapurze gorączkowej atmosferze handlowej, zaostrożonej jeszcze oszałamiającym napływem coraz to większej ilości wojska z Australii i Indii, kto mógł mieć czas na takie rodzinne czy dynastyczne sprawy, a choćby nawet myśleć dłużej niż chwilę o jednym i tym samym? Lecz w końcu Matthew przyjeżdżał.

Avro Anson, który już z godzinę leciał wzdłuż krętej, ciemnozielonej linii wybrzeża, skręcił nad morze, aby zaraz zatoczyć szeroki łuk na północny zachód, nad Singapur. Przez kilka chwil nic nie było widać, tylko niezmierną przestrzeń wód tak lśniąca, że Matthew rozbolały oczy, gdy patrzył w dół z okienka kabiny. Potem, gdy samolot obniżył lot nad zatokę portu, w której stały trzy szare okręty wojenne i mnóstwo innych statków, nad stację kolejową, skąd biegły tory przez całą wyspę do Grobli, i nad szeregami miniaturowych domków jak dla pcheł, zaczął się kiwać, wywołując mdłości, i tracić wysokość. Wkrótce sja>d skrzydła wypełzła rzeka Singapur (w rzeczywistości zaledwie strumień

przybierający podczas przypływu), złowroźnie rozdęta u ujścia jak wąż, który połknął królika, i ciągnąca się w głąb ładu aż do najcieńszego koniuszka ogona w dalszej stronie miasta.

Następnie pojawiła się otwarta zielona przestrzeń, na której odbywał się pchli mecz krykietowy, a potem malutka jak zabawka wieża katedralna, zręcznie ustawiona na przecięciu dwóch ukośnych ścieżek tworzących krzyż świętego Andrzeja, z kilkoma wiernymi pomykającymi przez zielen murawy na wieczorne modły, bo słońce, choć nadal żywo obmacywało kabinę samolotu, rzucało już głębokie cienie na trawniki katedralne... Ale samolot znów się bujnął przyprowadzając o mdłości i jedno skrzydło zadarło się bardzo niepokojąco w górę, tak że chociaż Matthew wciąż patrzył w dół, widział tylko niebo. To przerażające uczucie trwało dopóty, dopóki samolot nie zatoczył koła i nie nadleciał znów znad morza na wyrównanych do poziomu skrzydłach. Ale nawet wtedy co kilka chwil podłoga jakby uciekała spod nóg i kiedy Matthew spróbował zainteresować się, dla odwrócenia uwagi, Historią przemysłu gumowego MacFadyeana, która leżała otwarta na jego kolanach, poczuł się wkrótce zmuszony do zarzucenia nawet tej lekkiej lektury, by móc poświęcić myśli, jak utrzymać samolot w powietrzu.

Obecnie znajdowali się niepokojąco nisko nad ziemią. Matthew widział fale, potem zobaczył przepływającą obok okienka kabiny dżonkę z żaglem o grubych szwach, następnie ludzkie głowy i wymachujące ręce. Dziwnym sposobem koła samolotu nie zawadziły o dach klubu pływackiego przy Tanjong Rhu (Matthew uważał, że byli za nisko, żeby o coś nie zawadzić). Po kilku dalszych niebezpiecznych bujnięciach z krótkim skowytom koła uderzyły wreszcie o ziemię i nastąpiło drugie uderzenie, gdy z kolei dotknął ziemi ogon samolotu. Podróż była męcząca - Matthew nigdy dotąd nie latał. Lecz teraz doznał ulgi i poczuł się zadowolony z siebie. Wkrótce będzie opowiadał o swoim przeżyciu chodzącym po ziemi przyjaciółom.

- Uwważaj na „Singapurskie kleszcze”! - krzyknął jeden z załogi samolotu pośród wesolej wrzawy pożegnalnej i śmiechów, gdy Matthew zeskakiwał sztywno na ziemię.

Stał na płycie lotniska, trochę niepewnie ze względu na tropikalną zawieruchę wzniesioną wciąż obracającymi się śmigłami. Nie wiedząc, w którą się udać stronę, rozejrzał się w blasku zachodzącego słońca. Upał nagle zrobił się duszący - oblepiał Matthew od stóp do głowy, jak parujące ręczniki.

104

Zobaczył nadchodzącą śpiesznie postać w białym flanelowym ubraniu, z nogawkami trzepocącymi w strumieniu powietrza od śmigieł, wydętej marynarce i jedną ręką przytrzymującą hełm korkowy koloru khaki. Druga ręka wyciągnęła się już z odległości kilku kroków ku Matthew, który w chwilę później już ją ścisnął.

- Jesteś Matthew Webb, prawda? Ja nazywam się Monty Blackett. Słyszałeś chyba o mnie... Hm, zaraz, chyba się jeszcze nie widzieliśmy. Zresztą to nieważne. Co za różnica. I tak się w mig poznamy. W takiej dziurze jak ta nie może być inaczej. - Monty był krzepkim młodzieńcem mniej więcej w tym samym wieku co Matthew, lecz jego twarz miała poważny wygląd, co sprawiało, że się wydawał starszy - wrażenie to zostało jeszcze spotęgowane, kiedy zdjął hełm korkowy, by się podrapać w głowę, ukazując początki łysiny. Matthew zastanawiał się, czy czarny krawat Monty'ego, zdmuchnięty pędem powietrza do tyłu, był oznaką szacunku dla jego ojca, czy też jedynie konwencjonalnym w Singapurze elementem stroju.

Gdy dwaj młodzi ludzie wymienili słowa powitania, które musieli wykrzykiwać ponad hukiem silników, nastąpiła niezręczna chwila milczenia.

- Patrz, padało! - wrzasnął Matthew wskazując ruchem głowy pomarszczoną wodę kałuż widniejących tu i ówdzie na płycie lotniska. Jednocześnie uśmiechnął się do siebie myśląc, że to nie jest wcale to, co chciał powiedzieć.

-Co? - ryknął Monty wyprzedzając go o krok i zaglądając mu jakoś dziwnie w twarz. - No, pewnie, że padało, teraz leje prawie co dzień. No, chodź już - dodał I dosyć tego mówienia o pogodzie. - Wziął Matthew pod rękę, aby go odciągnąć od wyjącego samolotu, który dopiero wtedy zdecydował się zatrzymać swoje silniki, wydając kilka ostatnich sapnięć i świstów. - No, no, ten sam stary Matthew - rzekł i zachichotał ostrożnie, choć ściśle mówiąc nie mógł wiele wiedzieć o tym „starym Matthew”, skoro się nigdy dotąd nie widzieli. Raz jeszcze rzucił mu dziwne spojrzenie z ukosa, jakby starając się go oszacować. Prowadził gościa z chichotem do budynku portu lotniczego, zaskakująco nowoczesnego w konstrukcji, z wieżą kontrolną i pomostami obserwacyjnymi, nieco przypominającego kino. Matthew wypowiedział jakąś uwagę na temat jego nowoczesności. Singapur musi być dość...

- O tak - zgodził się obojętnie Monty. Rozjaśniając się nieco dodał: - Mają tu restaurację. Nie zjadłbyś kilku ostryg? Sprowadzają je samo

105

lotami z Hawkesbury River w Australii. Słuchaj, nie jest to taka zła myśl...

- Dziękuję, może innym razem - odparł zaskoczony Matthew. Zapał Monty'ego ustąpił miejsca grymasowi. Matthew, wciąż rozpaczliwie szukając tematu, rzekł: - Muszę powiedzieć, że nie mam pojęcia, jak wy tutaj znosicie ten upał.

- Upał? To najchłodniejsza pora dnia. Poczekaj trochę a zobaczysz, jak tu potrafi być gorąco. Słuchaj, co się stało? - bo Matthew nagle zeszywniał.

- Zdaje się, że ten człowiek wziął moje walizki. - Jak wielu ludzi, którzy z natury mają wysokie mniemanie o innych, Matthew uznał za konieczne mieć się w podróży na baczności przed zakusami złoczyńców.

- Niech by spróbował ich nie wziąć - Monty uśmiechnął się. - Dostałby wtedy ode mnie za swoje!

- Chcesz powiedzieć?...

- Oczywiście. To nasz sais... no, wiesz, stajenny, czyli szofer. Nie przejmuj się niczym, starszku. Zaufaj swemu Mon ty'emu. Wszystko jest zorganizowane. Chodź, siostra czeka na nas w samochodzie... -I z tymi słowami wyszedł przodem z budynku wydając z siebie jakiś dziwny zduszony jęk. Matthew pospieszył za nim, bardzo rad z perspektywy ujrzania małej Kate, którą nawet polubił w czasie krótkiego spotkania.

- Monty, muszę podziękować za załatwienie mi tego samolotu. W przeciwnym razie pewnie na zawsze pozostałbym na Cejlonie przez tę całą wojnę...

- Drobiazg. Użyło się odpowiednich wpływów i właśnie tak się składało, że leciał tu do nas pusty samolot. Rzecz w tym, rozumiesz...

Właśnie doszli do samochodu i Monty urwał, żeby udzielić kilku pouczeń kierowcy. Ten mruknął w odpowiedzi:

- Tak, tuan - i włożył walizki Matthew do bagażnika samochodu. Był to ogromny odkryty pontiac z białymi oponami, szerokim stopniem i głębokimi skórzanymi siedzeniami. Na tylnym siedzeniu na wpół leżała młoda kobieta, trzymając w wystudiowanej pozie cygarniczkę. Miała na sobie prostą białą sukienkę bawełnianą i zielony turban, którego węzły sterczały ku górze, na hollywoodzką modłę, jak królicze uszy. Między nagimi udami trzymała rękojeść rakiety tenisowej, a lśniące struny naciągu między ładnymi różowymi kolanami. Zignorowała słowa powitania Matthew i rzekła do Monty'ego:

- Zmykajmy, nim padnę z tego upału.

Matthew, rozczarowany, że zastał tu tę osobkę zamiast Kate, starał się na nią nie patrzeć. To z pewnością Joan Blackett, starsza siostra Kate. Kate wyrażała się o niej jak o istocie wyższego rzędu, przemądrzałej ponad wszelką miarę, terroryzującej młodych mężczyzn kolonii nieodpartym urokiem, łamiącej serca z takim samym brakiem skrupułów, z jakim rozbija się nadłuczone talerze.

- Rzecz w tym, że... - powtórzył Monty nieco donośniej, kiedy usadowili się wygodnie w pontiacu po obu stronach Joan. Nastąpiła jednak nowa przerwa, gdy młodzi ludzie zapalali papierosy.

- Rzecz w tym - powiedział jeszcze raz wydmuchując chmurkę błękitnego dymu. Kiedy to robił, Matthew zastanawiał się, czy Monty Blackett nie jest chwilami nieco nadęty i zarozumiały, choć oczywiście bardzo to miłe z jego strony, że przyjechał po niego, tym niemniej jakiś wdzięczny głosik szepnął do ucha Matthew: „Czymże w końcu jest ta rzecz?” - i Matthew spojrzał szybko na Joan, chcąc się przekonać, czy podziela jego zniecierpliwienie. Lecz ona spoglądała nadąsana w inną stronę... ku rękawowi podskakującemu niecierpliwie w podmuchach wiatru na drugim końcu lotniska czy też ku wielkiej amerykańskiej limuzynie z flagą Stanów Zjednoczonych powiewającą nad maską. Limuzyna ta nadjechała z ogromną szybkością i piskiem opon na zakręcie, lecz teraz posuwała się niepewnie w stronę budynku lotniczego, ponieważ kierowca najwyraźniej nie mógł się zdecydować, w którą stronę skręcić. Wkrótce Joan odwróciła swój zwieńczony turbanem profil i jej szare oczy wpatrzyły się pilnie w twarz Matthew. Poruszył się niespokojnie.

- Rzecz w tym, Matthew, że w chwili obecnej ci faceci tak bardzo chcą naszego kauczuku, że zrobią nie wiadomo co, aby się nam przysłużyć. Mogę cię zapewnić, że nie zawsze bywają tacy usłudźni. I to wcale nie przeszkadza tym cholernym biurokratom, tym sprytnym kupcom z Whitehall, naprzykrzać się nam, ilekroć mają po temu okazję. Prowadzimy bezustanną walkę z różnymi gryziptórkami w tym czy innym ministerstwie oddalonym od nas o kilka tysięcy mil. - I dodał sentencjonalnie: - Wkrótce sam się o tym przekonasz, jak zajrzysz do ksiąg w biurze swego ojca. O co chodzi? Czego ten gość od nas chce?

Gdy Monty to mówił, amerykańska limuzyna, która od pewnego czasu krążyła niepewnie, zdecydowała się w końcu zbliżyć do pontiaka.

Zatrzymała się obok nich i zza kierownicy wyskoczył żołnierz amerykański i otworzył komuś siedzącemu z tyłu drzwi.

- O rety, to on - rzekł Monty spoglądając na Joan.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Matthew. - Ja znam tego faceta. Byliśmy razem w Oksfordzie. On się nazywa Jim Ehrendorf... To naprawdę wspaniały chłopak, musicie go poznać. Właśnie zamierzałem go odwiedzić, kiedy tu przyjadę... ale, ale... z całą pewnością już go znacie, prawda? - i Matthew klepnął się dłonią w czoło.

- Tak, znamy go - powiedział Monty. - Rzecz w tym... - Lecz Matthew, nie czekając, aż usłyszy, w czym rzecz, wyskoczył z pontiaka i gorąco uściśnął dłoń uśmiechniętego Ehrendorfa. Wymienili kilka słów, mówiąc równocześnie. Joan i Monty przyglądali się im z samochodu obojętnie.

- Już myślałem, że nie zdążę - mówił Ehrendorf, kiedy podeszli do pontiaka - a jestem zajęty przez resztę dnia. Prawdę mówiąc wcale bym nie wiedział o twoim przyjeździe, gdybym nie spotkał przypadkiem pana Waltera w śródmieściu. Witaj, Monty, witaj, Joan!

- Witaj - odparł Monty. Joan okazała nie większe zainteresowanie jego przybyciem, jak przedtem przybyciem Matthew. Zrobiła gniewną minę i powtórzyła:

- Na miłość boską, uciekajmy... Strasznie gorąco.

- Ślicznie wyglądasz, Joan, w tym swoim vetement de sport - rzekł Ehrendorf w sposób niedbały i pełen napięcia: - „Mam cię porównać do letniego dnia?”

- Wolałabym, abyś tego nie robił, jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparła Joan ponuro. - Jedźmy, na miłość boską.

- Znam takich jak on - powiedział Matthew. - Zaraz spróbuje ci wmówić, że „piękniejsza jesteś, stalsza niżli on”. - Obaj z Ehrendorfem roześmiali się, lecz Monty i Joan nie podzielali ich rozbawienia, wydawali się wręcz jacyś zgazzeni.

Ehrendorf wciąż stał niepewny siebie przy samochodzie patrząc na Joan, która odwróciła głowę z rozdrażnieniem. Matthew wyjął chusteczkę, zdjął okulary i przetaił zlaną potem twarz. Upał był straszny, mimo powiewu i nadciągającej nocy.

- Wiem, co zrobić - rzekł Ehrendorf - pojedę z wami. Każę kierowcy jechać za waszym samochodem, a kiedy przyjedziemy na miejsce, będę mógł pojechać dalej. - Nie czekając na ich zgodę, dał polecenie swojemu kierowcy i usiadł na przednim siedzeniu pontiaka. Matthew znów zajął miejsce obok Joan.

Ruszyli wreszcie w drogę. Kiedy samochód wyjeżdżał z bramy portu lotniczego, unosiła się nad nim atmosfera indagacji, nie wypowiedzianych słów. Skądś z bliska buchnęły nagle tony muzyki, śmiechy i śpiew. W gęstniejącym mroku zza drzew po ich prawej stronie w rozwidleniu dwóch ulic błysnęły nagle tysiące kolorowych świateł. Pochylając się jak jacht idący na wiatr pontiac skręcił w bok, na Kallang Road.

- To jedna z miejskich atrakcji - powiedział Monty wskazując za siebie papierosem, z którego posypały się iskry. - Coś w rodzaju wesołego miasteczka zwanego „Szczęśliwy Świat”. Dostaną za swoje, jeżeli nie zrobią czegoś, żeby zaciemnić te światła.

- Znam lepszy lokal, który nazywa się „Wielki Świat”, przy ulicy Kim Seng, na drugim końcu miasta - rzekł Ehrendorf odwracając się z uśmiechem do Matthew. - Możesz tam sobie potańczyć ze ślicznymi fordanserkami. Dwadzieścia pięć centów od kawałka.

- W Genewie nie miałeś tego wymuskanego wąsika, prawda? A co sobie zrobiłeś w rękę? - Bo Ehrendorf, chociaż nie nosił już bandaży, miał wciąż oklejone plastrem palce. Lecz ku wielkiemu zdziwieniu Matthew pytania te jakby zawstydziły Ehrendorfa (czyżby był tak wrażliwy na punkcie swoich wąsów?), który mruknął coś niejasno, że to głupstwo i że poparzył się niemądrze przed kilkoma tygodniami, a potem, bez dalszych komentarzy, skierował swój widocznie wrażliwy wąsik znów w kierunku jazdy samochodu i zapatrzył się na drogę za szybą.

Tymczasem pontiac przeleciał z warkotem silnika przez most i mknął wśród mroku z zastraszającą szybkością. Co chwila na drodze wyłaniała się jakaś przeszkoda i kierowca hamował, skręcając gwałtownie. Klakson ryczał bez przerwy. Rozmazane kształty rikszy, samochodów i wozów ciągniętych przez woły zjeżdżały gwałtownie na boki. Raz, aby ominąć korek na jezdni, który się nagle przed nimi pojawił, wjechali na jakiś kwietnik i nie zmniejszając szybkości przebili się przez krzaki, najwidoczniej czyjś ogród.

„Dobry Boże! - pomyślał Matthew. - Czy oni zawsze tak jeżdżą?”

- Zdaje się, że ludzi w Anglii wciąż zdumiewa - mówił Monty pozostający myślami przy wcześniejszym temacie - że my możemy wiedzieć coś więcej od nich, tych z Whitehall, jak należy prowadzić handel kauczukiem. Nie zdają sobie sprawy, że jeśli my tutaj ponosimy jakieś stra

ty, to wówczas dotyczą one wszystkich, nie wyłączając ich Wspaniałego Wysiłku Zbrojnego. Strasznie trudno do czegoś dojść z tymi cholernymi urzędami. Czasami myślę, że wszyscy pewnie cierpią na chorobę Heinego-Medina! -1 Monty zgiął rękę w nadgarstku, przygarbił ramiona i wykrzywił twarz zabawnie naśladując kalekę. Lecz Matthew nie uśmiechnął się: nigdy nie uważał naśladowania kalek za zabawne. Monty jednak ryknął śmiechem w parny, upalny zmierzch.

Poważniejąc znowu wskazał grupę mających z lewej strony budynków i wyjaśnił:

- To fabryka Firestone'a, gdzie w ubiegłym roku komuniści wywołali strajk. Dzięki niezdarności naszych patałachów w rządzie o mało nie przerodził się w strajk generalny. - Matthew, który już zaczął się obawiać, że nie będzie miał z Montym żadnych wspólnych zainteresowań, ożywił się i powiedział, że interesują go nie tylko strajki polityczne i stosunki pomiędzy miejscowymi pracownikami, lecz także... „poczynania kolonialne” jako całość. Rozczarowała go jednak odpowiedź Monty'ego.

- Ach, interesują cię „poczynania kolonialne”, co? - mruknął obojętnie. - No, to świetnie. Nie będziesz tu narzekał na ich brak.

Ehrendorf obejrzał się szybko, ale nie napotkał wzroku Matthew. Jego spojrzenie dotarło tylko do rakiety tenisowej, wciąż mocno ściśniętej udami Joan, która leżała rozparta na skórzanym siedzeniu - Ehrendorf wpatrywał się chwilę w tę raketę z ogromnym napięciem. Potem jego wąsik znów jął przecinać pęd powietrza wywołany jazdą za- mochodu.

Od pewnego czasu skręcana to w tę, to w tamtą stronę kierownica pontiaka, aby uniknąć zderzenia z innymi pojazdami, powodowała, że trójka młodych ludzi na tylnym siedzeniu kołysała się na boki. Joan, która siedziała w środku i nie miała się czego trzymać, podlegała większym wahaniam, toteż już kilka razy Matthew czuł jej miękkie ciało przyciśnięte do swego, kiedy usiłowała odzyskać poprzednią pozycję. Obecnie jednak, kiedy pontiac brał z piskiem opon szeroki zakręt i Joan została ponownie rzucona na Matthew, dała jakby za wygraną w tej nierównej walce - przycisnęła się do niego i wsparła głowę o jego ramię. Matthew zastanawiał się, czy jej nie odepchnąć, ale uznał, że to mogłoby się wydawać niegrzeczne - lepiej poczekać, aż skręt w przeciwną stronę zrobi to za niego. Za kilka chwil samochód znowu wyrównał kurs, co winno było pozwolić Joan przesunąć się w stronę brata, lecz ku

zdumieniu Matthew wciąż się do niego przyciskała. Nawet gdy niebawem weszli z potępiącym piskiem opon w przeciwny skręt, nadal pozostała przyklejona mocno do jego boku, jak gdyby wszelkie prawa fizyki zostały dla niej zawieszane. Wówczas Matthew zaczął się naprawdę dziwić, ponieważ w tym na pewno było coś nie tak.

Matthew oblizał wargi, zakłopotany. Nie wiedział, co o tym sądzić. Nawet już bez tego przyciśniętego ciała było mu gorąco. Czuł wielką pokusę, żeby odepchnąć ją od siebie, dopuścić powiew powietrza. Nie dlatego, że jej dotyk był mu niemiły. Lecz cała sytuacja była trochę niezręczna. Ach, teraz znów poczuł prowokacyjny wiew jej francuskich perfum w nadciągającej tropikalnej nocy.

- Uważaj na tę raketę, siostrzyczko - rzekł Monty z drwiącym spojrzeniem.

Matthew rzucił okiem na główkę w turbanie na swym ramieniu, ale Joan jakby nie słyszała uwagi brata. Ehrendorf najwyraźniej też. W każdym razie widać było tylko jego schludnie ostrzyżony kark.

Sądząc, że być może rozmowa ożywi Joan o tyle, by zechciała odkleić się od jego boku, Matthew zapytał:

- Czy ktoś z was przypadkiem nie wie, czy to są Singapurskie kleszcze? Ci z RAF-u, z którymi leciałem, wciąż mi mówili, żebym się ich strzegł, ale żaden nie chciał powiedzieć, jakie one są! - Jednakże nikt nie podjął tego tematu, zupełnie jakby byli głusi. „Co za cholerne dziwaki! - pomyślał z gniewem Matthew. -1 co u licha ugryzło tego Jima Ehrendorfa?” Był zmęczony podróżą, nazbyt zmęczony, żeby się wysilać dla ludzi, którzy nie mają ochoty wysilać się dla niego.

Monty tymczasem nasunął sobie daszek hełmu korkowego na oczy, postawił kołnierz marynarki, wetknął papierosa w kąt ust i rzekł chrapliwym gangsterskim głosem:

- Schowajcie głowy, chłopcy! Gonią nas ludzie z Ministerstwa Zaopatrzenia! -1 znów z mknącego przez miasto pontiaka buchnął gromki śmiech wylewając się między ciągnięte przez kulisów riksze, które płynęły wolnym strumieniem po obu stronach ulicy.

Zmęczenie sprawiło, że Matthew zrezygnował z wysiłków na pewien czas, leżał tylko bezwładnie na obleczonej skórą sprężynach siedzenia. Nie wiedział, co się mogło stać Ehrendorfowi, który siedział jak za hipnotyzowany i patrzył bez ustanku na drogę przed sobą - był całkiem niepodobny do tego wesołego i rozmownego chłopca, którego Matthew pamiętał z Oksfordu i Genewy.

- Pewnie wszyscy tu martwicie się tymi rozmowami z Japończykami w Waszyngtonie? - rzekł po pewnym czasie, łudząc się znowu, że zainicjuje rozmowę. Lecz Ehrendorf wciąż nie odpowiadał, a Monty najwidoczniej o nich nie słyszał, bo spytał:

- Jakimi rozmowami?

Zdziwiony Matthew wyjaśnił, że admirał Nomura, japoński ambasador w Waszyngtonie, prowadzi pertraktacje z rządem Stanów Zjednoczonych. Amerykanie chcą, aby Japończycy wycofali swe wojska z Indochin i zgodzili się na pokój na Pacyfiku. Japończycy ze swej strony żądają, aby Amerykanie przestali udzielać pomocy Czang Kaj-szekowi i odmrozili ich kapitały. Sprawy przybiorą groźny obrót, jeśli nie dojdzie do ugody. Dlatego właśnie Matthew przypuszczał, że ludzie w Singapurze się martwią.

- Sądzę, że niektórzy mogą mieć stracha - odparł Monty obojętnie.

Matthew postanowił raz jeszcze dać spokój i pozwolić wypadkom toczyć się dalej. Kiedy tak siedział wciśnięty w kącie siedzenia, z młodą dziewczyną przyciśniętą do boku niczym gorący kompres, przed oczyma przesuwający mu się jeden po drugim obrazy przywodząc na pamięć „magiczną latarnię”, którą się bawił w dzieciństwie. Raz pontiac przedzierał się z gniewnym warkotem przez wąską ulicę obwieszoną chorągwiemi z chińskimi ideogramami, to znów mknął szeroką aleją między srebrzystymi skarpami, które migotały i mrugały do niego, a okazały się wielkimi zwałami ryb (Matthew był rad, że jechali prędko - zaduch panował tam tak potężny, że człowiek chwycił się za gardło i oczy wychodziły mu z orbit). Patrzył z podziwem na lśniące, obnażone ciała mężczyzn patroszących i solących przy blasku lamp naftowych te sre

112

brzyste Himalaje ryb, ale już w następnej chwili pontiac przemienił się w majestatyczną barcę sunącą lazurową rzeką dymu... Tu i ówdzie Chińczycy brodzili z głową i ramionami wystającymi nad błękitne kłęby, które czasem robiły się przezroczyste, to znów gęstniały w ciemniejsze niebieskie empireum wiszące kilka stóp wyżej. Sponad tego błękitnego baldachimu chińskie głowy, jak cherubiny, spoglądały w dół z balkonów na wolno posuwającego się dołem pontiaka.

- To jest ulica wypalaczy węgla drzewnego. Ci cholerni Chińczycy mieszkają tu czasem po pięćdziesięciu w jednej izbie.

Chmury dymu rozwiały się ukazując już inną, całkiem odmienną ulicę, gdzie z każdego okna i balkonu zwisały się doniczki z paprociami i kosze kwiatów. Wszędzie wisały rzędy przyćmionych różnokolorowych latarek.

- Czas, żeby i tu zakrecono się wokół zaciemnienia - rzekł Monty i jego oczy zwrócone na balkony w górze odbijały blaski światła jak srebro stołowe. Nagle Matthew zobaczył, że w samym środku każdej z tych kwiatowo-latarniowych wystaw tkwiła jak klejnot w oprawie piękna kobieta.

- Czy musieliśmy tędy jechać, Monty? - utyskiwała Joan odsuwając się do Matthew. - Czemu nie pojechaliśmy przez Beach Road? - Ehrendorf wreszcie poruszył się i odwrócił do nich z wymuszonym uśmiechem. Tymczasem pontiac posuwał się dalej, a Joan siedziała nadal wciśnięta między dwóch pocących się Anglików na tylnym siedzeniu. Niektóre z kobiet na balkonach przybierały rozmarzone pozy lub prostowały szczupłe nogi, jakby chcąc obciągnąć pończochę. Jedna uniosła od niechcienia spódniczkę, jakby sprawdzając, czy jej bielizna jest w należyтым porządku (ale niestety, okazało się, że w ogóle zapomniała jej włożyć), inna wyjęła pierś i obmacywała ją w zamyśleniu.

- Słuchaj, Monty - zaprotestowała Joan - tego już za wiele! Ty to zrobiłeś umyślnie.

- Co zrobiłem umyślnie?

- Sam doskonale wiesz. I to wcale nie jest bardzo mądre.

-W Singapurze są rzeczy, o jakich się nawet nie wspomina na luksusowych pensjach - triumfował Monty - ale to nie powód, żeby się wściekać. - Po czym dodał zwracając się do Matthew: - To jest jeszcze bardzo przyzwoite w porównaniu z Lavender Street, gdzie chodzą żołnierze. Tam byś dopiero zobaczył „poczynania kolonialne”!

Pontiac był taki szeroki, ulice zaś tej części miasta tak wąskie, że

J

113

przejeżdżali nimi niemal cudem. Często zwalniali wlokąc się nogą za nogą i sais podejmował skrupulatne manewry, cal w tę, cal w tamtą stronę. Przy jednej z takich okazji jakaś figurka wyskoczyła nagle z mroku i wylądowała z głośnym odgłosem na stopniu samochodu, aż Matthew cofnął się spłoszony. Figurka jednak okazała się kukielką ze skóry i kości owiniętych w szmaty, chińskim chłopczykiem sześć- czy siedmioletnim. Dziecko to uczepliło się jedną brudną rączką samochodu, a drugą podsunęło prosząco pod nos Matthew przytupując zarazem natarczywie nogami na stopniu. Ale co było jeszcze bardziej przygnębiające, że chłopczyk zaczął gwałtownie, wymuszenie dyszeć na podobieństwo zranionego zwierzęcia.

Pontiac zostawił za sobą ostatnią z wąskich uliczek i mógł już przyspieszyć..., ale chłopczyk wciąż był uczeplony samochodu, dysząc jeszcze rozpaczliwiej. Tymczasem sais odjął rękę od kierownicy i sięgnawszy za plecami Ehrendorfa usiłował oderwać małe paluszki od karoserii młóćąc po nich pięścią.

- Zatrzymaj się! - krzyknął Matthew do kierowcy. - Zatrzymaj się!... Każ mu stanąć! - wrzasnął do Ehrendorfa. Lecz Ehrendorf siedział jak w transie, pontiac pędził przez mrok kołyszając się gwałtownie, dzieciak dyszał, a sais kłął i walił pięścią.

- Nie ma ojciec, nie ma matka, nie ma makan, nie ma whisky soda! - wyło dziecko.

Monty spokojnie wybrał kilka monet z kieszeni i wyciągnął je ku dziecku, lecz tak, iż mimo usilnych starań nie mogło ich dosięgnąć. Pobawiwszy się w ten sposób cisnął monety niedbale na jezdnię z pędzącego samochodu. W chwilę później chłopczyk zeskoczył ze stopnia i znikł w mroku za samochodem.

- To jedna z ich ulubionych sztuczek. Słowo makan znaczy „jadło”, a myślę, że pewnie i ty byś coś chętnie zjadł. Chcemy cię najpierw zawieźć do Mayfair, żebyś mógł zostawić rzeczy, a potem na kolację.

Jechali teraz szerszą ulicą, przed nimi grzechotał zielony trolejbus - z końców jego pałaków sypały się kaskady iskier, niebiesko-białych na tle ciemniejącego nieba. Mimo nadciągającej nocy upał zdawał się jedynie wzrastać. Słońce już dawno znikło na zachodzie, gdzieś za Sumatrą, ale pozostawiło po sobie na niebie ogromną prążkowaną płachtę karmazynowego koloru, która promieniowała jakby własnym żarem na podobieństwo prętów elektrycznego rusztu.

Wkrótce znaleźli się na długiej, prostej ulicy, nadal obrzeżonej chińskimi sklepami, lecz tu i ówdzie z ciągiem sklepów lub biur europejskich. To Orchard Road, wyjaśnił Monty, a ten podjazd odchodzący łukiem w prawo wiedzie do siedziby rządu. Wielki biały budynek nieco dalej to chłodnia, gdzie tęskniący za krajem Brytyjczycy mogą nabywać produkty żywnościowe przypominające dom rodzinny.

Niebawem skręcili z Orchard Road i znaleźli się w dzielnicy rezydencjonalnej, na krętych, wysadzanych drzewami ulicach, ze stojącymi z dala od jezdni bungalowami. Tu i ówdzie widniały wśród nich niskie bloki mieszkaniowe otoczone kortami tenisowymi. Skręcili na strome wzniesienie koło małego poletka bananowego.

- Może to nieszczególnie pomieszczenie... ale przy tych hordach dygnitarzy wojskowych, którzy rekwirują ostatnio w Singapurze wszystkie mieszkania, można czuć się szczęśliwym, jeśli się w ogóle znajdzie jakiś dach nad głową. Jesteśmy na miejscu.

Pontiac przechylił się mocno i zjechał z drogi z piskiem opon. Gmach Mayfair był wielkim, rozległym bungalowem wzniesionym na szeregu grubych, kwadratowych słupów. Ponieważ teren był pochyły, słupy te były wyższe od frontu, co wyolbrzymiało ich perspektywę i upodabniało je do plutonu maszerującego z olbrzymim ciężarem na plecach. Bungalow miał drewniane okiennice i otwarte balkony z częściowo zwiniętymi żaluzjami z rozszczepionych prętów bambusa po bokach, pod wielkimi, wystającymi okapami. Szczyt dachu z czerwonej dachówki był odkryty na wzór gołębnika, by dać ujście ciepłemu powietrzu, i zwieńczony innym, mniejszym czerwonym daszkiem. Mimo metropolitalnej świetności swej nazwy gmach Mayfair sprawiał wrażenie chylącego się ku upadkowi.

Gdy Joan dokonywała szybkiego, a skutecznego przeglądu swego odbicia w podręcznym lusterku, Matthew wysiadł z samochodu gotów podążyć za Montym.

- Nie wejdź z tobą, Matthew - rzekł Ehrendorf. - Jestem teraz zajęty, ale odwiedzę cię później. Spotkamy się wkrótce, okej? - Teraz, kiedy i on wysiadł z samochodu i stał elegancki w swoim mundurze, bardziej wydawał się podobny do pogodnego i pewnego siebie chłopca, którego Matthew znał dawniej. Uścisnęli sobie dłonie, obiecali zadzwonić do siebie i Matthew poszedł z Montym wzdłuż domu, do głównego wejścia. Dostrzegł stamtąd kort tenisowy, nie używany od dawna, z którego spieczonych powierzchni wyrastały ogromne osty i wyglądały teraz w mroku jak nieme, wyczekujące szkielety tenisistów. Za kortem

teren domu otaczała zwarta tropikalna roślinność i wdzierająca się dżungla.

Wskazując gestem w ciemności Monty powiedział:

- Tam jest pawilon rekreacyjny i mnóstwo różnych przyrządów gimnastycznych. Chyba wiesz, że twój ojciec był bardzo zapalony do takich spraw? Co? Nie wiesz? Przepadał za wypukłymi mięśniami i lśniącymi torsami. - Monty zachichotał niepewnie. - Tędy. Patrz pod nogi.

Doszli protestującymi skrzypieniem schodkami do frontowych drzwi, które stały otworem i były najwyraźniej o dwa lub trzy cale za duże do swej ramy. Gdy Monty pociągnął, aby otworzyć je szerzej, zgrzytnęły zawiasy. Wszedł do środka. Matthew, który się zatrzymał, aby przetrzeć okulary, miał właśnie udać się za nim, kiedy usłyszał słabe odgłosy mocowania się w mroku za domem. Doszło go czyjeś gniewne, pełne oburzenia sapanie, po czym nastąpiła cisza i w kilka chwil później długie, melancholijne westchnienie, ledwie dosłyszalne w poszumie tropikalnej nocy. W następnej chwili rozległy się kroki i z ciemności wyłoniła się Joan.

Wnętrze bungalowu wydzielało niemiły zapaszek domów zamieszkiwanych przez wciąż zmieniających się lokatorów. Matthew domyślił się, iż jego ojciec niezbyt interesował się swoim otoczeniem.

- Co za śmietnik! - orzekła Joan krzywiąc swój idealny w kształcie nos, kiedy zajrzała do środka.

- Przyznaję, że ten dom widział lepsze czasy - zgodził się Monty. W półmroku Matthew wyczuł raczej niż spostrzegł, iż meble były ponadła- mywane, farba się łuszczyła, drewno tak wypaczone, że komody i kredensy nie chciały się otwierać, a okna domykać. Dziwił się pomyślawszy, że jego ojciec, człowiek tak bogaty, spędził sporo lat w tak skromnych warunkach. „Może w końcu stary nie był tak wielkim potworem”.

Kiedy wszedł do dużego, oszklonego pokoju, w którym majaczyły jakieś ciemne kształty, zapewne meble, wyczuł pod nogami dwie uginające się deski. Dumający samotnie na werandzie, obecnie pogrążonej w niemal całkowitym mroku, mężczyzna w średnim wieku wyszedł im naprzeciw klucząc między powykrzywianymi trzcinowymi meblami; po drodze przekreślił kontakt, oblewając pomieszczenie światłem elektrycznym, które z początku mrugało jak projektor kinowy, ale zaraz zapłonęło równym blaskiem.

- Major Brendan Archer - rzekł Monty zdejmując hełm korkowy. | A to Matthew Webb. - Po czym dodał zwracając się do Matthew: - Ma

jor był tu kimś w rodzaju zarządzającego w czasie choroby twego ojca.

Matthew i major uścisnęli sobie dłonie. Major stanął jakby na baczność i wymamrotał:

- Chciałem powiedzieć, jak bardzo mi przykro... hm... z powodu... - i ze stłumionym chrząknięciem znamionującym wzruszenie stanął z powrotem na spocznij. Major miał łagodny, nieco zatroskany wygląd. Jego rzadkie włosy były starannie zwilżone, szczesane szczotką do tyłu i przedzielone równiutkim przedziałkiem. Pod nosem miał dość żalostny wąsik.

- Widzę, że pan patrzy na mój wąsik - zagadnął, aż Matthew drgnął niespokojnie. - Ten nicpoń Cheong dobrał się do niego z nożyczkami. Przyrzekł, że będzie ostrożny, ale oczywiście go poniosło. Za bardzo wystrzygł z jednej strony. - Istotnie wąsik majora, gdy mu się przyjrzeć, był zdecydowanie krzywy. Młodzi ludzie popatrzyli nań z respektem.

„Ależ oni są tu wrażliwi na punkcie wąsów - pomyślał Matthew. - To pewnie wpływ klimatu”.

- Czemu nie przystrzygł pan z drugiej strony? - spytał Monty. - Nie wyrównał?

- Bo nie chcę wyglądać jak Hitler.

- No tak, oczywiście-przyznał Monty i wyjaśnił: -Major usiłujeza- ciągnąć się do wojska. Nie chce zawracać sobie głowy Japończykami. Chce bronić starego kraju ojczystego, co, majorze?

- Och, obawiam się, że zanim dotrę do Anglii, wojna się skończy. Wie pan, człowiek martwi się o bliskich w kraju, którzy przeżywają te naloty. Mam dwie małe siostrzenice w Londynie... właściwie nie siostrzenice... córki chrzestne, w South Kensington, chociaż ściśle mówiąc...

Monty przerwał mu:

-Co pan powiada, majorze! Właśnie słyszałem, że cała potęga Luft- waffe została rzucona na South Kensington. Chodź - zwrócił się do Matthew - oprowadzę cię szybko po domu i zmykamy. - Pozostawili zmieszanego majora samego.

- Stary nudziarz - rzekł Monty.

Gdy obchodzili pokoje bungalowu, Matthew cały czas czuł na sobie spojrzenie obojętnych oczu Joan spod starannie wyskubanych brwi, ale nie usłyszał od niej ani jednego słowa skierowanego wprost do siebie. Pokój od pokoju dzieliły wszędzie wahadłowe drzwi żaluzjowe, jedynie łazienka i pokój z tabliczką „Rada nadzorcza” miał drzwi zamknięte na

klucz. Zajrzeli do pokoju rady i zobaczyli w nim tylko długi, mocno porysowany stół i kilkanaście krzeseł. Nad stołem obracało się z hałasem wielkie śmigło elektrycznego wentylatora. Monty przekręcił kontakt przy drzwiach. Na stole leżał rozciągnięty żyłasty mężczyzna w średnim wieku, ubrany wyłącznie w szorty, i spał z otwartymi ustami. Monty podszedł do niego ze słowami:

- To jest Dupigny. Podobno pełni tutaj jakąś funkcję, chociaż Bóg wie, jaką. Hej, zbudź się! - Potrząsnął nim. - François jest tym, co nazywamy cichym lub „śpiącym współnikiem” - zadrwił sobie. - No, zbudź się! Japończycy wylądowali w ogrodzie! - Ale leżący mężczyzna na stole jęknął tylko i obrócił się na bok. Wyszli i Monty powiedział przez ramię: - François był wielką figurą w indochińskim rządzie, ale Pekin go wyrzucił. Jest przekonany, że lada chwila mogą tu wylądować japońscy spadochroniarze.

Na koniec doszli do pokoiów wydzielonych dla prezesa; niegdyś oddzielały je od reszty bungalowu obite zielonym wojlukiem drzwi wahadłowe, które teraz, zdjęte z zawiasów, stały po prostu oparte o ścianę. Za nimi jednak widać było wewnątrz wyposażone starannie i w lepsze meble. Najpierw weszli do pokoju pełniącego rolę kancelarii. Matthew spodziewał się, że pokój będzie ponury i pozbawiony wszelkich ozdób, co pasowałoby do jego wyobrażenia o charakterze ojca. Ku jego zdziwieniu ściany były jednak obwieszane różnymi obrazami i fotografiami. Nie miał czasu im się przyjrzeć, a poza tym wstrzymywała go od tego obecność młodych Blackettów. Lecz jak miał rozumieć tę zabarwioną sepią fotografię, na której ojciec, zapewne ze trzydzieści lat temu, trzymał jedną ręką rakietę tenisową, a drugą pogodnie obejmował za szyję swoją uśmiechniętą partnerkę czy przeciwniczkę w grze? Lub tę ukazującą, jak jego ojciec dobrodusznie prezentuje coś grupie schludnie ubranych Chińczyków, z których każdy ma spuszczone do połowy spodnie? Przecież ten stary tyran nie uśmiechnął się chyba więcej niż raz w życiu!

Zajrzeli do sypialni, która znajdowała się w głębi - był to wielki, wysoki pokój, w którym stały dwie masywne edwardiańskie szafy, wąskie łóżko żelazne z podwiazaną jak zwinięty żagiel moskitierą i stolik nocny z mnóstwem buteleczek z lekarstwami. Przybity widokiem tych lekarstw Matthew wycofał się do kancelarii.

Joan pozostała w tyle i dwoma palcami poprawiała turban. Kierowca przyniósł walizki i postawił je w sypialni.

- Powinien tu gdzieś być chiński boy. On rozpakuje twoje rzeczy. A my chodźmy coś zjeść.

Wychodząc ujrzeni za drzwiami kancelarii kręcącego się nieśmiało młodego łysiejącego człowieka.

Chrząknął na widok Monty'ego i rzekł:

- Monty, czy mogę zamienić z tobą parę słów?

- Nie, nie możesz. Jestem zajęty. A poza tym, co tu robisz? Powinieneś być na tej cholernej plantacji. Nie płacimy ci za to, żebyś się włóczył po Singapurze.

- Przyjechałem dziś wieczorem, Monty. Sprawa jest dość ważna i wspominałem o niej panu Webbowi, jeszcze nim zachorował...

- Przyjechałeś dopiero dziś wieczorem, Turner? To możesz również zjeżdżać dziś wieczorem z powrotem. Jeżeli ci nie odpowiada twoja pensja, to możesz złożyć rezygnację i iść sobie do wojska. Zrozumiałeś?

- Ale przed chwilą rozmawiałem z majorem Archerem i...

- Nic mnie nie obchodzi, z kim rozmawiałeś. A teraz zjeżdżaj. Szybko! Żeby cię tu nie widział!

- Mogłabym zjeść konia z kopytami - rzekła nagle Joan, zwracając się pierwszy raz do Matthew, a nawet uśmiechając się do niego. - Zjadłam tylko kanapkę na lunch. Właściwie to staram się schudnąć. Ile twoim zdaniem mogę ważyć? No, zgadnij! - Matthew jednak stał i spoglądał na nią, zbyt zdumiony, żeby móc odpowiedzieć.

Twarz młodego człowieka okropnie zbladła, a czoło błyszczało od potu: wyraźnie nie pozostawało mu nic innego, jak odejść, i tak też zrobił, ale powolutku. Jego postać jakby się stopniowo zacierała, aż wreszcie w miejscu, w którym stał, pozostał tylko zarys mebli, on zaś znikł.

- Dokładnie pięćdziesiąt kilo! - wykrzyknęła Joan z tryumfem, klaszcząc w dłonie. - Wiedziałam, że nie zgadniesz. Nikt nigdy nie zgadł. Bo rozumiesz, ja się tak ubieram...

- Ten żaloszny typ - wyjaśnił zadowolony z siebie Monty - to Robin Turner, zarządca twojej plantacji w Johore, choć trudno w to uwierzyć, że tak jest, wiedząc, ile czasu spędza w Singapurze. Taki-owaki chodził ze mną do szkoły, więc wykorzystałem swoje wpływy, żeby mu tu załatwić pracę, kiedy o pracę było bardzo trudno. I wiesz, co zrobił? Po paru latach ożenił się z jedną Stengah i jego kariera się skończyła.

- Stengah?

- Pół tego, pół owego... Eurazjatka... koktajl! Poznaje się je po śpiewnym akcencie... jak walijski. Próbowal znaleźć dla niej pracę gu-

we mant ki w europejskim domu, ale któz by chciał, żeby jego dzieci mówiły z takim akcentem... wykluczone! W tej części świata, Matthew, ludzie nie bronią ci zabawić się, z kim chcesz, pod warunkiem, że robisz to dyskretnie (są bardzo tolerancyjni pod tym względem), ale wściekają się, jeśli próbujesz bruździć w stosunkach towarzyskich. Sporo takich młodych durni jak Turner straciło posady albo szansę awansu, bo im się zdawało, że mogą robić, co im się podoba. Młody Turner musiał wystąpić z klubów, do których należał, i to szybko. Ostrzegalem go, że tak będzie, ale nie, myślał, że jest mądrzejszy. - Westchnął, na co to on się naraża z życzliwości dla ludzi. - W każdym razie zobaczyłeś, co miałeś zobaczyć. A teraz chodźmy coś zjeść.

Matthew spojrział na Joan. Jej chwilowe ożywienie minęło. Stała teraz patrząc w dół i delikatnie skubała sukienkę na piersi, jakby chciała sobie tam coś poprawić.

- Czy François nie idzie z nami? - zapytała.

W drodze na werandę natknęli się na Dupigny'ego, ubranego teraz w obszerny biały garnitur i zawiązującego krawat przy blasku świecy. Był to chudy mężczyzna po pięćdziesiątce.

- Już idę, Monty - rzekł staranną angielszczyzną. - Jestem pełen rozkosznego oczekiwania, co też wasz kucharz dla nas przygotował.

15

- Mój drogi chłopcze, z ogromną przyjemnością witam cię wreszcie w tym domu i że tak powiem, w tych Straits Settlements, do budowy których twój ojciec tak bardzo się przyczynił za swojego życia. - Monty i Joan wymknęły się, aby się przebrać, i Matthew musiał sam się przedstawić państwu Blackett, których znalazł nie bez trudu w wielkim, iście pałacowym salonie. Często próbował wyobrazić sobie Waltera Black- etta - przypuszczał, że jest to mężczyzna ogromny i władczy. Jak się okazało, człowiek, z którym właśnie uściśniły sobie dłonie, był z całą pewnością władczy, lecz tylko głowę miał wielką - górowała ona nad drobnym ciałem na krótkich nogach i była pokryta gęstym puchem białych włosów widniejących tu i ówdzie, niczym zasy nie stopniałego śniegu na nagim zboczu górskim, dalej ów biały puch tworzył wąs i brwi, spod których patrzyły na Matthew z zainteresowaniem niepokojąco bladoniebieskie oczy. - Chodź - rzekł - poznaj Sylwię.

Swego czasu pani Blackett uchodziła za piękną kobietę, lecz z dawnej urody pozostały jej chabrowe oczy, o parę odcieni ciemniejsze od oczu Waltera, umieszczone w nalanej, przystojnej, pełnej rozczarowania twarzy. Zachowała jednak nadal nieco manieryzmów pięknej kobiety nawykłej do uwielbiania - nawyk odrzucania do tyłu głowy, aby strząs- nąć loki, które kiedyś uroczco spadały na gładkie policzki, lub nawyk otwierania szeroko oczu, kiedy się do niej mówiło, jak gdyby to, co się mówiło, było szalenie interesujące. Nieważne, czy mówiono o pojawieniu się literatury w języku suahili, o programie kształcenia inżynierów elektryków czy o najlepszych sposobach wypychania polnych myszy. W każdym przypadku patrzyła na mówiącego jak zafascynowana, z szeroko otwartymi ślicznymi oczyma. Czasem ta fascynacja niemal paraliżowała jej rozmówcę.

Patrząc na rozczarowaną, niegdyś piękną twarz pani Blackett Matthew nagle zdał sobie sprawę z urody Joan, choć do tej pory jej wygląd nie zrobił na nim większego wrażenia. Zupełnie jakby patrząc na przywidłą urodę matki, widział Joan i mógł sobie powiedzieć: „Ach, więc to taka ma być jej twarz!” Było to mniej więcej to samo, jak przypusz-

Iczął, co zachwycenie się urodą dziewczyny, która przypominała jeden z portretów Botticellego - gdyby ktoś nie widział tego portretu, nie zwróciłby na dziewczynę uwagi. Ale, ale, o czym to państwo Blackett mówią?

Od kilku chwil Blackettowie, ignorując wzajemnie swoje słowa, jak to tylko małżeństwa potrafią, zarzucali gradem wszelkiego rodzaju twierdzeń, pytań i oznajmień i tak już oszołomionego Matthew. W ciągu kilku następnych minut bezładnej rozmowy poruszyli temat wojny, jego podróży, racjonowania żywności w Anglii, choroby jego ojca, testamentu (Walter wziął go pod ramię i poprowadził w drugi koniec salonu uważając, iż jest to równie dobra pora jak każda inna, aby przypomnieć synowi zmarłego współnika o odpowiedzialności związanej ze spadkiem, lecz pani Blackett zaczęła się zaraz uskarżać przenikliwym głosem, iż została sama na swojej kanapie, więc musieli wrócić), blitzkriegu, zbliżania się monsunu, rynku kauczukowego i znów jego podróży. Potem Waltera wezwano do telefonu.

Kiedy męża nie było, pani Blackett wzięła Matthew za rękę; chciała mu coś powiedzieć.

- Poznałeś już moje dzieci, Monty'ego i Joan, prawda? Wiesz, ja ich właściwie nie traktuję jak dzieci. Jesteśmy raczej jak troje przyjaciół. Rozmawiamy sobie, och, na wszystkie tematy, jak równy z równym.

Matthew, który nie wiedział, co odpowiedzieć na to zwierzenie, podrapał się w ucho i spojrzał na panią Blackett ze zrozumieniem.

- A gdzie jest Kate? - zastanawiał się głośno. Bardzo się cieszył na spotkanie z nią. Czyżby gdzieś wyjechała?

- Och, była tu niedawno - odparła pani Blackett niejasno. Przez kilka chwil nie mówili nic. Słychać było dobitny głos Waltera z przyległego pokoju. - Tak, jak troje przyjaciół - dodała pani Blackett w zniechęceniu.

Wkrótce pociągnawszy Matthew za rękaw zmusiła go do wstania. Chciała przedstawić go osobom, które właśnie weszły do salonu. Jednakże, przy bliższym przyjrzeniu, okazało się, że to jej dzieci - czyli „przyjaciele”, Monty i Joan. Myślała najwidoczniej, że mogli być kimś bardziej interesującym, bo w ostatniej chwili zatrzymała się i mruknęła:

- Och, myślałam, że to może Charlie.

Monty i Joan, ignorując matkę, opadli na fotele i zażądali napojów od chińskiego służącego, który przechodził w milczeniu od jednej osoby do drugiej.

Oboje sprawiali wrażenie, jakby im było gorąco, chociaż w salonie panował miły chłód. Joan zmieniła swoją białą sukienkę bawełnianą na zieloną jedwabną wywatowaną w ramionach, z bufiastymi rękawami. Teraz, gdy zdjęła turban, jej czarne loki opadały uroczo na policzki. Matthew jednakże nie mógł oderwać wzroku od jej nóg - lecz jeśli napawał nimi łapczywie swoje oczy, to nie dlatego, że były niezwykle kształtne (choć były), ale ponieważ miała na nich jedwabne pończochy, które w minionym roku stały się w Anglii luksusem. Na nieszczęście zarówno Monty jak i Joan dostrzegli kierunek jego wzroku - zauważył, jak wymieniają ukradkiem spojrzenia.

- Kate!

Kate od pewnego już czasu kręciła się niespokojnie po przyległym pokoju oczekując stosownej pory, by wejść bez zwracania na siebie uwagi. Pozwolono jej włożyć najlepszą sukienkę, gdyż razem z Matthew zaproszono na kolację pewną ważną osobistość z RAF-u. Weszła teraz bardzo onieśmielona. Po chwili skrepowania uściśniły sobie z Matthew dłonie. Kate bardzo się zarumieniła i cofając się omal nie przewróciła się o krzesło, którego nie zauważyła.

- Wiesz co?

- Co?

- Gdybyśmy mieli befsztyki na kolację, można by je upiec na policzkach Kate jak na ruszcie...

- Mamo, każ mu przestać!

- Doprawdy, Monty - rzekła pani Blackett ze znużeniem.

Porwawszy pismo ilustrowane Kate poszła z nim na kanapę w drugim końcu salonu. Nie otworzyła jednak pisma, tylko podniosła z podłogi syjamskiego kota, który leżał zwinięty w kłębek, i zaczęła go głaskać i całować ignorując resztę towarzystwa.

- To tak miło mieć okazję pogawędzić - rzekła pani Blackett - nim przybędą pozostali.

Dał się słyszeć pomruk potwierdzenia, lecz zaraz znów zapanowała cisza. Monty spojrzał na zegarek, Joan ziewnęła za szkarłatnymi paznokciami. Kate nadal głaskała kota szybkimi ruchami, co chwila całując wyrwijące się z jej objęć zwierzę.

Nadszedł Walter i usiadł obok Matthew wyjaśniając, że zaprosił Bro- oke-Pophama, głównodowodzącego sił zbrojnych na Dalekim Wschodzie, i jednego z członków jego sztabu, bowiem wcześniej tego dnia był z nimi na konferencji w sprawie dystrybucji ryżu. Rzecz w tym, że w wy

padku wrogich działań na Pacyfiku dostawy żywności na Malaje mogły zostać zagrożone, ponieważ kraj ten musiał większość spożywanego ryżu importować. Dziesięć lat bezustannych wysiłków (on sam należał do Komitetu Zwiększenia Upraw Ryżu założonego w 1930 roku) nie zdołało nakłonić tubylczych właścicieli drobnych gospodarstw do sadzenia ryżu w miejsce drzew kauczukowych. Są zbyt leniwi. Co można zrobić z takimi ludźmi?

- Pewnie uważają, że produkcja kauczuku jest korzystniejsza - zasugerował Matthew.

- Chyba tak - zgodził się Walter.

- I mają słuszość, prawda?

- Och, tego bym nie powiedział.—Walter wymówił to niedbałym tonem, ale obrzucił rozmówcę bystrym spojrzeniem. - W popycie na kauczuk występują bardzo znaczne zróżnicowania. Rzecz w tym, że w trudnych czasach nie można go jeść. W przeciwnym razie byłby to idealny rodzaj uprawy w takim kraju jak ten. Ryż wymaga za wiele ciężkiej pracy. W każdym razie w istniejącej sytuacji musimy go importować w ogromnych ilościach, żeby wyżywić robotników na plantacjach.

- Może właśnie na plantacjach powinno się uprawiać ryż - mruknął Matthew. - Żądanie, aby właściciele drobnych gospodarstw zajęli się mniej zyskowymi uprawami w celu umożliwienia wielkim plantatorom upraw zyskowniej szych, nie wydaje mi się sprawiedliwe...

- Ale wcale nie powiedzieliśmy, że ryż jest mniej zyskowy.

- To w takim razie, czemu na plantacjach...

- Do licha!—wykrzyknęła pani Blackett na odgłos dalekiego dzwonka. - Przyszli, właśnie w chwili, gdy zaczęło nam się tak miło rozmawiać!

Walter wstał, nim Matthew zdążył skończyć zdanie. Mimo to pani Blackett pierwsza dopadła drzwi. Wszedł Dupigny w swoim obszernym białym garniturze. Wymienił z panią Blackett słowa powitania. Prowadząc go w głąb salonu pani Blackett powiedziała:

- Ty, François, który jesteś tak dobrze poinformowany, musisz nam powiedzieć, co sądzisz.

- O czym?

- O sytuacji - odparła niejasno.

| Droga pani, jeśli chce pani znać moją opinię, Japończycy pokonają nas w mgnieniu oka. Najpierw wymęcą w dżungli. Potem chwycą za gardła.

-Przerażasz mnie, François, mówiąc takie rzeczy. Nie licząc Matthew, jesteś pierwszym gościem, więc musisz ponieść za to karę i posiedzieć trochę tutaj z nami... choć wiem, że po tym, co nam powiesz, będziemy nieprzytomni ze strachu.

-Przepraszam bardzo - mruknął Dupigny z wybornym taktem dyplomaty i światowca. Przepraszał najwyraźniej nie za wywołanie u pani Blackett lęku, lecz za zbyt wczesne przybycie, tak bowiem zinterpretował słowa „pierwszy gość”.

Pani Blackett prowadząc go przez salon rzekła przez ramię:

-Jakiś ty elegancki, François! Cieszę się, że sobie jakoś radzisz mimo ciągłych trudności.

Tymczasem Monty wślizgnął się na opuszczone przez ojca krzesło obok Matthew i pełnym złośliwości szeptem wyjaśnił mu, że Dupigny jest bez grosza przy duszy. Żebak! Zupełny golec! I że jego matka wie, oczywiście, iż kroczy za nią przez salon nie tylko Dupigny, ale zarazem cała jego garderoba, bowiem człowiek ten jest odziany w ten sam garnitur, w którym czmychnął z generałem Catroux z Sajgonu, jeśli nie liczyć pary szortów i butów, jakie pożyczył od majora Archera, swojego kumpla jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej.

Słuchając tego wszystkiego i patrząc, jak Dupigny pochyla się, aby musnąć uśmiechniętymi wargami palce Joan, Matthew zastanawiał się, czy znajdzie kiedykolwiek coś wspólnego z Montym. Dupigny uniósł wciąż uśmiechniętą twarz znad dłoni Joan.

- Co cię tak rozbawiło, François?

- Przypomniało mi się, że wczoraj pierwszy raz w życiu wzięto mnie pour un macabee... za nieboszczyka.

- Za nieboszczyka? - wykrzyknęła Joan z nagłym ożywieniem. Była najwyraźniej pod urokiem Dupigny'ego i jego wykwintnych manier. - Nie wierzę, François. Ale z niego łgarz! - utyskiwała przed matką.

- Tak, właśnie za nieboszczyka! - Dupigny przybrał teatralną pozę. - Ledwo wyszedłem z bungalowu, a tu podchodzi do mnie chiński dżentelmen i mówi: „Tuan, czy pan jest martwy?” Więc zapewniam go, że o ile mi wiadomo, jeszcze żyję... - Urwał, aby wyrazić uznanie swej widowni za uśmiechy.

- „A może, tuan”, rzekł nasz przyjaciel Chińczyk, „może jest pan ciężko ranny?” Przeciwnie, odpowiadam, nigdy w życiu nie czułem się lepiej... „Ale, tuan”, mówi niemal ze łzami, „musi pan być przynajmniej lekko ranny, w przeciwnym razie nie byłoby pana tu, na tej ulicy!”

- Wiem! — wykrzyknęła Joan. - To były ćwiczenia samoobrony! Na pewno ten twój Chińczyk miał na ramieniu opaskę organizacji samoobrony, a na głowie blaszany hełm. Ale oni zawsze używali harcerzy jako ofiar nalotów. Czy to znaczy, że teraz posługują się dorosłymi?

— He las! Z każdym dniem stają się bardziej ambitni!

Tymczasem do salonu wprowadzono nowych gości i pani Blackett ruszyła ponownie ku drzwiom potykając się o jakiś puf po drodze, rzecz bowiem tak się miała, że jej śliczne oczy były dalekowzroczne i powinna była nosić okulary. Jednym z nowo przybyłych był głównodowodzący sił zbrojnych sir Robert Brooke-Popham, tęgi mężczyzna po sześćdziesiątce, którego wygląd sugerował nieco zawiedzioną dobroduszość. Miał kanciastą głowę, łysą na czubku i z resztką rzadkich włosów, jakby przyklejonych po bokach nad wielkimi, odstającymi uszami. Otwarte usta pod sumiastymi siwymi wąsami nadawały mu wyraz czujności i zakłopotania, jaki widuje się u ludzi, którzy nie są pewni, czy dobrze usłyszeli, co im powiedziano. Pod pachami trzymał po paczce niechlujnie złożonych dokumentów, które usiłował teraz złożyć w jeden plik, aby móc ucisnąć rękę pani Blackett. Kiedy to czynił, kilka arkusików wysliznęło się i łagodnymi łukami poszybowało na podłogę. Schyliwszy się po nie zgubił kilka następnych i jego zakłopotanie wzrosło. Towarzyszący mu ponury oficer sztabowy w mundurze generała majora patrzył z kamienną twarzą, jak głównodowodzący zbiera z podłogi papiery.

- Pozwoli pan, marszałku - rzekł zabierając mu papiery i wsuwając je sobie pod pachę. Następnie odłożył swoją trzcinę na boczny stolik, lecz zaraz pochwycił ją zgrabnie, gdy pani Blackett odwracając się potknęła się o ów stolik. Pani Blackett uśmiechnęła się z wdzięcznością do Brooke-Pophama, który podtrzymał ją biorąc pod ramię. Po chwili wahania generał ponownie odłożył trzcinę na stolik.

Matthew znów usłyszał głos Monty'ego koło ucha, szepczący tym razem złośliwe uwagi na temat głównodowodzącego Sił Zbrojnych na Dalekim Wschodzie: Jest ogólnie znaną rzeczą wśród wtajemniczonych, że mimo imponującego tytułu Brooke-Popham nie mógł znaleźć nikogo, kto by chciał poddać się jego władzy. Z całą pewnością nie marynarka wojenna. Gubernator też sobie robił, co mu się podobało. Nawet generał Percival i marszałek sił powietrznych Pulford, którzy zastąpili groźnego Bonda i Babingtona, nadal zwracali się po rozkazy do Ministerstwa Wojny i Ministerstwa Sił Powietrznych, nie pozostawiając

biednemu staremu Brooke-Pophamowi nic innego do roboty w jego biurze w bazie marynarki, prócz wbijania chorągiewek w mapy, a co gorsza.

Lecz Matthew musiał wstać, aby ucisnąć dłoń głównodowodzącemu. Brooke-Popham ucisnął mocno rękę Matthew i obdarzył go nieco nieśmiałym uśmiechem. Następnie odszedł, aby przywitać się z Walterem, a jego miejsce natychmiast zajął elegancki pan, który podązał za głównodowodzącym: był to doktor Brownley, domowy lekarz Blackettów. Doktor był nieco roztargniony tego wieczoru, ponieważ właśnie dziś, po tylu tygodniach a nawet miesiącach wewnętrznych zmagani i rozmyślań, nabył przedmiot, który widział w oknie wystawowym Johna Little'a przy placu Rafflesa, przedmiot, którego pożądał z namiętnością kochanka. Teraz jednak, gdy przedmiot ten stał się jego własnością, oczekiwane dopełnienie jakoś nie następowało. Odkąd kupił tę nieszczęsną rzecz, na którą nie bardzo mógł sobie pozwolić, prawie o niej nie myślał. Radosne rozgorączkowanie, któremu podlegał od miesięcy, nagle go opuściło. „Co się ze mną stało?” - myślał mierząc sobie cichaczem puls. A teraz jeszcze jedna myśl zaczęła go gnębić: „Już osiemnaście razy pod rząd mnie tutaj zaprosili, a ja jeszcze nigdy im się nie zrewanżowałem!”

- Musi nas pan odwiedzić któregoś dnia - mruknął ściskając dłoń Matthew i przewracając oczyma w dość dziwny i pełen rozpaczony sposób (ale na szczęście ten facet jakby nie słyszał).

- Naprawdę sądzisz, że Japończycy nas zaatakują? - zapytała Joan Francuza.

- Bez wątplenia - odparł Dupigny i przez szczerą twarz Brooke-Pophama, który usłyszał te słowa, przemknął wyraz zdziwienia i przerażenia.

- Kochanie, François jest dzisiaj w bardzo makabrycznym nastroju i rzekła pani Blackett do córki. - Radzę ci go nie słuchać. Po tym, co już mi powiedział, trzęsę się cała jak galareta.

- To wcale nie jest śmieszne, zapewniam cię - powiedział Dupigny widząc, że jego słowa rozbawiły Joan, bowiem z Dupignym nigdy nie było wiadomo, czy żartuje, czy mówi poważnie, i często opowiadał rzeczy skandaliczne z kamienną powagą.

- Ale o ile wiem, François, Japończycy specjalizują się w odrąbywaniu głów Francuzom. Unoszą szable w górę i... ciach! I głowa monsieur spada do rynsztoka. Podobno to niesamowity widok. Chyba zajmę się robotą na drutach niczym ta madame jak jej tam.

I

- Myślisz, że ja żartuję, Joan? Ani trochę. Zapominasz, że wiem coś o nich, o Japończykach. Ale co z tego? - dodał zwracając się do Matthew, ponieważ Joan odeszła śmiejąc się, - Wy, Brytyjczycy, jesteście niepoważni. A kiedy myślicie o Francji, to zawsze na sposób tego grand emmerdeur, Karola Dickensa. A ten wasz tupet jest czymś wręcz cudownym! Czy pan wie - ciągnął biorąc Matthew pod ramię i prowadząc go na bok - że wasz gubernator, sir Thomas, wyjechał na ośmiomiesięczny urlop, mimo że wybuchła wojna? To tylko przykład tego waszego flegmatycznego zachowania, które napawa biednych Francuzów takich jak ja nieomal czcią, podziwem i muszę przyznać, przerażeniem! - Przyjrzał się Matthew z ironicznym uśmiechem.

- Ale mniejsza o to. Powiem panu coś o tym marszałku, sir Pophamie, bo jest to niezwykle okaz. Nie mam na myśli jego wyglądu, który, przyznaję, budzi lęk... chodzi o samą jego obecność w tym salonie. Jest to coś niebywałego. - I Dupigny zaczął wyjaśniać ścisłym głosem (jakże oni tu lubią obmawiać jeden drugiego szeptem dla sił zbrojnych), że przeżyte w Singapurze lata, co jest dobrze znane, wpoły w panią Blackett głęboką pogardę dla sił zbrojnych. W czasach pokoju z najwyższym zdziwieniem można było usłyszeć, jak pani Blackett lży ten odwieczny i cieszący się szacunkiem zawód, którego przedstawiciele przez całe lata nie chciała widzieć przy swoim stole. Nawet majora Archer, tego najmniej wojowniczego z ludzi, trzeba było ostrzec, aby się zdemobilizował przed wizytą, kiedy go polecono państwu Blackett w czasie jego pierwszej podróży na Daleki Wschód w 1937 roku. W przeciwnym razie nieszczęśliwie z pewnością zostawiłby swoją wizytówkę z nadrukiem zdradzającym jego niecny sekret: Major Brendan de S. Archer. I Dupigny roześmiał się serdecznie na samą myśl o tym.

Rzecz w tym, mówił dalej, że pani Blackett, skądinąd urocza pod każdym względem, była nieco snobką i ten tutaj salon stanowił miejsce spotkań jednego z najbardziej ekskluzywnych kręgów towarzyskich wyspy, któremu nie dorównywała nawet siedziba gubernatora. Bo jak pani Blackett sama mawiała, miała ona jedną przewagę nad gubernatorem. Nie musiała tak jak on przyjmować u siebie zgrai dygnitarzy, wojskowych i cywilnych, których wojna ściągnęła do Singapuru. Mogła zapraszać, kogo chciała.

- Ach, ci przygnębiający generałowie! - wykrzykiwała czasem w obecności swoich starannie dobranych gości. - Biedna lady Thomas!

A jednak, jak się okazało, nawet państwo Blackett nie zdołali ustrzec

swego kręgu przed inwazją. Od rozpoczęcia działań wojennych w Europie dały się zauważyć coraz to większe oznaki słabnięcia oporu pani Blackett. On, Dupigny, słyszał kiedyś na własne uszy, jak pani Blackett sama zapytała męża, czy nie powinni odstąpić trochę od zasady nie przyjmowania wojskowych w swej jadalni „w interesie Wysiłku Zbrojnego”. Dla paru admirałów, na przykład?

Walter drapał się w brodę dumając nad trudnym pytaniem żony i starając się znaleźć odpowiedź godną szczerego, prostolinijnego człowieka. Otóż, nie, nie sądzi. Ostatecznie nie zmienia się zasad tylko dlatego, że jest wojna. Problem nie polega na tym, że jeden czy drugi admirał nie dojada, ale że jest nudny w towarzystwie. To się nie zmieniło. Bardzo możliwe nawet, że się pogorszyło. Kiedy w Europie szaleje wojna, taki admirał mógłby się nawet poczuć zachęcony do rozprawiania bez końca o sprawach wojskowych kosztem... no, trochę ważniejszych w życiu spraw.

Tak więc pani Blackett nadal wykluczała towarzystwo wojskowych (z wyjątkiem, oczywiście, majora, który udawał cywila i który nie miał żadnego powiązania z wojskiem od dwudziestu lat). Lecz później, po troszeczkę, w miarę jak Hitler opanowywał Europę, alianci zaczęli zdobywać coraz to pewniejszy grunt w ekskluzywnym kręgu towarzyskim Blackettów... tutaj pułkownik, ówdzie dowódca eskadry lotniczej, początkowo w cywilnych ubraniach, a potem już w mundurach.

- I oto dziś mamy przyjemność oglądać marszałka sił powietrznych i generała popijających pahitę razem z nami, jakby to była najnaturalniejsza w świecie rzecz!

Matthew wysłuchał tego wywodu z zainteresowaniem i rozbawieniem. Chciałby usłyszeć coś więcej o Blackettach, a Dupigny był zabawnym towarzyszem. Lecz właśnie zabrzmiał odległy gong obwieszczający, że kolacja gotowa. Joan znikła na kilka chwil, ale powróciła w samą porę, by napotkać pytający wzrok ojca, kiedy wchodzili do jadalni. Walter uniósł brwi, jakby zapytując: „I co sądzisz?” Nikt nie musiał mówić Joan, do czego się odnosiło to pytanie. Zdażyła właśnie wślizgnąć się do stołowego przed wejściem gości, aby poprzestawiać karteczki z nazwiskami przy nakryciach i zapewnić sobie miejsce, gdzie światło będzie szczególnie korzystnie padało na jej długą szyję, delikatne rysy, rzucając korzystny blask na jej czarne loki, gdy na nie patrzeć z określonego miejsca. Uśmiechnęła się do ojca i dyskretnie uniosła kciuk do góry. Walterowi z kolei też nie trzeba było mówić, że jego córka spodziewała się szybko uporać z zadaniem, jakie sobie postawiła.

W drodze do pokoju stołowego Matthew, chcąc pokazać doktorowi szerokość strumienia, w którym kiedyś złowił sporo pstrągów, uderzył panią Blackett w brzuch, tak iż na kilka chwil straciła oddech. Powstało zamieszanie. Matthew został z tyłu, zawstydzony, a inni goście tłoczyli się pomagając jej usiąść na krześle, proponując łyk wody i upominając jeden drugiego, by się odsunął i nie tamował dopływu powietrza. Siedziała łapiąc ustami powietrze. Matthew przyglądał się jej z oddali, zmieszany i zaskoczony - nie sądził, aby mógł ją uderzyć bardzo mocno. Wprawdzie nie czuł już niemal na dłoni zetknięcia z jej ciałem, lecz miał prawie pewność, że nie było to porządne, solidne uderzenie, takie, które mogłoby zwalić panią domu na kolana. Przyszła mu do głowy niecna myśl, że pani Blackett troszkę udaje, ale ostatecznie kobiety to słabsza płeć. Jakkolwiek na to nie spojrzeć, była to bardzo nieprzyjemna historia. Miał bowiem nadzieję, że lepiej mu się ułożą stosunki z państwem Blackett.

Tymczasem doktor Brownley stojący u boku pani Blackett powtarzał:

- Wysoce interesujące... Wysoce interesujące - jakby do siebie i Walter spojrzął na niego pytająco, lecz doktor powiedział te słowa do Matthew, jeszcze nim pani Blackett została ugodzona w brzuch, i teraz je powtarzał. Czasami zdarzało się, że jakieś słowo lub zdanie czepiało się głowy doktora i kołatało w niej godzinami bez widocznej przyczyny. Bywało, że kiedy takie zdanie było bardzo obrazowe, pozostawało w jego umyśle całe dni lub nawet tygodnie. Raz na przykład usłyszał, jak dentysta upomina pacjenta, który najwyraźniej zaniedbywał zęby: „Nos ci się zetknie z brodą!” - Przez kilka tygodni zdanie to, obce, gwałtowne, drapieżne, pożerające wszystkie inne myśli, obijało się po jego głowie jak szczur o ścianki lodówki. „Nos ci się zetknie z brodą!” Już myślał, że nigdy się go nie pozbędzie. Zdusiło je dopiero pragnienie przedmiotu, który zobaczył przypadkiem na wystawie. - Wysoce interesujące - mruknął, gdy pani Blackett, stanąwszy z westchnieniem na nogi, oświadczyła, że już przyszła do siebie i może zasiąść do kolacji.

Wypadek ten, na szczęście błahy, posłużył jednak pożytecznemu celowi. Przypomniawszy Matthew, że musi pilnie uważać na swoje zachowanie przy stole. Nie była to po prostu kwestia manier, chociaż całe lata jadał w samotności, ze wzrokiem wbitym w książkę za talerzem, a nie w talerz (ileż to razy zdarzało się, że jego zamyślenia nie zdołało nawet przerwać coś gorącego czy śliskiego, kawałek ryby z rusztu, dajmy na to, lub wielki zwój spaghetti, który zjechał mu na kolana z trzymanego pod nieodpowiednim kątem widelca), z pewnością pozostawiały wiele do życzenia. Nie, była to raczej tendencja do zbytowego zapalania się w trakcie spokojnej rozmowy, tendencja do wydawania okrzyków drwiny ze zdań współbiedniaków, nadmiernego unoszenia się, gdy uznał ich za winnych mylnego rozumowania lub heretyckich poglądów. Następnego dnia zdałby sobie oczywiście sprawę, że się zachował po chamsku, i byłby pełen skruchy, ale następnego dnia byłoby za późno. Niestety, zdarzało się już w Genewie, że kiedy dawał się ponieść uczuciom, znajdował później drzwi dla siebie zamknięte. Z Blackettami musi uważać na swoje zachowanie!

Państwo Blackett często zastanawiali się, jak Matthew spędził czas po opuszczeniu Oksfordu. Czemu jego rzadkie listy były wysyłane z hoteli z dalekich zakątków Europy? Co takiego gnało go przez te wszystkie graniczne niczym potępioną duszę, gdy inni w jego wieku zwykle decydują się osiąść we własnym domu? I kiedy stawiano mu te pytania, pani Blackett, wyglądająca już na zmęczoną po swoim ciężkim przeżyciu, spoglądała wokół stołu, aby się upewnić, że wszystko w porządku. Jej wzrok zatrzymał się na chwilę na pustym krześle przy Joan i przez jej twarz przemknął cień zatroskania. Tymczasem boje wnieśli półmiski z marynowaną rybą i częstowali nią wszystkich gości po kolei.

Och, odpowiedź jest prosta, wyjaśnił Matthew, grzebiąc w ciemnej fali octu i pieprzu. Pracował dla organizacji charytatywnej w Genewie zwanej Komitetem Porozumienia Międzynarodowego, powiązanej luźno z Ligą Narodów.

- Drogi chłopcze - rzekł Walter - bardzo bym się zdziwił, gdyby mi powiedziano, że choć jedna z tych organizacji charytatywnych zrobiła coś, co by przyniosło komukolwiek jakąś praktyczną korzyść. Genewa, jeśli chcesz znać moje zdanie, jest miastem hipokrytów i pustosłowia i to wszystko, co o niej można powiedzieć. - Zawahał się, bo zdawało mu się, że Dupigny wywraca ze zgrozy oczyma na tę opinię o Genewie, niemiałą zapewne dla byłego urzędnika *Ministère des Colonies* - ale być

może powodem skrzywienia były opary octu unoszące się znad półmiska z marynowaną rybą, którą go właśnie częstowano. Z ponurą miną wyłowił łyżką kawałek ryby, chwilę się jej przyglądał, powąchał, a potem upuścił z powrotem na półmiskę, dając boyowi znak, że jej nie chce.

- Te idealistyczne komitety są czystą stratą czasu, a co do samej Ligi...

Matthew żuł rybę spokojnie, mimo że normalnie podobna uwaga sprowokowałaby go do zażartej kłótni — jakie to szczęście, że przed chwilą przypomniał sobie swoje słabości! Ponadto Walter miał w pewnym sensie rację. To prawda, że Komitet Porozumienia Międzynarodowego, który był tylko jednym z setek skorupiaków przywierających do kadłuba (już i tak głęboko zanurzonego) wielkiej Ligi Narodów, nie osiągnął żadnego widocznego sukcesu w tych wszystkich latach, gdy on tam pracował. W początkowym okresie Matthew spędzał całe godziny na pisaniu listów do polityków usiłując ich nakłonić do przyzwoitego zachowania w interesie „społeczeństwa świata”. Na listy te nieodmiennie odpowiadali w sposób mglisty, lecz bardzo uprzejmy prywatni sekretarze, którzy usiłowali dać do zrozumienia, że są podstawy do optymizmu. Lecz jeśli chodzi o jakąś konkretną poprawę, to już całkiem inna sprawa! Jedno, co można było powiedzieć na pewno, to że „hen, tam” (Matthew spędzał godziny tej pierwszej zimy w Genewie na spoglądaniu za ociekające deszczem okno swego biura na jezioro), w świecie realnym, istnieje coś na kształt kontrkomitetu złożonego z prywatnych sekretarzy, których wysiłki w pisaniu listów odzwierciedlają ściśle jego własne i z czego stopniowo zaczął sobie zdawać sprawę - są równie bezowocne.

A jakim ponurym miejscem była ta Genewa! Przy tym nieustannym deszczu, przez który chwilami, jeśli się miało szczęście, można było dostrzec masyw Grand Salève po drugiej stronie jeziora, ostrym wietrze znad doliny Renu ubijającym fale na szarą pianę pod niskim nawisem chmur, uczuciu przygnębienia, jakie zalegało nad miastem w czasie nie kończących się zimowych miesięcy, Genewa nie była dobrym miejscem dla eksperymentu, jaki się tam odbywał, najbardziej idealistycznego, najwspanialszego, najbardziej porywającego i wzniosłego wysiłku, aby wprowadzić rozsądek i równość w stosunkach między narodami. I wydawało się Matthew, że stopniowo poczynania Zgromadzenia z miriady komitetów i podkomitetów emitujących

nych rezolucji i różniących się punktów widzenia, które gęsto spowijały ich dobre intencje jak mgły Grand Salève, zaczęły przypominać genewską pogodę. Całymi miesiącami nic nie było widać przez zasłony deszczu, który się lał z nieba, lecz nagle, jakby cudem, chmury zniknęły, zaczynało świecić słońce i pojawiał się Mont Blanc, biały i błyszczący, daleko za wodą. Jakże jednak rzadko rozpraszały się mgły spowijające poczynania Zgromadzenia! W te rzadkie dni - jednym z takich było otwarcie wielkiej Konferencji Rozbrojeniowej w 1932 roku - Matthew odnosił wrażenie, że jest świadkiem dokonującego się zwrotu w dziejach ludzkości. Nie miał racji, jak się okazało, i teraz był smutniejszy i na pewno starszy, jeśli niewiele mądrzejszy.

- Czy ktoś wspominał o Genewie? - zapytał Brooke-Popham, który dotychczas zajęty ogromną porcją ryby, właśnie zdołał się z nią uporać i mógł teraz przyłączyć się do rozmowy. - Poznałem onegdaj młodego faceta, który spędził tam parę lat. Mówił, że to diabelna dziura. Jak on się nazywał? Pamięć już nie ta, co kiedyś. Amerykanin. Kapitałny gość. Bardzo grzeczny. Chwileczkę. Pułkownik... nie, kapitan Erinmore. Nie. Wiesz, o kim mówię, Walter? Mówił, że zna ciebie i twoją uroczą córkę. Herringport. Nie... Niech się zastanowię...

- Nie sądzę, abym miał przyjemność go znać, sir Robercie - rzekł Walter nieco oschle, wymieniając szybkie spojrzenie z Joan. Cały stół, włącznie z Matthew, patrzył na Brooke-Pophama jak zahipnotyzowany.

- Wiem... — rzekł Brooke-Popham. Przez jego słuchaczy przebiegło drżenie, a Joan lekko pobladała czekając na słowa głównodowodzącego. Słowa te jednak nie padły i stało się jasne, że Brooke-Popham, znużony długim dniem pracy, zdrzemnął się na chwilę. Drzemającego zwierzchnika zastąpił zrećnie w rozmowie jego oficer sztabowy, generał, którego nazwiska Matthew nie dosłyszał. Wdał się w przydługie wspomnianie nie tyle Genewy, ile jeziora Maggiore, gdzie przebywał na urlopie w roku 1925 z żoną, która była córką chrzestną żony Chamberlaina. Stało się to szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie był tam bowiem nigdy ani przedtem, ani potem, w historycznym październiku lokarneńskim! Jakież niezwyklej sceny był tam świadkiem! Wieśniacy w pobielonych kurzem ubraniach schodzili z okolicznych wzgórz z ogromnymi, pełnymi winogron koszami w kształcie kapturów na plecach. I sam Chamberlain, dziwnie wyglądająca postać wśród tych synów znoju. Ach, generał miał tę scenę wciąż przed oczyma, jakby to się zda

rzyło wczoraj, w jesiennym słońcu błyszczał monokl Chamberlaina siedzącego na szkarłatnych poduszkach czerwonego Rolls-Royce'a, którego długie, srebrne trąbki raz po raz czyściły swe metalowe gardziele, aby przepędzić wieśniaków z drogi - maszyna ta, niegdyś własność maharadzy, była tu wynajmowana do różnych celów.

- Ale... - zaczął Matthew, w którym mimo uprzednich postanowień wzbierało oburzenie.

Generał jednak nie doszedł jeszcze do głównego punktu swoich wspomnień, które dotyczyły ni mniej, ni więcej, tylko zaproszenia Chamberlaina, aby generał wraz z żoną towarzyszyli mu w wycieczce dla uczczenia dnia urodzin pani Chamberlain, wycieczce uroczu zaplanowanej przez Brianda i jego przyjaciela, Loucheura - wynajęli oni na tę okazję włoski stateczek parowy „Fleur d'Oranger”. W czasie tej zachwycającej, niezwyklej przejażdżki po jeziorze generał i jego żona obracali się wśród wszystkich najważniejszych delegatów na Konferencję, takich jak Skrzyński i Benesz, brodaty i w okularach Belg w obwisłym kapeluszu, Vandervelde, Niemiec o grubym karku i ogolonej głowie, Stresemann, z rozognionymi od słońca i szampana bliznami po ranach otrzymanych w pojedynku... niezapomniany dzień! Oczyma duszy generał wciąż widział Loucheura o okrągłej twarzy, z lekka fryzowanym czarnym wąsikiem wiktoriańskiego kelnera, chichocącego przy bezustannie lejącym się szampanie. No i dla ukoronowania wszystkiego Mussolini, jak zawsze z pompą i paradą, dokonał dramatycznej eskapady samochodem wyścigowym z Mediolanu do Stresy, a stamtąd ślizga- czem do Locarno!

A potem, tu głos generała stał się uroczysty, następnego dnia, w gęstniejącym zmierzchu jesiennym zebrał się pod ratuszem wielki tłum wieśniaków. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Traktat został podpisany! Przyniesiono dokument jak świętą relikwię do okna i pokazano tłumowi. Wzniósł się pod niebo wielki okrzyk. Rozdzwoniły się dzwony kościelne, kobiety płakały i wznosiły modły. Traktat został podpisany!

- Ale spójrzcie na rezultat! - wykrzyknął Matthew z rozognionymi policzkami. - „Złożonymi niżej podpisami potwierdzamy pragnienie pokoju”, oświadczył Briand i nie minęło piętnaście lat, a Francja i Niemcy znów są w stanie wojny i z nimi reszta Europy. A powód tego jest taki: Locarno było starym sposobem załatwiania spraw. Zakulisową dyplomacją wielkich mocarstw. Whitehall i Quai d'Orsay, i Wil- helmstrasse znów stosują swoje dawne sztuczki...

- Wiem, on się nazywał Herringdorf! - wykrzyknął Brooke-Popham budząc się nagle, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi, więc znów się zdrzemnął.

- I tak to się odbywa. Tak się zawsze odbywało. Jeżeli Lidze nie udało się zapobiec tej wojnie, stało się tak dlatego, że Wielka Brytania, Francja, Włochy i Niemcy głosząc za ideą Zgromadzenia Międzynarodowego, które by rozstrzygało spory między narodami, nie były nigdy przygotowane do podporządkowania się jego władzy. Ani też dania mu potrzebnej władzy. Kto mógł brać Ligę poważnie, skoro prawdziwe interesy nie były załatwiane w Genewie, lecz na pokładzie parowca spacerowego na jeziorze Maggiore! Wielkie mocarstwa ściągnęły to straszne zniszczenie na własne głowy, ponieważ ich niewypierzeni ministrowie spraw zagranicznych rekrutujący się z półgłówków z wyższych sfer, którzy mają znacznie więcej wspólnego wzajem ze sobą niż ze swoimi rodakami, woleli zawierać cyniczne traktaty niż nadać realny sens swemu członkostwu w Lidze.

- Spokój, wiara! — rzekł Walter wcale nie przejęty nieszczęsną tyradą Matthew.

Twarz Matthew zaczerwieniła się podczas mówienia. W podnieceniu owinął serwetkę wokół zaciśniętej pięści i potężnym hakiem ugodził w spód stołu, tak iż jego końcowym słowem towarzyszyło miniaturowe trzęsienie ziemi powodując, że kieliszki zatańczyły na obrusie. Pani Blackett, boleśnie zdumiona tym wybuchem, który według niej nie miał żadnego rozsądnego uzasadnienia, spojrzała na męża znacząco, chcąc go przestrzec przed kontynuowaniem dyskusji. Lecz Walter spokojnie przytrzymał ręką dzwoniące kieliszki koło własnego talerza i rzekł z uśmiechem:

- Silne narody, Matthew, będą zawsze wykorzystywały narody słabe, jeśli będą mogły czynić to bezkarnie. To prawo natury. Ostatecznie, dezaprobata Ligi nie powstrzymała Japonii przed zagarnięciem Mandżurii...

- O właśnie! - wykrzyknął Matthew. - Ponieważ nikt Ligi nie poparł. Ponieważ sir John Simon i Ministerstwo Spraw Zagranicznych woleli przymknąć oczy na tę krzyczącą niesprawiedliwość wobec Chin i udzielić milczącego poparcia Japonii!

- Nawet bez milczącego poparcia Wielkiej Brytanii Japonia nie zmieniłaby swego postępowania. François, ty jesteś ekspertem w tych sprawach, jakie jest twoje zdanie?

- Moim zdaniem sprawa jest prosta. Silne narody będą zawsze wykorzystywały słabe. Będą zawsze dbały tylko o własne interesy. Niewątpliwie życie byłoby lepsze, gdyby narody i ludzie kierowali się zasadami, a nie własną korzyścią, ale... niestety jest inaczej. Byłoby niemądrze sądzić, że tak nie jest.

- Własną korzyścią! Ale przecież rząd ma obowiązek działać zarówno w moralnym jak i materialnym interesie swojego narodu! - Twierdzenie to jednak przyjęto jedynie współczującymi uśmiechami. Sprawa została ku ogólnemu zadowoleniu rozstrzygnięta.

Matthew był wciąż w stanie niebezpiecznego podniecenia, co mogło spowodować, że zada nowy i może nawet śmiertelny cios delikatnemu stołowi z drzewa różanego, lecz zdołał się opanować. Zdawał sobie sprawę, że już i tak zrobił z siebie niezłe widowisko. Ponadto słyszał tego rodzaju poglądy bardzo często. Odwinął serwetkę z pięści i wepchnął głębiej na nos okulary, patrząc ze smutkiem po twarzach ludzi siedzących przy stole. Kate, która się nudziła, spytała szeptem matkę, co będzie na deser. Wszyscy się roześmieli i odprężyli, nawet Matthew, choć nadal był przygnębiony. Uświadomił sobie, że Joan patrzy na niego ponad stołem, i pomyślał, że jest bardzo piękna w tym świetle, które rzucało blaski na jej włosy i modelowało cieniem delikatne rysy jej kości policzkowych. Dziwiło go i zenuowało, jak ta ładna, lecz niewzruszona i może nawet dość ospała dziewczyna potrafi nagle ożywić się i rozsiewać wokół silny urok, tak jak świetliki, odbywające gody o zmierzchu w ciepłym klimacie, świecą z przerwami, aby zasygnalizować swą obecność potencjalnemu partnerowi. Nic więc dziwnego, że jak mówiła Kate, jej starsza siostra łamała serca młodych ludzi w kolonii: widocznie nic na to nie mogła poradzić, tak samo jak robaczek świętojański nie może przestać świecić.

- Nos ci się zetknie z brodą! - mruknął doktor do siedzącego obok Brooke-Pophama.

- Co? - spytał głównodowodzący budząc się nagle i patrząc na niego ze zdumieniem.

- Często rozmawialiśmy z twoim ojcem na te tematy - rzekł Walter, który nie mógł się oprzeć, by nie dodać kilku ostatnich poprawek do dyskusji - i obaj byliśmy zdania, iż źle lokowany idealizm bardzo podkopał siły naszego narodu w ostatnich dwudziestu latach. Pacyfizm głoszony od czasów wojny światowej przez naszych przyjaciół o przekonaniach socjalistycznych spowodował upadek prestiżu brytyjskiego, a co gorsza, upadek sił naszego narodu. Nasi wrogowie dostrzegli w tym zachętę do popróbowania szczęścia. - Spostrzegłszy, że głównodowodzący nie drzemie, Walter dodał: - Co pan o tym sądzi, sir Robercie? Czy plotę głupstwa?

- Z całą pewnością nie, Walterze - odparł Brooke-Popham ocierając serwetką wąsy, na których błyszczało kilka kropli octu. - Dość posłużyć się przykładem z roku 1932. Czy to zbieg okoliczności, że w tym samym roku nastąpił bunt floty brytyjskiej i japońska napaść na Dzielnicę Międzynarodową w Szanghaju? Z całą pewnością nie. Jedno wyraźnie łączy się z drugim. Ponadto nasi socjalistyczni bracia rozszerzają swoje wpływy w Ministerstwie Wojny. Utrzymanie floty równej flocie japońskiej i głupia doktryna „Dziesięciu lat bez wojny” były smutnym rezultatem dawania posłuchu ich zdradzieckim wezwaniom. - Głównodowodzący powiódł promiennym spojrzeniem wokół stołu, aby mu jego poglądów nikt nie wziął za złe, nawet ci, którzy się z nimi nie zgadzają. Jego przyjazne spojrzenie nie ominęło też pieczeni wołowej, którą właśnie wniesiono i postawiono przed Walterem, aby ją pokroił.

- Wziąwszy wszystko razem - ciągnął Brooke-Popham - to dobrze, że Japończycy nie mają takich myśliciów jak nasz Brewster Buffalo, w przeciwnym razie mogliby się pokusić, aby spróbować czegoś w tej części świata. - Zawahał się. - Nie znaczy to, oczywiście, że możemy sobie pozwolić na zbytnią pewność siebie - dodał i czoło mu się nieco zachmurzyło. Od kilku dni napływały meldunki o zwiększonych transportach do zatoki Camran, a nawet o ładowaniu łodzi desantowych w Saj-gonie. Cóż, przydomek „Waleczny Popham” nie został mu nadany na darmo. Westchnął myśląc, jak trudna jest nowoczesna sztuka wojenna. Nie taka, jak za dawnych dni! Był zmęczony - chętnie by wrócił do swojej kwatery w hotelu Sea View. Może uda się na przechadzkę po hotelowym trawniku przy piaszczystej plaży (choć najeżonej ostatnio zasiekami z drutu kolczastego i stanowiskami karabinów maszynowych), żeby się trochę uspokoić przed zaśnięciem. Chciał, by w jego sny nie wtargnęła żadna łódź desantowa i nie rozpekła się w nich jak dojrzała łuska z nasion kami.

Nie wiadomo czemu nastrój melancholii spadł na stół niczym łagodny śnieg na alejkę rzeźb w parku, gromadząc się białymi zaspami na głowach i ramionach i zacierając indywidualne rysy. Nabierając sobie dwa ślicznie przypieczone kartofle, Matthew znów wspomniawszy Genewę, dumając nie bez goryczy o latach, które spędził podróżując jako poseł Komitetu Porozumienia Międzynarodowego. Rzecz bowiem w tym, że ci, w których rękach spoczywają losy narodów, pozostawali tak samo niedostępni, gdy zjawiał się osobiście, jak wtedy, gdy pisywał do nich listy. Spędził te dwa lata przemierzając korytarze wspaniałych hoteli (wszelkim poczynaniom Komitetu towarzyszył największy luksus, jakby najłżejsza sugestia potrzeby oszczędzania mogła splamić jego szczere ideały), czekając na wezwanie jakiegoś pomniejszego urzędnika tej czy innej ambasady. W tych rzadkich przypadkach, gdy stawał twarzą w twarz z samym mężem stanu, zawsze okazywało się, że ów mąż stanu był na wygnaniu lub w niełasce albo uważał, że Komitet posiada większe wpływy niż w istocie, lub też do spotkania dochodziło wskutek nieporozumienia.

W Japonii, dokąd pojechał w roku 1937, aby zalecić ostrożność odnośnie „Chińskiego incydentu”, spotkał się z wyższym oficerem armii japońskiej. Oficer wysłuchał grzecznie, co Matthew miał do powiedzenia, ale sam wstrzymał się od wszelkich uwag. Matthew zapytał go, czy uważa wojnę między Ameryką a Japonią za możliwą. Oficer odpowiedział, że w tej kwestii zgadza się z poglądem cesarza. A jaki, zapragnął wiedzieć Matthew, jest pogląd cesarza? Niestety, odparł oficer bez zmruczenia oka, pogląd cesarza w tej kwestii jest mu zupełnie nieznanym.

Mniej więcej od tego czasu datowało się jego rosnące poczucie beznadziejności odnośnie zadań Komitetu. Po tej wizycie w Japonii Matthew zaczął sporo czytać w podróżach i chociaż nadal wypełniał sumiennie swoje obowiązki, nie angażował się w sprawę tak głęboko jak niegdyś. Zabierał teraz z sobą książki, ilekroć szedł do urzędów państwowych - mniej ważnych interesantów zwykło się tam trzymać dłuższy czas w pustych przedpokojach, aby ochłonęli przed wizytą. Zdarzało się, że gdy go w końcu wzywano przed oblicze dygnitarza, tak był pochłonięty lekturą, że patrzył ze zdziwieniem nie mogąc przez chwilę pojąć, czego od niego chcą.

Naprzeciw Matthew siedział z głową wciśniętą w ramiona Brooke-Popham, zastygły w pozie znużenia, i wspominał dawne czasy. Jaka to była zabawa, kiedy pojechali do Francji w 1914 roku! Nie tak jak dziś, gdy każda inicjatywa zostaje unicestwiona przez jakieś administracyjne błahostki. W tamtych czasach Korpus Lotniczy musiał się zająć jedynie rozpoznaniem - poruszali się po kraju jak wędrowny cyrk szukając odpowiedniego pola, które mogliby w razie potrzeby użyć na lotnisko. A w czasie odwrotu spod Mons to dopiero był cyrk - wyruszało rano daimlerem na poszukiwanie odpowiedniego pola, a później tego samego dnia przylatywały samoloty i lądowały na nim. Cała obsługa lądowa przyjeżdżała za nimi z paliwem i warsztatami polowymi załadowanymi na cudaczne zbiorowisko ciężarówek, lor na nie ogumionych kołach i wozów meblowych, wynajętych w Londynie od rozmaitych firm... kryta ciężarówka, którą pożyczali od Maple'ów, firmy meblowej, z niewiadomych przyczyn wciąż się psuła... Co do daimlera i innych samochodów, wypożyczali je od oficerów i różnych cywilów. Wspominał dzień, kiedy on i Maurice Baring wyruszyli razem daimlerem w mglisty jesienny poranek i koło południa znaleźli odpowiednie pole na płaskowyżu za wsią o nazwie Sailly. Wzięli się zaraz do pracy i przenieśli sterty zboża na skraj pola, aby maszyny mogły lądować. A potem w drodze do Senlis kupił dla kasyna mosiężny dzwon o pięknym tonie. Zrobiło się ciemno, nim dotarli do Senlis, i wielki żółty sierp księżycy wznosił się nad zamglone pola i topole. Baring powiedział, że ten widok przypomina mu Corota. Jaka piękna była jesień w 1914! Jasny, złoty blask kładł się na żółte pola, na farmy i sady pełne owoców. Wystarczyło, żeby zamknął oczy, a zaraz widział grupkę pilotów w Saponay, leżących na słomie i gwarzących po locie rozpoznawczym, albo drgające z gorąca powietrze nad ścierniskiem o południu.

- Grosik za pańskie myśli, sir - rzekł generał słysząc westchnienie zwierzchnika.

- Ech, dawne dzieje, Jack - odparł Brooke-Popham chrząkając w przygnębieniu.

Matthew, przywykły do racjonowania żywności, uznał pieczeń wołową za niezwykle apetyczną i nawet zastanawiał się, czy ma szansę na drugi kawałek. Jednakże siedzący obok niego Dupigny spoglądał na

swój talerz z powątpiewaniem, dziobiąc mięso widelcem to z tej, to z innej strony.

- To pieczeń wołowa - oznajmiła pani Blackett.

- Tym niemniej - rzekł Dupigny półgłosem do Matthew - można tu nieraz dostać do jedzenia coś naprawdę dobrego. Dzisiaj nie mamy szczęścia. Ale czasem, gdy Walter zaprasza swoich przyjaciół kupców z Singapuru, kucharz zdobywa się na un petit effort. A wtedy, ach! Wyobrażasz sobie, że jesteś w renesansowej Italii i siedzisz przy stole wśród kupieckich książy. Tu, w Singapurze, jest bardzo wielu tego rodzaju ludzi. Nazwy ich handlowych imperiów dźwięczą jak sławne miasta-państwa, nie sądzisz? Sime Darby! Harrison i Crosfield! Maclaine Watson i Spółka! Langfield i Bowser! Guthrie i Spółka! A największe z nich wszystkich, zawisłe nad Dalekim Wschodem jak dom Medyceuszów nad Toskanią, to Jardine Metheson! Nie powinniśmy też zapominać o firmie Blackett i Webb, bowiem Walter Blackett, na swym zwykłym miejscu u szczytu stołu, sam również książę-kupiec, przyduje nad tym zjednoczeniem bogactwa i władzy, jakby był papieżem Leonem X! To dopiero rzecz warta obejrzenia!

Bieg wyobraźni Dupigny'ego został przerwany nagłym hałasem za drzwiami. Walter podniósł się z miejsca, lecz zanim zdolał wykonać ruch, drzwi się otworzyły i do pokoju wsunął się tyłem, jakby właśnie wywinął się z uchwytu kogoś, z kim się szamotał za drzwiami, jakiś mężczyzna. Przez chwilę jakby oczekiwał dalszego natarcia ze strony niewidocznego napastnika, ale ponieważ nie nastąpiło, wyprostował się i przyglądał włosy. Drzwi zamknęła cicho jakaś niewidzialna ręka z zewnątrz.

- Przepraszam za spóźnienie, Walter - rzekł bełkotliwie. - Gdzie ja siedzę?

- Ouelle horreur! - szepnął Dupigny z oczyma świecącymi złośliwą przyjemnością. - C'est Charlie, le frère de Madame Blackett. Et ivre mort, en plus!

Charlie ubrany był jedynie w kremową koszulę flanelową, rozpiętą pod szyją, i szare spodnie. Na nogach miał tenisówki z rozwiązanymi sznurowadłami. Jego niedbały wygląd oraz fakt, że lekko dyszał, sugerował, iż Charlie jest właśnie po jakichś męczących wyczynach sportowych. Matthew nie mógł się dopatrzeć żadnego podobieństwa rodzinnego między nim a panią Blackett. Poza tym Charlie był wyraźnie o jakieś dwadzieścia lat młodszy. Mimo to miał jak ona blond loki okalając

ce twarz, która nosiła ślady młodzieńczej urody. Bardzo by mu się przydała wizyta u fryzjera.

Monty szybko obszedł stół i wziął go pod ramię kierując na wolne miejsce obok Joan. Charlie rozejrzał się wodnistymi oczyma po stole mruczając na wpół do siebie:

- Cieszę się, że jeszcze nie wszystko zżarliście.

- Właśnie dowiedzieliśmy się, Charlie - powiedziała pani Blackett - że Matthew niedawno opuścił Genewę, pracował w Lidze Narodów.

- Ach tak, naprawdę? - wymamrotał Charlie znad półmiska z pieczeni, który przed nim postawiono. - Jestem pewien, że cholernie dużo... - Reszta zdania została zduszona pierwszym kęsem pieczeni.

- Wcale nie tak niedawno - rzekł Matthew z uśmiechem i wyjaśnił, że Komitet Porozumienia Narodowego, widząc walącą się wokół Europy i naturalnie przerażony ogromem nieporozumienia wywołanym wybuchem wojny, postanowił się rozwiązać w 1940 roku. - Prawdę mówiąc, cały ubiegły rok przepracowałem na farmie. Ze względu na mój słaby wzrok nie wzięto mnie do wojska.

- Le „Oranie dla Zwycięstwa”, alors? - zasugerował Dupigny. - Rzecz oczywista, dostawy żywności są nie mniej ważne od dostaw amunicji - dodał uspokajająco.

Tymczasem Walter, przełknąwszy irytację wywołaną sprzecznym z przyjętymi zasadami spóźnieniem szwagra, wdał się w rozmowę z Bro-oke-Pophamem, ponieważ głównodowodzący zdołał otrząsnąć się z melancholii i chociaż senny, nie drzemał. Dla kogoś takiego jak on, tłumaczył Walter, który zajmuje się prowadzeniem firmy handlowej, wojna z Japonią już się właściwie rozpoczęła. W tej wojnie, prowadzonej w sposób niewidoczny i w milczeniu za pomocą ograniczeń, niżek cen i ukradkowej inwazji na tradycyjne rynki, firma Blackett i Webb nie tylko znalazła się na linii frontu, lecz walczy o swoje życie. Od zakończenia pierwszej wojny światowej postępuje stałe okrażanie handlu brytyjskiego na Dalekim Wschodzie. Ataki japońskie na brytyjskie rynki tekstylne spowodowały, że w 1934 roku Westminister wprowadził ograniczenia importowe na bawełnę i towary ze sztucznego jedwabiu przeznaczone dla Malajów. Nic dziwnego, że Walter i inni kupcy singapurscy zaprotestowali w Ministerstwie do Spraw Kolonii, że się poświęca ich interesy handlowe, bo Lancashire nie jest zdolny stawić czoła intensywnej konkurencji Japonii. Walter umilkł i w panującej ciszy dał się słyszeć leciuteńki zgrzyt zębów. Przypomniał sobie bowiem, że Solomon

Langfield, wielki importer bawełny z Lancashire, pochwałił te ograniczenia. Łotr bez zasad! Na grzbiecie Waltera, pod bawełnianą koszulą z Lancashire, zjeżyła się szczecina.

Walter powiódł ponurym spojrzeniem po rodzinie i gościach, jakby w jakiś sposób byli odpowiedzialni za ten oplakany stan rzeczy. Patrzyli na niego jak zahipnotyzowani. Tylko Monty, który niewątpliwie słyszał to już nie raz, bawił się widelcem i stłumił ziewnięcie.

- Chciałbym wiedzieć jedno: czy naprawdę można potępiać Japończyków? - spytał Walter. Jego goście wymienili zdumione spojrzenia, które mówiły: „Oczywiście, że można potępiać Japończyków. Czemu by nie?”*

-Bo ostatecznie oni też walczą o życie. Tak są uzależnieni od jedwabiu i bawełny, że gotowi byli zrobić wszystko, aby je sprzedać. W roku 1933 przeciętna cena japońska za jard bawełny wynosiła dziesięć centów, zaś lancashirska osiemnaście, dziewiętnaście centów, niemal dwa razy więcej! Zwróćcie uwagę, że Japończycy wykorzystali wszelkie kruczki, aby ominąć ograniczenia importowe. Ponieważ wyroby bawełniane, na przykład, nie zostały objęte ograniczeniami, natychmiast zaczęły przybywać do Singapuru poszewki na poduszki, w które można by oblec chociażby całe domy... piżamy pasujące na słońce... koszule na dwudziestu chłopca... a wszystko tak pomyślane, że można to z łatwością spruć i wykorzystać w naszych zakładach w miejscach bawełny lancashirskiej. Szczerze mówiąc podziwiam ich pomysłowość. Czy można ich za to winić?

- Handel to handel, Blackett - rzekł generał dość szorstko. - Ale nie zamierza pan chyba im darować zagarnięcia Mandżurii i podboju Chin. Pana firma z pewnością również ucierpiała w wyniku zamknięcia przez Japończyków Otwartych Drzwi.

Walter pokiwał głową i uśmiechnął się.

- To prawda. Ucierpieliśmy, lecz spójrzmy na to z punktu widzenia Japończyków. Czy można ich winić za rozszerzenie swoich wpływów na Chiny i Mandżurię? Ostatecznie żądania, jakie wysuwali od 1915 roku... dzierzawy Port Arthur i Dairen, południowo-mandżurskiej linii kolejowej i linii Antung-Mukden, wpuszczenia japońskiego kapitału do Mandżurii i Wschodniej Mongolii, co one wam przypominają? Są wyborną imitacją imperializmu ekonomicznego poprzez żądania specjalnych przywilejów, które Wielka Brytania wysuwała w Azji od... no,

odkąd ojciec tego młodego człowieka założył naszą firmę w roku 1880.

- Ale czy to wystarczający powód, aby Japonia dokonała inwazji Chin? - pragnął wiedzieć generał.

Walter potrząsnął głową.

- Jako biznesmen świetnie rozumiem, czemu Japończycy musieli wtargnąć do Chin w 1937 roku. Chiny, z handlowego i inwestycyjnego punktu widzenia, przedstawiały chaos. Żaden średnio doświadczony biznesmen, patrząc na nacjonalistyczne Chiny, nie dostrzegłby w nich niczego, co by budziło ufność. Kuomintang pragnął położyć kres przywilejom cudzoziemców. Pragnął, aby obszary Koncesji Zagranicznej w Szanghaju, Tiencin i innych ośrodkach zostały zwrócone Chinom. Chciał, aby obcokrajowcy przestali mieć własne sądownictwo i pobierać własne podatki w Chinach. Nie, handel musi istnieć, bez względu na cenę. A biznesmeni muszą czuć się bezpieczni. Czyż można więc winić Japończyków?

- Bezpieczeństwo handlu nie daje nikomu prawa do inwazji i zabijania swych sąsiadów! - zaprotestował Matthew.

- Mój drogi chłopcze, zgadzam się z tobą całkowicie. Ale przychodzi taki moment, w którym sprawiedliwość przestaje się liczyć. Spójrz na tę sytuację z japońskiego punktu widzenia. Dla nich była to sprawa życia i śmierci, bo kiedy Kuomintang zagroził ich inwestycjom w Chinach, stanęli wobec katastrofalnych skutków krachu ekonomicznego w kraju. W 1929 roku czterdzieści procent całego eksportu japońskiego stanowił surowy jedwab. Wystarczył upadek amerykańskiej prosperity i co za tym idzie, spadek popytu na jedwab, by gospodarka japońska stanęła w obliczu katastrofy. Niemał z dnia na dzień eksport jedwabiu surowego został zmniejszony o połowę. Sprzedaż bawełny i fabrykatów bawełnianych poszła w ślad za nim! Co mieli robić? Siedzieć u siebie i głodować? Nie bądźmy naiwni, mój chłopcze. Sprawiedliwość zawsze musi zejść na drugi plan wobec konieczności. Silne narody trwają. Słabe bezwzględnie idą pod ścianę, tak zawsze było na świecie i zawsze będzie! Rzecz w tym, czy wolno nam winić silne narody za to, że biorą sprawę w swoje ręce? Z gospodarczego punktu widzenia Japończycy znaleźli się w opałach. A teraz, zważcie, mając zamrożone kapitały i trudności ze zdobyciem surowców, popadli w jeszcze większe tarapaty. Uważam, że Amerykanie powinni dać im te surowce. Bo cóż innego pozostaje Japończykom, jeśli nie wzięcie tych surowców siłą? - Spostrzegłszy, że głównodo

wodzący wygląda, jakby zapomniał języka w gębie, dodał taktownie: - Co wcale nie znaczy, że im się to uda w tej części świata.

- Japończycy są tacy drażliwi i arogancy, bo jedzą za dużo ryb - rzekł Brooke-Popham. - To naukowo udowodnione. Jod zawarty w ich diecie działa cholernie na ich tarczycę. Nie mają na to rady. Uważam więc, że nie można ich winić.

Na stole pojawiło się ostatnie danie - całkiem apetycznie wypieczony pudding chlebowy. Matthew przyglądał mu się z zaskowaniem, nie wiedział bowiem, czy nie okaże się zbyt niezwykły jak na gust Dupigny'ego. Niepotrzebnie się jednak martwił, ponieważ ku jego zdziwieniu pudding bardzo Dupigny'emu zasmakował. Francuz zjadł aż dwie porcje obficie polane jasnożółtym sosem i nawet zapytał o jego przepis. Pani Blackett, ujęta tym entuzjazmem, podała: czerstwy chleb, rodzynki, cukier, jajko, trochę mleka i szczypta gałki muszkatołowej.

- Niewiarygodne - mruknął Dupigny z uniesionymi grzecznie brwiami.

Brooke-Popham powrócił znów myślami do lata 1914 roku, do przywołanej na pamięć obecnością Dupigny'ego Francji. Zachichotał w duchu na myśl, jak prymitywne były sposoby załatwiania wszystkiego. Nosił z sobą nowiuteńką walizeczkę pełną złota, gdziekolwiek się udawał, płacąc złotem za wszystko - od nowych samolotów po części zamienne, kurczęta i wino dla kasyna sztabu. A te godziny spędzone na strzeżeniu walizeczki! Kiedyś pojechał z Baringiem daimlerem do Paryża i udał się do fabryki Blériota, aby kupić nową maszynę latającą. A potem kupili nowe opony i reflektory do daimlera. Zapłacił za nie, ku zdumieniu sprzedawcy, złotem. „Anglicy to zdumiewający ludzie!” - rzekł po francusku do Baringa, który znał ich bełkot. To były wspaniałe czasy! Brooke-Popham złożył serwetkę tłumiąc ziewnięcie i widząc oczyma duszy przyzywające go kołysaniem palmy Katongu i hotel Sea View. „Życie jest dobre” - pomyślał.

Zabrano ogromny półmisek z puddingiem. Kolacja dobiegła końca. Przed Charlie'm postawiono szklanek wody i dużą białą pigułkę. Przez cały czas posiłku Charlie pałaszował jedzenie zawzięcie z twarzą opuszczoną nisko nad talerzem i nawet nie próbował włączyć się do rozmowy. Skończywszy jeść zaczął trenować nad obrusem backhand niewidzialną rakieta. W pewnej chwili zawadził nadgarstkiem o szklanek z wodą i przewrócił ją. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia.

_ [- Sama się nim teraz zajmij - rzekł Walter z gniewem do żony, wstając z krzesła.

- Doprawdy, wuju Charlie, coś ty nawyprowadził? — powiedziała Kate, kładąc uspokajająco dłoń na jego ramieniu. -I wcale nie zażyłeś pigułek. - Goście wyszli w milczeniu jeden za drugim z pokoju pozostawiając Charlie'ego spoglądającego posepnie na zalany obrus.

Matthew chętnie położyłby się teraz do łóżka - miał za sobą długi i męczący dzień. Lecz wyglądało na to, że Blackettowie jeszcze z nim nie skończyli, Monty bowiem zaproponował krótki spacer po ogrodzie. Wyszli razem w ciepłą, wonną noc, z towarzyszącą im sennością Joan, która ponownie skryła ziewnięcie za lakierowanymi na szkarłatno paznokciami. Ptaki cicho pokrzykiwały, owady brzęczały furkocząc skrzydełkami, a raz nawet coś niby płachta czarnego aksamitu przemknęło lotem ślizgowym i zniknęło na tle ugwieżdżonego nieba. Rodzaj nietoperza owocożernego, wyjaśniła Joan.

Chociaż miał po obu bokach rodzeństwo Blackettów, Matthew wpatrywał się niespokojnie w wibrującą ciemność, jeszcze nie przywykł do tropikalnych nocy. Idąc powoli wśród groźnie wyglądających cieni w stronę Ogrodu Orchidei próbował przypomnieć sobie, czy rzeczywiście czytał kiedyś o „latających wężach”, czy mu się tylko zdawało. I czy nietoperze owocożerne jedzą naprawdę tylko owoce, czy też czasami nie gardzą też mięsem i krwią? Był tak pochłonięty tymi myślami, że poczuł- wszy coś wślizgującego mu się w dłoń ani drgnął, myśląc, że to „latający wąż”. Lecz były to tylko delikatne palce Joan. Chcąc pokryć swe zakłopotanie zapytał ją o nietoperze owocożerne. Och, są absolutnie nieszkodliwe, odparła, mimo swych przerażających jak u Drakuli skrzydeł.

Lecz Monty zapytał ze śmiechem, co Matthew sądzi o innym niesamowitym stworze, to znaczy o wuju Charlie'm? Czy Matthew wie, że był on kiedyś w reprezentacyjnej drużynie krykieta uniwersytetu Cambridge? Bo naprawdę był, choć patrząc na niego teraz nikt by tego nie podejrzewał.

- Czy on pracuje w firmie Blackett i Webb? Monty i Joan wybuchnęli śmiechem na tę myśl.

- Ojciec nie pozwoliłby mu się zbliżyć nawet na milę do firmy. Nie, jest w armii indyjskiej, w Pendżabie. Wszystko było w porządku, póki tkwili w Przełęczy Khyberskiej czy gdzie tam normalnie spędzają czas. Aż tu nagle nieszczęście! Pułk Charlie'ego został wysłany na Malaje. Ojciec go nie cierpi, jak się zapewne zorientowałaś. Musi go jednak

znosić ze względu na mamę, która go tu zaprasza, ilekroć wuj Charlie ma urlop. Boi się, że jej braciszek się wykolei, jeśli nie będzie go miała na oku. Pewnie ma słuszość. Kiedyś wujaszek spędził tydzień w Pen- nangu i wciąż otrzymywaliśmy telefony z pytaniem, czy mamy ochotę poręczyć za niejakiego kapitana Charlesa Tyrrella, który zadłużył się na lewo i prawo. Potem zaczął dobierać się do czyjejś żony i wynikała z tego straszna awantura. Ojciec musiał jechać i łagodzić sprawę. Możesz sobie wyobrazić, jaki był zadowolony. Bo my jesteśmy tutaj oczywiście bardzo znani, a plotki szerzą się lotem błyskawicy.

- Och, i jest jeszcze poetą - powiedziała Joan ściskając lekko spoconą dłoń Matthew.

- Właśnie. Napisał wiersz o takim mieście hiszpańskim...

- Guernica.

- O tak. Mama ostrzegła nas wszystkich, żebyśmy się nie śmiali, bo on to traktuje bardzo poważnie.

Fajny facet.

Matthew mógł poświęcić tylko część swojej uwagi temu, co mu mówiono o Charlie'm, a to z powodu dziwnych sensacji płynących od dłoni, którą trzymała Joan, i rozchodzących się po całym ciele. Nie ukontentowana wilgotnym, bezwładnym zetknięciem rąk, uruchomiła palce, które na zmianę to ścisnęły jego dłoń, to znów ugniały jej zagłębienie. Matthew nie mógł odegnać myśli: „Gdyby tak Monty sobie stąd poszedł...” i serce mu załomotało, kiedy wyobraził sobie, do czego mogłoby dojść między nim a Joan. Ale Monty ich nie odstępował i zdawał się całkiem nieświadom tego rozkosznego ściskania rąk w mroku. Po chwili rzekł:

- Wracajmy lepiej do domu. Oni zaraz będą wychodzić. - Ostatni uścisk przed wyjściem z mroku i Joan puściła dłoń Matthew.

Zastali państwa Blackettów i ich gości pijących kawę i koniak w salonie. Stosunki między Walterem a nieszczęsnym Charlie'm zostały widać częściowo załagodzone, gdy młodzi byli w ogrodzie, bo kiedy weszli, usłyszeli koniec sprzeczki, jaka się właśnie toczyła między nimi.

- Chcesz, żeby młodzi ludzie otrzymywali nędzne grosze za oddawanie życia w obronie twojej własności i twoich interesów handlowych! - grzmiał Charlie. Był wciąż lekko pijany, ale buty miał już zawiązane i mniej niedbały wygląd.

- Nie wiem nic o oddawaniu życia - odparł Walter żartobliwie. - Jak dotąd, to tylko pijesz. -I na tym zakończyła się dyskusja tego wieczoru, ponieważ marszałek sił powietrznych i generał oświadczyli, że już na

nich czas. Wychodząc uścisknęli grzecznie ręce wszystkim, nawet małej Kate, której przy tej uroczystej okazji coś się pomieszało, bo powiedziała: - Dziękuję za przyjęcie. - Rozśmieszyło to całe towarzystwo, a biedna Kate chętnie by się zapadła pod ziemię. Jakaż się okazała dziewczyna! Zacerwieniła się gwałtownie i próbowała się uśmiechnąć, chociaż naprawdę miała ochotę się rozplakać.

- Musicie wkrótce nas odwiedzić - mruknął doktor Brownley do stojących półkolem Blackettów, którzy jakby zgromadzili się w tym wyłącznym celu, by patrzeć za nim z niemym oskarżeniem, kiedy umykał w ciemność. Dupigny zaproponował Matthew, aby udać się do Mayfair drogą, a nie przez ogród, i zobaczyć, czy major poszedł już do swego bungalowu po drugiej stronie drogi. Matthew pożegnał się z państwem Blackett. Wychodząc spotkał na schodach przed frontowymi drzwiami Mon- ty'ego i Joan. Monty wyciągnął do niego rękę mówiąc, że idzie spać i życzy mu dobrej nocy.

- Chciałem ci podziękować za pomoc w ściągnięciu mnie tutaj, Monty.

- Drobnostka, stary. Nie mogliśmy cię przecież pozostawić na pastwę ochotniczek do pracy na farmach, jeszcze by cię zgwałciły - i pomachałszy mu ręką znikł za drzwiami.

Po jego wyjściu Joan podeszła bliżej. Matthew myślał, że chce się z nim pożegnać, lecz okazało się, że nie.

- Hej, ty! — powiedziała rozświetlając się jak robaczek świętojański w ciemnościach. Popatrzył na nią niepewnie. - Jesteś zawsze taki poważny - dodała trącając go lekko ramieniem.

- Naprawdę? — zapytał ostrożnie.

- Chodź, pójdę kawałek z tobą i François.

Ledwie zrobili parę kroków, gdy zawołała Joan stojąca w drzwiach matka. Chciała wiedzieć, dokąd córka idzie.

- Och, mammo! - powiedziała Joan z irytacją.

- Zostaw dziewczynę w spokoju - upomniał żonę Walter, równie zdenerwowany. Nastąpiła spieszna wymiana zdań.

Kiedy czekali na Joan, Dupigny zapytał: i Lubisz kobiety?

- Ależ tak, oczywiście. - Matthew uznał to pytanie za dość osobliwe. Po chwili dodał: - Przepadam za D.H. Lawrence.

Chwilę trwało milczenie, gdy Dupigny zastanawiał się nad tymi słowami. Potem powiedział:

- Bo tutaj, rozumiesz, jest wielu młodych mężczyzn, ale bardzo mało młodych kobiet... to znaczy Europejek. Są oczywiście kobiety azjatyckie, o tak, ale w Singapurze, rozumiesz, młodzi ludzie, chociaż z zapalem uprawiają miłość cielesną z kobietami Wschodu, a czasem nawet dojrzałymi paniami z Europy (tymi, które mają, jak się to u nas mówi, la cuisse hospitalidre), nie są niestety zadowoleni. Wzdychają za towarzyszkami swojej rasy i w swoim wieku. Ponadto zachęcają ich do tego starsi, którzy pragną, by została zachowana czystość rasy, w czym przyklasnąłby im sam Hitler. U nas, w Indochinach, jest inaczej. My wcale się nie martwimy, gdy ktoś z naszych postanawia poślubić córkę zamożnego krajowca. Takie małżeństwa często okazywały się bardzo przydatne zarówno z handlowego jak i politycznego punktu widzenia.

- Cóż, muszę powiedzieć... - zaczął Matthew, lecz jego zmęczony umysł nie dostarczył mu żadnej stosownej uwagi.

- Podobna ci się Joan, prawda? Tak, to ładna angielska dziewczyna, zdrowa, pełna zalet, prosto, lecz solidnie zbudowana na sposób angielski, ukształtowana (comme le bread-pudding de Madame sa mere) z wyłącznie dobrych rzeczy, ale niestety pozbawiona zarówno porywającej niewinności dziecka jak i ponętnych wdzięków kobiety dojrzałej. Jedyną z pań Blackett, która mnie osobiście odpowiada, jest la petite... panna Kate, a i ona zaczyna stawać się troszeczkę trop mure... Już jest moim zdaniem nieco za... j ak to powiedzieć... bien balancee... bien fou- tue... Tak, nieco za dobrze wyposażona, dziękuję.

- Ależ to przecież dziecko!

- Przyznaję, że to przemawia na jej korzyść. Mimo wszystko rozpad już się zaczyna. W sensie fizycznym, oczywiście. - Dupigny stłumił ziewnięcie.

- Oczywiście - zgodził się spiesznie Matthew czując, że rozmowa unosi go na nieznane wody. - Ale ja miałem na myśli, że...

- Ach, wreszcie wraca Joan.

Nocne powietrze wydawało się bardzo parne - powiew ustał powiększając wrażenie upału. Przed godziną spadł przelotny deszcz i woda wciąż bulgotała w głębokiej burzowej studzińce przy drodze, lecz niebo było czyste. Matthew i Dupigny szli wolno z rękami w kieszeniach, Joan kroczyła między nimi nucąc cichutko jakąś piosenkę. Na zakręcie do Mayfair zatrzymała się i pożegnała obu panów. Obiecała matce, że zaraz wróci. Matthew uścisknął jej dłoń sztywno - uważał, że będzie lepiej, jeśli nie pozwoli sobie tym razem na coś więcej. Dupigny nato

miast ujął jej szczupłe palce i uniósł do ust, lecz mimo panujących ciemności Matthew zobaczył, że użył tego gestu dla zamaskowania ziewnięcia, z którym walczył cały czas rozwodząc się nad zmysłowymi cechami pań z rodziny Blackettów.

- Jakiś ty romantyczny, François! Czemu Anglicy nie są tacy jak ty? Dobranoc!

Matthew i Dupigny poszli dalej w stronę bungalowu majora, który o ile Matthew mógł się zorientować w ciemności, był nie mniej zniszczony niż budynek Mayfair po drugiej stronie drogi. Doszedłszy do werandy zawołali, lecz nie usłyszeli żadnej odpowiedzi, prócz cichego krzyku ptaka nocnego gdzieś w krzakach. Matthew wyjął paczkę papierosów i zapalił nie spiesząc się z wejściem do domu - byłoby tam za duszno na papierosa.

- Nie wiesz przypadkiem, co to są Singapurskie kleszcze? - spytał Matthew. - Moi znajomi mówili mi, że powinienem się ich wystrzegać.

-Przypuszczam, że jest to rodzaj pasożytów, które tutaj wywołują gorączkę tropikalną, bardzo zresztą groźną. Z całą pewnością musisz się ich wystrzegać.

- Ach tak? Ale czemu w takim razie - zastanawiał się Matthew - lotnicy RAF-u tak się śmiali, skoro to jest poważna choroba? Tajemnicza sprawa.

Matthew chętnie porozmawiałby o tym jeszcze, ale Dupigny zapytał go, czy dobrze zna jego starego przyjaciela, majora Archera.

- Co? Ledwie się poznaliście? Musisz zawrzeć z nim bliższą znajomość. .. -1 zaczął opowiadać, jak bardzo lubi majora. Major jest jednym z niewielu ludzi, których on, Dupigny, obdarza uczuciem. Poznali się we Francji w czasie pierwszej wojny światowej. Dupigny był wówczas oficerem łącznikowym przy jednym z pułków brytyjskich. Była to bardzo luźna znajomość. Po wojnie Dupigny pojechał do Indochin, a major do Irlandii. Ale któregoś dnia w 1925 roku, gdy podczas urlopu w Europie odwiedził swego krawca w Londynie, natknął się na majora w którejś restauracji przy Strandzie, może chez Simpson? Rozpoznali się z ogromnym trudem, ale wymienili wizytówki i odnowili znajomość. Potem w czasie następnej wizyty w Europie w 1930 roku spotkali się znowu, tym razem nieprzypadkowo, a później znów w 1935.

Dupigny obserwował swojego angielskiego przyjaciela z ogromną ciekawością. Major po wojnie nieprędko ułożył sobie życie. Przez pewien czas był w szpitalu. Potem spotkały go najwyraźniej jakieś nieprzyjemności w Irlandii, które zakłóciły mu spokój ducha. Nie oszczędziło go też straszliwe bezrobocie lat powojennych. Również w tych czasach zapewne wciąż pragnął znaleźć odpowiednią młodą damę za małżonkę. Niewątpliwie była w jego życiu jakaś kobieta w Irlandii... lecz Dupigny tylko podejrzewał. Sam major bowiem nigdy nie poruszał takich spraw.

Dupigny zauważył, że z biegiem lat zwyczaje majora nabierają coraz to bardziej indywidualnych i pod pewnymi względami dość ekscentrycznych cech. Jeśli ktoś zechciał napić się z nim kawy w roku 1930, powiedzmy, był świadkiem dziwnego rytuału. Najpierw pojawiała się gospodyni ze srebrnym dzbanem świeżo zagotowanej wody. Major nie przerywając grzecznej rozmowy wyjmował z wewnętrznej kieszeni marynarki termometr, zanurzał go w wodzie, wyjmował, odczytywał temperaturę, wycierał termometr serwetką i kiwnąwszy głową gospodyni chował z powrotem do kieszeni. Teraz dopiero można było parzyć kawę! Ach, to był typowy stary kawaler! A miał i inne dziwactwa. Narzekał, jeśli kieliszki do wina nie były przejrzyste jak woda źródłana... a jednocześnie nie dbał wcale o to, że popiół z jego cygara pada na wypolerowaną powierzchnię mahoniowego stołu, lub strącał go bezceremonialnie na dywan.

Trudno też było, jeśli major zaprosił kogoś do swego salonu w Bays- water około roku 1930, znaleźć tam coś wygodnego do siedzenia, ponieważ wszystkie fotele i kanapa były zajęte przez drzemające psy, będące w większości uciekinierami z trawionej ogniem walk o niepodległość Irlandii. Jeśli się wreszcie znalazło jakieś miejsce do siedzenia, było ono usłane psią sierścią - zwierzęta te z niewiadomych przyczyn wciąż liniały. Sam major przysiadł na poręczu fotela, a psy spoglądały na niego z poduszek z oddaniem w kaprawych oczach. Czasami, kiedy z ulicy dochodziło szczekanie, szczekały w odpowiedzi nie ruszając się nawet na jotę ze swoich foteli, Dupigny doznał jeszcze kilku osobliwych przeżyć, poza przesiadywaniem w towarzystwie milczącego, zamkniętego w sobie majora w zimowe popołudnia i słuchaniem wybuchającego w mroku ujadania.

- Eh bien! Więc już po nim! - można by pomyśleć w 1930 patrząc, jak siedzi na poręczu fotela w mrocznym, zatłoczonym psami salonie. - Z pewnością nic go nie ocali przed coraz bardziej osobliwymi wygodami i wymogami starokawalerskiego życia. -1 podczas gdy on, Dupigny, był w Indochinach przez następne pięć lat, psy jeden po drugim zdychały,

ale na ich miejsce nie zjawiały się nowe. Być może major przestał lubić psy albo je trzymał z poczucia obowiązku, tak samo jak utrzymywał salon w dokładnie takim stanie, jak za życia ciotki. Przez te pięć lat stał się już zaprzysiężonym starym kawalerem. Małżeństwa rówieśników przestały wzbudzać w nim zazdrość. Zaczął dostrzegać, że stan małżeński może mieć złe strony, że pozostawanie w stanie bezzennym może mieć zalety.

Nie znaczy to oczywiście, że major przestał się w regularnych odstępach w kimś durzyć. Obecnie jednak przedmiotem jego uczuć zaczęły być szczęśliwie kobiety zamężne, żony przyjaciół, a zatem, dla człowieka honoru, jakim był, istoty nieosiągalne, wcielenia wszelkich cnót, a przede wszystkim tej, iż nie były w stanie odwzajemnić jego uczuć. Miłość, jaką dla nich żywił, była z rodzaju rycerskich i bezinteresownych, tak modnych wśród Brytyjczyków w późno wiktoriańskich i edwardiańskich czasach być może dlatego (selon l'hypothèse Dupigny), że były bardzo dogodnym wyrazem uznania dla kobiecości, a nie obarczały przy tym zapracowanych mężczyzn kobietami z krwi i kości. Mimo to Dupigny musiał przyznać, że jego biedny przyjaciel wiódł żywot, który mu bardzo dogadzał, y compris les amours.

To prawda, że majora nie spotykała za to nagroda z gatunku tych burzliwych, polegających na zakazanych uściskach w pościeli - on ją znajdował w spojrzeniu wdzięczności pod czystym macierzyńskim czołem, możliwości muśnięcia miękkim jak... blaireau, jak to jest po angielsku? (pędzel borsuczy? dziękuję)... możliwości muśnięcia miękkim jak pędzel borsuczy wąsikiem pięknej rączki, czytaniu niewypowiedzianych myśli w promiennych oczach. Te drobne chwile wspomniane późną nocą, gdy leżał wyciągnięty w swym samotnym łóżku paląc fajkę w sypialni, która cuchnęła jak przedział wagonu kolejowego (Fumeurs), były jedyną, lecz dostateczną nagrodą dla majora.

Jeśli jednakże, być może w nadziei na głębsze stosunki, owa dama złożyła mu wizytę któregoś popołudnia przyprowadzając z sobą dzieci (Dupigny był kiedyś świadkiem takiego zdarzenia), major popadał w złość. Małe dzieci wędrowały na niepewnych nóżkach po całym domu strącając różne przedmioty i usiłując pieścić podstarzałe psy, które z wiekiem stały się agresywne. Dzieci starsze ślizgały się po wszystkich pokojach i wciąż pytały, czy mogą pobawić się tym czy innym cennym przedmiotem (na przykład gramofonem, pruską lornetką, modelem parostatku lub kolejką elektryczną), nie zdając sobie sprawy, że z tymi przedmiotami należy się obchodzić z niezwykłą ostrożnością i z zachowaniem wszelkich ceremonii. Te sentymentalne wizyty w towarzystwie dzieci zawsze kończyły się, jak przypuszczał Dupigny, klęską i wygaśnięciem namiętności.

W takich sytuacjach, mając przed oczyma obraz tego, co niesie za sobą prawdziwe małżeństwo, major niewątpliwie gratulował sobie, że uniknął tego losu. Prawda, że u podnóża jego schodów wciąż lśnił marmurowy posąg Wenus, uwodzicielsko obnażonej. Ale skończywszy lat czterdzieści major zapewne pomyślał, że najgorsze ma za sobą. Przetrwiał lata tajfunów uczuciowych skołatany, lecz cały. Cudowne, że człowiek może się tak przystosować do okoliczności. W głębi ducha major wiedział, że z całą pewnością nie przetrwałby małżeństwa, jego chaosu i bałaganu.

Taki to był major około 1935 roku, stały w swych nawykach, zastygły w celibacie jak kurczę w galarecie. Aż pewnego dnia przestało go to zadowalać - postanowił rzucić wszystko, całe to wygodne życie, by podróżować i zwiedzić świat, nim się zestarzeje. Człowiek ma tylko jedno życie!

Jakże zdumiony był Dupigny dowiedziawszy się któregoś dnia, że major jest właśnie w podróży po Australii, by stamtąd udać się następnie do Japonii, a potem nawet odwiedzić go w Hanoi i później w Sajgonie! Czemu to uczynił? Czy kryła się za tym jakaś nowa zawiedziona miłość? Major nie mówił nigdy o podobnych sprawach. Czemuż więc osiadł w Singapurze, szczęśliwie dla siebie, jak się okazało. Było to coś, czego Dupigny nie mógł zrozumieć! Ani zapewne sam major!

Skończywszy palić papierosy Dupigny i Matthew zbliżyli się do bramy Mayfair - sztywny, pełen godności stary joga w szortach koloru khaki i żółtym turbanie przyglądał im się sennie ze swego charpoy zaraz za ogrodzeniem, ale nie widzieli w ciemnościach jego twarzy prócz siwych, sumiastych wąsów i brody. Dupigny zapytał, czy major jest jeszcze w bungalowu. Joga uniósł chudą rękę i wskazał za siebie, na werandę.

- Zdaje się, że major był tu cały czas. Chodźmy, powiemy mu dobranoc.

Gdy weszli z oświetlonego gwiazdami ogrodu, panująca na werandzie ciemność wydała im się nieprzenikniona. Była jednak nasycona zapachem wonnego cygara hawańskiego, którego jarzący się koniuszek Matthew dostrzegł bez trudu, gdy major uniósł na chwileczkę dłoń na powitanie.

- Jeszcze nie w łóżku, Brendan? Starsi panowie powinni dbać o siebie.
- Zaraz się kładę - odparł major, lecz Matthew wiedział już wcześniej, że major, nękany bezsennością, najprawdopodobniej może przesiedzieć na werandzie paląc cygara aż do brzasku. - Dowiedzieliście się czegoś? Byli tam jacyś wojskowi dygnitarze?

- Brooke-Popham i jakiś generał. Sprawiali wrażenie pewnych siebie.

Matthew i Dupigny podeszli po omacku do majora. Matthew opadł z chrzęstem bambusa na szezlong. Jakże był zmęczony! Ileż to rzeczy się zdarzyło, odkąd wstał z łóżka! „Zaraz się położę” - pomyślał ze znużeniem. Z miejsca, gdzie siedział, widział sylwetkę majora. Dostrzegł zarys miękkiego jak borsuczy pędzel wąsika, tak grubiańsko potraktowanego ostatnio nożyczkami Cheonga. Widział nawet bruzdy na zatroskanym czole majora, które było gładkie tuż przy niedostrzegalnej linii ulizanych włosów.

- Jacyż to głupcy! - wykrzyknął major i koniuszek jego cygara rozjarzył się wściekle w ciemnościach. Po chwili jednak major dodał z pokorą: - Ale oczywiście mogą wiedzieć rzeczy, o których my nie mamy pojęcia.

Pod koniec pierwszego tygodnia grudnia zebrała się w cieniu tama-ryndowca na dziedzińcu Mayfair grupka męczyzn w kombinezonach, ubraniach ochronnych lub po prostu szortach, ponieważ było upalne popołudnie. Należeli oni do oddziału Pomocniczej Straży Pożarnej Mayfair (P.S.P. w skrócie) i wezwano ich, chociaż to była niedziela, na pilne ćwiczenia. Poranna gazeta przyniosła wiadomość o niezidentyfikowanym konwoju podążającym na południe z okupowanych przez Japończyków Indochin i major, który był dowódcą oddziału P.S.P. w Mayfair, spodziewał się najgorszego. Major, w owej chwili, nie był pod ta-maryndowcem, ale w garażu koło domu i mocował się z brezentową płachtą. Pomagał mu w tym dopiero co zwerbowany do oddziału Matthew. Garaż nie miał żadnej wentylacji, a słońce tak nagrzało dach z falistej blachy, że było tam jak w piecu. Matthew, który i tak cierpiał już z powodu upału, czuł teraz, jak pot spływa mu po nogach i wsiąka w skarpetki.

Major ściągnął plandekę z dużego przedmiotu w kształcie skrzyni, który okazał się jakąś maszyną, lśniąca stalą, mosiężnymi rurkami i przeróżnymi przyrządami. Matthew patrzył na nią nie rozumiejąc. Miała dwa wielkie zegary na czymś w rodzaju tablicy rozdzielczej i zamiast kół dwa drążki do noszenia, jak pałankin.

- To Coventry Victor - oznajmił major z dumą. - Prosto z fabryki!

- Ale do czego służy?

- To pompa przyczepna. Przyczepka stoi tam. Kazałem założyć hak do mego samochodu, więc będziemy mogli wozić ją z sobą, gdy zajdzie potrzeba. Pomóż mi, to wyniesiemy ją na zewnątrz. Zrobimy z nią ćwiczenie, jak przyjdzie nasz instruktor. To dawny członek Londyńskiej Brygady Strażackiej i kiedy jest trzeźwy, zna się na robocie... niestety, nie zawsze bywa trzeźwy.

Wkrótce przyjechał instruktor. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, niski, łysy, o czerwonej twarzy, nazwiskiem McMahan. Po nieco przydługiej sprzeczce z taksówkarzem, który go przywiózł, ruszył chwiejnym krokiem w stronę budynku Mayfair. Major wyjaśnił Matthew, że

pan McMahon, jak wielu strażaków, zaczynał życie jako marynarz. Jednakże kiedy instruktor wykrzykując głośno zderzył się z krzakiem, stało się jasne, że powodem jego rozkołysanego kroku było co innego.

Major ustawił członków swego oddziału przy korcie tenisowym, aby instruktor mógł dokonać ich przeglądu. Stali na „spocznij”, czekając w niepewności, podczas gdy instruktor szedł ku nim wężykiem, klnąc siarczyście. Oddział tworzyli, poza majorem, Dupigny, pan Sen i pan Harris, urzędnicy, czasowo odkomenderowani przez firmę Blackett i Webb do Mayfair (pierwszy z nich Hindus, drugi Eurazjata), pan Wu, zaprzyjaźniony biznesmen chiński, chiński boy, Chcong, który zaskoczył majora zgłoszeniem się na ochotnika i który, chociaż zachowywał kamienny wyraz twarzy w każdej sytuacji, okazał się najsprawniejszy ze wszystkich rekrutów. Poza tym Monty Blackett, który z dwojga złego wołał zgłosić się tu niż do Oddziału Obrony Terytorialnej, lecz nadal żywił nadzieję, jeśli już nie na całkowite zwolnienie od służby, to przynajmniej na jakieś przyjemniejsze stanowisko w singapurskich oddziałach czynnej lub biernej obrony, i wreszcie przystojny młody człowiek nazwiskiem Nigel Langfield, syn arcyrywala i wroga Waltera, Solomó- na Langfielda. Nigel miał na sobie nowiutkie granatowe ubranie robocze z pięknie wyhaftowanymi na lewej górnej kieszeni czerwoną nicią literami P.S.P. i co chwila opuszczał nos, żeby wciągnąć w nozdrza miły zapach nowiutkiego materiału.

Ci przyszli strażacy patrzyli z niepokojem, jak ich instruktor brnął ku nim niczym przez bagno. Nagle zboczył z kursu, aby wziąć w objęcia jeszcze jedno drzewo stojące nie opodal. Następnie, nie przestając ścisnąć pnia i kłąć, osunął się na ziemię, po czym siadł używając drzewa za podporę dla pleców.

- Niech Bóg was ma w swojej opiece, wy zafajdane sukinsyni! - wybełkotał łapiąc ustami powietrze. - Zrobimy sobie teraz suchą zaprawę, perfumowane pedryle, bo inaczej dam wam wycisk, jakem McMahon! Do roboty, mówię, sucha zaprawa!

- Sądziłem, że będziemy dzisiaj mieli prawdziwe ćwiczenia - rzekł major z wyrazem niezadowolenia. - Tak nam pan mówił ostatnim razem.

- A dziś mówię, że ma być sucha zaprawa, sukinsynu, więc ruszać biegiem i uważać, żeby ten cholerny wąż się nie splątał, bo mnie popamiętacie...

więc przed ćwiczeniami z wodą. Obawiam się, że McMahon nie będzie nam dzisiaj zbyt pomocny - dodał półgłosem.

- Słyszałem, coś powiedział, ty poszczywający capie! - wrzasnął McMahon dygocąc z wściekłości i daremnie usiłując dźwignąć się na nogi najwyraźniej w celu wymierzenia kary.

- Stul pysk, bo dostaniesz po tym durnym łbie! - rzekł Monty rozwlekając odchodząc niedbałym krokiem w stronę bungalowu.

- Monty, dokąd idziesz? Właśnie zaczynamy - obruszył się major.

- Idę tylko poszukać aspiryny, stary, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- No, dobra, ale się pospiesz. Ja tymczasem spróbuję wytłumaczyć Matthew podstawowe zasady ćwiczeń. Są dwa rodzaje węży, wyjaśniał major: wąż ssawczy, do pobierania wody z otwartego źródła, jak kanał lub rzeka, i wąż tłoczny, do gaszenia ognia. Wąż ssawczy ma dużą średnicę oraz jest wzmocniony dla utrzymania cylindrycznego przekroju, posiada również drucianą siatkę zabezpieczającą przed zassaniem kamyków i śmieci do pompy.

- Rozumiesz to?

- Tak. A ten drugi to wąż do polewania?

McMahon wybuchnął szyderczym śmiechem spod swojego drzewa.

- Do polewania! Jemu się zdaje, że jest pieprzonym ogrodnikiem!

- Hm, powinienem być ci powiedzieć, że my tu nie mówimy o polewaniu, tylko „kierowaniu strumienia wody”, że na sznury mówimy „liny”, a szczeble drabiny nazywamy „stopniami”... Nie sądzę, aby to było szczególnie ważne, skoro stanowimy drużynę straży pomocniczej, lecz McMahon tak woli.

Wąż tłoczny, ciągnął major, jest nawinięty płasko na bęben obrotowy i występuje w odcinkach od pięćdziesięciu do stu stóp długości i od dwóch do trzech cali przekroju. Przy jego roboczym końcu znajduje się metalowe zakończenie zwane „prądownicą”, a nie „wylotem”! Ćwiczenia polegają na tym, że jeden człowiek biegnie z prądownicą w kierunku ognia rozwijając w biegu pierwszy odcinek węża, a tymczasem drugi rozkłada następne odcinki i zajmuje się łącznikami. Te łączniki składają się z dwóch części zwanych „męską” i „żeńską”, to znaczy...

- Ten tłusty pedryl nie potrafi ich odróżnić, choćby zadarł babie kieckę i pokazał...

- Dosyć tego, McMahon - rzucił ostro major. Zwrócił się ponownie do Matthew: - Rzecz w tym, że męska część zaczepu wchodzi w żeńską

na końcu pierwszego odcinka węża. Wchodzi również w hydrant, jeśli z niego pobieramy wodę, lub w wylot pompy. Tymczasem biegnący chwyta za kółka przy „żeńskej” końcówce, na którą normalnie jest nawinięty wąż tłoczny, i traktuje ją jak oś przy rozwijaniu węża. Chodź, Nigel, zademonstrujesz, jak to się robi.

Nigel posłusznie wziął zwój węża i trzymając go nieco z boku pomknął z wdziękiem przed siebie kładąc węża równiutko na trawie.

- To wcale nie takie łatwe, jak wygląda. Nigel jest w tym niezły.

Była to prawda. Wszyscy patrzyli z podziwem i nawet McMahon został na chwilę uciszony tym popisem zręczności. Po Montym wciąż nie było ani znaku, wysłano więc Cheonga na poszukiwania. Tymczasem wezwano pana Wu, który dotychczas majstrował z Dupignym i Cheon- giem przy pompie, i kazano mu, aby pokazał Matthew, jak należy wspinać się po drabinie przystawionej do dachu budynku Mayfair.

- Psy wspinaniu tseba się tsymać scebli, a nie boków dlabiny-wyja- snił pan Wu.

- Co?

- Tsymać się scebli!

- Słusznie - powiedział major podchodząc szybko. - Zawsze powinieneś trzymać się szczebli czy też „stopni”, jak je nazywamy, a nie słupków drabiny. I nigdy nie stawaj na parapecie okna, gdyż może się załamać. Ćwiczenie polega na tym, że wkłada się nogę od razu za okno. Ach, dzięki Bogu, McMahon zasnął - dodał major. - Świetna okazja, żeby wypróbować pompę. W końcu może się okazać, że nie będziemy mieli tak wiele czasu na ćwiczenia.

Ponure milczenie zapanowało wśród członków mayfairskiej drużyny P.S.P. Nawet mamroczący coś przez sen McMahon wydawał się przygnębiony. Spoglądając w dal, gdzie biały, przypominający tort weselny masyw domu Blackettów połyskiwał nad drzewami, major rzekł:

- Może da Bóg nie będziemy potrzebni.

Gdy tylko popołudniowe ćwiczenia zostały zakończone, Matthew z westchnieniem ulgi udał się do łazienki, która jak zdążył odkryć, miała jedną poważną wadę - nie było w niej wody bieżącej. W kącie stał ogromny gliniany zielono-żółty dzban z mosiężną chochlą. Był to szanghaj- ski dzban. Procedura była prosta: należało zanurzyć chochlę w dzbanie i się nią polewać. Matthew rozebrał się i zaczął się polewać - woda w dzbanie była ciepła, ale orzeźwiająca.

i Mają wystrzeliwać z armaty Irlandkę, Monty? W jakim celu?

Monty, który wszedł za Matthew do łazienki, wyjaśnił, że w „Wielkim Świecie” miało się odbyć specjalne widowisko celem zebrania pieniędzy na wojnę z Japończykami w Chinach. Irlandka była ludzkim pociskiem armatnim odbywającym tournée po Dalekim Wschodzie. Poza tym atrakcją widowiska miała być grupa piosenkarek zwanych Siostrami Da Sousa. W każdym razie Joan powiedziała, że bardzo chce pójść. Oznaczało to, że brak im tylko jeszcze jednej dziewczyny, żeby mile spędzić wieczór.

i Nie znasz tu przypadkiem jakichś kobiet?

- Monty, przecież ja dopiero przyjechałem.

- Nic nie szkodzi. Myślę, że uda mi się wytrzasnąć skądś jakąś. Spotkamy się u nas za parę godzin, okej?

- Och, Monty, wytłumacz mi, póki tu jesteś, co jest z tą plantacją Johore. Czemu przesadzamy drzewa właśnie teraz, kiedy kauczuk jest taki potrzebny? Zupełnie tego nie rozumiem. - Poprzedniego dnia Matthew jeździł z majorem przez Groblę do Johore na lądzie stałym, aby dokonać inspekcji plantacji należącej do Mayfair. Stwierdzili, że w kilku miejscach usuwa się drzewa dojrzałe i zastępuje młodymi sadzonkami. Gdy zapytali o to Turnera, zarządcę plantacji, którego Matthew spotkał w dniu przyjazdu do Singapuru, ten nie umiał dać odpowiedzi. Po prostu otrzymał takie polecenie z firmy Blackett i Webb, która jako instytucja nadrzędna kierowała polityką sadzeniową.

- Słuchaj - odparł Monty wzdychając ciężko - nie ma się czym przejmować. Wszystko jest dobrze przemyślane.

- Jestem o tym przekonany. Chciałbym tylko wiedzieć, jaki jest sens takiego postępowania.

- Drzewa kauczukowe, jak wiesz, nie są wieczne. W miarę starzenia się, stają się kruche. Mogą się łamać na wietrze...

- Ale żyją ze trzydzieści lat, prawda? A te, które się tam ścina, nie mają tyle. Poza tym nie idzie o kilka drzew tu czy tam. Wycina się całymi partiami. - W łazience słychać było tylko plusk wody i ciężki oddech Monty'ego. Matthew zaczął ponownie polewać się wodą.

- Słuchaj - rzekł w końcu Monty drwiącym tonem - muszę przyznać, że twoje pytanie zabiło mi klina.

Mamy tyle plantacji, że trudno, abym wiedział wszystko o każdej. Plantacja Mayfair to małe piwo w porównaniu z niektórymi innymi. Ale powiem ci coś. Zapoznam się z faktami przed następnym zebraniem waszego zarządu i przedstawię wam, okej? A teraz nic się nie przejmuj. No, czas na mnie... - Jednakże stał nadal

w drzwiach patrząc, jak woda oblewa pulchne ciało Matthew. Czy Matthew wie, zapytał z pożądliwym spojrzeniem, że na Wschodzie istnieje wiele opowieści o pięknych dziewczętach, które chcąc się ochłodzić zanurzały się w szanghajskich dzbanach, a potem nie mogły się wydostać i wzywały służących, aby je uwolniły rozbijając dzbany? Może sobie Matthew wyobrazić, co się potem działo! Z tymi słowami odszedł oblizując wargi, aby się wykąpać w większym komforcie rodzicielskiego domu.

Kiedy Matthew, odświeżony kąpielą i ubrany w lekkie lniane ubranie, miał już iść do Blackettów, zadzwonił telefon. Był to Ehrendorf. W ciągu tych kilku dni, które Matthew spędził w Singapurze, przyjaciele zdołali się spotkać jedynie na krótko. Przyczyną tego był niewątpliwie fakt, że Ehrendorf był bardzo zajęty. Wobec raptownej zmiany sytuacji politycznej na Dalekim Wschodzie musiał on być, jak przypuszczał Matthew, stale zajęty ocenianiem brytyjskiej siły militarnej i strategii. Jednakże Matthew zdawał sobie sprawę z pewnego skrepowania, które obecnie wkradło się w jego przyjaźń z Ehrendorfem. Jakże inaczej było kiedyś! Nie mógł nie dostrzec kontrastu między tym pełnym napięcia spotkaniem na lotnisku i potem jazdą do Singapuru a ich poprzednimi spotkaniami w Europie. Matthew, chociaż z natury roztargniony, świetnie zdawał sobie sprawę, że u źródła tego ich nowego skrepowania tkwiła w jakiś sposób Joan. Przypuszczał, że Ehrendorf i Joan przeżyli coś w rodzaju romansu, pamiętał melancholijne westchnienie, które usłyszał w ciemnościach w Mayfair w wieczór swego przybycia. Lecz czemu miałyby to wywrzeć jakikolwiek wpływ na jego przyjaźń z Ehrendorfem?

Przez telefon głos Ehrendorfa brzmiał serdeczniej i pogodniej, prawie jak ongiś. Zapytał Matthew, jak zamierza spędzić wieczór i czy nie mogliby pójść zjeść coś razem. Matthew wyjaśnił, że właśnie przed chwilą Monty zaprosił go do obejrzenia pewnej Irlandki, która daje się wystrzelić z armaty. A może Ehrendorf chciałby też im towarzyszyć? Skoro jest „obserwatorem wojskowym”, winien w tym widzieć swój obowiązek.

- Okej. Spotkamy się w „Wielkim Świecie”. Tam jest takie miejsce, gdzie się sprzedaje bilety, przy głównym wejściu, coś w rodzaju portierni oksfordzkiego college'u (choć wewnątrz jest znacznie ciekawiej)! - I Ehrendorf odwiesił słuchawkę. Dopiero w drodze do Blackettów

Matthew przypomniał sobie, że... Joan też tam będzie. A to może spowodować pewne trudności.

Wkrótce Matthew znalazł się w salonie Blackettów, gdzie czekał na Monty'ego i Joan. Kiedy starszawy majordom ruszył pełnym dostojeństwa krokiem, aby poprosić kogoś z rodziny, Matthew przyjrzał się szybko portretowi swego ojca, wiszącemu w końcu salonu, po czym usiadł na kanapie. Wszedł chiński boy i położył przy nim papierosy i zapaliki. Po jego wyjściu Matthew został sam, jeśli nie liczyć długowłosego syjamskiego kota, zwiniętego w kłębek na podłodze - był to ulubiony kot Joan, Ming Toy. Matthew wziął kota na kolana. Kot otworzył na chwilę oczy, po czym znów je zamknął.

- Ciekawym, czyś ty kocur, czy kotka? - spytał kota unosząc jego wspaniały ogon, by to stwierdzić. Zaczął grzebać w sierści zwierzęcia szukając części ciała określających płeć. Kot zaczął mruczeć. Matthew był właśnie w samym środku pilnych badań tylnej części ciała kota (sierść była długa i gęsta, tak że nie mógł odgadnąć, co kryje), gdy do salonu wszedł Walter. Obrzucił Matthew dziwnym spojrzeniem. Matthew wypuścił spiesznie z ręki przepyszny ogon i położył kota na dywanie.

- Bardzo się cieszę, że cię widzę - rzekł Walter. - Chciałbym, żebyś obejrzał niektóre z tych obrazów przedstawiających Rangun i Singapur za dawnych dni.

- A więc, mój chłopcze, czyż nie jest to osiągnięcie, z którego można być dumnym? Na tym ogromnym obszarze kuli ziemskiej, pokrytym bagiennymi oparami, górami i straszłą, przerażającą dżunglą, kilku pełnych determinacji pionierów, zbrojnych tylko w odrobinę kapitału i wielką wizję twórczą, odcisnęło znamię cywilizacji, zapewniając sobie dobrobyt, to prawda (choć nie zapominajmy, że krokodyle bankructwa i hańby wpełzły po cichu w wody ich szlaku, gotowe porwać nierozważnych lub pechowych i wciągnąć w swoje podwodne jaskinie), lecz przede wszystkim zapewniając środki do życia milionom Azjatów, którzy przed przybyciem owych pionierów cierpieli niedolę i ubóstwo! Takim właśnie pionierem był twój ojciec!

Przez lata pokazywania gościom kolekcji retoryka Waltera nabierała coraz to więcej cech uroczystych i wstrząsających. Tu i ówdzie wkładały się do niej elementy wzięte z fantazji (jak owe krokodyle, które ostatnio czyhały na jego nieustraszonych kapitalistów) - lecz jeśli spełniały swą rolę, pozwalał im na pozostanie, w przeciwnym razie je odrzucał. Stawał się sam coraz bardziej przekonany o słuszności własnych słów i coraz bardziej oburzony na brak w podręcznikach historii wielkich ludzi biznesu. Z pewnością to niesprawiedliwe, że podręczniki historii opowiadają wyłącznie o bałaganiarskich czynach wojskowych, monarchów i polityków, z pominięciem kupców, których poczynania były samym sednem cywilizacji i postępu!

Matthew ogólnie biorąc zgadzał się z Walterem - on też uważał to za dziwne, że w spisie ludzkich dokonań pomija się wielkie osiągnięcia handlowe. Z całą pewnością trzeba zarówno odwagi jak i inteligencji twórczej, aby wprowadzić w czyn wielkie przedsięwzięcie komercyjne w takiej skali, raczej niewielkiej w stosunku do standardów międzynarodowych, jak Blackett i Webb. Czemuż więc historia się waha? Czy to możliwe, aby miała jakieś wątpliwości co do motywów wielkich przedsiębiorców lub obawiała się zła społecznego, które towarzyszy społecznemu dobru, płynącemu z tych przedsięwzięć? Słuchając Waltera jednym uchem, Matthew zaczął rozważać to interesujące zagadnienie.

Walter, który obawiał się najgorszego przy pierwszym spotkaniu z Matthew, czuł się mile zaskoczony i usatysfakcjonowany odkryciem, że ten młody człowiek jest całkiem nieźle zaznajomiony z warunkami ekonomicznymi Dalekiego Wschodu i innych zacofanych krajów kolonialnego Imperium. Zgoda, że była to wiedza teoretyczna, zaczerpnięta z książek, a więc fakty, dane statystyczne i idee były w jego głowie pomieszane na podobieństwo sałatki jarzynowej, z której daremnie byłoby próbować wyciągnąć praktyczną korzyść, lecz było to dowodem, że Matthew interesuje się zagadnieniem, w przeciwieństwie do Monty'ego. W Walterze obudziła się nawet nadzieja, że kiedy Matthew nabędzie doświadczenia w realnym świecie rynku, a Joan zdąży go oswoić z obcą mu do tej pory uzdą i wędzidłem, może w końcu coś z niego będzie. Z pełnym namaszczeniem wyjaśnił wagę obchodów jubileuszu firmy Blackett i Webb dla morale tubylczych mas Malajów. Wkrótce ci tubylcy, podobnie jak mieszkańcy Wysp Brytyjskich, mogą stanąć wobec konieczności walki o swój kraj. Muszą mieć jakąś ideę, o którą by walczyli. Szczęśliwym trafem ta idea, za ogólną zgodą, została zawarta w sloganie jubileuszowym firmy Blackett i Webb: „Ciągłość w dobrobycie!” I to właśnie tutaj, dowodził z entuzjazmem Walter, będzie miał Matthew okazję po raz pierwszy przyczynić się do wysiłku zbrojnego, bowiem zaplanowany na dzień Nowego Roku pochód jubileuszowy, po szeregu żywych obrazów umieszczonych na platformach, a symbolizujących dobrodziejstwa, jakie spłynęły na kolonię dzięki firmie Blackett i Webb, znajdzie swój punkt kulminacyjny w osobie założyciela siedzącego na fotelu niesionym przez wdzięcznych pracowników. W ten sposób obraz Ciągłości odcisnie się na zawsze w umysłach tubylców. Ale, niestety, śmierć pana Webba sprawiła, że fotel jest pusty. A któż bardziej zasługuje, aby go zająć, jeśli nie syn pana Webba, Matthew?

- No cóż - mruknął Matthew niejasno - rad bym pomóc, oczywiście, ale naprawdę nie nadaję się do tego rodzaju uroczystości. Ani trochę. Hm, może Monty? On byłby znacznie lepszy.

- Zobaczmy - odparł Walter gniewnie, rozczarowany brakiem entuzjazmu u młodego człowieka. Postanowił pomówić z Joan - najwyższy czas, żeby jej wysiłki zaczęły dawać jakieś rezultaty. - Wychodzisz gdzieś z Joan dziś wieczorem? - zapytał po chwili.

Matthew powiedział mu o proponowanej wyprawie do „Wielkiego Świata”.

- Doprawdy, Monty jest nieznośny - mruknął Walter do żony, która właśnie weszła.

W tej samej chwili do pokoju wpadli ze śmiechem Monty i Joan. Spojrzeli oboje na Matthew, jakby zaskoczeni jego widokiem... Ale przecież tu się umówili.

- No, chodźmy - powiedział Monty. - Bo się spóźnimy. A poza tym Sinclair czeka w samochodzie.

- Zaraz ma przyjść Duff z Dianą - zaprotestowała pani Blackett - nie zostaniecie, żeby się z nimi chociaż przywitać?

Monty jednak odparł, że żałuje, ale nie mają ani chwili czasu. Tak, dopilnuje, żeby Joan nie wróciła do domu za późno i, tak, ma klucze od pontiaka. Dość natknąć się na tych „cholemych nudziarzy” z Westminsteru, wychodząc rzekł do Matthew, a nie ma mowy, żeby się oderwać od „ponurych skurwysynów” i cały wieczór jest stracony.

Na tylnym siedzeniu pontiaka nie wiedzieć czemu stał wyprostowany wysoki i szczupły oficer mniej więcej w wieku Monty'ego i osłaniał dłonią oczy, a może salutował, chociaż w pobliżu nie było nikogo prócz malajskiego kierowcy. Był to nie kto inny tylko sam Sinclair-Sinclair, z którym Joan odbyła jakże miłą podróż z Szanghaju przed kilkoma laty. Sinclair zdążył od tego czasu zrezygnować z kariery dyplomatycznej, by zacząć karierę wojskową, a dzięki rodzinnym powiązaniom oraz brakowi oficerów na początku wojny szybko awansował. Obecnie, zamiast bić Fryców w Afryce Północnej, służył swym nabytym na Dalekim Wschodzie doświadczeniem Dowództwu Malajskiemu i było mu bardzo nie w smak (jak wyjawiał Joan), że znalazł się w Dywizji Powietrzno- -desantowej!

- Bogu dzięki! - wykrzyknął, gdy byli jeszcze w pewnej odległości. - Już myślałem, że nigdy nie przyjdziecie. Zaczynałem się czuć, jak ro... ro... ro... osoba p-porzucona na be-be-bezludnej wyspie! -i wydobył z gardła piskliwy śmiech, jak odgłos pompy pracującej na sucho i z takim samym gulgotaniem dochodzącym z przepony.

i Jestem Matthew Webb - przedstawił mu się Matthew, ponieważ młodzi Blackettowie, zajęci odprawianiem saisa i instalowaniem się w aucie, o to się zatroszczyli.

I -r Si... si... si... si... si... si... - Matthew musiał stać z ręką w dłoni oficera, póki ten nie wywlókł ze swych ust tego długiego sznura zbędnych sylab jak wewnętrzności. Ale w końcu przełknąwszy i kłapnąwszy zębami oficer przeciął sznur i wykrzyknął: <-... Sinclair-Sinclair! - Matthew, który z miejsca go polubił, skinął głową zachęcająco, zastanawiając się, czy Sinclair to imię, nazwisko czy jedno i drugie. Wyglądało na to, że lepiej nie ryzykować pytania.

Tym razem za kierownicą siedział Monty, ale prowadził nie mniej brawurowo niż malajski saiss, gdy Matthew jechał pierwszy raz tym samochodem. Gdy pontiac spłynął z podjazdu w wilgotny zmrok, a następnie skręcił z piskiem opon na drogę, Monty grzmotnął ręką w kierownicę i zapiał radośnie: „Gnaj, króliczku, gnaj!” Joan siedziała na przednim siedzeniu oparłszy z wdziękiem szczupłe, opalone ramię o tył fotela brata. Miała na sobie prostą sukienkę z krótkimi rękawami z niebieskiej bawełny. Jak świeżo w niej wyglądała! „Nie trzusi się ani przędzie”

- pomyślał Matthew patrząc z podziwem na pięknie zaprasowane fałdy nakrochmalonego materiału. Joan odwróciła się z rozwianymi włosami, gdy mknęli po Grandę Road, i rzuciła mu szybkie, szelmowskie spojrzenie,

- Będę musiał szy... szy... szybko dzisiaj zmykać! - krzyknął Sinclair.

- O północy zaczynam służbę.

- Wiedziałem I powiedział Monty—że będziesz dziś nudny, Sinclair. Czułem to w kościach.

- Wcale nie jestem - zaprotestował Sinclair. - Tylko ktoś musi wypatrywać tych cholernych Japończyków.

- A więc jednak jesteś nudny. - Monty milczał markotny, póki nie zbliżyli się do „Wielkiego Świata”. -

Wygląda na to, że będziemy musieli zostawić samochód i iść pieszo. Tak jest co wieczór od kilku tygodni przez to wciąż przybywające wojsko.

- Mówiąc nawiasem - rzekł Matthew - Jim Ehrendorf wyraził chęć pójścia z nami, więc powiedziałem, że spotkamy się przy wejściu.

- — Och, nie! Tylko tego nam jeszcze brakowało - utyskiwał Monty wymieniwszy spojrzenia z siostrą. I Po coś to zrobił?

Zaparkowali pontiaka na River Valley Road i dalej poszli piechotą. W tłumie były również i kobiety niosące na plecach dzieci jak laleczki z ogolonymi główkami, niektóre śpiące, inne patrzące ze zdziwieniem na ten nieznaną świat oczyma czarnymi jak guziczki. Zanim doszli do rogu Kim Seng Road, tłum stał się znacznie gęściejszy.

- Pchają się, żeby zobaczyć ludzki pocisk armatni? Monty zaprzeczył ruchem głowy.

- Tu dzieją się najrozmaitsze rzeczy. Sam zobaczysz. Tutejsi ludzie mają fioła na punkcie tańca. Kupili parkiet dawnego Hotel de l'Euro-

pe, który był kiedyś najszykowniejszym hotelem na padangu, i zainstalowali tutaj. Najmują czasami orkiestry ze stojących w porcie statków linii P.O. (a przynajmniej kiedyś tak robili). Trochę odmiany po Chińczykach i Filipińczykach.

Wkrótce znaleźli się u wejścia, gdzie pod łukowatym sklepieniem widniał neonowy napis: „Wielki Świat”. Zwarty tłum mężczyzn i kobiet walczył tu o wpuszczenie do środka, wśród nich kilku ludzi w mundurach. Nagle ktoś chwycił Matthew za ramię, był to Ehrendorf.

- Przyszedłem właśnie w tej chwili - rzekł pogodnie. - Witaj, Monty! Witaj, Joan!

- Co za niespodzianka - powiedział Monty bez entuzjazmu.

- Jim, nie wiem, czy znasz, hm, Sinclair'a... - rzekł Matthew.

- Wchodzimy do środka, zanim nas zgniotą na śmierć - przynagliła Joan, ignorując Ehrendorfa. - Ci żołnierze cuchną jak świnie.

- Słuchajcie, chcę tylko zapłacić komuś, żeby mi pilnował samochodu, jak będę w środku, możecie poczekać chwilkę?-zapytał Ehrendorf markotniejąc. - Boję się, że gang z tutejszej gazowni rozkradnie mi go doszczętnie, jeśli...

Ale młodzi Blackettowie precyzyjnie się przez wejście wlokąc za sobą wahającego się Matthew i Sinclair'a.

- Słuchajcie, czy nie powinniśmy poczekać na Jima?

- Nie martw się, znajdzie nas.

Popychany przez Monty'ego Matthew dostrzegł jeszcze na chwilę twarz Ehrendorfa i z bólem zauważył malujący się na niej wyraz cierpienia.

- Będę za minutę! - zawołał za nimi Ehrendorf i odszedł spiesźnie.

Matthew znalazł się teraz na wielkim, okrągłym deptaku, w środku którego stał gąszcz bambusów i palm. Z jednej strony była kawiarnia na świeżym powietrzu, gdzie wokół stolików tłoczyli się hałaśliwi żołnierze pijący piwo, a z drugiej mieściła się sala bilardowa, gdzie przez wysokie otwarte okna widać było zielone stożki przesyconego dymem blasku od żarówek nad stołami i wschodnie twarze połyskujące w ciemności. Trochę dalej znajdowała się ogromna hala, z której dobiegał regularny łomot bębnow i łkania saksofonów.

Szli w tłumie, który miejscami był tak gęsty, że musieli się przepychać idąc uliczką kramów o dachach z falistej blachy i rzęście oświetlonych. Niektóre z tych kramów były jadłodajniami na świeżym powietrzu, obwieszonymi trupami nagich, różowookich kurcząt wiszących na hakach za szyje, z wółprzymkniętymi w chwili śmierci oczyma. Obok nich leżały stosy pieczonych kaczek, kawały mięsa pływające w tłuszczu i usiane tłustymi objadającymi się muchami. W pobliżu mięsa uwijał się zasuszony specjalista od rybnych knedelków, a zaraz za nim rodzina tłustych Malajczyków przy bulgocących kotłach uasi pudang, olbrzymich krewetek, jaj w sosie curry, orzechów i ikan bilis (suszonych ryb nie większych od paznokcia), układanych na talerzach lub zawijanych w rożki z liści. Tu przecinano jakąś jęczącą damę na pół, ówdzie przepuszczano inną przez maszynkę do mięsa i dołem tryskała krew, dalej mieściła się strzelnica, gdzie sierżant australijski w kapeluszu z szerokim rondem strzelał z wiatrówki w poczerwione żarówki przy akompaniamencie drwin kolegów, następnie lokal ze striptizem. W sąsiadującym kramie widniało ogłoszenie przestrzegające przed utratą potencji: „Proszę połknąć naszą Słoneczną Pigułkę dla mężczyzn i Księżycową Pigułkę dla kobiet. Gwarantowane”. Pod ogłoszeniem była cała wystawa flaszeczek z lekami i prymitywny oraz niepokojący rysunek wykonany kolorową kredką, a mający najwyraźniej przedstawiać organa płciowe.

Gdy Matthew przystanął, aby mu się przyjrzeć, nagle ujęła go pod ramię wysoka i szczupła Tamilka z warkoczem (w który były zmyślnie

wplecione kwiaty jaśminu) sięgającym do pasa. Poprawił okulary, aby jej się lepiej przyjrzeć, patrząc ze zdumieniem w jej ciemną twarz ze srebrnymi ozdóbkami połyskującymi na obu nozdrzach. Była bardzo ładna i chętnie by z nią porozmawiał, ale reszta towarzystwa znikła mu już z oczu, więc uwolnił się od dziewczyny ze słowami przeproszenia i pomknął dalej z bijącym sercem. Jakże to wszystko podniecające, jakże inne niż w Genewie!

Teraz przeciskając się z pośpiechem przez tłum w poszukiwaniu swoich przyjaciół o mało nie wpadł na zaimprovizowaną scenę z desek położonych na kozłach, na której wystawiano chińską operę. Aktorzy i aktorki we wspaniałych kostiumach deklamowali przeszywającym falsetem nie zważając na maszynistę teatralnego, który w szortach koloru khaki i podkoszulce, i z papierosem wiszącym u warg przestawiał dekoracje wokół nich. Jeden z aktorów z rozwidloną brodą sięgającą kolan zszedł za kulisy wywracając oczyma w udanym gniewie i przez tłum patrzących Chińczyków przeszedł pomruk. Obchodząc bokiem scenę Matthew zajrzał do garderoby, bo boki i tył tego miniaturowego teatru były zrobione z materiału zawieszzonego na sznurkach i poruszanego powiewami wiatru, tak że widział przez chwilę aktorki przygotowujące się do następnej sceny - zmyślnie umalowane i różowo przypudrowane twarze patrzyły w lustro, a szczypczyki gotowały się do nowego ataku na i tak już dobrze wyskubane brwi. Kilka malutkich chińskich dziewczynek stało przy słupkach również przyglądając się temu jakże ciekawemu widowisku.

Bojąc się, że zupełnie zgubił przyjaciół, Matthew szedł jednak wolno, ponieważ uwagę jego przykuwały różne dziwy, na które napotykał raz po raz: mężczyzna sprzedający pęki suszonych żab powiązanych za łapki, rodzina akrobatów fikająca koziołki, jakiś kram, w którym sprzedawano na szklanki sok nieznanych owoców, pomarszczony kasjer w bambusowej klatce, kąski satay nadziane na setki bambusowych pręcików piekące się na węglu drzewnym, sprzedawcy zupy seto i won ton mee, placków z jabłkami smażących się w zjełczałej oliwie, i nasi goreng, i przepysznych lodów o smaku mango i durianu, i samego durianu, tak pożądanego i unikanego ze względu na swoisty zapach, ułożonego w piramidy jak kule armatnie... i inne zdumiewające widoki i wypadki nie do opisanego, mające w uliczce zatłoczonej mężczyznami i kobietami najrozmaitszych kształtów, rozmiarów i kolorów, od rodziny pigmejskich akrobatów, przez wdzięcznych, delikatnych Chińczyków, po białych jak mąka, sielankowych Brytyjczyków i Holendrów w obszernych szortach koloru khaki, a temu wszystkiemu towarzyszyła kakofonia instrumentów muzycznych i gramofonów w atmosferze ciężkiej od perfum, kadzideł, drzewa sandałowego, potu i dymu tytoniowego, w łagodnym, wilgotnym powietrzu tropików.

Matthew przypomniał sobie rozmowę odbytą wcześniej tego wieczoru z Walterem i zadumał się nad przedsięwzięciem handlowym, które spowodowało tę niezwykłą mieszaninę ras i kultur. Zupełnie jakby nagłe pojawienie się zachodniego kapitału na Malajach wytworzyło próżnię, która wessała ludzi ze wszystkich okolicznych krajów i wielu, wielu dalszych. Czy ten naród przybyszów, którzy zjawili się tu szukać środków do życia pod Koroną Brytyjską stanie się kiedyś narodem z własną kulturą, wytworzoną z własnej różnorodności? Zdarzyło się to z całą pewnością w Ameryce, ale czy stanie się tu, gdzie rozbieżności kulturowe są jeszcze większe, niż były wśród amerykańskich imigrantów? Czy taka kolonia jak Malaje, jak twierdzą komuniści, jest tylko miejscem harówki lichy opłacanych robotników utrzymywanym przez zachodnie rządy w interesie kapitalizmu? Czy może kapitał zachodni (w którym się mieści i jego kapitał, teraz gdy ojciec nie żyje; nie wolno mu o tym zapominać!)... czy kapitał zachodni, jak twierdzi Walter, stanowi czynnik zbawczy niosący życie i nadzieję milionom ludzi przez uczynienie bezużytecznych ziem produktywnymi? A może oba te zjawiska występują jednocześnie? (Czyż sam Marks nie sugerował czegoś takiego?) Do jakiego stopnia Wielka Brytania rządząc sprawami Straits Settlements i Federacji Malajskiej kierowała się dobrem ich mieszkańców, a do jakiego interesami brytyjskiego handlu? W tym tkwi jądro zagadnienia! Matthew zatrzymał się, poruszony. Widział Monty'ego, Joan i Sinclaira nieco dalej w przodzie, lecz chciał przemyśleć tę kwestię, nim do nich podejdzie. Jednak w tej właśnie chwili zaszło coś niespodziewanego-

Wgryzając się w te ważkie problemy Matthew uświadomił sobie nagłe pojawienie się wśród tłumu spacerujących, jedzących i bawiących się ludzi szeregu umalowanych dziewcząt, chińskich i curazjatyckich, niezwykle wdzięcznych i urodziwych w prosto skrojonych sukienkach szanghajskich z wysokimi kołnierzykami i rozcięciem z boku nad kolano. Dziewczęta te miały granatowe włosy krótko przycięte i ondulowane na sposób zachodni, ale gdy Matthew stał tak zatopiony w myślach, nie mógł nie spostrzec, że jedna z nich, spacerująca pod ramię z inną

dziewczyną, miała nie tylko zachodnią sukienkę, ale także długie, rozpuszczone włosy. Co zaś dziwniejsze - bo chyba była Chinką - gdy przechodziła przed jakimś jasno oświetlonym kramem, jej włosy, które wydawały się równie czarne jak włosy jej towarzyszki, rozjarzyły się ciem- noczerwono niczym butelka czerwonego atramentu oglądana pod światło.

Mówiła coś do swej towarzyszki ze słodkim uśmiechem, który odsłonił rząd białych zębów. Matthew, zniewolony jej urodą, nie mógł oderwać od niej oczu. Podniósłszy wzrok zauważyła jego spojrzenie i drgnęła zaskoczona, jakby go poznała. Szepnąwszy słówko towarzyszce podeszła śmiało do niego i wciąż uśmiechnięta, powiedziała cicho:

- Matthew, znałam twego ojca. - A potem, ponieważ Matthew stał wybałuszając na nią oczy, ciągnęła dalej: - Był dla mnie bardzo dobry. Strasznie mi żal, że umarł. Nazywam się Vera Chiang... Widziałam cię, jak przyjechałeś do Mayfair z panem i panną Blackett, która też była dla mnie dobra... i jest piękna, prawda? Przypomina mi Joan Crawford, taka śliczna... i teraz, Matthew, jesteś samutki na tym świecie... - Oczy jej zaszyły łzami współczucia.

- Wielkie nieba! - mruknął Matthew i dalej patrzył na nią w zdumieniu. Chrząknął, szykując się do powiedzenia czegoś odpowiedniego, i chciał poprawić okulary, lecz ona ujęła jego rękę z czułością w obie dłonie, mówiąc:

- Byłam w kłopotach i twój kochany ojciec, jak święty niebieski, pomógł mi „dać nogę” (wybacz mi ten żargonowy zwrot!) z samego dna niedoli, a teraz nie żyje i jest mi bardzo smutno, i kiedy myślę o tym, napada mnie chandra i czasem w nocy płaczę, tak, ale wybacz mi, bo dla ciebie to musi być dużo cięższe niż dla mnie! - I z całych sił przycisnęła jego dłoń obiema rękami do swojej piersi.

- Prawdę rzekłszy, to my z ojcem nie byliśmy aż tak...

- Tak, wiem, co musiałeś czuć, gdy dowiedziałeś się o śmierci ojca, i pomyślałam sobie: „Biedny Matthew”, bo twój ojciec pokazywał mi twoje zdjęcie, jak byłeś malutki, i zastanawiałam się: „W jakim zakątku świata dosięgnie go ta wieść”, a twój ojciec mówił mi, że gdy któregoś dnia umrze, to wtedy ty, jego jedyny syn, zostaniesz sam na świecie, bo twoja kochana mamusia już dawno „kopnęła w kalendarz” i nie ma nikogo, kto by mógł zadbać o ciebie. - Wiedziona impulsem rozpięła guzik sukienki i wsunęła delikatnie jego dłoń pod materiał, przyciska

jąc ją obiema rękami jeszcze mocniej niż przedtem, aby go pocieszyć! A Matthew poczuł, że jego dłoń tuli coś, co było ani chybi naga piersią

- tak czy inaczej było z całą pewnością jedwabiste, miękkie, podatne, mile prężne i zachwycające w dotyku. Stał tak jeszcze przez chwilę rozkoszując się tym niezwykle miłym doznaniem, aczkolwiek wyraźnie oszołomiony. Tymczasem patrzyli sobie oboje w oczy, jak zahipnotyzowani, a między nimi przepływały fluidy.

W tej samej chwili runęła na nich lawina pijanych marynarzy holenderskich, którzy objawszy się ramionami, na wpół biegli, na wpół tańczyli jakiś pijacki skoczny taniec rozpędzając wszystkich na lewo i prawo. Matthew, który stał zadumany nad kwestią kolonialnego dobrobytu i postępu, a jego wilgotna dłoń tuliła nagą pierś młodej kobiety, nagle został popchnięty przez tłum chichoczących Chińczyków, którzy umykali przed rozhasanymi marynarzami. Popychano go we wszystkie strony... Odłączono od młodej kobiety... ręka, przez którą płynęły tak miłe doznania, została brutalnie odepchnięta, okulary zsunęły się z nosa i zawisły niebezpiecznie na jednym uchu, kiedy usiłował utrzymać równowagę. Potem buchnęła mu w uszy salwa gardłowego śmiechu, porwano go za nadgarstki i zarzucono jego ramiona na grube, wilgotne karki, potężne ręce zacisnęły się na jego piersi i stał się częścią ogromnej sieci pajęczej powstałej z marynarzy, na której szamotało się niczym muchy paru malutkich Chińczyków pragnąc się uwolnić. Sunął wśród rozmazanych światel i sylwetek kołysząc się i podrygując w przerażającym pędzie, ledwie dotykając ziemi, póki dalszy bieg tej pajęczej sieci nie został wstrzymany zderzeniem i włamaniem się do wnętrza namiotu, gdzie działo się coś, co można by nazwać intymnym masażem. Zanim i on zdołał się uwolnić i poprawić okulary, których jakimś cudem nie zgubił (czułby się bez nich całkowicie bezradny), był już daleko od miejsca, gdzie spotkał dziewczynę. Szukając jej wrócił nieco, ale tam, gdzie jak mu się zdawało przedtem stali, przewalał się teraz gęsty tłum. Poczuł, że ktoś chwyta go za ramię. Odwrócił się i zobaczył Monty'ego.

- Już myśleliśmy, że się nam zgubiłeś. Co ty wyprawiasz? Chodź, tędy.

- Monty, muszę ci coś powiedzieć, przed chwilą zdarzyło mi się coś nadzwyczajnego...

Lecz Monty nie chciał za żadną cenę stracić początku widowiska i nie czekając, co Matthew ma do powiedzenia, ruszył w kierunku oświetlonego światłami reflektorów ogrodzenia. W tym momencie rozległ się stamtąd wysoki, przesywający uszy śmiech, jak odgłos pompy pracującej na sucho lub może samotny krzyk pawia o zmierzchu.

Niezwykłe widowisko wystrzeliwania europejskiej damy z armaty ściągnęło spory tłum. Rozciągnięto zasłony z płótna, aby odgrodzić się od ludzi, którzy wstrzymywali się z opłatą za wstęp, lecz tu i ówdzie materiał był rozdarty i mali chłopcy bili się między sobą o miejsce przy dziurach. Wewnątrz ogrodzenia wzniesiono skomplikowaną scenę: po prawej stronie stała armata z długą lufą okrytą zielono-brązową siatką kamuflażową w najlepszym wojskowym stylu, wystająca z dwuwymiarowego zamku tekturowego, na którym było napisane: „Twierdza Singapur”. Zza armaty wystawały dwie olbrzymie głowy z papier-maché - Czang Kaj-szeka i króla Jerzego VI, pierwsza z zawieszoną na szyi legendą: „Kuo (Kraj), Min (Naród), Tang (Partia). Przyjaciel wszystkich miłujących pokój ludów!” Obok zaś podobna legenda w duńskich ideogramach. Na szyi króla wisiał dosyć niedbale wykonany napis: „God Save King”.

Z lewej strony, w odległości około pięćdziesięciu jardów, była rozciągnięta wielka sieć, a przed siecią stał imponująco realistyczny samochód pancerny skonstruowany z papieru i listewek. Z jego wieżyczki unosił się niczym węże z kosza pęk potwornie uśmiechniętych głów w okularach i czapkach wojskowych, a nad nimi, jakby królewska kobra gotowa zadać cios, jeszcze jedna głowa węża w okularach, która z pewnością, jak przypuszczał, miała stanowić karykaturę młodego cesarza Hirohito. Wszelkie wątpliwości, że właśnie to było celem armaty, rozprasał napis na samochodzie pancernym: „Znienawidzony najeźdźca umiłowanych Chin”.

- Ale gdzie są Siostry Da Sousa? - dopytywał się Monty. - Myślałem, że mają występować. - Program, który kupił, był zrobiony ze złożonego na pół arkusza i miał na zewnętrznej stronie rozmazaną fotografię tęgiej postaci w kasku, przypuszczalnie ludzkiej amunicji, a w środku wyszczególnione punkty przedstawienia:

1. Najazd straszliwego wroga.
2. Salwy armatnie.

3. Panna Olive Kennedy-Walsh, magister filozofii, Kolegium Trini-ty w Dublinie, przeleci przez powietrze ku paskudnemu agresorowi.

4. Rozgromienie zdrazieckiego agresora (Za skutki Zarząd nie odpowiada).

5. Zbiór dobrowolnych datków na chiński Heroiczny Wysilek Wojenny, za które pięknie dziękujemy.

6. God Sake King.

7. Koniec.

8. Proszę wychodzić. Dziękujemy za przybycie.

Modele papierowe uzyskane dzięki uprzejmości Firmy Chou i Syn, Zakład Pogrzebowy i Wszelkie Usługi Pogrzebowe. Wszystkie Wyznania. Sago Lane, Singapur.

„Skończ tak, jak pragnąłbyś rozpocząć”.

— To, to jeszcze nic - rzekł Monty do Matthew, który pochwalił wspaniałą makietę samochodu pancernego. - Powinieneś zobaczyć te cadillaki, domy, liniowce oceaniczne i różne różności, które wyrabiają dla bogatych towkayów do grobowców, aby je sobie zabrali na tamten świat. To wykwalifikowani fachowcy. Chińczycy potrafią być prostoduszni - dodał z drwiną.

— Gdzie są te sio.. .sio.. .sio.. .siostry? To jest ro.. .ro.. .ro.. .rozmyślne oszustwo, nie sądzisz, Monty?

Ale stojący obok młody plantator z różową twarzą, usłyszawszy skargę Sinclaira, zapewnił go, że Siostry Da Sousa już występowały. Odśpiewały kilka piosenek włącznie z „Czekoladowym żołnierzykiem” i oczywiście swój przebój „Hallo! Hallo! Hallo!” Wątpił, czy wystąpią jeszcze raz tego wieczoru.

— Takie nasze szczęście - utyskiwał Monty.

— Jim chyba nigdy nas tu nie znajdzie - powiedział Matthew i właśnie w tej chwili zobaczył, jak Ehrendorf przepycha się do środka. Tymczasem jakiś mężczyzna zaczął nakręcać z wigorem przenośny gramofon. Drugi Chińczyk w białym smokingu wziął w rękę mikrofon.

— Zdażyłem w samą porę - rzekł Ehrendorf radośnie. - Nie chciałbym za nic w świecie stracić tego widowiska. - Joan siedziała na końcu rzędu krzeseł i Ehrendorf usiadł obok niej. Dziewczyna jednak natychmiast wstała i powiedziała do Monty'ego i Sinclaira:

| Posuńcie się, chcę usiąść obok Matthew. - Wywołując spore zamieszanie, ponieważ przestrzeń między rzędami była wąska, przecisnę

174

ła się na miejsce, które powstało między Sinclairem a Matthew. Ehrendorf zaczerwienił się i skierował ponure spojrzenie na scenę.

Obwieszczono wejście gwiazdy wieczoru, panny Kennedy-Walsh - była to solidnie zbudowana kobieta po trzydziestce, ubrana od stóp do głowy w lotniczy kombinezon z białego jedwabiu, który przylegał idealnie do jej imponujących kształtów - widownia zaszemrała z uznaniem dla jej świetnie uformowanych ud, bujnych piersi, silnych szczęk i różowych policzków.

- Czy ona się wciśnie w tę lufę? - zażartował Ehrendorf z napięciem.

- Duże pielsi pielsokłaśne! - zauważył młody, elegancko ubrany Chińczyk obok Matthew unosząc w górę kciuki. Matthew już wcześniej zdążył wynioskować z porozwieszanych w kramach fotografii półnagich dziewcząt, że Chińczycy zachwycają się kobietami o wielkich biustach.

Panna Kennedy-Walsh rzeczywiście z trudem wciskała się do lufy. Jej wspaniałe uda wsunęły się stosunkowo łatwo. Dzięki śliskości kombinezonu udało jej się również wcisnąć do lufy pośladki. Jednakże piersi tkwiły z uporem nad krawędzią, a ponieważ ręce miała przyciśnięte do boków i znajdowały się już w lufie, była bezradna. Ugrzęzła! Twarz jej spąsowiała z irytacji. Z widowni dobiegł pomruk niezadowolenia. ■ - Rany boskie, popchnie mnie który czy nie, wy leniwe dranie!

Tymczasem wśród chińskich organizatorów trwała narada. Drapali się w głowy i wytrzeszczali oczy to na nadmiernie rozwinięty biust panny Kennedy-Walsh, to na armatę, a potem znów drapali się w głowy. Mistrz ceremonii przyłożył dłonie do jej ramion i pchnął grzecznie, ale to nic nie pomogło. Wręcz pogorszyło sprawę. Panna Kennedy-Walsh wsunęła się nieco głębiej, lecz biust nie wszedł do lufy, a twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

— Mam tak tkwić całą noc czy co? - dopytywała się z furją. Widać było jej poruszające się jeszcze usta, ale słowa zatoneły w dźwiękach muzyki wojskowej, która nagle rozbrzmiała. Matthew obserwujący to wszystko z ciekawością i z troską zsztywniał nagle poczuwszy dłoń Joan w swojej i serce mu zabiło żywiej.

Tymczasem ktoś wpadł na pomysł, żeby poprosić na scenę chińską damę. Była mocno umalowana i mimo upału miała na szyi jaskrawe boa z piór. Najwyraźniej oderwano ją pośpiesznie od innych obowiązków i wydawała się podniecona. Mistrz ceremonii, wyjaśniając, czego od niej chce, wykonał parę ruchów ugniatacia ciasta i wskazał palcem

175

I krnąbrne piersi. Wylot lufy i wystającą z niego głowę oraz biust panny Kennedy-Walsh zasłonięto skromnie prześcieradłem. Dama w boa dała pod nie nura. Orkiestra wciąż grała melodie wojskowe. Kiedy po kilku chwilach zdjęto prześcieradło, po panie Kennedy-Walsh nie zostało ani śladu. Zewsząd rozległy się oklaski.

Teraz widowisko zaczęło się naprawdę. Mistrz ceremonii, najpierw po kantońsku, potem po malajsku, wreszcie po angielsku, poprosił widownię, by na dany znak zaczęła odliczać od dziesięciu do jednego. Skierowano reflektor na człowieka trzymającego linkę przy zamku armaty - uśmiechał się nerwowo. Pokręcono kółkiem i lufa uniosła się do góry. Drugi reflektor skierowano na model samochodu pancernego z chwiejącymi się podobiznami Japończyków. Dwóch Chińczyków zaczęło wolniuteńko ciągnąć na linach samochód pancerny zza siatki w stronę „Twierdzy Singapur”. Przed siatką była wzniesiona wysoka rampa i samochód posłusznie zmieniał kurs i zamiast podążyć wprost pod twierdzę, zaczął się wspinać na rampę. Muzyka umilkła i nastąpiło teraz bicie werbli. Zaczęło się odliczanie. Dziesięć... dziewięć... osiem... Samochód pancerny dojechał prawie na szczyt rampy... Trzy... dwa... jeden... Ognia! Człowiek trzymający linkę szarpnął, ale nic się nie stało. Widownia wstrzymała oddech z przerażenia. W ciszy, jaka zapadła, dało się słyszeć z wnętrza armatniej lufy stłumione wymyślania. Monty zajął do programu. - Zdaje się, że utknęliśmy na punkcie drugim: „Salwy armatnie”. Odbyla się jeszcze jedna gorączkowa narada, tym razem przy zamku armaty. Tymczasem dwaj Chińczycy z linami skoczyli nieco bojaźliwie pod wylot lufy, na rampę, chwycili samochód pancerny i zanieśli na pierwotną pozycję, następnie ponownie zajęli stanowiska przy linach. Wkrótce po porcji bicia werbli i manipulacjach mężczyzny kluczem przy zamku armaty, otrzymali znowu sygnał, że mają zacząć ciągnąć. Samochód pancerny zaczął się wspinać! Dziesięć... dziewięć... osiem... Nerwy ciągnących za liny dały wyraźnie znać o sobie - pojazd posuwał się skokami. Trzy... dwa... jeden... Ognia! Straszliwy wybuch rozszedł się echem po „Wielkim Świecie” i biały pocisk poszybował lśniącem łukiem pod czarnym sklepieniem nieba. Mdlejący z podniecenia ludzie przy linach szarpnęli z całej siły i samochód pancerny wyskoczył nad krawędź rampy i spadł na dół właśnie w chwili, gdy panna Kennedy-Walsh przelatowała koło miejsca, gdzie jeszcze przed chwileczką stał. Pomknęła dalej i runęła

176

głową w dół do sieci, gdzie zaczęła się ciskać, miotać i wyginać jak złowiony łosoś.

Chybiła! Nie była to okoliczność, na którą ludzie trzymający liny się przygotowali. Spojrzeli na siebie bezradnie. Co mieli robić? Poczucie realizmu kazało im ciągnąć dalej. Samochód pancerny skierował swój nos z wahaniem ku „Twierdzy Singapur” i pełził naprzód, wolno, lecz nieubłagane, niosąc swój chwiejący się ładunek uśmiechniętych, ubranych w okulary Japończyków do miejsca, gdzie majaczyła armata, niestety już bez amunicji. Ryk oburzenia wydarł się z piersi tłumu. Mistrz ceremonii pospieszył z interwencją i samochód został sprzątnięty ze sceny. Panna Kennedy-Walsh wykonała ukłon. Ogłoszono rozpoczęcie zbiórki na rzecz Nanyangskiego Towarzystwa Popierającego Walkę z Wrogiem.

- Chodźmy się napić - zaproponował Monty, widocznie zadowolony z widowiska, mimo że Siostry Da Sousa się nie pojawiły. Gdy szli ku wyjściu, tłum zaczął śpiewać: „God save glacious King” - Boże chłoń klóła!

Ruszyli teraz inną drogą - spacerujący tłum stał się jeszcze gęściejszy niż przedtem. Monty, Joan i Sinclair szli na przedzie. Matthew i Ehrendorf podążali w pewnej odległości za nimi. Matthew starał się wymyślić coś dla pocieszenia przyjaciela, który był wyraźnie wytrącony z równowagi faktem, że Joan zmieniła miejsce w czasie widowiska. Ponadto ; Matthew bał się, że gdyby szedł obok Joan, może nie oparłaby się pokusie wzięcia go za rękę na oczach wszystkich, zwiększając przez to niepotrzebnie jeszcze bardziej smutek Ehrendorfa. Dziwił się, że Joan uważa go za pociągającego. Bardzo niewiele kobiet podzielało to zdanie. Próbował pogodzić się z tym, jak ze wszystkim innym, podchodząc do tego filozoficznie.

Ale przede wszystkim Matthew pragnął porozmawiać ze swym starym przyjacielem, odnowić dawną zażyłość, bo Ehrendorf był jednym z tych rzadkich ludzi, którzy interesowali się wszystkim, co mówił. Matthew lubił dyskusje i rozmyślania tak samo, jak inni lubią tenis. Co więcej, chociaż lubił roztrząsać drobne sprawy, naprawdę podniecały go kwestie ogólne. Nie wystarczyło mu, na przykład, wiedzieć, że w Pradze wyrzucono przez okno dwóch katolików w interesie jezuitów i Ferdynanda ze Styrii na początku siedemnastego wieku (co wystarczyłoby każdemu zwykłemu człowiekowi), on natychmiast pragnął poznać ogólne implikacje tego czynu. I zaraz rozmyślał z lubością nad tym, czy była

1

Et voilà konieczność (a nie jedynie przypadek), że po liberalnych rządach cc- Harza Rudolfa nastąpił okres nietolerancji, lub też nad jakimś całkiem innym aspektem tej sprawy... nad religią jako przeciwniczką ekonomiki, będącą powodem wojny, lub też nad skutkiem oddziaływania okien i szkła w ogólności na czeską psychikę, albo nad związkami fizycznego i duchowego oświecenia (okien, lamp, światła elektrycznego, idących ręką w rękę z myśleniem racjonalnym) w postępie ludzkości.

Oczywiście, ludzie się zmieniają. Matthew i Ehrendorf też niewątpliwie się zmienili w ciągu tych lat, które minęły od czasów, gdy wiedli dyskusje długo w noc w Oksfordzie i Genewie. Matthew zdał sobie sprawę już w Genewie, że on sam zaczyna się zmieniać - że już nie lubi tak bardzo jak kiedyś dyskutować z przyjaciółmi, zwłaszcza tymi, którzy się poświęcili karierze akademickiej. Nie dlatego, że ci przyjaciele zdradzali tendencje do przybierania ponurych, ważnych tonów wyróżniających akademików-otoczeni paraliżującym komfortem, udogodnieniami i drażniącymi drobiazgami żyda uniwersyteckiego, cóż innego mieli robić? Czuł, że tym, co go przynębia, była luka, która powstała między myślą a uczuciem, oddalenie, bezstronność tych jego przyjaciół w odniesieniu do przedmiotu badanego lub wykładanego. Obiektywizm, musiał się z nimi zgodzić, jest niewątpliwie ważny. Ale potrzebna jest, jak oświadczył, chodząc tam i z powrotem po pokoju ze świetnym portem w żołądku, podczas gdy oni spoglądali na niego z lękiem, czy nie obudzi dzieci, potrzebna jest „obiektywność żarliwa” (cokolwiek miałyby to znaczyć). Zwykle kończyło się na tym, że udając się do domu wsiadał do ostatniego autobusu lekko podchmielony i niezadowolony z siebie i swoich przyjaciół. Jednakże z Ehrendorfem było zawsze trochę inaczej, być może dlatego, że pochodząc z rodziny wojskowych wolał zostać żołnierzem niż uczonym, chociaż może była to raczej różnica osobowości. Bez względu na przyczynę, w Genewie zawsze było mu wyjątkowo łatwo dyskutować o różnych rzeczach z Ehrendorfem.

Obecnie, zupełnie tak jakby się przechadzali po Quai Wilson, a nie w pulsujący, przesycony różnymi woniami, cuchnący, wilgotny, tropikalny wieczór, Matthew zignorował jakieś trywialne pytanie Ehrendorfa odnośnie Sinclaira (Kim jest? Jak długo Joan go zna? Czy są specjalnie sobie bliscy? Może przyjaźnią się od dziecka?) i nawiązał do ważnej kwestii, która wcześniej kazała mu się zatrzymać. Czy napływ zachodniego kapitału z punktu widzenia rdzennych mieszkańców można uważać za postęp?

- Z pewnością słyszałeś wykład Waltera o tym, jak on i mój ojciec, a także niektórzy inni kupcy przekształcili Birnę z kraju, w którym, jeśli przypadkiem z palmy nie spadł kokos, nikt nie jadł kolacji, w nowoczesnego eksportera ryżu... Domyślam się, że wygłasza ten wykład każdemu, kto mu się tylko nawinie pod rękę...

- No cóż - westchnął Ehrendorf, machinalnie powracając do swoich starych oksfordzkich nawyków - wszystko zależy od tego, co rozumiesz pod słowem...

- Postęp? Czy „rdzenni mieszkańcy”?

- Chyba jedno i drugie - Ehrendorf uśmiechnął się leciutko, - Skoro nastąpiła masowa imigracja Hindusów, więc i ich położenie musiało być odmienne od położenia Birmańczyków. Walter z pewnością przesadza. Birna była żyznym i kwitnącym krajem przed przyjściem Brytyjczyków. Ale nie myśl, że gospodarka wymiennotowarowa jest jak Raj przed Upadkiem: gospodarka pieniężna posiada więcej możliwości przetrwania powodzi, tajfunów i różnych takich kataklizmów, jeśli nawet wprowadza pewne własne niedogodności, których przedtem nie było.

- Niedogodności! Przecież handel ryżem ogromnie zaszkodził Birnie! Cała jej kultura została zniszczona. Dawna wspólnota mieszkańców wsi upadła. Niemal z dnia na dzień przemieniła się na „każdy sobie rzepkę skrobie”. Ludzie zaczęli grodzić pastwiska, które przedtem należały do całej wsi. Pragnienie zysku ogarnęło kraj, jak jakiś nowy, straszny wirus, przeciw któremu nikt nie był uodporniony. Gdy Birmańczycy zostali zredukowani do roli migrujących robotników sezonowych na polach ryżowych, dawne życie wiejskie zostało unicestwione... a wraz z tym cała egzystencja została sprowadzona tylko do ciułania pieniędzy. Niegdyś urządzano tam wyścigi zwierząt domowych, wodne zawody, zabawy wiejskie, przedstawienia i widowiska kukielkowe. Wszystko to minęło. A co je zastąpiło? Ogromny wzrost przestępczości! Aby być szczęśliwymi, ludzie muszą żyć w stworzonych przez siebie środowiskach. Jeśli mi nie wierzysz, możesz to wszystko przeczytać w raportach rządowych!

- Ależ tak, wierzę ci - rzekł Ehrendorf dosyć niepewnie. - Mimo to jest to pogląd cząstkowy. Musisz ogarniać cały obraz.

Ogarniając cały obraz Ehrendorf miał również na oku Blackettów i Sinclaira, którzy szli w pewnej odległości przed nimi. Być może i on przestał żywić dawną ochotę do abstrakcyjnych dyskusji lub też był za-

przątnięty innymi sprawami. Zeszczupłał od ostatniego spotkania z Matthew w Europie i w jego zachowaniu pojawiło się coś jakby wahanie, którego przedtem nie było. Parę razy Matthew był na krawędzi owego koszmarnego uczucia, kiedy to człowiek nagle zaczyna myśleć: „Ależ ja wcale nie znam tego faceta!”, mimo że ten facet jest jego najlepszym przyjacielem. Ale rzut oka na Ehrendorfa upewnił go: był to ten sam stary Ehrendorf, z wyjątkiem wąsów, trochę starszy niż dawniej, oczywiście, i nie tak pogodny i pewny siebie jak kiedyś. Ale i on też się postarzał.

Spojrzenie pięknych oczu Ehrendorfa spoczywało na tyłeczku Joan idącej w pewnej odległości przed nim, między bratem a Sinclairem. Jasnoniebieska, uprasowana sukienka chwytała blaski naftowych latarni, kiedy mijali kramy, toteż z oddalenia wydawało się, że jej postać rozjarza się i zamiera, w sposób niemal hipnotyzujący. Często dziewczęce tyłki zaczynają robić się obwisłe po dwudziestce (co nie ma specjalnego znaczenia, ponieważ niewielu mężczyzn dba o to, czy dziewczyna ma tyłek obwisły, czy nie), ale u Joan to nie nastąpiło. Patrząc na nią z tyłu można by pomyśleć, że jest ona po prostu dojrzałą dziewczyną. Nie miała też zwałów tłuszczu na udach, które czasem tworzą u szczipłych kobiet efekt skórzanych toreb przy siodle. „Jej tyłek jest zbyt doskonały - myślał Ehrendorf patrząc przed siebie jak w transie. - Zbyt piękny, żeby go móc zdobyć i jak wszystko, co jej dotyczy, po prostu nieosiągalny”.

Po Matthew nie należało jednak oczekiwać tego rodzaju spostrzeżeń. Ponadto pogoda była kiepska i gdyby go to nawet interesowało, nie mógłby nic dostrzec z tej odległości bez uprzedniego zdjęcia okularów i przetarcia szkieł - w ciągu tego wieczoru zebrała się na nich gruba warstwa kurzu.

- Sinclair z pewnością przybył do Singapuru niedawno - zauważył Ehrendorf. - Chociaż wydaje się, że wcale nieźle się tu orientuje. - Było to bezsprzecznie raczej stwierdzenie niż pytanie, ale kryło w sobie jakąś dociekliwość. Matthew jednak nie zwrócił na to uwagi - był wyraźnie zbyt zaprzątnięty próbą wyrażenia tego, co go nurtowało.

- Dam ci przykład, Jim, co dzieje się, gdy pieniądze i chęć zysku zakorzeniają się w kraju nieprzywykłym do tego, jak na przykład Birma. Zdaje się, że istnieje pewna straszna darwinowska zasada ekonomiki znana pod nazwą Prawa Zastępowania, która głosi, że „najtańsze przetrwa”. Pociąga to za sobą mnóstwo niemiłych konsekwencji, z których

■

jedną jest to, że wartości nieekonomiczne bywają eliminowane. W Birmie budowano kiedyś piękne, wspaniale rzeźbione łodzie do przewozu towarów, łodzie jak galeony. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zostały one całkowicie zastąpione płaskimi barkami, które mogą przewozić ryż znacznie taniej. I tak samo jest wszędzie, gdzie spojrzysz: krajowa sztuka i rzemiosło są zastępowane tanimi importowanymi substytutami, znikły ręczne warsztaty tkackie, wyroby garncarskie ustąpiły miejsca blaszanym puszkom po paliwie. Nawet wprowadzenie przez kapitał zachodni nowych upraw raczej zubożyło, niż wzbogaciło życie ludzkie. W Birmie ludzie używali do potraw oleju sezamowego, teraz używają arachidowego, ponieważ jest tańszy, choć nie tak smaczny. Na Jawie zaczęto jadać kasawę zamiast ryżu, dlatego, że tańsza...

- Jeśli jest tańsza - zaprotestował Ehrendorf — pozostaje im więcej pieniędzy na inne rzeczy.

- Wcale nie! Skoro mogą mniej wydawać na jedzenie, więc jest rzeczą zrozumiałą, że można im inaczej płacić, pod warunkiem, że nie ma braku rąk do pracy. Tak, właśnie, nasze stare, znane „żelazne prawo” znów płata nam figla! Dodatkowy zysk uzyskany drogą tańszych metod i tańszego wyżywienia nie trafia do rąk krajowców: pomnaża zyski zachodnich firm, które władają krajem lub rynkiem... jak Blackett i Webb! Masom tubylców powodzi się gorzej niż przedtem. Dla nich przyjście kapitalizmu jest naprawdę jak szerzenie się zarazy. Kultura zaginęła, jedzenie się pogorszyło, a społeczności zostały rozbite przez konieczność wędrówki w poszukiwaniu pracy na plantacjach i polach ryżowych. Nie mam racji?

- Ale Marks przecież utrzymywał, że przechodzeniu społeczeństwa od feudalizmu do komunizmu taki stan jest potrzebny i dlatego widział w obecności Brytyjczyków w Indiach siłę postępu.

- Musisz się zdecydować na jedno lub drugie! To, co ty i Marks mówicie, jest bardzo piękne... to znaczy, jeśli komunizm jest tym, czego pragniesz! A co jeśli dojdziemy do takiego stanu, gdy biedni zrobią się jeszcze biedniejsi i zorganizowani w gangi kulisów, a rewolucja... nie nastąpi! Czyż krajowcy nie są ubożsi, niż byli w swoich tradycyjnych społeczeństwach? Oczywiście, że są! A więc musisz mi pokazać, jakie korzyści przyniosło wprowadzenie zachodniego kapitału, przynajmniej w Birmie! - Po chwili przerwy Matthew dodał: - W każdym razie mogę się założyć, że w praktyce komunizm nie okaże się wiele lepszy od kapitalizmu, a może nawet okazać się gorszy.

Idący przed nimi Monty, Joan i Sinclair znikli we wnętrzu restauracji Wing Choon Yuen, której pałacowe wejście było częściowo osłonięte od strony zaułka murem z cegły, na którym stały rzędem palmy w brązowych glinianych donicach, ozdobionych malowanymi smokami. Ehrendorf powiedział:

- Mimo wszystko, Matthew, jest to stronniczy punkt widzenia. W tym, co mówisz, niewątpliwie coś jest. Ale na Zachodzie rzemieślnicy też nie wytrzymali konkurencji z produkcją masową, nie oparli się kapitalizmowi i Prawu Zastępowania. Takie jest życie. - Wzruszył ramionami i dodał z uśmiechem: - Istnieje jeszcze coś innego, co nazwę Prawem Ehrendorfa, które działa we wszystkich zamożnych krajach Zachodu i zapewnia „przetrwanie najłatwiejszego”. Za dwadzieścia lat kawa ziarnista zniknie i będziemy pili tylko kawy rozpuszczalne, nie dlatego, że lepiej smakują, ale dlatego, że łatwiej je przygotować. Wkrótce nikt nie będzie czytał książek ani uczył się gry na pianinie, ponieważ łatwiej jest słuchać radia lub gramofonu. Zapamiętaj moje słowa! Prawo Ehrendorfa poczyni na dłuższą metę równie wielkie spustoszenie! Jednakże nie mogę się z tobą zgodzić, Matthew, ponieważ ty zrecznie unikasz wzmianki o wszystkich korzyściach cywilizacji zachodniej, opiece społecznej, edukacji, medycynie i tak dalej. Ale porozmawiamy o tym kiedy indziej. A przy okazji, przyszło mi na myśl, że gdyby ten Sinclair był dawnym znajomym Blackettów, to z pewnością musiałbym go widzieć albo przynajmniej słyszeć o nim w ciągu ostatnich dwu lat...

- Nie zawracajmy sobie głowy Blackettami... chcę rozmawiać o swoich teoriach - rzekł Matthew.

I wtedy Ehrendorf nagle umilkł i przygasł. Przyszło mu na myśl, że Matthew wcale nie jest tak bardzo zajęty swoimi myślami, by nie móc rozmawiać o Sinclairze i jego tajemniczych powiązaniach z Joan, lecz celowo unikał rozmowy o Blackettach.

Matthew nie zauważył reakcji przyjaciela i wchodząc za nim do restauracji mruknął ponuro:

- Och, edukacja i medycyna. O nich też byłoby dużo do powiedzenia!

Monty, Joan i Sinclair siedzieli przy stoliku usytuowanym wśród zieleni na tarasie. Gdy Matthew i Ehrendorf podeszli, Sinclair wstał i powiedział:

- Muszę p...p...pędzić. Spełnić swój o...o...o...

• - Wcale nie musisz - przerwał mu Monty. - Jesteś nudny, Sinclair. Jeszcze daleko do północy. A mówiłeś, że rozpoczynasz służbę o północy.

- M...m...muszę jeszcze zrobić ku...ku...kupę rzeczy, straszne mnóstwo rzeczy. Więc bawcie się dobrze i do zobaczenia - dodał płynnie w pośpiechu. Pocałował Joan w rękę przewracając nie wiadomo czemu oczyma, machnął dłonią reszcie towarzystwa i odszedł.

Młodzi Blackettowie zamówili ikan merah (rybę, jak się domyślał Matthew) z frytkami i dużą butelkę piwa Tiger. Matthew i Ehrendorf zdecydowali się na to samo. Kiedy czekali, nad stolikiem zapanowało pełne napięcia milczenie - nawet Monty, któremu zwykle nie brakło słów, stracił jakby ochotę do rozmowy. W gęstym cieniu za Joan lśniło mnóstwo delikatnych cętkowanych orchidei uwydatniając doskonały kształt jej twarzy i ramion. Ehrendorf rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę, a potem, mimo że już zamówili, zajął się lekturą menu. Gdy jego wzrok przesunął się w milczeniu przez zupę won ton, kukurydzianokrabową, krewetki w sosie pikantnym, pulpety rybne, kanapki z peklowaną wołowiną i temu podobne, jego twarz miała wyraz napięcia i niewinności, jakby myślał: „Cały kłopot z taką doskonałością to to, że jest nieuchwytna, wymyka się. Nie daje żadnych perspektyw”.

- Czy możesz z łaski swojej przestać? - powiedziała nagle Joan z gniewem.

- Co przestać?

- Patrzeć na mnie w taki głupi sposób.

- Wcale na ciebie nie patrzyłem. Czytałem to cholerne menu. - Głos Ehrendorfa stał się ostry i jego akcent, który normalnie mógł uchodzić za angielski, nagle zmienił się znów na amerykański. Matthew zdjął

swoje zakurzone okulary, przetarł je chusteczką, włożył ponownie i spojrzął z nieszczęsnym wyrazem na Ehrendorfa.

- To, co chciałem ci powiedzieć, Jim, odnośnie tej edukacji i medycyny...

Jednak nad stołem znów zapanowało milczenie. Matthew przyjrzał się murowi i smokom zdobiacym gliniane donice. Zza palm, które w nich rosły, dochodził bezustanny szmer głosów, śmiechy i rytm muzyki. Wkrótce pojawiła się młoda Chinka z miską, z której wyjęła drewnianymi szczypcami parującą ściereczkę do otarcia twarzy i podała Joan, następną wręczyła Monty'emu, potem Matthew i Ehrendorfowi. Matthew wytarł spoconą twarz i odniósł niezwykle wrażenie ulgi. Pojawili się inni kelnerzy przynosząc rybę, frytki i piwo. Kiedy zaczęli jeść, atmosfera stała się bardziej swobodna. Matthew z uniesionym w górę nożem i widelcem, gotów rzucić się na rybę (był głodny), poruszył ostrożnie temat wykształcenia. Musi przyznać, że nie wniknął jeszcze w tę sprawę w odniesieniu do Malajów, ale wiedział, co Brytyjczykom udało się osiągnąć w tej kwestii w Indiach... to znaczy, kolosalną liczbę absolwentów, którzy nie mogli znaleźć pracy.

- Hindusi zawsze mieli ogromny pociąg do nauki. Tylko cały kłopot w tym, że dla ludzi wykształconych nie ma pracy, jeżeli nie chcą zostać urzędnikami lub prawnikami, a i tych jest już o wiele za dużo.

Monty chwycił nóż i widelec i zaczął energicznie siekać rybę, najpierw pod kątem prostym, potem ukośnie, jakby kreśląc cięciami flagę brytyjską, lecz najprawdopodobniej nie chodziło mu o odzew patriotyczny na wywody Matthew, lecz po prostu o wygodny sposób rozdrobienia ryby na łatwiejsze do jedzenia kęsy.

Nadział jeden z kawałeczków z kilkoma frytkami na widelec i wsadził do ust.

- Potrzebowaliśmy w Indiach ludzi tylko na tyle wykształconych, by mogli być urzędnikami i podoficerami, i w mgnieniu oka pojawiło się ich kilkakrotnie więcej niż trzeba. Curzon starał się jak mógł rozpropagować kształcenie zawodowe i techniczne i sądzę, że próbowano tego i tu, na Malajach. Ale z miernym skutkiem. Można by postawić pytanie: dlaczego?

Nikt ze słuchających Matthew nie zdradzał jednak ochoty postawienia mu tego czy też jakiegokolwiek innego pytania. Monty, oddychając ciężko ustami, zdawał się całkowicie pochłonięty zuciem ryby i frytek. Joan i Ehrendorf po prostu patrzyli na Matthew, w napięciu i oszołomieniu. Joan nie tknęła jeszcze noża i widelca, ale teraz wzięła w palce jedną frytkę i odgryzła jej koniuszek swymi nieskazitelnymi ząbkami, nie odrywając wzroku od twarzy Matthew.

- Faktem jest, że w większości kolonii tropikalnych jedyną dostępną pracą jest praca w rolnictwie i czasem trochę w kopalnictwie. Naprawdę potrzebujemy taniej, niewykwalifikowanej siły roboczej. Wszelka inna praca w takich krajach jak Malaje dostaje się nie Malajczykom, lecz Eurazjatom, Chińczykom lub czasem Europejczykom. Nie, kapitał zachodni znalazł się tutaj po to właśnie, by wykorzystać tę tanią, niewykwalifikowaną siłę roboczą, i tak też czyni!

- Ale... - zaczął Monty i natychmiast został uciszony i to własną ręką, która spostrzegłszy okazję uniosła następną porcję ryby z frytkami do ust, gdy tylko je otworzył, chcąc przemówić.

- Wszyscy wiecie, mam nadzieję, że przed paru laty mówiło się o założeniu szkoły inżynierskiej w Raffles College, tutaj, w Singapurze. Co z tego wyszło? Komisja doniosła, iż jest to bezcelowe, ponieważ nie będzie pracy dla absolwentów. Widzicie więc, że pogląd, iż my, Brytyjczycy, kształcimy mieszkańców naszych kolonii na własny obraz, jest po prostu bezpodstawny. Być może chcielibyśmy to robić i niewątpliwie poczyniliśmy pewne wysiłki w tym kierunku, ale nic nam z tego nie wychodzi.

- Och, posłuchaj - rzekł Ehrendorf łagodnie, ale do Joan, nie do Matthew. - To jest trochę śmieszne. - Joan, nie odrywając wzroku od Matthew, odgryzła następną kawałeczek frytki, którą trzymała zgrabnie w dwóch paluszkach, i całkowicie zignorowała słowa Ehrendorfa.

Matthew ciągnął dalej:

- A mimo to wciąż utrzymuje się to żalosne przekonanie, że człowiek może poprawić swój byt przez wykształcenie. W tej chwili w Singapurze według oficjalnych danych istnieje ponad dziesięć tysięcy urzędników, z których większość żyje w najokropniejszych warunkach, zarabiając przy odrobinie szczęścia dziesięć dolarów miesięcznie, co nie wystarcza nawet na utrzymanie, a wszystko po prostu dlatego, że ich liczba dalece przekracza zapotrzebowanie. Dziesięć tysięcy urzędników na miasto tej wielkości! Z reguły zastępuje się starszych wiekiem urzędników młodymi za niższą pensję, co nie wstrzymuje szkół od dostarczania corocznie siedmiuset absolwentów z kwalifikacjami do pracy urzędniczej. A wszystko z powodu tego wzruszającego, bezpodstawnego przekonania, że wykształcenie wiedzie do lukratywnych stanowisk!

-Doprawdy, nie możesz oczekiwać, że będę to znosił - rzekł nagle Ehrendorf.

- Więc zjeżdżaj! Nikt cię nie zapraszał.

- A właśnie że zapraszał. Matthew. I - Szczerze mówiąc - rzekł Monty odsuwając pusty talerz i biorąc wykałaczkę - sędzę, że nie jest ważne, czy oni pracują jako kulisi, czy gdzie indziej, byleby w ogóle mieli pracę. A w Południowych Chinach i w Indiach właśnie jej nie mają. Przyjeżdżają tu, bo myślą, że tu jest lepiej, i mają świętą rację. Bo jest.

-Powiedziałeś, zdaje się, że idziesz. Jeżeli tak, to na co jeszcze czekasz?

- A ty byś właśnie tego chciała, co?

- Monty, niewątpliwie jesteśmy odpowiedzialni - ciągnął Matthew z uporem - przed ludźmi, którzy tu mieszkali, kiedy przybyliśmy, a jeszcze bardziej przed tymi, których zachęcaliśmy do przybycia i pracy na plantacjach. Jeśli się nad tym zastanowić, jedną z najbardziej zdumiewających cech naszego Imperium jest umiejętność przemieszczania ogromnych grup ludności w różne części globu w charakterze taniej siły roboczej. Z pewnością mamy na sercu ich interes, przynajmniej w pewnym stopniu, tak samo jak własny. W przeciwnym razie równałoby się to handlowi niewolników.

- Ich interes rzeczywiście leży nam na sercu. Dajemy im pracę, której nie mieli tam, skąd przybyli. Poza tym prawie połowa kauczuku na Malajach pochodzi od drobnych azjatyckich producentów, ludzi, którzy prawdopodobnie przybyli tu jako kulisi, a potem sami stali się właścicielami plantacji. Produkują bardzo tandetny kauczuk, ale to ich sprawa.

- Chodźmy potańczyć - powiedziała Joan. - Monty, zapłać rachunek i chodźmy.

Monty przywołał kelnera i wyjął z kieszeni zwitek niebieskich banknotów dolarowych mówiąc:

- Bez brytyjskiego kapitału nie byłoby w ogóle żadnego handlu kauczukiem.

- Ale czy nie sądzisz, że przy tak ogromnych zyskach z zainwestowanych w Malaje pieniędzy, powinno się zrobić coś więcej dla ludzi, którzy pracują na plantacjach i tworzą te zyski? W przeciwnym razie Imperium Brytyjskie byłoby niczym więcej niż tylko koncernem handlowym... - Ale ostatnie słowa, choć przeznaczone dla towarzyszy, Mat-

thew wygłosił do siebie samego, bo oni tymczasem wstali i odeszli: Joan na przedzie, Ehrendorf tuż za nią, usiłując coś do niej mówić, a nieco w tyle krzepka postać Monty'ego. Matthew pospieszył za nimi poprawiając okulary.

Kiedy zbliżyli się do sali tanecznej „Wielkiego Świata”, atmosfera jakby zgęstniała, jakby sam pył wiszący w powietrzu drgał od dźwięków perkusji i zawodzenia saksofonów. Monty zwolnił na chwilę, dając do zrozumienia, że chce coś powiedzieć Matthew. Nie, nie idzie wcale o zagadnienia kolonialne, mruknął poufnie, tylko o pewien układ, który mu chce zaproponować. Sporo się nad tą propozycją zastanawiał i naradziwszy się z dwoma przyjaciółmi, którzy też są nią bardzo, bardzo zainteresowani (jest to rzecz sama przez się zrozumiała, ponieważ taka okazja rzadko się trafia, a więc oczywiście musiała ich zainteresować) i koniec końców on i jego przyjaciele postanowili jednomyślnie przyjąć Matthew do spółki... rzecz w tym, że pochodzi z tego samego środowiska, co i oni, a to należy mieć na uwadze w takim mieście jak Singapur, gdzie plotki rozchodzą się lotem błyskawicy... w każdym razie postanowili, krótko mówiąc, dać Matthew szansę zostania czwartym... Nie, nic podobnego, on sam nie lubi kart, wręcz ich nie znosi, więc... nie owijając rzeczy w bawełnę, zamiast ryzykować Bóg wie jak straszliwe choroby z kobietami, które można znaleźć tutaj, w „Świecie”, lub gdziekolwiek indziej w Singapurze, on i jego koledzy postanowili się złożyć i znaleźli bardzo miłą Chinkę imieniem Sally, która ma własne mieszkanie przy Bukit Timah. Jest czysta i nie należy do takich, które upijają się albo robią awantury. Jest...

- Och, doprawdy, Monty...

- Czekaj posłuchaj mnie chwilę. Jesteś całkiem fajny facet, Matthew (po prawdzie nawet cię lubię), ale należysz do ludzi, którzy z miejsca odrzucają sprawy nie wysłuchawszy do końca i nie rozważywszy wszystkich za i przeciw. A to jest właśnie rodzaj układu, który powinien bardzo odpowiadać takiemu jak ty facetowi, co nie jest zbyt obrotny w zdobywaniu kobiet, jeśli nie weźmiesz mi tego za złe, a poza tym, rzecz wcale nie jest kosztowna...

- Monty, zapewniam cię...

Podeszli teraz do Joan i Ehrendorfa oczekujących na wpuszczenie do środka w kolejce, w której było wielu żołnierzy. Monty ściszył nieco głos, aby siostra nie usłyszała, co mówi. Jest czysta, ma wyobraźnię (co się nieczęsto spotyka), jest pogodna i nie upija się, nie ma żadnych za-

hamowań (możesz z nią robić wszystko, co zechcesz) i będzie to kosztowało zaledwie siedemnaście i pół dolara miesięcznie od osoby. Jest to wspaniała okazja, chociaż Matthew pewnie myśli, iż chodzi o dolary amerykańskie, a tymczasem wcale nie! Chodzi o kolonialne dolary. Niewiarygodna okazja! Za jedno siedemnaście pięćdziesiąt Matthew miałyby, przynajmniej na początek, gwarantowany jeden wieczór tygodniowo, a bardzo możliwe, że nawet dwa, jeśli jeden z jego trzech wspólników nie wykorzysta w danym tygodniu swoich dwóch wieczorów, co najprawdopodobniej będzie się bardzo często zdarzać, ze względu na różne obowiązki towarzyskie, od których nie można się wymigać, okej? Ponieważ Matthew przystępuje do spółki jako ostatni, więc jest całkiem zrozumiałe, że inni mają pierwszeństwo wyboru, ale on, Monty, byłby ogromnie zdziwiony, gdyby się okazało, że Matthew nie będzie miał dwóch wieczorów przez większość tygodni...

- Hej, Jankes? Czegoście jeszcze nie przystąpili do tej cholerniej wojny? - dopytywał się spocony, pijany żołnierz angielski kiwając butelką piwa w stronę Ehrendorfa.

- Bo nie chcemy wam zbyt łatwo ułatwić roboty - odparł Ehrendorf pogodnie.

- Daj nam gумы do żucia, Jankesie! - wrzasnął ktoś inny i rozległy się chichoty.

- Bo jesteście kupą zaszczanych tchórzów, ot, czemu! - krzyknął pierwszy wojownik.

H Komu potrzebne pieprzone Jankesy? Jeszcze Adolf dałby im po tyłku i co wtedy?

Uwagę tę powitały ochryple wiwaty, lecz Ehrendorf, wciąż pogodnie uśmiechnięty, doszedł właśnie do bambusowej klatki i podał po pięćdziesiąt centów za wstęp za siebie i towarzyszące mu osoby. Potem machnął ręką rozwrzeszczanemu tłumowi w tyle i znikł w tętniącym mroku ścigany mieszaniną wiwatów, obelg i sprośności.

- Jankes ki alfons!

- One mają w poprzek i z zębami!

Podążając na ślepo za swym przyjacielem Matthew wkrótce znalazł się na skraju parkietu, przykrytego dachem, ale bez ścian, dla wentylacji, lśniącego od wosku w półmroku niczym podziemne jezioro. A więc to był ów słynny parkiet zabrany ze starego Hôtel de l'Europe, który, jak mu szepnęła do ucha Joan, był najwspanialszy w Singapurze na początku tego wieku. Z pewnością jego ojciec wraz z możnymi i wpływowymi ludźmi kolonii tańczył w swoim czasie walce i fokstroty na tych samych deskach! Lecz teraz beau monde został zastąpiony przez to oszalałające zbiorowisko ras i typów, które widział wcześniej tego wieczoru na deptaku, włącznie z dwójkiem przedstawicieli rodziny Pigmejów, którzy właśnie tańczyli tango tuż koło Matthew. A on patrzył oczarowany na zatłoczony parkiet. Nagle zdał sobie sprawę, czemu ten widok sprawia mu taką przyjemność. Próbował wyjaśnić to Mon-tyemu, który zastąpił Joan u jego boku: tu jest tak, jak powinno być w Genewie! Zamiast tej ponurej segregacji narodowościowej, powinni byli wszyscy spędzać wieczory w podobny sposób, tańcząc wspólnie tango lub quickstepa, albo rong-geng czy cokolwiek innego: Włosi z Abi-syńczykami, Brytyjczycy z Japończykami, Niemcy z Francuzami i tak dalej. Gdyby w Genewie panowały prawdziwe uczucia braterstwa, tak jak tutaj (Palais des Nations zmienione w palais de danse), wówczas rokowania Konferencji Rozbrojeniowej na pewno by nie spaliły na panewce!

- Panował tam tragiczny brak poczucia, a może nawet ufności, że ludzie różnych narodów i ras mogą ze sobą współżyć. A oto tutaj mamy na to dowód! Ludzie są braćmi!

- Tak, hm, wiem, co chcesz powiedzieć - wymamrotał Monty ostrożnie - ale wracam do sprawy, którą omawialiśmy. Więc przemyśl to sobie. Nie musisz podejmować decyzji zaraz, Matthew. Ale z drugiej strony znamy całe mnóstwo ludzi, którzy nie przepuściliby takiej okazji, gdybyśmy im coś podobnego zaproponowali, więc nie można nam kazać czekać w nieskończoność.

- Ale ja wcale nie żuję wam czekać, Monty. Mówiłem ci, że...

- Tak, ale przemyśl to sobie - mruknął Monty spiesznie. - Nie musisz się decydować tak na łapu capu. - I zaczął tłumaczyć dość oszołomionemu Matthew, jak się załatwia tańce z fordanserkami. Najpierw kupujesz karnet z czterema biletami po dwadzieścia pięć centów u tego faceta, o, tam. Potem, kiedy orkiestra zaczyna grać, pędzisz do tej dziewczyny, która ci się spodobała. Ale musisz ostro gnać, bo inaczej ktoś inny porwie ci ją sprzed nosa. Po przetańczonym kawałku odprowadzasz ją na miejsce i wręczasz bilet. Nie wolno ci z nią siadać, jeśli nie wniosłeś specjalnej opłaty w wysokości piętnastu dolarów za zabranie jej od stolika fordanserek.

T Dziękuję ci, Monty, ale ja tylko popatrzę.

- Jakże by inaczej! - burknął Monty pod nosem.

Tymczasem jednak tango przemieniło się w popis taneczny pary Filipińczyków, którzy gnali na ślepo wokół parkietu w krążku światła reflektora. Mężczyzna był podejrzanym indywiduum w białym ubraniu, kobieta przystrojona cekinami wijącą się osobką o błyszczących oczach i kruczych włosach. Uśmiechnięci członkowie orkiestry byli też Filipińczykami - ubrani w olśniewająco białe kurtki i pomarańczowe spodnie tworzyli jakby piaszczystą łąkę świetnie harmonizującą z niesamowitymi, nieprawdopodobnymi ptakami wymalowanymi na ścianie. W górze, na suficie, Matthew dostrzegł zarys gigantycznego złotego smoka z wprawionymi w wylupiaste oczy lusterkami, które rzucały niby confetti deszcz blasków na kołyszącą się w tańcu parę. Niebawem reflektor, zmylony ruchami tancerzy, zabłądził na chwilę na skraj parkietu i zatrzymał się z wahaniem akurat na Joan i Ehrendorfie. On mówił jej coś w napięciu do ucha, a ona patrzyła niewidząco na wypolerowany parkiet i postukiwała pantofelkiem w takt muzyki. Ehrendorf podniósł na chwilę głowę, oślepiiony i oszołomiony. Joan potrząsnęła głową odrzucając włosy do tyłu. Światło reflektora przesunęło się z podrygiwaniem dalej szukając swego obiektu.

Zasmucony wyrazem rozpaczony na twarzy przyjaciela Matthew skierował uwagę na fordanserki siedzące przy stolikach koło parkietu zastanawiając się, czy nie ma wśród nich dziewczyny, której pierś tulił w dłoni tego wieczoru. Te dziewczyny były też po większej części Chinkami lub Eurazjatkami, jeśli nie liczyć kilku Małajek, Syjamek i Indochińczyków. Niewątpliwie, uznał Matthew, kobiety pochodzące z dalszej części półwyspu, bliżej Chin, były najładniejsze i najwładzniejsze ze swymi błyszczącymi oczyma i delikatnymi rysami - nawet delikatna Joan wydawała się przy nich niezgrabna, tęga i gruboskórna. Ehrendorf jednak zapewne sądził inaczej, bowiem wziął Joan za nadgarstek i usiłował skłonić, aby weszła z nim na parkiet, który powoli zaczął się wypełniać. Orkiestra rozpoczęła nową melodię. Mężczyźni o najrozmaitszym wyglądzie, od małych urzędników chińskich po ogromnych, pijanych Australijczyków, ruszyli ławą przez parkiet, żeby zapewnić sobie usługi fordanserek. Ehrendorf spróbował wciągnąć Joan na parkiet, ale oparła mu się wrywając z jego uchwytu rękę. Wówczas Ehrendorf jakby nagle stracił wszelką nadzieję - zwiesił ramiona i przesunął dłońią po czole jak zamroczony.

- No, jak, przemyślałeś tę sprawę? Odnośnie tej szykownej Chinki, o której ci mówiłem?

- Monty, powiedziałem ci: to mnie nie interesuje.

Monty wyglądał na zaskoczonego.

- Nie musisz teraz decydować, stary. Nie chcę cię popędzać. I słuchaj, skoro na ciebie przypada tylko jeden wieczór tygodniowo, postaram się załatwić, abyś mniej płacił. Ostatecznie byłoby niesprawiedliwie, gdybyś płacił tyle co my. Co powiesz na piętnaście dolarów miesięcznie? Boże, chłopie, ona idzie w tych sprawach na całego, możesz mi wierzyć!

- Nie chodzi o cenę, na miłość boską. Chodzi o sam pomysł.

Monty wytrzeszczył oczy na Matthew, zbity z tropu. Nie podejrzewał, że Matthew będzie się tak targował. A może chodzi o coś innego? I nagle uderzyła go pewna myśl.

- Jeżeli myślisz, że dostaniesz to od niej - rzekł ostrzegawczym tonem wskazując swoją siostrę, która stała o kilka kroków dalej - to bardzo się zawiedziesz. Znam mnóstwo facetów, którzy z nią chodzili i nic na tym nie zyskali.

- Nie rozumiem... - rzekł Matthew i zaraz dodał w pośpiechu: - Ach, przepraszam, wiem, o co ci chodzi...

Lecz Monty westchnął ciężko jak człowiek, którego cierpliwość została wystawiona na zbyt ciężką próbę.

- Nie zyskali nic - powtórzył i jeszcze dodał, aby mu dokuczyć - ani ciut, ciut!

Matthew doznał zawrotu głowy, kiedy wychodził z Montym i Joan z „Wielkiego Świata” na Kim Seng Road. Przez chwilę myślał, że upadnie, i musiał się oprzeć ręką o ścianę. Ehrendorf, roztrzęsiony, wyszedł sam pół godziny wcześniej. Przed odejściem rzekł do Joan:

- Musimy porozmawiać poważnie. Wpadnę do ciebie jeszcze dziś, jeżeli nie wrócisz zbyt późno. - Joan odparła na to, że może sobie robić, co zechce. Przywykła do młodych ludzi, którzy chcieli z nią poważnie rozmawiać. Po pewnej chwili Matthew poczuł się o tyle lepiej, że mógł oderwać się od ściany i iść dalej. Jego słabość została niewątpliwie wywołana upałem i ścisaniem, do których nie był przyzwyczajony. Za bramą było mniej ludzi, gwiazdy świeciły jasno i noc wydawała się mniej nieznośna.

Przeszli zaledwie kilka kroków w stronę River Valley Road, gdy Joan powiedziała nasepiona:

- Jadę do domu. Mam dosyć jak na jeden wieczór.

- Ależ jeszcze nie ma nawet dziesiątej! - zaprotestował Monty z oburzeniem. - Nie możemy wrócić o tej porze, zwłaszcza teraz, kiedy pozbyliśmy się tego Romea. Poza tym mieliśmy pokazać Matthew miasto.

Matthew oznajmił, że i on ma wrażenie, iż zobaczył dość jak na jeden wieczór. Zawroty głowy, jakich doznał przed chwilą, sprawiły, że wszystko, czego dotychczas był świadkiem, wydawało mu się całkowicie nie-realne. Ale Monty nie chciał słyszeć o jego dezercji. Powiedział do Joan:

- Weź pontiaka, jeżeli nie chcesz jechać z nami. My pojedziemy taksówką.

Wkrótce Matthew znalazł się z Montym w taksówce zmierzającej nie do Hotelu Rafflesa, który jak powiedział Monty, jest pełen zarozumiałych bałwanów, a poza tym i tak otwarty tylko do północy, ale w znacznie ciekawsze miejsce. Resory taksówki, małego, żółtego forda, na każdym wyboju jęczały i zgrzytały. Przy końcu Grange Road wjechali znów na Orchard Road, potem na Bras Basah Road. Zbliżyli się teraz do wybrzeża i po ich lewej stronie zamajaczył wielki biały budynek. Hotel Rafflesa, powiedział Monty. Kiedy mijali jasno oświetlone wejście od strony lądu, Matthew zobaczył dwoje wychodzących starszych ludzi - mężczyzna w czarnym smokingu, kobieta w długiej, lśniącej sukni i etoli. Monty zachichotał na widok tłumu krajowców, którzy zebrali się na Beach Road, aby przyglądać się Europejczykowi jedzącym na trawniku pod wysokimi palmami.

- To cowieczne widowisko dla Azjatów. Myślą, że białe kobiety to kurwy, bo mają gołe plecy. Dlatego przychodzą tu co wieczór i oblizują się.

Na polecenie Monty'ego taksówka skręciła w bok od hotelu i pojechała wzdłuż brzegu. Po prawej stronie mieli teraz oświetloną gwiazdami przestrzeń padangu, a za nią ledwie widoczną na tle nieba, pełną godności sylwetkę dawnego Grand Hôtel de l'Europe, którego parkiet świadczył tyle dobrodziejstw, że Matthew pragnąłby przenieść go w re- trospekcji do Genewy. Taksówkarz widać wiedział, czego od niego oczekiwano, bo zwolnił i samochód pełzał powoli, a on sam siedział na wpół odwrócony do tyłu w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Monty patrzył pilnie na cieniste postacie kobiet siedzących w rikszach lub stojących beczynnie po dwie lub trzy pod drzewami obrzeżającymi ulicę.

- Stop! - powiedział i taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

Ledwie stanęli, a w ciemnościach powstało poruszenie. Z pustych zdać by się mogło riksz wyszły cieniste postacie. W mroku pod drzewami zaczęły się przesuwac inne. Poza nimi widać było światła zakotwiczonych na morzu niezliczonych statków. Po chwili, ku zdumieniu Matthew, w otwartych oknach taksówki ukazało się mnóstwo twarzy kobiet - jedna nad drugą, jak ułożone na stosie kokosy. Wkrótce i przednią szybę samochodu przesłoniły twarze kobiet pochylonych nad maską silnika. Cichy szmer wypełnił powietrze, z którego można było chwilami wyłowić jakieś angielskie słowo:

- Okej. John!...Ślicznie!...Whisky soda!

Tymczasem kierowca, stary Malajczyk o brązowej twarzy i siwych włosach dziadunia, namacał dłonią latarkę elektryczną i świecił po oknach.

„Czy to nie sen?” - myślał Matthew, gdy światło latarki przesunęło się chwiejnie po zwartych umalowanych maskach. Jednak na wielu z tych masek widniały mimo szminki i pudru zmarszczki. Padający blask zarysowywał je jeszcze wyraziściej, zamieniał zapadnięte oczy w plamy

czerni. Jednocześnie tu i ówdzie przez otwarte okna przedostały się do środka chude jak szkieletowate ręce, bujając i trzepocząc się wodorosty, skubiąc leciutko jego koszulę i spodnie, macając ramię lub udo.

- Wiedzmy! — oświadczył Monty. - Jedziemy dalej!

Kierowca zwiększył obroty silnika i przednia szyba opustoszała. Jeszcze przelotnie ukazało się za nią parę twarzy: młodszych, słabszych, bardziej niewinnych, ale nie mniej desperackich, usiłując złowić na ten błysk swych młodszych twarzy męskie pożądanie. Ręce zaczęły macać bardziej rozpaczliwie, z większym błaganiem, szarpać, szczypać, Taksówka ruszyła wśród gradu przekleństw i krzyków. Parę kobiet próbowało nawet jechać za nimi riksami w nadziei, że dogonią taksówkę na następnych światłach. Ale bardzo szybko pozostały w tyle.

Znużonym, protekcyjnym tonem eksperta Monty wyjaśnił, że niektóre z tych kobiet miały stałych riksarzy, zwykle starych, chudych jak szkielety mężczyzn, wyczerpanych swoim niszczącym zawodem w singapurskim upale, którzy nie mogli już współzawodniczyć z młodymi rywalami, ale mogli jeszcze od czasu do czasu zmusić poobijane nogi do klusa, aby dopędzić potencjalnego klienta ze swym ładunkiem pięknych ciał... oczywiście ma na myśli, dodał z chichotem, te wychudłe wiedźmy, których usługi można zawsze mieć za kilka centów. Ale nie są one wszystkie Chinkami, Malajkami czy Tamilkami. Czasem trafiają się nawet Europejki, te, które „zeszły na psy” w jednym ze wschodnich miast, kobiety, które doprowadziły się do tej hańby przez nadużywanie alkoholu lub opium w Kalkucie, Hongkongu lub Szanghaju... On, Monty, jako badacz ludzkiej natury, bardzo żywo interesuje się dziejami tych kobiet... są wśród nich nawet arystokratki wygnane w skrajnej nędzy z Rosji przez rewolucję. A ostatnio, prawdę rzekłszy, bardzo się poprawiło w Singapurze pod względem kobiet. Przybywają całymi gromadami młode Chinki, uciekinierki z terenów objętych wojną chińsko- japońską, z Szanghaju i Kantonu...

- Poprawiło się, Monty! - wykrzyknął Matthew z oburzeniem. - Jak możesz być taki nieczuły!

- Ja tylko chciałem powiedzieć, że one są młodsze - mruknął Monty ponuro. - Niema co się oburzać, stary. Ostatecznie to nie moja wina...

- Nasza wina! To hańba! I to ma być kwitnący kraj! Posyłamy ogromne zyski naszym opasłym udziałowcom w Anglii, a jednocześnie nie potrafimy zapewnić przyzwoitego bytu paru uciekinierkom, aby nie musiały iść na ulicę.

- Słuchaj, nie ma sensu zajmować takiego wysoce moralnego stanowiska tu, na Wschodzie. Ludzie tu na to po prostu nie idą. To nie nasza sprawa. Trzeba przyjmować rzeczy takimi, jakie są. W Straits Settlements każdy pilnuje własnego nosa, że tak powiem, i lepiej nie przesadzać ze świątobliwymi uwagami. Ja osobiście, a myślę, że tego samego zdania jest mnóstwo takich, którzy spędzili tutaj trochę czasu, nie lubię moralizowania, ono wywołuje we mnie wręcz przeciwny skutek. - Monty był zirytowany. Wieczorna rozrywka, która zaczęła się tak obiecująco do wystrzelenia kobiety z armaty, okazała się pełnym niewypałem. A teraz jeszcze, rzecz niewiarygodna, nie można odezwać się słowem, żeby zaraz nie usłyszeć kazania.

- Przepraszam cię, Monty. Nie chciałem się wydać pruderyjny. Ja tylko po prostu uważam, że my zawsze paprzemy wszystko, cokolwiek robimy, z wyjątkiem pieniędzy - odparł Matthew z roztargnieniem, ponieważ oczywiście nie można było winić Monty'ego za los chińskich uchodźców w portowej dzielnicy Singapuru. Ale gdzie wobec tego leży błąd? Podczas gdy Matthew dumał nad tymi problemami, mała żółta taksówka zawróciła i pojechała z powrotem na północ. Wygląda na to, zauważył Monty posepnie, że w końcu będą musieli poprzestać gdzieś na masażu.

Wśród malowanych masek, które zaglądały w otwarte okna taksówki, Matthew dostrzegł parę młodszych twarzy: szczególnie zapamiętał jedną z nich. Była to twarz chińskiej dziewczynki w wieku piętnastu lub najwyżej szesnastu lat, raczej brzydka niż ładna, ale o miłej, swojskiej brzydocie buldoga, jeśli ktoś potrafi sobie wyobrazić buldoga o delikatnych rysach. Zakładając, że ta dziewczyna, rzecz bardzo prawdopodobna, była jedną z nowych rekrutek, o których mówił Monty, Matthew zastanawiał się, w jakim dokładnie momencie w ciągu ostatnich dziesięciu lat stało się nieuniknione, iż zostanie wyrwana z rodzinnej wsi gdzieś w Chinach Południowych albo ze slumsów Szanghaju i ciśnięta na bruk uliczny Singapuru, zmuszona sprzedawać się, jeśli znajdzie nabywcę? Z całą pewnością, perswadował siedzącemu obok biernie Monty'emu, zrozpaczona twarz tego dziecka łączy się w jakiś sposób z długą serią niepowodzeń, których on sam był świadkiem w Lidze Narodów w Genewie; z wciąż rosnącą niezdolnością Wielkich Mocarstw do przyjęcia zobowiązań wobec świata zorganizowanego na zasadach międzynarodowych; z wszechobecnym cynizmem Foreign Office, Quai d'Orsay i Wilhelmstrasse, gdzie nie tracono żadnej okazji, by okazać zawodową niechęć dyplomatów dla otwartej dyplomacji lub drzwi ze światowego parlamentu. Niedola tej dziewczynki i milion innych drobnych tragedii zostały spowodowane przez uprzejmych, gładko ogolonych, ubierających się na Savile Road, towarzyskich, kulturalnych i prawdopodobnie w normalnych okolicznościach bardzo ludzkich mężczyzn, którzy zapewne sami zdrzeli by z przerażenia, gdyby umieli dostrzec, jaką odpowiedzialność ponoszą za to, co się dzieje!

Monty tylko chrząknął, a może jęknął słysząc to przypuszczenie. Nie mógł za żadne skarby pojąć, jaki jest sens podobnych spekulacji. Ziewnął i oblizał wargi. Co za wieczór! Najpierw jedno, teraz drugie. Cóż, jedyna pociecha, że cała ta sprawa, która tak podnieca Matthew, stwarza czasem okazje, że aż ślinka cieknie. Może uda mu się dorwać do jakiejś nowo przybyłej Chincezki przed końcem wieczoru. Ostatnio czasem się to udawało, choć trzeba było mieć szczęście.

Uznawszy chrząknięcie Monty'ego za wyraz zainteresowania jego słowami Matthew zaczął następnie wyjaśniać, że jego przybycie do Genewy zbiegło się niemal co do dnia z fatalną eksplozją wokół Kompanii Kolejowej Południowej Mandżurii w 1931. Oglądał to wszystko na własne oczy, od pierwszych gniewnych denuncjacji reprezentanta Chin, doktora Sze, dotyczących rzezi, jakich się dopuściły wojska japońskie, i odpowiedzi Yoshizawy (tego samego, który ostatnio domagał się od Holendrów ropy naftowej i minerałów na Jawie), że armia japońska jedynie broni japońskich interesów... aż po to, co się stało później: kręta-ckie, obłudne, haniebne poparcie stanowiska japońskiego udzielone przez sir Johna Simona i Foreign Office, nie wspominając o prasie brytyjskiej. Tylko „Manchester Guardian” potępił Japończyków i ich brytyjskich stronników.

Monty, patrząc na ciemne ulice Singapuru przemykające z jednej i drugiej strony taksówki, wymamrotał, że „nie miał pojęcia” o całej tej stronie zagadnienia. Czknął w przygnębieniu (zapewne nie powinien był tak łapczywie opychać się rybą z frytkami i piwem w „Wielkim Świecie”). ;

- Bo rozumiesz, Monty, bardzo wiele zależało od reakcji Ligi. Zdarzyło się wówczas po raz pierwszy, że Liga musiała rozstrzygnąć spór dotyczący jednej z większych potęg i to nadało styl wszystkiemu, co się później działo... wszystkiemu, co się jeszcze zdarzy w przyszłych latach, jeśli kiedyś uda im się przywrócić do życia Ligę. Bo w tamtych czasach ludzie na całym świecie wciąż pokładali wiarę w Lidze. Gdy wybuchł kryzys mandżurski, w Genewie było niemal jak na średniowiecznym turnieju. Ludzie zjechali się ze wszystkich stron, żeby zobaczyć, jak poszczególni delegaci toczą ze sobą boje. Każda ze stron wydała ogromne sumy, choć ich krajów nie było na to stać, na propagandę i rozrywki, by zdobyć dla swej sprawy ludzi. Chińczycy zajęli luksusowe apartamenty przy Quai Wilson, postarali się o francuskiego kucharza i pierwszorzędne wina i zaczęli wydawać wspaniałe przyjęcia.

Tymczasem, jakby w rodzaju kontraktaku, Japończycy urządzili kolosalne przyjęcie w Kursaal, na którym w otwarte usta genewskich mieszczuchów lano galony wina i pchano tony jada jak w gardła strassburskich gęsi... W zamian za to kazali im obejrzeć ponury film propagandowy, który pokazali w pustym i głuchym gmachu opery (oba te miejsca były zamknięte na zimę), film mówiący o dobrodziejstwach Kompanii Kolejowej Południowej Mandżurii. Ponury to mało. W każdym razie

nic im z tego nie wyszło, z powodu Raportu Lyttona. Znasz te sprawy, prawda?

W nadziei ukrócenia dalszych rewelacji tego typu Monty mruknął, że owszem, jest dość dobrze poinformowany w tym... hm...szczególnym przedmiocie. Matthew jednak zabrał się ochoczo do odświeżenia jego pamięci, tak na wszelki wypadek. „Facet jest doprawdy groźny” - pomyślał Monty spoglądając na tęą postać w okularach siedzącą obok niego.

I tak się stało, że Liga wysłała do Mandżurii, co było w gruncie rzeczy grą na zwłokę, komisję złożoną z niemieckiego doktora, francuskiego generała, włoskiego hrabiego i amerykańskiego generała majora pod przewodnictwem lorda Lyttona dla zbadania poddawanych w wątpliwość faktów. Zajął im to rok, lecz kiedy wreszcie opublikowali swój raport, nie robili żadnych ceremonii: Japonia została potępiona z kretesem. .. niewątpliwie ku zgrozie sir Johna Simona i jemu podobnych. Zawyrokowali, iż Mandżuria jest integralną częścią Chin, że działania Japonii nie mogą być uzasadnione potrzebą samoobrony, że wojska japońskie winny zostać wycofane, a prawdziwie chińskie rządy przywrócone.

- Możesz sobie wyobrazić, jakie powstało zamieszanie!

Nie wiadomo, czy Monty mógł to sobie wyobrazić, czy nie, bo powiedział tylko:

- Ten lokal jest zwykle pełen żołnierzy o tej porze. Śmieszne, ale chyba musiała się tu odbyć łapanka albo co.

Zatrzymali się na licej, zaśniefieconej ulicy, obrzeżonej takimi samymi jak wszędzie piętrowymi sklepodoma, lecz o wiele szerszej. Matthew, przebywający wciąż myślami w Genewie, wyjrzał oszołomiony. Rozwieszona nad ulicą w lesie słupów bielizna chwiała się i łopotała na lekkim wietrze niczym sztandary maszerującej armii. Tu i ówdzie lśniły mgliste światła elektryczne, raczej pogłębiając niż rozpraszając mrok. Monty coś mówił.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Powiedziałem, że może warto wypić piwo przed powrotem do domu.

Opustoszała ulica, jeśli nie liczyć kilku cienistych postaci grających pod latarnią w mah-jonga, nagle zaczęła się zapęlić. Ludzie wybiegli z domów, pedałowali na rowerach, galopowali między dyszlami riksza, nawet ześlizgiwali się po rynkach. Pokrywa znajdującej się obok studzienki uniosła się do góry i stamtąd też zaczęli wyskakiwać ludzie.

Wszyscy zdążyli do jednego miejsca: taksówki, w której siedział niby w transie Matthew z myślami powracającymi niby uchodźcy z Genewy. Ocknął się wreszcie.

- Co się tu dzieje?

- Oni starają się zdobyć klientów dla swoich dziewczyn - odparł Monty płacąc taksówkarzowi. - Chodź i pilnuj portfela.

Zanim zdążyli postawić nogę na bruku, otoczyły ich niewyraźne, przepychające się postacie. Idąc za Montym Matthew usłyszał szeptane poufnie do ucha słowa:

- Śliczna dziewczyna... Gwarantowana dziewica... Ty chcesz spló- bować Singapulskie kiesce? Baldziej lepsze jesce jak Sanghajske! - („Czego to miałbym chcieć spróbować?” - zastanawiał się Matthew nie mogąc nic wyrozumić z tego seplenienia.) —...Pierwszorzędną masaż!... — Ręce wymachiwały brudnymi wizytówkami. - Chcecie rozkosznej przyjemności! - ujadła wielki, brodaty Sikh zastąpiwszy im groźnie drogę. - Wy iść za mną, bardzo proszę. - Lecz Monty odsunął go na bok i dał nura w oświetloną sień pod szyldem, na którym było napisane: „Dorchester: Noclegi i Śniadania. Bardzo doborowe. Wszyscy mile widziani. Żołnierze mile widziani”. Ściskając niespokojnie jedną ręką portfel Matthew rzucił się za Montym. W głowie znów mu się kręciło. „Pewnie jestem chory - pomyślał wspinając się chiwejnie po cuchnących schodach. - Co ja tutaj robię? Powinienem być u siebie w łóżku”.

U szczytu schodów stał witając ich Hindus z napomadowanymi czarnymi włosami i ciemną ospowatą twarzą. Jego uśmiech odsłonił bardzo białe zęby z tu i ówdzie błyszczącą złotą koronką; błyskowi zębów wtórował błysk rzędu wiecznych piór i automatycznych ołówków ze złotymi zakrętkami w kieszeni na piersi oraz grubych złotych pierścieni na palcach i zegarka w stalowej kopercie na ręce - wszystko to nadawało mu nieprzyjemny metaliczny wygląd. Opasany był czymś w rodzaju białego saronga, który przy bliższym przyjrzeniu okazał się po prostu niebieskim ręcznikiem z napisem: „Hotel Adelphi, Singapur”. Czy był to jego normalny strój, czy też zaskoczyli go w kąpieli? Trudno powiedzieć.

- Bardzo uprzejmi uroczy panowie - rzekł składając razem dłonie o długich, delikatnych, lśniących palcach we wdzięcznym geście - idą za mną, proszę.

Wprowadzono ich do małego, słabo oświetlonego pokoju. Stara i bardzo tęga Hinduska, która widocznie spała tam na podłodze, wychodzi-

ła spiesznie wlokąc za sobą swoje posłanie. Monty zamówił dwa piwa i usiedli - Monty na bambusowym fotelu, a Matthew na kanapie ze złamanym oparciem. Hindus znikł gdzieś w głębi korytarza. Matthew rozglądał się po pokoju z nieprzyjemnym uczuciem. Jakie dziwne lokale odwiedza ten Monty!

Na ścianie wisiały dwa kalendarze: jeden, na rok 1940, reklamował Nippon Kiscn Kaisha i był na nim ogromny statek linii oceanicznych na tle wyrastającej nieprawdopodobnie z mgieł Fudzijamy, drugi, na rok 1939, reklamował wodę sodową Fräsera i Neave'a - hoża europejska dziewczyna, której bezmyślna i nieskazitelna twarz dziwnie przypominała Joan, trzymała w jednej ręce raketę tenisową, a w drugiej szklanę, w głębi dwaj mężczyźni w ubraniach do tenisa, bardziej pomniejszeni perspektywą, szeptali coś do siebie pod jej wyciągniętym ramieniem i przyglądali jej się z zainteresowaniem. Obok był inny obrazek, tym razem fotografia wycięta z gazety i oprawiona w ramki. Matthew aż krzyknął ze zdziwienia, kiedy zobaczył, kogo przedstawia - jakże często widywał tę twarz w hallu hotelu Beau Rivage w Genewie! Ileż nadziei a w końcu ile rozpaczy wzniecił jej właściciel stawiając czoło Mussoliniemu w związku z kryzysem abisyńskim! Matthew zawołał w podnieceniu Monty'ego, aby wraz z nim popatrzył na lisią, przystojną twarz Antho- ny Edena.

Monty jednakże nie chciał się ruszyć z miejsca. Albo więc był stałym bywalcem tego lokalu i widział już tę fotografię, albo nie interesowała go specjalnie osoba Anthony Edena. Możliwe też, że obawiał się następnego dyskursu na temat spraw międzynarodowych, bo się wyraźnie skrzywił, gdy Matthew, któremu fotografia Edena przypominała Genewę, podjął swoją przemowę o Raporcie Lyttona.

- Jak powiedziałem, było to wetknięcie kija w mrowisko! Raport Lyttona potępił Japonię. Wyniki? Chiny mogły teraz wszcząć postępowanie zgodne z artykułem 16, według którego mogły prosić innych członków Ligi o zerwanie kontaktów handlowych i finansowych z Japonią. A tego właśnie nie chciano zrobić - zarówno Von Neurath, przedstawiciel Niemiec, jak i ten łysy baron, którego nazwiska nie pamiętam, przedstawiciel Włoch, dali wyraźnie do zrozumienia podczas debaty Zgromadzenia nad Raportem Lyttona, że nie przyłączą się do żadnych działań. Przez całe trzy dni roztrząsano tę sprawę w jednej z większych sal gmachu Konferencji Rozbrojeniowej, gdzie jak zapewne wiesz rozgrywała się jednocześnie inna długotrwała tragedia, ale obawiam się,

że spośród przedstawicieli Wielkich Mocarstw właśnie nasz człowiek, sir John Simon, grał pierwsze skrzypce...

Podczas gdy Matthew w ten sposób rozprawiał, wstawszy ponownie z kanapy i spacerując po skrzypiących deskach podłogi, pojawił się Hindus niosąc dwie butelki piwa z wsuniętymi w szyjki słomkami. Nie zdziwił się widząc, że jeden z jego klientów chodzi po pokoju i coś wykrzykuje, dziwne zachowanie nie było pod jego dachem niczym niezwykłym i przyjmował je z filozoficznym spokojem w przekonaniu, że każdy fach musi mieć swoje złe strony. Podał jedną butelkę Monty'emu, a drugą Matthew, który wziął ją w roztargnieniu.

- Możesz mi wierzyć lub nie, lecz Simon tak sprytnie zinterpretował Raport Lyttona, że ktoś, kto go nie czytał, mógłby się zastanawiać, czy to przypadkiem nie Chińczycy dokonali inwazji Japonii, a nie vice ver- sa. Nic więc dziwnego, że mniejsze kraje były oburzone. Oto na ich oczach wszystkie piękne słowa i szlachetne przedsięwzięcia okazały się czystą hipokryzją. „Jeżeli Lidze nie udaje się zapewnić pokoju i sprawiedliwości - oświadczył gniewnie delegat norweski - wówczas cały system, dzięki któremu siłę miało zastąpić prawo, upadnie”. A wiedział, co mówi, bo tak też się stało. Jeden z Finów zapragnął wiedzieć, czy Liga jest jedynie klubem dyskusyjnym. Nie wiem, Monty, czy potrafisz sobie wyobrazić ten szok i gniew, i rozczerwanie, jakie odczuliśmy wszyscy, kiedy Simon i nasz Foreign Office zniszczyli najlepszą szansę, jaką świat kiedykolwiek miał na zaprowadzenie systemu sprawiedliwości międzynarodowej! - Wykonawszy gwałtowny gest butelką z piwem Matthew sprawił, że płyn się wzburzył i piana wyciekła na jego dłoń. Umilkł na chwilę i oblizał w zadumie palce.

Tymczasem drzwi się otworzyły i do pokoju weszło sześć kobiet. Usiadły w ponurym rzędzie na ławie pod ścianą.

- Proszę uprzejmie, niech wybiorą sobie kobietę według uznania - zachęcał grzecznie Hindus.

Cztery kobiety były Chinkami w średnim wieku ze szkarłatnymi kośćmi policzkowymi. Dwie z nich zaczęły szeptem rozmowę po kanton- sku, trzecia puszczała przez zielone usta kółka dymu, czwarta wyjęła robótkę ręczną. Dwie pozostałe były znacznie młodsze, zaledwie dziewczynki: jedna była Malajką o krągłej twarzy, z płaskim nosem, druga brzydką, bladą Chinką ze schludnie zaplecionymi warkoczami. Ta druga wyjęła książkę i zeszyt i zaczęła odrabiać zadanie domowe z łaciny. Monty przyjrzał się im bez entuzjazmu i czknął - piwo wydawało się

tego wieczoru niezwykle gazotwórcze. Czul się bezsprzecznie jakiś nieswój i wytracony z równowagi. Odnosi! wrażenie, że jeszcze jedna bańka powietrza tkwi niepokojąco gdzieś w jego wnętrznościach. Czy prędko wydostanie się na powierzchnię? Czekał zasluchany w swoje wnętrze i myślał, jaki paskudny zrobił się ten wieczór.

Nagle z głębi domu dobiegł ich przez cienkie ściany pijacki głos jakiegoś Skandynawa:

- Mófisz, sze jesteś dziefca. A ja tobie mófie, sze ty nie jesteś dziefi- ca! - Po tych słowach rozległ się niepokojący łoskot,

— Jednakże — rzekł Matthew, który pociągnawszy łyk piwa podjął wędrówkę po pokoju (pocił się obficie i czuł się jakby lekko wstawiony, chociaż przez cały wieczór bardzo mało wypił) - Raport był i nic na to nie mogli poradzić. Utkwił w gardzieli Wielkich Mocarstw. Nic mogły go przełknąć ani wypluć. Oczywiście potrafiono wymyślić tylko to, co zawsze robiono w Genewie w podobnych wypadkach: utworzono komitet do zdania raportu z Raportu! Śmieszne! Nazwano go Komitetem Dziewiętnastu, ów komitet niezwłocznie zabrał się do poważnego zadania wyłonienia własnych podkomitetów zgodnie z najlepszą tradycją genewską, a zwłaszcza podkomitetu ogólnego pojednania. Co za farsa! Natychmiast różni cynicy zaczęli mówić, że wkrótce będziemy mieli raport z raportu o Raporcie! A przecież Raport Lyttona był dostatecznie przejrzysty. W odpowiednim jednak czasie Komitet Dziewiętnastu dostarczył raport na temat Raportu. Posunęli się nawet tak daleko, że nadali ten raport przez nową radiostację Ligi w Genewie. I znów Wielkie Mocarstwa były w kropce! Japonia została z gruntu potępiona. Należało przywrócić suwerenność Chin. Członkowie Ligi winni byli nic uznać Mandżukuo. Ale jak na ironię, w tym samym czasie, gdy potępiano ją w Genewie, Japonia szykowała się do inwazji na Wschodnią Mongolię Wewnętrzną.

— Ja mófie, sze ty nic jesteś dziefca!

-Ale mimo to zachodnie mocarstwa najprawdopodobniej nie kiwnęłyby palcem, żeby potępić japońską agresję, gdyby Japończycy nie zaatakowali Szanghaju...

Młoda Chinka z warkoczami, pouczona przez kierownika, rozpięła stanik uwalniając drobną pierś z cytrynową sutką. Sama jej właścicielka tymczasem dumiała z kwaśną miną nad kłopotliwym zdaniem, które kazano jej przetłumaczyć: „Romulusie i Remusie, z pewnością zamierzacie przeskoczyć mury Rzymu, czyż nie tak?” (Pytanie oczekujące odpo-
wiedzi: „Tak”). Co to znaczy? Czy jest to żargon rozmyślnie zaplanowany jako pułapka dla niebacznych, być może po to, aby pozbawić człowieka twarzy w jakiś subtelny zachodni sposób? Z pewnością nie może to być nic innego. (Ale chwileczkę! To też jest pytanie oczekujące odpowiedzi: „Tak”. Dziewczyna odniosła wrażenie, że zarzucono na nią niewidzialną sieć i teraz niewidzialna ręka zaczyna ją zaciskać.) Nie mogła tracić całej nocy na usiłowaniach przeniknięcia tajemniczego działania zachodniego umysłu, toteż przeszła z westchnieniem do następnego pytania.

- A szczerze mówiąc, Monty, kto poza Genewą troszczył się o Mandżurię lub taką operetkową krainę jak Wschodnia Mongolia Wewnętrzna? Ale Szanghaj to co innego. Kiedy Japończycy wysłali wojsko z Osiedla Międzynarodowego i zbombardowali ludność cywilną w Cha-pei, ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że interesy Zachodu są zagrożone. Ostatecznie są pewne granice. Ale w końcu jakie działania podjęły Wielkie Mocarstwa?

Znowu straszliwy łoskot! Tym razem o ścianę pokoju, w którym byli zebrani: cały dom jakby się zatrzęsł w posadach i zaklekotała oprawiona w ramki fotografia Anthony Edena.

- Ja ci dam dziefice! - doszedł ich uszu chrapliwy głos, któremu zawtórował kobiecy płacz.

Rząd kobiet spoglądał na Matthew tępymi oczyma. Hindus, zawiedziony, że nic wywołują efektu na jego dwóch klientach, zachęcił je do rozpięcia bluzek i rozwiązania spódnic czy sarongów, aby się mogły korzystnie zaprezentować. Młoda Chinka, odrobiwszy jak mogła najlepiej łacinę, zajęła się arytmetyką. Dumiała teraz golusienka nad problemem, który dotyczył prędkości, z jaką kran napełnia wannę wodą. Cóż to jest kran? - zastanawiała się. A w ogóle co to wanna? Będzie musiała zapytać cioci, jednej z tych starszych kobiet ze szkarłatnymi kośćmi policzkowymi.

Hindus biegał obok tęgiego, gestykulującego Matthew starając się zwrócić jego uwagę na obnażone wdzięki swoich dziewcząt. Drzwi w głębi uchyliły się ukazując tęgą Hinduskę, jego matkę. Ciągłe trzymiała w rękach swoją pościel pragnąc kontynuować drzemkę. Syn kazał jej się wycofać gniewnym gestem.

jt Uh...uh...uh... - Monty czuł unoszącą się do góry bańkę.

- Bardzo młoda! Delikatna jak wschodzący księżyc! Albo może uprzejmie panowie woleć kobieta doświadczona, co ma szeroka wiedza cała francuska i orientalna technika? Czy lekarz tego nie przypisuje?

- Co?

- Kobieta doświadczona... szeroka wiedza...

Matthew, któremu pot łał się z czoła strumieniem, chwycił go za rękę i rzekł mrugając szybko powiekami:

- Możesz długo pytać! Brytyjczycy nałożyli o kilka miesięcy za późno embargo na broń... ale dla obu stron, jakby obie strony w równym stopniu zawiły. Po kilku tygodniach zostało jednak cofnięte, ponieważ producenci broni zatrudniali wielu ludzi, a i tak bezrobocie było w tym czasie ogromne. A więc Japończycy wyraźnie naruszyli konwencję i uszło im to na sucho. Oczywiście opuścili następnego dnia Ligę, a w każdym razie Genewę. Patrzyłem, jak odjeżdżają długim sznurem samochodów z hotelu Metropol, w którym mieszkali... Było coś strasznego w tym widoku, ponieważ ten odjazd oznaczał kres wszystkiego. Stałem przy Pont de Mont Blanc, kiedy przejeżdżali tamtędy do Gare Cornavin. Jechali w milczeniu. Każdy mijający mnie samochód był jak podpora usuwana spod Ligi. Widzieliśmy ich wówczas w Genewie ostatni raz, ale pozostawili Ligę w gruzach... oni i Wielkie Mocarstwa. Czemu? Bo ta smutna klęska zasady w starciu z własną korzyścią, ten dawny zakulisowy sposób załatwiania spraw przez zdegradowane ministerstwa spraw zagranicznych stworzył precedens, który na zawsze nad nami zaciążył. Ach, mówisz, że historia kiedyś ich napiętnuje? Bzdura! Historia jest zbyt zagmatwana, a poza tym to i tak nikogo nie obchodzi. Rozbrojenie! Abisynia! Hiszpania! Za każdym razem to samo! - Matthew puścił Hindusa i podszedłszy chwiejnie do kanapy opadł na nią i ścisnął głowę obiema rękami.

Następny łoskot wstrząsnął ścianą i Anthony Eden znowu zaklekołał.

- Uh..uh..uh...aaaaah! - czknął rozgłośnie Monty. Jego twarz, dotychczas zatroskana, rozpogodziła się nieco. Przyjrzał się z większym zainteresowaniem rzędowi kobiet. Hindus jednakże zdążył im zasygnalizować, by wyszły. Widać nie były tym, co lekarz „przypisuje”.

Teraz podszedł do Matthew z dużym, oprawnym w skórę albumem z fotografiami i kiwnął na Monty'ego, aby też podszedł i popatrzył. Są to fotografie jego lepszych, wysokiej klasy dziewcząt, wyjaśnił. Matthew popatrzył na nie ze zdziwieniem. Fotografowi udało się zaskoczyć te dziewczęta w chwilach intymnych i niektóre miały obok ceny, jak menu. W kilku przypadkach była uwaga: „Na zamówienie” lub „Panna Wu (20 min.)”. Ona ważyć 50 kilogramów tropikalnego czaru”. Albo nawet „Panna Shirley Mao (2 os.)”.

Widząc, że Matthew czyta z zainteresowaniem, Hindus dotknął fotografii brudnym paluchem i rzekł:

- Ja osobiście polecać, proszę pana.

- Czy któreś z tych dziewcząt są uciekinierkami wojennymi z Chin? - spytał Matthew.

Oczy Hindusa zwięzły się, gdy usiłował zgłębić sens tego pytania.

- Pan chce uciekinierkę wojenną? - zapytał ostrożnie. Zaczął sam przeglądać pilnie album zastanawiając się, która z dziewcząt mogłaby najlepiej zaspokoić to specjalne zainteresowanie. - Ja zaraz znaleźć chińską kalekę z japońskie bombardowanie. Bardzo interesujące. Pan tutaj pić piwo i czekać dziesięć pięć minut. Ja znaleźć.

- Chodźmy - powiedział Monty. - Daj mu dolara za piwo i kilka dla dziewcząt, bo inaczej przesiedzimy tutaj całą noc.

- Proszę zostać, uprzejmi panowie! - wykrzyknął Hindus. - Nie, ty wychodzić stąd! - wrzasnął do matki, która znowu próbowała się wślizgnąć do pokoju wlokąc za sobą pościel. - Nie, najpierw musisz się wpisać do księgi policyjnej! - zawył, gdy Monty skierował się ku drzwiom. Wyjął kapiącą od brudu książkę. Monty skrobął coś w niej i podał ołówek Matthew, który starannie się podpisał przejrawszy listę nazwisk.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął pospiesznie za zbiegającym ze schodów Montym. - Widziałeś, czyje nazwiska widnieją w księdze gości? Dzisiaj wieczorem był tu arcybiskup Canterbury i sir Robert Brooke - Popham! - Przystanął na chwiejnych nogach, żeby się na chwilę oprzeć o ścianę. Monty wznosił oczy ku niebu i dał nura w noc, rzucając przez ramię:

- Ludzie nie podpisują się własnymi nazwiskami w takich lokalach, idioto!

- Ja mówię, że ty nie jesteś dziecina! - zabrzmiało echem po pustej ulicy. Rozległ się daleki łoskot, słaby krzyk i zapanowała cisza. Singapur spał spokojnie pod jasnym, równikowym niebem. Przez ulicę przemknął cień przebiegającego kota. Jakieś dziecko zapłakało. Znużony kulis włókł swoją riksę do domu. Skądś dało się słyszeć westchnienie śpiącego starca. Niebawem, za jakieś dwie, trzy godziny rozlegnie się pierwszy słaby pomruk japońskich bombowców nadciągających z północnego wschodu. A tymczasem wszędzie panowała cisza.

Taksówkarz (był to ten sam stary, siwy Malajczyk, który woził ich wcześniej tego wieczoru), widząc, że Matthew zatoczył się wysiadłszy z taksówki przy bramie Mayfair, wziął go za pijanego i spytał, czy nie chciałby masażu, bo zna takie jedno miejsce... Lecz Matthew zaprzeczył ruchem głowy. Czuł się słaby i kręciło mu się w głowie, marzył tylko o tym, żeby znaleźć się w łóżku. Powiedział Monty'emu dobranoc i ruszył krótkim podjazdem do gmachu Mayfair. Taksówka odjechała z rykiem silnika pozostawiając po sobie w powietrzu jedynie głębokie westchnienie ulgi. Zdecydowany zażyć przyjemności Monty tym razem nie zamierzał nikomu pozwolić popsuć sobie szyków.

„Pewnie przyplątała mi się jakaś gorączka” - pomyślał Matthew wspinając się po schodach i pchając opierając się zewnętrzne drzwi na werandę. Ta myśl wywołała natychmiast inną, jeszcze bardziej przygnębiającą: może to od Singapurskich Kleszczy. W każdym bądź razie opanowała go jakaś choroba. Spodziewał się, że zastanie na werandzie majora palącego cygaro, ale nie było po nim śladu, chociaż świeciło się światło. Nie było też Dupigny'ego. Jednakże perspektywa natychmiastowego dania wytchnienia zmęczonemu ciału była tak kusząca, że padł na pierwszy z brzegu trzciniowy fotel i leżał na nim ciężko dysząc i pocąc się obficie. Niemal natychmiast powieki mu opadły i pograżył się w sen.

Ale po chwili obudziło go skrzypienie zawiasów zewnętrznych drzwi. Ktoś wszedł. Matthew postarał się z wysiłkiem usiąść prosto i udać żwawego, ale jego wzrok jakby utracił ostrość i przez kilka chwil widział tylko szarą plamę. Potem stwierdził, że ma przed sobą twarz Joan, która mówiła:

- Zobaczyliśmy z drogi światło, bo Jim właśnie odjeżdżał, i pomyśleliśmy, że wpadniemy powiedzieć dobranoc.

- To bardzo miło z waszej strony - rzekł Matthew serdecznie. Ehrendorf wszedł razem z Joan, lecz siedział na poręczy bambusowego fotela w półmroku, blisko drzwi.

- Poza tym Jim chciał ci coś powiedzieć - mówiła dalej Joan.

- Jeżeli o tym, o czym rozmawialiśmy przedtem - odparł Matthew

świadom, że jego wzrok zaczyna znowu tracić ostrość - to znaczy, wiesz, kwestii kolonialnej i tak dalej, chciałem udowodnić, że musimy sprawić, aby rozwijał się cały kraj. Dotychczas pozwalamy krajowcom pracować tylko w rolnictwie, bo chcemy koniecznie sprzedawać im własne produkty przemysłowe. Dam ci przykład...

- Nie, nie, chodzi o coś innego! - wykrzyknęła Joan spiesznie. - Jim ci powie. No mów, obiecałeś - dodała oskarżycielko, zaś Ehrendorf wiercił się niespokojnie w blasku lampy i być może zastanawiał się nad tym, co zamierzał powiedzieć Matthew.

Tymczasem nowa warstewka mgły spowijającej pamięć wypadków tego wieczoru opadła i Matthew w końcu pomyślał: „Jak to cudownie, że oni się wreszcie pogodzili po tej kłótni, jaka miała między nimi miejsce przed paroma godzinami!”

- No mów, obiecałeś, że powiesz.

Z półmroku niemo spoglądała na Matthew blada, przystojna twarz Ehrendorfa. Westchnął. Drogą przejechał samochód z głębokim zdyszonym warkotem; odbite światło jego reflektorów zaślniło w wąskich szczelinach opuszczonych rolet z listew bambusowych. W końcu Ehrendorf rzekł:

- Chciałem ci tylko powiedzieć, Matthew, że pewnie za dzień, dwa wyjadę z Singapuru... należałoby to chyba nazwać przeniesieniem na inną placówkę. Nie wiem jeszcze dobrze dokąd. Zdałem sobie właśnie dziś wieczorem sprawę, że Joan i ja... ach, że nie ma przed naszym związkiem żadnej przyszłości... Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale... hm, życzymy sobie wzajem jak najlepiej. - Umilkł.

- No proszę - powiedziała Joan.

- Co? Wyjeżdżasz? Ledwie przyjechałem! To dopiero pech! - wykrzyknął Matthew zrozpaczony.

Ehrendorf przetarł obiema dłońmi twarz w geście zmęczenia, po czym rzekł:

- Czas zbierać się do domu — ale nie wiadomo, czy miał na myśli Amerykę, czy swoje mieszkanie w Singapurze.

Od paru chwil do świadomości Matthew zaczęło docierać, że jest coś dziwnego w wyglądzie Ehrendorfa. Mundur przylegał mu do ciała, jakby był mokrzuteńki. Przyjrząwszy się pilniej Matthew stwierdził, iż jest o kilka odcieni ciemniejszy, niż powinien być, i przyklejony do skóry. Włosy też były przylizane, jakby mu ktoś wylał kubel wody na głowę. Co więcej pod nogami miał kałużę wody, która rozszerzając się z wolna wkraczała w krąg światła.

- Będzie nam obojgu bardzo ciebie brakowało - powiedziała Joan pogodnie.
- Myślę, że pora spakować walizkę i przenieść się gdzie indziej - rzekł Ehrendorf z krzywym, gorzkim uśmiechem.

Matthew, który już, już miał poruszyć kwestię przemokłego munduru Ehrendorfa, nagle coś sobie przypomniał i zapytał, czy przypadkiem któreś z nich nie wie, co to mogą być Singapurskie Kleszcze, czy to jakieś żyjątko roznoszące zarazę lub wywołujące rodzaj febry? Ehrendorf jakby się zachnął na to pytanie i rzekł po chwili namysłu, iż jego zdaniem są to pasy z trzcinowej plecionki do spinania pakunków, podobne do koszy szanghajskich, lecz Joan oświadczyła autorytatywnym tonem, iż są to wsuwki, którymi kobiety spinają sobie włosy po umyciu, aby się kręciły. Ten krótki wypadek w zagadnienia leksykograficzne wprowadził element zażenowania do sytuacji, którą Matthew już przedtem uznał za dostatecznie zagadkową. Czuł, że należało zadać kilka pytań, aby wszystko wyjaśnić. I należało zrobić to szybko, bo Ehrendorf, skubiąc palcami w przygnębieniu przyklejone do nóg spodnie, właśnie wstawał. Trzeba było zapytać o tę kałużę wody w miejscu, gdzie Ehrendorf siedział, o jego wyjazd, o Joan i Singapurskie Kleszcze. Ale jego oczy obrały właśnie ten krytyczny moment, aby okryć się mgłą, przez którą nic nie było widać, choć umysł pozostał bystry jak zawsze, usłyszał jakiś głos, który mu się wydał jego własnym głosem, mówiący komuś pogodnie dobranoc. Minęło kilka chwil spędzonych na spokojnym oczekiwaniu na powrót zdolności widzenia. Gdy wreszcie powróciła, stwierdził, że siedzi naprzeciw pustego fotela, pod którym stała kałuża wody. A na trzciniowym stoliku nie opodal połyskiwało coś innego — biała skórzana torebka, której zapewne zapomniała Joan.

- Pewnie jestem poważnie chory i niewątpliwie powinienem wezwać lekarza, nim będzie za późno - powiedział na głos. Ale znów zamknął oczy i znów po kilku chwilach musiał je otworzyć, ponieważ usłyszał chrzęst żwiru na ścieżce i skrzypienie drewnianych schodów wiodących do drzwi. Może to major albo Dupigny powracający do domu. Na pewno pomogą mu skontaktować się z lekarzem. Była to jednak Joan, i do tego w świetnym humorze.

| To ja! - wykrzyknęła wesoło. - Zapomniałam torebki. Chodź na spacer. Jest ślicznie. Właśnie wschodzi księżyc, a może to tylko gwiazdy świecą. Jest jasno jak w dzień i nareszcie zrobiło się chłodniej. Chodź, przestań marzyć. Zaraz mi powiesz, że chcesz „poważnie porozmawiać”. A ja mam dosyć „poważnych rozmów” jak na jeden wieczór. No chodź, będzie bardzo miło. - Z tymi słowami chwyciła go za rękę i wyciągnęła z fotela ignorując jego protesty i wołania o ratunek. Wkrótce szedł obok niej chwiejnym krokiem po schodach w dół. Na świeżym powietrzu poczuł się jednak lepiej i doszedł do wniosku, że może w końcu nie jest taki bardzo chory. Joan miała rację. Pochłodziła go i niebo było takie jasne, że dwa cienie towarzyszyły im w drodze przez trawnik obok przyrządów gimnastycznych, nie używanych od śmierci starego pana Webba, dwóch pionowych słupków zwieńczonych poziomym, podobnym do szubienicy na tle rozgwieżdżonego nieba, następnie przeszli w mrok kwitnących drzew i krzewów między terenem Mayfair a posiadłością Blackettów, a potem dalej, przez ciemny szpaler orzechów pili.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała Joan, gdy Matthew wzdragał się przed wejściem w ten lej ciemności. Mimo zawrotów głowy zdawał sobie sprawę, że mogą tam czyhać żarłoczne zwierzęta, i nie zamierzał rezygnować z ostrożności. Joan pociągnęła go jednak przez ten mrok i wkrótce znaleźli się na otwartej przestrzeni trawnika z basenem pływackim i bielejącym w głębi wyraźnie w świetle księżyca domem. Lecz zamiast skierować się w stronę domu, Joan pociągnęła go teraz w granatowy cień drzewa „płomień lasu”. Tam, ku jego zaskoczeniu, przytuliła się do niego i poczuł na wargach jej usta. Ścisnął ją kureczowo rękami i już nie widział otaczającej ich czerni, tylko karmazyn pulsującej krwi. Poczuł na wargach lekkie ukąszenie jej zębów i jednocześnie jej ręka wślizgnęła mu się pod koszulę i zaczęła wędrować po wilgotnej skórze pozostawiając po sobie szlak rozbudzonego pożądania. Puścił ją, aby rozpiąć górę jej bawełnianej sukienki. Wymknęła mu się jednak ze śmiechem i zanurzyła głębiej w cień.

- Kochasz mnie, Matthew? - zapytała.
- Hm, tak - mruknął idąc po omacku w stronę, skąd dobiegał jej głos. Ale jej tam nie było i znów usłyszał śmiech w miejscu, które przed chwilą opuścił, i głos pytający drwiąco:
 - Kochasz mnie, Matthew?
 - Gdzie jesteś?
 - Najpierw musisz odpowiedzieć: kochasz mnie?
 - Hm, tak, to znaczy...
 - Bardzo?
 - Hm... - Matthew poszukał chusteczki i wytarł spocone czoło. Poczuł się znów trochę słabo.

- Jestem tutaj, przy basenie. Chodź, zobacz, jak się w nim odbija księżyc. Woda jest gładziuteńka!

Matthew wynurzył się z cienia drzew i podszedł do miejsca, gdzie siedziała przykucnięta na skraju basenu patrząc na świetlisty, nieruchomy krąg księżycy przyklejony niczym żółta pieczęć woskowa do powierzchni wody. Spróbował objąć Joan, ale ona natychmiast się odsunęła mówiąc, że on musi najpierw coś zrobić. Powiedziała co, ale Matthew nie zrozumiał.

- Co?

- Tak, musisz wskoczyć do wody w ubraniu.

- Co muszę zrobić? - wykrzyknął Matthew w zdumieniu. - Chyba żartujesz?

- Nie, musisz wskoczyć do wody w ubraniu.

- Ale...

- Nie, chcę, żebyś to zrobił. Matthew rzekł z gniewem:

- Ani mi się śni. Idę do łóżka... dobranoc!

- Zaczekaj, Matthew, zaczekaj! - prosiła Joan. - Zaczekaj! Matthew przystanął. Krawędź basenu była zaokrąglona i nieco

wzniesiona, jak krawędź spodka. Joan szła teraz po niej z ramionami wyciągniętymi na boki jak linoskoczek. Gdy na nią patrzył, udała, że straciła równowagę i upadła plecami wprost na odbicie księżycy. Rozległ się rozgłosny plusk i chlupot wody o ścianki basenu. Uśmiechnięta Joan leżała na poduszce wody, po czym wykonała jeden, drugi i trzeci zgrabny ruch ramionami w stylu grzbietowym, co wyniosło ją na środek basenu wywołując dwie fale idące od jej głowy na boki. Matthew pokręcił głową w oszołomieniu, rozpryskując kropelki potu, jak gdyby sam przed chwilą wyszedł z basenu. Doprawdy, to już szczyt wszystkiego! Ogarnęło go uczucie nierzeczywistości. Ponadto księżyc i gwiazdy zaczęły opadać lotem nurkującym i wzbijać się pionowo w górę. Ruszył z trudem przez oświetlony blaskiem księżycy trawnik, który przechylał się to w tę, w tamtą stronę jak pokład statku w czasie sztormu, i dalej ciemnym szpalerem drzew zatrzymując się tylko na chwilę, aby zwymiotować w zarośla.

- Czekaj, ja też idę! - usłyszał daleki głos Joan. - Nie wzięłam swojej torebki.

Ale gdy wdrapał się ciężko na schody gmachu Mayfair i jeszcze raz z trudem odciągnął skrzypiące drzwi werandy, czekała go tam nowa nie-

spodzianka. Rzeczywistość stała się dla niego tak śliska i wymykająca się z rąk, że przez chwilę wydawało mu się zupełnie możliwe, iż młoda kobieta, która podeszła uśmiechnięta, aby go powitać, to Joan, która potrafiła dla własnej wygody poprzestawiać czas i przestrzeń i wrócić tu przed nim. Nie była to jednak Joan, tylko eurazjatycka dziewczyna o ciemnorudych włosach, którą spotkał wcześniej tego wieczoru w „Wielkim Świecie”, panna Vera Chiang. Na sam jej widok poczuł na dłoni przyjemne łaskotanie.

- Jesteś ogromnie zdziwiony moim widokiem, prawda? (Pamiętasz, tak, Vera Chiang). Pozwól, że ci wszystko wytłumaczę, Matthew, a wtedy nie będziesz tak dziwnie na mnie patrzył. Bo rozumiesz, ja wciąż mam tu, w tym domu, pokój, który mi twój kochany ojciec ofiarował, gdy byłam „na dnie”. Twój ojciec, Matthew, był bardzo dobrym, uprzejmym i hojnym człowiekiem. Zawsze będę o nim dobrze mówiła za pomoc, której mi udzielił... A więc mam tu wciąż jeszcze parę cennych drobiazgów, takich jak książki (bo ja zawsze siedzę z „nosem w książce”) i „fotki” twojego kochanego ojca bez ubrania i mojej rodziny (wszyscy, niestety, już dawno „kopnęli w kalendarz”), która należała do bardzo wpływowych ludzi w Rosji i musiała wyjechać w czasie rewolucji, więc dziś wieczorem, kiedy nas rozdzielili ci rozruchani marynarze, przypomniałam sobie, że muszę je jeszcze raz obejrzeć, bo dawno tego nie robiłam, i usłyszałam, jak idziesz, i pomyślałam sobie, że Matthew też pewnie z przyjemnością popatrzy na moje „fotki”... I proszę! A czy ty się dobrze czujesz, kochanie? Taki jesteś rozpalony!

Matthew, który był rzeczywiście rozpalony i czuł się wyraźnie źle, mimo tego miłego, acz niespodziewanego spotkania panny Chiang, musiał oprzeć się o stolik, ponieważ bungalow nagle się przechylił. Po chwili odzyskał dość siły, aby powiedzieć:

- Rzeczywiście, nie czuję się zbyt dobrze. Przypuszczam, że padłem ofiarą Singapurskich kleszczy czy czego tam innego.

Tym razem panna Chiang z kolei wydała się zaskoczona i nawet trochę poczerwieniła, co jak uznał Matthew, sprawiło, że wyglądała jeszcze ładniej. Przez chwilę jednak była mocno zażenowana. Matthew zaś myślał, jaka z niej piękna dziewczyna i jaka to szkoda, że wszystko wydaje się takie nierealne.

- Matthew! - krzyknął jakiś głos na zewnątrz i zaraz zabrzmiał dobrze znajomy już dźwięk otwieranych drzwi. Joan stanęła jak wryta uj

rzawszy, że Matthew rozmawia z panną Chiang. Uniosła brwi i wyglądała na bardzo niezadowoloną.

- Znasz pannę Chiang? - zdołał wykrztusić Matthew. - Zdaje się, że chce mi pokazać jakieś fotografie... - Zawahał się i przyjrzał uważnie twarzy panny Chiang. Przyszło mu na myśl, że może już mu je pokazała, wobec czego jego słowa mogłyby zabrzmieć głupio. Panna Chiang jednak potwierdziła, że właśnie to zamierzała zrobić, i Matthew odetchnął z ulgą.

- Wielkie nieba, panno Blackett, pani jest cała mokra! Przyniosę ręcznik.

-Dziękuję ci, Vera, zaraz sama wyschnę. Poza tym tak jest mi chłodniej I Joan usiadła w trzcinowym fotelu nie opodal miejsca, gdzie przed kilkoma minutami siedział i ociekał wodą Ehrendorf. Matthew mimo gorączki (a może właśnie z powodu niej) nie mógł zauważyć, jak cienka bawełniana sukienka przywarła do jej ciała oblepiając rozkoszne kształty i ukazując szereg rzeczy, których nie miał okazji dotychczas widzieć. Tymczasem Joan, która jeszcze nie zdążyła ochłonąć z oszołomienia wywołanego spotkaniem Very, spytała wyniośle, czy Vera jest zadowolona z sukni, którą ma na sobie. Czy to nie szczęście dla Very, zapytała zwracając się do Matthew, że jej niepotrzebne już suknie tak świetnie pasują na tę biedaczkę, która była zupełnie bez gresza, kiedy zaczynała pracować u pana Webba?

- Och, to było dla mnie wielkie szczęście! - wykrzyknęła Vera klaszcząc w dłonie. — Nigdy przedtem nie miałam takich ślicznych sukienek, Matthew. Z wyjątkiem, oczywiście, czasów, gdy byłam dzieckiem w Rosji, bo rodzina mojej matki była szlacheckiej krwi, co najmniej książęcej... a mój ojciec był bogatym kupcem herbacianym, bardzo poważanym w najlepszych kręgach, więc rozumiesz...

- W naszej rodzinie — rzekła Joan - mieliśmy zawsze zwyczaj rozdawania niepotrzebnych ubrań... Moja matka daje suknie amah albo boyom dla ich żon, albo komuś takiemu. To wstyd, żeby taki porządny materiał się marnował, zwłaszcza gdy suknie tak świetnie pasują na kogoś innego, jak moje na Verę...

-Może niezupełnie świetnie, panno Blackett - powiedziała Vera słodziutko - bo czasem, kiedy noszę tę sukienkę, wydaje mi się, że jest troszkę na mnie za obcisła w biuście. Co o tym sądzisz, Matthew? Czy ta sukienka nie pasowałaby lepiej, gdybym była bardziej płaska? Boja już jako mała dziewczynka miałam raczej dobrze rozwinięte piersi. Czasami stwierdzam, że łatwiej mi oddychać, kiedy rozepnę te dwa guziczki. O tak!

I choć bungalow od pewnego czasu tak bardzo się chwiał, że aż dziw, iż wazon z kwiatami jeszcze stał na stoliku, Matthew zdołał wychwycić moment, by rzucić zgłodniałym okiem na świetny biust panny Chiang, który był teraz w znacznej części odsłonięty, gdy wachlowała go mruczając:

- Uff, co za ulga!

- Śmieszna rzecz - oznajmiła Joan miodowym tonem - ale moja matka mówi, że służba, której oddaje swoje stare rzeczy, często wcale się nie poczuwa do wdzięczności. Uwierzysz w to, Matthew? Czy według ciebie jest tak dlatego, że nie są czystej krwi Europejczykami, czy może po prostu dlatego, że brak im wykształcenia i dobrego wychowania?

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Matthew ściskając ile sił w rękach poręczę fotela, miotany to w tę, to w tamtą stronę. - Skąd ja...

Zwracając się do Matthew Joan trzymała rękę za plecami coś tam manipulując i krzywiąc się w skupieniu. Nagle jej twarz wygładziła się i teraz ona rozpięła przód sukienki, chociaż z trudem, bo sukienka była mokra. Uczyniwszy to zaczęła coś ciągnąć mówiąc:

- Muszę powiedzieć, że nie ma nic bardziej nieprzyjemnego jak mokry stanik.

- Słuchajcie, ja naprawdę muszę się położyć do łóżka - rzekł Matthew zrywając się na nogi. - Czuję się okropnie chory... - Podłoga zaczęła się teraz przechylać na wszystkie strony i cud, że w ogóle zachowała równowagę.

- Ależ Matthew - wykrzyknęła Vera także zrywając się na nogi - musisz przyjść i zobaczyć „fotki”, które mam w pokoju! -I wzięwszy go za rękę zaczęła prowadzić w głąb bungalowu. Joan jednak również wstała i chwyciwszy go za drugą rękę zaczęła ciągnąć w przeciwnym kierunku mówiąc:

- Najpierw Matthew pójdzie zobaczyć coś, co chcę mu pokazać w ogrodzie... a ponieważ zajmie to nam trochę czasu, Vera, więc sądzę, że lepiej, jeśli nie będziesz na niego czekała.

- W takim razie lepiej, żeby najpierw poszedł do mego pokoju! I krzyknęła Vera szarpiąc Matthew dość mocno w swoją stronę.

Trudno powiedzieć, jak długo trwałaby ta żenująca scena, gdyby właśnie wtedy skołatanego mózgu Matthew nie zalała fala czerni powodując, że osunął się dyplomatycznie na podłogę między dwiema kobietami.

„Muszę powiedzieć, że być atrakcyjnym dla kobiet to nie żarty” - pomyślał tracąc przytomność.

Przyszedłszy do siebie Matthew stwierdził, że leży dokładnie w tym samym miejscu, w którym upadł. Obok niego klęczeli major i Dupigny. Młode panie zniknęły (Joan poszła po doktora Brownleya, a Vera rozbić trochę lodu na zimny kompres). Major i Dupigny, widząc, że odzyskał przytomność, pomogli mu wstać i zaprowadzili do sypialni, podtrzymując z obu stron.

- ę a Pair assez grave - powiedział Dupigny do swego przyjaciela nad chwiejącą się głową Matthew. - C'est la grippe de Singapour si je ne me trompe pas.

Jednakże Matthew poczuł się po kilku chwilach lepiej i oświadczył, że sam zdejmie z siebie ubranie, które było mokre, jakby rzeczywiście wskoczył w nim do basenu. Wylał dygocące ciało ręcznikiem i wśliznął się pod moskitierę. Na podłodze, w miejscu, gdzie przed chwilą stał, lśniły dwa mokre ślady jego stóp. Major dał mu aspirynę i szklankę wody. Zażywszy aspirynę Matthew położył się i leżąc po ciemku poczuł, że pokój zaczyna powoli obracać się jak karuzela. Stopniowo łóżko zaczęło się kręcić, unosząc się i opadając, coraz prędzej i prędzej. Musiał przywrzeć do niego mocno jak do szyi drewnianego konia, żeby siła odśrodkowa nie rzuciła nim o ścianę. Choć noc była spokojna, silne podmuchy gorącego powietrza napływały przez otwarte okiennice i szarpały moskitierę. Mijał czas. Zapalono światło. Teraz wokół łóżka wirowały twarze: poznał niespokojną twarz majora i pomarszczoną Dupigny'ego, ukisłą w cynizmie jak orzech włoski w occie, i doktora Brownleya chichocącego szatańsko, ale zaraz zamknął oczy wiedząc, że majaczy, i zapadł w niespokojny sen. Śniło mu się, że jest znów w Genewie... ujrzał bladego, zasmuconego ducha Matsuoki, który szepnął do niego: „Matthew, czemu mnie prześladujesz? Wiesz przecież, że staram się, aby było jak najlepiej”. I nagle uśmiechnął się, a jego twarz zmieniła się w głowę kobry. Na zewnątrz, w ciemnościach, jakieś stworzonko wydało śmiertelny okrzyk ginąc w paszczy węża.

O kilka mil dalej, w Katongu, sir Robert Brooke-Popham też leżał i śnił o Japończykach. Brooke-Popham spał na plecach, z rozłożonymi

nogami, ramionami odrzuconymi na boki i dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną ku górze, w pozycji całkowitej uległości lub może w pozycji człowieka powalonego nagle na ringu nieoczekiwanym ciosem. Jego szczerą, przyjazną twarz wydawała się teraz starsza, gdy sen rozluźnił mięśnie jego szczęki, starsza jak na jego wiek, bo ledwie przekroczył sześćdziesiątkę, lecz miał za sobą pracowity dzień spędzony na nie kończących się konferencjach i był wyczerpany. Ponadto owe konferencje wcale nie rozstrzygnęły problemu, który przed nim stał. Czy powinien wydać rozkaz, aby wojsko przekroczyło granicę Syjamu dla zapobieżenia ewentualnej inwazji Japończyków na tamte tereny?

Malaje mają z grubsza biorąc kształt marchewki z Singaporem u koniuszka i Syjajem, też biorąc z grubsza, niby łydkami naci. Oczywistym miejscem obrony północnej granicy Malajów z Syjajem było to, w którym z marchewki wyrasta zielona nać, a więc jej najcieńsza część, bo tam potrzeba było najmniej wojska do wykonania zadania. Jednak w tym sęk, że granica, choć zaczynała się w najcieńszym miejscu zachodniej części marchewki, zamiast biec prosto na wschód odcinając nać, gdzie należy, skręcała na pewną odległość na południe w różowy miąższ marchewki w jej najgrubszym miejscu. Nie stanowiło również problemu to, że prawdziwa granica Malajów, błędząc tędy i siedy przez wybrzuszoną część półwyspu, była znacznie dłuższa niż powinna; ale rzecz polegała na tym, że były tylko dwie drogi wiodące na południe, w głąb Malajów, przez dżunglę i góry, i obie te drogi zaczynały się jakieś pięćdziesiąt mil za granicą Syjamu, jedna w miejscowości zwanej Singora, druga w Patani.

Cóż więc zamierzał począć? (Albo, ujmując rzecz inaczej, co powinien był już dawno zrobić?) Czy powinien był rozkazać, aby 11 Dywizja dokonała inwazji Syjamu i zajęła Singorę, nim wylądują tam Japończycy? Właściwie to już i tak prawie nie ma na to czasu. Lecz przecież nie wiedział (choć mógł podejrzewać), czy Japończykom przyjdzie do głowy tam wylądować. Straszliwy to dylemat dla człowieka, który nie jest już tak młody jak ongiś. Ostatecznie jeden nieopatrzny czyn mógłby wplątać Wielką Brytanię w wojnę z Syjajem i jego protektorką, Japończykami, gdy można by temu zapobiec. W takich to tarapatkach znalazł się Brooke-Popham. W minionym tygodniu Sztab Główny w Londynie upoważnił go do wykonania operacji uprzedzającej (której nadano kryptonim Matador) na terenie Syjamu, jeżeli uzna groźbę wylądowania tam Japończyków za realną. Ufff!

Sprawa nie ograniczała się tylko do zajęcia Singory. Istnieje przecież jeszcze jedna droga, ta, która zaczyna się w Patani i biegnie na południowy zachód do granicy Malajów. Zajęcie tej drogi oznaczałoby również wtargnięcie na teren Syjamu, chociaż nie trzeba by było zajmować samego Patani. Tym razem należałoby tylko zająć pozycje obronne na tej drodze, w miejscu zwanym „Półką”, gdzie droga wkracza w góry w pobliżu granicy. Ta Półka posiadała istotne znaczenie, Brooke-Popham nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby się nie powstrzymało nacierających sił przy Półce, to nie wiadomo, gdzie udałoby się je zatrzymać. Najprawdopodobniej musieliby wziąć nogi za pas i spróbować powstrzymać je kilka mil dalej, przy Kroh. Gdyby jednak wróg (dzięki Bogu, wciąż hipotetyczny!) dotarł do Kroh, byłby już za górzystym grzbieciem Malajów i dotarłby do cywilizowanego i nie zabezpieczonego wybrzeża zachodniego z jego odsłoniętymi polami ryżowymi i plantacjami drzew kauczukowych. A tam nie ma już dżungli uniemożliwiającej manewry oskrzydlające. W każdym razie trzeba by było nieprzyjaciela jakoś przystopować, bo gdyby raz się wydostał na te otwarte tereny, to lepiej nie myśleć, co by się mogło stać...! On i generał Percival, który przejmował odpowiedzialność od granicy małańskiej, zgodzili się co do tego, że należy posłać batalion do Kroh, aby tam stał w gotowości i w razie czego ruszył drogą w głąb Syjamu i opanował Półkę; mogliby tam napotkać na opór syjamskiej straży granicznej, ale co to dla nich. A więc wszystko mniej więcej jest przygotowane, o ile chodzi o Półkę, chociaż żołnierzom przydałoby się więcej ćwiczeń, jako że wielu z nich to rekruci. Brooke-Popham wiedział nawet we śnie, co trzeba zrobić. Czego nie wiedział i nie mógł rozstrzygnąć, to kiedy i czy zrobić. Ostatecznie przecież przez zbyt pochopne działanie mógłby wywołać incydent międzynarodowy! A gdyby to uczynił, dopiero by wyszedł na durnia. Bo szczerze mówiąc to o takich właśnie rzeczach ludzie pamiętają, a nie o latach ciężkiej pracy w ciągu całej kariery wojskowej.

Brooke-Popham leżał jak ogłuszony na swoim łóżku. Czasem mamrotał coś lub chwycił dolną wargą za wąsik. Chociaż był pogrążony we śnie, dylematy minionego dnia pozostawiły ślady na jego umyśle jak czyjeś stopy na świeżym śniegu - problemy, którym musiał stawić czoło, wylaniały się na nowo, mimo że świadomość otrzymała komendę spocznij. Gdybyż mógł naprzód wiedzieć, co knują Japończycy! (Zważcie, wciąż nie miał co do tego pewności, absolutnej pewności.) W ciągu minionego tygodnia niebo nad Morzem Południowochińskim było

okryte gęstym dywanem chmur, uniemożliwiając rozpoznanie lotnicze, Lecz nagle w sobotę późnym rankiem jeden z Hudsonów RAF-u, który już, już miał zawrócić do bazy, natrafił na okienko w chmurach w pewnej odległości od koniuszka Indochin. Ujrzał w dole najpierw konwój japoński złożony z trzech transportowców, a potem drugi, z dwudziestu, oba eskortowane przez okręty wojenne, Trudne do ustalenia było tylko jedno; dokąd te konwoje zmierzały. Pierwszy podążał na północny zachód w głąb Zatoki Syjamskiej, drugi płynął na zachód. Prawdopodobnie do Bangkoku, Wysłano więc więcej Hudsonów i hydroplan „Catalinę”, aby odszukały te konwoje w miejscu, gdzie powinny być ssę znajdować, w Zatoce Syjamskiej. „Catalina” nie powróciła do bazy -wszelki słuch o niej zaginął. A co do Hudsonów, nie mogły nic zobaczyć, bowiem opatrnościowe okno w chmurach zasklepiło się, i widziały tylko puszysty dywan, biały z wierzchu a szary od spodu, rozciągający się daleko jak okiem sięgnąć, Gdzieś pod tym dywanem znajdowały się dwa złowrogie stada japońskich transportowców, ale gdzie? Całą sobo- tą łamali sobie nad tym głowy.

Co należało zrobić? Wczoraj wieczorem wiele dałby za to, żeby móc zapytać generała Percivala i admirała Phillipsa, co o tym sądzą, Ale Pereira! był w Kuala Lumpur na inspekcji 3 Korpusu, a Tom Phillips w Manili, Ponadto we własnym sztabie należy bardzo dbać o to, aby okazywać pewność siebie i zdecydowanie, Jest bardzo ważne, aby stwarzać wrażenie, iż się wie, co się robi, choćby nawet byto inaczej -o tym wiadomo każdemu dowódcy, Ale jakąż to mordęga musieć działać samo- dziebie! Przypominał sobie dowcip rysunkowy, który widział w jakimś magazynie - dowcip ośmieszający niemiecką dyscyplinę. Oddział szturmowy maszeruje w kierunku przepaści, a jego dowódca zastanawia się, jaki teraz wydać rozkaz. Podoficer błaga go; „Niech pan coś powie, chociażby tylko: żegnajcie!” Brooke-Popham śmiał się serdecznie, kiedy zobaczył ten dowcip, A w ciągu tych ostatnich okropnych godzin ok mógł przegnać go z pamięci. Niech pan coś powie, chociażby tylko; żegnajcie.'

Wolno mijały niedzielne godziny, aż wreszcie, mniej więcej w porze, gdy wszędzie dokoła zaczęto popijać pierwsze wieczorne pahity w spokojnym, nie przeczuwającym niczego Singapurze, lecące nad grzbietami Ca) Hudsony odnalazły transportowce. Natychmiast potwierdzone zostały najgorsze obawy - konwój zmierza) do Sngory i znajdował się zaledwie o sto nńJ od niej, L> rugi k/*iwój transportowców podążał o/ prędzej wzdłuż wybrzeża w tym samym kierunku Jeden z Hudsonów został ostrzelany przez kontrtorpedowice.

Brooke-Popham znów przychwycił dolną wargę wąsik » wydał długie, ciche westchnienie, wiedząc, że za kilka minut będzie musiał powrócić do pełnej świadomości, aby stwierdzić, co się dzieje, Dostrzeżenie owych transportowców zbliżających się do Singory oznaczało serię wyczerpujących konferencji, Percival wrócił pociągiem z Kuala Lumpur i okazał zdziwienie, że on nie rozpoczął operacji Matador i rozkazał, żeby 11 Dywizja wkroczyła do Syjamu, gdy tyliro dostrzeżow> transportowce, Ale Percwalosri dobrze mówić, on me ponosi tak wielkiej odpowiedzialności! Byle głupiec potrafi sobie zdać sprawę z ogromu politycznych skutków operacji Matador Czyż on. Brooke-Popham, nie otrzymał z Bangkoku telegramu od Croib/ego, z ostrzeżeniem , aby nie zrażać sobie Syjamczyków naruszeniem kb neuf rafcyjfcś? Jako głównodowodzący sił zbrojnych na Dalekim Wschodzie musiał mieć na uwadze wszystkie aspekty sprawy.

Podczas gdy Matthew i jego towarzystwo przebywali w „Wieflum Świecie”, odbyły się dalsze wyczerpujące konferencje, a po kolacji je' szcze dalsze. Tom Phillips zdążył do lej pory powrócić z Manili Perci- vaJ twierdził, że z operacji Matador należy teraz zrezygnować, ponieważ f ieath i 11 Dywizja nie zdążą dotrzeć do Smpxy przed wylądowaniem Japończyków. Cóż, była to do pewnego stopnia ulga - oz- oaczało to bowiem, że cokolwiek teraz się stanie, nie fiwikła kraju w incydent dyplomatyczny. Mimo to, operacja Matador była strategicznie świetnym pomysłem i Brooke-Popham niechętnie z niej rezygnował, Mogła jeszcze okazać się przydatna, choć nie potrafił dokładne okse- ślić, w jaki sposób. Przed udaniem się nad ranem na spoczynek wyrłał rozkaz, aby dano znać Heathowi, by trzymał oddziały przeznaczone do operacji Matador w pogotowiu. Zauważył, że kilku oficerów słysząc to uniosło brwi (po co, zastanawiali się członkowie jego sztabu, trzymać wojsko w pogotowiu, skoro na przeprowadzenie operacji jest za późno?) i jakiś głos zza świątów szepnął mu do ucha: „Niech pan coś powie, chociażby tylko; żegnajcie!*

A mimo to,, mimo to może powrmen był zignorować Peraraia i bez względu na konsekwencje nakazać rozpoczęcie operacji Matador. Co jest bardziej ryzykowne, podjęcie merówowej walki czy mebezpieczeA- stwo uczynienia sobie wroga z p*Aencja}nep)%ęrzymierirf>ut" \ o się stało z tymi nieszczęśnikami z „C&afinjT, która nie powróciła wczoraj do

bazy? O dwa, trzy pokoje dalej klekotała cicho maszyna do pisania. Wkrótce zaczną świtać i będzie musiał znów podejmować decyzje-powinien więc teraz zasnąć, chociażby tylko na chwilę. Być może rozbitkowie unoszą się właśnie gdzieś na ciepłych, ospałych wodach Zatoki Syjamskiej łudząc się, że nadejdzie pomoc. Poczul się stary i zmęczony - on też unosił się na ciepłych, ospałych wodach wszelkiej nadziei, wszelkiej. Życie było piękniejsze, gdy piastował urząd gubernatora w Kenii - nie czuł się tam taki wyczerpany, tamtejszy suchszy klimat bardziej mu odpowiadał niż ten wilgotny upał. Później przeszedł w stan spoczynku, lecz teraz wrócił do służby. Ale najpiękniejsze było życie we Francji w 1914 - ach, to poczucie braterstwa, słońce i zapach wsi. Ileż uciechy miał z oficera łącznikowego, księcia Murata, kiedy mer Sa- ponay awanturował się, że żołnierze Królewskiego Korpusu Lotniczego kradną owoce w sadzie - Murat w odpowiedzi zagroził mu, że odda go pod sąd wojenny i rozstrzela! To uciszyło mera. A kiedy indziej w małej wiejskiej restauracyjce koło F&re-en-Tardenbois z Muratem i Baringiem, tak, jedli na świeżym powietrzu wśród krzewów róż i drzew owocowych... jakże złościście perlił się w ich kieliszkach Montrachet! A kiedyś znów, jak Hilaire Belloc przyjechał do nich z Anglii, i ten bokser, Carpentier, kolega z francuskich sił lotniczych. Pamiętał, jak w Trenchard (był wtedy generałem) rzucił cygaro do stawu z karpiami, gdy jedli gdzieś obiad, zdaje się w jakimś klasztorze, i karp połknął to cygaro, i przez pewien czas wyglądało, że się otrul, ale po chwili ku ogólnemu zachwytowi ożył. Ale przede wszystkim, gdy leżał teraz skłopotany i spocony na swoim łóżku w Katongu, nawiedziło go wspomnienie zapachu jabłecznika sprzed ćwierćwiecza, z tej długiej, słonecznej jesieni 1914 roku, i wspomnienie Aurosów i Bleriotów, i Farmansów, jak ciągnęły z pomrukiem motorów przez przejrzyście zmierzch, jeden po drugim, ku hangarom lotniska. Z ziemi unosiły się pierwsze mgły, cienie kładły się po polach i dzwon z kasyna wyśpiewał swój czysty ton w nieruchomym powietrzu wzywając wszystkich na kolację. Brooke-Popham znów westchnął w ciemnościach. Za oknem lekki powiew łagodnie poruszył palmami, aż zaszeleściły i lekko zakrzypiały. Obok niego groźny cień telefonu czał się w mroku jak ropucha. Generał Percival wyciągnął się na łóżku, by trochę wypocząć. On też spał z otwartymi ustami chrapiąc leciutko od czasu do czasu. Czy w tej szklance przy łóżku leżą jego zęby? Nie, jego zęby, chociaż wystające, są zdrowe - to tylko szklanka wody na wypadek, gdyby ocknąwszy się w nocy poczuł pragnienie. Obok szklanki połyskiwała fosforyzowana tarcza zegarka. Która godzina? Pewnie wpół do trzeciej. Trudno się wyznaczyć po ciemku na tych świecących kropeczkach i kreseczkach. Śnił trochę o obronie Malajów, a trochę o gubernatorze, sir Shentonie Thomasie. Ktoś szeptał gubernatorowi do ucha, że on, Percival, jest za młodym oficerem, aby móc objąć dowództwo na Malajach. Któż jest tym złowrogim intrygantem sączącym truciznę w gubernatorskie ucho? Percival widzi jego dłonie węzłaste i pożyczowane, wystające z rękawów munduru, ale twarz pozostaje w cieniu. To musi być ktoś, kogo znał, kiedy był poprzednio w Singapurze, w 1937, ktoś ze sztabu generała Dobbie... Generał Dobbie, to był dopiero mężczyzna! Wysoki ponad sześć stóp, szeroki w ramionach i ze spokojną pewnością człowieka, który ma dar Wiary. Wystarczyło spojrzeć w te niewzruszone niebieskie oczy, zobaczyć spokojny, bezceremonialny sposób bycia, by wiedzieć, że Dobbie cię nie opuści w potrzebie. A mimo to szeptanie trwało - ta twarz ukryta w cieniu mówiła gubernatorowi, że Percival da mu się we znaki, że nie wie, jak postępować z cywilami. Ale to nieprawda! On wie, jak się obchodzić z cywilami. Tylko że z nimi trzeba postępować bardzo ostrożnie. U cywilów najważniejsze jest morale, to, co tam sobie roją. Widział to w Irlandii jako młody chłopak. W dodatku cywile wszystko płaczą! Popadają w panikę, jak stado antylop pierzchających to w tę, to w tamtą stronę na równinie afrykańskiej. A żadna armia nie jest w stanie ich ocalić, gdy zaczną pierzchać na ślepo. Chrapnięcie uwieźło mu w krtani i omal go nie obudziło, sprawiając, że sen się zakrzusił jak zimny silnik, lecz jakoś udało mu się utrzymać go na chodzie i wkrótce podchwycił rytm i spał dalej głęboko oddychając.

Leżąc w piżamie na trzcinowym fotelu w swoim bungalowu naprzeciw Mayfair major też zdołał wreszcie usnąć i leniła mu się Irlandia sprzed dwudziestu lat i kobieta, która mogła wówczas stać się jego żoną. Ocknął się i odchrząknął zniechęcony. Jakie to wszystko smutne! Ale niewątpliwie wyszło mu na dobre. Znowu zasnął. Może przynajmniej we śnie przeszłość da się jakoś odmienić i zrobić się lepiej./

Na jednym z wyższych pięter siedziby gubernatora sir Shenton Thomas spał niespokojnie z nieprzeniknioną, przystojną twarzą spoczywającą na poduszce. Jego kłopoty nie leżały tuż pod powierzchnią snu, ale tym niemniej zdawał sobie z nich sprawę, z tych trzepoczących się i śmigających cieni niczym wróble w liściastym gąszczu. Był na dobrej stopie z Azjatami, a więc nie o to szło... Lubili go i szanowali. Nie, ze wszyst

kich jego trosk najbardziej niepokojące było to, że w tych trudnych czasach trzeba się było bardzo mieć na baczności, by utrzymać na należytym poziomie godność urzędu. Duff Cooper i dowódcy wojskowi patrzyli na władzę, którą posiadał jako gubernator, jak łakomi uczniacy patrzą na placek stygnący na parapecie okna. Nie chodziło mu o siebie, nie był człowiekiem samolubnym, ale o Służbę Kolonialną i swoich następców. I o ludność tubylczą też, aby ją należycie traktowano. Obok niego drzemała spokojnie w swej kołysce słuchawka telefoniczna. Za kilka minut obudzi się i zacznie się drzeć.

Nie wszyscy jednak spali. W pokoju operacyjnym przy Sime Road narastała atmosfera silnego podniecenia. Gdy Sinclair-Sinclair obejmował służbę (o pierwszej, nie o północy, jak powiedział Monty'emu), stał się świadkiem dyskusji między drugim oficerem Sztabu Generalnego a Sztabem Dowódcy Brygady, czy nadać hasło „Zaciemnienie”. S.D.B. odpowiedział jednak, że to leży w gestii gubernatora. W chwilę potem zadzwonił nagle telefon „zielonej linii”. Sinclair, wychodząc z siebie z podniecenia, patrzył, jak dyżurny oficer RAF-u podnosi słuchawkę. Dzwoniono z lotniska w Kota Bahru na północno-wschodnim wybrzeżu w pobliżu granicy syjamskiej. Nie opodal wybrzeża wykryto podejrzaną grupę statków. Wezwano Pulforda, dowódcę sił powietrznych. Skontaktowano się z Główną Kwaterą Sił Dalekiego Wschodu i poproszono o zidentyfikowanie tych statków, ponieważ wyglądały na... Sinclair aż zadrżał starając się ile sił zachować obojętny wyraz twarzy i pomagając drugiemu oficerowi Sztabu Generalnego w przygotowaniu raportu sytuacji. Teraz już był pewien: stanie się świadkiem rozpoczęcia wojny na Dalekim Wschodzie!

Nie spał też generał Gordon Bennett, dowódca Australijskich Sił Imperialnych na Malajach. Prawdę mówiąc nie był nawet w Singapurze, lecz setki mil stąd, w Rangunie. Musiał się tam zatrzymać w drodze z Egiptu, gdzie wizytował australijskie wojska na Środkowym Wschodzie. Obecnie, oczekując na samolot, który miał go zawieźć do Singapuru, spędzał noc we wspaniałym, starym hotelu Strand nad rzeką Ran-gun. Zamiast spać, siedział po ciemku w upalną noc przy otwartym oknie swojego pokoju, patrząc ukradkiem w okno innego pokoju i wstrzymując oddech z podniecenia.

Ze względu na upał okno tamtego pokoju też stało otworem i mimo późnej pory paliło się w nim światło. Dzięki łamanej linii budynku Gordon Bennett mógł widzieć przez podwórko wnętrze pokoju. I kogóż to ujrzał, jeśli nie czterech mężczyzn, którzy prawie na pewno byli Japończykami i ślęczeli nad mapami, które z pewnością były mapami Malajów. Szpieczy japońscy! Któż inny mógłby to być? Generał dzwonił już do Głównej Kwatery Wojskowej w Rangunie i powiedział im dosyć oględnie, że wykrył szpiegowskie gniazdo. Następnie, ponieważ nie wydali się zbyt przejęci, musiał im wyłuszczyć całą rzecz ze szczegółami. Japońscy szpieczy w pełnej akcji zakładania swoich siodeł tuż pod jego nosem! Ale chociaż te tępaki powiedziały mu uspokajająco, że się tym zajmą, nic jeszcze nie zrobiono, mimo że minęło parę godzin. Tymczasem generał tak długo i z takim napięciem patrzył na to szpiegowskie gniazdo, że aż wszystko zaczęło mu się rozmazywać w oczach. Zgrzytnął zębami, zawiedziony. Czemu policja nie przybywa? Ten upał był nie do zniesienia. Co chwila musiał zamykać bolące oczy. Noc upływała, szpieczy knuli, a Gordon Bennett zgrzytał zębami.

A w Singapurze major obudził się, otworzył oczy i stwierdził, że wciąż jest w swoim trzcinowym fotelu i z wypalonym cygarem w palcach. Zapewne zdrzemnął się chwilkę. Która to może być godzina? Niedługo pójdzie na drugą stronę drogi zobaczyć, czy Matthew się nie pogorszyło. Ziewnął. Członki mu zdrętwiały. Zastanawiał się, czyjego wino, które zostawił w piwnicach Braci Berry, przetrwało bombardowanie. Jakże bezsensowne i zgubne są zniszczenia spowodowane wojną! A on myślał, że skończył z tym raz na zawsze w 1918. A bliźniaczki! Gdzie były podczas bombardowań? Teraz, dzięki Bogu, ewakuowano je w bezpieczne miejsce. Przed kilku dniami otrzymał od nich list z hrabstwa Northumberland. W mocnych butach i fildekosowych ponczochach, każda ze swoim stadkiem niesfornych, denerwujących dzieci (jego chrześniaczek i chrześniaków). Dobrze się stało, bo (ich mężowie byli na wojnie) za bardzo upodobały sobie tańce z wolnymi Francuzami. Musi napisać do nich zaraz jutro, żeby nie flirtowały z parobkami, chociaż nie miał wielkiej nadziei, że zrobią, co im powie. „Trzeba będzie uporządkować wiele spraw, kiedy ta wojna się skończy”. Wracając do rzeczy, czy jego Chateau Margaux i Chateau Lafite ocalały? Powinno być już dobre do picia, gdy wróci do kraju. Wcale nie zamierzał pozostać na Wschodzie tak długo.] A Sarah? Gdzie była, kiedy padały bomby? Niewątpliwie jest już mężafką. E tam, może to i dobrze, że w końcu tak się stało. Sarah? Zasnął znowu. Jakie to wszystko smutne! Sarah... Major drzemał, zniechęcony. Nie opodal w sypialniach, których okna wychodziły na spokojną,

lśniącą taflę basenu kąpielowego, Monty i Joan leżeli na swych łóżkach i spali. Joan nawiedził w snach Matthew, ale szczupły, przystojny, pełen wdzięku, władczy Matthew z cienkim wąsikiem i bez okularów - bogaci, moi i podziwiani za swą urodę panowali razem nad Straits Settlements. Co do Monty'ego, można by przypuścić, że w jego snach znajdą się nagie kobiety walczące między sobą o najkorzystniejszą pozycję w jego oczach, ale o dziwo tak nie było. Odwiedził go natomiast młody chłopiec o niewinnej, ślicznej twarzy. Znał tego chłopca w szkole, choć z nim nie rozmawiał. Opuścił on szkołę po śmierci ojca i więcej już nie wrócił. Teraz jednak w końcu pojawił się napełniając Monty'ego przejmującą czułością. Niewątpliwie każdy nosi w sercu taki obraz czystości i miłości bez granic, ukryty być może pod warstwą przykrości i ograniczeń życia z dnia na dzień, lecz dający znać o sobie w snach na podobieństwo dźwięku dzwonu w mroźny ranek. To właśnie ten dźwięk dotarł teraz słabiutko z nieoczekiwanej strony do świadomości Monty'ego skazanego na jawie na ciężką harówkę seksualną.

Kto jeszcze? Walter i jego żona spali obok siebie wzruszająco trzymając się za ręce - było za gorąco na większe zbliżenie. On śpi spokojnym, ufnym, nieprzeniknionym snem, a kiedy się obudzi, nie będzie pamiętał, czy mu się coś śniło. Jedynie gdzieś głęboko w tym śnie prześlizgują się, przekradają niespostrzeżenie niepokojące majaki (na przykład problem z olejem palmowym czał się w tej czerni snu i nie spuszcza z niego swych płomiennych oczu), lecz nic takiego, co by mogło wstrząsnąć tą niebotyczną, kojącą budowlą. Ale dobrze tak Walterowi spać spokojnie. Jest przyzwyczajony do Straits Settlements, spędził tu większą część życia. Trudniej żołnierzom w rozproszonych po całej wyspie ciasnych namiotach lub pełnych chrapania koszarach. Najlepiej śpią wojska hinduskie, ten upał to dla nich fraszka, lecz co mają powiedzieć Anglicy, a nawet Australijczycy? Od samych pisków i krzyków dochodzących z dżungli, znajdującej się zaledwie o krok, włos im się jeżył, zwłaszcza gdy byli w tropikach zaledwie od tygodnia, a w wojsku niewiele dłużej.

Gdzieś na ciemnych wodach daleko na północy pewien szeregowiec nazwiskiem Kikuchi (bratanek trębacza Kikuchi, który, o czym wie każdy japoński uczeń, niedawno poległ bohaterską śmiercią za cesarza w wojnie z Chinami) czeka w napięciu na transportowcu coraz bardziej przybliżającym się do Kota Bahru i północno-wschodnich wybrzeży Malajów. Właśnie skończył czytać broszurę zatytułowaną: „Przeczytaj to sobie - a wojna będzie wygrana”. Dzieło to, wręczone jemu i jego kolegom na pokładzie, wyjaśnia w prostych słowach, jak trzysta tysięcy białych stłumiło sto milionów Azjatów na Dalekim Wschodzie i pijąc ich krew żyje w luksusie, krajowcy zaś w nędzy. Szeregowiec Kikuchi przeczytał z bijącym sercem, że woła cesarza jest, aby ludy Wschodu połączyły się pod japońskim przywództwem i żyły w spokoju i wolności od ucisku białych. Poza tym przeczytał o różnych innych rzeczach: o sposobach zwalczania choroby morskiej - przez zachowanie wysokiego morale, przez zastosowanie metody respiracyjnej, przez zażycie dwuwęglanu i pigułek Jintan, i siłę woli. Nauczył się, jak dbać o broń, co jeść, jak okazywać krajowcom względy, ale zachować ostrożność pamiętając, iż wszyscy oni cierpią na choroby weneryczne, jak za- mocowywać karabiny maszynowe na dziobach łodzi desantowych i bez wahania skakać do wody, gdy otrzyma rozkaz. Wie, że jeśli napotka niebezpiecznego węża, musi go natychmiast zabić i połknąć jego wątrobę na surowo, nie ma bowiem lepszego środka na wzmocnienie ciała. Wie, że jak jest bardzo gorąco, musi założyć sobie pod stalowy hełm opaskę na czoło, aby pot nie zalewał mu oczu. Wie również, że w dżungli musi unikać jaskrawych, silnie pachnących i bardzo słodkich owoców. Musi unikać owoców, które są niezwykle piękne w kształcie albo posiadają pięknie zabarwione liście. Nie wolno mu też jeść owoców mango, gdy pije kozie mleko lub alkohol. Nauczył się tych i wielu innych rzeczy, ale teraz, na jedną króciutką chwilę, ruch statku wywołał w nim dziwne uczucie. A mimo to... Nie! Wspomniawszy chlubny przykład stryja Kikuchi siłą woli zmusza się, by czuć się normalnie, dla cesarza.

Teraz pewien młody malajski rybak, drzemający na tratwie obok zastawionych sieci w cieśninie koło Pulau Ubin, budzi się nagle i słyszy słaby, lecz stale rosnący pomruk z północnego wschodu. Słyszał już nieraz samoloty, ale tym razem jest ich bardzo dużo. Jakże złowieszczy wywołują hałas, kiedy tak lecą wszystkie razem niczym stado ptaków! Ale samoloty to sprawa białych ludzi - ich przyloty i odloty nic dla niego nie znaczą. Do niego należy łowienie ryb - zastanawia się, czy ryby w wirujących czarnych wodach słyszą to straszliwe pulsowanie, które narasta w górze.

Kiedy bomby spadną, jak to się stanie za kilka chwil, to nie na namioty i koszary żołnierzy, którzy mogliby poczytać ten fakt za zupełnie zrozumiałą. Nie spadną też na pogrążonego w głębokim śnie Waltera, co

swoją bezwzględną polityką handlową w minionym dziesięcioleciu przyczynił się, choć w znikomym stopniu, do powstania napięcia które go nagle rozładowanie znalazło swój symbol w kilku tonach materiału wybuchowego zrzuconego na uśpione miasto. Spadną one na Dzielnicę Chińską, gdzie kilka pechowych rodzin czy pojedynczych osób, rzuconych tu przez los za Morze Południowochińskie i wessanych przez wir brytyjskiego kapitału zainwestowanego w Malaje, ma teraz rozstać się z życiem.

Gwiazdna poświata lśni na srebrnych skrzydłach japońskich bombowców przemykających po jasnym niebie jak ryby przez bramę śluzy. Lecą nad Changi Point ku równiuteńko ułożonym paciorkom naszyjników latarni ulicznych, które władze miasta, poruszone i wreszcie przebudzone, daremnie każą teraz wygaszać. W ciemnej przestrzeni między dwoma naszyjnikami światła stoi dom czynszowy podzielony na malutkie izdebki, z których każda mieści szereg skulonych postaci śpiących na podłodze. Wiele z tych izdebek nie ma ani okna, ani kanalizacji (trzeba będzie dopiero bomb kruszących, żeby wyrwać je z kleszczy i malarii). W jednej z izdebek, nie większej od dużej szafy, leży bezsennie przy oknie osłoniętym drucianą siatką stary Chińczyk, kulis portowy. Tuż przy jego głowie stoi ołtarzyk ku czci przodków, a na nim pęki czerwonych i białych świec powiązanych za knoty. To tutaj, przy nim, zmarła jego żona i czasem, nad ranem, powraca, aby trochę z nim być. Dziś jednak nie przyszła, więc Chińczyk wysuwa się ze swojej izdebki i schodzi po schodach, przestępując przez śpiących ludzi, do ubikacji na podwórku. Gdy wraca, następuje nagły błysk i ciemność spływa jak woda ze wszystkiego, na co pada jego wzrok. Budynek jakby zawisa nad nim na chwilę, a potem wolno roztapia się ogarniając i jego. Potem, kiedy zostanie dokonana oficjalna ocena tego pierwszego nalotu na Singapur (sześćdziesiąt jeden osób zabitych, sto trzydzieści trzy ranne) Wbędzie żadnej wzmianki o tym starcu, z tej prostej przyczyny, że onTtak jak wielu innych, nie pozostawił żadnego śladu, izwogóle kiedykolwiek istniał w tej lub jakiegokolwiek innej części świata^

Część trzecia

Przedmieście Tanglin, gdzie Matthew pocił się i miotał w kleszczach gorączki, leżało w pewnej odległości od Dzielnicy Chińskiej i Placu Rafflesa. Huk eksplodujących bomb, daleko po drugiej stronie rzeki, nie był więc na tyle głośny, aby obudzić tak twardo śpiących ludzi jak Walter i Monty. Dopiero rano usłyszeli zdumiewającą wieść: Singapur został zbombardowany, zaczęła się inwazja na Malaje! I to jeszcze nie wszystko, bowiem Japończycy jednocześnie zaatakowali Amerykanów niszcząc ich flotę w Pearl Harbor. Nareszcie Ameryka została włączona do wojny. Dziwne uniesienie owładnęło europejską społeczność.

Stany Zjednoczone stały się nagle popularne. W oknach wystawowych wzdłuż Orchard Road pojawiły się obok angielskich flagi amerykańskie. Obywatele amerykańscy, dotychczas ignorowani lub nawet wyszydzani za neutralność swojego kraju, stali się wszędzie mile widziani i stawiano im drinki, ilekroć pokazali się na ulicy lub w Klubie. Joan zastanawiała się nawet, czy nie poddać rewizji swojej opinii o Ehrendorfie, mimo nużących scen, które doprowadziły do tego, co nazywała żartobliwie „Pożegnaniem Ehrendorfa”. („Och, te rozkochane spojrzenia, którymi mnie oblewał jak ciepłą zupą!”) Być może, porwani falą życzliwości, Joan i Monty postawiliby nieborakowi drinka, gdyby się na niego przypadkiem natknęli. Ale Ehrendorf nigdzie się nie pokazywał. Z pewnością był bardzo zajęty wraz ze swymi zwierzchnikami nadawaniem ostatecznych kształtów planom starcia na proch żółtych agresorów.

Później tego przedpołudnia Walter udał się ze swego biura przy Collyer Quay na krótką przechadzkę, żeby obejrzeć poczynione przez bomby zniszczenia w firmie Robinsona przy Placu Rafflesa. Za rogiem ustawiono zapory, żeby nie dopuścić gapiów, lecz Walter pokazał urzędową przepustkę i został przepuszczony. Na ulicy wciąż jeszcze leżało rozbite szkło i jedwabna bielizna z wystawy Gian Singha na Battery Road, część firmy Guthrie leżała w gruzach po drugiej stronie ulicy. Walter patrzył spokojnie na te zniszczenia budynków jednego ze swoich głównych rywali. Wyraził jednak współczucie stojącemu w pobliżu

pracownikowi firmy i bezskutecznie próbował zwalczyć myśl, że „nie ma tego złego...” Jego niebieskie oczy błyszczały radością w słońcu, kiedy przyglądał się nieudanym próbom znalezienia niewypałów i uprzątań gruzów. Później jednakże, gdy znalazł się z powrotem w swoim biurze, opanował go bardziej ponury nastrój i pomyślał: „Że też taka rzecz musiała się stać w roku jubileuszu!” Ponadto ten niespodziewany atak Japończyków mógł zaszkodzić interesom firmy Blackett i Webb.

Uprzedzony o centralizacji zakupów w Ameryce, Walter w krótkim czasie zobowiązał się do licznych dostaw terminowych, aby uniknąć ograniczeń wynikających z nowych układów. Był zmuszony nabyć ogromne ilości kauczuku od innych producentów, a także z plantacji, którymi firma Blackett i Webb administrowała, aby wywiązać się z tych kontraktów. Nie oznaczało to, że zgodnie z Planem Restrykcyjnym wystarczyło mieć w swoich rękach kauczuk: trzeba było również wykupić prawo do jego sprzedaży. Zgodnie z Planem Restrykcyjnym każdy producent, zarówno wielki jak i mały, miał przyznawany udział w globalnym eksporcie malajskim. Ów udział każdego z producentów był naturalnie mniejszy od jego zdolności produkcyjnej - na tym się cały plan zasadzał. Nawet przy zwolnionej produkcji, wysokim stopniu replantacji drzew kauczukowych i dużym obecnie tempie wypuszczania kauczuku na rynek, nie odczuwało się braku kauczuku (to znaczy: na Malajach). Kauczuku było pod dostatkiem, trudno było jedynie o prawo sprzedaży.

Na szczęście jednak można było kupić prawa eksportowe od drobnych plantatorów azjatyckich, którzy z takich czy innych przyczyn nie korzystali z nich przy sprzedaży własnego kauczuku. Drobni plantatorzy otrzymywali kupony stanowiące równowartość ich udziału w malajskim prawie eksportu. Kupony te należało dołączyć do partii sprzedawanego kauczuku. Jednakże wielu drobnych producentów było analfabeta albo po prostu ludźmi zagubionymi w zawiłościach systemu. Inni dawali się okradać z tych kuponów niegodziwym urzędnikom, którzy je wydawali, w przekonaniu, że są nic niewarte, lub rozdawali je chińskim czy ćetjarskim konikom, którzy czyhali na nie przed urzędem. Niektórzy nawet myśleli, że te kłopotliwe kawałki papieru są wezwaniem do zapłacenia jakiegoś nowego podatku rządowego, zatem chętnie oddawali je sprytnym przedsiębiorcom, którzy zobowiązywali się wielkodusznie wnieść za nich opłaty w zamian za jakieś inne usługi. Wielu drobnych producentów przestało w ogóle ściągać mleczko kauczukowe z drzew, tylko po prostu sprzedawało kupony zamiast kauczuku. Walter w każdym razie zdołał powiększyć normy eksportowe firmy Blackett i Webb, by móc nimi objąć znaczne zapasy dodatkowego kauczuku, jakie nagromadził. Magazyny firmy w Singapurze w tym pierwszym dniu wojny na Dalekim Wschodzie aż pękały w szwach od przeznaczzonego dla Ameryki kauczuku.

Początkowo Walter był zachwycony, że mu się udało zawrzeć kontrakty pozwalające na obejście nowego amerykańskiego systemu scentralizowanych zakupów. Załatwił ten interes za cenę, której żaden z jego konkurentów nie zdołał osiągnąć. Było to mistrzowskie posunięcie na miarę tego, które uczynił pan Webb w dawnych czasach w Ran-gunie. Ono sprawiło, że poczuł się znów młody, przypomniało mu, że biznes to przygoda. Jakże zły musiał być stary Solomon Langfield, gdy się dowiedział o tych kontraktach, które Walter zdołał dopiąć w samą porę. Zapewne dla starego Langfielda było oczywiste, że Walter otrzymał poufną informację. Z jaką goryczą musiał czynić wymówki radzie tępaków firmy Langfield i Bowser za to, że tego nie wywęszyli! Walter pomyślał z satysfakcją o ich tłustym, zadowolonym z siebie sekretarzu, W.J. Bowserze-Barringtonie, drżącym przed gniewem starca. W każdym łyku stengah, które wypili w ciągu całego miesiąca, musiała być kropla zółci. Ha! Walter poprzysiągł sobie, że zrobi coś takiego, co spowoduje, że jubileusz firmy Blackett i Webb wryje się w pamięć Langfieldom i całej reszcie... i zrobił.

Mimo to nawet u szczytu swego zadowolenia z takiego stanu rzeczy nie zdołał całkowicie zdławić złych przeczuć dotyczących ilości kauczuku oczekującego na wysyłkę do różnych amerykańskich portów. Te złe przeczucia rosły z tygodnia na tydzień w miarę powiększania się trudności ze znalezieniem transportu. Tego ranka, gdy amerykańska flota na Pacyfiku została zniszczona, a przynajmniej nadwreżona, perspektywy na znalezienie statku handlowego stały się jeszcze gorsze. Stąd i szanse na uzyskanie w najbliższej przyszłości dochodu z zainwestowanych przez firmę Blackett i Webb pieniędzy w wyladowane kauczukiem po brzegi magazyny na nabrzeżu również zmalały. Walter jeszcze się nie martwił. Zaczął się jednak zastanawiać, czy przypadkiem nie okazał się trochę za sprytny. Ponadto był też jeszcze inny aspekt tego zagadnienia, który zaczął teraz zaprzętać jego myśli, a któremu nie poświęcił wcześniej należytej uwagi.

Walter, jak można by sądzić, musiał od początku wiedzieć, że podejmuje ryzyko, zważywszy na złowróżbny już od dłuższego czasu sposób kształtowania się klimatu politycznego na Dalekim Wschodzie. Musiał się liczyć z możliwością, że pozostanie z ogromną ilością kauczuku, którego nie będzie mógł dostarczyć kontrahentom. Ale biznesmen musi czasem ryzykować, zwłaszcza gdy ma nadzieję na osiągnięcie ogromnego zysku. Więc o co chodzi? Prędzej czy później pozbędzie się tego kauczuku, zwłaszcza teraz, gdy Ameryka przystąpiła do wojny. Jeżeli jego plany zawiodą i nie osiągnie zysku na wielką skalę, nie będzie to dla firmy koniec świata, lecz jedynie drobna przykrość i ciężar, który będzie musiała przez pewien czas dźwigać. Najważniejszym aspektem zagadnienia, który nagle zaczął zaprzętać Waltera (co wcale nie znaczy, że łatwo mu było dać sobie czymś zaprzętać głowę w gorączkowej atmosferze tego poniedziałkowego przedpołudnia, gdy nagle interesy firmy w Szanghaju i Hongkongu zostały narażone na szwank i wymagały natychmiastowej uwagi), była rzecz następująca: chociaż z pewnością przepełnione magazyny na nabrzeżu stanowiły ryzyko, nie było żadnych szans na osiągnięcie wielkich zysków ani teraz, ani potem. Firma Blackett i Webb jako zarejestrowana firma brytyjska podlegała stuprocentowemu opodatkowaniu od nadmiernych zysków wprowadzonemu latem 1940 roku. Jedyne, co można było osiągnąć dzięki ryzykownej inicjatywie Waltera, to „zysk standardowy”. Walter wiedział to od początku, ale zignorował ten fakt olśniony efektywnością mistrzowskiego posunięcia dla uczczenia roku jubileuszowego. Po raz pierwszy od wielu lat popełnił tak wielki błąd. Jasne, że stopniowi ryzyka winien odpowiadać stopień ewentualnego zysku.

- Cóż, może jeszcze wszystko obróci się na dobre - powiedział sobie Walter i odsuwając przygnębiające myśli zajął się pilniejszymi sprawami.

- Mamy wszelkie powody, abyśmy byli dumni z RAF-u. Pod względem sprzętu i skuteczności nasze lotnictwo nie ustępuje żadnemu innemu na świecie!

Słowa te, odbijając się echem od wysokiego sufitu Singapurskiego Klubu Krykietowego, zostały wessane w płamę wirującego śmigła wentylatora w górze i rozmięcione podmuchem po wszystkich kątach. Kilku członków Obywatelskiego Komitetu Obrony Cywilnej, którego zało

życielem, prezesem, sekretarzem, skarbnikiem i najaktywniejszym uczestnikiem był major, poruszyło się i zaszemrało: - No, proszę, proszę! - Zarówno ci członkowie jak i inni, nieobecni, zostali wezwani na nadzwyczajne zebranie komitetu. Z tych innych trzech byli nieobecni bez usprawiedliwienia (bo albo nie zostali powiadomieni, albo byli chorzy, lub umarli... jako że zważywszy sędziwy wiek większości członków komitetu, śmierć wcale nie musiała być niezwykłym powodem nieobecności któregoś z nich), trzech przebywali chwilowo w Malakce i Kuala Lumpur, jeden nie przyszedł celowo, ponieważ pozostawał w wojnie z majorem - oburzyło go, że na poprzednim zebraniu kazano mu się skracać, kiedy przemawiał do członków komitetu. Pozostało jeszcze dwóch, których major oficjalnie uznał za obecnych, chociaż w rzeczywistości utknęli w barze na dole, gdzie spełniali pożyteczną funkcję wznoszenia toastów na cześć przystąpienia Ameryki do wojny.

Major, siedzący niedbale w krześle u szczytu długiego stołu, nie przyłączył się do zachwyty nad RAF-em. Przeciwnie, skrzywił się z niesmakiem. Aczkolwiek był lojalny wobec Brytyjskich Sił Zbrojnych, z czasem zniechęcił się do tych patriotycznych uniesień. Stwierdził, iż nawet w pomyślnych dniach strasznie przeszkadzały w obradach komitetu. W dniach niepomyślnych wręcz je uniemożliwiały. Ponadto majorowi przyszło na myśl, że zapewne nie był jedyną osobą, w Singapurze, która się zastanawiała, czemu RAF-owi nie udało się zestrzelić lub przepędzić japońskich bombowców ubiegłej nocy.

- Próby podpalenia Londynu z powietrza, uparcie powtarzane podczas nalotów od 1915 do 1917 roku, skończyły się fiaskiem - oświadczył drżącym głosem mówca, osiemdziesięcioletni plantator nazwiskiem Bridges. - Czemu? - Uniósł wzrok za okularami znad kartki, którą trzymał w ręku, i łypnął okiem wokół stołu po zebranych: był to jednak błąd, bo musiał teraz odnaleźć miejsce, w którym przerwał, a to zajęło trochę czasu. Major poruszył się niespokojnie i spojrzał na zegarek.

- Czemu? Z powodu złej skuteczności stosowanych wówczas bomb zapalających, niecelności wroga i działalności służb przeciwpożarowych. - I znowu pan Bridges nie oparł się pokusie, żeby nie spojrzeć znad kartki w trzęsącej się dłoni i łypnąć okiem ponad oprawką okularów na swoich słuchaczy. Ów gest wcale nie oznaczał, że pan Bridges był podniecony: był to gest czysto retoryczny, nawyk mówcy, który staruszek przyswoił sobie w młodości od jakiegoś ognistego oratora, a następnie ćwiczył rok po roku przed członkami rady dyrektorów rozma

tych kopalń cyny i spółek kauczukowych, do których należał. - Pozwólcie mi powiedzieć, panowie, że jeśli idzie o męstwo i umiejętności, wątpię, czy istnieje wspanialsza organizacja od Londyńskiej Brygady Przeciwożarowej.

Wśród jego słuchaczy znowu powstało poruszenie i dały się słyszeć głosy: - No, proszę! - Jedyne major zgrzytnął zębami i podrapał się w kolano, w które właśnie coś go ukąsiło.

- Z trzystu pięćdziesięciu czterech bomb zapalających, które spadły na Londyn, jedynie osiem spowodowało śmiertelne wypadki. Maksymalna ich ilość, jaką zrzucono podczas jednego nalotu, wynosi dwieście pięćdziesiąt osiem sztuk, a i te spadły na rozległy obszar, dając w wyniku przeciętnie siedem bomb na jedną milę kwadratową...

„Siedem bomb na milę kwadratową! Skąd, u licha, staruszek wytrzasnął te dane?” - dziwił się major wystukując fajkę o brzeg popielniczki, która była napełniona wodą, aby podmuch wentylatora nie rozwiewał popiołu na wszystkie strony. Stłumił ziewnięcie. Zjedzony niedawno obiad, w połączeniu ze statystyką pana Bridgesa, najwyraźniej go usypiał. Było też gorąco, mimo że pokój był ogromny. Jakże kochał tropikalną architekturę wiktoriańską Klubu Krykietowego z jego ogromnymi pokojami, wysokimi sufitami i zdobionymi balkonami! Za jego krzesłem widać było przez okno część zielonego padangu. Okno było umieszczone w ukośnej ścianie, więc nie wychodziło na Klub Eurazjatycki na końcu terenu, lecz na Esplanade i morze. Na widocznym z jego miejsca małym boisku major widział tamilskich pracowników przesuwających siatki treningowe bliżej morza, na świeży pas trawy. Z pewnością gra w krykieta nie ustanie mimo bombardowań. Trudno, aby ważne mecze miały czekać na uporanie się z Japończykami. Gdy major usiłował przypomnieć sobie, czy doroczny mecz między Służbą Państwową i Palestrą a Resztą (Dżentelmenów z Graczami, jak to mawiał jeden z cyników) już się odbył, nawiedziło go wspomnienie o dziewczynie zastrzelonej na meczu krykietowym w College Park przed, och, wieloma laty. Major czytał o tym w „Irish Timesie” -o młodej kobiecie lat około dwudziestu, która przyglądała się meczowi Irlandzkich Dżentelmenów z Armią. Jakiś bojownik o niepodległość Irlandii strzelił z rewolweru między sztachetami ogrodzenia parku i wziął nogi za pas. Kula wymierzona w jednego z oficerów trafiła ją w skroń. Dziewczyna była też chyba zaręczona, jeżeli dobrze pamiętał - niewinna młoda dziewczyna zabita przez umykającego fanatyka w czapce z daszkiem. To wspomnienie nie sprzed ponad dwudziestu laty potrafiło jeszcze teraz sparaliżować majora oburzeniem i rozpaczą. Cóż za bezsens!

-Ogólna ilość strat powstałych na skutek ataków powietrznych w Anglii w czasie pierwszej wojny światowej wyniosła jeden tysiąc czterystu czternastu zabitych i trzy tysiące szesnastu rannych... Straty materialne wynoszące trzy miliony funtów zostały spowodowane przez sześćset czterdzieści trzy jednostki lotnicze, które zrzuciły osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć bomb, ogólnej wagi dwieście siedemdziesiąt ton!

Ten istny paroksyzm statystyki został wygłoszony z takim wigorem, że aż ktoś wyrwał się z niewczesnym: - No, proszę! Proszę! - Ale major, korzystając z faktu, że pan Bridges potoczywszy okiem wokół stołu zgubił miejsce, w którym skończył, zdołał wtrącić:

-Wszyscy z pewnością jesteście bardzo wdzięczni panu Bridgesowi, który nie szczędził trudu, by wniknąć w zagadnienia minionej wojny. Pan Bridges zmierza zapewne do tego, że między ówczesnymi metodami bombardowań a obecnymi jest ogromna różnica... Musimy zatem postanowić, jak najlepiej zwalczać dostępnymi nam środkami metody nowoczesne, których próbkę mieliśmy dziś we wczesnych godzinach rannych. A w każdym razie...

Ale tu musiał przerwać, ponieważ panu Bridgesowi udało się wreszcie znaleźć na kartce zgubione miejsce i przytrzymać długim żółtym paznokciem, więc staruszek wyraził swoje oburzenie. Ma przecież jeszcze sporo do powiedzenia! Musi omówić kwestię nalotów Zeppelinów na Londyn w 1915 i 1916 roku! Pragnie zwłaszcza rozważyć zagadnienie, czy ilość spowodowanych zniszczeń była uzależniona od pokrywy chmur nad miastem.

- Na przykład 31 maja 1915 roku, w piękną księżycową noc. Zeppelin zrzucił osiemdziesiąt siedem bomb zapalających i dwadzieścia pięć burzących, zabijając siedem osób, raniąc trzydzieści dwie i wywołując czterdzieści jeden pożarów, które spowodowały straty wynoszące 18396 funtów szterlingów, podczas gdy...

Informację tę powitał jęk. Wydarł się on jednak nie z ust żadnego z członków komitetu, których myśli powędrowały stadem na inne pastwiska, ale zza krzesła majora, gdzie leżał uwiązany pies w czarno-białe łąty. Dalmatyńczyk nie należał do majora, ale został wypożyczony do demonstracji, która miała się odbyć później. Nieszczęsna psina cierpiała niewątpliwie z nudów, upału i zniechęcenia. Major, który cierpiał

podobnie, wyciągnął nie odwracając się współczującą dłoń za siebie, żeby pogłaskać wilgotny nos zwierzęcia. Niewidoczny język polizał go w rękę.

Jednakże major nie chciał zranić uczuć staruszka, który wyraźnie włożył mnóstwo pracy w swoje Zeppeliny. Zaniepokojony ponurymi przewidywaniami Dupigny'ego, że Japończycy ruszą na południe, major uformował przed kilkoma tygodniami komitet, którego celem miało być wywarcie nacisku na arogancką, opieszalą administrację kolonii, aby zakrzętnęła się wokół obrony cywilnej. Miał na celu utworzenie grupy wpływowych obywateli, ale w końcu zdołał zwerbować tylko garstkę plantatorów i byłych biznesmenów, paru chińskich kupców, którzy zgadzali się na wszystko, a myśleli swoje, oraz pewnego kłótliwego młodego człowieka z agencji opieki nad Hindusami, który nie zgadzał się z niczym i na szczęście rzadko się pokazywał - właśnie w tej chwili był tym bardziej nieznośny, że wypił kilka stengah w barze na dole.

Cała rzecz w tym - nawet teraz słuchając pana Bridgesa (Zeppeliny zdążyły już odlecieć, ustępując miejsca ciekawej informacji na temat kąta, pod jakim bomby zrzucone z różnych wysokości uderzają w ziemię) major nie bardzo chciał się z tym pogodzić - cała rzecz w tym, że nie robili żadnych postępów. W najlepszym razie komitet stwarzał jedynie okazję do cotygodniowego przewietrzenia się dla kilku starszych panów, którzy w przeciwnym razie nie wychodziliby tak często ze swoich bungalowów. Major sam odpowiadał za podjęte inicjatywy. Umieścił na własny koszt ogłoszenie w „Straits Timesie” i „Tribune” z apelem o pomoc społeczeństwa. Uzyskany odzew rozczarował go.

Jakaś spółka chińska próbowała mu sprzedać pompę ręczną „zatwierdzoną przez Singapurską Obronę Przeciwlotniczą i wystawioną obecnie w sztabie Singapurskiej Obrony Przeciwlotniczej w starym gmachu sądu najwyższego w Singapurze”. Przyszedł również długi list od dyrektora handlowego pewnej firmy produkującej patentowaną szufłę z grabkami do zbierania bomb zapalających. Nieprawdą jest, głosił ów list, że jak się „w pewnych kregach” utrzymuje, podczas przeprowadzania prób bomba zapalająca wypaliła dziurę w szufli. W większości wypadków to się nie zdarza. Zdaniem dyrektora handlowego ludzie, którzy poddawali próbom szufłę, użyli nieodpowiedniej bomby zapalającej.

Dwa inne odzewy miały również posmak komercyjny. Jeden z nich, zaadresowany do pani Brendy Archer, nakłaniał go, aby zachował świeży i ładny wygląd. „Wojna jest okropna, ale zachowaj spokój i urodę. Używaj pudru do twarzy Eveliny Astrowej”. Wreszcie drukowana ulotka w podobnym stylu proponowała: „Przywracającą ufnosć paczkę obecnie bardzo popularnej herbaty (cejlońskiej) Złoty Ptak, która cię ukoi i odświeży w trudnych chwilach”. Można oczywiście sprzedawać ludziom różne rzeczy, rozmyślał major, nie ma w tym nic złego (przeciwnie, jeśli się nad tym zastanowić, można by powtórzyć za Walterem, że gdyby nie handel, Singapur w ogóle by nie istniał), ale tego ducha handlowego należy nieco złagodzić domieszką patriotyzmu i zainteresowania społeczeństwem jako całością. Bo jeśli Malaje będą niczym innym jak tylko jedną wielką kupą sprzecznych interesów osobistych, jaką będą miały szansę wobec takiego jednolitego narodu jak Japończycy?

Oczywiście i tu są patrioci, i to mnóstwo. Właśnie w tej chwili pan Bridges urwał znów, aby złożyć hołd „dzielnym chłopcom w mundurach khaki, którzy przybyli z czterech stron świata, by bronić Malajów”. („No, proszę! Proszę!”) Cały kłopot w tym, że odnośnie do Brytyjczyków, ich patriotyzm działał na wielką odległość: chodziło im naprawdę nie o Malaje, lecz o kraj oddalony o kilka tysięcy mil. A co się tyczy Hindusów i Chińczyków, ogromna ich większość była wierniejsza Indiom i Chinom niż Malajom - ostatecznie przybyli tu po to, aby znaleźć pracę, a nie ginąć za ten kraj. Ponadto ludność Malajów, już i tak podzielona przez rasy i religię, została jeszcze bardziej podzielona przez różne przekonania polityczne. Walter Blackett, o czym major wiedział, martwił się istnieniem tajnych grup komunistycznych wśród swoich licznych pracowników. Natomiast rząd cierpiał na chroniczny lęk o wierność Chińczyków oraz ich licznych organizacji „ocalenia narodowego”.

Kilka tygodni temu major został wezwany do Protektoratu Chińskiego, gdzie pokazano mu listę patriotycznych stowarzyszeń chińskich pozostających jakoby pod kontrolą komunistyczną. Ale co wspólnego mają te niepokojące związki z jego własnym, dżentelmeńskim Komitetem Obrony Cywilnej, który najprawdopodobniej nigdy się nie zetknie, miał nadzieję, z takim na przykład „Korpusem Młodej Krwi i Żelaza do Eksterminacji Zdrajców”. Urzędnik, mrugając szybko powiekami, odparł, że jego „skromnym zdaniem” Malajska Partia Komunistyczna najchętniej wykorzystuje właśnie takie niewinne jak komitet

_J majora organizacje dla swych wywrotowych celów. Major powinien wiedzieć, że komuniści zachowują się w społeczeństwie, zwłaszcza chińskim społeczeństwie, tak jak larwy glisty tęgoryjca w ludzkim ciele, wkręcając się w jeden organ za drugim.

Wstrząśnięty tym obrazem major przyjrzał się bliżej urzędnikowi: był to łysy młody człowiek w okularach, który pocił się obficie. W podmuchach wentylatora rzadkie kosmyki włosów nad jego uszami migotały jak iskry elektryczne. Powiedział, że się nazywa Smith. Major był ciekaw, czy to ten sam Smith, który jak mówił Walter, rozgniewał starego Webba w biurze Waltera. Major nie pamiętał, o co poszło;., w każdym razie o coś w związku z panną Chiang. Może uczynił jakąś uwłaczającą uwagę odnośnie jej lub Chińczyków w ogólności, i pan Webb poczuł się urażony.

Tak, ciągnął młody człowiek, one ignorują to, co się uważa za naturalne granice poszczególnych organów, przedostają się przez skórę do krwiobiegu, przenosząc się z naczyń krwionośnych do pęcherzyków płucnych, do oskrzeli, a stamtąd, jako dorosłe osobniki, do jelit, gdzie rozwinięszy czasowo przyssawkę gębową czepiają się ścianki jelita, by ssać krew i pompować ją do swoich własnych wnętrzości. Od czasu do czasu zaś porzucają dawne miejsce, które wysysały do sucha... („do sucha, majorze, rozumie pan, do sucha.,”) ...i czepiają się nowego, bardziej pożywnego.

- Wolnego! - wykrzyknął zaskoczony major. - Te przeklęte robaki nie mają nic wspólnego z obroną cywilną. Ani z komunistami, jeśli o tym mowa.

- Nie, nie mają - zgodził się Smith spokojnie, ale z kępkami włosów wciąż migocącymi wokół uszu w niepokojący sposób. - Mówiąc o robakach próbuję panu unaocznic, jak ci ludzie... i kobiety też, majorze, jestem przekonany, że zna pan niejaką Verę Chiang... Tak? Właśnie tak myślałem... jak oni przenikają z jednego organu naszego społeczeństw do drugiego. Wie pan, że Stalin w swoich Problemach leninizmu zaleca infiltrację ruchów nacjonalistycznych? Ach, widzę, że nie ma pan o tym pojęcia! A wie pan, majorze, że Międzynarodówka Komunistyczna otworzyła swoje Biuro Dalekowschodnie w Szanghaju, nie wspominając już o Uniwersytecie Sun Yat-sena i Uniwersytecie Robotników Wschodu w Moskwie? Być może niektórzy spośród pana niewinnych przyjaciół, majorze, są absolwentami tych uniwersytetów, nie pomyślał pan o tym? Czy pan wie, że w roku 1925 szef Międzynarodówki Zino-

mm

wiew oświadczył, że droga do światowej rewolucji wiedzie raczej przez Wschód niż Zachód... i to w czasie, proszę zważyć, kiedy komuniści chińscy i Kuomintang wciąż działali ręką w rękę? Czyż nie jest to zupełnie naturalne, że kiedy Czang Kaj-szek zwrócił się przeciwko swoim komunistycznym przyjaciołom w 1927 roku i zniszczył ich władzę, szukają teraz innych i bardziej niewinnych organizacji, jak na przykład pańska, aby się wcisnąć w nie jak robactwo? Dlatego właśnie mówię o robakach, majorze! Panu brak doświadczenia w takich sprawach. Uczyniłby pan znacznie lepiej pozostawiając obronę cywilną władzom.

- Gdybyśmy uważali, że rząd jest w tej sprawie kompetentny, wcale nie uważalibyśmy za konieczne tworzenie komitetu! - odparował ostro major, zirytowany tonem młodego człowieka.

Jak się okazało, pomyślał teraz ze smutkiem, opuszczając rękę, by uspokoić dalmatyńczyka, zważywszy na to, co im się udało osiągnąć, mógłby z powodzeniem posłuchać rady Smitha. Spotykał się na każdym kroku z obojętnością. Ale czego można się spodziewać po społeczeństwie, którego jedyną kulturą i racją bytu był jak najzyskowniejszy handel? Społeczeństwie bez tradycji, wspólnych przekonań i języka, tygłu, to prawda, ale takim tygłu, w którym składniki nie chcą się topić - czego można się tu spodziewać?

Major dostrzegł sposobność ponownego przerwania panu Bridgesowi, tym razem z większym powodzeniem, przypomniałszy mu, że już pora na pytania. Zza jego krzesła dobył się przeciągły skowyt rozpacz. Major dodał szybko, że skoro nie ma pytań, odkłada zebranie do następnego tygodnia, a tymczasem będzie nadal naciskał administrację, aby budowała schrony w gęsto zaludnionych dzielnicach i dostarczyła maski gazowe azjatyckim społecznościom. Po tych słowach wstał, odwiązał psa i powiedziawszy wszystkim szybko do widzenia skierował się ku drzwiom. To pilnie zwołane zebranie nie okazało się zbyt udane.

Właśnie zegar wybijał piątą, kiedy łagonda majora skręciła z Orchard Road w prawo, zmierzając do Klubu Tanglińskiego. W kilka chwil później major z psem postępującym za nim krok w krok wspinał się po schodach do wejścia. Tutaj natknął się nieoczekiwanie na Dupigny'ego odzianego w luźne flanelowe spodnie tenisowe, w których major bez trudu rozpoznał swoje własne; ponadto były związane w pasie starym szkolnym krawatem majora w miejsce paska. Stara szkoła majora, SandhalPs, nie była instytucją sławną, tym niemniej major czuł do niej przywiązanie i zrobiło mu się przez chwilę przykro na widok szkolnych barw spowijających Francuza w pasie jak boa dusiciel. Nie można jednak awanturować się o byle głupstwo. Jest wojna.

Major sprawiał wrażenie zaprzątniętego myślami, chociaż zupełnie na inny temat, gdy wspinał się po schodach z podążającym z tyłu czarno-białym psem, którego ogon chwiało się w przód i w tył rytmicznie jak metronom.

- Słuchaj, François, czy my tutaj, w Singapurze, musimy się lękać komunistów?

- Póki nie macie na Malajach popularnego i demokratycznego rządu, tak, musicie się ich bać-odparł Dupigny po chwili namysłu. - Wasz rząd naturalnie obawia się, że jeśli pozwoli komunistom na swobodne działanie, wówczas powstanie rewolucja antykolonialna. A zatem wasz dylemat można tak określić: z nimi, niebezpiecznie... bez nich, nie da się odeprzeć Japończyków!

- Och, François! - Major pokręcił głową i westchnął, lecz nie rozwijał tematu. Zapytał natomiast swego francuskiego przyjaciela, czy miał jakieś dalsze wiadomości na temat ataku japońskiego. Według ogłoszonego tego ranka komunikatu Głównej Kwatery Wojskowej Japończycy usiłowali wylądować w Kota Bahru, na północno-wschodnim krańcu kraju, ale zostali odparci. Później jednak Dupigny rozmawiał z kimś, kto był na innej odprawie: nieliczni Japończycy, którzy pozostali na wybrzeżu, są ostrzeliwani z ciężkiej broni maszynowej.

- Więc najpierw ich odpieramy. Potem, choć ich odparliśmy, oni są na wybrzeżu i my ich ostrzeliwujemy z broni maszynowej!

Major wzruszył ramionami i odwrócił się, ale stał nadal w miejscu skubiąc wąs. Dupigny domyślał się, iż zgłębiał ponurą możliwość, że kolonia zostanie zaatakowana nie tylko z morza i powietrza, lecz także jakby strawiona od wewnątrz przez Piątą Kolumnę komunistyczną. Siedzący przy nim pies też wyglądał na zatroskanego, lecz niewątpliwie tylko dlatego, że solidaryzował się ze swoim przyjacielem.

Kłopotliwe położenie Brytyjczyków na Malajach, dumiał Dupigny nie bez satysfakcji, bowiem jak każdy dobry Francuz cierpiał z powodu tonu wyższości, jaki przybierali Brytyjczycy od upadku Francji, było uderzająco podobne do tego, któremu on sam i Catroux, generał-gubernator, musieli stawić czoło w Indochinach. Jak mieli sprawić, aby dwadzieścia pięć milionów krajowców stało się lojalnymi wobec Francji i nie wierzyli we wrogą propagandę? Catroux, pamiętając, że Lyautey stanąwszy wobec tego samego problemu w Maroku w czasie pierwszej wojny światowej rozwiązał go przez zastosowanie „la politique du sou- rire”, postanowił uczynić to samo. Tak jak Lyautey ustanowił zasadę, że nikt ze stojących u władzy nie powinien okazywać najmniejszych oznak zaniepokojenia, bez względu na to, jak niepomyślne mogą okazać się losy toczącej się wojny. Tak więc, przypomniawszy sobie Dupigny uśmiechając się smętnie, ich polityka w Indochinach w pierwszych miesiącach wojny polegała na okazywaniu nonszalancji. A teraz, w Singapurze, Brytyjczycy najwidoczniej przyjęli podobną taktykę sądząc po tych pierwszych pogodnych komunikatach.

Zaprosiwszy Dupigny'ego na swój wykład „Cywilna obrona przeciwlotnicza a zwierzęta domowe” major ruszył w dalszą drogę, zaś Dupigny pozostał czekając na swego partnera w klubowych zawodach tenisowych - był nim brat pani Blackett, kapitan Charlie Tyrrel. Dupigny postanowił, że wygra te zawody choćby nie wiadomo co, przez wzgląd na miłość własną oraz prestiż Francji. Jednakże zdołał się już przekonać, że jego partner stanowi największą przeszkodę dla tych ambicji. Charlie przebywał chwilowo w Singapurze, ponieważ zastępował chorego oficera sztabowego. Dupigny natomiast dał się zwieść jego atletycznym wyglądem i wybrał go sobie, niestety, na swego partnera w grze podwójnej, aby podzielił z nim zwycięskie trofeum. Charlie okazał się nie tylko wysoce nierównym tenisistą, ale nawet nie można było na nim po

V

I

legać, że się zjawi na mecz o umówionej godzinie. Tylko rozpaczliwe wysiłki Dupigny'ego pozwoliły im przebrnąć trzecią rundę rozgrywek, a właśnie teraz ich przeciwnicy, dwaj układni młodzi Angliacy, czekali na nich na jednym z kortów.

Wkrótce jednak Charlie przybył, podniecony i z imponującym naręczem rakiet tenisowych.

- Chyba się nie spóźniłem, co? - spytał z załękaniem. Był zaniepokojony i przerażony tym, że Dupigny z taką determinacją pragnął wygrać te zawody, co mu się wydawało w najlepszym razie dziwaczne, a w najgorszym szalone. Im dalej, tym bardziej niezrównoważone wydawało się mu zachowanie Dupigny'ego. Nie trzeba dodawać, iż teraz żałował, że zgodził się być partnerem tego faceta. Lecz przy odrobinie szczęścia dostaną tegie lanie od tych dwóch wysportowanych ludzi, którzy czekali na nich na odległym korcie za basenem pływackim. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że ich przeciwnicy mają bardzo niebieskie oczy i włosy lśniące od brylantyny. Jeden z nich odwrócił się i zawołał:

- Marka czy puste? - wprawiając w ruch wirowy raketę na czerwonej glince.

Dupigny stanął na wysokości zadania.

- Ach, chodzi o to, co my nazywamy we Francji „Pile ou face”?—powiedział szybko. - Alors, pile! Ach, właśnie wyszło pile - dodał podnosząc leżącą raketę i przyglądając się jej. Pokazał ją młodemu Anglikom. Spojrzeli na siebie, ale nic nie powiedzieli.

Dzisiaj nawet Dupigny, któremu major przypomniał o Indochinach, miał trudności ze skoncentrowaniem się na grze, mimo że zdecydowanie pragnął ją wygrać. Wspominał teraz, jak wsiadł w Hanoi do pociągu, żeby się spotkać w Sajgonie z Catroux, kiedy ten w 1939 roku został mianowany gubernatorem generalnym. Następnego dnia po ich powrocie do Hanoi Francja wypowiedziała wojnę Niemcom.

- Moja! Nie, twoja! - krzyknął Dupigny, gdy piłka nadleciała ku nim z parnego nieba. - Ach, świetne zagranie! - dodał, gdy Charlie wykonał doskonale ścięcie między przeciwników. Dzisiejsza forma Charlie'ego graniczyła z cudem.

Wygrywali swobodnie, lecz Dupigny poczuł nagłe zniechęcenie. On i Catroux świetnie się z sobą zgadzali. Przy paru drobnych poprawkach kursu zgodnie z biegiem wypadków mogliby zrobić wspaniałą woltę! Mogliby spróbować oderwać Indochiny od Vichy i działać na własną rękę. I teraz, zamiast stać tutaj w brytyjskiej kolonii w pożyczonych

spodniach tenisowych (tak śmiesznie długich, że krawat majora, wybrany specjalnie ze względu na niemilę zestaw gryzących się barw, aby wyprowadzić z równowagi przeciwników, opasywał go nie w biodrach, lecz tuż pod pachami), on i Catroux mogliby sterować autonomicznym krajem niby jakimś wielkim statkiem prowadząc go w nową erę.

Indochiny, samowystarczalne pod względem żywności, nie były krajem trudnym do rządzenia, jak to Catroux z przyjemnością odkrył. Wszystkie ich kłopoty wynikały w ten czy inny sposób z pogmatwanych, dorywczych kontaktów z metropolitalną Francją. Od czasu do czasu docierały do nich zaskakujące instrukcje z tego czy innego ministerstwa. Pouczono ich, że zgodnie z ogólnym planem mobilizacyjnym mają wysłać do Francji ogromne ilości towarów. W wyniku tego on i Catroux wkrótce mieli do rozporządzenia mnóstwo ryżu, kukurydzy, kauczuku, kawy i innych towarów gnijących na nabrzeżach Hajfongu i Sajgonu z braku statków do ich przewiezienia.

I tak trwało przez całą tę drôle de guerre. Ich kontakty z ministerstwami w Paryżu stawały się coraz bardziej sporadyczne. Na pilne telegramy z zapytaniami o instrukcje odpowiadała głucha cisza. A potem nagle ciszę tę przerywał jakiś obłądny rozkaz. Ministre des Colonies, które na przykład, by spełnić jakiś kaprys europejskich rynków kawowych, nagle rozkazywało im zwiększyć areał upraw kawy. Catroux musiał wówczas zwrócić uwagę ludziom w ministerstwie, że kawa zaczyna dawać plony dopiero pod koniec czwartego roku wegetacji... a wtedy ministerstwo znowu milkło, aby niebawem wystąpić z innym dziwacznym żądaniem... a potem jeszcze innym i jeszcze innym. Jednakże od ¹ tego czasu Catroux i Dupigny zrozumieli, że z powodu braku statków kursujących do Europy i konieczności handlu z Chinami, Japonią i Malajami, kraj, którym rządzą, stawał się z każdym dniem bardziej autonomiczny.

Tymczasem nikt się nie kłopotał, aby ich poinformować, co się dzieje w Europie. Dupigny zachował szczególnie dwa wspomnienia z tego początku dusznego lata w Hanoi. Jedno, kiedy siedzieli z Catroux pod pierścieniem „Marianne” z sewskiej porcelany w pałacu generalnego gubernatora i omawiali długi urzędowy telegram o niemieckiej ofensywie i kontrofensywie Gamelina w Belgii - zdali sobie wówczas sprawę, że jeśli nie nastąpi rychle zwycięstwo Francji w Europie, ich własna pozycja w Indochinach zostanie zagrożona przez Japonię. Drugie wspomnienie dotyczyło następnego telegramu, po czterech tygodniach głu

chego milczenia, który donosił, że wystąpiono do Niemców z prośbą o zawieszenie broni.

- Moja! Nie, twoja! Nie, moja! - zawył Dupigny, gdy przeciwnicy wysłali jeszcze jednego loba wysoko w upalne popołudniowe niebo. Ale Charlie ignorując te instrukcje nadal trwał przykucnięty jak żaba, z głową zadartą do góry i zaciekłym wyrazem twarzy, dokładnie tam, gdzie piłka miała wrócić na ziemię. Dupigny nie był taki głupi, aby zaufać Charlie'emu z tym niewzruszonym wyrazem oczu. Odepchnąwszy go więc na bok zajął jego miejsce i drewnianą częścią rakiety posłał piłkę tuż za siatkę. Dwaj młodzi Anglicy, którzy w oczekiwaniu na smecz Charlie'ego cofnęli się w głąb kortu, postukali się raketami po łydkach i sposepniali.

Tak, wszystko szło znakomicie... przynajmniej na korcie. A wtedy w Hanoi ich pozycja stała się beznadziejna po upadku Francji. Tym niemniej przez dwa rozpaczliwe tygodnie on i Catroux ani przez chwilę nie przestawali starać się o poparcie. Telegrafowali do Waszyngtonu z prośbą o pomoc, na próżno. Zwrócili się z ostatnim apelem do Bordeaux (dokąd wycofał się rząd) błagając, aby przysłano broń i amunicję do Indochin, zamiast oddawać ją wrogowi. To też nie dało rezultatu. W końcu wszystko zostało uzależnione od Decoux, admirała Dalekowschodniej Floty Francuskiej w Sajgonie. Decoux, który nie podlegał władzy generalnego gubernatora, wahał się, czy walczyć dalej u boku Anglików, czy usłuchać rozkazów z pokonanej Francji. Początkowo skłaniał się do odrzucenia zawieszenia broni wysyłając do admirała Darlana we Francji wiadomość, że według powszechnego odczucia w Indochinach winno się kontynuować walkę u boku Brytyjczyków. W odpowiedzi Darlan chytrze zaproponował Decoux stanowisko generalnego gubernatora na miejsce Catroux. A więc do Sajgonu, gdzie zwołano konferencję ostatniej nadziei z Brytyjczykami, których reprezentował admirał sir Percy Noble, stary znajomek Decoux. Cały Sajgon, przypominał sobie Dupigny, wrzał z podniecenia i patriotyzmu. Na Rue Catinat wystawy wszystkich sklepów i okna kawiarni były ozdobione skrzyżowanymi chorągiewkami brytyjskimi i francuskimi. Rozgorączkowane tłumy anciens combat- tants zbierały się, aby uroczyście dać wyraz swojej lojalności, lub gromadziły się przed Brytyjskim Konsulatem przy Quai de la Belgique. W drodze na konferencję na pokładzie okrętu flagowego „Lamotte-Picquet” opór Decoux zaczął słabnąć i admirał napomykał niejasno o tajnych spotkaniach w Sajgonie, na których przewidywano pewne „ekstremalne rozwiązania”. Zwrócili się do niego zapalczymi młodzi oficerowie, którzy pragnęli przyłączyć się do admirała Noble'a w Singapurze. Bardzo szybko jednak stało się jasne, że mimo uroczystych zapewnień o swej przyjaźni do Brytyjczyków, Decoux nie oprze się kuszącej propozycji Darlana. Catroux, nawet z obiecany poparciem armii i społeczności francuskiej, najwyraźniej nie zdoła się oprzeć w Indochinach połączonym siłom Decoux i Japończyków.

W czasie konferencji z Noblem omawiali możliwość obrony Indochin na wypadek ataku Japończyków, ale była ona wykluczona. Jak zdołaliby odeprzeć atak dwustu nowoczesnych samolotów japońskich z wyspy Hainan garstką przestarzałych maszyn, które mieli. Brytyjczycy byli sami zbyt słabi, aby mogli im przysłać posiłki. Podczas obiadu, na zakończenie konferencji, spod maski formalnej grzeczności przebijała wrogość i rozczarowanie. Kiedy Decoux zaproponował toast za Le Président de la République, nastąpił moment wahania, po czym admirał Noble oświadczył, że z powodu zawieszenia broni nie może wypić toastu za prezydenta, ale wypije po prostu za La France. Decoux zbladł, lecz nic nie powiedział.

W dwa dni później, podczas oficjalnego pożegnania na nabrzeżu, nastąpił inny przykry moment. Wobec stojących wokół oficerów admirał Noble powiedział ponuro:

- Radzę ci, Decoux, jako przyjaciel, żebyś nie wchodził w przyszłości na pokład „Lamotte-Picquet”. Gdyby bowiem ten okręt znalazł się w drodze do Europy, byłibyśmy zmuszeni go zatopić, a wolałbym wiedzieć, że nie ma ciebie na jego pokładzie. - Po tych słowach odwrócił się i wszedł na pokład krążownika „Kanimbla”, pozostawiając wstrząśniętego i rozgniewanego Decoux w słońcu na wybrzeżu. W ten sposób Dalekowschodnia Flota Francuska została stracona dla Aliantów.

A teraz, w półtora roku później, Dupigny stał w upalny singapurski wieczór na korcie tenisowym patrząc na wirującą na tle ostatnich blasków nieba gęstą chmurę malutkich ptaszków. Jego dwaj przeciwnicy, pokonani bez trudu, odeszli do szatni ze zmieszanyminami spoglądając za siebie na Dupigny'ego, który im się wydał zdecydowanie dziwny. Charlie pognał za nimi, żeby postawić im drinka w barze. Dupigny, wciąż zamyślony, podążał ich śladem. Teraz, na niewielkim podium z desek, dobiegł go głos majora i przypomniał o wykładzie Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej. Czując ciężar swoich lat wspiał się po schod

kach na miejsce, gdzie major z łaciatym psem drzemającym u boku przemawiał do garstki ludzi, głównie kobiet. Tutaj, jak mówiono Dupigny'emu, odbywały się tańce i seanse filmowe, gdy było zbyt gorąco, aby korzystać z sali balowej wewnątrz budynku. Sam Dupigny nigdy nie chodził na tańce nie widząc najmniejszego sensu w obejmowaniu dojrzalej kobiety i ubrany w garnitur dreptaniu z nią w tropikalny wieczór.

- Najważniejsze, aby wasze zwierzęta zachowały spokój... Pudełeczko pięciogramowych tabletek bromku potasu z byle apteki... po jednej tabletkie dla kota i małego pieska, takiego jak pekińczyk, dwie dla teriera, trzy dla spaniela...

Utknąwszy pośród obcej kultury, otoczony brytyjskimi miłośnikami psów, Dupigny odczuł ostre ukłucie tęsknoty za przedwojennymi czasami w Hanoi lub jeszcze lepiej w Sajgonie... Jak miło byłoby teraz siedzieć sobie w gasnącym świetle dnia na tarasie hotelu Continental, popijając piwko i patrząc na wieczorne tłumy kłębiące się na rogu Rue Ca-tinat i zdążające ku Boulevard Bonnard - kobiety takie pełne wdzięku w tych swoich rozciętych tunikach i czarnych bufiastych jedwabnych spodniach! Albo błędzić po wielkim rynku kwiatowym na Boulevard Charner w wigilię Tet. Później, zjadłszy kolację w jednej z wybornych restauracji w mieście, mógłby się przenieść na kawę do Caf  Parisien przy Rue de l'Avalanche lub do Caf  du Th tre, skąd mógłby spoglądać przez plac na drzewa tamaryndowe i słuchać ich szumu w powiewach nocnych.

- Maski gazowe nie nadają się dla zwierząt... - (Czy to był żart? Nie, major mówił poważnie. Sprawiał wrażenie zmieszanego chichotem swych słuchaczy.) -... można je natomiast włożyć do skrzynek z otworem obitym drucianą siatką i przykryć kocem przesyconym roztworem dwuwęglanu sodu, cztery funty na galon wody, albo nadmanganu potasu... - Łaciaty pies u stóp majora poruszył się i spojrzał na niego pytająco, słyszał bowiem ten wykład majora wiele razy i doszedł do tego, iż rozpoznawał chwilę, kiedy żądano jego usług.

Ach, nostalgia Dupigny'ego przybrała rozkosznie na sile, gdy wspomni ł sajońskie poranki, te przebudzenia w ogromnym przewiewnym pokoju, przejście po wywoskowanych posadzkach długich korytarzy hotelu Continental, które miały w sobie ten specyficzny, nieokreślony zapaszek Francji, w drodze na ciche wewnętrzne podwórko, aby zjeść śniadanie, kawę z rogalikami i drobne soczyste poziomki z Dalatu, siedząc na świeżym powietrzu wśród kwitnących krzewów. Później, być

może w towarzystwie Turnera-Smitha, przyjaciela z Brytyjskiego Konsulatu i wyrafinowanego pederasty, szedł na Rue Catinat mijając po drodze ceglany masyw bazyliki Notre Dame. Na rogu Rue Chasseloup- -Laubat rozstawał się z Turnerem-Smithem, który szedł na swoje stanowisko przed Coll ge dla chłopców, a sam udawał się na punkt obserwacyjny u bram szkoły dla dziewcząt, Lyc e Marie Curie - czynił to tak często, że te przebiegłe istotki niebawem zaczęły go poznawać, a nawet (jak wyznała jedna z nich w huraganie dziecięcego śmiechu) dały mu przyzwisko... Monsieur Marie Curie!

Tak, teraz zbliżało się południe i lada chwila bramy miały się otworzyć, aby uwolnić strumień ślicznych młodych dziewcząt o ciałach tak gibkich i pełnych w szkolnych mundurkach, o skórze tak gładkiej i oczach tak iskrzących się, figlarnych! No cóż, dumał z nostalgią graniczącą z ekstazą, jeśli homoseksualizm jest le vice anglais, największą pokusą Francuza jest le ballet rose! Ze wszystkich przyjemności, których brak odczuwał w tym nudnym brytyjskim Singapurze, najwięcej mu brakowało owych ballets roses, jakie pobbliwa madame organizowała mu w Sajgonie, aby się rozerwał po swoich kłopotach biurowych. Brytyjczycy, h las, nie byliby w stanie tego zrozumieć. Jak na przykład miałby wytłumaczyć tę rozkosz majorowi?

A major właśnie kończył swoje przemówienie radą, aby jego słuchacze przyzwyczajali swoje zwierzęta do widoku siebie w maskach.

- Rzecz w tym - wyjaśniał gmerając przy swojej masce - aby wasze psy nie przestraszyły się waszego widoku w masce i waszego głosu, który tak wiele dla nich znaczy, a będzie brzmiał zupełnie inaczej. Zaraz pokażę, o co mi chodzi. - Ze zręczością będącą wynikiem długiej praktyki major włożył maskę przemieniając swoją łagodną twarz w oblicze potwora z krągłymi szklanymi okienkami zamiast oczu i ryjem jak u świni. Odwrócił się do łaciatego psa, który, poznawszy, że czas na jego rolę, szczechnął głośnie trzy razy i zamerdał ogonem, zadowolony ze swojego wystąpienia. Pogadanka majora została zakończona, teraz mogli obaj pójść do domu i zjeść kolację.

Dupigny, rzucony wśród Brytyjczyków, westchnął i również zapragnął pójść do domu.

GOSPODARZE DOMÓW: Żadnych świateł skierowanych ku morzu lub niebu. Wykręćcie żarówki, aby wasza służba nie mogła zapalić światła, które uważacie za zbędne.

ZMOTORYZOWANI: Światła przednie i boczne mają być przyciemnione. To snop światła reflektorów stanowi niebezpieczeństwo. Skrawek papieru pakowego przykrywający całkowicie szkło reflektora i założony podwójnie na górną połowę niweluje snop światła i blask skierowany ku górze dając zarazem dostateczne oświetlenie na ciemnej drodze. Przed opuszczeniem samochodu odkręćcie do połowy boczne szyby, aby zapobiec rozpryskom szkła podczas wybuchów.

Ciemności spadły na Singapur w ten pierwszy wieczór wojny na Dalekim Wschodzie. W świetle dziennym wojna trudna była do pojęcia, przynajmniej dla tych, którzy nie mieszkali i nie pracowali w pobliżu miejsc, gdzie spadły bomby. Nawet ci, którzy jak Walter widzieli zagrodzone kordonem miejsce zniszczeń na Placu Rafflesa i Bat tery Road, z trudem dostrzegali w widoku gruzów coś. więcej niż zwykłą katastrofę pokojowych czasów, jak na przykład wybuch gazociągu lub jeden z okresowych pożarów w czynszówkach Dzielnicy Chińskiej. Ale tego wieczoru, po zapadnięciu ciemności, zrobiło się naprawdę ciemno. Przyciemnione latarnie uliczne, samochody pełzające z zaklejonymi papierem reflektorami, zaciemnione sklepy, bungalowy, domy czynszowe i stragany (to prawda, że niezupełnie zaciemnione, bo w tym gorącym klimacie okna muszą być stale otwarte, ale dające w efekcie wstrząsający zanik światła i życia)... wszystko to było niemiłym zaskoczeniem dla mieszkańców miasta, przypominając im, że historia raz jeszcze przełożyła swe zwrotnice - tym razem nagle, aż ich przechyliło na zakręcie torów, ginących gdzieś w przerażającym mroku, za którym leżało ich przeznaczenie.

Ale jeżeli pierwszy wieczór wojny był zły, drugi okazał się jeszcze gorszy. Pierwszy stanowił przynajmniej jakąś nowość. Ludzi podniecała perspektywa następnego nalotu lotniczego. Myśleli o Blitzu i czuli, że

248
wreszcie biorą w nim udział, że są im stawiane niezwykle żądania. Ale gdy na drugi dzień zapadł zmrok, stopiowo stało się jasne, że ten nocny styl życia wcale nie jest przemijającym kaprysem - będzie obowiązywał, jak długo będzie chciał, i nikt nie wie, kiedy nastąpi jego kres. Walter, który przybył do siedziby gubernatora za dnia, kiedy wszystko wyglądało normalnie, aby wziąć udział w konferencji z ludźmi z Urzędu Gubernatora i sekretarzem kolonialnym na temat nowych priorytetów przewozowych, które miały wejść w życie po drugiej stronie Grobli, doznał nieomal fizycznego bólu w zderzeniu się z tą ciemnością, kiedy jego bentley wypełził z podjazdu w zaciemnione miasto. Ponadto był zaniepokojony tym, co przed chwilą usłyszał, bo kiedy właśnie miał wychodzić, gubernator, który sam nie brał udziału w konferencji, poprosił go na chwilę do siebie.

Walter ostatnio nie był tak częstym gościem w siedzibie gubernatora jak niegdyś. Za młodych lat pozostawał na bardziej przyjaznej stopie z ówczesnym gubernatorem niż teraz z sir Shentonem i lady Thomas. Wcale nie dlatego, iżby uważał sir Shentona Thomasa za bardziej oficjalnego od jego poprzedników - wręcz przeciwnie. Walter czuł się swobodniejszy, kiedy ten człowiek krył się za maską dostojności i ceremonialności swojego urzędu. Dawniej Walter i jego żona często bywali zapraszani na oficjalne przyjęcia w siedzibie gubernatora. Wcale mu się nie wydawało nieodpowiednie, że goście przy takich okazjach stali pełnym szacunku stadkiem i czekali na wejście gubernatora i jego żony; ani to, że kiedy weszli i sekretarz obwieścił: „Jego ekscelencja piastujący najwyższy urząd..orkiestra pułkowa zaczynała grać hymn narodowy na werandzie o kilka kroków dalej. To było właśnie to, czego oczekiwał od gubernatora. Nie wydawało mu się to bynajmniej śmieszne, choć gdyby go ktoś zapytał, musiałby przyznać, że było śmieszne, jak postępujący za gubernatorem i jego żoną sekretarz we fraku ze złożonymi guzikami i błękitnymi wyłogami przedstawiał ich zgromadzonym gościom, jakby się nigdy przedtem nie spotkali, chociaż w rzeczywistości znali się świetnie. Walter po prostu czuł, że należy iść tak, jak szli, według ścisłych zasad pierwszeństwa, z gubernatorem, który podawał ramię jednej z dam, na czele pochodu przez marmurowy hall (po którym teraz stapał w towarzystwie jedynie sekretarza), w takt „The Roast Beef of Old England". Uważał to za najwłaściwszy sposób postępowania, ponieważ dzięki temu stawało się nieważne, kim był gubernator. Obnosił swój urząd jak mundur. I nic mógł zadawać szyku, tak samo

249

jak nic może zudować szyku mundur. Tak myślał Walter szukając upewnienia w szybkim spojrzeniu na statwę królowej Wiktorii sprezentowaną przez jej chińskich poddanych, która stała w końcu hallu. Onu przynajmniej pozostawała nic zmieniona.

Spodziewał się zastać gubernatora w jego gubincie, sekretarz jednak poprowadził go głównymi schodami no pierwsze piętro do pokojów recepcyjnych. Zobaczył sir Shentona stojącego obok żony i oboje wydali mu się jacyś dziwnie cisi, nieruchomi i zniechęceni w tym ogromnym pokoju zastawionym szkarłatnymi sofami i złożonymi fotelami. Pokój był istotnie tak duży, że wydawał się pomniejszać te dwie małe postaci. Walter odniósł wrażenie, jakby patrzył na znużonych podróżnych, którzy utknęli nic wiadomo czemu na jakiejś opuszczonej stacji kolejowej. Poruszyli się na widok przysadzistej, energicznej sylwetki Waltera i jakby się trochę ożywili.

W przystojnej twarzy gubernatora czy też jego głosie, a może po prostu zachowaniu było coś, co Waltera kępowało. Miał wrużenie, że gubernator starał się okazać mu swą wyższość, zwracając się do niego lekko protekcyjnym tonem dyplomaty wobec biznesmena. A może to tylko wyobraźnia? Czyżby był w wojowniczym nastroju? Niewątpliwie to tylko wyobraźnia. Tym niemniej szczecina na karku Waltera zaczęła się jeżyć wbrew jego woli i pomyślał: „A kto odważa prawdziwą robotę, która pozwala na opłacenie takich zadufków jak ten dureń!” Sir Slienton zapytał go, czy się czegoś napije, a gdy poprosił o piwo, ruszył znużonym krokiem ku stojącemu pod odległą ścianą stolikowi, aby je własnoręcznie nalać. „Gdzie się, u licha, podziuli boye?” - zapytał siebie Walter, zdumiony tym brakiem ceremonii. Tymczasem zamienił kilka słów z lady Thomas, która go grzecznie zapytała o Sylwię i Joan (Walter patrzył podejrzliwie swymi wylupiastymi niebieskimi oczyma, szukając śladów protekcyjności w jej tonie i usiłując przeniknąć, co naprawdę może mieć na myśli) i powiedziała, że państwo Blackett muszą ich wkrótce odwiedzić... „jok wszystko wróci do normy”, dodał uśmiechając się mężnie. Kiedy jej mąż, wyglądający na jeszcze bardziej wyczerpanego, przywłókł się ciężko z odległej części pokoju, powiedział Walterowi z wdziękiem do widzenia i wyszła pozostawiając mężczyzn sumych. Walter poputrywał z tłumioną irytacją na przystojną twarz gubernatora - nic ma co, facet wygląda na zmęczonego, ale zachowuje się wytwornie jak zawsze. Wyjaśnił, że nie spał prawie całą noc, że nie zatrzyma Waltera długo, że...

W tym punkcie utknął ze wzrokiem zawieszonym gdzieś na brodzie Waltera i milczał przez czns dłuższy, aż Walter, który wenie nic zamierzał ugiąć się pod uporczywym spojrzeniem tego wypudrowanego, wypomadowanego, świetnie ubranego, lecz poza tym nic znaczącego symbolu władzy Jego Królewskiej Mości w obcym kraju, znezał się czuć nieswojo. Ale gdy już, już mini chrząknąć, aby przypomnieć gubernatorowi o swojej obecności, ten zaczął znów mówić, kończąc jednocześnie długą kontemplację brody Woltem... że prugnie zasięgnąć zdania Waltera, ciągnął patrząc mu teraz w oczy, jak tubylcy zareagowaliby na sytuację, gdyby Japończycy skutecznie rozgościli się na półwyspie... - A no to właśnie wygląda - dodał z powagą. Zdaje sobie sprawę, ciągnął, że Wolter ma wciąż na oku robotników, i dlatego jego zdanie... zdanie nic przywiązane do biurka administratora, ale człowieka pozostającego no co dzień z ludem Malajów... posiada szczególną wartość.

Wulter, niezbyt pewien, czy ta wzmianka o jego kwalifikacjach jako doradcy było nie tyle subtelna, ile lekceważąca w zamierzeniu, śledził podejrzliwym okiem dystygowaną postać gubernatora, który odszedł parę kroków, aby znużonym, ciężkim ruchem osunąć się na poręcz fotela. Rozprostowawszy schludnie zaprasowaną nogawkę spodni, zakończoną błyszczącym butem, sir Shenton zaczął bujać nogą z zachowaniem wszelkich pozorów niedbałości. Jednakże Walter musiał skupić uwagę na pytaniu gubernatora, które było identyczne, jakie sam sobie zadawał, odkąd dowiedział się o nocnym nalocie z niedzieli na poniedziałek.

- Mówiąc otwarcie, panie gubernatorze - odparł - jestem skłonny oczekiwać z ich strony bierności zarówno wobec nas jak i Japończyków do czasu, aż stanie się jasne, która ze stron zwycięży. Jednym z możliwych wyjątków mogliby tu być Chińczycy, którzy podchodzą do zagadnienia od strony politycznej. Na szczęście Japończycy cicszą się u nich jeszcze mniejszą popularnością niż my, dzięki wojnie w Chinach. Ale jok pan wie, niezudowolenie wśród Chińczyków, u nawet Hindusów rośnie bezustannie od jakichś pięciu lut, sądząc po strnjkach...

-A więc pana prognozy są pesymistyczne? Czytał pan to?

Walter wziął gazetę, którą mu podał gubernator. Było to poranne wydanie „Order of the Doy”. „...Jesteśmy ufni w swoje siły. Nasze linie obronne są mocne, a broń skuteczna. Ucz względu na rusę i niezależnie od tego, czy to jest nasz kraj rodzinny, czy też przebyliśmy tysiące mil.

aby się w nim znaleźć, mamy jeden cel i tylko jeden. Bronić tych brzegów..." Nie wiedząc, czego od niego oczekują, Walter skinął z powagą głową i zwrócił gubernatorowi gazetę. Jednakże oświadczenie to, gdy czytał je wcześniej tego dnia, wydało mu się czcze i niedorzeczne. Posłużyło po prostu do zwrócenia uwagi na fakt, że różne rasy na Malajach mają nie tylko jeden cel, chociażby władze nie wiadomo jak gorąco tego pragnęły.

Zadowolony się najwidoczniej tym skinięciem głowy gubernator nie rozwijał już dalej tematu. Spojrzał na zegarek - wizyta dobiegła końca. Walter poczuł się w obowiązku wypić wielką szklankę piwa, podczas gdy gubernator czekał postukując butem o podłogę.

- Nie ma co się spieszyć - rzekł zauważwszy, że Walter aż się zadyszał, ale jednocześnie rozglądał się po pokoju, jakby już rozmyślając nad ważną sprawą, którą miał się zająć, gdy tylko pozbędzie się swojego gościa. Walter znów poczuł, że jest traktowany protekcyjnie i wypiwszy do końca piwo pożałował, że nie odstawił z godnością nie tkniętej szklanki na bok.

Jednakże ku jego zdziwieniu gubernator ruszył wraz z nim w długą drogę przez pusty pokój - dało to Walterowi okazję zapytania, czy są jakieś wieści o walkach na północy. Gubernator odparł ponuro, iż nie wie nic pewnego, że wojskowi mają skłonności zachowywać te sprawy dla siebie, ale on podejrzewa, że wiedzą niewiele więcej od niego. I grymas bólu przemknął przez przystojną twarz gubernatora, bowiem pytanie Waltera dotknęło odsłoniętego nerwu - sir Shenton wiedział o planie przypuszczenia ataku za granicą Syjamu, aby ubiec japoński desant na Singorę i Patani. Zakładał więc, że skoro Japończycy musieli wylądować na ziemi malajskiej w Kota Bahru, to stało się tak dlatego, iż Brytyjczycy nie dopuścili ich do Singory i Patani.

Ale okazało się, że tak nie jest. Wylądowali we wszystkich tych trzech miejscach i zagrażali już nie tylko trudnemu i niegościnnemu wschodniemu brzegowi, lecz także żyznemu i nie zabezpieczonemu przed atakiem wybrzeżu zachodniemu. Koniec końców najważniejsze było właśnie zachodnie wybrzeże. Jednakże Japończycy powinni móc się dostać, przynajmniej teoretycznie, na nie zabezpieczone przed atakiem zachodnie wybrzeże drogą z Singory. Na tej zaś drodze przygotowano linię obrony mającą ochronić bogaty obszar upraw ryżu wokół Perlis i Kedah, ważne lotnisko w Alor Star, będące punktem przystankowym dla wsparcia lotniczego z Cejlonu, i nieco dalej na południe sam

Penang. Więc bardzo wiele miało zależeć od owej linii obronnej, która przebiegała trochę na północ od Alor Star, przez Jitrę.

Istniała jednak jeszcze jedna możliwość zagrożenia wybrzeża zachodniego: a mianowicie od strony drogi wiodącej przez góry z Patani. Na szczęście Brooke-Popham oraz dowództwo sił malajskich pomyśleli o tym i wysłali ową drogą dwa bataliony w głąb Syjamu, aby zajęły jedyną możliwą na niej pozycję obronną (tzw. Półkę), zanim uczynią to Japończycy. Gubernator był im wdzięczny za ich zdolność przewidywania, ponieważ nawet on, choć nie był ekspertem wojskowym, rozumiał, że gdyby Japończycy weszli na drogę z Patani, dotarliby za linię obronną w Jitrze i mogliby odciąć jej łączność ze światem. A gdyby trzeba było wycofać się z Jitry, wówczas ważne strategiczne lotnisko w Alor Star a na dodatek może nawet Penang byłyby stracone.

Dwaj panowie doszli do drzwi i przystanęli, aby się pożegnać. A właściwie to gubernator przystanął - w samym środku jakiejś pożegnalnej uwagi utknął ponownie i jał kontemplować brodę Waltera... Sir Shen- tonowi bowiem wydaje się, że sytuacja była mniej więcej następująca: jeśli obrona na Półce upadnie, wówczas linia obrony w Jitrze będzie nie do utrzymania, jeśli upadnie Jitra, to Alor Star też zostanie utracone, wtedy Penang i inne ważne lotnisko w Butterworth będą zagrożone... a jeśli... ale oczywiście do tego jeszcze nie doszło i po to jest wojsko, aby do tego nie dopuścić. Czemu więc Blackett dotknął odsłoniętego nerwu pytaniem o wieści z walk na północy? Dlatego, że brak jakichkolwiek wieści stamtąd budziły niepokój. Japończycy wylądowali w Patani we wczesnych godzinach rannych w poniedziałek. Bardzo dobrze. Ale teraz jest wtorkowy wieczór, a on jeszcze nie ma żadnego potwierdzenia, że Półka została szczęśliwie zajęta, chociaż minęło już ponad trzydzieści sześć godzin. Sir Shenton nie bardzo wiedział, ile jest mil od granicy malajskiej do Półki, ale z pewnością niewiele więcej niż pięćdziesiąt. A odległość, jaką musieliby pokonać Japończycy tą samą drogą z Patani do Półki, nie powinna być wiele większa. Innymi słowy obie strony miały do tej pory aż nadto czasu, aby tam dotrzeć. Sir Shenton nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Japończycy mogli być tam pierwsi. Najprawdopodobniej nastąpiło zerwanie łączności pomiędzy wojskiem a władzami kolonii.

- ... za to, że poświęcił mi pan trochę czasu. Wiem, jak bardzo cenny jest teraz dla pana — rzekł kończąc poprzednią uwagę, a jednocześnie odrywając wzrok od brody Waltera. - Mam nadzieję, że pan robi coś z

tym swoim kaszlem, Blackett - dodał zdając sobie sprawę, że Walter od kilku chwil pochrząkuje. - Oskrzela potrafią dać się człowiekowi we znaki nawet w tym klimacie. - Wzrok jego pobiegł raz jeszcze ku brodzie Waltera. - Tak, tak... Jubileusz?

- Nasz, panie gubernatorze... firmy Blackett i Webb - rzekł Walter cierpliwie, zastanawiając się zarazem, czy byłoby to uznane za zdradę stanu, czy tylko za pospolitą napaść, gdyby tak dał po łbie Jego Ekscelencji sprawującemu urząd gubernatora. Był również zły na siebie, że zwracał się do niego w czasie tej rozmowy z takim unizieniem, f- Pan i minister do spraw kolonialnych zgodzili się, że będzie z korzyścią dla morale społeczności azjatyckiej, jeśli wzbudzimy trochę sensacji naszym jubileuszem. Może pamięta pan nasz slogan: „Ciągłość w dobrobycie”... Otóż chciałem po prostu pana zapewnić, że trwamy przy naszych planach nie bacząc na inwazję.

- Brawo, Blackett - powiedział gubernator, raczej z udanym entuzjazmem. - To dopiero duch. Oby wszyscy... Cóż, muszę już iść... - Spojrzenie jego osiadło na brodzie Waltera, jak motyl, lecz tylko na chwilę, i zaraz poszybowało dalej zatrzymując się to tu, to tam. - Wiesz, Walter - powiedział z niespodziewanym ciepłem - za rzadko widzujemy ciebie i Sylwię. Chyba jesteśmy wszyscy zanadto zajęci. Cóż za życie prowadzimy! Musimy to kiedyś naprawić! Do widzenia.

- Dziękuję, panie gubernatorze. Do widzenia.

„Ten gubernator to wcale niezły facet, jak się go bliżej pozna-pomyślał Walter, gdy schodził po schodach marmurowego hallu nucając «The Roast Beef of Old England». - Może tylko trochę niekontaktowy”.

Jednakże ten pogodniejszy nastrój Waltera prysł z chwilą, gdy wyjechał z rezydencji - usadowiony na tylnym siedzeniu bentleya, który wpełził w zaciemnione miasto, przypomniał sobie roztargnienie gubernatora i opanowały go złe przeczucia. Jeżeli zainstalują się na półwyspie, powiedział gubernator, „na co zdaje się wygląda...”

Jechali wolno przez mrok po Orchard Road, mijane samochody majaczyły jak ciemne kształty z zamaskowanymi metalową kratką lub papierem reflektorami. Zaczął padać ulewny deszcz. Jeśli tak samo jest na północy, to niełatwo walczyć z Japończykami w dżungli. Sais Malajczyk patrzył przed siebie w ciemność przez obracające się wycieraczki. Walter westchnął i rozparł się na siedzeniu splatając ze zniecierpliwieniem dłonie. Irytowało go, że jechał tak wolno, miał jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Zanim jednak zasiądzie do pracy, będzie musiał wpaść do Mayfair, żeby zobaczyć, jak się czuje Matthew. I jest jeszcze jedna ważna sprawa, której musi dopilnować-żeby Joan wyszła za mąż nie zwlekając. Handel międzynarodowy w najbliższych miesiącach i latach będzie tak niepewny, że firma musi być możliwie jak najbardziej scemen- towana. Ufał jednak, że tę sprawę można śmiało pozostawić Joan. To prawda, że jak dotąd, według niej samej, nie poczyniła znacznych postępów, chociaż oboje na nie liczyli. Początkowo, jak sama obecnie przyznała, nie doceniała trudności w zwabieniu takiego młodego człowieka jak Matthew. Po pierwsze, tyle czasu spędzał na mówieniu o „rzeczach nierealnych”... tak, miała na myśli tematy abstrakcyjne... że trudno jej było skierować jego uwagę na nią samą, a nie na to, co właśnie zaprzętało jego głowę. Co wcale nie oznacza, że jest to niemożliwe. Od początku zauważyła, że patrzy na jej nogi, co jest pocieszające.

- Po drugie - wyjaśniała Walterowi - czasem odnoszę wrażenie, że on nie może mnie zobaczyć... w sensie fizycznym. A to utrudnia sprawę. Często mam ochotę zerwać mu z nosa okulary, porządnie je przetrzeć i włożyć z powrotem. A świdruje człowieka oczami że aż strach! A skoro nie może mnie zobaczyć jak należy, muszę sprawić, aby mnie poznał dotykiem. Na szczęście, zdaje się, że mu to bardzo odpowiada...

ale nie tak łatwo znaleźć do tego okazję. A teraz, gdy wreszcie zaczęłam robić solidne postępy, musiał dostać tej przekłętą gorączki. Och, a przy okazji, musimy odprawić stąd tę Verę Chiang, zanim on stanie na nogi. Niech nie rozprasza jego uwagi. On musi skupić uwagę na mnie. Nie, tato, oczywiście, że ona nie jest... przynajmniej niezbyt poważną.

Tak, więc tyle co do Matthew. To da się załatwić. Pozostają Japończycy. Jak można było im pozwolić wylądować w Kota Bahru. Co to wojsko sobie myśli? A może to wina RAF-u? Wrócił myślami do nudnych zeszłorocznych dysput pomiędzy Bondem a Babingtonem, co do tego, kto powinien odpowiadać za obronę Malajów. Czyż nie zdecydowano wówczas, że odpowiedzialność bierze na siebie RAF, a wojsko ma strzec północnych lotnisk, z których jedno znajduje się w Kota Bahru, to znaczy właśnie tam, gdzie Japończykom udało się wylądować! Czy to możliwe, aby lata starań włożonych w firmę Blackett i Webb, by uczynić z niej świetnie prosperujące przedsiębiorstwo, miały teraz pójść na marne z powodu garstki głupich oficerów i snobistycznych emisariuszy z Ministerstwa Spraw Kolonialnych? Dzięki Bogu, że mamy przynajmniej „Prince of Wales” i „Repulse”, które stanowią jakąś osłonę dla statków handlowych.

- Uważaj, Mohammed!

Bentley nagle zahamował unikając o włos zderzenia z jakimś mglistym obiektem, być może riksą, w każdym razie trudno rozpoznać w tym kłębiącym się mroku. Walter westchnął z irytacją i jego dłoń zamknęła się na klamce drzwi. Przez chwilę odczuwał pokusę, by wysiąść i mimo deszczu przebyć resztę drogi pieszo. Opanował jednak zniecierpliwienie i znów rozparł się na siedzeniu.

No, a co z wrogiem? Walter nie był taki głupi, aby dzielić powszechny pogląd w Singapurze, iż Japończycy są albo śmieszni, albo nieudolni. Zręczność, z jaką wojsko zawładnęło całą japońską gospodarką w ciągu ostatnich dziesięciu lat, jest wręcz imponująca. Polityka przysposobienia gospodarki do celów wojennych, rozpoczęta w Mandżukuo pod złowrogimi auspicjami Kompanii Kolejowej Południowej Mandżurii, z czasem objęła samą Japonię, powodując, że zaibatsu (stare kapitalistyczne ugrupowania jak Mitsui, Mitsubishi, Yasuda i Sumitomo, które stwierdziły, że ich dotychczasowe ogromne przedsiębiorstwa żeglugowe, tekstylne i handlowe zaczęły obecnie podupadać) musiały nadrabiać straty zwiększonymi zyskami ze swoich wytwórni broni i amunicji. To przestawienie się zaibatsu na inne dziedziny, co zaznaczyło się jeszcze bardziej od początku wojny chińsko-japońskiej, dało firmie Blackett i Webb pewne luzy w dalekowschodnim handlu, kiedy starała się pozbyć skutków kryzysu. Walter przyglądał się z lękiem powstawaniu „nowych zaibatsu”, firm takich jak Mori i Nissen, które zrobiły majątek na produkcji broni i których przyszły dobrobyt zależał zapewne od udanego jej wykorzystania.

Wreszcie samochód skręcił z drogi w mglistym świetle swoich zamaskowanych reflektorów. Najwidoczniej dojechali do Mayfair. Walter siedział skulony na tylnym siedzeniu samochodu, podczas gdy sajs szukał po omacku swego parasola z impregnowanego papieru. Czasami, w rzadkich chwilach przygnębienia, Walter wyobrażał sobie leżące przed nim całe Malaje z Malajczykami, Hindusami i Chińczykami pracującymi pilnie. Widział plantacje drzew kauczukowych i palm olejowych, kopalnie cyny i pola ryżowe, które tworzyły rwącą rzekę bogactwa. Nad tymi kopalniami i plantacjami widział małą grupkę Europejczyków... widział siebie i swoją rodzinę, widział swoich znajomych z Klubu Singapurskiego, ludzi z takich firm jak Guthrie i Sime Darby i Harrisonowie, i Crossfield, i Langfieldowie, i Bowserowie, widział ich wszystkich i widział policję i rząd, i wojsko, Shentonów Thomasów i Duffów Cooperów, Brooke-Pophamów i Bondów, i Babingtonów... wszystkich razem tworzących malutką elitarną grupę, która kieruje sprawami kraju. A potem zapytywał siebie, co by się stało, gdyby na przykład jakaś wyższa siła usunęła tę malutką elitarną grupę i zastąpiła ją inną... powiedzmy kierownictwem Kompanii Kolejowej Południowej Mandżurii... Czy wówczas kolonia uwiedłaby jak podcięty kwiat, czy raczej przeciwnie, egzystowałaby tak samo jak przedtem, produkując nieprzerwaną rzekę bogactwa jak gdyby nigdy nic? Doświadczenie nauczyło go, że kondensująca się w jego umyśle odpowiedź na to pytanie różniła się zależnie od nastroju. Stanowiła ona zatem przydatny barometr jego zdrowia i stanu ducha.

- Wy, łapserdaki, nawet nie wiecie, jacy jesteście szczęśliwi, Mohammed - burknął Walter do saisa, gdy drzwi obok niego otworzyły się na czerni w strugach deszczu. Sais, który już przywykł, że Walter kieruje do niego tajemnicze fragmenty swoich wewnętrznych rozmów, kiwnął głową i uśmiechnął się grzecznie, trzymając parasol, aby Walter mógł pod nim stanąć, i nie zwracając uwagi na deszcz, który siekł jego własne nie osłonięte ramiona.

„Czemu nie naoliwią tego draństwa?” - zastanawiał się Walter w kil

ka chwil później stojąc w niemal zupełnych ciemnościach pod drzwiami werandy. Słyszał odległe szmery i odgłos szybkiego biegu po podłodze. Uświadomił sobie, że jakieś zwierzę wyciąga ku niemu szyję, aby go obwąchać. Minęło kilka sekund, podczas których ani on, ani ów stwór nie śmiał uczynić ruchu. Potem zabłyśło światło elektryczne i spostrzegł wielkiego dalmatyńczyka. Pies zamerdał ogonem i czmychnął w dzungłę trzcinowych mebli. Wkrótce powrócił z majorem.

- Ach, majorze, widzę, że masz psa.

Major, który wyglądał, jakby się właśnie obudził, spojrział trochę niepewnie na dalmatyńczyka i rzekł:

- Nie jest mój. Na szczęście wraca już jutro do domu. - A po chwili dodał: - Uważaj, za tobą jest drugi - powodując, że Walter aż podskoczył. To prawda, inne podejrzane zwierzę wyczołgało się spomiędzy mebli i z przekrzywioną głową obwąchiwało jego kostkę. Szczeknęło, kiedy Walter wymierzył mu kopniaka, i szybko pokuśtykało, aby się schronić za majorem. O ile Walter mógł się w tym mglistym świetle zorientować, był to stary i zniedołężniały spaniel - jego sierść, którą najwyraźniej zaatakowało jakieś robactwo, była miejscami zupełnie wyliniała, miejscami brudna i skołtoniona, a ogon zwisający pod dziwnym kątem był obficie wymazany jakąś ciemną i lepką mazią przypominającą smar do osi.

- Znalazłem go tutaj, kiedy przyszedłem wieczorem do domu. Ktoś zostawił go uwiązanego do słupa furtki z karteczką i pięcioma dolarami. Najprawdopodobniej któryś ze słuchaczy moich pogadanek. Masz, przeczytaj sobie.

Notatka, napisana na maszynie z wielką ilością błędów i nie podpisana, oznajmiała, iż jej autor został tak nagle odwołany do Europy, że nie miał czasu zlikwidować swoich spraw. Usilnie zatem prosi majora „jako miłośnika psów”, aby łaskawie zlikwidował jego psa. Załączone pieniądze mają posłużyć na pokrycie kosztów pochówku. Pełne żalu postscriptum zapewniało: „Był wiernym przyjacielem”. Tak jakby tego było jeszcze mało, pies zapewne wyczuwając, że rzecz dotyczy jego losu, wydobył z siebie żalostny skowyt i skierował wyłupiaste oczy na majora.

- To już doprawdy przesada. Mam i tak za wiele na głowie i bez tego nieszczęsnego zwierzęcia - rzekł major pośennie, schylając się, aby podrapać je za rakowatym uchem.

258

T- Czy ono ma jakieś imię? - spytał Walter cofając się, gdy ten odrażający stwór, uspokojony, spróbował zbliżyć się do niego.

- W tej kartce nie ma nic na ten temat. François nazwał tego psa „Dolą Człowieczą”. Nie wiem czemu. Chyba dla żartu.

- Cóż, myślę, że lepiej skończ z nim jak najszybciej, zanim nas wszystkich zarazi wścieklizną - powiedział Walter. Ożywił się ponownie: - Przyszedłem tylko dowiedzieć się o zdrowie młodego Webba. Jak on się czuje?

Obaj panowie udali się korytarzem w stronę pokoju Matthew. Major wyjaśnił Walterowi, że ponieważ gorączka nadal nie ustępuje, daje mu wciąż duże ilości płynów. Doktor Brownley jest nastawiony optymistycznie i twierdzi, że pacjent wkrótce będzie miał najgorsze za sobą. Dalmatyńczyk dreptał radośnie za nimi, a dalej włócił się sapiąc i pojękując Dola Człowiecza.

Rzuciwszy okiem na Matthew, który wydawał się wciąż zbyt zajęty rzucaniem się i poceniem pod moskitierą, Walter wziął majora pod ramię, bo jak się okazało, troska o chorego nie była jedynym celem jego przyścia do Mayfair. Chciał również omówić z majorem sprawę pochodu, który miał uświetnić jubileusz firmy, a także, o ile się da, skłonić majora do odegrania w nim bardziej aktywnej roli.

- Pomożesz nam, majorze? - zapytał z ujmującym uśmiechem i zapewnił, jak wielką wagę sam gubernator przywiązuje do owego wydarzenia, o czym on, Walter, wie z całą pewnością, ponieważ właśnie wraca z siedziby gubernatora. Krótko mówiąc sir Shenton ogromnie liczy na to, że pochód podniesie morale ludności kolonii w tym straszliwym punkcie zwrotnym w jej dziejach... -I ma nadzieję, że każdy z nas, majorze, przyłoży się do tego - musiał dodać widząc, że major nadal zdradza oznaki niechęci. Choć praca na platformach szła jak z płatka, pozostawało jeszcze sporo do zrobienia pod względem organizacyjnym. Gdy tylko Matthew odzyska zmysły, trzeba będzie wykorzystać wszelkie środki, aby go przekonać, by zajął miejsce, które zajmowałby jego ojciec, gdyby żył - a mianowicie, aby zasiadł na tronie jako żywy symbol Ciągłości, i co nie mniej ważne, aby wygłosił przemówienie na temat Dobrobytu oraz jego wpływu na ludzi pracy wszystkich ras w kolonii.

Ponieważ major wciąż się wahał i wzdrygał mrucząc, że ma sporo pracy przy organizacji swego oddziału P.S.P. i dźwiga na swych barkach

259

sprawy Komitetu Obrony Cywilnej, Walter przedstawił entuzjastyczny opis, jak ich pierwotne plany pochodu jubileuszowego rozwinęły się w coś o wiele bardziej imponującego - jubileuszowy pochód będzie nie tylko patriotyczną kawalkadą rzadko widywanej wspaniałości, lecz także żywym, jakby to powiedzieć, unaocznieniem gospodarki całej kolonii w miniaturze, ponieważ firma uczestniczyła w niemal każdej dziedzinie produkcji (choć tylko pośrednio w wydobyciu cyny i dość dawno temu w przeladunku)...

- Z wyjątkiem produkcji oleju palmowego - mruknął po namyśle niepewnie. Major zdziwił się na widok wyrazu niepewności, który na chwilę zagościł na tej majestatycznej twarzy. Walter zakaszłał niespokojnie i podrapał się w tył głowy... ale po chwili już mówił dalej, kipiąc pewnością siebie, gdy przedstawiał swój „wspaniały pomysł” majorowi.

Dawniej, o czym major zapewne pamięta, planowali jedynie szereg platform obrazujących handlowe przedsięwzięcia firmy Blackett i Webb, plus kilka smoków, które są de rigueur na każdym chińskim festiwalu, parę orkiestr dętych i jak zwykle fajerwerki. Lecz jeden z jego bystrzejszych młodych dyrektorów zaproponował, aby zobrazować w pochodzie niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni i jakim nadal muszą stawiąć czoło. Wspaniała myśl! W ten sposób zrodził się pomysł towarzyszącego pochodowi kontrpochodu. A zatem powstał projekt, aby porzeźbić za diabły i chochliki akrobatów chińskich, uczniów i ochotników wszystkich ras, którzy będą towarzyszyli głównemu pochodowi wywracając koziołki i płatając widzom figle, na przykład oblewając ich wodą i tak dalej. Czy major nie uważa, że to genialna myśl? Te diabły i chochliki będą miały widły, którymi będą złośliwie szturchały postaci Ciągłości i Dobrobytu i rzucały im pod nogi skórki od bananów. I oczywiście będą zaopatrzone w plakietki identyfikujące ich jako poszczególnych wrogów Ciągłości i Dobrobytu. W ten sposób będą chochliki i diabły przedstawiające: „Zamieszki robotnicze”, „Wykupywanie ryżu”, „Agresję japońską”, „Żądania podwyżek” (ileż ten diabeł będzie musiał narzucać skórki bananów przed dumne platformy firmy Blackett i Webb), „Głupie gadanie”, „Komunizm międzynarodowy”, „Podwójną księgowość” (znana sztuczka chińskich biznesmenów stale prowadzących dwa zestawy ksiąg), „Wrogość rasową”, „Korupcję i Ucisk”, „Zniesławianie rządu i Imperium Brytyjskiego”, „Zniesławia nie inicjatywy prywatnej”, „Nieodpowiedzialne strajki”, i wiele, wiele innych - możliwości jest tak dużo, że trzeba uważać, aby w tym wszystkim nie utonęły same platformy... No i co major na to? Może porwany duchem imprezy ubierze się w jeden z kostiumów, który nie został jeszcze nikomu przydzielony? Może zechce na przykład stać się uosobieniem „Inflacji”, to znaczy przywdziać ognistoczerwony kostium z rogami i ogonem i wymachiwać dokoła siebie kijem z zawieszoną na sznurku piłką do tenisa?

- Słuchaj, Walter, ja...

- O ile wiem, sam gubernator oraz lady Thomas byliby ci za to osobiście wdzięczni - rzekł Walter widząc, że major zaczyna mięknąć. - On* kładzie specjalny nacisk na to, abyśmy mieli mieszaninę ras. A przede wszystkim, żeby byli Europejczycy! To jest w tym wszystkim najistotniejsze. Zastanawialiśmy się nawet nad dodatkowym sloganem: „Jesteśmy wszyscy razem!”

- Cóż, sądzę, że wobec takiego postawienia sprawy...

-Brawo! Wiedziałem, że mogę na tobie polegać... Słuchaj, majorze, myślę, że to będzie sukces, ale czasami odnoszę wrażenie, że czegoś tu brak, że jest nam jeszcze potrzebna platforma, która by reprezentowała sam Singapur. Rozpatrywaliśmy różne możliwości, jak Lwie Miasto i tak dalej, ale to zbyt słabe, to wszystko już było... Musimy pokazać Singapur w powiązaniu z innymi ośrodkami handlowymi Dalekiego Wschodu, wyciągający do nich przyjaźnie rękę. Możesz mi wierzyć, że piekielnie trudno wymyślić coś odpowiedniego! Jak dotąd tylko jedno przyszło nam na myśl. Żeby umieścić Singapur w środku platformy, coś w rodzaju dobroczynnej ośmiornicy, która przyjaźnie ściska swoimi mackami szyje Hongkongu, Szanghaju, Kolombo, Rangun, Sajgonu i Batawii. Cały kłopot jednak w tym, że ośmiornica nie cieszy się zbyt dobrą sławą... - Walter umilkł.

Stali w korytarzu. O kilka stóp od siebie słyszeli jęk sprężyn łóżka Matthew, który rzucał się na nim i jęczał, i bredził w gorączce. Znad pograżonej w półmroku podłogi Dola Człowiecza patrzył na Waltera ze zdumieniem swymi wybałuszonymi oczami. Major chrząknął.

- Daruj mi, że to mówię, Walter, ale zauważyłem przed chwilą, że masz żółtą plamkę na brodzie... to chyba jajko albo coś.

I Co?! - wykrzyknął Walter przykładając dłoń do brody w przerażeniu.

- Och, to nic takiego - rzekł spiesznie major zaskoczony reakcją, jaką wywołały jego słowa. - Po prostu od czegoś... Prawie niewidoczna.

Walter napluł na chusteczkę i zaczął trzeć brodę gwałtownie. Widząc to major nie mógł powstrzymać myśli: „Walter zaczyna dziwaczcę pod niektórymi względami”.

Biedny Matthew! Jaką straszną musiał przejść gorączkę! Co dwie, trzy godziny wrywano go z karuzeli snów i widział wokół siebie krąg wschodnich twarzy, bowiem Cheong wezwał do pomocy swoich krewnych. Potem Matthew uświadomił sobie, że liczne dłonie unoszą go w powietrzu, inne zaś wyciągają spod niego przemokłe od potu prześcieradła i kładą na ich miejsce suche, chociaż te suche staną się za parę chwil równie mokre. Co jakiś czas stwierdzał, że ktoś przykładła mu szklankę zimnego płynu do ust - pił wówczas łapczywie, a tymczasem przed jego oczyma przewijały się twarze. - Jak się masz! - mówiła Joan pogodnie dmuchając dymem z papierosa w długiej cygarnicze, a już za chwilę zastępował ją Charlie informujący go, że jest ogromny popyt na tanią siłę roboczą kulisów w sezonie omielania ryżu od stycznia do maja, lub nieznamy doktor, Anglik w lnianej marynarce i krawacie w paski. Człowiek ten najwyraźniej przemawiał do niego pogodnie już od dłuższego czasu nakłaniając go do połknięcia białych pigułek, które trzymał na swej poźółklej, zrogowaciałej dłoni. Gdy Matthew je zażywał, doktor otworzył usta i też przełknął współczująco, jakby i on miał jakieś leki do zażycia. Potem zadowolony skinął na Cheonga, aby się zbliżył z dzbankiem lemoniady z lodem. Matthew pochłaniał szklankę za szklanką, by zaraz znów zapaść w sen... i za chwilę spostrzegł nad sobą zatroskaną twarz majora. Domyślał się, że stało się coś okropnie złego. Co on próbował powiedzieć Dupigny'emu po drugiej stronie łóżka? Że przyjechał Księżę Walii, ale został odprawiony? Matthew sięgał świadomości ledwie koniuszkami palców. Gdyby tak mógł się w nią wciągnąć odrobinę dalej! - Nie miałem pojęcia, że on jest w Singapurze - zdołał powiedzieć, nim palce się omsknęły i stoczył się znowu na łeb, na szyję w karuzelę snów.

Mijały godziny. Po jakimś czasie, w chwili przytomności, która nastąpiła, gdy starał się przebić przez sieć, jaką na niego zarzucili niemieccy szpiedzy, aby nie zezwolić mu na powrót do Ligi „gdzieś na Atlantyku”, Matthew stwierdził, że zwisa z łóżka głową w dół omotany niby kokon ściągniętą z ramy moskitierą. W tej dziwnej pozycji miał wspa

niały widok na kilka czysto zamiecionych desek podłogowych. Na deskach tych stało coś, co początkowo uznał za nocnik... jednakże w chwilę później zdał sobie sprawę, iż jest to po prostu miednica wstawiona tam, aby do niej ściekał pot sączący się przez materac i stale w nią skapujący. Miednica była pełna po brzegi.

Usłyszał słabe zbliżające się klik-klak na deskach podłogi i nagle stwierdził, że jego oczy znajdują się o parę cali od innej pary oczu zamglonych i wybałuszonych we włochatej twarzy chińskiego demona, jakie dotychczas widywał jedynie wyrzeźbione w kamieniu przed świątyniami. Matthew już, już miał zawołać Gheonga, aby przyszedł i odpędził tego okropnego stwora (który pachniał niezbyt słodko), ale w tej samej chwili dopadli go szpiedzy niemieccy, z których jeden przejawiał dziwne podobieństwo do portretu jego ojca w salonie Waltera, i Matthew pomknął przed siebie klucząc to w tę, to w tamtą stronę jak zajac. Jego pot wciąż sączył się kap, kap, przez materac.

Gdy w końcu odzyskał zmysły, właśnie zaczynał się czwarty dzień jego choroby. Leżał na wpół przebudzony nasłuchując kapania własnego potu pod łóżkiem. A teraz panowała, jeśli nie liczyć odległego skrzypienia za oknem, zupełna cisza. Zmiał ręką prześcieradła: były suche. Dzięki Bogu! Ciekawiło go, ile miednic jego potu wylano, odkąd zaczęła się gorączka. Czuł się tak wyczerpany, jakby to jego samego wylano razem z potem.

Zauważył, że owo odległe skrzypienie jest raz po raz przerywane głuchym uderzeniem. Skrzyp, skrzyp, łup! Zdrzemnął się na chwilę i znowu obudził. Skrzyp, skrzyp, łup! W końcu ciekawość dodała mu siły, aby się ruszyć. Przy nim leżała „holenderska żona”, długi, cienki wałek umożliwiający cyrkulację powietrza pod moskitierą-podjął z nim zmagania, póki go wreszcie nie pokonał. Potem z ogromnym trudem przedostał się przez skrzelowaty otwór w moskitierze. Okiennice były otwarte i widział, że na dworze robi się jasno. Po drugiej stronie domu zapewne już wstaje słońce. Przy oknie panował miły chłodek.

Skrzypienie dochodziło z trawnika obok domku rekreacyjnego, gdzie stał zapomniany kozioł do ćwiczeń, a obok wysoki drążek zamocowany rdzewiejącymi odciągami stalowymi. Jakaś szczupła dziewczyna, wyglądająca na Chinkę, huśtała się uczepona rękami drążka i próbowała nagłym szarpnięciem i usztywnieniem ramion w łokciach podciągnąć się na drążku. (Czyżby miała rude włosy, czy to tylko odbłask wschodzącego słońca?) Ale Matthew zamrugał powiekami i zaczął się zastanawiać, czy to nie jest dalszy ciąg jego gorączkowych rojeń, które wkroczyły teraz na nieco milszy tor, dziewczyna bowiem była golusieńka.

Podrapał się w głowę i ruszył na poszukiwanie swoich okularów, ale minęło sporo czasu, nim je odnalazł - Cheong, w obawie, że Matthew roztrzaska je w delirium, położył je w bezpiecznym miejscu. Matthew wcisnął na nos okulary i popędził z powrotem do okna, by zobaczyć, że dziewczyna (Vera! Wielkie nieba! Goła!) wreszcie zdołała unieść barki nad drążek. Chwilę utrzymała równowagę odpoczywając po wysiłku. We wczesnym świetle dziennym jej skóra lśniła zielonkawobiało na tle ciemnego listowia.

Raptem Matthew zdał sobie sprawę, że nie jest jedynym widzem tej scenki, bo na drzewie kauczukowym, na skraju trawnika, leżał rozciągnięty starszawy orangutan z fantazyjnymi bokobrodami i przyglądał się gimnastyce dziewczyny. A przyglądając się gryzł w roztargnieniu jabłko, które podnosił od czasu do czasu do oczu, tymczasem zaś palcami drugiej ręki bębnił po bladym, wydętym brzuchu. Wciąż oparta na wyprostowanych ramionach i wygięta w zgrabny łuk, Vera przełożyła jedną nogę przez drążek, a potem, z większą trudnością drugą, tak iż wreszcie siedziała niebezpiecznie na drążku trzymając go mocno między udami. Uznawszy, że już chwyciła dostatecznie równowagę, puściła drążek, uniosła ręce nad głowę, jakby miała wykonać skok do wody, i rzuciła się do tyłu.

Orangutan, który miał właśnie ugryźć jabłko, zastygł w bezruchu z otwartym pyskiem, aby zobaczyć, jaki będzie wynik tego nierozważnego manewru. Uczepona drążka zgiętymi w kolanach nogami dziewczyna zatoczyła trzy czwarte okręgu włokąc za sobą lawinę ciemnorudych włosów. U szczytu łuku puściła drążek wyprostowując nogi, opadła na czworaka na trawę, zachwiała się lekko, odzyskała równowagę, stanęła na palcach i zrobiła dziarsko parę kroków naprzód, po czym wróciła i oparła się ciężko o jeden ze słupków. Ściągnawszy rude brwi orangutan znów zainteresował się swoim jabłkiem i wyglądziwszy bokobrody zatopił w nim zęby.

Vera stała tyłem do orangutana i pewnie go nie widziała. Była oparta całym ciężarem ciała o słupek, jakby popychała wiosłem łódź, i miała brodę złożoną z wdziękiem na uniesionym ramieniu. Orangutan znów przerwał jedzenie i patrzył na nią. Potem, trzymając jabłko delikatnie palcami lewej ręki za ogonek, ześliznął się z gałęzi, zawisł na niej na kil

ka chwil obracając się na jednym palcu, następnie opadł cicho na ziemię. Teraz zawahał się chwilę, wyraźnie nie wiedząc, co zrobić. Podrapał się w głowę, przeczesał palcami kępę rudych włosów pomiędzy oczami i w końcu zaczął się zbliżać ostrożnie do dziewczyny. Matthew patrzył na to jak we śnie (może naprawdę mu się śniło).

Vera stała nieruchomo, odpoczywając, zatopiona w myślach. Orangutan zbliżał się do niej pomagając sobie w drodze knykciami prawej ręki, a w lewej wciąż trzymając ogryzek jabłka. Matthew chciał krzyknąć, lecz głos odmówił mu posłuszeństwa. Ponadto zwierzę nie wydawało się w najmniejszym stopniu agresywne. Gdy orangutan zbliżył się do Very, opanowała go nowa fala wątpliwości. Zatrzymał się, rozejrzał wokół, potarł się z powątpiewaniem po brzuchu, urwał źdźbło trawy i odrzucił. W końcu jednak nie mógł już dłużej czekać i postąpiwszy parę kroków wyciągnął ramię i położył płochliwą, włochatą dłoń na nagim tyłku dziewczyny. Nie odwracając się Vera trzasnęła go mocno po łapie. Orangutan odskoczył wstrząśnięty i wrócił spieszenie na swoją gałąź. Zajął się tam ze wznowioną energią ogryzkiem jabłka, z którego wkrótce pozostał tylko ogonek, który orangutan wyrzucił.

Tymczasem Vera odwróciła się i zobaczyła bladego i wynędzniałego Matthew patrzącego na nią z okna. Pomachała mu ręką. Przez chwilę wydawało się, że chce do niego krzyknąć, ale rozmyśliła się, uśmiechnęła, potrząsnęła głową, wzięła biały szlafrok, zarzuciła go sobie na ramię i odeszła grożąc orangutanowi palcem. Orangutan patrzył na nią spode łba ze swojej gałęzi.

Zanim jednak znikła z pola widzenia, znów cisnęła szlafrok na ziemię, na chwilę znieruchomiła, a potem rzuciła się głową w przód w lśniący, zielonkawy trawnik... który niespodziewanie okazał się wodą, bowiem upadła wzbijając wysokie zielone bryzgi i trawnik zafalował wokół niej obmywając nawet skraj kortu tenisowego. W chwilę później znikła zupełnie i chociaż Matthew stał w nadziei, że się znów ukaze, już więcej się nie pojawiła.

Matthew odszedł od okna w stanie silnego podniecenia, lecz nie dlatego, iż uwierzył własnym oczom, lecz przeciwnie, że im nie dowierzał. Podobnie jak inni miewał swego czasu sporo snów erotycznych. Czy możliwe, aby to był jeden z nich? Orangutana, ów wyraźny symbol męskiej zmysłowości, najprawdopodobniej dostarczyła jego własna wyobraźnia. Jedyne, co podważało tę teorię, to że kiedy wyjrzał ponownie przez okno, zobaczył znów ów symbol rozciągnięty na gałęzi drzewa i bębniący palcami po wydętym brzuchu... Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, chociaż niezbyt energicznie, ponieważ był wyczerpany, dyskutując głośno z samym sobą na temat znaczenia tej silnej halucynacji, jakiej właśnie doznał. Musi powiedzieć o niej Ehrendorfowi. To niewątpliwie gorączka zwiększyła jego wrażliwość!

Wkrótce jednak z trudem drapał się przez rozcięcie w moskitierze z powrotem do łóżka, w czym mu pomagał Cheong, który gruchał do niego z dezaprobatą po hokkieńsku (czy kantońsku, dla Matthew było to wszystko jedno), przekonany, że Matthew wydostał się z łóżka w delirium. I Matthew sam doszedł do wniosku zapadając znowu w sen, że jego gorączka, choć nie ustąpiła, przyjęła poważniejszy, acz wcale nie niemiły obrót. Lecz teraz przyśniło mu się, że jakiś staruszek z siwą brodą zarzuca na niego sieć - staruszkowi udało się tak dobrze go skrępować, że przez następne kilka godzin Matthew leżał nieprzytomny, zupełnie bez ruchu. Ten nienaturalny bezruch zdumiał Cheonga, który zaglądał do Matthew raz po raz przez cały dzień. Ale po tych „cudzoziemskich diabłach” nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać - byli niewątpliwie zbudowani wedle innych zasad niż normalne, bez zarostu, krótkonose i nie wydzielające przykrego zapachu ludzkie istoty takie jak on.

Ojciec Cheonga i jego dwaj stryjowie przypłynęli pod koniec ubiegłego wieku do Singapuru jako zakontraktowani kulisi w warunkach tak strasznych, że jeden ze stryjów zmarł w drodze. Ojciec Cheonga przetrwał podróż, lecz pamięć o niej prześladowała go przez resztę życia. Rozgoryczony, opowiadał synowi, jak agenci odwiedzali dotkniętą nędzą wsie Południowych Chin, kusząc wieśniaków obietnicami bogactwa na Malajach i drobnymi zaliczkami (lecz dostatecznymi, aby uwikłać ich w długi, których nie mogli spłacić, gdyby się rozmyślił), następnie dostarczając ich do obozów przemieszczalnych zwanych „baraco- ons”. A gdy się tam znaleźli, byli na łasce i niełasce przedsiębiorcy, który ich wywoził swoimi statkami (gdzie każdy kulisi otrzymywał miejsce dwie stopy na cztery na podróż, która mogła trwać kilka tygodni). Nic więc dziwnego, że Cheong był zły, kiedy pomyślał, jak ci prości ludzie byli oszukiwani i maltretowani, o tych tysiącach, które zmarły wskutek chorób lub samobójstw, nim dopłynęły do Malajów i rozpoczęły lata niewolniczej pracy! Ale najwięcej go bolało, że tak niewielu ludzi w chińskich społecznościach na Malajach i w Singapurze pamiętało wyzysk i cierpienia, jakim podlegali ich przodkowie w czasach tych zbrod

nicznych podróży. O takich rzeczach nie wolno zapominać! Sprawiedliwość domaga się, aby były znane. To było powodem, że Cheong od kilku miesięcy stawiał pierwsze mozolne kroki w zdobywaniu wiedzy w szkółce wieczorowej w mieście, w czym, rzecz dziwna, dopomagał mu stary pan Webb, który kiedyś sam przewoził kulisów, choć tylko jako ładunek pokładowy, obok innych towarów, jakimi handlował.

„Jacy to dziwni ludzie!” - myślał Cheong patrząc na nieruchomego Matthew.

- Drogi przyjacielu, wojna przebiega w taki sposób, że nie mogło być dla nas lepiej! Nie ma co do tego wątpliwości. Tym razem Japończycy połknęli więcej, niż potrafia strawić!

To pełne ufności twierdzenie wypowiedział major, który stał przy łóżku Matthew z pogodnym wyrazem swojej zwykle zatroskanej twarzy. Matthew właśnie się obudził ze znacznie lepszym samopoczuciem po długim śnie. Doktor Brownley obejrzał go i wyraził swe zadowolenie: wystarczy dzień, dwa odpoczynku, a pacjent stanie na nogi. Jednakże doktor Brownley wziął majora na bok, aby mu szepnąć do ucha parę dodatkowych uwag. Wyjaśnił mu, że pacjent może popaść w poważną depresję po tak wysokiej gorączce - cały system musi przyjść do siebie po takim wstrząsie. Otóż tak się dożyło, iż wie, że Matthew jest człowiekiem o wielkiej wrażliwości, łatwo wpadającym w podniecenie, ulegającym nagłym impulsom. Nie uważa, oczywiście, za prawdopodobne, że Matthew poznawszy wypadki ostatnich kilku dni chwyci brzytwę i poderżnie sobie gardło. Na szczęście nie ma obaw, iż popełni takie głupstwo (choć lepiej nie zostawiać u niego w pokoju ostrych narzędzi). Chodzi po prostu o to, że po tak ciężkiej chorobie młody człowiek, któremu odwrotnie niż jemu i majorowi życie oszczędziło ciosów, mógłby wziąć sobie za bardzo do serca sprawę, jakie doświadczeni weterani zbywają wzruszeniem ramion. Z tego właśnie powodu major mówił tak pogodnym tonem o porażkach ostatnich dni.

Matthew słuchał z niejakim zdziwieniem uspokajającej opowieści majora o pierwszym nalocie bombowym na Singapur, który prawie nie zakłócił snu ludzi mieszkających w pobliżu miejsc, gdzie spadły bomby, potem o wylądowaniu Japończyków w Kota Bahru i innych miejscach. W tej drugiej kwestii major mógł do woli czerpać natchnienie z uspokajających komunikatów Kwatery Głównej i nie musiał mozolnie dobierać słów. A więc na froncie wszystko szło wspaniale, ale najlepsze miało dopiero nastąpić. Zadowolony bardziej niż kiedykolwiek z rozwoju wypadków major wyjaśnił, że „Prince of Wales” i „Repulse” zostały zatopione u wschodnich wybrzeży, ale zadziwiająco duży...

- Zatopione?! - wykrzyknął Matthew unosząc swoją wielką zaciśniętą pięść i wymachując nią, jakby chciał się rzucić na majora, nie z poczucia wrogości, ale z potrzeby wyrażenia swego podniecenia, a zarazem wywracał oczyma w sposób, który przekonał majora, że powzięte przezeń środki ostrożności przy przekazywaniu mu aż tylu wieści nie były zbyt przesadne. - Zatopione! Ależ to straszne! Nasz najnowocześniejszy okręt wojenny i krążownik...

Samo zatopienie tych dwu wielkich okrętów, przyznał spieszenie major, nie jest wcale dobrą wiadomością, lecz jak zamierzał powiedzieć, zadziwiająco duży procent oficerów i marynarzy z tych dwóch okrętów zdołało ocalać, prawie około dwóch tysięcy ludzi.

- Ale przecież japońska Marynarka Wojenna nie jest...

- To wcale nie Marynarka Wojenna. Wydaje się, że okręty zostały zatopione przez bombowce torpedowe. Ale rzecz w tym... - Major umilkł nie mogąc wymyślić w czym. Był to bezsprzecznie straszliwy cios. Bez tych dwóch potężnych okrętów i wobec zniszczenia w Pearl Harbor amerykańskiej floty Pacyfiku, Japończycy będą wyłącznymi panami na Morzu Południowochińskim, a może nawet na Oceanie Indyjskim. Flota australijska i holenderska z pewnością są za małe, aby móc się im przeciwstawić.

- Ale co wtedy robił RAF? - dopytywał się Matthew opadając na poduszki, wyczerpany tym nagłym przypiływem emocji. Major jednak nie odpowiedział i zapanowała cisza. W pokoju było bardzo gorąco. Okiennice były częściowo zamknięte z uwagi na konieczność „zaciemnienia” (lub „zabrazowania”), jedyne oświetlenie stanowiła nocna lampa, której abażur Choeng owinał grubym materiałem, tak że rzucała tylko ukośne światło na ścianę. Na obrzeżu tego kręgu światła usadowiła się na ścianie mała brązowa jaszczurka zwana „cziczak”, nieruchoma, z tłustymi nóżkami ugiętymi jak u japońskiego zapaśnika. Po chwili wydała dziwnie metaliczny klekoczący dźwięk i major wyjaśnił, że według Malajów cziczaki przynoszą szczęście w domach, w których się pojawiają, i że ponadto... Westchnął i znów zapadło milczenie.

Co to za hałas?

Z zewnątrz dobiegał szum, który stale narastał.

- To tylko deszcz - odparł major zastanawiając się, jak wiedzie się reszcie brytyjskich okrętów w tym wilgotnym mroku. To właśnie w taką noc jak ta, w kwietniu 1905 roku, admirał Roźdiestwienski i jego czterdzieści pięć starych, obrośniętych skorupiakami okrętów i statków dostawczych szło pełną parą w ciepłych strugach deszczu przez Cieśninę Malakka. Odbyli długą podróż z wód Bałtyku i przyплыли zbyt późno, by przyjść na pomoc oblężonemu w Port Artur, mając poza tym świadomość, że flota japońska dalece ich przewyższa. Jacyż dzielni byli owi ludzie! Wysłani na drugi koniec świata przez niekompetentnych urzędników ministerstwa w Sankt Petersburgu, z nie wyszkolonymi w manewrach wojennych załogami, ze zbyt małą ilością amunicji, by móc wyćwiczyć się w strzelaniu z armat, zmuszeni zaopatrywać się w węgiel na morzu z braku neutralnych portów, które zgodziłyby się na ich zawinięcie, stale zatrzymujący się w drodze, kiedy maszyny jednego po drugim okręcie się psuły, z perspektywą, że u końca podróży zostaną posłani na dno przez lepszą flotę japońską. Zdobycie Port Artur i klęska rosyjskiej floty pod Cuszimą, dumął major, powinny być przestrożą dla tych, którzy nie doceniają Japończyków.

- François pojechał do Penangu na kilka dni. Gdy wróci, może przywiezie jakieś wiadomości o tym, co dzieje się na północy.

- Posłuchaj, jak leje!

Teraz majorowi przyszła do głowy jeszcze jedna ponura możliwość: jeżeli Japończycy zawładną cieśninami, wówczas nic im nie przeszkodzi wylądować za liniami obronnymi Brytyjczyków, gdziekolwiek tylko zapragną. Niewątpliwie istniały stałe linie obronne w miejscach najbardziej narażonych na atak, ale przy tak długiej linii brzegów obrona z pewnością jest trudna. Poza tym muszą się jeszcze liczyć z RAF-em.

Z głębi domu dobiegł ich płaczliwy zgrzyt zardzewiałych zawiasów i w chwilę później głosy na werandzie.

- Ciekawe, kto to może być? Lepiej pójść i zobaczyć. - Major wstał.

- Wchodzą dwa zmokłe szczury - rzekła ze śmiechem Joan wystawiając głowę zza drzwi, nim major zdążył do nich dojść. - Byliśmy właśnie w połowie drogi, kiedy lunęło jak z cebra. Nie było sensu nawet się chować. Pod drzewem moknie się zupełnie tak samo.

Matthew i major patrzyli na nią z zachwytem. Jej włosy z lekka pociemniały i przywarły do czoła i policzków mokrymi pierścionkami-woda wciąż błyszczała na jej szyi, a przemoczona sukienka przylegała tak ści

śle do ciała, że widać było wyraźnie na jej piersiach dwa sutki i trzepotanie przepony pod żebrami - widocznie biegła.

- Chodź i usiądź - powiedział major uprzejmie. - Ale widzę tylko jednego zmokłego szczura. Gdzie drugi?

Matthew uśmiechnął się słabo do Joan, kiedy podeszła, aby usiąść koło niego najwyraźniej nie zmieszana, że jest w przemokłej i na wpół przezroczywej sukience. Tryskała zdrowiem i dobrym samopoczuciem po biegu przez ulewę. „Jaka ona śliczna!”

- Drugim jest tata. Poszedł do boya po ręcznik. A oto i on.

Walter też wydawał się w wyjątkowo dobrym nastroju, jakby ta nagła ulewa ożywiła go. Ostatnio bywał zatroskany. Liczne obowiązki w końcu brały nad nim górę: zaczął się wahać jak nigdy dotąd, zastanawiać zbyt dogłębnie nad ewentualnymi konsekwencjami swoich decyzji. Brak silnego charakteru starego pana Webba, niepewność spowijająca mgłą przyszłość kolonii, błąd, jaki popełnił z tymi ogromnymi zapasami kauczuku oczekującego na statki na nabrzeżu, wszystko to razem osłabiło siłę jego woli. Lecz Walter nie należał do ludzi, których można na długo załamać. Czymże były te trudności, jeśli nie największym ze wszystkich wyzwaniem od czasów wielkiego kryzysu? Dostrzegłszy więc w swoich problemach wyzwanie poczuł, że spadł mu z serca wielki kamień. A teraz stał śmiejąc się i tryskając energią ze swej krępej postaci, całkiem niepomny na kałużę wody, która utworzyła się wokół jego stóp. Porwawszy trzcinowy fotel postawił go przy łóżku Matthew mówiąc:

- Przemoknięty do suchej nitki! Oto, co się dzieje, gdy się za bardzo ufa własnej córce, majorze. No, Matthew, wyglądasz o sto procent lepiej ... Straciłeś może trochę na wadze, ale to głupstwo u człowieka twojej postury... -1 nie przestawał w ten sposób mówić głosem dźwięczącym pewnością siebie ponad hukiem bębniącego o dach deszczu.

Matthew i major patrzyli na niego jak zahipnotyzowani. Major, który już się przyzwyczaił, że Walter jest przybity i pełen nostalgii za minionymi czasami, był zachwycony widząc u niego tę odmianę. Matthew zaś leżał na poduszkach nieco oszołomiony, lecz rad, że wszyscy są w tak dobrym nastroju mimo zatopienia „Prince of Wales” i „Repulse”.

- Słuchaj, mój chłopcze - rzekł Walter przymilnie - przeżywamy doniosłe chwile i pora, abyśmy poważnie porozmawiali o tym, co będzie z tobą. Nie, zaczekaj chwilę, będziesz miał szansę powiedzieć swoje za sekundę. Chcę ci oznajmić rzecz następującą... Teraz, kiedy twój bied

ny ojciec nas opuścił, czuję się szczególnie odpowiedzialny nie tylko za swoją rodzinę, ale i za ciebie... Otóż, mój chłopcze, obserwuję ciebie i jeśli nie weźmiesz mi za złe, że to powiem, stało się dla mnie jasne, że wodzisz oczyma za moją córką, Joan, za co, młody człowieku, szczerze mówiąc nie mogę cię winić, bo to dobra dziewczyna, choć zdarza się, że wyciąga swojego staruszka ojca na deszcz, aby przemóć do suchej nitki, ha, ha, ha!... i mówiąc między nami, połowa młodych mężczyzn w Singapurze ubiega się o jej rękę.

- Ale, Walter! To znaczy, wielkie nieba!... - wykrzyknął Matthew i zaczął w podnieceniu szamotać się z prześcieradłem i „holenderską żoną”, a także fałdą moskitiery, jakby zamierzał wyskoczyć z łóżka i zacząć biegać po pokoju. Major skoczył, aby go powstrzymać, bardzo pizejęty podnieceniem pacjenta, który tak zareagował na dziwny wstęp Waltera na temat córki. Lecz interwencja majora okazała się zbędna, ponieważ Matthew tak się zaplątał w prześcieradło, że w swym osłabieniu ledwie mógł się ruszać i wkrótce dał za wygraną.

Walter tymczasem, ignorując zamieszanie, uniósł w górę dłoń i skinąwszy na córkę, ciągnął dalej niewzruszenie:

- A ona, jeśli się nie mylę, ma także do ciebie słabość. Czy nie mam racji, kochanie? Otóż w takich okolicznościach widzę dla ludzi rozsądnych tylko jedno wyjście... I sądzę, że wszyscy wiemy jakie! Skończyłem. - I rozparł się w fotelu, wielce zadowolony z przebiegu sprawy.

- Ale panie Blackett... To znaczy, Walter...! - r wykrzyknął Matthew, nadal przykuty do łóżka fałdami prześcieradła, lecz wywracając oczyma z przejęciem. — Cóż mogę rzec? To znaczy, na pewno bardzo lubię Joan, to święta prawda, lecz nigdy nawet przez chwilę... to znaczy taka myśl nigdy nawet... ale może niezbyt dobrze zrozumiałem... cóż, po prostu nie wiem, co powiedzieć. - Spojrzał na swoich gości załamany pod ciężarem tego niespodziewanego obrotu spraw. Znow wydało mu się, że rzeczywistość przeszła w sen, bo kiedy Walter wygłaszał tę niezwykłą mowę, Cheong podkraść się do niego od tyłu z ręcznikiem i zabrał się z idealnie beznamietną twarzą do energicznego wycierania głowy Waltera i jego różowych wydatnych policzków, tak iż poszczególne słowa jego wypowiedzi były tłumione grubością ręcznika, przeto Matthew nie był absolutnie pewien, czy Walter istotnie powiedział to, co wydawało mu się, że powiedział. Skończywszy z Walterem Cheong zabrał się równie ener

272

gicznie do wilgotnych loków Joan, która po chwili kazała mu przestać.

Aczkolwiek Joan nie potwierdziła zbyt entuzjastycznie słów ojca, że „ma do Matthew słabość” (patrzyła natomiast z całym spokojem na podłogę, gdzie między jej stopami zaczynała się tworzyć druga kałuża), to również nie wypowiedziała nic, co by im przeczyło. Teraz zaś, kiedy przemówiła, to jedynie po to, aby rozejrzawszy się zapytać:

- Czy boy już poszedł? Skoro tak, to zdejmę tę mokrą sukienkę, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Mogę, tato?

- Ależ proszę bardzo, jeśli o mnie chodzi, ale lepiej zapytaj tych panów... Chociaż jestem pewien, że jako ludzie światowi, nie będą mieli nic przeciwko temu, żeby zobaczyć takie małe tłuste prosiątko jak ty w samej białźnie... Co ty na to, majorze?

- Ja? Ale skądże, skądże - wymamrotał major śmiejąc się i chrząka- jąc; zaczął pykać w zaambarasowaniu fajkę zatykając ją dwoma palcami i odykając, aby tytoń się rozżarzył. Pewnie myślał zerkając na ponętą figurkę Joan, że nawet w podeszłym wieku mężczyzna bywa trapiiony myślami o... mniejsza z tym... kto wie, o czym myślał pykając fajkę, bo wkrótce zniknął za błękitną chmurką dymu.

A co do pacjenta, to ten mimo swego osłabienia i zamętu w głowie wodził wzrokiem z aprobatą po lśniącej skórze Joan, kiedy zdejmowała przemoczoną suknię, i zdawał się myśleć: „Cóż, ciało całkiem, całkiem” lub coś w tym stylu.

- Pozwolisz, tato - spytała Joan uśmiechając się łobuzersko - że się położę koło Matthew i poleżę sobie, póki nie przestanie padać? Będzie mi tak wygodniej. Możemy położyć między siebie „holenderską żonę”.

- Och, ty lotrzyco - zachichotał Walter. - Ty ladaco! Co powiesz o tym, majorze? I to na oczach swego własnego ojca! Chciałbym wiedzieć, młoda damo, co powiedziałaby na to twoja matka, gdyby cię mogła teraz zobaczyć? - I kiedy Joan wieszala sukienkę na wieszaku przed położeniem się do łóżka, Walter uśmiechał się do Matthew jeszcze promienniej. „No, sam widzisz, mój chłopcze-zdawał się mówić. -To jest dopiero towar. Nie znajdziesz lepszego. Sam widzisz. To niezła oferta. Radzę ci, korzystaj”.

Wkrótce, gdy deszcz ustał, Walter i Joan udali się z powrotem do domu przez ogród omijając po drodze kałużę, w których teraz odbijały się gwiazdy. Ojciec i córka nie rozmawiali idąc, ponieważ nie musieli -

273

rozumieli się bez słów. Abdul, stary majordom, czekał na nich zatroskany, że tak zmokli.

- Jakie wieści, panie?

- Dobre wieści, Abdul - odparł Walter zdawkowo, lecz idąc po schodach na górę, aby się przebrać, pomyślał: „Tak, bardzo dobre!”

- Cóż, sądzę, że to może być prawda - rzekł major powątpiewająco. —Nigdy nie wiadomo. Byłem w Harbinie w 1937 i przebywało tam jeszcze wtedy mnóstwo białych Rosjan. Wielu z tych nieszczęśników głodowało.

Major i Matthew siedzieli w biurze, które kiedyś należało do starego pana Webba. Matthew, bardzo osłabiony, zdołał wreszcie dźwignąć się z łóżka i dowlec do ojcowskiego biurka, gdzie siedział drzemiąc nad bezładnym stosem rachunków, raportów i różnych papierzysk dotyczących przemysłu gumowego. Major, zatroskany posepnym i apatycznym nastrojem młodego człowieka, próbował od czasu do czasu wciągnąć go w pogodną rozmowę. Ale czymże ostatnio można się było radować? Jedynie Vera Chiang rozniecała w pacjencie iskierkę zainteresowania. Matthew pamiętał rozmowę pomiędzy Verą i Joan, kiedy to Vera utrzymywała, iż jej matka była rosyjską księżniczką, zaś ojciec chińskim kupcem herbacianym... albo czymś w tym rodzaju. Co major o tym sądzi? Okazało się, że major słyszał z ust Very tę samą opowieść z paroma dodatkowymi szczegółami i grzecznie wstrzymał się z wyrażeniem swoich wątpliwości. Ostatecznie, aczkolwiek wydawała się mocno naciągana, nigdy nie wiadomo. Dziwniejsze rzeczy zdarzały się w tej części świata w ostatnich latach.

- A mówiąc nawiasem, gdzie ona jest? Sądziłem, że wciąż zajmuje tutaj pokój.

- Onegdaj przyjechała ciężarówka z firmy po jej rzeczy. Nie znaczy to wcale, że trzeba było na nie aż ciężarówki. Miała tylko małą walizeczkę i parę paczek. Domyśliłem się, że to Walter chciał, aby się wyprowadziła, ale nie powiedział czemu. Ona jest bardzo przyjacielska, spodziewam się, że wpadnie w tych dniach w odwiedziny. - Major wstał. - Muszę iść popracować. Monty mówił, że zaraz do ciebie wpadnie.

Matthew zaczął właśnie znów drzemać nad swoimi papierami, kiedy nagle pojawił się Monty.

- Gratuluję - rzekł wchodząc. Wydawał się czymś pochłonięty.

- O co ci chodzi?

Jak to, podobno zamierzacie z Joan się pobrać.

- Och, to chyba jeszcze niezupełnie pewne... To znaczy, wiem, że twój ojciec coś mówił, że to byłoby świetnie, czy coś w tym rodzaju. Ale nie sądzę, aby cokolwiek zostało postanowione, rozumiesz... Przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Ostatecznie...

Lecz Monty tylko wzruszył ramionami. Nie wydawał się specjalnie zainteresowany sprawą. Powiedział niejasno:

- Pewnie coś poplątałem... Ale sądząc z tego, co mówili, zdawało mi się, że szykują się do wesela... Wiesz, druhny i te inne bzdury. - Monty opadł na krzesło i oparł nogi o biurko Matthew, wywracając przy okazji kubek z ołówkami, ale nie siląc się nawet, żeby je pozbiierać. — Co jak przypuszczam znaczy, że nie zechcesz zawiązać ze mną i jeszcze dwoma facetami spółki na tę chińską dzierlatkę - rzekł markotnie - jeśli ty i Joan się pobieracie. To strasznie podraża koszty reszty z nas-dodał os- karżycielsko.

- Ale, Monty...

- Ci dwaj to morowe chłopaki. Strasznie fajni. A możesz mi wierzyć, że nie ma tu zbyt dużo białych kobiet. Czy wiesz, że na każdą z nich przypada pięćdziesięciu chłopów?

- Mówiłem ci już dawno, Monty, że mnie to nie interesuje.

- Och, dobrze już, dobrze. Nie rozwódź się nad tym. Wszystko mi jedno, czy przystąpisz, czy nie przystąpisz do naszej spółki, choć stracisz wspaniałą okazję. Ale to już twoja rzecz. - Monty westchnął ciężko. - Przyszedłem tu, aby ci wyjaśnić sprawę przesadzania drzew na twojej plantacji w Johore. Stary powiedział mi, że powinienem cię zorientować, jak przedstawiają się twoje interesy, chociaż zapewne wcale cię to nie zacieka. Sprawa polega po prostu na tym, że bardziej się teraz opłaca przesadzać, niż ściągać dalej mleczko.

- Ale jak to możliwe? Myślałem, że bezustannie domagają się każdego skrawka kauczuku, który produkujemy.

- To ma związek z podatkiem od nadmiernych zysków... Nie chcesz chyba, żebym się wdawał w szczegóły?

Lecz Matthew najwyraźniej chciał, wobec czego Monty, przybrawszy ważną minę, zdjął nogi z biurka i zaczął wyjaśniać. Kiedy w 1939 roku wybuchła wojna, obłożono wszystkie solidne firmy w kraju i za granicą sześćdziesięcioprocentowym podatkiem od nadmiernych zysków. Firma Blackett i Webb początkowo nie miała nic przeciwko temu.

276

O ile chodzi o nią, to dla wyliczenia „zysków standardowych” wybrano lata pomyślne.

- Stwierdził, że możemy nadal trzymać rękę na znacznej części zysku. Wszystko pięknie ładnie. Ale wkrótce, niech ich diabli, podnieśli do stu procent! Niech to cholera! - Monty swoimi niebieskimi i wybluszonymi jak u ojca oczami patrzył na Matthew z oburzeniem.

Jednocześnie wzrosła cena kauczuku i Plan Restrykcyjny zezwalał na wypuszczenie na rynek większej jego ilości.

- Wkrótce stwierdziliśmy, że możemy osiągnąć ten cholerny „standardowy zysk” (wszystko, co mogliśmy osiągnąć, bo rząd brytyjski konfiskował resztę) produkując mniejsze ilości kauczuku, niż wolno nam było wypuścić na rynek! Niech to wszyscy diabli! Po co produkować więcej, jeśli się nic na tym nie zyskuje?

Spojrzenie Monty'ego stało się na chwilę zatroskane, bo choć ogólnie biorąc wierzył, że rozumie strategię handlową ojca (i podziwiał ją-ojciec był nadzwyczaj bystry, gdy chodzi o wychwytywanie okazji), istniała jedna inicjatywa Waltera, w której dotąd nie mógł dostrzec zdrowych handlowych podstaw: chodziło mianowicie o podpisanie kontraktów z Amerykanami na ogromne ilości kauczuku, który teraz utknął na nabrzeżach. Nagromadzenie tego kauczuku stało w bezpośredniej sprzeczności, o ile Monty mógł zrozumieć, z tą drugą polityką wstrzymywania się od produkcji kauczuku, na którym nie można nic zyskać. Podatek od nadmiernych zysków dotyczył również kontraktów amerykańskich. Była to tajemnica, której Monty nie umiał wytłumaczyć... aczkolwiek musiało istnieć jakieś wytłumaczenie. Monty z braku czegoś lepszego był nawet gotów podejrzewać ojca o patriotyzm. Ale nie, to nie mogło być to. Oczywiście spytał Waltera o powód, ale ojciec się tylko zdenerwował i nic nie odpowiedział. Jednakże w ciągu ostatnich dni, po ataku Japończyków, wreszcie Monty'emu zaświtała prawda. Była to straszliwa prawda, o ile Monty prawidłowo zgadywał, ale czy istniało jakiegokolwiek inne wyjaśnienie? Walter, w swojej wszechwiedzy, przewidywał atak Japończyków. Więcej, przewidział zajęcie Malajów lub zniszczenie Singapuru. Stawiał na zajęcie lub zniszczenie całego tego kauczuku, aby móc potem zażądać od rządu kompensaty w jakiejś spokojniejszej części świata! To prawda, że ryzyko wydawało się dość ekstrawaganckie nawet dla Monty'ego, ale jaki inny mógłby być powód tego kroku? Ojciec nigdy nie robił w interesach niczego bez uzasadnienia.

277

- W każdym razie - rzekł skierowując znów uwagę na Matthew - zdecydowaliśmy, że jedyną rozsądną rzeczą będzie odnowić plantacje... A dlaczego? Bo koszty odnowienia są zwolnione od podatku.

- Jeżeli nawet oznacza to usuwanie zupełnie zdrowych i produktywnych drzew? - wykrzyknął Matthew.

- Oczywiście! Bo na ich miejsce sadzimy te nowe sadzonki, o których ci mówiłem. Kiedy dojrzeją za kilka lat, będą dawały dwa razy tyle mleczka kauczukowego niż obecnie.

- A co z Wysiłkiem Wojennym? Wszyscy domagają się kauczuku teraz, nie za kilka lat. A my ścinamy drzewa produkujące mleczko i sadzimy na ich miejsce sadzonki. Nie wykorzystując starych nawet w sposób rabunkowy, o ile się zorientowałem! To szaleństwo. - Otrząsnąwszy się z apatii Matthew zerwał się na nogi i chwycił Monty'ego jedną ręką za ramię, a drugą za kłapy marynarki. Monty wydał chrapliwy krzyk przerażenia i cofnął się przed tym atakiem w przekonaniu, że zaraz zostanie pobity przez Matthew, którego rozum wyraźnie wisiął na bardzo wątych zawiasach. Następnym razem niech ojciec sam zajmuje się tym wariatem.

- Słuchaj, to wcale nie był mój pomysł - mruknął uspokajająco. - Nie wini za to mnie. Porozmawiaj o tym z ojcem, choć muszę powiedzieć... - dodał już pewnie, bo Matthew go puścił i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem, co prawda wymachując pięścią, ale już nie budząc większej grozy -... że doprawdy nie powinieneś przyjmować cały czas takiej świątobliwej pozy. Ludzie nie przepadają tutaj za czymś takim. Szczerze mówiąc uważają to nawet za dość dziwaczne, jeżeli już chcesz wiedzieć. Ale oczywiście, rób sobie, co chcesz - dodał śpiesznie, gdy Matthew ponownie zwrócił się ku niemu.

- Ale nie o to chodzi, Monty... to sprawa zasad.

- Tak, tak, oczywiście - zgodził się Monty. - W każdym razie muszę już bieć. Mam mnóstwo roboty. Nie zmienisz zdania w sprawie tej Chi- neczki?... Nie, nie, widzę, że nie zmienisz. Nic nie szkodzi. No, to do widzenia! - I Monty wziął nogi za pas, rad, że uszedł bez połamanych kości.

Matthew padł na fotel, czując się znowu wyczerpany. Nalał sobie wody z lodem z termosy stojącego na biurku i wypił szybko - musi porozmawiać z Walterem i spróbować go przekonać, aby zaprzestał tego głupiego przesadzania. Ile już tego zrobiono? Zaczął szukać wśród papierów na biurku, ale nim znalazł jakieś dane na ten temat, znowu opa

nowała go senna. Wstał z wysiłkiem i wyszedł do krytego blachą garażu, gdzie major dokonywał mozolnego przeglądu pompy strażackiej. Zamierzając omówić z majorem sprawę przesadzania drzew zainstalował się w jego otwartej lagondzie stojącej obok - jednakże upał i znużenie wzięły nad nim górę i niebawem zasnął z nogami sterczącymi z otwartych drzwi, podczas gdy major przeglądał i czyścił świece zapłonowe pompy. Major podejrzewał, że niedługo ta maszyna znajdzie zastosowanie. Tymczasem Doła Człowiecza, mały, stary i słaby, drzemał niebezpiecznie pod jednym z kół samochodu, który stał na lekkiej pochyłości i mógł w każdej chwili potoczyć się do przodu kładąc kres jego losowi.

Pracując major myślał o Verze Chiang i o Harbinie w 1937 roku. „Jakże ciężkie potrafi być życie uchodźców! - dumiał mrużąc oczy przy oglądaniu świcy (jego wzrok już nie był taki jak kiedyś). - Wiodąc to wygodne, uporządkowane życie nie zdajemy sobie sprawy, co to znaczy stracić wszystko w jednym z tych bezsensownych przewrotów politycznych, które toczą się przez świat z hukiem i łoskotem jak burza z piorunami, wyrywając ludzi z domów rodzinnych i rozrzucając na lewo i prawo". Westchnął i świeca zapłonowa leżąca na jego dłoni rozmaszała się i przemieniła w obraz Harbinu... Kiedy to było?... cztery, nie, prawie pięć lat temu. Harbin był z całą pewnością jednym z najbardziej przygnębiających miast na świecie.

Było to w czasie pierwszej podróży majora na Wschód... kiedy to nagle, wiedziony impulsem, postanowił porzucić osiadłe, wygodne życie, jakie wiodł w Londynie, i zobaczyć świat, odwiedzić François w Indochinach, zwiedzić Japonię i przekonać się naocznie, o co to całe zamieszanie. .. o co w tym całym życiu chodzi, nim zrobi się za późno i nim zaskoczy go starość. Sądząc po wielkiej prawosławnej katedrze górującej nad ulicami Kitajskaja i Nowogorodnaja, po rosyjskich szyldach sklepów, wódce, samowarach, rosyjskich kafejkach i miłych dźwiękach mowy rosyjskiej, którą słyszało się wokół, można by sądzić, że Harbin to rosyjskie miasto. Ale rosyjskie miasto zamienione w koszmar nędzy dla Białych, których poniosła na wschód fala rewolucji. Jacyż oni byli bezradni! Jak niewielu ludzi, pomyślał major, potrafi ciężką pracą, zapobiegliwością, inteligencją lub przez wykorzystanie innych zalet wywrzeć choćby najmniejszy wpływ na własne losy! Oto ponura prawda o życiu na tej planecie. Zanim Mandżukuo wykupiło od rządu sowieckiego Kolej Wschod-

niochińską, na rok przed przyjazdem majora, w Harbinie był przynajmniej duży kontyngent sowieckich pracowników kolejowych, którzy zaopatrywali się w sklepach i uczęszczali do kafejek uchodźców rosyjskich, lecz później stracili oni nawet tę klientelę. Kolejarze wrócili do Rosji, a uchodźcy pozostali bez środków do życia. Niedługo było ich tam 80000, kiedy przyjechał major, liczba ta zmniejszyła się o połowę. Młodzi i dość silni udali się na południe w poszukiwaniu środków do życia w Chinach, które same były gnębione głodem i bandyckimi napadami. Ci, którzy pozostali w Harbinie, cierpieli głód. Major sam widział w Harbinie białych ludzi w łachmanach, ciągnących riksze.

Vera Chiang spędziła dzieciństwo i lata dziewczęce właśnie w Harbinie, to było pewne, bo kiedy major zapytał ją o Harbin, okazało się, że zna każdy jego zakątek. Jej matka umarła tam „ze zgrzyoty”, mówiła czasem, lub „na gruźlicę”, wyjaśniała kiedy indziej. Ona sama była wtedy zaledwie dzieckiem. Ojciec udał się na południe, aby spróbować założyć inny interes w miejsce straconego w czasie rewolucji, pozostawiając ją w amerykańskiej szkółce misyjnej. W ten sposób nauczyła się mówić po angielsku. Jakże smutna i osamotniona się czuła, powiedziała majorowi ze łzą w oku, a on mruczał pocieszająco, był bowiem bardzo czuły na niedolę kobiet. Lecz o ileż gorsze stało się jej życie, gdy otrzymała spóźnioną wiadomość od ojca. Leżał chory, w nędzy, w Kantonie. „Sprzedawszy ostatni z pierścionków matki wyruszyłam...” Aczkolwiek bardzo wrażliwy na kobiecą niedolę major został w tym punkcie tknięty złymi obawami... Lecz cóż, nigdy nie wiadomo. Jedno było pewne: w końcu Vera Chiang skądś się wziąć musiała! Jej wspomnienia z Rosji nie były jednak zbyt przekonujące. Futra, sople lodu za oknami, śnieg na dachach, para buchająca w „gryzącym powietrzu” z końskich nozdrzy i klejnoty błyszczące na szyjach szlachetnie urodzonych kobiet, gdy pochylały się nad jej łóżeczkiem, bo w czasie rewolucji była jeszcze malutka, oczywiście, skrzywienie płóz sanek na śniegu, gdy mknęły na wschód uciekając przed bolszewikami, a ona była opatulona w futra aż po czarne oczy w kształcie migdała u, którymi patrzyła na bezkresne, skute mrozem pustkowia Rosji. Ale przede wszystkim majora wprawiły w zakłopotanie te pierścionki matki. Powód był następujący: w jednym z nocnych lokali w Szanghaju major wdał się w rozmowę z fordanserką, śliczną młodą Rosjanką, również księżniczką, która po paru walcach wyznała mu swój kłopot. Mianowicie zaraz następnego

dnia rano, gdy tylko otworzy się lombard, będzie musiała pójść i zastawić obrączkę ślubną matki, aby uchronić swoją młodszą siostrę od prostytucji. Wielkie nieba! Co za sprawa! Cóż major mógł innego zrobić, jeśli nie zapobiec tej klęsce? Otóż dylemat majora polegał na tym, że czasami tego rodzaju opowieści bywają prawdziwe. Może niezbyt często, ale czasami.

Major zastygł w pozie rozpacz i patrzył niewidzącymi oczyma na świecę zapłonową na swojej dłoni. Być może wyczuwając, że jego myśli poszły smutnym torem, Dola Człowiecza opuścił niebezpieczne leże pod kołem lagondy i przyczołgał się, aby położyć łeb na bucie majora i wyróciwszy wybałuszone oczy do góry śledzić wzrokiem jego ponurą twarz. Czy to możliwe, aby major dumał nad znalezieniem najlepszego sposobu, jak go wykończyć? Nie, major wciąż myślał o uchodźcach, tym razem tych, którym udało się uciec z Harbinu na południe, gdzie były miasta z dzielnicami przedstawicielstw zagranicznych, do Tiencin i dalej, do Szanghaju. Lecz i w Szanghaju było wielu Rosjan głodujących na równi z najędźniejszymi kulisami chińskimi, zmuszonych do sypiania na ulicy lub w parkach w czasie ostrej chińskiej zimy, kandydatów na posępne rzesze „porzuconych trupów”. Te wychudzone straszdyła przez kilka lat straszyły w dzielnicach przedstawicielstw zagranicznych. Lecz czas jest okrutny: ludzie asymilują się w społeczeństwie lub zostają przez nie odrzuceni. Historia kroczy naprzód i problem zostaje tak czy inaczej rozwiązany z pominięciem wyższych uczuć.

A Vera? Jej ojciec, powiedziała, miał wylew i był w połowie sparaliżowany. Pojechała do Kantonu, aby zarabiać na jego utrzymanie (major taktownie wstrzymał się od zapytania, w jaki sposób). Żyli w nędzy. Niebawem umarł i Vera przeniosła się do Szanghaju. Mieszkała tam parę lat, póki nie wynikła jakaś awantura z japońskim oficerem. Wtedy, z pomocą przyjaciół, przyjechała do Singapuru.

Czy rzeczywiście była córką rosyjskiej księżniczki i chińskiego kupca herbacianego? Czy to prawdopodobne, aby rosyjska księżniczka wyszła za chińskiego kupca herbacianego? Nie, ale we wrzącym tyglu pierwszych lat rewolucji zawarto wiele dziwnych związków. Vera, teraz dwudziestokilkuletnia, jest w odpowiednim wieku, by móc być owocem takiego właśnie związku podyktowanego rozpaczą. W Harbinie, jak major pamiętał, widok młodych kobiet szlachetnej krwi zamiatających rosyjskie sklepy przy ulicy Nowogorodnaja lub usługujących przy stoli

kach kawiarnianych pod nieodzownymi, stopniowo żółknącymi portretami ostatniego cara był bardzo powszechny. W tak rozpaczliwych warunkach ludzie gotowi są zrobić wszystko, by przeżyć. Ponadto, w miarę jak warunki stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, okazało się, że ładna rosyjska dziewczyna, księżniczka czy dojarka, miała przynajmniej coś do sprzedania... choćby tylko siebie samą. W Harbinie, jak słyszał, pozbawieni środków do życia Rosjanie prosili brytyjskich i amerykańskich turystów, aby wzięli ich żony, których oni sami nie mogli już dłużej utrzymywać. Major kiedyś sam w tym koszmarnym mieście został zaczepiony przez młodą Rosjankę w łachmanach, która ofiarowała mu swoje ciało w zamian za posiłek. Westchnął. Zdarzało mu się w Harbinie nieraz żałować, że opuścił Londyn. Jeśli to właśnie oznaczało „poznawanie życia”, wolał pozostać ignorantem.

W Szanghaju nie było aż tak źle. Ładnym Rosjankom powodziło się tu lepiej, jak się okazało, ponieważ białe fordanserki miały wzięcie wśród bogatych Chińczyków i mogły zarobić na życie w nocnych lokalach i kabaretach. Zarabiała, jak mu mówiono, dwa chińskie dolary od każdej butelki szampana, którą za ich pośrednictwem sprzedano. Ponadto, w szanghajskich burdelach, gdzie można było mieć Chinkę od dolara wzwyż, najniższa cena za białą dziewczynę wynosiła dziesięć. A za hojną sumę pięćdziesięciu dolarów, jak informowali majora ludzie obeznani, można było sobie załatwić taniec sześciu nagich dziewcząt rosyjskich w zaciszu własnego domu albo pokoju hotelowego. Jednakże major mimo zachęt ze strony swojego informatora nie dał się skusić, aliiści nie dlatego, że przeraziła go cena, tylko po prostu nie mógł sobie wyobrazić siebie zamkniętego w pokoiku hotelowym z sześcioma damami rosyjskimi... kto wie, może nawet rozebranymi do naga przedstawicielkami upadłej arystokracji rosyjskiej. Ponadto (wyliczył przezornie) nawet dla człowieka lubieżnego gra nie była warta świeczki, skoro dołożywszy jeszcze dziesięć dolarów można się było nacieszyć według obowiązujących cen każdą z tych sześciu dziewcząt z osobna.

Teraz z kolei nocne lokale Szanghaju rozplynęły się przed jego oczyma, a zastąpiła je świeca zapłonowa leżąca na pomarszczonej dłoni i para mętnych, zaniepokojonych oczu. Major odwrócił dłoń, żeby spojrzeć na zegarek. Słońce zaczynało już przygasać i zrobiło się trochę chłodniej. Matthew, wyglądający wciąż na zmęczonego, gramolił się z lagondy. Westchnąwszy major wkręcił świecę do pompy i poszedł umyć ręce. Był zaproszony na kolację do pana Wu, który należał do jego odziału P.S.P. w Mayfair. Wchodząc po schodach na werandę zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na bombowiec Blenheim sunący z pomrukiem po opalowym niebie w stronę lotniska w Kallang. Później, czekając na pana Wu, który miał po niego przyjechać, wziął „Straits Timesa”, aby poczytać, jak czarno rysują się losy Japończyków.

Od samego początku major i pan Wu poczuli do siebie ogromną sympatię. Każdy z nich zobaczył w drugim osobę tak miłą swemu sercu, że i bardzo prędko pan Wu zrozumiał, iż major jest po prostu angielskim panem Wu, a major, że pan Wu jest niczym innym jak chińskim majorem. Pan Wu nawet jakieś dziesięć lat wcześniej służył w Siłach Lotniczych Kuomintangu w Chinach, bowiem przy jakiejś okazji dał majorowi wizytówkę, na której pod gryzmołami chińskich znaków było napisane po angielsku: „Kapitan Wu, Piąty Dywizjon Pościgowy”. Major w każdym razie od chwili przybycia na Wschód zdał sobie sprawę, że nie ma na świecie takiej rasy i kultury, którą podziwiałby bardziej niż chińską, za ich grzeczność, ich dobroduszość, pomysłowość oraz poczucie humoru. A pan Wu łączył te wszystkie zalety z dobrocią charakteru. I Toteż błyskawicznie się zaprzyjaźnili podsycając swoją przyjaźń tyleż i uśmiechami co słowami, bo chociaż znajomość angielskiego pana Wu była dość znikoma, major ze swej strony nie umiał ani bez, ani me po kantonu.

Teraz siedzieli uśmiechając się w towarzyskim milczeniu na tylnym siedzeniu podstarzałego buickiego pana Wu, w drodze do restauracji. Tymczasem major raz jeszcze popadł w zadumę nad zagadnieniem, czy społeczność chińska okaże się lojalna. Gdyby wszyscy Chińczycy byli tacy jak pan Wu, z pewnością pomogliby bronić Malajów przeciw Japończykom z takim oddaniem, jakby to był ich własny kraj. Dla urodzonych w kolonii Chińczyków był to rzeczywiście ich kraj, ale czy chcą uznać go za taki? Major bowiem nie mniej niż Walter bał się konfrontacji wielonarodowościowego społeczeństwa Malajów z jednorodnym japońskim. Jakie szanse miałyby zagrożone w zamęcie, podzielone Malaje przeciwko tej sprawności i dyscyplinie, jakie widywał na każdym kroku w czasie swojej wizyty w Mandżukuo i w samej Japonii?

Po kilku miesiącach pobytu na Dalekim Wschodzie major zdumiewał się, że pociągi jeżdżą tam bardziej regularnie niż w Europie. Z Dairen do Harbinu jechał „Azja”, pędzącym z szybkością 60 mil na godzinę luksusowym ekspresem, który był chlubą Kompanii Kolejowej Południowej Mandżurii. Była w nim nawet biblioteka z książkami w języku angielskim ku uciechu anglosaskich pasażerów! Mimo to myliłby się ktoś, kto by sądził, że jest to naśladowanie zachodniego kraju - wyjrawszy przez okno, gdy pociąg ruszał ze stacji, aby popatrzeć na ludzi, którzy przyszli na peron odprowadzić swoich przyjaciół, nie widziało się machania rękami i krzyków podniecenia, lecz tłum chylący się ku ziemi i kłaniający w stronę odjeżdżającego pociągu, jak łan zboża w nagłym podmuchu. Major był wstrząśnięty, kiedy to zobaczył, bo już skłonny był zapomnieć, jak bardzo odmienni są Japończycy od Europejczyków.

Tak, ci Japończycy, dumiał major uśmiechając się promiennie do swojego przyjaciela, pana Wu (a przy okazji, dokąd to jada?), są zdumiewająco zdeterminowanymi i zdyscyplinowanymi ludźmi. Wierzą w dobrą robotę, nawet w Mandżukuo. W zakładach fryzjerskich posuwali się do tego, że przemywali uszy klientów wodą kolońską! Dość było zobaczyć, co osiągnęli... rozbudowali na przykład Changczun, dawniejsze skupisko rud, w nowoczesne miasto z elektrycznością, kanalizacją, parkami, szpitalami, bibliotekami, a nawet ogrodem zoologicznym. Ponadto było tam to, bez czego żadne nowoczesne cywilizowane miasto nie mogłoby się obyć - mianowicie pole golfowe!

Kilku młodych japońskich oficerów, widząc, że major siłą nawyku podróżuje ze swoimi odwiecznymi kijami golfowymi, zaprosiło go na partyjkę na pola na krańcu miasta. Podziękował im za tę propozycję, ale pojechał popatrzeć. Przez pół roku, wyjaśniali mu, człowiek musiał tam walczyć z syberyjską zimą, a przez drugie pół z mongolską burzą piaskową. Major patrzył z budynku klubowego, zaintrygowany, jak jego nowi przyjaciele w maskach gazowych na twarzach wkraczają mężnie w tumany piasku pędzonego przez setki mil po równinie nieustannym wiatrem. Tu i ówdzie major widział spłacheć śniegu, ale nigdzie ani jednego źdźbła trawy (powiedziano mu, że ją sprowadzono, ale się nie utrzymała). Nie ma co, Japończycy mieli zdecydowaną wolę czynienia wszystkiego jak należy!

Po pewnym czasie młodzi oficerowie powrócili, co prawda oddawszy ogromną ilość piłeczek mongolskiej równinie, ale za to wywiąawszy się z obowiązku wobec nowoczesnego cywilizowanego stylu życia. Następnie porwali majora, w którym widzieli już nie tylko golfistę i dżentelmena, ale i brata-oficera, do pobliskiej gospody na posiłek z surowej ryby i jaj obficie splukiwany galonami ciepłej sake. Z najwyższą szcze

rością i w poczuciu prawdziwego koleżeństwa wytłumaczyli majorowi jak mogli najlepiej mieszaniną angielskiego, francuskiego i niemieckiego, jak bardzo są przybici pewnymi wyraźnie antyjapońskimi demarchćs ze strony Brytyjczyków odnośnie ich polityki w Chinach. Oni sami, wyjaśnili, nie czują tej wrogości do Brytyjczyków, jaką żywi wielu ich młodych kolegów. Nie, odczuwają raczej smutek niż gniew, że Wielka Brytania popiera rząd nankiński w jego anty japońskich poczynaniach, i wierzą, że dzieje się tak, ponieważ szacowni Brytyjczycy są tak daleko, iż nie mogą pojąć, do czego zmierzają bandycy bojownicy Kuomintangu.

Major nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie mógł się dobrze rozeznać w tych zawiłych międzynarodowych sprawach, a siedząc w kucki na podłodze gospody ze swoimi nowymi przyjaciółmi, z których jedni byli w mundurach wojskowych, inni zaś w kimonach, stwierdził wkrótce, że sake zmaćiło mu obraz nawet tych nielicznych momentów, jakie zdawał się rozumieć. Co gorsza, w chwili gdy myślał, że oto zaczyna rozgryzać ów problem, nagle pojawiła się młodzieutka gejsza ubrana i umalowana niby urocza laleczka i zaczęła śpiewać pieśń jakby samotnego ptaka brodzącego na jakiejś dalekiej syberyjskiej rzece, pieśń tak czarowną, tak melancholijną, która trwała i trwała, piskliwa, liryczna, wzruszająca i smutna... major był do głębi przejęty smutkiem i pięknem tej pieśni i mógłby jej słuchać godzinami, lecz zaraz, co to on chciał powiedzieć o rządzie nankińskim?

- Jest naszym szczerym życzeniem, majorze - oświadczył jeden z jego wymowniejszych towarzyszy łyknąwszy naparstek sake - by jak już się pozbędziemy tej złej polityki chińskiej, Anglia i Japonia przyjaźnie współpracowały w celu - jak się wyraził - „rozwoju” ekonomicznego Chin.

- Muszę przyznać... -zgodził się major uprzejmie, a tymczasem ktoś inny zaczął mówić, że nie są zainteresowani w dopomaganiu kupcom z Osaki w zwalczaniu kupców z Lancashire (-No, to wspaniale! - oświadczył major z zapałem). Są przeciwko Wielkiemu Biznesowi, a ich jedynym pragnieniem jest wspieranie Japońskiego Ducha Narodowego, chociaż chwilowo mogą się czuć zmuszeni do wykorzystania Wielkiego Biznesu dla własnych celów, takich jak „rozwij” Mandżukuo. Tak, ale najważniejszy jest Japoński Duch Narodowy!

- Muszę przyznać, że w pełni pochwalam tego Japońskiego Ducha Narodowego - rzekł major wznosząc z uśmiechem naparstek sake do góry.

286

- Ach, tak? - Jego towarzysze poczuli się zaskoczeni i zadowoleni tą uwagą. Major, który jedynie chciał być miły, trochę się zmieszał, lecz uznał, że lepiej nie wyjaśniać, o co mu szło. Nie pierwszy to raz jego żarty pozostawały niezrozumiane.

Zachęceni pochwałą majora, jego przyjaciele zaczęli się teraz szerzej rozwodzić nad Duchem Narodowym, aczkolwiek nie był on łatwy do zdefiniowania. Istniało wiele jego aspektów, jak lojalność wobec cesarza, major zapewne był w Tokio i widział, jak prości obywatele zbierają się przy ogromnej fosie okalającej pałac cesarski i kłaniają się w stronę bramy, którą czasami przechodził cesarz? Poza tym moralność-nie tak dawno grupa patriotycznej młodzieży studenckiej wtargnęła na dansing w modnym hotelu tokijskim i wyprosiła wszystkie pary „przynoszące hańbę krajowi”... (-Czy to trochę nie przesada?-mruknął major)... ale obcokrajowców oczywiście nie niepokojono. Major powinien zrozumieć, że taka akcja była konieczna dla ochrony ideałów i zwyczajów przed skażeniem obcymi wpływami. Najważniejsze jest, żeby i w szkołach zachować czystość narodową i lojalność dla cesarza. Officer siedzący po prawej ręce majora, szczególnie interesujący się edukacją, wyciągnął z fałd swojego kimona książkę i zaczął mówić z wielkim zapałem i ogniem w ciemnych oczach.

Major już wcześniej zwrócił uwagę na tego człowieka, ponieważ zrobił on z siebie coś w rodzaju widowiska na polu golfowym. Gdy jego towarzysze umieścili swoje piłeczki na wzgórku i spoglądali na nie przez okienka swoich masek przed oddaniem strzału w kłębiące się chmury piasku, w stronę, gdzie powinien się znajdować pierwszy dołek, człowiek ten zaczął krzyczeć do nich z daleka i machać rękami, robiąc sporo hałasu mimo wycia wiatru. Ponieważ nie zwracali na niego uwagi, wkrótce podszedł i stanął tuż przed miejscem, gdzie stali szurając nogami i uginając dłonie w nadgarstkach nad piłeczkami, wprost na linii ich strzału. Nie poprzestając na tym rozpiął bluzę swojego munduru obnażając pierś na podmuchy ostrego wiatru. Stał w ten sposób, ciągle wykrzykując, póki kilku graczy nie rzuciło kijów, aby łagodnie odprowadzić go na bok. Przyglądał się im wówczas posepnie z oddali, kiedy ponownie zaczęli swój rytuał, pokrzykując na nich od czasu do czasu.

- Ach, szkocka tradycja „żli” japońską tradycję - mruknął officer, który został w klubie, aby dotrzymać majorowi towarzystwa, i wydał się czymś bardzo zmartwiony.

Otóż właśnie ten człowiek, który własnym ciałem chciał wstrzymać

287

lot piłeczek golfowych, zaczął obecnie namiętnie coś dowodzić. Chociaż, jak wyjaśnili jego towarzysze, opanował on kilka języków zachodnich dla „ćwiczenia umysłu” i mówił nimi płynnie, nie chciał się nimi posługiwać nawet w rozmowie z cudzoziemcem... zatem jeden z braci oficerskiej musiał tłumaczyć jak umiał majorowi jego słowa. Ta książka w jego rękach, jest podręcznikiem używanym w szkołach - zaczął |wyjaśniać wyjaśnił to, co jak przypuszczał major, było tytułami rozdziałów: Uprawa herbaty, Nasze miasto, Cesarz, Zdrowe ciało, Śliwy daktylowe, Wielka Japonia, Kwiat wiśni, Wczesne wstawanie, Słońce i wiatr, Lojalne postępowanie... i tak dalej. (- Urocze - rzekł major - tylko myślę, że nie bardzo...) Te tematy w podręczniku były specjalnie przeznaczone do tego, aby dobrzy, lojalni Japończycy pracowali pilnie dla dobra narodu japońskiego!

Siedzący obok majora oficer z oczyma (niewątpliwie za przyczyną sake) płonącymi bardziej niż kiedykolwiek zaczął czytać w podnieceniu rozdział poświęcony lojalności wojskowej, przerywając raz po raz jedynie po to, aby obrzucić majora spojrzeniem pełnym nienawiści i wstrętu.

- Celem lekcji jest wzbudzenie uczucia lojalności i podsyć pragnienia, by poświęcać się dla cesarza. Jest tu opowieść o tym, jak w czasie wojny z Chinami nasi żołnierze wpadli w zasadzkę w środku nocy i wróg zaczął do nich strzelać z bliskiej odległości. Zamiast umknąć tchórzliwie, przesycony duchem samopoświęcenia idą do natarcia i trębacz Ki- kuczi, chociaż ciężko ranny, przykłada trąbkę do ust i wydaje w nią ostatnie tchnienie... (-No, no - powiedział major).

- Jeśli w jaki czas cesarz rozkazywa, ten, kto jest japoński, musi dzielnie maszerować do bitwy. Kiedy on tam domaszeruje, musi pilnie słuchać, co rozkazywa oficer starszy. Trębacz Kikuczi, który ofiarował życie, on wykonał obowiązek ze szlachetnością i dał przejaw wspaniałemu poczuciu lojalności dla cesarza!

Major, nie przyzwyczajony do dłuższego przesiadywania w kucki, czuł, że stawy mu sztywnieją i pora wracać do hotelu, aby odespać wypitą sake. Ale siedzący obok oficer wciąż czytał i czytał z podręcznika. Wkrótce skończył rozdział o śliwach daktylowych i jął deklamować z uniesieniem fragmenty z rozdziału o Wielkiej Japonii. Wreszcie jednak został uciszony przez kolegów, którzy chcieli coś powiedzieć majorowi, mieli do niego pewną prośbę. Czy pozwoli łaskawie, aby zaśpiewali starą pieśń szkolną?

- Ależ, oczywiście! - odparł major nie mając pojęcia, jak może brzmieć stara japońska pieśń szkolna (może jak cały chór ptactwa brodzącego w jakiejś samotnej syberyjskiej rzece).

Lecz nie, major nie zrozumiał. Oni chcieli zaśpiewać starą pieśń jego szkoły.

- Pan uczył może do słynnej akademii jak Eton i... - oficerowie starali się przypomnieć sobie drugą nazwę - Eton i Harromachi.

- W tym samym stylu, ale mniejszej - zgodził się major. - Moja szkoła nazywała się Sandhall. - Informacja ta bardzo ucieszyła młodych oficerów i uśmiechając się do majora obracali tę nazwę na podniebieniach, smakując ją z upodobaniem. I doszło do tego, że w odpowiednim czasie, po licznych próbach i falstartach, stara szkolna pieśń majora w wykonaniu jednego czystego i niezbyt pewnego tenora chóru brodzącego ptactwa, który objął nawet oficera o płomiennych oczach, zabrzmiała nad pustymi obszarami Mandżurii.

Alma mater te bibamus, Tui ca li ces poscamus, Hanc sententiam dicamus: Floreat Sand...ha!...ha!...lia!

A teraz, chociaż był z nimi w wojnie, siedząc obok swego przyjaciela, pana Wu, major wspominał tych młodych oficerów z przyjemnością. Podziwiał ich idealizm - cóż to byli za wspaniali ludzie! Ale jednocześnie należało przyznać, że ten Duch Narodowy miał swoją niepokojącą stronę - major czuł to nawet wówczas - a teraz czuł to tym silniej. Należy, oczywiście, oczekiwać, by oficerów przenikał duch patriotyczny. Oficerowie brytyjscy, choć mniej wypowiadali się na ten temat, byli zapewne tak samo oddani sprawie, której służyli. Ale majora uderzyło to, że nawet w czasie pokoju cały naród japoński zdawał się przesycony tym zapałem. Później tego samego roku major odwiedził ogromny ośrodek przemysłowy i kopalniany Mitsui w Mii na Kiusiu i widział inne oznaki nacjonalistycznego ducha, który przenikał Japonię. Widział, na przykład, całą załogę fabryki, kilkuset mężczyzn, którzy trzykrotnie kłaniają się w stronę tokijskiego pałacu. Pokazywano mu laboratorium, w którym produkuje się specjalne pigułki fosforanowe dla górników, aby lepiej pracowali - każdy z nich, nim zjechał do szybu, dostawał taką pigułkę do połknięcia. A jeśli tak było w Japonii w roku

r.

A

1937, (o juk musi być toru/., gdy krój jest w wojnie z Imperium Brytyjskim i Ameryką? Mujor westchną) ponuro wysiadając z hu Ieku, ponle- waż przybyli tymczasem na młojsce.

Ody major był /utopiony w swoich smętnych myślach, wjechali w In- birynt chińskich uliczek leżących między Bencoolen Street a Rouch Road, Zbliżyli się do swego celu, jak się okazało, jedynie o tyle, o lic Im pozwoliła na to szerokość ulicy, buick bowiem przestał się mieścić w uli- czkach, przez które wiodła ich trasa. Major podążał za panem Wu sze- regiem bardzo wąskich i mocno pachnących zaułków, póki promieniejąc uśmiechem i mrużąc: - Tędy, proszę ■- jogo gospodarz wprowadził go do zdumiewająco obskurnej restauracji. Była pustn, jeśli nic liczyć rikscharzu, który siedział, bosy, na ławie z głową między kolanami, szybko zmiatając smażono mee z miseczki przyłożonej do ust. Jakaś starKZu kobieta wycierająca podłogę przorwał na chwilę pracę, aby popatrzeć na majora obojętnym wzrokiem. Pan Wu poprowadził go z chichotem na górę. Lecz nu wet kiedy się piął po schodach, przesładowało go ostatnio niepokojąco wspomnienie z wizyty w Japonii. Jeden z młodych oficerów powiedział mu, że gotowość Japończyków do oddania życia za swój krój można porównać do mrówek w „Alpach japońskich”, które gdy im zugużu ogień, gromadzą się wokół i guszą go swymi włusnymi ciulami, broniąc w ten sposób gniazda przed spaleniem. Czyż Jupończy- cy nic potruktowali właśnie w ten sam sposób rosyjskich karabinów maszynowych w Port Arthur?

- Ale przecież nikt nic zagruża waszemu gniazdu - odparł mujor. Oficer po chwili numysłu wyjaśnił złowioNzezo, że właśnie tukim zagrożeniem jest próba pozbuwiciu Japonii surowców i rynków.

Salka, do której pan Wu wprowadził teraz mujoru, była burdzoatłoczona i bardzo, burdzo gorąca. Stolik, który im wskazano, był już zajęty, przynajmniej w tym sensie, że leżał na nim rozciągnięty w otępieniu młody Chińczyk, trudno orzec, czy ze zmęczeniu, czy od narkotyków. Jednakże zabrano go szybko i przetarto stolik moką ścierką. Od ruzu rzucało się w oczy, że pan Wu był tu klientem szanownym. Tymczasem mujor nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadać panu Wu pytania, które go wcześniej dręczyło (i nu j wyraźnie j zakłóciło spokój ducha gubernatora i innych wybitnych obywateli Singapuru): w jaki sposób zare- ugują nu inwuzję chińscy i mulujscy mieszkańcy kolonii?

Pun Wu, który dotychczas uśmiechał się pogodnie, natychmiast spo- ważniul. Mujor, nic mogąc dosłyszeć, co pun Wu mówi, z powodu wrzo*

wy pilnującej dokoła, pochylił się nad stolikiem, lecz nadal nic nie słyszał, zobaczył tylko, juk krągła twarz pana Wu wydłuża się w miarę mówienia. Lecz teraz znowu się rozpogodziła, dzięki Bogu!

Wkrótce stuło się jednak jawno, że tu zmiana w nastroju pana Wu została spowodowani! przygotowuniami do ich posiłku, nie zaś stanem panującym w kolonii... nu stole postawiono rozklekotany palnik gazowy podłączony do gumowej rurki i zupulono. Na palniku postawiono wklęsty motulowy krążek uformowany w kształcie miski i wypełniony czystym rosołem. Potem zwiększono strumień gazu tak, iż błękitne płomienie sięgały už do krunwędzi miski i zupa zuczęła bulgotać.

- My nuzywumy ccc... parostatek - wyjaśnił pan Wu.

„Nic dziwnego, że tu tuki upał” - pomyślał major, który cierpiał z powodu punującego gorąca. Podobne błękitne płomienie syczały na innych stolikach, a wrzawa czyniona przez ludzi siedzących wokół nich była ogłuszająca. Sączyl gorącą herbutę, którą przed nim postawiono, i marzył o zimnym piwio. Miodu kelnerku podeszlu do ich stolika i jęlu wrzucać z talerza pułczkami kuwnłki mięsa, kurczęciu i ryby do wrzącej zupy. Ody się ugotowały, wylawiała je i wrzucała ruz do miseczki majoru, raz znów do miseczki punn Wu. Mujor prugnąc być grzecznym usiłował nuwirzuć rozmowę na temat gaszenia pożarów, jednakże ledwie słyszał własne słown, a cöz dopiero słowa pana Wu.

Inłus przy innych stolikach zaczął wzrastać. Major był zdumiony. Przywykł myśleć, że Chińczycy są spokojni i grzeczni, ule ci tutaj wrzeszczeli juk opętuni. Sum pun Wu zdawał się nie dostrzegać swoich współbiedników, póki major nie zwrócił mu nu nich uwagi. Musiał krzyczeć, żeby go usłyszuno... Kim są ci młodzi ludzie przy innych stolikach?

- Narodowe Towarzystwo do Wulki z Wrogiem Kuomintangu! - odkrzyknął pan Wu. - Oni piją whisky dlu pokonuniu wrogu! -I ryknął śmiechem, u mujor rozejrzul się. Pun Wu mini rucję: każdy z młodych Chińczyków miał przed sobą nu stole pół butelki whisky, z której od czusu do czusu popijał, aby zwilżyć gurdło, nim zucznie znów się drzeć!

Upływał wieczór. Upuł i hałas stuwuły się coruz dotkliwsze. Mujor zdecydował, że to może być jedynie zebranie miejscowego oddziału Korpusu Młodej Krwi i Żeluzn do Hksterminucji Zdrucjów. Nie inołg się oprzeć przed wątpliwym porównaniem tych rozszalulych, wrzuski- wych młodych ludzi ze zdyscyplinowanymi oficerami japońskimi, których poznul. Juką szunse mieli by przeciwko nim? Żudnej. Oczy mieli

wybałuszone, twarze czerwone, choć nic aż tak jak majora, żyły im wystąpiły na skroniach. Wielu z nich było w cieniutkich podkoszulkach i gdy bardziej popili, podnosili je odsłaniając brzuchy, aby ochłodzić sobie pepki. Wkrótce zdruzzeni wykrzykiwaniem do siebie wzajem, otoczyli kołem majora i pana Wu i wy wrzaski wali teraz coś do nich.

Tymczasem wcale tym nic przejęty pan Wu nadal wybierał pałeczka* Jmi z wrzącej zupy co smaczniejsze kęski kałamarnicy i ślimaków mors- [kich i wrzucał do miseczki majora. Dopiero zakończywszy tę czynność zauważył udrękę na twarzy swego gościa. Spróbował wówczas coś wyjaśnić, lecz major, ogłuszony, nic nie słyszał. Wówczas pan Wu odwrócił się do rozwrzeszczanych młodzieńców i z ledwie dostrzegalnym skrzywieniem twarzy mruknął coś cicho. Młodzi ludzie natychmiast przestali krzyczeć i cofnęli się, obserwując dalszy przebieg posiłku od swoich stolików.

- Oni zrobili pana członkiem stowarzyszenia - wyjaśnił uprzejmie pan Wu. - Stowarzyszenia o nazwie Pięść Kwiatu Śliwy.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął wzruszony major. - Niech im pan z łaski swojej bardzo podziękuj! - Zastanawiał się, czemu ta nazwa poruszyła w jego duszy jakieś odległe wspomnienia. Dopiero później uzmysłowił sobie, z czym one się wiązały. Czyżby miała coś wspólnego z Powstaniem Bokserów w 1900 roku? Ależ tak, jedna z frakcji, która poprzysięgła przepędzić z Chin wszystkich obcokrajowców, nazywała się właśnie Stowarzyszeniem Pięści Kwiatu Śliwy... Był tego prawie pewien. Musi pamiętać, żeby zapytać o to pana Wu.

- Drogi Herringport, teraz, gdy pana kraj przystąpił do wojny, nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności, jak spełnienie pana prośby. - W taki to sposób Brooke-Popham, przyłapany przez Ehrendorfa, kiedy wychodził z konferencji, dał mu okazję zaspokojenia jego największego pragnienia: bezzwłocznego opuszczenia miasta, w którym mieszkała Joan. Brooke-Popham wypowiedział to tonem, który u takiego dżentelmena brzmiał nieco zgryźliwie - Brooke-Popham miał dosyć tego przyłapywania go przez różnych ludzi, miał także dosyć tej wojny, chociaż dopiero się rozpoczęła. Jednakże za kilka dni ktoś inny zajmie jego stanowisko głównodowodzącego, on sam zaś będzie mógł powrócić do Anglii. I będzie to akurat w samą porę, jeśli o niego chodzi.

Zauważywszy, że jego szorstki ton nieco uraził Ehrendorfa, Brookc- -Popham zmiękł i kładąc przyjaźnie dłoń na ramieniu młodego człowieka przeszedł z nim kilka kroków korytarzem, bo ostatecznie był to uroczy młody Herringport, a nie jeden z tych agresywnych facetów z Rady Wojennej,

- Co byś zaproponował, Jack? - rzucił przez ramię. - Ten młody człowiek chciałby się przyjrzeć działaniom z bliska.

- Sądzę, że pewien czas spędzony w sztabie Heatha w Kuala Lumpur stworzy najlepszą do tego okazję - padła uprzejma odpowiedź.

- Świetna myśl! Załatw to z Percivalem i Hcathem, dobrze? Zakładam - ciągnął dalej, tym razem do Ehrendorfa - że pana szefowie nic będą mieli przeciwko temu. Ostatecznie teraz, kiedy staliśmy się sprzymierzeńcami, nic powinniśmy z nimi zadziierać. - I głównodowodzący szedł dalej trzymając wciąż po ojcowsku dłoń na ramieniu Ehrendorfa, lecz bacznie się rozglądając, czy nie czyha na niego jakiś pacholek któregoś z miejscowych dygnitarzy. - A przy okazji, Jack - rzucił znów przez ramię. - Czy zetknąłeś się kiedyś z facetem o nazwisku Simp- son? Nie? Ma obsesję na punkcie zapór przeciwczołgowych. Mówi, że czołgi japońskie mogłyby przejść przez Malaje jak małe pigułki Cartera na wątrobę i nie będziemy w stanie ich zatrzymać. Choć nie wiadomo, może i ma rację. Trzeba być sprawiedliwym. Co o tym sądzisz?

Dzięki Bogu, to nie moja sprawa, tylko Percivala. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Bardzo dobrze się prezentujący facet. Mówi, że jest inżynierem. Oczywiście nie ma powodu wątpić...

Widząc, że uwagę głównodowodzącego zajął inny problem, Ehrendorf skorzystał z okazji i uciekł, lecz przedtem jeszcze załatwił sprawę potrzebnych dokumentów z innym członkiem świty Brooke-Pophama. Potem pospieszył do miejsca, gdzie stał jego samochód... lecz w drodze zdarzyło mu się coś dziwnego. Już od kilku dni zdawał sobie sprawę z napięcia przebiegającego przez środek jego ciała. To napięcie od ostatniego spotkania z Joan stale wzrastało. Nagle teraz, w drodze do samochodu służbowego (było to zupełnie niespodziewane), rozdzielili się na dwóch Ehrendorfów. Gdy jeden Ehrendorf wydawał energiczne polecenia kierowcy, który nie zauważył nic nadzwyczajnego, drugi usiadł na tylnym siedzeniu samochodu kiwając smutnie głową, jakby chciał powiedzieć: „To wcale nie jest ważne, gdzie każesz się zawieźć, bo wszystkie miejsca są dokładnie takie same”. I podczas gdy pierwszy Ehrendorf, ignorując to, usiłował zdecydować, czy wysłać jeszcze jeden „ostatni list” do Joan (wysłał już ich parę), ze wzmianką, że „wyjeżdża na front” (drobna przesada, ponieważ główna kwatery II Korpusu Indyjskiego, dokąd się udawał, aczkolwiek stanowiąca centrum dowodzenia północnych Malajów, była względnie bezpiecznie i wygodnie umiejscowiona w Kuala Lumpur), i życzyć jej wszystkiego najlepszego z Matthew albo tym facetem jąkałą, drugi Ehrendorf nadal przyglądał mu się obojętnie i z pogardą, jakby sugerując, że napisanie takiego listu byłoby równie bezużyteczne jak każda inna inicjatywa i na dodatek stanowiłoby oznakę słabości, udawaniem szlachetnych uczuć, jakich w najmniejszym stopniu nie posiadał.

Gdy przejeżdżali przez most Andersona, samochód musiał zwolnić, ponieważ napotkał kolumnę wozów pancernych. Spojrzawszy na rzekę Ehrendorf zobaczył kiście sampanów i tongkangów płynących po szlamie: tu całe rodziny chińskie pędziły swój żywot. Na chwilę niedola tej żyjącej na wodzie ludności sprawiła, że dwaj Ehrendorfowie znów stali się jednym. Lecz rozdzielili się znowu po drugiej stronie mostu. Trudno się bowiem spodziewać, że człowiek będzie co drugi dzień porównywał własną skromną, lecz osobistą niedolę ze zbiorową niedolą świata! Byłoby to zbyt wielkie wymaganie. A co do tego listu, czy byłoby to naprawdę litowaniem się nad samym sobą, gdyby wysłał Joan parę słów z życzeniami szczęścia z Matthew w dalszym życiu, z Matthew, który jest

również jego najlepszym przyjacielem? Jednakże prawda jest taka (czy rzeczywiście?), że pod przykrywką tych jedwabistych życzeń pragnął posłać Joan porcję zgryźliwego sarkazmu. Niechże ma odwagę się przyznać! Tak to dumali posępnie dwaj Ehrendorfowie na tylnym siedzeniu samochodu.

Wróciwszy do swego mieszkania przy Market Street spakował plecak i postawił przy drzwiach. Następnie zaczął błąkać się bez celu od saloniku do pokoju sypialnego i z powrotem biorąc od czasu do czasu do ręki jakiś przedmiot (buteleczkę atramentu, grzebień, szpulkę nici bawełnianych koloru khaki), badając go wzrokiem i znów odkładając. Długi czas stał z oczyma wlepionymi w kawałek ściany przy oknie, gdzie za grubo położona farba zaczynała się łuszczyć - przyglądał jej się z ogromną uwagą, jakby w niej było jakieś ukryte znaczenie, lecz w końcu wrzuciwszy ramionami odszedł nie mogąc nic odcyfrować. Zatrzymał się, żeby popatrzeć chwilę na Market Street. Normalnie było to jego ulubione zajęcie: uwielbiał zapach kminku, cynamonu i indyjskiej przyprawy korzennej, który napływał do jego okna, kiedy do sklepu korzennego na dole przywożono worki i baryłki korzeni. Po drugiej stronie ulicy mieściły się kantory lichwiarzy - ćetjarowie w białych przewiewnych dhoti drzemali w ich cienistych wnętrzach nad rachunkami, siedząc w kucki lub półleżąc na podwyższeniach z polerowanego drewna w oczekiwaniu na klientów lub ślęcząc nad księgami na sięgających kostek biurkach, których blaty były ciemne i lśniące jak ich skóra. Przypominali Ehrendorfowi senne aligatory oczekujące, aż fala przechodniów przepływając ulicą przyniesie im ślepym trafem jakiś kasek. Uśmiechnął się na tę myśl, ale widok ulicy zaczął go wkrótce przytłaczać, więc odszedł od okna biorąc tym razem do ręki swoją fotografię z braćmi i siostrami. Odruchowo włożył ją do koperty i napisał na niej nazwisko i adres Matthew, po czym zaczął się zastanawiać nad jakimś przyjaznym zdaniem, które by mógł napisać na odwrocie fotografii, ale nic mu nie przychodziło do głowy, miał w niej pustkę. W końcu, nie mogąc wymyślić nic odpowiedniego, zakleił kopertę, nalepił na niej znaczek i włożył ją do kieszeni. „Która to godzina?” - zapytał głośno. Opanowało go przemożne pragnienie snu, choć spał dobrze całą noc i większość wczorajszego popołudnia. „Nie, to na nic. Jeżeli wyjdę teraz i złapię wczesny pociąg, będę w Kuala Lumpur o...” Lecz zamiast to uczynić, wziął gazetę i zaczął czytać artykuł o rozwijającej się przyjaźni między chińskimi a hinduskimi członkami cywilnej obrony przeciwlotniczej. „Może powinienem coś zjeść?”

„... Ten drobny incydent jest typowy dla ducha koleżeństwa dającego się zauważyć codziennie na ulicach miasta wśród azjatyckich i europejskich ochotników Biernej Obrony...” Jaki drobny incydent? Choć Ehrendorf zaczął pilnie czytać artykuł od początku, nie znalazł owego „drobnego incydentu”. Policzył nawet strony gazety, bo myślał, że zgubił gdzieś jedną. Ale nie, były wszystkie. Odrzucił ją na bok. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy powinien teraz położyć się spać, czy pojechać na dworzec? Wszedł do kuchni i otworzył lodówkę - znalazł w niej jajka, mleko, sałatę, trochę peklowanej wołowiny na talerzyku (w dodatku zamrożonej), ugotowany kartofel, który nie wiadomo dlaczego zrobił się ciemnoszary, kilka buraków i rękopis swojej powieści o utalentowanym młodym Amerykaninie z Kansas City. Amerykanin jest na stypendium w Oksfordzie i zakochawszy się tam w Angielce, otoczonej cynicznymi, przemądrzałymi ludźmi, schodzi wreszcie na psy zapominając o szczerej, dobrej amerykańskiej dziewczynie, którą pozbawił dziewictwa płynąc przez Atlantyk statkiem linii Cunard et cetera... „Jakże ja mogłem wypisywać takie bzdury?” Mimo to nie mógł się zdobyć, by podrzeć rękopis... („Brak mi teraz jedynie szczerej dobrej amerykańskiej dziewczyny”) Zostawił powieść tam, gdzie była, a wyjął jedzenie i smażył jajka i szary gotowany kartofel. Potem zaczął jeść. Nie czuł się w najmniejszym stopniu głodny, ale jego kalwińskie sumienie nie pozwalało na to, aby jedzenie się zepsuło, gdy ón będzie poza Singapurem. Zdawał sobie sprawę, iż byłoby lepiej, gdyby je oddał jakiemuś głodnemu singapurczykowi, ale w tym stanie ducha nie mógł pozwolić sobie na szukanie takowego. Zmiał więc jedzenie bez skrępowań starając się od czasu do czasu czknać, by nieco ulżyć przeciążonemu żołądkowi. Gdy skończył, zmusił się jeszcze do zjedzenia, w formie dodatkowej pokuty, kawałka tortu, który znalazł w blaszanej puszcze. Jedząc i zapijając tort mlekiem, aby przemienić go w ustach na łatwiejszą do przełknięcia papkę, dumiał nad naturalną skłonnością człowieka do psucia różnych rzeczy, skłonnością, której w swoim ślepym optymizmie aż do tej chwili nie dostrzegał. Ponieważ nie wydawało mu się, aby ktokolwiek inny poświęcił jej wiele uwagi, poczuł się upoważniony do ochrzczenia swojego odkrycia mianem „Drugiego Prawa Ehrendorfa”. Brzmiało ono: „W dziedzinie spraw ludzkich rzeczy przejawiają tendencję do nieuchronnego psucia się”. Albo ujmując to inaczej: „Ludzkie położenie zarówno w ogólności jak i w poszczególnych wypadkach jest w danym momencie nieco gorsze niż uprzednio” Myśl ta wywołała lekki uśmiech na jego twarzy - musi podzielić się nią z Matthew.

Pokonawszy z niebywałym trudem pragnienie położenia się do łóżka i przespania kilku godzin, Ehrendorf zdołał wreszcie przekonać samego siebie, że powinien wyjechać wieczornym pociągiem do Kuala Lumpur - był czwartek, 11 grudnia. Jeszcze nim wyruszył, już czuł się bardzo zmęczony, poza tym był przejeżdżony, mdliło go od jedzenia, które w siebie wmuśił. Przepastny dworzec kolejowy przy Keppel Road był zatłoczony znużonymi, zmęczonymi lub zrezygnowanymi żołnierzami: Brytyjczykami, Hindusami i Ghurkami, którzy poskładali swoje plecaki i karabiny byle jak na kupę. Słychać było wykrzykiwane rozkazy, co jednak nie pomniejszało chaosu i tylko sprawiło, że Ehrendorf, który od tygodni nosił się z zamiarem przemienienia swojej powieści w epos wielki jak u Tolstoja, zaczął się zastanawiać, czy wojna w ogóle kogokolwiek interesuje oprócz dowódców, którzy ją prowadzą. Czy dla otepiałych z nudów żołnierzy nie była ona tkwieniem w jednym miejscu całymi godzinami, tylko od czasu do czasu przerywanymi momentami grozy?

Pociąg, kiedy w końcu udało mu się go znaleźć, był już zatłoczony. Ehrendorf przeczesał się do przedziału pierwszej klasy, gdzie siedziało kilku brytyjskich oficerów, którzy zmierzili go wrogimi spojrzeniami. Jeden z nich zabrał niechętnie swój plecak z miejsca przy oknie - jedyne wolne w przedziale. Było tam bardzo gorąco i nic nie zdradzało, że panująca tu atmosfera niechęci zaraz ustąpi, a pociąg ruszy. Insignia Kolei Malajskich, palmy i lew, były wygrawerowane na oknie koło Ehrendorfa - patrzył na nie, myśląc o minionych czasach wygody i bezpieczeństwa na Malajach, i uznał je za piękne. Wreszcie pociąg ruszył i wypelzli ze stacji mijając szpital ogólny i stary szpital dla umysłowo chorych po prawej ręce, a potem przemknęli wielkim łukiem przez wyspę ku Grobli. Niemal natychmiast czerwone dachy domów Singapuru ustąpiły miejsca dżungli tak zdumiewająco gęstej, że już po kilkuset jardach trudno się było domyślić, iż tuż za nią leży wielkie miasto. Dalej minęły bagna mangrowe, ubogą malajską wioskę zarzuconą rdzewiejącymi puszkami, lasem bananowy, parę małych plantacji kauczuku, kilka marnych drzewek papajowych, później znowu dżunglę i bagna, aż znaleźli się przy Grobli i lśniącej po obu stronach wodzie.

Gdy wyjechali z wałących się ulic Johore Bahru, dżungla znowu powróciła - zwarta ściana zieleni, w której trudno było rozróżnić poszcze

gólne gałęzie. Ehrendorf odniósł wrażenie, że jedzie nie kończącym się ciemnozielonym korytarzem. Wkrótce zrobiło się ciemno i zaczął padać ulewny deszcz zmuszając do zamknięcia okien. Zaraz zrobił się nieznośny upał. Jedynym oświetleniem była żarówka na suficie zamałowana na niebiesko ze względu na zaciemnienie; w jej mdłym blasku ledwie można było rozróżnić twarze ludzi w przedziale. Czas płynął. Deszcz ustał i można było znowu otworzyć okna. Kiedy się zatrzymali, bez żadnych widomych przyczyn, Ehrendorf poczuł parę, która zawisała w wilgotnym powietrzu.

Znowu ruszyli powoli i znów się zatrzymali. Ktoś biegł wzdłuż pociągu dmuchając w gwizdek i krzyząc: „Nalot lotniczy!”, a jego buty chrzęściły na żużlu, kiedy przebiegał obok. Jeden z oficerów zgasił niebieskie światło i wszyscy sięgnęli po hełmy. Nic się nie działo - siedzieli w milczeniu, czekając. Nocne głosy dżungli wzmogły się wokół nich, niesamowite i przerażające. Coś otarło się o twarz Ehrendorfa w ciemnościach, być może ćma, i zamachnął się na to z obrzydzeniem. Nadał nic się nie działo. Czując senność oparł głowę o ścianę przedziału, a hełm przekrzywił mu się tworząc wygodne oparcie. Po nie kończącym się, jak się zdawało, oczekiwaniu pociąg znów ruszył ostrożnie naprzód.

Teraz Ehrendorf spał potrząsany to w tę, to w tamtą stronę ruchem pociągu. Pamiętany z dzieciństwa zapach pustych puszek po papierosach ojca wyprawiał harce z jego podświadomością. I myślał we śnie: „Jak bardzo zbliżamy się do rzeczy, kiedy czujemy ich zapach!” Potem jego niespokojny umysł wypełniły niejasne obrazy Joan. Ehrendorf widział ją idącą przed nim w niebieskiej bawełnianej sukience, pokazującą się i niknącą w rytmie ruchu pociągu. „Nic by i tak z tego nie wyszło. Nie mieliśmy z sobą nic wspólnego”.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce, być może Segamat lub Gemas. Trudno było się zorientować, bo na peronie nie paliły się światła. Gdzieś niedaleko pomrukiwała burza - nad wierzchołkami drzew migały błyskawice. Zastanawiał się, która może być godzina. Błyskawica oświetliła na chwilę przedział i Ehrendorf zobaczył towarzyszy podróży. Nadał milczeli, lecz już nie siedzieli prosto - oklapli, jakby ich w jakiś tajemniczy sposób zagazowano. Koło nich zatrzymał się pociąg jadący w przeciwnym kierunku. Po chwili jeden z pociągów ruszył - Ehrendorf myślał początkowo, że to jego, ale okazało się, że tamten; gdy zdał sobie z tego sprawę, aż go ścisnęło w dołku. Obok przemykał jeden zaciemniony przedział za drugim. A potem przedział, który w porównaniu z tamtymi, wydał się jasno oświetlony. Ehrendorf, jeszcze odurzony snem, dostrzegł grupę generałów pochylonych nad mapą na stoliku. Żerwał się szybko, ale pociąg już znikł w mroku.

- Czy to był generał Heath? - zapytał oficera siedzącego naprzeciwko, ale nie otrzymał odpowiedzi. Heath dowodził III Korpusem. Ostatecznie, dumał, jeszcze nie jest tak źle, skoro Heath jedzie sobie z wizytą do Singapuru.

Dupigny spędził dwa ostatnie dni bardzo przyjemnie w George Town, jedynym znaczniejszym mieście na wyspie Penang. Przyjechał tu z Singapuru dlatego, że potrzebował jakiejś odmiany, a częściowo w nadziei pożyczania pewnej sumki od swojego francuskiego przyjaciela. Aczkolwiek, jak się okazało, nie zdołał pożyczyć pieniędzy, jego pobyt na wyspie Penang okazał się pod innymi względami udany. Zdołał jakoś mimo wyświechtanego ubrania przekonać zarząd hotelu Eastern and Oriental, że monsieur Ballereau, francuski konsul w Singapurze, którego Dupigny uważał bez specjalnego powodu za swojego zaprzysiężonego wroga, zapłaci wszystkie jego rachunki i kwity... a rzecz to nie do pogardzenia, zważywszy, że hotel miał wyborną kuchnię. Obecnie idąc na spacer na esplanadę, aby nabrać apetytu przed obfitym obiadem, jaki zamierzał spożyć, rozpatrywał następujący problem: czy fakt zamieszkiwania w hotelu Eastern and Oriental będzie oznaką dostatecznej zamożności, by mógł kupić na kredyt nowe ubranie w jednym z lepszych sklepów. W normalnych czasach Europejczyk mógł śmiało liczyć, że uzyska kredyt bez trudności. Po prostu podpisywał kwit, który w odpowiednim czasie wykupywał. Ale ostatnio zaczęło być z tym trudniej. Dupigny już nieraz zetknął się z odmową, kiedy próbował coś kupić.

Był to bolesny problem, lecz Dupigny ani myślał pozwolić, by popsuł mu spacer. Ta promenada miała w sobie coś z atmosfery nadmorskich miejscowości wypoczynkowych w Normandii... chociażby Deauville albo Cabourg. Tutaj, na wysuniętym w morze krągłym wybrzuszeniu wyspy, nad połacią otwartej przestrzeni zakończonej ruinami Fortu Cornwallis prezydował ratusz i biura urzędu miejskiego. W Deauville, oczywiście, byłby jeszcze ożywczy zapach morza i łopocząca trójkolorowa flaga na maszcie. Tutaj też był maszt, ale flaga angielska sflaczała w wilgotnym upale. Nie, tutaj nie było ożywczych powiewów, lecz przymrużywszy oczy i wyteżywszy mocno wyobraźnię można by, na jedną chwilkę, pomyśleć, że się jest w tropikalnym Balbec w drodze na spotkanie z jakąś ciemnoskórą Albertine.

300

George Town, myślał Dupigny podążając drogą biegnącą skrajem wybrzuszenia wyspy ku miejscu, gdzie skręcała ostro na południowy zachód wzdłuż nabrzeża Weld do promu, nie jest najbardziej zachwycającym miastem świata, ale na pewno jednym z najspokojniejszych, mimo że wojna jest tak blisko. Tak, wydawało się nawet spokojne teraz, kiedy nabrzeże było zatłoczone Chińczykami i Hindusami, którzy przyszli popatrzeć, jak bombowce japońskie atakują Butterworth po drugiej stronie cieśniny, tak samo jak poprzedniego dnia. Jeśli nie liczyć zamieszek na tle rasowym między Hindusami a Chińczykami, na wyspie Penang z całą pewnością nie było tak wielkiego podniecenia od stu lat, kiedy to rządy nad Straits Settlements przejął Singapur... Lecz Dupigny ledwie zdążył dokończyć tę myśl - w następnej chwili spojrzął ku morzu, popatrzył jeszcze raz, zawahał się i zaczął biec.

W tropikach widok kogoś biegnącego jest niezwykle. Owszem, widuje się czasem Europejczyków, którzy na przekór upałowi grają w futbol, krykiet lub jakąś inną grę, lecz nie widuje się nikogo biegnącego jak Dupigny (jakby od tego zależało jego życie, a być może rzeczywiście zależało). Ludzie odwracali się, żeby na niego popatrzeć, kiedy gnał z powrotem drogą, którą przyszedł, ku ruinom murów i trawiastym wałom Fortu Cornwallis. Z początku krzyczał do nich, ale nie zwracali na niego uwagi - natychmiast zdecydował więc, że to tylko strata tchu i biegł dalej w milczeniu, mijając Chińczyka z Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej, który zaraz zdał sobie sprawę, co się święci, i zaczął wrzeszczeć do grupki Hindusów w pobliżu, usiłując ich gdzieś skierować. Chociaż próbował wskazać to, co nadciąga od lądu stałego, na nic się to zdało - kilku spacerowiczów nawet uśmiechnęło się do siebie na widok Europejczyka w średnim wieku, biegnącego ile sił w nogach w parnym popołudniowym upale. Teraz Dupigny przestał nawet zwracać na nich uwagę, prawie ich nie widział. Biegł i biegł, a chociaż był chudy, pot zalewał mu twarz i szyję.

Tu i ówdzie dum był tak gęsty, że trudno się było przedrzeć, lecz Dupigny bezceremonialnie rozpychał ludzi na boki, zdecydowany dotrzeć tam, dokąd zmierzał, zbyt wyczerpany, żeby móc przeproszać, choć znowu próbował wskazać za cieśninę. Kilku odepchniętych przez niego krzyknęło za nim gniewnie - nikt nie lubi, aby go spychano do ryszotki, gdy wyszedł na przechadzkę. Pewien starszawy dżentelmen angielski pogroził mu nawet laską: oto jeden z tych grubiańskich facetów, którzy ostatnio zaczęli przybywać na wschód - całe ich wychowanie da

301

łoby się zawiąć w znaczek pocztowy! Ale Dupigny wciąż biegł i biegł co tchu. Na twarzy miał wyraz zacieklego skupienia, nie patrzył ani w lewo, ani w prawo, głowę miał pochyloną i mocno pracował łokciami. Podeszwa jednego buta, które zmuszony biedą nosił od opuszczenia Sajgonu i o które dbał pieczołowicie od kilku tygodni, teraz oderwała się i zaczęła śmiesznie klapać. On jednak nie zatrzymał się, żeby się tym zająć, tylko zrzucił but w biegu, bo już ponad łomotaniem krwi w skroniach słyszał warkot nadciągających bombowców.

Kiedy się znalazł blisko rogu Light Street, gdzie brzeg skręcał w kierunku fortu i esplanady, tłum był już rzadszy i kilku ludzi patrzyło w niebo, ponieważ zwrócił ich uwagę rosnący ryk motorów. Paru z nich, przejętych tyle samo widokiem biegnącego Dupigny, co myślą, że te nadlatujące samoloty mogą stanowić źródło niebezpieczeństwa, przyspieszyło kroku, ale z wyrazem twarzy ludzi, którzy nie chcą się wydać śmieszni. Dupigny biegł dalej z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, bo teraz wydawało mu się, że biegnie we śnie, przez który przedzierają się, wkręcają do jego świadomości niczym maleńkie srebrne robaczki odgłosy gwizdków Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej, za nimi zaś rosnący, przesywający jęk syreny alarmowej zainstalowanej na dachu komisariatu policji.

Był już zaledwie o kilkadziesiąt kroków od osłony zielonych wałów fortu, gdy ruchy jego stały się powolne. Biegł i biegł, lecz fort jakby się wcale nie posuwał - mięśnie ud przestały mu być posłuszne. W połowie dzielącej go od fortu otwartej przestrzeni upadł na żwir. Nie słyszał już ryku motorów, ale spojrzawszy w górę zobaczył, że jeden z lecących bardzo nisko bombowców jest niemal tuż nad nim, zawisły w powietrzu jak drapieżny ptak, przesłaniając słońce. Zerwał się i rozpaczliwym wysiłkiem poszedł na chwiejnych nogach dalej i znalazłszy się na krawędzi trawiastego obwałowania zaczął się toczyć na łeb na szyję w dół, w cienistą głębię żlebu, pełnego piachu i kamieni. W chwili gdy to czynił, nadbiegła wielka fala huków, która przeleciała nad jego głową i szarpnęła dziko flagą zwisającą z masztu o kilka kroków dalej.

Leżał trzęsąc się przez kilka chwil, z głową osłoniętą dłońmi, kurcząc się, gdy jeden samolot po drugim przelatywał z hukiem, a po każdym z nich szła seria rezonujących wybuchów, które wstrząsały ziemią i spuszczały niewielką lawinę kamyków tuż przed jego nosem. Jednocześnie z wybuchami następowało coś, co przypominało stukanie paznokciami o metalowy stół, bardzo cichutkie i zwyczajne w porównaniu z tym gwałtownym grzmoceniem w bębny i gruchotaniem murów. Karabiny maszynowe!

Raz po raz słyszał łoskot padających bomb. Niektóre padały bardzo blisko, a przy każdej z nich następowało to samo drżenie ziemi i potok żwiru osuwającego się przy jego twarzy. Jakiś pajak przemknął obok w panice z niebywałą zwinnością. Podniósłszy głowę Dupigny zobaczył, że magazyny przy molo Swettenham i Victoria płoną, a dalej, na spokojnych i lśniących wodach w kierunku lądu stałego, z kilku stojących na kotwicy statków unoszą się słupy dymu, który następnie rozlewał się w coś na kształt baldachimów ponad nimi przybierając wygląd monstrialnych wiązków.

Przez kilka minut, chociaż już przyszedł trochę do siebie po tym morderczym biegu, leżał wciąż w tym samym miejscu nie myśląc o niczym. Potem wygramolił się na niepewnych nogach z miejsca swojego schronienia. Nie myśląc, dokąd idzie, chociaż być może wyobrażał sobie mgliście, że zdoła uciec od tej katastrofy tramwajem kursującym od mola kolejowego, wzdłuż Dato Kramat Road do Ayre Itam Village, zaczął iść z powrotem tą samą drogą, którą tu przybiegł. Ale oczywiście było to wykluczone - jeżeli bowiem nawet był motorniczy, to tory z pewnością zostały przerwane lejami bombowymi, a sieć trakcyjna leżała splątana na ziemi wśród gruzów domów.

Pomimo trzasku płonących budynków, krzyków i jęków rannych, Dupigny'emu nagle wydało się, że jest bardzo cicho, kiedy szedł do rampy kolejowej. Zdawało się, że ledwie przed chwilą biegł w przeciwnym kierunku, jednakże tłumy, przez które wówczas musiał się przeciskać, gdzieś znikły - rozplynęły się w tajemniczy sposób, pozostały tylko tu i ówdzie na płytkach chodnika tobołki ubrań - z wielu z nich jednak sączyła się krew.

Jeden z tych tobołków był z czystego białego muślinu i wyciekło z niego tak wielkie jezioro krwi, że aż Dupigny się zdziwił, iż ludzkie ciało może zawierać taką jej ilość. Musiał nadłożyć drogi, aby nie wstąpić w nią, co zważywszy, że zgubił jeden but, mogłoby być przykre. Jednakże widok krwi przyprawił go o mdłości i musiał przenieść wzrok na coś przyjemniejszego - owym czymś okazała się smuga dymu snującego się z okna płonącego budynku po drugiej stronie ulicy.

Przyjrzał się jej bliżej. Zauważył, że tym razem dym nie tworzy długiego, smukłego słupa i baldachimu niczym wiąz, jak w przypadku płonących na kotwicy statków, tylko krótką, grubą łodygę jak kalafior. I

tak samo jak kalafior ten dym wydawał się zielony w dole, wystrzeliwując białymi kwiatkami w górę. Ktoś krzyczał do Dupigny'ego z okna.

Nie. W oknie była kobieta, ale martwa. Zwisła z niego z opuszczonymi z wdziękiem ramionami, jakby płynąc łódką miała zanurzone w wodzie palce. Ale ktoś krzyczał do niego z ulicy - niski, gruby mężczyzna bez szyi — jego czerwona, podniecona twarz wyrastała jakby bezpośrednio z ramion, a ręce zaczynały się tuż pod uszami.

— Chodź no tutaj, pomóż mi! - krzyczał. — Musisz zabrać stąd parę rzeczy, żebym mógł wyjechać samochodem. No, chodź. Tak, do ciebie mówię. Jesteś tu jedyną osobą, więc nie ma innej rady. - Stał obok małego fordzika bez przedniej szyby. Ponieważ Dupigny nie miał zamiaru się niszyć, mężczyzna dodał błagalnie: — Niech pan się zmiłuje. Nie zostawi mnie pan chyba w takim położeniu? Te cholerne bombowce mogą każdej chwili wrócić.

— Dobrze — rzekł Dupigny i odgarnąwszy szkło z przedniego siedzenia samochodu usiadł obok tłuściocha, który powiedział:

— Nie, nie. Musi pan zakręcić! - i podał Dupigny'emu korbę. Dupigny wysiadł i z dużą trudnością znalazł otwór, do którego należało włożyć korbę.

, — Gotowe?—Ale prawie nie widział człowieka za kierownicą, ponieważ owiał ich dym z płonącego w pobliżu budynku.

Silnik natychmiast zapalił i Dupigny wsiadł. Wsiadając zauważył wymalowany na samochodzie obrazek reklamujący okrągłe puszki papierosów capstan.

— Ma pan papierosa? - spytał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Ruszyli z nagłym szarpnięciem wzdłuż linii tramwajowej omijając leje bomb, zwłoki i gruzy... miejscami, bo snujący się dym często zasłaniał drogę. Tłuścioch kierował mamrocząc coś do siebie i wylewając strumienie łez, które spływały po tłustych policzkach, ale trudno orzec, czy z żalu, czy ze strachu, czy po prostu z powodu dymu. Drogę zastąpiła im płatanina poskręcanych belek żelaznych i drutów wysokiego napięcia. Grubas patrzył przed siebie niepewnie.

— Niech pan wjedzie na chodnik.

— Ależ to jest zabronione - jęknął tłuścioch żałośnie. - Musimy wrócić.

— Niechże pan wjeżdża na chodnik - powtórzył Dupigny ostro - bo się nigdy stąd nie wydostaniemy. Naprzód! Już widzę, gdzie możemy przejechać przez rynsztok.

Pojechali dalej, w niektórych miejscach ledwie się mogąc precyzyjnie. Spojrzawszy w prawo Dupigny usiłował dostrzec jakieś oznaki życia w stacji straży pożarnej przy Chulia Street, ale zobaczył tylko nieprzeniknioną kurtynę dymu - być może sama stacja została zbombardowana. Skręciwszy w głąb wyspy, w Maxwell Road, zobaczyli rozhisteryzowany tłum, który gromadził się wokół rannych i zabitych na rynku, stanowiącym jedną wielką jatkę, gdzie trupy zwierząt i ludzi stały się nie do odróżnienia.

- Nigdy tędy nie przejeździemy - zaskamlał tłuścioch. - Zabijają nas jak psy.

- Niech pan nie będzie głupi. Niech pan skręci w Magazine Road. Tam zdaje się luźniej.

Na skrzyżowaniu przejechali znów przez tory tramwajowe. Tutaj nie było tak wielkich zniszczeń i sieć trakcyjna nie została zerwana. Mac-alister Road była zatłoczona podnieconymi ludźmi, ale poza tym na drodze nie było przeszkód. Wkrótce skręcili na północ, potem na zachód, na Burmah Road. Teraz znaleźli się na niemal wyludnionej wsi. „Dokąd my jedziemy?” - dziwił się Dupigny.

Nagle tłuścioch nacisnął pedał hamulca i samochód zarzucił bokiem z piskiem opon i stanął przy polu trzciny cukrowej. Dupigny nie rozumiał, co mogło być tego powodem. Grubas wyskoczył z samochodu i mocno pracując swymi małymi rączkami pomknął przez drogę i dał nura w trzcinę cukrową. Roślinność natychmiast go wchłonęła i wszelki ślad po nim zaginał.

- Ach! - Dupigny nagle zrozumiał, czemu grubas wziął nogi za pas. W powietrzu pojawił się dwusilnikowy bombowiec Mitsubishi lecący wzdłuż linii brzegu na zachód, lecz już zaczynają skręcać w głąb wyspy, ku stojącemu na drodze samochodowi, w którym siedział Dupigny. Samolot leciał bardzo wolno i bardzo nisko. Dupigny widział każdy jego szczegół. Bombowiec przechylił się na jedno skrzydło, aby zatoczyć wielki łuk i wrócić jeszcze raz nad George Town i port. Dupigny siedział w samochodzie, zbyt zmęczony, aby ruszyć z miejsca, i patrzył, jak dziób samolotu się przybliża wyglądając niby okrutne ostrze dzidy. Przez chwilę widział czworo drzwi komór bombowych pod brzuchem samolotu i jedno z kół wetknięte do połowy w podwozie jak żołądz w miseczkę. Teraz znowu można było dostrzec jego zamaskowaną powierzchnię na tle ciemnozielonego zbocza góry Penang, ale już za chwilę, kiedy przechylił się jeszcze bardziej, dół samolotu został zaciemnio

ny, a słońce nagle rozbłysło na szklanej ścianie pokrywy kabiny pilota, potem na wieżyczce karabinu maszynowego za skrzydłami. Kiedy blask zgasł, Dupigny zobaczył ciemny kształt głowy strzelca i karabin z lufą obracającą się wraz z obrotem wieżyczki i zdał sobie sprawę, że pilot przechyła samolot, aby ułatwić zadanie strzelcowi. Teraz i on poczuł ochotę czmychnąć w trzcinę cukrową, ale wiedział, że jest już za późno — pozostało mu tylko siedzieć nieruchomo, aby strzelec myślał, że to porzucony samochód. Bombowiec podleciał łukiem bliżej, parę stóp nad wieżą kościoła, rynkiem w Pulan Tikus i dachami domów wzdłuż Cantonment Road. Na drodze wzbily się małe gejzery żwiru i kurzu i jakby zawisły nad nią odbite na jego siatkówce niby formacja stalagmitów. Ryk silników i podmuch powietrza zatrzęsły samochodem i samolot pomknął dalej pozostawiając Dupigny'ego z szumem w uszach. Znowu zapanowała cisza. Nic się nie poruszało. Dupigny siedział na swoim miejscu. W schowku na rękawiczki znalazł pudełko papierosów i pudełko zapalek. Zapalił i czekał. Po tłuściochu ani znaku.

Skończywszy papierosa Dupigny wrzucił bieg jałowy, wysiadł i zakręcił silnik korbą. Kiedy samochód zapalił, wsiadł, zatrąbił, zaczekał chwilę, potem odjechał, myśląc, że może znajdzie jakieś ustronne i osłonięte miejsce, gdzie będzie mógł przesiedzieć do odwołania alarmu. Musiał jechać wolno, bo nie miał przedniej szyby. Wkrótce jednak znalazł się na drodze przybrzeżnej do Tanjong Bungah. Minęło go kilka cywilnych samochodów, wojskowa ciężarówka i samochód pancerny jadące szybko w kierunku George Town. Dupigny zobaczył drogowskaz do Klubu Pływackiego, zjechał więc z drogi między drzewa i zaparkował w cieniu jednego z nich.

Drzwi i okiennice Klubu Pływackiego były otwarte, ale nie zastał w nim nikogo, prócz wystraszonego Chińczyka przy barze. Dupigny zamówił piwo i kazał je sobie podać na werandzie. Czekać przyjrzał się kilku oprawionym w ramki fotografiom na ścianach. Jedna z nich, datująca się z około 1910 roku, sądząc po ubiorach, przedstawiała panie i panów z Penangskiego Klubu Pływackiego w czasie dorocznego rozdania nagród.

Panie, w długich sukniach i szerokich edwardiańskich kapeluszach, przybranych jedwabiami i taftami, siedziały z przesadną skromnością na pierwszym planie przy małym stolyczku zastawionym srebrnymi pucharami i innymi trofeami. Panowie, natomiast, stali w wystudiowanych pozach grupkami tu i ówdzie przy oknach i na werandzie klubu, co przywodziło na myśl scenę zbiorową komedii muzycznej, kiedy to członkowie chóru rozmawiają z sobą na dalszym planie śmiejąc się i bijąc po udach z zachwytem... ale w milczeniu, podczas gdy główni aktorzy zajmują się czymś zupełnie innym na pierwszym planie. „Ach, jakże wiele się zmieniło w ciągu trzydziestu lat nawet na takiej wyspie Penang!”

Druga fotografia, z mniej więcej tego samego okresu, przedstawiała również grupę pań i panów, ale tym razem, zdaje się, na pikniku. Był tam ksiądz, młody i energiczny, z widocznym przy czarnej kamizelce łańcuszkiem zegarka i w białym kasku przeciwsłonecznym na głowie. Panie jeszcze siedziały w rikszach, które je tu przywiozły, ale na fotografii był tylko jeden kulisa, wciąż trzymający za dyszle, jakby dopiero co przywiózł swój piękny ładunek. Stojący obok rikszy Europejczyk miał w chwili robienia zdjęcia wyciągniętą rękę, którą zmusił kulisa, aby pochylił głowę, tak że nie było widać jego twarzy, tylko słomiany kapelusz.

Dupigny wyciągnął się z westchnieniem na wygodnym trzcinowym fotelu na werandzie, dumając nad tym poczuciem wyższości, jakie wyrażało się w geście tej ręki zmuszającej kulisa do ukrycia twarzy. On sam swego czasu często widywał Europejczyków na Wschodzie traktujących Azjatów z wyższością, ale obecnie wydawało się to... powiedzmy, nieco śmieszne, gdy spojrzeć na tę sprawę okiem roku 1941. Zmieniały się niedostrzegalnie poglądy, zmieniała się względna wyższość ras, i to nie tylko w koloniach brytyjskich, ale także we francuskich i holenderskich. Nawet bez Vichy próba kontynuowania rządów nad Indochinami z Hanoi byłaby na dalszą metę niemożliwa. Obaj z Catoux zdawali sobie wówczas z tego sprawę, choć się do tego nie przyznawali. Bez względu na to, co stanie się z Japończykami, dawne kolonialne życie na Wschodzie, ta ręka Europejczyka na słomianym kapeluszu kulisa należą do przeszłości. Boy przyniósł piwo. Dupigny wziął paragon i nie bez przyjemności podpisał go: Ballereau. Chiński boy pozostał na werandzie patrząc ku wschodowi na wielki baldachim dymu, który wisiał nad George Town.

„W dziedzinie spraw ludzkich rzeczy zdradzają tendencję do nieuchronnego psucia się. Są one w danym momencie nieco gorsze niż luprzednio". Odkrywcą tego twierdzenia, zwanego Drugim Prawem, [miał teraz okazję zaobserwować zademonstrowanie go w ogromnej skali. Punktem obserwacyjnym jego działania była Kwatera Główna II Korpusu w Kuala Lumpur, gdzie niczym dym po wystrzeleniu ślepego naboju podczas spektaklu w teatrze wisiał w powietrzu silny zapaszek grożącej klęski. Odkrył, że nie tylko przed jego przyjazdem sporo rzeczy się popsulo, ale że niemal każda wiadomość nadchodząca teraz do pokoju operacyjnego oznaczała jakąś nową klęskę, która stanowiła zapowiedź dalszych.

Ehrendorf przybył do Dowództwa III Korpusu około dziewiątej rano, bardzo zmęczony po nocy spędzonej w pociągu. Jego przybycie zbiegło się niemal co do minuty z rozstrzygającym wydarzeniem w walce o północne Malaje, bo właśnie zadzwonił generał Murray-Lyon, dowódca 11 Dywizji, której powierzono główną rolę w jej obronie. Murray-Lyon chciał się skontaktować z generałem Heathem, aby uzyskać pozwolenie na wycofanie się z wyznaczonej z góry pozycji obronnej w Jitrze. Obawiał się, że jeśli się nie wycofa, 11 Dywizja zostanie zniszczona. Jednakże generała Heatha nie można było znaleźć - Ehrendorf nie mylił się, kiedy w środku nocy zobaczył jasno oświetlony przedział niknący w mrokach dżungli, że to właśnie generał Heath siedział w nim otoczony grupką oficerów. Heath udał się do Singapuru na naradę z generałem Percivalem. Ehrendorf dowiedział się też po przybyciu, że japońskie samoloty zbombardowały poprzedniego dnia Penang i Butterworth. Ponieważ na wyspie nie było dział przeciwlotniczych, stała się ona zupełnie bezbronna.

- A co z RAF-em w Butterworth?
- Został częściowo zniszczony, a częściowo wycofany do Singapuru - powiedziano mu.

W takich okolicznościach Ehrendorf poczuł się nieco zaskoczony ciepłym przyjęciem w sztabie generała Heatha. Przez ten długi okres po bytu w Singapurze zdążył się przyzwyczaić, że brytyjscy oficerowie sztabowi, których spotykał pełniąc swe obowiązki służbowe, traktowali go z rezerwą, a w ostatnich miesiącach czasem nawet z zawołaną pogardą. Teraz jednak uściskano mu gorąco dłoń, znaleziono dla niego kwaterę i dano śniadanie. Minęło trochę czasu, nim zdał sobie sprawę, że stało się tak prawdopodobnie dlatego, że był pierwszym amerykańskim oficerem, który zjawił się w Kuala Lumpur po przystąpieniu Stanów do wojny. To powitanie miało rangę symbolu. Może także i dlatego, że po niefortunnym początku kampanii na Malajach budziło się przekonanie, iż do powstrzymania i pokonania Japończyków na Pacyfiku potrzeba potęgi Stanów Zjednoczonych. Oficerowie brytyjscy zwykli drwić z armii japońskiej. Bo czyż nie walczyła bezowocnie z horda Chińczyków od 1937 roku, nie mogąc jej pokonać? Jednakże starcia wojenne ostatnich dni dowiodły, że najeźdźcy japońscy wcale nie są tak nieudolni, jak przypuszczano. Wreszcie, istniał jeszcze jeden, bardziej ludzki powód serdeczności, z jakim przyjęto Ehrendorfa - przybył on właśnie w chwili, gdy sztab generała Heatha wydawał skrycie jedno zbiorowe westchnienie ulgi.

Przez chwilę, pół godziny wcześniej, wydawało się prawdopodobne, że pod nieobecność generała oni sami będą zmuszeni powziąć decyzję w sprawie prośby Murray-Lyona o zezwolenie na wycofanie 11 Dywizji z Jitry na nowe pozycje za rzeką Kedah. Ostatecznie bowiem tylko dowództwo III Korpusu znało wszelkie szczegóły, które stanowiły o powadze sytuacji. Ale kto by pomyślał, żeby po nieprzespanej nocy (bo w Kuala Lumpur też paliły się światła i ludzie ślęczeli nad mapami) musieć rozstrzygać taki dylemat! Odpowiadać bez przygotowania, kiedy zadzwonił telefon, na prośbę o usankcjonowanie decyzji porzucenia pozycji obronnych ustalonych przed miesiącami, ba, latami... po to, aby zająć pozycje jeszcze nie przygotowane!

Nic dziwnego, dumal Ehrendorf, zjadając grzanki z marmoladą i popijając otrzymaną na powitanie kawę, „że akurat ten ziemniak, który Murray-Lyon wygrzebał z węgla i wręczył dowództwu III Korpusu, po kilku chwilach szaleńczego przerzucania z ręki do ręki, został ciśnięty z ulgą w mniej delikatne dłonie Dowództwa Malajskiego". Gdy jednak nadeszła pora lunchu, prośba Murray-Lyona została rozpatrzona i osądzona przez Percivala i Heatha w Singapurze, i zapadł wyrok, iż 11 Dywizja musi pozostać na miejscu i stoczyć bitwę jak zaplanowano; przygnębienie opanowało sztab ponownie... bowiem okazało się, że odda

nie tej kluczowej sprawy do decyzji Dowództwa Malajskiego miało swoją złą stronę, a mianowicie tę, że Dowództwo Malajskie dokonało niewłaściwego wyboru. To było jasne nawet dla Ehrendorfa, który przestudiował pozycje i do podwieczorku zdołał zorientować się, co się święci. A tym, co zobaczył oczyma duszy na polu bitwy, kiedy tak siedział zjadając ze smakiem ciasto z wiśniami i popijając herbatę, był powszechny tryumf jego Drugiego Prawa.

Ale nawet w terminach Drugiego Prawa to, co przeżyła 11 Dywizja, było godne współczucia, ponieważ spędziła ona całe dwa dni (podczas gdy Brooke-Popham bił się z myślami) czekając przy syjamskiej granicy, w tropikalnym deszczu, na rozkaz ruszenia do ataku i sprawienia Japończykom łania, gdy próbowali wylądować w Singorze. A kiedy Brooke-Popham podjął wreszcie decyzję, że nie wkroczy do Syjamu, w czym dopomógł mu fakt, że zrobiło się na to za późno, ponieważ Japończykom udało się tymczasem szczęśliwie dokończyć lądowania, dwie brygady 11 Dywizji (była jeszcze trzecia, oczekująca gdzieś w odwodzie, Ehrendorf jeszcze nie wiedział gdzie) powlokły się z mozołem z powrotem, jedynie po to, aby się przekonać, że ich pozycje obronne w Jitrze są zalane wodą i wcale nie przygotowane... do kluczowej roli, jaką miały odegrać w obronie Malajów przed głównym atakiem Japończyków.

„Wszystko się sprowadza do tego - myślał Ehrendorf mówiąc jednocześnie, tak, prosi o jeszcze jedną filiżankę herbaty, i dziękując młodemu, małowómnemu kapitanowi z wyższych sfer, który siedział koło niego - że Brytyjczycy zostali przyłapani w pół drogi między jednym zamierzeniem a drugim i groziło im, że nie osiągną żadnego". Tymczasem jednak sprawy powikłały się również gdzie indziej, bowiem dwa bataliony pod dowództwem pułkownika Mooreheada, które miały pospieszyć w głąb Syjamu i zamknąć Japończykom drogę do Patani przez zajęcie jedynej nadającej się do obrony pozycji, Półki... nie zdołały tego dokonać. Japończycy przybyli tam pierwsi. Cóż, można jedynie powiedzieć, że szkoda. Ale to było coś gorszego, to była katastrofa, bo oznaczało, że gdyby nawet 11 Dywizji udało się osuszyć zalane powodzią pozycje obronne, naprawić zasieki z drutu kolczastego i zainstalować w porę urządzenia łącznościowe, aby móc stawić czoło japońskiemu uderzeniu, musieliby nadal się liczyć z tym, że ich łączność zostanie zerwana przez nadciągającą przez góry kolumnę japońską.

Najlepsze, co można było powiedzieć o tej sytuacji, jak ją widział Ehrendorf, było to, że jedna katastrofa (nie przygotowane pozycje

310

obronne w Jitrze) mniej więcej przekreślała drugą (nie zabezpieczenie drogi przez góry), bo ostatecznie można było stracić Jitrę tylko raz i nieistotne jest, czy stanie się to z powodu nie przygotowanych pozycji, czy utraty drogi na tyłach, czy jednego i drugiego. Chociaż, dumal Ehrendorf, gdyby było możliwe utracenie Jitry dwa razy, ci faceci mieliby wszelkie szanse tego dokonać. Mimo to traktowali go bardzo gościnnie a jeden z ich grona świetnie parzył herbatę.

Na domiar złego owe „przygotowane pozycje" w Jitrze byty nawet w najlepszych czasach dalekie od idealnego miejsca obrony, ponieważ były rozrzucone wzdłuż dwunastomilowego odcinka po obu stronach głównej drogi od granicy z Syjammem. Próbnе ataki piechoty japońskiej i czołgów już zmusiły do ucieczki lub zniszczyły dwa bataliony rezerwy wysłane na przedpole, aby powstrzymać natarcie, doprowadzając tym samym do jeszcze większego spłylenia obrony niż na początku. Ehrendorf, który od lat chłopięcych traktował strategię wojenną jako ulubioną lekturę do poduszki i który uważał się za geniusza wojskowego zmuszonego do trwonienia swych talentów na zajmowanie się dyplomacją i sprawami administracyjnymi, kręcił głową na ten brak rezerw. Powinien tam być przynajmniej jeden batalion brygady rezerwowej, lecz pozostał na tyłach, gdzie strzegł lotnisk w Alor Star i Sungei Patani przed ewentualnym atakiem spadochroniarzy. A zatem nie było poważniejszych sił rezerwowych, które mogłyby być użyte do kontrnatarcia. W ciągu nocy, kiedy Ehrendorf drzemał w pociągu, przednie siły japońskie atakowały dwukrotnie, za pierwszym razem wzdłuż drogi, na pozycje Leicesterów, którzy ich odparli, za drugim razem po wschodniej stronie drogi, gdzie im się udało znaleźć niewielką lukę między prawą flanką Leicesterów a lewą Jatów i w ten sposób zagrozić obu pułkom. Próby wsparcia ich i przywrócenia całości linii obronnej jak dotąd zawiodły.

Dzień był niezwykle parny i upalny, z co chwila powtarzającymi się burzami i ulewami. Ehrendorf, który ledwie wykaraskał się z kłopotów żołądkowych po zjedzeniu resztek zapasów z lodówki w Singapurze, ale nadal pozwalał sobie na dosyć obfite jedzenie zarówno dla podniesienia ducha jak i nawiązania kontaktów towarzyskich z oficerami sztabu III Korpusu, poczuł się przy podwieczorku znowu niebezpiecznie przejezdony. Toteż gdy zaczęto mówić, że Japończycy znów zaatakowali i wtargnęli jeszcze głębiej w już i tak nadwężoną linię między Leicesterów i Jatów, poprosił, aby mu powiedziano, gdzie jest „lazienka", bo

311

wiem chce się trochę „umyc”, które to określenia wywołały chichoty u jego nowych towarzyszy rozpatrujących owe dopiero co zasłyszane złe wieści z frontu. Znalazłszy się w „łaziencie” zwymiotował - co było niezbyt miłe, lecz zaraz poczuł ulgę i po powrocie do stołu stwierdził, że może sobie pozwolić na zjedzenie jeszcze jednego kawałka ciasta i wypicie jeszcze jednej filiżanki herbaty.

Przy kolacji, która zaczęła się od dosyć suchych ikan merah smażonych na maśle z cytryną, mówiło się o kontrataku, lecz również o wyrównaniu linii przez cofnięcie pułku leicesterskiego na pozycje bliżej rzeki Bata. Pijąc piwo i jedząc kurę w sosie curry, której ostrość została nieco złagodzona świeżymi grejfrutami i papajami, Ehrendorf odkrył, zdobywszy się na istic heroiczny wysiłek skupienia uwagi na tym, co mówili jego współbiedniacy, że część ich wierzyła, iż jakoby pułki lei- cesterski i wschodniosurreyski mają przypuścić kontratak, podczas gdy zdaniem innych pułki te mają się wycofać. Próbował zwrócić uwagę na tę rozbieżność zdań, lecz trudno mu było znaleźć u kogokolwiek posłuch i spotykał się tylko z szerokimi uśmiechami, a kiedy dalej upierał się przy swoim, nawet z lekką urazą. Prawda, że i on wypił parę piw... „Lecz cóż to za banda błaznów!” - pomyślał ze zdziwieniem.

W miarę upływu wieczoru zaczęło wychodzić na jaw, że zamęt panujący w sztabie III Korpusu znajduje odzwierciedlenie w oddziałach w Jitrze. Stało się również jasne, że jeśli 11 Dywizja ma takie trudności z powstrzymaniem straży przedniej głównych sił japońskich, to perspektywy na odparcie przez nią głównego natarcia, które musiało nastąpić za kilka godzin, są bardzo nikłe. Między budyniem, to jest śliwkami z kremem, a serem sprawy stopniowo pogarszały się coraz bardziej. Nadeszły wieści, że Penang, nadal bezbronny wobec ataków z powietrza, został ciężko zbombardowany po raz drugi i że doki oraz George Town stoją w ogniu. Nadeszła również wiadomość, że wojska pod dowództwem Mooreheada, które nie dotarły w porę do Półki, zajęły pozycje obronne w Kroh i poniosły znaczne straty. Czy będą miały teraz szansę przeciwstawić się czołowemu atakowi Japończyków przez góry?

Zaraz po tej wiadomości rozeszło się, że Murray-Lyon znów telefonował prosząc, aby Heath pozwolił mu się wycofać, i znów został odesłany do Singapuru. „Tym razem - myślał Ehrendorf i albo Heath się zgodzi, albo cała 11 Dywizja będzie musiała zostać spisana na straty”.

Siedzący u końca stołu i mający już trochę w czubie generał od kilku minut przyglądał się Ehrendorfowi z sardonicznym i rozdrażnionym wyrazem twarzy. Mężczyzna ten, sapiący i posunięty w latach, miał nieprzyjemny nawyk zwilżania swojego wąsika długą i obwisłą dolną wargą, co czynił w regularnych odstępach. Obecnie, jakby odgadując myśli Ehrendorfa, rzekł głośno protekcyjnym tonem:

- A może nasz jankeski gość raczy nam przedstawić własną ocenę sytuacji, opartą bez wątplenia na długim doświadczeniu wojennym w tej części świata.

- Obawiam się, panie generale - odparł Ehrendorf obojętnym tonem - że w sprawie tak złożonej... -1 wzruszył ramionami na znak niedowierzania własnym siłom.

Ale generał świetnie się bawił.

H No, no... Nie ma co się krepować, kapitanie.

I patrzył na Ehrendorfa sardonicznie, a inni oficerowie tymczasem umilkli radzi zobaczyć, jak wybrnie z tej sytuacji. Nie pierwszy to raz widzieli, jak generał szydzi z nowo przybyłego. Lecz Ehrendorf odparł niezmiernie:

- Jeśli naprawdę pragnie pan wiedzieć, co myślę, generale, to moim zdaniem 11 Dywizja będzie w poważnych kłopotach, jeśli pozostanie tam, gdzie jest, i powinna być wycofana z Jitry dziś rano przez kompetentnego dowódcę orientującego się we wszystkich faktach, w każdym razie musi być wycofana teraz, przed głównym natarciem japońskim, i to najlepiej za rzekę dostatecznie szeroką, by mogła zatrzymać ich czołgi. Sądzę, panie generale, że nikt w to chyba nie wątpi? -1 spojrział spokojnie na generała.

Stopniowo, mimo upału, lśniących od potu twarzy, a także ciemnych wilgotnych plam na koszulach oficerów siedzących wokół stołu, atmosfera w pokoju zrobiła się chłodna. Czuli, że Ehrendorf, który był nie tylko tolerowany, ale nawet dość dobrze traktowany przez ten długi dzień walki, której trud odczuwali zapewne nie mniej dotkliwie tu, w sztabie III Korpusu, niż w Jitrze, odległej o dwieście pięćdziesiąt mil, okazał swą niewdzięczność tą niską oceną ich wysiłków. Czekali na odpowiedź, która pokaże zuchwałemu, przemądrzałemu Amerykaninowi, gdzie jest jego miejsce. Czekali i patrzyli i w pewnej chwili dolna warga generała wspięła się pod nos i zwilżyła schludnie przyszczyżony wąsik. Nie wiadomo, czy dałby jakąś inną odpowiedź, gdyby mu poz

wolono, bo w tej chwili przysłała wiadomość, że Dowództwo Malajskie upoważniło Murray-Lyona do przerwania walki i wycofania się za rzekę Kedah. I najprawdopodobniej uczyni to pod osłoną nocy.

- Dzięki Bogu! - rzekł Ehrendorf uśmiechając się słabo do swoich towarzyszy. Bitwa o Jitrę skończyła się, ale przynajmniej 11 Dywizja została ocalona. Była odpowiednia pora, gdyby nie padało, aby się przejść na świeżym powietrzu, zanim Drugie Prawo, bez przerwy żerujące w krokwiach jak robactwo, zawali następną część dachu.

-Cheong, w czym kłopot?

Nawet major, który wcale nie był najbardziej spostrzegawczy z ludzi, zauważył, że chiński służący krzątając się głęboko wzdycha i rzuca pełne rozpaczę spojrzenia. Ponadto Cheong był ostatnim człowiekiem, który by cokolwiek robił bez powodu.

- Cheong, gadaj, w czym kłopot?

- Mój za baldzo stlach - odparł Cheong ponuro. - Japończyki oni właśnie złapać Penang.

- Bzdura, Cheong! - wykrzyknął major z ulgą, że zmartwienia służącego są tak chimerycznej natury. - Japończycy w żaden sposób. Takie gadanie głupi język.

Ale służący wcale nie poczuł się uspokojony.

- A jak Japończyki złapać Penang, jutro może złapać Singapur! Japończyki kazać Blytania za baldzo tłacić twarz! - I potrząsając głową smutnie pomaszerował do kuchni.

-Cheong wytrzasnął skądś wiadomość, że Japończycy zajęli Penang - rzekł major do Matthew później tego ranka. - Nie wiem skąd. Ale gdy zaczynają krążyć takie absurdalne plotki, to nawet tacy rozsądni faceci jak on zaczynają w nie wierzyć. Trudno o coś gorszego dla morale Azjatów. Ponadto, skąd by się o tym dowiedział, gdyby to nawet była prawda? - dodał major trochę zaniepokojony. - W gazetach nie ma najmniejszej wzmianki, że Japończycy choćby zbliżyli się do wyspy Penang. - Niewątpliwie był to czysty wymysł i major pożałował, że powiedział o tym Matthew, który i tak wyglądał na przygnębionego. - Jak się czujesz? - Od kilku dni Matthew siedział przy swoim biurku wynędzniały, brudny i nie ogolony, istny obraz rozpacz. Nic nie jadł. Schudł. Opuścił go nawet zapal do roztrząsania spraw plantacji kauczuku. Początkowo, kiedy miał nadzieję na wizytę Very Chiang, życie potrafiło jeszcze wykrzesać parę iskerek z nudnego ciągu godzin. Lecz w miarę jak mijały dni, a po niej nie było ani śladu, Matthew popadł w apatię.

„Co to ma za znaczenie? - zastanawiał się drapiąc w swędzącą głowę.

"To prawda, jest piękna, ale co z tego?" Nawet myśl, że mógłby się ożenić z tak piękną kobietą, jak panna Vera Chiang, myśl, która niedawno wydawała mu się tak rozkoszna i kusząca, straciła dla niego urok. Jaki sens ma posiadanie pięknej kobiety wyłącznie dla siebie? Odpowiedź brzmiała: żaden. Bo ostatecznie posiadanie praw własności do kobiety, dumął, jakie małżonkowi ma do żony, a kochanek do kochanki, w rzeczywistości wcale nic człowiekowi nie daje! Bo jeśli nie jesteś mahometaninem, który trzyma swoją żonę w ukryciu, jej piękno jest równie mało dostępne dla przypadkowego przechodnia co dla męża, który musi pokrywać rachunki za jej jedzenie, mieszkanie i pozostałe wydatki. Prawda, że małżonkowie mają dodatkowe satysfakcje z intymności zazwyczaj niedostępnych dla przechodnia. Ale zaraz, zaraz! Efekt wywołany przez piękną kobietę ma charakter wizualny... dotykając jej tak samo przybliży człowieka do jej piękna, jak dotykając płócien Botticellego przybliży do piękna jego malarstwa. Można by nawet dowodzić, że im bliżej się jest obrazowi lub kobiecie, tym mniej jest się zdolnym do należytej oceny jego lub jej piękna. W przypadku pięknych kobiet, dumął Matthew, zaszło beznadziejne pomieszanie przyjemności estetycznej z chucią. W wyniku tego pomieszania mężczyźni czują się zobowiązani do poślubiania pięknych kobiet, podczas gdy w wielu wypadkach należałoby im raczej poradzić, aby żenili się z kobietami brzydkimi o miłym usposobieniu i nabyli w ramach rekompensaty jakiś piękny przedmiot, dajmy na to sztukę porcelany z okresu dynastii JTang.

Matthew spróbował wciągnąć majora w rozmowę na temat piękna kobiecego. Bardzo możliwe, że major miał więcej doświadczenia w tej dziedzinie. Lecz major był zbyt roztargniony i najwyraźniej trudno mu było poświęcić pełną uwagę kwestii rozdzielenia tego, co chutliwe, od tego, co piękne. Próbował jednak podnieść Matthew na duchu dowodząc, że po tak wysokiej gorączce musi nastąpić depresja, że zawsze następuje. Matthew, nie ogolony, przesiadywał całymi dniami z nogami na biurku ojca i bawił się obracaniem bębena rewolweru znalezionego w szufladzie.

- Taki młody człowiek jak ty powinien myśleć o małżeństwie - rzekł major zaniepokojony widokiem rewolweru.

- A przecież ty nigdy nie byłeś żonaty, majorze - odparł oskarżając⁰ Matthew.

- Nie, rzeczywiście, nie - zgodził się major zaskoczony tym frontalnym atakiem. — Mówiąc jednak między nami, były takie chwile, kiedy tego żałowałem, wiesz, tylko od czasu do czasu. Ostatecznie... - major zamilkł i jednocześnie poczuł, że ogarnia go uczucie samotności i rozpacz, aż mięśnie jego twarzy, które wciąż były ułożone w pogodny wyraz, zaczęły go boleć, a wąsy, choć mocno przyszyty, zaciążyły mu na wardze jak rogi. - W każdym bądź razie - powiedział wreszcie—jeżeli nie masz zamiaru się żenić, to myślę, że dobrze byłoby wspomnieć o tym Blackettom i to jak najszybciej.

Matthew orientował się, że w tym, co mówi major, coś jest. Poprzedniego popołudnia odwiedził go Monty, tłumacząc, że musiał uciec od rodziny, która ostatnio rozmawia tylko o przygotowaniach do ślubu. Nie szło też po prostu o „druhny i różne inne bzdury”. Jego rodzina, która padła ofiarą tej nowej i zdaniem Monty'ego chorobliwej obsesji, tym razem wzięła naprawdę sprawę w swoje ręce... Rozprawiano bez końca o przepisach na torty weselne, o sukniach ślubnych i drukarzach, których należy się poradzić w sprawie odpowiednich zaproszeń.

- Oni naprawdę wzięli się za ciebie, stary - ostrzegł go Monty. - Zapamiętaj moje słowa!

— Ale przecież ja nawet nie powiedziałem, że chcę się z nią ożenić - protestował Matthew apatycznie. - Boże wielki, ja...

To prawda, musi coś z tym zrobić, ale akurat teraz nie czuł się na siłach rozmawiać z Blackettami. A w końcu, czemu miałby się nie ożenić, dumął drapiąc się w głowę lufą rewolweru. Ostatecznie wszyscy się żenią. Ma trzydzieści trzy lata, nie jest już młody. Jego oksfordzcy przyjaciele i rówieśnicy, wyjąwszy Ehrendorfa, dawno już się pożenili, a wielu miało na dodatek gromady dzieci. On sam jak dotąd niewiele w życiu zdziałał - mógłby się zatem zająć chociażby reprodukcją gatunku jak wszyscy inni... to byłoby przynajmniej coś. Przez pewien czas, we wczesnych, dobrych latach w Genewie, gdy przemierzał pokład Ligi Narodów, żywił przekonanie, że odgrywa jakąś rolę, bardzo znikomą, to fakt, lecz wartą zachodu, w sterowaniu tego ogromnego statku do rokującego nadzieje brzegu. Ale torpedowana przez wszystkie po kolei państwa Osi Liga zatoniła i pozostała po niej jedynie plama oleju i połamane maszyny na powierzchni wody. Rzecz w tym, że od pójścia Ligi na dno Matthew tkwił w tym błotku, trudno mu było się zdobyć na opuszczenie statku, aczkolwiek statek już zatonął.

Lecz prędzej czy później człowiek musi stawić czoło rzeczywistości. Liga była miłą zbiorową mrzonką ludzkości marzącej o lepszym życiu

dla siebie, tak jak włóczęga śpiący pod płotem marzy, że mieszka w wielkopańskim dworze. Tak, czemu miałyby się nie ożenić z Joan i nie zacząć żyć praktyczniej? W końcu trzeba się kiedyś zdecydować. I Matthew westchnął, drapiąc się w przynębieniu lufą rewolweru w ucho i pociągając przy tym niechęć za cyngiel. Suchy trzask sprawił, że major poderwał się gwałtownie.

- Pójdę do Blackettów, ale trochę później - powiedział Matthew bardziej już zdecydowanym tonem, zdejmując nogi z biurka i odkładając rewolwer.

Idąc przez ogród do Blackettów Matthew zatrzymał się w czymś w rodzaju przedpokoju roziskrzonego rzadkim tropikalnym kwieciem. Tutaj, zdążając z oświadczeniami do Joan (zbędnymi oświadczeniami, jeśli wierzyć Mon ty'emu, jako że ona podobno uważała, iż już zostały dokonane) i stojąc przy malwie afrykańskiej i karbowanym mircie, Matthew poczuł się nagle schwyty jak ptak w sieci przez silne zapachy unoszące się nad liśćmi i lśniącymi kwiatami. I kiedy się tak ociągał, by wachać i zdumiewać się tymi nowymi doznaniem, nadleciał jeden, drugi, trzeci motyl, a wszystkie zadziwiająco piękne i nie znanego gatunku, o żółtych i różowych plamach na skrzydłach i długich, włokących się z tyłu ogonach, niczym latawce, i zaczęły krążyć wokół niego, jakby się zachwyciły jego świeżo wyprasowanym lnianym ubraniem i chciały na nim usiąść. Przyglądał się im oczarowany i zauważył, jak rytm poruszania się ich skrzydeł, wolniejszy niż u europejskich motyli, powoduje, że unoszą się i opadają niczym w zwolnionym filmie, z niemal ptasim ślizgiem. I wkrótce do tych trzech motyli, które w końcu zrezygnowały z eleganckiego garnituru, jaki Matthew włożył na oświadczenia, i zajęły się szkarłatnymi kwiatami drzewa koralowego, dołączył się czwarty, jeszcze piękniejszy i powolniejszy, z czarno-białym haftem na skrzydłach przypominającym esy floresy na batikowych koszulach noszonych przez Malajczyków. W tym motylu, dzięki podręcznikowi, jaki pożyczył mu major podczas rekonwalescencji, Matthew zdołał rozpoznać Pospolitą Nimfę Drzewną.

Aby osiągnąć głębokie doznanie duchowe lub zmysłowe, rozmyślał wkraczając w szpaler biało kwitnących drzew pili, trzeba zerwać ze starymi nawykami odczuwania. Tak, tak, właśnie... i on to teraz zrobi poślubiając Joan. Trzeba się przebić przez otoczkę dotychczasowego życia, w którą człowiek jest spowity jak salceson w pecherz! Przystanął na schodach wiodących do domu Blackettów, rad, że jest w tak dobrym

318

nastroju w tej jakże ważnej chwili swego życia. Potem, prostując plecy, zanurzył się w cień werandy i udał na poszukiwanie Joan.

W domu jednakże napotkał nieoczekiwaną przeszkodę. Panny Blackett nie było, choć spodziewano się, że wkrótce wróci. Czy pan Webb zechce poczekać na nią w salonie? Matthew patrzył na starego służącego malajskiego, Abdula, czując, że z wolna opuszcza go zdecydowanie -oczy tego staruszka, mgliste i wodniste ze starości, były bez wyrazu. Matthew odpowiedział, że zaczeka, i został wprowadzony do salonu. Było tu chłodno i panowała ogromna cisza. Na białej kanapie poruszyła się plama bieli i Matthew poznał swojego przyjaciela, Ming Toya, syjamskiego kota Kate, który zażywał popołudniowej drzemki w najchłodniejszym i najcichszym pokoju, jaki mógł znaleźć. Matthew podszedł i usiadł koło kota, wyjmując z kieszeni list, który przed wyjściem wręczył mu major. Otworzył kopertę, wewnątrz była tylko fotografia. Matthew patrzył na nią ze wzruszeniem: była to fotografia, którą już kiedyś widział, przed laty, gdy obaj z Ehrendorfem byli w Oksfordzie.

Wyszli na wieczorny spacer nad rzekę Cherwell, jak sobie przypominał, pod koniec ostatniego letniego semestru. Był to jeden z tych cichych, wilgotnych i raczej chłodnych czerwcowych wieczorów, które zdają się trwać wiecznie przed zapadnięciem ciemności. Świadomość, że wkrótce dojdą do kresu tej fazy swego życia, pożegnają się z przyjaciółmi i zaczną kariery, których sobie jeszcze nie wyobrażali, wytworzyła atmosferę melancholii. W powietrzu rozchodził się zapach wilgotnej trawy, słychać było trzepotanie kurki wodnej w zaroślach tuż nad wodą. Ehrendorf mówił, że chyba się zmienił w czasie spędzonym w Europie i trudno mu będzie powrócić do rodzinnego miasta w Ameryce.

- Czemu więc nie zostaniesz tutaj? - zapytał Matthew. Ehrendorf na to pokazał mu tę właśnie fotografię i rzekł z uśmiechem:

— To moi bracia i siostry. Nigdy by nie zrozumieli, gdybym nie powrócił.

A teraz Matthew przyglądał się tej fotografii po raz drugi. Był na niej Ehrendorf, młodszy, taki jak w Oksfordzie, ale poza tym prawie nie zmieniony. Wysoki, przystojny, jak zawsze uśmiechnięty. Odmładzał go również brak wąsika. Stał pośrodku i patrzył wprost w obiektyw, a obok niego gromadka jakby karłów i garbusów o twarzach chimer, która spoglądała ze złością na swojego brata. No, no! Matthew wciąż pamiętał, jak

319

dzy Ehrendorfem a jego braćmi i siostrami - zupełnie jakby tylko w nim skoncentrowały się wszystkie zalety i cały wdzięk, ze szkodą dla uwielbiającej go reszty rodzeństwa. A Ehrendorf też je uwielbiał, w tym cała rzecz... bo w przeciwnym razie czemuż by wracał do Kansas City (czy jakiegoś tam innego miasta), gdy wszystko, co go interesowało, i ludzie, którzy go rozumieli, byli w Europie? Lecz w końcu Kansas City nie zdołało go zatrzymać... ani nawet Europa. Biedny Ehrendorf! Dzięki stypendium Rhodessa, które przywiodło go do Oksfordu, nieszczęśnik rozdzielił się na dwoje jak ameba! Połowa jego utknęła teraz w Singapurze i unieszczęśliwiła się zakochując w Angielce, którą on, Matthew, miał właśnie poślubić. Matthew westchnął, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby odłożyć oświadczyzny na później. Bardzo nie chciałby zranić uczuć przyjaciela.

Tak rozmyślając chwycił Ming Toya i przysunął puszyste zwierzę bliżej. Poprzednim razem, kiedy próbował sprawdzić jego pleć, przeszkodził mu w tym Walter - teraz nadarza się sposobność, aby doprowadzić badania do końca. Ming Toy leżał na wpeł śpiąco i wcale nie protestował, kiedy Matthew uniósł jego wspaniałą ogon i badał zarośniętą gęstym futrem tylną część ciała, szukając jakichś oznak płci. Nie znalazłszy żadnych, wyjął ołówek i zaczął nim gmerać w bujnej sierści. Ming Toy zaczął mruzczyć.

-Dzień dobry... - W drzwiach stał Walter i patrzył na Matthew z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

-Och! — wykrzyknął spłoszony Matthew. Puścił spieszenie ogon kota i odepchnął zwierzę uznając, że najlepiej nie próbować nic wyjaśniać. Właśnie czekam na Joan - rzekł, szybko przychodząc do siebie - ale może porozmawiamy tymczasem o tym przesadzaniu...

-Niestety, mogę ci poświęcić tylko pięć minut. Chodź do mojego gabinetu.

Matthew nigdy jeszcze nic był w gabinecie Waltera, toteż zdziwiło go, że panowała tam atmosfera jakiejś obcości. Sam Walter rozglądał się po tym pomieszczeniu z wyrazem człowieka obcego - bo też w istocie rzadko go używał woląc spokój swojej gotowalni na piętrze. Spoglądał ze zniecierpliwieniem na zegarek, więc Matthew zaczął tłumaczyć, że uważa za niewłaściwe, aby spółki kauczukowe, którymi zarządza firma Blackett i Webb, przesadzały zdrowe drzewa. Drzewa dojrzałe produkują kauczuk tak bardzo potrzebny dla Wysiłku Zbrojnego i zastę

powanie ich takimi, które nie zaczęły jeszcze produkować mleczka, po prostu nie ma sensu.

- Czy Monty mówił ci o podatku od nadmiernych zysków? Zdajesz sobie sprawę, że bez względu na to, co robimy, osiągamy wciąż ten sam „standardowy zysk”?

Matthew kiwnął głową.

- I że przesadzanie drzew należy do wydatków nie podlegających podatkowi? Tak? Więc zgadzam się z tobą, że gdybyśmy byli jedynymi ludźmi, którzy produkują kauczuk, wówczas to, co mówisz, byłoby słuszne. Ale niestety, nie jesteśmy. Mamy rywali, konkurentów, mój chłopcze! Jeśli nie wymienimy tych drzew na nowe, produkujące więcej, zwłaszcza teraz, w sprzyjających warunkach finansowych, a uczynią to nasi rywale, jaki będzie rezultat, gdy ich plantacje osiągną dojrzałość? Znajdziemy się, chłopcze, na szarym końcu! Bo stwierdzimy, że produkujemy połowę ilości kauczuku z akra, co dajmy na to Langfield i Bow- ser, za tę samą, a może nawet większą cenę. To po prostu nie ma sensu. Czy czujesz się usatysfakcjonowany moją odpowiedzią?

- Nie, Walter, naprawdę-odparł Matthew odczuwając fizyczny niepokój, jak zawsze, gdy był podniecony, ale trzymając się na wady jak tylko mógł. - Bo ja nie przeczę korzyściom, jakie z tego płyną. Jakże bym mógł? Nie znam się na tych sprawach. Ale to kwestia zasady. Ty argumentujesz jak każdy biznesmen, kiedy się go prosi, aby coś poświęcił dla dobra publicznego: „Bardzo chciałbym pomóc, ale to wykluczone, jeśli mam nie dać się wyprzeć konkurencji”. Właśnie tak odpowiedział świat biznesu w Rangunie, kiedy proszono go przed laty, aby coś zrobił dla poprawy bytu kulisów, którzy byli w skrajnej nędzy i marli jak muchy. Ale nie! Wydanie pieniędzy na pomoc dla tych nieszczęśników byłoby dla nas zgubne, nic wyłączając firmy Blackett i Webb... Widzisz, czytałem w papierach ojca o naszych poczynaniach w handlu ryżem i szczerze mówiąc... Ach! - wykrzyknął, gdy kot, który go sobie najwyraźniej upodobał i przyszedł za nimi do gabinetu Waltera, wskoczył mu nagle na kolana.

- Fakt, że jakiś argument jest często używany przez biznesmenów czy kogokolwiek innego - odparł Walter spokojnie - wcale nie oznacza, że jest przez to mniej słuszny. Gdybyż tak było! A co do wykorzystania teraz wszystkich zasobów, tak jak zalecasz, dla wsparcia Wysiłku Zbrojnego, żebyśmy potem, po zakończeniu wojny, znaleźli się, jako naród, bez żadnych środków, wcale nie uważam, że jest to bardzo do-

I bry pomysł. Naród, Matthew, prawdę mówiąc jest na tyle silny, na ile jest bogaty. A jest on w takim stopniu bogaty, w jakim jego poszczególne firmy są prężne. A prężne są jedynie wtedy, gdy mogą skutecznie konkurować z przemysłem i firmami innych narodów w swojej dziedzinie. Gdybyśmy poszli za twoją radą, wielkie plantacje holenderskie na Jawie i Sumatrze (które, mówiąc nawiasem, przestawiły się na nowe sadzonki wcześniej od nas) wyparłyby nas z konkurencji, kiedy ich nowe plantacje dojrzeją, to jest około roku 1946 lub 1947. -1 Walter spojrział promiennie na Matthew, który siedział jak oniemiały, częściowo dlatego, że nie wziął tej racji pod uwagę, częściowo zaś dlatego, że Ming Toy ugniatał (lub ugniatała) łapami jego spodnie, aby wypróbować na nich swe pazury, i najwyraźniej nie zdawał (lub nie zdawała) sobie sprawy, że tuż pod materiałem znajdowała się bardzo na to wrażliwa skóra Matthew. Walter wstał.

-Ale chwileczkę, Walter... - Matthew zerwał się na nogi i kot, o którym zapomniał, musiał skokiem ratować życie. Matthew pognał za Walterem. - To szaleństwo! Gdy Japończycy są już na północy kraju, musimy produkować, ile się tylko da. Kto wie, czy za parę miesięcy nie zagarną większej części naszych plantacji? - Po tych słowach Matthew uderzył się dłonią w czoło, usiłując dogonić Waltera. Po co się z nim kłóci? Przecież miał prosić Joan o rękę, a tymczasem wdaje się w spory z jej ojcem.

gł I tak nie ma statków do przewozu kauczuku - rzekł Walter krzywiąc się po raz pierwszy podczas tej dyskusji. - Wszystkie nabrzeża są załadowane kauczukiem, którego nie mamy jak wywieźć. Teraz już naprawdę muszę iść, chłopie. Obowiązek wzywa. Jak tam się układa między tobą a Joan? - zawołał przez ramię spiesząc po schodach do oczekującego samochodu. - Przyjdź na kolację. Przyrowadź też majora. Stroje wieczorowe, jak wiesz, nie obowiązują.

- Chciałem z tobą porozmawiać o czymś jeszcze innym... o małżeństwie i tak dalej!... - wykrzyknął Matthew. Lecz Walter, machnąwszy ostatni raz ręką, znikł we wnętrzu bentleya, który natychmiast ruszył.

Matthew siedział na schodach z dość strapioną miną. Joan wciąż nie wracała. Może to i dobrze, ponieważ wcale nie był pewien, czy mu tak bardzo pilno do ożenku. Wcześniej jednak wyglądało to na wcale niezły pomysł. Ponadto zadał sobie trud, aby się ogolić i włożyć eleganckie ubranie. „Może mi odmówi” - pomyślał z iskierką nadziei, to załatwiłoby całą sprawę bez konieczności podejmowania decyzji. (Lecz nie, nie było szans, żeby odmówiła.) Westchnął i nie wiadomo czemu poczuł się nagle tak samotny i niepotrzebny, jakby mu odmówiła.

Tymczasem zza oszalałającej kaskady bougainvillei przypatrywało mu się czworo promiennych oczu. Jedna para należała do Kate Blackett, druga do jej przyjaciółki, Melanii Langfield. Melania Langfield, która była rówieśnicą Kate, należała do znieawidzonego rodu Langfieldów i była wnuczką starego Solomona Langfielda, na samo wspomnienie którego szczecina na grzbiecie Waltera jeżyła się z odrazy. Najazd na spiżarnię, którego dziewczynki właśnie dokonały, został częściowo pokrzyżowany dzięki czujności Abdula, majordoma. Zanim je jednak odkryto, zdążyły zjeść po łyżce Ovomaltiny, a Melania okazała się o tyle przytomna, że zdążyła wsunąć do kieszeni sukienki słoik z lemoniadą w proszku. Teraz obie, ukryte w bougainvillei, maczały na zmianę poślinione palce w słoiku i zlizywały przyklejone do nich kryształki, smakując szczypiący w język kwasek.

A co członkini znieawidzonego rodu Langfieldów robiła w domu państwa Blackettów? Tak się akurat składało, że Kate i Melania uczyły się w tej samej szkole w Anglii i żadna z nich nie miała innych przyjaciółek w swoim wieku w Singapurze. Ponieważ zaś rodzice jednej i drugiej nie daliby się przekonać, że inne dzieci, których było w kolonii mnóstwo, dorównywały towarzysko statusowi ich córek, obie rodziny znalazły się w kropce. Rezultat był taki, że chociaż ani Blackettowie, ani Langfieldowie nie przestawali źle o sobie mówić i nienawidzić się wzajemnie, zgadzali się czasami, choć niechętnie, aby najmłodsze ich dzieci bawiły się z sobą jakby „nieoficjalnie”. Było to szczęśliwe rozwiązanie, bo w przeciwnym razie Kate i Melania mogłyby spędzić dzieciństwo,

Itak jak wiele nieszczęśliwych dzieci, w pełnym odosobnieniu, otoczono murem snobizmu swoich rodziców. Kate i Melania mogły pozostać przyjaciółkami, dopóki uważano je za „dzieci” - tak samo zresztą jak Monty i Joan mogli się bawić z małymi Langfieldami, choć teraz nie przyznawali się do znajomości na ulicy, jeśli nawet riksze, którymi jechali, stanęły przypadkiem obok siebie na czerwonych światłach. Dzięki fikcji, że dziecko nie istnieje, lub w najgorszym razie, jak młoda osa, pie wykształciło jeszcze żądła, Walter mógł, a czynił to często, wyciągnąć ojcowską dłoń i pogłaskać piękne blond loki Melanii bez jakichkolwiek następstw. Lecz gdyby mu ktoś powiedział, że nie jest to dziecko, tylko Langfield, natychmiast cofnąłby z przerażeniem rękę. Chętniej by wówczas pogłaskał oślizgły łeb ropuchy niż loki małej Melanii. I Melania była bładziutką istotką z wyglądu na młodszą od Kate, choć były równolatkami. Jednakże jej błądliwość kryła silną osobowość i niestrudzoną zdolność do różnych knowań. O ile chodzi o przestrzeganie zasad, w szkole nie raz zdarzyło jej się plunąć nauczycielowi w oczy (ćwiczyła to plucie w swoim ogrodzie w Singapurze). Według Melanii zasady istnieją po to, aby je łamać. O tak, w jej żyłach płynęła krew Langfieldów, gdyby Walter przeczytał szkolne opinie o niej, nie miałby co do tego najmniejszych wątpliwości. Lecz może trochę złagodniała w ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy jej ciało zaczęło ulegać niepokojącym zmianom przekształcając się z dziecka w kobietę? Otóż nie, ani trochę, wcale nie złagodniała. Jedno, co się zmieniło, to jej zainteresowania, a z nimi zainteresowania Kate: obie zaczęły ciekawić mężczyźni. Jeszcze przed kilku miesiącami ich oczy wcale nie zatrzymałyby się na Matthew, jak nie zatrzymywały się na roślinie w doniczce czy na komodzie. Teraz patrzyły na niego uważnie, gdy siedział na schodach z głową wspartą na rękach.

- Kochanie, co się stało Jednostce Ludzkiej?
- Nie mam pojęcia, kochanie.
- Doprawdy, kochanie? Chodźmy go zapytać.

Matthew ucieszył się na widok dziewcząt, chociaż zdziwiło go, że Kate, która go zawsze nazywała po imieniu, zwróciła się teraz do niego słowami: „Moja kochana Jednostko Ludzka”. Gdy przedstawiła go swojej najdroższej na całym świecie przyjaciółce, Melanii, zapytał, czemu się w ten sposób do niego zwraca, więc odpowiedziała mu, że to Ehrendorf go nazwał „cudowną jednostką ludzką”. „Biedny Ehrendorf - pomyślał Matthew - ciekawe, gdzie on teraz jest?”

W czasie ich rozmowy Melania nie odrywała badawczego wzroku od twarzy Matthew, wzroku tak chłodno kalkulującego, że mógłby należeć do któregoś ze starszych Langfieldów. Teraz natomiast wystąpiła z propozycją, która wydała się Kate oszałamiająco zuchwałą: chodziło o to, by Jednostka Ludzka wziął je do kina! Było to bardzo śmiałe - żadnej z dziewcząt nie wolno było iść do kina, póki nie spełniły masy warunków wstępnych: żądano całej wieczności grzecznego zachowania, nie wspominając już o świadectwach szkolnych, które miały być niemal jak u lizusów... a co najprzykrzejsze, wymagano wstępnego obejrzenia filmu przez któregoś z dorosłych członków rodziny.

Lecz jeśli pierwsza propozycja Melanii była zuchwałą, druga wręcz zatykała dech w piersi swoją śmiałością. Patrząc bowiem bez zmruczenia jasnych oczu na Matthew, jak jaszczurka na ćmie, dodała:

- Chcemy zobaczyć Roberta Taylora w „Pożegnany walcu”.

Kate wysłuchiwała tego z napięciem i zapartym tchem i serce jej łomotało. Ledwie się wstrzymała, żeby nie wydać okrzyku: „Pożegnany walc” to film dla dorosłych. Za miliony lat nie uznano by go za odpowiedni dla nich! Opowiadał (jak im powiedziała irlandzka pokojówka pani Langfield) o intymnych i romantycznych związkach między kobietami a mężczyznami. Dotyczył tych rzeczy (dla Kate „te rzeczy” były bulgoczącą kadzią z jakąś ciemną i tajemniczą zawartością, skąd spod podsakującej pokrywki dobywały się czasem kłęby odurzającej pary). Nagle zrobiło jej się słabo z podniecenia i strachu. W jednej chwili zwyczajne i dosyć nudne popołudnie przemieniło się jakby w chodzenie po krawędzi zawrotnej przepaści z osuwającym się spod stóp żwirem.

Matthew tymczasem wyglądał jak otumaniony, jak ktoś, kogo właśnie zbudzono z głębokiego popołudniowego snu. Spojrzał mętnie na zegarek, potrząsnął nim i spojrział jeszcze raz. Lecz zegarek chodził.

- No chodź, bądź równy - rzekła Melania. - Poszlibyśmy na seans o czwartej i zdążylibyśmy na kolację - dodała przekonująco.

- Nikt się nie dowie - wtrąciła Kate i zaraz została ze złością uszczypnięta przez przyjaciółkę: przez swoje głupie uwagi mogłaby obudzić w Jednostce Ludzkiej podejrzliwość.

Matthew i tak wcale nie palił się do tego projektu. Było za gorąco, żeby siedzieć w kinie.

- Ja tu przyszedłem, żeby zobaczyć się z Joan. Chciałem ją o coś zapytać.

- Miną całe wieki, zanim ona wróci!

- Pewnie dopiero na kolację!
 - Naprawdę? - Matthew wydawał się nieco zbity z tropu i znów spojrzął na zegarek. - Czy nie moglibyśmy pójść kiedy indziej? Dajmy na to pojutrze?
 - Ależ pojutrze jest niedziela! - wrzasnęła Melania. - Nikt nie chodzi do kina w niedzielę. Tego się po prostu nie robi!
 - Och, więc w takim razie... - Matthew zawahał się. Prawdę mówiąc wolałby wrócić do Mayfair, żeby przemyśleć swoją rozmowę z Walterem i być może omówić ją z majorem. - Jesteście pewne, że Joan nie wróci przed kolacją?
 - Oczywiście, ty bałwanku! - wykrzyknęła Melania wychodząc z siebie z podniecenia i niecierpliwości. Czowała, że złapała Matthew w swoje sieci i że potrzebował silnej ręki.
 - Czy nie wolałybyście raczej pojechać na lody do Johna Little'a?
 - Nie, do diabła, nie! - oświadczyła z emfazą Melania. Spostrzegła, że Kate rozpromieniła się na propozycję Matthew, jak mała dziewczynka, i wiedziała, że trzeba natychmiast uciąć sprawę.
- Matthew podrapał się niepewnie w głowę i rozejrzał dokoła. Potem znówu spojrzął na zegarek, ale wciąż nie skłaniał się do współpracy. Dziewczęta stały napięte jak sprężyny.
- No to w takim razie... - mruknął i znów umilkł. Melania słysząc to wzniosła oczy do góry. - Więc dobrze - powiedział w końcu. - Spytam majora, czy mi pożyczy samochód.
- Dziewczęta wydały okrzyk radości.
- Ale musicie wziąć maski gazowe.
 - Naprawdę musimy? - Bezduszna biurokracja zaopatrzyła je w dziecinne maski gazowe w kształcie masek myszki Miki. Zupełnie jakby były dziećmi! To było zbyt upokarzające! Spróbowały wyjaśnić to Matthew. Wolałyby raczej dać się zagazować! Lecz Matthew pozostał niewzruszony... Nie będzie masek, nie będzie kina. Dziewczęta były jednak tak przytłoczone zdumiewającym sukcesem śmiałości Melanii, że w końcu zgodziły się wziąć maski. Ciekawe, że gdy popędziły po nie do domu, trzymały się mocno za ręce jak małe dziewczynki, zapomniawszy w podnieceniu o swojej dorosłości.
- Idąc z Matthew przez ogród do Mayfair Kate i Melania początkowo czuły się zaleknione. Bały się, że w ostatniej chwili dostrzeże je ktoś starszy, kto udaremni ich plan. Lecz kiedy zanurzyły się w szpaler drzew pili, uznały, że są już względnie bezpieczne. Pani Blackett nigdy się nie zapuszczała tak daleko.
- Pech chciał, że kiedy brali od majora klucze od jego lagondy, Matthew nie mógł się oprzeć, aby nie wspomnieć o rozmowie, jaką odbył z Walterem. A major, również przejęty tą sprawą, wspominał o interesującym fakcie, że kilka innych mniejszych spółek zarządzanych przez firmę Blackett i Webb usiłowało powstrzymać to przesadzanie drzewek w interesie Wysiłku Zbrojnego. Jednakże wobec stanowczej postawy firmy musiały ustąpić. Matthew był zdumiony.
- Ależ to absurd, majorze! Jakże firma może przeszkodzić spółce robić, co jej się podoba? Ona nią tylko zarządza, prawda? Nie jest jej właścicielką.
- Więc major zaczął to wyjaśniać, a minuty upływały i dziewczęta zaczęły się bać, że nie zdążą do kina. Otóż firma Blackett i Webb zajmowała się nie tylko zwykłym zarządzaniem (kupnem narzędzi, sprzedażą produktu, polityką ściągania mleczka, najmem robotników itp.), ale również inwestowaniem zysków. Już od kilku lat uprawia ona politykę inwestowania zysków jednej spółki w udziałach innych, którymi tak samo zarządza. Wynik tego kazirodczego inwestowania, gdy chodzi na przykład o Mayfair, był taki, że tak jak udziały spółki Mayfair skupiały się w innych spółkach zarządzanych przez firmę Blackett i Webb, tak samo udziały innej spółki były w rękach Mayfair i innych spółek firmy. W ten sposób jakikolwiek bunt przeciwko polityce firmy, wszczęty przez któregokolwiek z dyrektorów jednej spółki, był łatwo dławiony przez odpowiednie manipulowanie głosami innych. Jedynym sposobem, jaki mógł rozluźnić kleszcze, w których firma Blackett i Webb trzymała losy poszczególnych spółek, mógłby być ich jednoczesny bunt. Ale ponieważ inwestowanie miało miejsce nie tylko w spółkach kauczukowych, lecz w najrozmaitszych innych towarzystwach - przewozowych, handlowych, ubezpieczeniowych i tak dalej... jednoczesny bunt był oczywiście wykluczony. Z punktu widzenia firmy Blackett i Webb, cały urok systemu polegał na tym, że choć nie zainwestowała ona ani grosza w większość z tych spółek, to jednak trzymała je w żelaznych kleszczach, jak gdyby były jej całkowitą, wyłączną własnością.
- Och, jedźmy już! - błagała Kate. - Spóźnimy się na film.
 - Ale na miłość Boską! Czy to jest legalne?
 - Jak się okazuje, tak.
- Jedźmy już wreszcie! Nie mamy czasu na takie rozmowy! - Mela-

nia pochwyciła oszołomionego Matthew za rękę i zaczęła go ciągnąć w stronę drzwi werandy. Lecz była bardzo drobna, a Matthew bardzo tęgi - udało jej się go odciągnąć o dwa małe niechętnie kroki.

- Muszę powiedzieć, że... - Matthew zapewne stałby tam tak długo, że niewątpliwie spóźniliby się na kronikę, gdyby major nie zauważył ich niepokoju.

- Widzę, że młode damy bardzo się niecierpliwią. Na jaki film jedziecie?

- Zaraz, zaraz - rzekł Matthew. - Coś, co się nazywa...

- Film z Robertem Taylorem i Vivien Leigh - zatrajkotała Melania wykazując przytomność umysłu, z czego Langfieldowie słynęli w Singapurze. - Już musimy jechać!

I pojechali wreszcie. Ledwie znaleźli się na drodze, gdy minął ich otwarty riley Joan powracającej z miasta. Joan zauważyła ich i dziewczęta zobaczyły, jak odwraca głowę. Ale byli wtedy już daleko. Matthew, który potrafił być zarazem szalonym i ostrożnym kierowcą, patrzył w ponurym skupieniu przez brudne okulary przed siebie. Nie widział Joan.

40

Minęła jedna godzina, druga. Słońce osunęło się ku Sumatrze na zachodzie. Matthew znów wpatrywał się w drogę przed sobą z ponurym grymasem twarzy, ale tym razem lagonda jechała przez Orchard Road w przeciwnym kierunku, aby zostawić Melanię w eleganckim domu Langfieldów przy Nassim Road. Ochłodziło się. Miasto było skąpane w łagodnym złotym blasku, który, na krótką chwilę przed zachodem, stanowił wytchnienie po oślepiającym świetle dnia. Mimo to Matthew czuł się oszołomiony i słaby, miał w ustach smak popiołu, jak zawsze, kiedy wychodził za dnia z kina. Dziewczęta siedziały ściśnięte obok niego, bo lagonda była samochodem dwuosobowym, każda zajęta własnymi myślami. O ile chodzi o Kate, to była trochę załęczniona. Bała się, że w domu będzie awantura. Bała się też, że wykorzystując nieświadomość Matthew naraziła go na kłopoty.

Ale przede wszystkim myślała o filmie. Kiedy wychodzili z kina. Melania szepnęła: „Czy on nie jest boski?” Kate kiwnęła energicznie głową, ale nic nie powiedziała. Nie była pewna, czy Melania ma na myśli Matthew, czy Roberta Taylora, i bała się, aby jej potwierdzenie nic dotyczyło nieodpowiedniej osoby. Ale po chwili Melania dodała protekcyjnie: „Ona jest niezła... ale nie sądzę, by tego rodzaju kobieta mogła być prawdziwie pociągająca, a ty?” Tym razem Kate zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy, lecz nadul milczała. Melanii chodziło tylko o Vivien Leigh, to przynajmniej było pewne. Ale czy tego rodzaju osoba mogła być „prawdziwie pociągająca”, czy nie, Kate nie wiedziała. Nie wiedziała nawet, jak wyrobić sobie o tym zdanie. Kiedy ona, Kate, łamała sobie głowę, by zrozumieć, co dzieje się w filmie (który nagle stał się zagadkowy, gdy Vivien Leigh, ubrana w beret, sweter i pantofle na wysokich obcasach, zaczęła się włóczyć wokół Waterloo Station i mówić: „Juk się masz!” do żołnierzy, zupełnie bez powodu), Melania wyraźnie doszła do wniosku, że gdyby Robert T aylor miał wybierać pomiędzy Vivien Leigh a nią, nu pewno wybrałby właśnie ją, Melanię!

Kate bała się również, że Melania zachowała się dość niegrzecznie wobec Matthew. Bo Matthew, kiedy skończyła się stura kronika (pat-

rzył z przyjemnością, jak jeden żołnierz brytyjski prowadzi do niewoli sto tysięcy włoskich jeńców), zaczął się niepokoić. Na początku filmu siedział spokojnie, gdy Robert Taylor, w mundurze, powiedział do kierowcy: „Do Francji... na Waterloo Station”. Tak samo przez cały nalot lotniczy na Waterloo Bridge, kiedy Robert Taylor natknął się na Vivien Leigh, a syreny wyły i członkowie cywilnej obrony przeciwlotniczej dmuchali w gwizdki i on powiedział: „Głuptasku, czyżbyś miała dosyć życia?”, a ona idąc z nim do schronu zapytała: „Czy to nie wypada, aby oficerowie w takim wypadku biegli?”, i żeby go nie zabito, dała mu talizman, który wyglądał jak z bakelitu.

Przez całą tę część filmu Matthew siedział spokojnie - zaczął się kręcić, kiedy nastąpiły sceny, w których jedna pani przypominająca surową dyrektorkę szkoły, kierowniczką baletu, zaczęła być wściekła na Vi- vien Leigh, która chciała flirtować z Robertem Taylorem, bo on nie pojechał wtedy do Francji, ale w końcu musiał jechać, zanim zdążyli się pobrać. Matthew wiercił się jeszcze bardziej podczas sceny w Candle- light Club, gdzie tyle skrzypiec grało, kiedy tańczyli „Pożegnany walc”, a już zupełnie niemożliwie się kręcił, gdy Vivien Leigh, którą wyrzucono z baletu i była bez pieniędzy, przeczytała w gazecie, że on został zabity, kiedy czekała u Ritza na jego matkę, lady Margaret, która się spóźniła i zastała ją pijaną.

- Na pewno chcecie zostać do końca filmu? - zapytał Matthew nagle na cały głos właśnie wtedy, gdy Vivien Leigh zaczęła się wałęsać przy Waterloo Station mówiąc takie rzeczy do żołnierzy jak: „Jak się masz!” i „Witamy w domu!” To wtedy Melania poprosiła Matthew, żeby był cicho, bo ona próbuje się skupić, a ktoś przed nimi powiedział: „Sza”. Po tym zdarzeniu Kate spojrzała parę razy na Matthew. Osunął się niziutko na swoim krześle i siedział z wysoko podciągniętymi ramionami-widziała w świetle padającym od ekranu, że czuł się nieszczęśliwy.

Tymczasem Vivien Leigh też czuła się coraz bardziej i bardziej nieszczęśliwa i spędzała coraz więcej czasu w swoim berecie, z torebką i w pantoflach na wysokich obcasach, na mówieniu „Jak się masz!” żołnierzom, chociaż to bardzo do niej nie pasowało. Było w tym coś nie w porządku, to oczywiste, ale co? Kate nie miała pojęcia, lecz nie mogła się zdobyć, żeby zapytać Melanię. A kiedy Robert Taylor nagle pojawił się znówu na stacji z innymi żołnierzami, do których właśnie chciała powiedzieć „Jak się masz!”, to zamiast się ucieszyć na jego widok, wydawała się zmartwiona i powiedziała: „Och, Roy, ty żyjesz?”, i dalej za chowywała się w ten dziwny sposób. Nawet Robert Taylor sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co jej jest. Zabrał ją do swojego zamku w Szkocji i tym razem byli w dobrych stosunkach z lady Margaret i mieli się pobrać, ale ona wciąż miewała chwile, kiedy zachowywała się dziwnie i w końcu powiedziała lady Margaret, która stała się bardzo wyrozumiała, że musi coś wyznać, ale nie mówiła co. Lecz lady Margaret jakby odgadywała (czego nie udało się osiągnąć Kate!) i powiedziała coś w rodzaju: „Moje biedne dziecko”, ale potem zgodziła się, że Vi- vien powinna wyjechać do Londynu, co też ona uczyniła i rzuciła się pod ciężarówkę na Waterloo Bridge i to już był koniec, jeśli nie liczyć późniejszego chodzenia Roberta Taylora z oswiałą miną po tym moście. Kate, mimo że nie zrozumiała filmu, uważała obejrzenie go za wstrząsające przeżycie. Wolałaby tylko, żeby Melania nie potraktowała Matthew tak niegrzecznie. A jednocześnie, w niewytłumaczalny sposób, jakaś część Kate wiedziała, o czym był ten film... wiedziała, że wyjaśnienie leży tuż.

Ale oto znaleźli się koło domu Melanii przy Nassim Road. Matthew z pewnością wjechałby na sam podjazd, w sam środek twierdzy Lang- fieldów niczym niewinny wędrowiec w jaskinię zbójców, gdyby Kate nie okazała na tyle przytomności, żeby zatrzymać go przy bramie. Melania wypaplała szybko formułkę podziękowania, spojrzała na Kate promiennymi paciorkowatymi oczyma i pobiegła przez podjazd do drzwi. Kate wiedziała, że gdyby ta ich wyprawa do kina została wykryta, Melania znajdzie z pewnością na podporządku jakąś opowieść, by zrzucić całą winę na Matthew albo rodzinę Blackettów. Lecz czegoż innego można oczekiwać po kimś z rodziny Langfieldów? Nawet Kate nie była za młoda, by wiedzieć, że równie dobrze można potępiać lisa za zagryzienie kury, co robić wymówki któremuś z Langfieldów za podstępne zachowanie.

Ni stąd, ni zowąd Kate i Matthew poweselili, gdy się rozstali z Melanią, i chociaż była już prawie pora kolacji, postanowili zafundować sobie lody mangowe w California Sandwich Shoppe i zjeść je po drodze do domu. Kiedy siadała do lagondy obok Matthew, pilnie bacząc, aby lody nie kapały na sukienkę, opanowało Kate uczucie głębokiego szczęścia. Początkowo sądziła, że to z powodu lodów, ale nawet gdy skończyła jeść, uczucie pozostało. Ponadto nie było to wyłącznie szczęście, lecz także ulga, że wreszcie jest sam na sam z Matthew- czuła, że nie musi mu nic wyjaśniać, że on wszystko rozumie, rozumie ją nawet wtedy,

I kiedy ona milczy. To uczucie, iż jest rozumiana, choć trwało tylko niespełna dziesięć minut, a więc tyle, ile trzeba było czasu, aby dojechać do Mayfair, było dla Kate wstrząsem i objawieniem. Otworzyło nagle cały szereg nowych możliwości, nie tylko z Jednostką Ludzką, oczywiście, chociaż już rozumiała, czemu Joan pragnęła wyjść za niego, lecz możliwości znacznie szerszych. Zupełnie jakby nagle zdała sobie sprawę, po co istnieją ludzkie jednostki! Aby rozumieć się wzajem bez słów!... Poczwała chęć dotknięcia Matthew, ale nie miała odwagi. Gdy dojechali do Mayfair, zaczęła się znów bać oczekującej ją awantury. Jak tu spokojnie pod nawisem gałęzi drzew Tanglinu! Ścisnęła w rękach maskę gazową przygotowaną na najgorsze.

Ledwie samochód się zatrzymał, dostrzegli majora dającego im jakieś znaki z werandy. Z wyrazu jego twarzy wyczytali, że stało się coś złego. Kate przeraziła się: rodzice zapewne już się dowiedzieli, co zrobiła. Lecz okazało się, że majora martwiło co innego. Poczekał, aż wysiądą i podejść bliżej. Potem powiedział posepnie:

- Penang upadł. Przed chwilą wrócił stamtąd François. To straszne, ale wydaje mi się, że nie ma co do tego wątpliwości.

Idąc przez ogród do domu Kate myślała: „W tym całym zamieszaniu nikt się przynajmniej nie będzie przejmował, że byłam w kinie”.

Gdy w kilka minut później przyszedł tam za nią Matthew z majorem, zastali w domu państwa Blackettów atmosferę przygnębienia i niepokoju. Pani Blackett martwiła się o brata, Charlie'ego, który po okresie względnego bezpieczeństwa w Singapurze wyruszył przed trzema dniami do swojego pułku. Czy wojska brytyjskie poniosły wielką klęskę i czy Pendżabowie brali w niej udział? Nikt oczywiście nie wiedział. O ile wszystkim było wiadomo, Pendżabowie nadal kwaterowali bezpiecznie w koszarach w Kuala Lumpur. Walter, chociaż podzielał obawy żony, mniej martwił się losem Charlie'ego niż sytuacją ogólną - wyspa Penang stanowiła tak bliską jego sercu część Malajów, że nie chciało mu się pomieścić w głowie, iż dostała się w ręce Japończyków. Ponadto czuł się dotknięty, że władze nie ostrzegły go przed możliwością takiego nieszczęścia. Jeśli zaś chodzi o Mon ty'ego, ten martwił się o własny los: bał się, że jeżeli nie zachowa ostrożności, może się okazać, że będzie musiał sam walczyć z Japończykami. Ostatnio mu się nie wiodło. Najpierw ten piekielny szal wokół przygotowań do ślubu, a teraz jeszcze Penang. Trudno z kimkolwiek rozmawiać! Nawet Sinclair-Sinclair gotów jest rzucić pracę w sztabie i wrócić do macierzystego pułku, Argyllów, gdy by to było możliwe. Monty nie mógł zgłębić, skąd to pragnienie, żeby iść na front i dać się zabić. Tyle nadziei wiązał z tym, że Sinclair użyje swoich wpływów sztabowca, aby wybronić go od wojska, a ten tymczasem tylko marzy o tym, żeby dać się zastrzelić.

Ze wszystkich gości, którzy zebrawali się na kolacji u Blackettów, tylko doktor Brownley i Dupigny nie wydawali się przerażeni upadkiem Penangu. Doktor Brownley ścisnął wszystkim grzecznie dłonie i mruczał do nich kojąco, jakby w obliczu jakiejś śmiertelnej choroby.

- Smutna wiadomość - szepnął do Matthew, który się zdumiał widząc, że doktor mruga do niego okiem i kiwa głową. Jak się jednak okazało, był to tylko tik nerwowy. Doktor przyszedł w towarzystwie Dupigny'ego, któremu właśnie opatrzył rany. Mimo tych ran Dupigny wydawał się w świetnym nastroju. Miał opatrunek przyklejony plastrzem do policzka, a drugi z tyłu głowy, gdzie musiano mu wygolić trochę włosów. Tym niemniej oczy błyszczały mu złośliwą radością, kiedy oglądał tę scenę przygnębienia w salonie Blackettów. A było to z dwóch powodów: pierwszy, że Blackettowie traktowali go bardzo protekcyjnie od upadku Francji, więc cieszył się widząc ich nieco upokorzonych, a drugi, że to dowodziło słuszności wszystkich jego ponurych przepowiedni odnośnie Japończyków, które głosił przez kilka ostatnich miesięcy, ku ogólnemu rozbawieniu całego Singapuru. Ponadto potwierdzało jego zdecydowane przekonania co do sposobu zachowania się różnych nacji.

Dla Dupigny'ego naród przypominał bardzo prymitywnego człowieka: ów człowiek składa się według niego po prostu z apetytu i jakiegoś mechanizmu jego zaspokajania. W przypadku narodu apetyt ten jest zwykle, jeśli nie wyłącznie, natury ekonomicznej... (od czasu do czasu próżność narodowa, która chwilami ogarnia takie narody jak francuski i brytyjski, zmusza je do działań z ekonomicznego punktu widzenia bezsensownych, w czym również przypominają ludzkie istoty). A czy mechanizmem zaspokajania tego apetytu nie są siły zbrojne narodu? Im potężniejsze są te siły, tym większe szanse na zaspokojenie owego apetytu. Im potężniejsze są siły zbrojne, tym większe jest prawdopodobieństwo (w istocie nawet pewność, według Dupigny'ego), że zostanie dokonana próba jego zaspokojenia. Tak samo jak bokserzy częściej wdają się w karczemne bójki niż, dajmy na to, dentyści, już samo istnienie siły zbrojnej pociąga za sobą konieczność jej użycia. Własne niepowodzenie Dupigny'ego w Indochinach utwierdziło go w jego cynicz-

Eych poglądach. Liga Narodów? To tylko pobożne życzenia i strata czasu!

- To nic, miał szczęście - zauważył doktor uspokajająco do nikogo w szczególności, a Matthew, który siedział w pobliżu na sofie, podniósł na niego wzrok, zdumiony uwagą, dla której nie widział uzasadnienia. Podeszła Joan i usiadła obok niego, a on pomyślał z łagodnym wstrząsem: „Pewnie ludzie teraz myślą, że tworzymy parę!” Nie mógł jednak wymyślić, co jej powiedzieć. Zwróciła się do niego półgłosem:

- Biedny Monty, wciąż usiłują go zwerbować do Ochotniczych Sił Malajskich. Ale oczywiście jego praca jest niezbędna dla Wysiłku Zbrojnego, więc nie może do nich wstąpić. Ponadto, jakie to ochotnicze siły, skoro zmusza się do udziału w nich. - Matthew musiał się zgodzić, że ściśle mówiąc... Ona jednak zignorowała jego słowa i ciągnęła dalej: - Zdaje się, że François ma nowe ubranie.

To prawda. Po miesiącach chodzenia w wyświechtanym garniturze, który udało mu się ocalić w czasie ucieczki z Sajgonu, Dupigny był teraz elegancko ubrany w nową koszulę, nowe spodnie i nową płócienną marynarkę, nie wspominając już o wspaniałej parze lśniących butów. Ten elegancki strój udało mu się nie bez trudności zrabować w płonącym sklepie w George Town. Rezultatem tego dzielnego wyczynu były bandaże spowijające obie jego dłonie, chociaż mówił zupełnie co innego, gdy go zagadywano o nie, dając do zrozumienia, że musiał kogoś ratować od śmierci (w rzeczywistości siebie samego - za długo trwało szukanie odpowiedniego rozmiaru ubrania) w płonącym budynku, gdzie utknął z nogą przywaloną belką.

- Ponieważ istniała groźba, że dach lada chwila się zawali - tłumaczył skromnie pani Blackett, biorąc niepewną ręką pahit z tacy chińskiego boya - trzeba ją było unieść gołymi rękami, bo inaczej nieszczęśnik nie miałby najmniejszych szans.

Słyszając to Walter skrzywił się, nie dlatego, że nie wierzył Francuzowi, ale ponieważ chciał mu dać do zrozumienia, iż powinien zważać na to, co mówi w obecności boya, bo jeśli wiadomość o klęsce Penangu, należącego od wieków do Wielkiej Brytanii, rozejdzie się wśród krajowców, co się wówczas stanie z ich morale? Major zauważył skrzywienie Waltera i domyślił się, o co mu chodzi. Wiedział też, że ostrożność Waltera jest niepotrzebna, bo czyż nie Cheong powiedział mu o upadku Penangu z samego rana, zanim ktokolwiek

o tym usłyszał? Majora bardziej przygnębiała myśl, że z Penangu ewakuowano Europejczyków, podczas gdy resztę ludności pozostawiono na łasce losu.

Miejsce Joan przy Matthew na kanapie zajął Monty, który rzekł ponuro:

- Słyszałeś, że chcą mnie wciągnąć siłą do tych cholernych Sił Ochotniczych?

- Właśnie Joan mi o tym powiedziała.

- Ale się do mnie przyczepili. A teraz jeszcze wybuchła ta awantura w związku z Penangiem. Jeśli chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie, to narobili strasznie bigosu. - Monty westchnął, zastanawiając się, czy nie udałoby się wyjechać w sprawach handlowych do Australii albo Ameryki. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu życie wydawało się całkiem znośne!

Dupigny, otoczony grupką poważnych ludzi, opisywał koszmarną podróż, którą odbył z Penangu do Kuala Lumpur. Ostatnie pięćdziesiąt mil przejechał ciężarówką chińskiego kupca, który skupował kaczuk od drobnych plantatorów. Jedną z wad tego wehikułu było to, że nic nie oddzielało silnika ciężarówki od jadących. Mieścił się on wraz z nimi w kabinie i za każdym razem, kiedy kierowca wciskał pedał gazu, z rury wydechowej buchały płomienie, nie mówiąc już o wodzie tryskającej z chłodnicy. Za siedzenie służyła jemu i Chińczykowi deska położona na drewnianej skrzynce. Co gorsza nie było sposobu, żeby zamocować drzwi, toteż Dupigny ryzykował, że wypadnie na jakimś zakręcie w mokrą od deszczu dżunglę. Od czasu do czasu, gdy silnik krztusił się na wzniesieniu, Chińczyk pochylał się i sięgał ręką zachęcająco do wnętrza silnika, kładąc dłoń na gaźniku, aby zwiększyć ssanie, lub przytykając koniec nie izolowanego drutu do jakiejś metalowej części, żeby zatrąbić. Wszystkie przewody iskrzyły się jak bożonarodzeniowa choinka i co kilka minut on, Dupigny, musiał czekać bez końca, aż Chińczyk, który wpełzał we wnętrzości samochodu z kluczem w rękę, dokona poważniejszej naprawy. Zanim dojechali do Kuala Lumpur, Dupigny zdążył się upiec, ugotować i poddusić dzięki tym płomieniom, wrzącej wodzie i buchającej parze, niczym sola, jaką się przyrządza w Dieppe! Jakże się uradował, kiedy spotkał młodego Ehrendorfa popijającego samotnie w barze hotelu Majestic, naprzeciwko dworca.

- Czy mówił coś o przebiegu walk?

-Nie powiedział nic szczególnego. Ale nie tryskał radością.

- Chodźmy coś zjeść - rzekł Walter kierując swoich gości do pokoju [stołowego. - Być może sprawy nie stoją tak źle, jak się wydaje.

Ostatecznie Penang leżał w odległości prawie pięciuset mil. Zatem oddzielała ich od Japończyków dosyć znaczna przestrzeń. Mimo to, choć z handlowego punktu widzenia niezbyt ważny, Penang zawsze stanowił część świata Blackettów. Teraz czuli, że ziemia zaczyna im się usuwać spod nóg.

Kolacja byłaby rzeczywiście ponura, gdyby nie obecność doktora Brownleya. Początkowo czuł się on nieswojo, zaprzątnięty myślą: „Boże wielki, już dwadzieścia dwa razy z rzędu mnie tu zaprosili, a ja jeszcze ani razu nie zaprosiłem ich do siebie!” Lecz był lekarzem i wiedział, że tego wieczoru Blackettowie potrzebują pociechy w postaci miłego ich sercu tematu, który mógłby zająć ich umysły. A czy jest lepszy temat niż Langfieldowie? Już dawno odkrył, że nie ma takiej rzeczy, która by mogła szybciej poprawić nastrój Blacketta niż Langfield (i vice versa, oczywiście, ponieważ oba te wybitne rody singapurskie były pacjentami doktora). Gdy jakiś Blackett cierpiał na depresję, bezsenność lub brak apetytu, zazwyczaj wystarczała lekceważąca uwaga o stylu życia Langfieldów, ich meblach lub zasłonach, by został natychmiast uleczony. W innych przypadkach, kiedy wskazane było przyspieszenie krwioobiegu, jak w przypadkach migreny albo bólu w plecach, ostrego zaparcia lub niemożności koncentracji, na które pani Blackett z biegiem lat coraz bardziej zapadała, trzeba było czasem dawek silniejszych. Doktor ujawniał wówczas poważniejsze sprawy, na przykład wstręt Langfieldów do płacenia rachunków albo wmawianie, iż zostały zapłacone, kiedy w istocie nie były, lub prośby o usługę lekarską podczas okazji towarzyskich. A ponieważ doktor jadał regularnie przez te wszystkie lata w obu domach i przekonał się, że jedynym tematem rozmowy, który miał gwarantowane powodzenie, był ten drugi dom, nie dawkował przeto swego leku tak oszczędnie jak powinien. Doszło więc ostatecznie do tego, że aby utrzymać swoich pacjentów w normalnym zdrowiu, przygotowywał z góry co celniej sze plotki, aby potem raczyć nimi zebranych przy stole, tak jak pracownik zoo bierze z sobą śledzie w wiadrze, kiedy idzie do lwów morskich.

I Walter, pewnie nie uwierzysz, gdy ci powiem najnowszą nowinę o pewnej rodzinie (nie powiem jakiej, ale to nie sekret, że mieszka ona przy Nassim Road)! Otóż wydaje się, że tym razem przeszli samych siebie! -I doktor zachichotał konspiracyjnie patrząc po siedzących wokół stołu. Blackettowie, chociaż wstrząśnięci upadkiem Penangu i zaniepokojeni myślami o przyszłości, poczuli od razu lekką ulgę. Doktor krajał z przejęciem kotlet cielęcy, nie spiesząc się i nie przestając chichotać, a Blackettowie odsunęli tymczasem myśli o płonąjącym Penangu na plan dalszy i skupili swą uwagę na nim. „Tak - myślał doktor zaczynając się zastanawiać, jakby tu powiększyć przykłady wad Langfieldów - tego im właśnie trzeba. Czegoś, co odwróciłoby ich uwagę od tych spraw”.

Natychmiast jeden śledź za drugim zaczął padać lśniącym łukiem nad stołem prosto w zręczne paszcze wąsatych Blackettów, które chwytaly je w locie. Wkrótce tylko major, Dupigny i Matthew siedzieli bez wystających z ust śledziowych łbów lub ogonów. „O co chodzi?-zastanawiali się. -I co to ma wspólnego z Penangiem?”

W podnieceniu i z troskaniu poważną wiadomością z Penangu Matthew nie poświęcił należytej uwagi ilości pitego alkoholu. W roztargnieniu wychylał jeden kieliszek za drugim i był daleki od trzeźwości. Czuł się znudzony doktorem i jego gawędzeniem o Langfieldach. Wydawało mu się śmieszne i niepoważne, że siedzą tak i plotkują na małomiasteczkową modłę w tej historycznej chwili, gdy wszędzie wokół aż wrze, gdy do łańcucha wydarzeń sięgającego pierwszego odstępstwa od sprawiedliwości w Lidze Narodów dokuwa się nowe straszliwe ogniwo. Powinni raczej mówić o... mniejsza o czym, byleby tylko ich słowa wyrażaly ich prawdziwe uczucia. Oto właściwa chwila, aby poruszyć sprawy, o których normalnie się nie wspomina w towarzystwie z obawy, by się nie wydać śmiesznym lub żeby nie wprawić w zakłopotanie przyjaciół. Na przykład sprawę miłości i śmierci. I w ten sposób pod wpływem czerwonego wina postanowił, że jest to właściwa chwila, aby uczynić to, co zamierzał zrobić tego popołudnia, poprosić o rękę Joan. Spojrzał na nią - nigdy jeszcze kształt jej policzków nie wydawał mu się równie uroczy! Nigdy jej czarne loki nie lśniły tak wspaniale! Poczł się poruszony jej pięknem, a może tylko winem i posmakiem ryzyka, który przydała zyciu wiadomość o Penangu! Odsunął nagle krzesło od stołu i wstał.

Cisza zapadła wokół stołu. Blackettowie patrzyli na Matthew ze zdumieniem. On zaś stał chwilę nic nie mówiąc, lekko pochylony do przodu i wsparty dłońmi o wypolerowaną powierzchnię stołu. - Smutna okazja - mruknął doktor u jego boku, trochę zirytowany,

bo Matthew przerwał mu w środku wybornej anegdoty tym swoim chamskim wstaniem. Tymczasem Matthew rozpaczliwie szukał w myślach tego, co chciał powiedzieć... wiedział, co to było (bo przecież jeszcze przed chwilą o tym myślał), i wiedział, że musi zrzucić to z serca.

- Mówił mi Monty - zaczął wreszcie - że od kilku dni rozpatruje się plany ślubu Joan i że te plany dotyczą mnie. Otóż wydaje mi się, że w ten wieczór powinniśmy choć raz w życiu wyjawić nasze najgłębsze uczucia... I właśnie dlatego tak nagle teraz wstałem, co jak przypuszczam może wydać się trochę dziwne... Myślę, że powinniśmy powiedzieć. .. Sądzę, że rozumiecie, co mam na myśli...

Blackettowie poruszyli się w krzesłach niespokojnie, wcale nie przekonani, że wiedzą, co ma na myśli. Ponadto Matthew najwyraźniej wypił o kilka kieliszków za wiele. Mimo to, wyglądało, że jest na właściwym tropie, o ile chodzi o ślub. Do tej pory wydawał się całkiem apatyczny i nawet nie wspomniał o ślubie, co było dręczące, zwłaszcza dla Waltera i Joan, którzy nie wiedzieli, czy mają się zabierać do ostatecznych przygotowań w oparciu o dotychczasowe ustalenia, czy też czekać na bardziej zdecydowany znak Matthew.

- Dla was, siedzących wokół tego stołu, którzy znaliście mego ojca lepiej niż ja... Mam nadzieję, że nie obrazicie się, jeśli was nazwę „najdroższymi przyjaciółmi"... Otóż chciałem powiedzieć... i zapewniam was, że to szczerą prawdą... - Matthew, który się trochę zaplątał, musiał na chwilę przerwać, żeby się zastanowić, co naprawdę chciał powiedzieć, musiał przeprosować gorącym żelazkiem swoje myśli i wygładzić ostatnie w nich sprzeczności. To nie było trudne. Wystarczyło powiedzieć, jak się naprawdę odnosi do perspektywy poślubienia Joan i tak w chwilę później usłyszał ku swemu zdziwieniu jakby z oddali własny głos mówiący: - Zapewne powinienem był powiedzieć to wcześniej, aby zapobiec nieporozumieniom, ale chociaż Z chcę się z nią ożenić, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli. To wszystko, ^ chdałem powiedz/eć. 11 po tych słowach usiadł czując się zdecydowanie kiepsko.

Część czwarta

Rankiem 20 grudnia wróciłem do Singapuru i wkrótce potem wystosowałem pismo zawierające informacje o taktyce japońskiej oraz instrukcje, jak należy się jej przeciwstawiać. Położyłem szczególny nacisk po pierwsze, na konieczność surowej dyscypliny i absolutny spokój oraz, po drugie, na to, że taktyka wroga polegająca na omijaniu skrzydeł oraz infiltracji nie może powodować wycofywania się, które powinno się odbywać jedynie na rozkaz wyższego dowództwa. Zaproponowałem jako najlepszą formę obrony, aby siły obronne okopały się po obu stronach głównej arterii komunikacyjnej z siłami uderzeniowymi na skrzydłach, które byłyby gotowe do ataku w chwili wejścia wroga w kontakt z siłami obronnymi. Dla ukrócenia krążących pogłosek, których złe skutki wzmogła trudność w zorientowaniu się, co się naprawdę dzieje, wydałem rozkaz surowego tłumienia wszelkich pogłosek i przesadnych raportów o skuteczności działań wroga.

Generał porucznik A.E. Percival, „Wojna na Malajach”

JAPOŃCZYCY PALĄ NA PÓŁNOCY KORAN Uchodźcy, którym udało się wydostać z okupowanego Trengganu, donoszą o wstrząsającym świętokradztwie. Mówią, że Japończycy wtargnęli siłą do mahometańskiej szkoły religijnej w Kuala Trengganu, stolicy stanu, złupili ją, wyrzucili kitabkitab (święte księgi) przez okno i zbezczeszili święty Koran. Następnie umieścili własne bożki w Police Suran (miejsce kultu) w Kuala Trengganu. Wiadomość ta po zbombardowaniu meczetów w Penangu i Kuala Lumpur wywołała wśród Malajczyków rozgoryczenie, ponieważ ledwie przed kilkoma tygodniami radio Tokio co wieczór zapewniało o szacunku dla muzułmanów i muzułmańskich miejsc kultu na Malajach i gdzie indziej.

CHWILA CISZY NA MALAJACH: NOWY SUKCES RAF-u Według oficjalnego komunikatu z ubiegłej nocy Japończycy nie mogli kontynuować natarcia na froncie Perang, gdzie prowadziły akcje nasze patrole.

NALOTY NA KUALA LUMPUR

Od swego pierwszego nalotu na miasto Kuala Lumpur w piątek Japończycy ponawiali ataki codziennie. We wtorek było aż pięć alarmów przeciwlotniczych. Samoloty napotykały za każdym razem na silny ogień przeciwlotniczy. W obawie przed tym ogniem Japończycy nie śmieli pokazać się nad miastem i od ubiegłego piątku nie zrzucili na nie ani jednej bomby.

„Straits Times”, czwartek, 1 stycznia 1942

Teraz rozpoczął się nowy rok 1942 i życie w Singapurze uległo jeszcze jednej straszliwej metamorfozie. Po trochu ludzie przyzwyczaili się do mroku zaciemnionych ulic i zapór wojskowych, choć nie przestały one być dla nich niewygodne. Lecz teraz naloty, początkowo sporadyczne i wymierzone w port i lotniska, przypominały mieszkańcom Singapuru o niebezpieczeństwach, na jakie są narażeni. A jednak, gdy się nad tym zastanowić, minęło ledwie kilka dni od czasu, gdy Singapur zażywał wygod i bezpieczeństwa czasu pokoju. Jakże odległe teraz wydawały się owe czasy! Ostatnio, jeśli ktoś nie miał stalowych nerwów, trudno mu było nawet jadać na trawniku hotelu Rafflesa w tropikalną noc wśród wachlarzowatych liści palm podróżników. Teraz ludzie woleli jadać w lokalach, bo po pierwsze, na zewnątrz nie było nawet światła, przy którym można by przeczytać menu, a po drugie, choć nadal było równie uroczco nasłuchiwać szumu ciepłych podmuchów wiatru w strzępiastych koronach palm nibong na tle rozgwieżdżonego nieba, ale nie miało się pewności, czy w tych chwiejących się palmach nie czai się jak pantera japoński zamachowiec spoglądając z góry żółtymi ślepiami, kiedy zatapiasz łyżeczkę w soufflé au fromage. Poza tym, siedząc tam samotnie, czy można mieć całkowitą pewność, że nie podzieli się swojego soufflé z japońskim spadochroniarzem?

Europejczycy byli w owych dniach całkowicie pochłonięci pracą. Ledwie bowiem kończyli pracę w biurze, już musieli stawić się na popołudniowe szkolenie samoobrony i jednostek ochotniczych. Kto miał ukończone czterdzieści jeden lat, ten był w ochotniczej służbie porządkowej lub straży ogniowej, albo w Korpusie Obrony Cywilnej, chyba że został zwolniony ze względu na wagę wykonywanej pracy. Tym niemniej trzeba było drugiego nalotu na Singapur, 29 grudnia, i następnych, występujących z rosnącą częstotliwością, aby uczynić prawdziwy wy

łom w singapurskim stylu życia. Działalność sportowa na padangu ustała (dla niedoświadczonego oka Matthew była to rzecz wielce zdumiewająca, że trzydziestu dorosłym ludziom chciało się brać udział w grze w rugby, która przecież wymagała sporej energii zaledwie kilka mil od równika) - miejski wydział komunalny wznosił specjalne zapory, aby ta otwarta przestrzeń nie mogła być dostępna dla samolotów i spadochroniarzy. Skupowano zapasy konserw i ludzie zaczęli budować prowizoryczne schrony przeciwlotnicze w ogrodach lub w solidniej szych częściach domów.

Zewnętrznie być może niewiele się zmieniło. Nadal mogłeś zatrzymać się gdziekolwiek w mieście, tak jak robiłeś to zawsze, i kupić sobie orzeźwiający plaster ananasa lub wiązkę malutkich, przepysznych bananów, nie większych od palca, lub, jeśli byłeś śmiały, wyjadać łyżeczką wonny, niebiański, zaskakujący smakiem miąższ owoców durian. Niektórzy ludzie, nie mniej odważni, czasami nawet rozgrywali rundę golfa podczas nalotów, przynajmniej do czasu, gdy pola golfowe i budynek klubu zostały przejęte przez wojsko dla wykonania umocnień, mimo dżentelmeńskiej akcji Komitetu Klubowego, aby zachować klub dla członków. Inni pluskali się i igrali w falach przy Tanjong Rh u, kiedy bombowce japońskie bombardowały port Keppel po drugiej stronie cieśniny. Czy była to odwaga, czy też po prostu dowód, jak wiele trzeba czasu, aby przestawić się z rzeczywistości pokoju do rzeczywistości wojny? No cóż, człowiek był zapewne nie mniej bezpieczny, za to było mu znacznie przyjemniej, kiedy się kąpał w czasie nalotu, niż gdy się dusił w zaimprovizowanym schronie.

Major jadł w pierwszym tygodniu stycznia lekki posiłek z doktorem Brownleyem w hotelu Adelphi i zdziwił się, że orkiestra hotelowa wciąż koncertuje podczas lunchu, grając ulubione melodie z dawnych czasów. Jego rozmowę z doktorem, którego chciał nakłonić do stworzenia ruchomej jednostki medycznej przy oddziale P.S.P. w Mayfair, zakłócił jedynie pijany australijski dziennikarz, który podszedł na chwiejnych nogach do ich stolika i zapytał:

- Jak wam smakuje wyżerka? - po czym odszedł. Major widział go później wymiotującego między palmy w hallu hotelowym, podczas gdy szwajcarski dyrektor stał nie opodal i załamywał ręce. Zważywszy jednak, że to wojna, nie było o co robić hałasu.

Jedno natomiast wstrząsnęło majorem. Spodziewał się, że niechęć okazywana wojsku, mająca od kilku lat charakter endemiczny wśród

[europejskich cywilów, ustąpi natychmiast po wszczęciu działań wojennych na lądzie stałym. Ale przeciwnie, przybrała teraz na ostrości. | Wojsko, które według oczekiwań miało bronić działalności handlowej Singapuru, bardzo istotnej jako źródło zaopatrzenia Imperium, owo wojsko czyniło wszystko, aby ten handel uniemożliwić swoim nie znoszącym sprzeciwu rekwirowaniem terenów i prywatnej własności. Gdyby wojsku na to pozwolono, zawładnęłoby na dobitkę siłą roboczą do budowy umocnień i obozów, które powinno budować samo! Jakie oburzenie powstało w Singapurze, gdy (w trzecim tygodniu stycznia) „Sunday Pictorial” opublikował to, co „Straits Times” nazwał „niedorzecznymi pomówieniami, jakoby żłopiający whisky plantatorzy, nieudolni urzędnicy i chciwi biznesmeni odmawiali płacenia podatków”,

Ale tymczasem cywile i wojskowi korzystają ze wspólnej rozrywki w coraz to bardziej zdewastowanym i niebezpiecznym mieście... chodzą do kina. Chodzą obejrzeć „Prywatne sprawy” z Nancy Kelly i Robertem Cummings w Cathay albo „Złych ludzi z Missouri” w Alhambry, albo Charlie Chaplina w „Dyktatorze” w Roxey. Zmęczeni żołnierze z głębi kraju lub nowo przybyli z Brytanii, Australii i Indii oglądają Johna Wayne’a w „Dark Command” w Empire, siedząc obok niespokojnych i smutnych uchodźców z Penangu i Kuala Lumpur. A wszyscy razem w upalnym mroku oglądają Joe’ego E. Browna w filmie „Więc nie chcesz mówić, Mata Hari?”, z Gretą Garbo i Ramonem Novarro, i Henry’ego Fondę w „Powrocie Franka Jamesa”, który mimo huku i łoskotu bomb i dział przeciwlotniczych docierającego z zewnątrz na widownię nosi wyraźne ślady nożyczek cenzora w miejscach, gdzie winny być sceny rewolwerowe, aby nie dawać nowych pomysłów tutejszym gangsterom. Być może siedząc tak znajdują trochę otuchy „w pierwszym dramacie nowych skoczków Wuja Sama”, w „Batalionie spadochronowym” z Robertem Prestonem i Edmundem O’Brienem... lecz niewątpliwie uważają spadochrony za zbyt bliskie rzeczywistości i wołą Lorette Young w „Damie z Chayenne”. „Był to męski świat, póki głęboko wydęte suknie nie zawładnęły miastem”. Patrzą w milczeniu, a odbite od ekranu światło pełza po ich napiętych twarzach. We wtorek, po tygodniu wyświetlania tego filmu (teraz już ludzie siedzą podczas nalotu na widowni stalowych helmach), odbędzie się zmasowany nalot bombowców floty japońskiej na Tanglin i Orchard Road, a we środę jeszcze bardziej niszczący nalot na Beach Road.

— Pakai angku punia sarong muka! Włóżcie maski gazowe! Jangan ternak sampai depat hu kum! Nie strzelać bez rozkazu! - wykrzyknął major tłumacząc niewinnie. - Jaga itu periook api... bedil itu sudah letup. Uwaga na bomby - ten pocisk eksplodował! - Panował tak wielki upał i wilgotność, że trzeba było nie łąda wysiłku, żeby utrzymać otwarte oczy. Głowa majora zaczęła znowu opadać na pierś. Zmusił się, aby się wyprostować i powiedzieć: - Gali parit untok lima kaki tingyi. Kapał terbang tedak boleh naik sabab musim ribot. Zróbcie okop na pięć stóp wysoki. Samoloty nie mogą wystartować ze względu na burzliwą pogodę... - Znowu głowa zaczęła mu opadać... Rozległ się głośny huk i major poderwał się raptownie. To Dupigny cisnął książką przez pokój w tłustego, rudego karalucha, który właśnie szedł sobie promieniejący werwą i zdrowiem po śdanie biura. Dupigny jednak spudłował i karaluch umknął z nadzwyczajną prędkością.

Ożywiony tym hałasem major odłożył listę pożytecznych zdań malajskich, które próbował opanować, i podszedł do okna. Deszcz lał strugami na szerokie, zielone liście bananowe i spływał rzeką po podjeździe do studzienki burzowej.

- Posłuchaj tego, Brendan - zachichotał Dupigny, który czytał gazetę rozciągnięty na trzcinowym fotelu. - „Nowo sprowadzone! Worki na piasek! Dostępna tylko ograniczona ilość! Spółka Handlowa Hagemeyera z o.o.” Ludzie w Singapurze mają niesłychanie rozwinięty zmysł handlowy!

- Japończycy, François, początkowo mieli przewagę - rzekł major, który szedł za biegiem własnych myśli:—Wątpię jednak, czy zajdą wiele dalej.

-Sans blague?

- Mieli przewagę zaskoczenia, a to się wiele liczy. Ale im dalej odepchną naszych chłopców, tym bardziej skoncentrowane staną się nasze siły... niczym sprężyna, gdy się ją ścisza. W odpowiedniej chwili rozwinie się z tym większą mocą.

- Sans blague?

is Czy mógłbyś przestać powtarzać przez cały czas to swoje sans blague? To działa mi na nerwy.

- Przepraszam.

Na dworze zrobiło się bardzo demno i deszcz był tak ulewny, że wypełnił pokój hałasem przypominającym bide werbli. Przez szparę w podłodze major widział wodę spływającą między słupami, na których

pni bungalow. Od czasu do czasu błyskawice rozświetlały z drugiej strony pokoju twarz Dupigny'ego, cyniczną sieć zmarszczek. Odłożył bazetę, bo było za ciemno, żeby móc czytać.

- Co za burza! - rzekł Matthew, który przyszedł ze swego pokoju obok i stanął przy oknie koło majora.

- Takie burze zwykle nie trwają długo - powiedział major i zaraz dodał: - Przy okazji, był tu niedawno pan Wu i mówił, że podobno w głębi kraju znowu są kłopoty. - Major, choć nic powiedział tego, bał się, że Malaje zaczynają się rozpadać. Nic była to też kwestia tylko sytuacji militarnej. Przedstawił Matthew, co usłyszał.

W ubiegłym tygodniu mówiono, że Australijczycy rozbili gdzieś hotel. Teraz do pana Wu, który miał kontakty handlowe z Penngiem, Kuala Lumpur, Ipoh i Kiumttn, dotarły pogłoski, że przed japońskimi bagnietami idą jak fala zamieszki, grabieże i starcia na tle rasowym. W niektórych miejscowościach wycofujące się oddziały brytyjskie, którym polecono zniszczyć magazyny przedstawiające wartość dla wroga, same dały przykład rabując sklepy jubilerskie i alkoholowe, w czym dopomagała im gorliwie miejscowa ludność, a nuwet policja, która uprzednio zrzuciła mundury. Pozwolono grabić wszystko, co posiadało jakkolwiek wartość. Chmary szarańczy spadały na każdy porzucony bungalow europejski: w jednej chwili był on oczyszczony ze wszystkiego, włącznie z żarówkami, klamkami i armaturą łazienkową. Po oczyszczeniu bungalowów europejskich łupieżcy zabierali się do opuszczonych bungalowów bogatych Chińczyków, Hindusów i Malujczyków..., a następnie również do zamieszkałych i jeśli właściciele nic oddawali im szybko swoich kosztowności, torturowali ich, póki nic dostali tego, co chcieli. Czasami, zgodnie ze szczegółową i przekonującą opowieścią pana Wu, chińscy łupieżcy byli w maskach albo przebrani w mundury japońskich żołnierzy, kiedy indziej dwie rywalizujące bandy przybywały, aby złupić to samo miejsce, którym raz mogły być dajmy na to rządowe magazyny ryżu, kiedy indziej biura Urzędu Ziemińskiego lub teren Urzędu Celnego, i toczyły między sobą bój o prawo do grabieży. A temu wszystkiemu towarzyszyły przemoc i gwałty, nie wspominając o egzekwowaniu dawnych rachunków. Kraj tonął w anarchii!

- A czego się spodziewałeś? - zapytał Dupigny kwitując sprawę wzruszeniem ramion. - Nie rozumiem, czemu cię to dziwi?

- Posłuchaj; François. Prawa danego kruju są jedynie uzewnętrznieniem pragnień ludzi, by żyć w określony sposób. Nie można oczekiwać.

że jeśli się na kilka dni usunie te prawa, to wtedy z dnia na dzień powstanie anarchia, tak samo jak przez zniesienie przepisów o ruchu drogowym nic spowoduje się, że kierowcy będą jeździli dowolną stroną drogi. Prawa nie są środkiem do zniewolenia populacji dzikich zwierząt, ale umową pomiędzy ludźmi... rozumiesz, o co mi chodzi? Ale dlaczego w takim wypadku pomiędzy dwiema armiami, tam, gdzie prawo zostało zawieszane, wystąpiła ta próżnia moralna? Zapewne dlatego, że ci łupieżcy i gwałciciele wcale nie uważają się za członków naszej społeczności!

- Właśnie! - wykrzyknął Dupigny i błyskawica ukazała jego sardoniczny uśmiech. - W takim kraju jak Malaje podobnie idealna społeczność jest mrzonką, ponieważ ludzie należą do różnych ras i jedno, co mają wspólne, to własny interes. Braterstwo ludzi? Mrzonka! Ale nie martwmy się, interes własny jest niezawodnym źródłem zamożności, co wasz pan Smith tak błyskotliwie wykazał!

- Czy ty naprawdę wierzysz, François, że nasze prawa nie pozwalały do tej pory tutejszym ludziom robić tego, co najbardziej chcieli, a mianowicie napadać, rabować i gwałcić? Nie opowiadaj!

- Z całą pewnością. Masz dziś na to dowód.

Zamiast odpowiedzi major pochylał się i wyciągnął rękę do Doli Człowieczej, który widząc to zawahał się, jakby się obawiał, że major zamierza go pochwycić i wrzucić do krematorium. Po kilku chwilach wewnętrznej rozterki zwierzę podczołgało się bliżej i zamachało żalonym ogonkiem. Major westchnął. Za oknem pierwszy promień słońca przebił się przez chmurę i zawisł drżący w gęstym mroku podjazdu, krzesząc jednocześnie szmaragdowe iskry na ociekającym wodą bananowym liściu.

Matthew, który przez pewien czas stał przy oknie z rękami w kieszeniach, patrząc w posępnej zadumie na ociekającą wodą zieleń, zainteresował się dyskusją. Przypomniał sobie, z jaką przyjemnością patrzył na mieszanie się ras na parkiecie w „Wielkim Świecie”. Nie ulega wątpliwości, że aby zbudować naród z pluralistycznego społeczeństwa Malajów, trzeba jakiegoś większego ideału niż zysk właścicieli plantacji, kupców i wszelkiego rodzaju przedsiębiorców wraz ze wzrostem zamożności robotników. Trzeba nowego ducha... ducha, który na samym początku ożywił ludzi w Genewie. Zaczął to wyjaśniać majorowi i Dupigny emu. nieskładnie szukając słów. To po prostu kwestia zerwania z dawnym nawykiem myślenia! Jakże łatwo, gdy istnieje odpowiednia at

mosfera, zmienić sposób wzajemnego traktowania się! Nawet pozornie powodowani własnym interesem ludzie są do tego zdolni. To jest jak... jak... Chwytał powietrze palcami w poszukiwaniu przykładu. Tak, jak w przypadku człowieka w pustym przedziale kolejowym, człowieka, który zaciąga zasłony i stawia walizki na miejscach do siedzenia, aby mieć przedział wyłącznie dla siebie. Lecz jeśli ktoś już tam wejdzie i dajmy na to zachoruje, wówczas ten człowiek nie będzie szczędził wysiłków, aby mu pomóc, zdejmie z grzbietu własną marynarkę, aby go okryć, zatrzyma pociąg i sprowadzi ludzi na ratunek towarzysza podróży, będzie gotów zadać sobie wszelki trud. Ludzie mogą się zdobyć na tego rodzaju postępowanie z taką samą łatwością jak na postępowanie oparte na podejrzeniu i interesie własnym. Nawet Japończyków byłoby stać na to, gdyby nie zarazili się naszym własnym cynicznym podejściem do władzy.

— Stanowczo nie zgadzam się, że interes własny jest najlepszym źródłem dobrobytu. Tak się tylko wydaje, ponieważ nigdy nie byliśmy w stanie zerwać z tym złym nawykiem, którym obarczyła nas historia. Ludzie naprawdę mogą stać się braćmi, François, cokolwiek powiesz. I jestem pewien, że gdy ta straszna wojna się wreszcie skończy, tysiące ludzi różnych ras będą gotowe poświęcić za siebie wzajem życie!

Gdy Matthew, jękając się z przejęcia, wypowiadał swoje przekonania, jego towarzysze słuchali w milczeniu, major z powątpiewaniem, Dupigny z drwiną. Teraz Dupigny wstał - nadeszła pora jego popołudniowej sjeisty na stole sali konferencyjnej, jedynego pokoju w tym domu, który miał działający wentylator. Wchodząc przystanął koło Matthew i poklepał go po ramieniu mówiąc ze śmiechem:

- Równie dobrze mógłbyś się spodziewać po maklerach, że są gotowi oddać życie za giełdę!

To właśnie wtedy zaczęto widywać członków oddziału P.S.P. z Mayfair przy pożarach w mieście z nową lśniącą pompą. Początkowo, kiedy dopiero uczyli się fachu, nie było to nic wielkiego - jakiś warsztat lub magazyn podpalony w czasie nalotu na doki. Z Mayfair wyruszał małeńki konwój z lagondą majora na czele. Major sam kierował swoją lagondą nie spuszczać z oka pompy na przyczepie, chwiejącej się i podskakującej w lusterku wstecznym, a za lagondą podążał stary buick pana Wu, zapchany ludźmi w kaskach i sprzętem. Z czasem, kiedy pożary stały się większe, zastawali już inne jednostki przeciwpożarowe i kiedy przyjeżdżali, musieli się telepać po osłaniających węże deskach w poszukiwaniu oficera kierującego akcją. Bardzo często był nim człowiek nazwiskiem Adamson, który, jak się dowiedzieli od zawodowych strażaków, miał niezwykłą reputację specjalisty od zapobiegania w rozprzestrzenianiu się ognia... reputację, można by pomyśleć, generała. Rozczarowywał jednak swym pospolitym wyglądem... dosyć anonimowo wyglądającego indywiduum po czterdziestce, o szczeciniastych siwych włosach i zachowaniu przywodzącym na myśl raczej ciekawskiego gapia niż generała na polu bitwy. Szczególnie Matthew patrzył na niego z zaciekawieniem, zdziwiony, że tyle legend wiąże się z jego osobą.

Przy pożarze jednego z magazynów, gdy Matthew rozmawiał z Evansem z Centralnego Oddziału Straży Pożarnej z Hill Street, nagle rozległ się krzyk:

— Odstąpić!

- Znaczący, że zaraz zawali się fasada - wyjaśnił Evans i obaj z Matthew oddalili się wraz z innymi na bezpieczną odległość. Evans jednak nie odrywał wzroku od Adamsona, który pozostał koło budynku, patrząc z rękoma w kieszeniach w górę. Opowiadają, rzekł Evans do Matthew, że kiedyś w podobnej sytuacji Adamson stał pod wysoką fasadą, kiedy zaczęła się walić. Ponieważ było już za późno, żeby uciekać, spokojnie obliczył sobie, w którym miejscu wypadnie otwarte okno, zmienił trochę pozycję i stał dalej nieruchomo. Fasada runęła, on zaś stał sobie dalej nietknięty.

-Rany boskie! - Matthew spojrział na Adamsona głęboko przejęty takim przejawem zimnej krwi, ale zarazem podejrzewając, iż może to być opowiadanie, jaką stare wygi lubią powtarzać takim nowicjuszom jak on.

Mimo satysfakcji, jaką Matthew odczuwał w owych dniach, mając świadomość, że robi coś dla kolonii, a nawet naraża się dla niej, nie był całkowicie zadowolony z siebie. Jego stosunki z rodziną Blackettów zostały poważnie nadwężone przez ów niezręczny sposób, w jaki obwieścił, iż nie pragnie poślubić Joan. Jak mógł zrobić coś podobnego? Blackettowie byli przecież odwiecznymi przyjaciółmi jego ojca! Na samo wspomnienie swego okropnego zachowania czerwienił się ze wstydu. Napisał naturalnie z przeprosina do Waltera, pani Blackett i samej Joan (jakże mógł okazać taką niewrażliwość odtrącając nieszczęsną dziewczynę publicznie!)... ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi i nie spodziewał się, że uzyska przebaczenie za swoje gorszące zachowanie.

Napisałby również do Monty'ego, lecz Monty sam do niego przyszedł i wcale nie sprawiał wrażenia człowieka urażonego. Monty potrafił dostrzec w tej sprawie dobrą stronę i rzekł chichocząc:

— Chłopie, tym razem naprawdę strzeliłeś gafę. Moja rodzinka jest niezbyt zadowolona z ciebie, ujmując rzecz delikatnie! Ale przynajmniej przepędziłeś z domu te przekłete druhny! Muszę ci oddać sprawiedliwość, stary, iż... nie przypuszczałem, że ciebie na to stać. - Lecz Matthew był niepokieszony. To prawda, że już nie musiał żenić się z Joan... ale sumienie tak bardzo go dręczyło, że chyba wolałby już to uczynić.

Wkrótce jednak przyszedł od Waltera list i Matthew otwierał go w przewidywaniu, że znajdzie w nim wyrzuty. Ale ku swemu zdziwieniu nie znalazł w liście ani wzmianki o swym postępkach, ba, z pośpiesznie napisanego listu można by nawet wnosić, iż Walter w ogóle zapomniał o całym wydarzeniu. Walter błagał Matthew w imię miłości ojczyzny oraz wszystkiego, co drogie jego sercu, aby raz jeszcze rozważył możliwość wystąpienia jako ucieleśnienie Ciągłości w jubileuszowym pochodzie firmy Blackett i Webb. „Po upadku Penangu - pisał Walter - stało się bardziej niż kiedykolwiek konieczne podbudowanie morale azjatyckich społeczności w kolonii przez ukazanie naszej niezłomności i przypomnienie naszych związków w przeszłości, które okazały się dla nich tak owocne". Z powodu „ostatnich wypadków" trzeba było nieco odłożyć obchody i pochod jubileuszowy, lecz „lada dzień" ostatnie przygotowania będą ukończone. Matthew jest tymczasem proszony o przybycie z majorem i Dupignym na próbę generalną pochodu, aby się upewnić, że wszyscy wiedzą, czego się od nich oczekuje.

List został podyktowany na maszynę stylem dosyć dyskursywnym i napisany na firmowym papierze Waltera. Jednak na dole Walter dopisał atramentem zagadkowe postscriptum: „Podobno młody Langfield dosyć nieźle się spisuje jako strażak. Co ty na to? Może nie jest taki zły jak reszta tej bandy?" Matthew odczuł ulgę po liście Waltera, chociaż zaskoczyła go trochę wzmianka o Nigelu Langfieldzie - wyglądało jednak na to, że Walter po prostu głośno myślał. Matthew szybko wysłał odpowiedź, donosząc, że zrobi wszystko, co Walter zechce. W końcu po popełnionej gafie nie mógł postąpić inaczej.

Mając uspokojone nieco sumienie tą wymianą listów Matthew postanowił wziąć sobie wolne popołudnie. Ostatnimi czasy jego wysiłki, by pojąć całą złożoność handlu kauczukiem, zeszyły na drugi plan, ustępując miejsca obowiązkowi strażaka. Ponadto wciąż prawie nie znał Singapuru.

Major, który musiał odebrać zamówione książki od Kelly'ego i Wal-sha, podrzucił go w pobliżu Placu Rafflesa i Matthew ruszył przed siebie, z rękoma w kieszeniach, bez specjalnego celu. Najpierw poszedł wzdłuż Market Street. To tutaj, jak pamiętał, Ehrendorf wynajmował mieszkanie, ale nie miał pojęcia, pod którym numerem. Kiedy się tak przechadzał, nagle owiał go rozkoszny zapach goździków i cynamonu, który roztaczał się wokół sklepu kupca korzennego. Po drugiej stronie ulicy jego wzrok przyciągnęły kantory lichwiarzy i Matthew przystanął na chwilę, żeby popatrzeć ze zdziwieniem i konsternacją na czyhające w mrocznych wnętrzach białe ubrane postaci. O czym mu ten widok lichwiarzy przypominał? Tak. Ruszył dalej zadumany nad twierdzeniem, że interes własny jest najskuteczniejszym producentem bogactw, że nierozwinięte kraje tropikalne przede wszystkim potrzebują takich przedsiębiorców jak jego ojciec i Walter. Zdawał sobie sprawę, iż wielu ludzi żywi przekonanie, że bez względu na to, co poszczególni przedsiębiorcy sami osiągną przez eksploatację i wyzysk miejscowej siły roboczej, ich obecność jest zbawienna dla kraju, bo dzięki nim ludność miejscowa może sama zacząć gromadzić kapitał. Ten paradoks, niewątpliwie do pewnych granic prawdziwy, znajdował cynicznego towarzysza w formie innego twierdzenia, a mianowicie, że ludzie dają z siebie najwięcej wysiłku, kiedy pracują nie dla społeczno-

I ści, w której żyją, lecz dla siebie. Z tym stanowczo się Matthew nie zgadzał!

Zatrzymał się mrużąc coś pod nosem w drzwiach warsztatu blacharskiego i patrzył na własną spoconą twarz za okularami, odbitą do góry nogami w lśniącej misie. Zobaczył w warsztacie mężczyznę, który stojąc pochylony wycinał długi pas blachy, aby zrobić z niego kubek. Inny siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i wbijał młotkiem nity w drugi pas blachy wygięty w cylinder. Obok nich lśnił stos świeżo zrobionych kubków. Wykonywanie takich ładnych kubków przy pomocy tak prymitywnych narzędzi graniczyło w odczuciu Matthew z cudem.

Szedł przed siebie, raz na północ, raz na zachód. Minał szyld dentysty i samego dentystę siedzącego w białym kitlu na chodniku i palącego papierosa. Rudy kot z obciętym ogonem przebiegł mu drogę i wśliznął się pełen nadziei w obwieszone sznurami paciorków drzwi Mleczarni' Polarnej. Gdzieś nad głową Matthew wśród lasu słupów i suszącej się bielizny płynęły z radia metaliczne dźwięki chińskiej piosenki. Z dwu innych radioodbiorników brzmiały dwa różnojęzyczne głosy, zakłócone trzaskami atmosferycznymi. Minał róg ulicy, gdzie przed jakimś warsztatem formował się chiński kondukt pogrzebowy, który początkowo wziął za jakiś pochód. Na stole na chodniku stała oprawiona fotografia zmarłego, zamożnego jegomościa w odświeżonym garniturze i białej koszuli. Dwie wysokie lampy owinięte na tę okazję płótnem workowym stały po bokach, a przed fotografią leżały stopy jabłek i pomarańczy, i pęki dymiących trociczków. Obok tego stołu stał drugi - Matthew ujrzał przed sobą świński łeb, a wszystko w kolorze homara, kraby, całe oskubane kurczęta, niektóre spłaszczone jak placek, bardzo tłuste, inne z żółtymi jak wosk łebkami, przeraźliwie wykręconymi do tyłu.

Matthew spojrzął na zegarek - wkrótce będzie musiał wracać do Mayfair, żeby coś zjeść przed nocnym dyżurem. Ociągał się jednak oglądając papierowe makiety samochodu, radia, lodówki i innych pożytecznych przedmiotów, które zmarły miał zabrać z sobą w podróż, i myślał: „Ostatecznie, skoro to są właśnie rzeczy, których ludzie pragną, a biznesmeni jak mój ojciec pomagają im je zdobyć..Ciekaw był, co zmarły myślał o tym wszystkim, czy był zadowolony. Oto leżał sobie w tej imponującej trumnie, która sądząc z rozmiarów była wydrążona w ogromnym pniu drzewa, z dwoma wywiniętymi jak dziób statku końcami, i stała na podpórkach z wypisanym po chińsku i angielsku nazwiskiem i numerem telefonu przedsiębiorcy pogrzebowego. Zawodowi zaś łobnicy, ubrani w szaty z płótna workowego, siedzieli na krawężniku z cierpkim wyrazem twarzy i palili papierosy. Mały chłopiec zaczął bębnić w blaszany bębenek i zaraz przyłączyła się do niego dosyć licha orkiestra dęta wynędzniałych starszych ludzi w białych mundurach i przegrała w sposób niezbyt zgrany kilka taktów. Bardzo nisko nad dachami zaryczał samolot i żałobnicy unieśli z lękiem głowy... ale samolot był brytyjski, hydroplan Catalina. Matthew poszedł zamyślony dalej. Kiedy tak podążał z rękami w kieszeniach, nagle poczuł, że ktoś bierze go pod ramię. Obejrzał się i zobaczył uśmiechniętą twarz panny Chiang.

- Vera, co się z tobą działo? Czemu nie wróciłaś do Mayfair?

Uśmiech Vera znikł, wydawała się trochę przygnębiona.

- Powiedzieli mi, że bym nie wracała - odparła wzruszając ramionami.

- Kto?

- Ktoś z biura pana Blacketta. — Znowu wzruszyła ramionami. - To nieważne. Mniejsza z tym. Powiedz mi coś o sobie... Bardzo się cieszę, że już jesteś zdrowy. Jaka to była straszna gorączka! Przeraziłeś mnie. Bałam się, że „kopiesz w kalendarz”.

- Ale czemu powiedzieli ci, żebyś nie wracała?

- Powiedzieli, że moja praca już się skończyła. Przynieśli mi walizkę, pieniądze i list dziękczynny od panny Blackett. Myślę, że ona jest o mnie zazdrosna.

- Naprawdę tak sądzisz? O rety! - Matthew wytarł spoconą twarz chusteczką.

- Tak - ciągnęła Vera z uroczym i złośliwym wyrazem twarzy, a jednocześnie bardziej niewinnym niż kiedykolwiek - a także dlatego, że ona nie zna tyłu języków obcych co ja i że mam większe niż ona piersi. Nie ma też mojej prostej postawy, którą zapewne odziedziczyłam po matce... Zdaje się, że mówiłam ci, że moja matka była rosyjską księżniczką, która musiała „dać nogę” w czasie rewolucji. No, więc... nie ma czym zawracać sobie głowy.

Tymczasem szli dalej obok siebie i po krótkim wahaniu Vera wzięła go pod ramię i jej drobna dłoń leżąca w zagięciu jego łokcia spowodowała, że po ciele Matthew rozpląnęło się delikatne ciepło. Niektóre kobiety, myślał, mają przedziwnie miły dotyk, podczas gdy inne dotykają człowieka, jakby miały dopiero co złamaną rękę (niewątpliwie kobiety odczuwają to samo w stosunku do mężczyzn). Dotyk Vera był równie charakterystyczny jak jej głos. Przy końcu

ulicy z żalem odkryli, że ich drogi muszą się rozjeść. Ociągali się chwilę z rozstaniem.

- Ty musisz tu zostać... - rzekła Vera z westchnieniem. - Ja muszę iść dalej, bo moje jedwabniki są głodne.

- Co? Masz jedwabniki? - wykrzyknął Matthew myśląc: „Jakie to rozkosznie chińskie!”

- Och, nie. Tutaj, w Singapurze, jest za gorąco dla jedwabników. - Uśmiechnęła się zalotnie. - To są tylko słowa ze starej chińskiej pieśni o kobiecie, którą los rozłączył z kochankiem.

- No cóż, zaraz... - Matthew spojrział jeszcze raz na zegarek. - Mogę zaprosić cię na filiżankę herbaty?

- Dziękuję, ale najpierw muszę odwiedzić umierającego przyjaciela. Pójdiesz ze mną?

Wkrótce Matthew stanął w wielkiej, słabo oświetlonej szopie mrugając powiekami i przecierając okulary, lecz gdy po chwili je włożył, na skutek kontrastu z oślepiającym blaskiem na zewnątrz niewiele widział. Vera ruszyła naprzód czymś w rodzaju przejścia między rzędami jakby ciemnych półek niczym w magazynie albo piwnicy z winem. Matthew postępował za nią niepewnym krokiem. Panował tu zaduch stłoczonych ludzi i bełkotliwy szmer wielu głosów.

Gdy wzrok przywykczaił mu się do ciemności, zobaczył, że na półkach po obu jego stronach leżeli ludzie, którzy poruszali się czasem lekko, gdy przechodził, ale przeważnie leżeli nieruchomo... Oczy śledziły go bez zaciekawienia, zapadnięte oczy bardzo starych, wynędzniałych ludzi. Tu i ówdzie dostrzegał nieco młodszą twarz. Jeszcze przed wejściem Vera wyjaśniła mu, że jest to chiński „dom konania”, gdzie ludzie samotni przychodzą umrzeć. Nie chciał wówczas wejść - próbował wytłumaczyć Verze, że właśnie oglądał pogrzeb. Wydało mu się, że życie ni stąd, ni zowąd weszło w żałobny okres. Nie, stanowczo wolałby poczekać na zewnątrz.

Lecz kiedy szli tutaj, Vera opowiedziała mu trochę o starcu, którego chciała odwiedzić. Zaprzyjaźniła się z nim na statku, którym płynęli z Szanghaju do Singapuru (tym samym, na którym płynęła Joan z matką). Dał jej trochę pieniędzy i pomógł stanąć na nogi - jego własne dzieci poumieraly lub zginęły w jednej z wojen domowych, które pustoszyły kraj od upadku dynastii Manchu. Mówiąc o tym człowieku, któremu nosła paczuszkę z żywnością, Vera przypadkiem wspomniała, że póki nie zrobił się za stary, żeby pracować, ścigał mleczko z nielicz

nych drzew kauczukowych na swym poletku koło Layang w Johore i z tego żył. Matthew nadstawił uszu na te słowa i wykrzyknął:

- To koło mojej plantacji! - I tak, mimo obaw, postanowił jednak wejść z nią do domu konania. A teraz idąc na wół po omacku wśród tych półek z umierającymi ludźmi, czuł się jak Orfeusz schodzący do podziemi.

Nie tylko ludzie samotni przychodzili tu umrzeć, wyjaśniła mu Vera cichym głosem, chwyciwszy go za rękaw, ale bardzo wielu innych. Rodziny przynosiły tutaj swoich konających, aby nie sprowadzić na dom nieszczęścia, gdy ktoś w nim umiera...

- Muszę powiedzieć, że jest to trochę okrutne!

Tak, a mimo to jest akceptowane przez konającego jako najlepsze, co można zrobić, i zwyczaj ten istnieje od pokoleń. I niewątpliwie ci, którzy przychodzą tu ze świata żywych, aby przynieść jadło i wodę umierającym krewnym, przyjdą w swoim czasie sami, by spędzić tu ostatnie dni lub godziny, zamiast zajmować miejsce w jednej z zatłoczonych klitek w domach czynszowych lub łodzi na rzece... Jest to z pewnością bardzo smutne, lecz również wzruszające, gdy się patrzy, jak ci umierający na półkach godzą się ze swoim losem. Ciemne oczy Very spojrzały w twarz Matthew, żeby sprawdzić, czy zrozumiał. Kiwnął głową, choć prawdę mówiąc nie lubił słuchać, że ludzie „godzą się ze swoim losem”. Vera wydawała mu się niezwykle pełna życia w porównaniu z tymi tacami z dogorywającymi postaciami po obu stronach. „Cóż to jednak za ponury koniec!”

„Jaki on przystojny! - myślała Vera. - Jaki przygarbiony i krótkowzroczny! Jak rozkosznie ma zaokrąglone ramiona i jaką niezdrową cerę!” Spojrzała na niego z zachwytem, zastanawiając się, czy nie ma jakiegoś sposobu, aby go zmienić. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Rzecz bowiem w tym, że została wychowana, jak wychowuje się chińskie dziewczęta od wieków, aby najbardziej jej się podobali młodzi ludzie w okularach, o przygarbionych plecach i uczonym wyglądzie, a im bardziej wykształceni, tym lepiej. Niewątpliwie za tą tradycją dopatrywania się pociągających cech w słabych fizycznie osobnikach jak Matthew (choć w rzeczywistości był on całkiem silny) kryły się względy ekonomiczne, bo do niedawna, do upadku dynastii Ch'ing, wszyscy najpotężniejsi zarządcy i urzędnicy, stanowiący źródło zamożności dla rodzin a także samych siebie, byli wybierani w sposób tradycyjny poprzez egzamin konkursowy z literatury, do którego mogli przy

stępować zarówno biedni jak bogaci. Jednakże młode kobiety Nowych Chin zaczynały już uważać, iż jest to zbyt przestarzały sposób potrącania o struny ich serc. Tak, w styczniu 1942 roku młodzi ludzie o twardych mięśniach i pięściach jak ze stali jęli odtrącać na bok tych słabeuszy o cienkich nogach, którzy szukali po omacku swych strąconych okularów, podczas gdy oni, ci młodzi, silni mężczyźni, stali się bohaterami dziewczyczych marzeń od Szanghaju do Sinkiang. Jakie to szczęście dla Matthew, że jeszcze zdążył przyciągnąć wzrok Very. Nie zdołałby się przypodobać żadnej z tamtych dziewcząt. Prawdę mówiąc nawet Vera dostrzegła paru młodych ludzi o pięściach ze stali, którzy wcale nie wydawali się tacy niepociągający.

Vera zatrzymała się na chwilę, żeby porozmawiać z mężczyzną w średnim wieku, przykucniętym przy kimś na najniższej półce. Miał na sobie liche, pogniecione ubranie europejskie z kieszeniami wypchanymi najrozmaitszymi paczuszkami. Na jego rozpiętej białej koszuli widniał stetoskop. Rozmawiając z Verą spojrział przez chwilę na Matthew i uśmiechnął się. Jego twarz pocięta siecią głębokich zmarszczek świadczyła o wrażliwości i sile charakteru. Kiedy ruszyli w dalszą drogę, Matthew przyszło do głowy, że skoro można odgadnąć z twarzy czyjś charakter, nie dzieląc z nim tej samej kultury i języka, to być może ludzie różnych ras i narodowości nie są tak bardzo odmienni, jak się wydaje. Że bez względu na to, co myśli Dupigny, istnieje coś takiego jak wspólny rys ludzkości, i że przy zastosowaniu paru drobnych poprawek różne narody i społeczności mogą żyć z sobą w harmonii troszcząc się wzajem o swój dobrobyt.

Doktor, z którym Vera właśnie rozmawiała, poświęcił cały swój czas i pieniądze na leczenie ludzi w „umieralni”, ludzi, którzy inaczej nie mogliby sobie pozwolić na leczenie.

- Ależ to jasne! - wykrzyknął Matthew w podnieceniu. - Dość spojrzeć na jego twarz, aby to widzieć! - Z pewnością by jej nie uwierzył, gdyby powiedziała co innego. Zdeprymowany cynicznymi poglądami Dupigny'ego na ludzką naturę czuł się zachwycony, że natknął się na tego samotnego filantropa, Vera tymczasem wyjaśniała mu szeptem, że ludzie, którzy właśnie umierają, leżą na najniższych półkach, ponieważ istnieje przekonanie, że leżenie pod umierającymi przynosi pecha.

Po chwili niepewności, spoglądając w mroku to w jedną chińską twarz, to w drugą (a wszystkie zmarszczone jak zwiędłe jabłka i dla Matthew zupełnie takie same), wreszcie w końcu rzędu, gdzie było najciemniej, Vera uklękła przy jednej z wątych postaci. Matthew też podszedł i spojrział ciekawie i ze współczuciem na zasuszoną głowę leżącą nie na poduszce, lecz małym zawiniątku, zapewne z ubraniem. Gdy Vera dotknęła jego ręki, staruszek wolno otworzył oczy. Przyjrzał się jej spokojnie, jakby z oddali, nie okazując ani zdziwienia, ani ożywie

nia. Wkrótce jednak coś mruknał. Zaczęli cicho rozmawiać. Raz jego oczy uniosły się wolniutko ku Matthew. W paczce Vera była miseczka ryżu, grzyby i ślimaki morskie. Pojawił się chłopak z czajnikiem herbaty i Vera dała mu monetę. Tymczasem wychudła ręka starca zaczęła szukać czegoś przy posłaniu i wkrótce natrafiła na parę pałeczek. Vera wzięła je od chorego i zaczęła go karmić z miseczki.

Skończywszy jeść staruszek znowu spojrzął na Matthew i powiedział coś do Vera. Vera też spojrziała na Matthew i odpowiedziała coś staruszkowi, a potem rzekła po angielsku:

- Powiedziałam mu, że handlujesz kauczukiem.

Staruszek znów się odezwał, tym razem do Matthew, słabym, mrukliwym głosem.

- Co on mówi?

- On pyta, gdzie są twoje plantacje... Powiedziałam mu, że jesteś synem Blacketta i Webba.

Matthew skinął głową i uśmiechnął się ujmująco do starego Chińczyka, zachwycony, że oto wreszcie, dzięki Verze, nawiązuje kontakt z prawdziwymi korzeniami życia na Malajach, a nie po prostu jego zewnętrzny przybraniem, jakie stanowią Europejczycy. Lecz mimo tych ujmujących uśmiechów, leżący na łożu śmierci starzec wcale nie sprawiał wrażenia ujętego nimi. Co więcej, zaczął się wiercić niespokojnie na swojej półce, mrużąc coś z oburzeniem. Vera słuchała pilnie - na jej twarzy odmalowało się zatroskanie.

- On mówi, że wy oszukujecie drobnych plantatorów. Mówi, że europejskie plantacje oszukują jego i innych małorolnych...

- No wiesz, Vera! - zakpił Matthew. - Ten stary biedaczysko buja w obłokach. Ale widzę, że moja obecność go denerwuje, więc może lepiej... - Bał się, że ten stary podniecony Chińczyk, który teraz szukał czegoś gniewnie swoimi suchymi jak szkielet rękami w kupie szmat służących za poduszkę, może dostać śmiertelnego ataku spowodowanego wzburzeniem. Sądząc po wynędzniałym ciele i sinych wargach niewiele trzeba, aby zatopić tę łódeczkę, w której staruszek starał się przepłynąć końcowy etap życiowej podróży. Mimo to coś trzymało Matthew. Do tej pory nie poświęcał wielu myśli losowi małorolnych. Ich ziemie rzadko kiedy miały więcej niż po kilka akrów. A mimo to, te drobne działki produkowały łącznie prawie połowę malajskiego kauczuku i zajmowały niemal milion i ćwierć akrów!

- Co on teraz powiedział? - zapytał niepewnym tonem.

- On mówi, że Brytyjczycy kradną pieniądze z jego drzew kauczukowych.

- W jaki sposób? - spytał Matthew powątpiewająco. Vera zwróciła się do staruszka, który opadł na posłanie wyczerpany szukaniem czegoś. Już nie patrzył na Matthew, tylko gdzieś w przestrzeń, a jego pierś prawie się nie poruszała, lecz słaby burkliwy głos nie przestawał mówić unosząc się i opadając jak wiatr zawodzący w szparze pod drzwiami.

- Mówi, że inspektor oszukał go na wyliczeniu części kauczuku dopuszczonego do sprzedaży, gdy przyszedł obejrzeć jego drzewa w związku z Planem Restrykcyjnym...

- Przypuszczam, że chodzi mu o ten czas, kiedy oceniano rozmiary jego produkcji, zanim wprowadzono Plan Restrykcyjny... żeby stwierdzić, jaki ma być jego udział w całościowych prawach eksportowych. No dobrze, mów dalej.

- Tak samo było z innymi małorolnymi z tej wsi. Inspektor zarzucał im, że kłamią podając ilość kauczuku, którą produkują ich drzewa, że są one zasadzone za gęsto, aby mogły dawać taką ilość. On mówi, że inspektorzy są Europejczykami, którzy pracują dla wielkich plantatorów i nie chcą, aby małorolni otrzymali należny im udział...

- Wielkie nieba! Powiedz mu... powiedz... - Lecz Matthew nie mógł wymyślić, co Vera ma staruszkowi powiedzieć. „Cóż za nieznośny staruch - myślał zamurowany tą litanią skarg. - Można by sądzić, że stojąc u progu śmierci zajmie umysł czymś ważniejszym. Być może jest w tym wszystkim źdźbło prawdy... ale mimo wszystko!” Matthew odkrył, że chociaż sam odnosi się krytycznie do swoich współziomków, nie może znieść, gdy czyni to obcokrajowiec. A przecież zapuścił się w tę nędzną budę jedynie po to, aby okazać szacunek temu staremu nudziarzowi!

Jednakże wbrew naturalnemu uczuciu oburzenia, że ten stary śmie klócić się z nim z okazji doprawdy towarzyskiego spotkania (jakim jest okazanie szacunku człowiekowi, który właśnie ma wyciągnąć nogi), sprawa posiadała aspekt, który Matthew, na przekór sobie, uważał za raczej interesujący. Już wcześniej bowiem uderzył go fakt, że istnieje ogromna różnica między produkcją kauczuku a produkcją większości innych rzeczy... a mianowicie, że ludzie działający na wielką skalę, na obszarach kilkuset lub więcej akrów, nie obniżają przez to kosztów produkcji. Ci, którzy produkują na wielką skalę zboże lub samochody, mogą zazwyczaj robić to taniej niż ich mniejsi konkurenci. Inaczej z produkcją kauczuku, gdzie jeszcze nie wymyślono sposobu jej umaso-

I wienia z pomocą maszyn. Małorolny tubylec, który obok ściągania mlecza kuczukowego bardzo często uprawia jeszcze owoce i warzywa i ■hoduje kilka kur, aby wyżywić siebie i rodzinę, może produkować kau- | czuk taniej niż europejskie plantacje, które muszą żywić i opłacać dużą siłę roboczą, to jest narzynaczy, opielaczy, brygadzystów i innych pra- ■cowników plantacji, nie wspominając już nawet o bardziej kosztowanych europejskich zarządcach, agentach, sekretarzach, wreszcie dyrektorach i udziałowcach spółki.

Matthew przypomniał sobie teraz dyskusję, którą prowadził z Ehrendorfem (przed wiekami, jak mu się zdawało, lecz w rzeczywistości przed kilkoma dniami) w „Wielkim Świecie”, kiedy usiłowali rozstrzygnąć, do jakiego stopnia wprowadzenie kapitału zachodniego do brytyjskich kolonii tropikalnych okazało się dla nich zbawienne. Otóż stosunek pomiędzy plantacjami europejskimi a małorolnymi uprawami tubylców zdawał się rzucać dość interesujące światło na to zagadnienie. Było rzeczą oczywistą, że w ogromnej większości wypadków krajowcy, [choć mogli być zatrudniani w firmach zachodnich, nie posiadali ani dostatecznej wiedzy, ani umiejętności, ani kapitału, aby móc z nimi bezpośrednio konkurować. Jednakże w przypadku kuczuku szczególnie zbiegiem okoliczności stało się inaczej. W uprawie drzew, ściąganiu z nich mlecza kuczukowego, ścinaniu tego mlecza kwasem, wałkowaniu i wędzeniu w dymie powstałych płatów kuczuku nie było nic takiego, co brytyjski absolwent szkoły rolniczej mógłby zrobić lepiej od niepiśmiennego Malajczyka lub Chińczyka. Gdyby Ministerstwo do Spraw Kolonialnych i Rząd Kolonii miały naprawdę na sercu interes tubylczej ludności, a nie tylko jej eksploatację, niechby zademonstrowały to przez poparcie i obronę jej interesów! Ale zaraz, zaraz! Co on takiego mówi (bo drżący głos starego, gdy Matthew dumał nad tymi sprawami, nie zaprzestał swego łagodnego zawrozenia jak zawrozenie wiatru w szparze pod drzwiami)?

£ — < On mówi, że europejskie plantacje otrzymały dodatkowy udział w eksporcie od drzew, które są za młode, aby produkować kuczuk... Małorolni zaś nic nie dostali. - Vera patrzyła na niego bezradnie, zawstydzona tą litanią skarg. - Mówi, że inspektorzy nie przyrzekli się jak należy drzewom. Mówi, że było tylko dwudziestu inspektorów na całe Malaje. Mówi, że nikt nie poddał inspekcji plantacji europejskich. Plantacje mówiły kontrolerowi produkcji kuczuku, jaki chcą mieć udział w eksporcie, a kontroler robił, co mu mówiły. On mówi, że kon

troler odnosił się przyjaźnie do europejskich plantatorów, a wrogo do małorolnych!

- Święta prawda, proszę pana - zapiszczał jeszcze jeden drżący głos z boku Matthew powodując, że ten drgnął gwałtownie i zajrzał w mrok, gdzie inny z majaczących trupów, dotychczas leżący na plecach na najniższej półce i nie zdradzający żadnych oznak życia, teraz zgarnął kości i zrzucił je z krawędzi półki - podyndały chwilę luźno, a następnie zakotwiczywszy się o podłogę okazały się nogami, następnie, z dalszym grzechotem, ich właściciel podniósł się grzecznie na nogi i stanął chwiejnie obok Matthew. - Święta prawda, proszę pana. Kontroler produkcji kuczuku słucha tylko właścicieli plantacji europejskich. On ma pięć ludzi w swoim Komitecie z plantacji... i tylko jeden małorolny! W swoim Komitecie Regulacji Eksportu Kuczuku on ma dwadzieścia siedem ludzi z plantacji i tylko jeden małorolny. A małorolni produkują połowę kuczuku w kraju! To nie jest sprawiedliwe, proszę pana. To jest oburzające. Święta prawda, proszę pana. -I opadł z jękiem w cieni- stość swojej półki, skąd w chwilę później dobiegł Matthew cichy, grze- chotliwy odgłos. „Rany - pomyślał Matthew - ale z pewnością dobrze przeżył życie”.

Tymczasem jego miejsce zajęły inne cieniste postaci i Vera musiała pociągnąć Matthew za rękaw, aby zwrócić jego uwagę na słowa swojego starego przyjaciela, ponieważ jego śpiewny i pełen westchnień głos nie ustawał i zdążył do tej pory wymienić pokazywany zasób skarg.

- On mówi, że Instytut Badań Kuczukowych kierowany przez rząd nie pomaga małorolnym, tylko plantacjom. On mówi, że małorolni płacą za Instytut swoimi podatkami tak samo jak europejskie plantacje, ale Instytut daje nowe, bardzo dobre sadzonki drzew kuczukowych tylko plantacjom!

- Ma na myśli sadzonki tych nowych drzew o wysokiej wydajności?

- Tak, sadzonki... te nowe sadzonki... On mówi prawdę! - wyśpiewał chór szkieletów i konających, którzy zebrali się wokół Matthew i szarpali go za ubranie, aby zwrócić jego uwagę.

- On mówi, że małorolni produkują więcej kuczuku z akra niż europejscy plantatorzy, a otrzymali dużo mniejszy udział w eksporcie!

- Słuchaj, Vera, wydaje mi się, że powinienem już iść. Mam dziś wieczorem dyżur i już jestem spóźniony...

- On mówi, że to cholerny szwindel... mówi...

Już od kilku chwil przyjacieli Very, choć wyczerpani swoją długą lita-

nią żalów, podjął na nowo z rozdrażnieniem poszukiwania w zawiniątku, jakie mu służyło za poduszkę, a teraz ostatnim wysiłkiem, który o mało go nie wykończył, jego palce zacisnęły się na tym, czego szukał. Okazało się to pożątkłą stroną gazety, którą podał drżącą ręką Matthew. Ten wziął ją wyżejając w półmroku wzrok, aby zobaczyć, co to. Zdołał się tylko zorientować, że jest to artykuł wstępny pisma „The Planter” i że pochodzi ono z czerwca 1930 roku.

- Obawiam się, że nie potrafię w tym świetle przeczytać - mruknął przeprasząc. Lecz jeden ze stojących obok szkieleatów kolosalnym wysiłkiem, który omal nie pozbawił go resztek energii, zdołał potrząść łepkę zapalki o draskę pudełka przytrzymywanego drżącymi rękami dwóch towarzyszy. Zapalka rozblęła. Matthew zaczął czytać głośno, jak tylko umiał najszybciej.

- „W rękach producentów sadzonek...”

- Jemu chodzi o Rządowy Instytut Badań Kauczukowych...

- Proszę mi nie przerywać, bo w przeciwnym razie nie zdążę przeczytać, zanim zapalka zgaśnie - zaprotestował Matthew. - Gdzie to ja przerwałem... „W rękach producentów sadzonek spoczywa decyzja, czy uprawa drzew kauczukowych stanie się w nie tak odległej przyszłości przemysłem narodowym, czy też pozostanie niezwykle wartościowym nabytkiem ras europejskich, których umiejętności zarządzania i orientacji w sprawach finansowych (och, nie podoba mi się to określenie)... Malaje i Holenderskie Indie Zachodnie zawdzięczają swój rozwój...”

- Dalej, proszę pana, dalej! - krakał tłum.

- ... „Jest to rzetelna i bezstronna opinia wielu czołowych osobistości spoza przemysłu kauczukowego, że im mniej małorolny będzie miał do czynienia z kauczukiem, tym lepsze będzie to na dalszą metę dla niego i dla wszystkich innych producentów kauczuku...” - Zapalka zgasła. Matthew pozostał z kawałkiem papieru w rękach. Westchnął.

Wszędzie wokół niego w półmroku, jakby przyzwane ostatnim głosem trąby na ostateczne wymierzenie sprawiedliwości za poczynania tego niedoskonałego świata, leżące postaci podnosiły się odrzucając na bok całuny i bandażę, inne zaś gramoliły się z rzędów półek, na których spoczywały. Matthew westchnął znowu i spojrział na zegarek, gdy zaczęły się gromadzić wokół niego.

Pod koniec roku sir Robert Brooke-Popham został zastąpiony na stanowisku głównodowodzącego Sił Zbrojnych na Dalekim Wschodzie przez generała Pownalla. Aczkolwiek Walter pozostawał w przyjaznych stosunkach z Brooke-Pophamem, a jego następcy nie znał wcale, z ulgą pożegnał przyjaciela, bowiem zaczęło się robić coraz bardziej jasne, iż Brooke-Popham nie czuł się dobrze w roli, jaką mu wyznaczono. Lecz jeśli zmiana na stanowisku głównodowodzącego miała wywrzeć pozytywny wpływ na przebieg kampanii, nie było widać żadnych natychmiastowych tego oznak, przynajmniej dla cywila. Jednakże teraz najbardziej kluczowe decyzje militarne ograniczały się do obszaru samych Malajów i w ten sposób cała odpowiedzialność za ich podejmowanie spadała i tak na generała Percivala oraz jego sztab w Dowództwie Sił Malajskich.

Odejście Brooke-Pophama nie było dla Waltera korzystne, ponieważ utracił on jedyną osobę, od której mógł się dowiedzieć ogólnie, jeśli nie w szczegółach, jaki jest przebieg kampanii. Jeśli by w Singapurze miały być kłopoty, a wbrew ufnemu tonowi codziennych komunikatów, z każdym dniem stawało się coraz bardziej jasne, że tak będzie, Walter chciał mieć pewność, iż jego kobiety znajdą się zawczasu w jakimś bezpiecznym miejscu. Nie martwił się jednak wyłącznie o żonę, Joan i Kate - martwił się również o kauczuk, który wciąż leżał w jego magazynach na nabrzeżu, ponieważ dla większości jego zapasów nie można było nadal znaleźć środków transportu. Co gorsza, temu kauczukowi coraz bardziej zagrażały naloty bombowe. Walter pragnąłby wziąć Brooke-Pophama na przechadzkę wokół Ogrodu Orchidei i zapytać, tak jak mężczyzna mężczyznę, kiedy wreszcie przybędą posiłki RAF-u i zrobią coś z tymi nalotami. Bo przecież coś z nimi zrobić trzeba, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. W przeciwnym razie spłonie cały Singapur i nikt nie zdoła temu zaradzić. Chciałby móc porozmawiać, jeśli już nie z Brooke-Pophamem, to przynajmniej z kimś ze sztabu Percivala. Ale Dowództwo Malajskie nie miało ostatnio dla Waltera czasu. Było zbyt zajęte robieniem czegoś, cokolwiek to było, w głębi kraju.

(Nie tak jak przed kilkoma miesiącami - narzekał przed żoną - kie- Idy to zawsze mieli ochotę na wypicie moich pahits. | Pani Blackett szalała ze zmartwienia o brata, który wrócił do swojego pułku za Groblą i odtąd wszelki słuch o nim zaginął. To nie było takie złe, zdaniem Waltera, który tym niemniej robił, co mógł, aby rozwiązać jej lęki tłumacząc, iż jest to całkiem normalne, że się nie ma wiadomości od żołnierzy, gdy walczą z wrogiem, zwłaszcza w dżungli. Czy Walter nie mógłby poprosić generała Percivala, aby odesłał Charlie'ego z powrotem do Singapuru?

- Ależ, kochanie, ja go nawet nie znam - odparł Walter z lekka poirytowany - a gdybym nawet znał, nie mógłbym go poprosić o coś podobnego. Owszem, gdybym znał Percivala, mógłbym go poprosić jedynie o to, ażeby posłał twego brata na wroga, ale nigdy w świecie w przeciwnym kierunku. On jest żołnierzem, kochanie. To jego zawód. Po to tam jest. Nie rozumiem, czemu nie chcesz, aby wykonywał swój wspaniały zawód!

| - Ależ, Walterze - wykrzyknęła pani Blackett bliska łez. - Tam są na pewno straszne walki... Ponadto ranni przybywają stamtąd codziennie pociągami całymi setkami, a skoro Japończycy zajęli Penang...

- Percival ma za wiele na głowie, Sylwio, i dajmy temu spokój - rzekł z gniewem Walter.
- Ale skąd wiesz, jeśli nie próbowałeś?

Walter jednakże miał rację. Generał Percival rzeczywiście miał sporo na głowie. Po panicznej ucieczce z Jitry wojska brytyjskie zajęły pozycje za rzeką Perak. Lecz miało to swoją złą stronę, a mianowicie tę, że rzeka płynęła nie w tym, co trzeba, kierunku, z północy na południe, a więc z kierunku natarcia japońskiego, a nie ze wschodu na zachód, w poprzek natarcia. Na nieszczęście jednak dla Percivala, każda pozycja na północy byłaby nie do utrzymania, a to z powodu tej samej jednostki sił japońskich, która wylądowała w Patani i zajmąwszy Półkę zagroziła później odcięciem skazanym na zagładę pozycjom w Jitrze. Siły te, podążające w dalszym ciągu wzdłuż zasadniczego kierunku uderzenia japońskiego, które przebiegało główną drogą, nadal groziły ominięciem prawego skrzydła każdej następnej linii obrony. W miarę posuwania się więc armii japońskiej, posuwał się też obok groźny jej cień.

Ale dlaczego dopuszczono, aby ta siła posuwała się jak cień obok oddziałów uderzeniowych postępujących główną drogą? Rzecz w tym, iż dowództwo brytyjskie uważało, że teren nie zezwala na podobny manewr, i wykreśliło ze swych kalkulacji pewną nieutwardzoną drogę, którą uznało za nie nadającą się dla transportu mechanicznego (i tak też było w istocie, lecz droga nie była nie do przebycia dla piechurów i żołnierzy na rowerach). Droga ta prowadziła prosto do miejsca, do którego zmierzali Japończycy, a mianowicie do Kuala Kangsar. Fakt faktem, że od samego początku kampanii owe siły z Patani stanowiły luźną nić, która powodowała strzępienie się brytyjskiej obrony coraz to dalej ku krańcowi półwyspu.

W końcu jednak, w Kuala Kangsar, ta szczególna luźna nić się skończyła i prawe skrzydło brytyjskie zostało umocnione silną fastrygą górzystego grzbietu Malajów. Lecz nawet teraz, mając u swego boku góry Percival czuł, że musi cofnąć się dalej, ponieważ Japończycy mogli niestety wykorzystać rzekę Perak dla przeniknięcia linii obrony na północ od Telok Anson. I tak w odpowiednim czasie i po dalszym cofnięciu się przygotowano nowe pozycje obronne w rejonie pasa granicznego między Perak i Selangor nad rzeką Slim, a także na północ i na południe od niej.

Czasami zdarza się we śnie, że jakby zbiegiem okoliczności wszystkie obawy, jakie się żywiło na jawie, realizują się jedna za drugą. To przerażające uczucie, że wypadki zbiegły się nieprzypadkowo, lecz w sposób zamierzony, aby pozbawić człowieka wszelkiej nadziei, co normalnie jest tylko zerowaniem na naiwności śniącego, dla brytyjskiego dowództwa przeszło z koszmaru sennego w rzeczywistość. Uciekłszy nareszcie od tego, co mu dotychczas groziło, dowództwo odkryło teraz z nieubłaganą logiką snu, że ta pozornie bezpieczna pozycja wzdłuż rzeki Slim jest zagrożona z zupełnie innej strony.

Ziściło się właśnie to, czego obawiał się major w pierwszym tygodniu kampanii, gdy się dowiedział, że „Prince of Wales” i „Repulse” zostały zatopione. Dzięki niemal całkowitemu opanowaniu morza i powietrza Japończycy mogli teraz wylądować, gdzie im się żywnie spodoba na słabo bronionym zachodnim wybrzeżu (na wschodnim też, jeśli o to chodzi). Co gorsza z tą kiepską sytuacją militarną musieli się jakoś uporać żołnierze znękaney 11 Dywizji, chociaż tak się składało, że Percival miał do swojej dyspozycji wypoczętą 9 Dywizję za łańcuchem gór, na wschodnim wybrzeżu. Zadaniem tej dywizji była obrona lotniska w Ku- antan i niedopuszczenie ewentualnych japońskich wojsk desantowych do Mersing, lecz zadania te były bezcelowe przy upadku wybrzeża zachodniego. A więc była to ta sama nieszczęsna 11 Dywizja, która mu-

I siał czekać w deszczu przed trzema tygodniami, na samym początku kampanii, aż Brooke-Popham przemysli sprawę rozstrzygającego wkroczenia do Syjamu. Trudno było teraz rozpoznać w tych poruszających się jak we śnie ludziach mozolnie okopujących się i wznoszących zapory przeciwczołgowe nad rzeką Slim to kiedyś świeże i pewne siebie wojsko oczekujące tylko na sygnał, aby wejść do akcji i sprawić Japończykom lanie. Nawet brat pani Blackett, Charlie, choć pobyt w Singapurze oszczędził mu pierwszej części odwrotu, wyglądał na bardzo zmęczonego, kiedy pracował z kompanią Pendżabów przy układaniu zasieków na drodze.

Jeżeli jednak żołnierze byli zmęczeni, zmęczony był również generał Percival, a także zatroskany. Bo czyż to nie dziwne, że każda inicjatywa, jaką podejmowało Dowództwo Sił Malajskich, nieodmiennie zawierała jakąś skazę, która powodowała jej niepowodzenie? Generałowi Percivalowi zaczęło się to wydawać coraz bardziej dziwne. Chwilami dostrzegał tę skazę znacznie wcześniej, lecz mimo to... nigdy nie mógł znaleźć na nią rady. Nie mógł niczego zarzucić generałowi Heathowi, chociaż to prawda, że Heath był z Armii Indyjskiej, a zatem, według Percivala, niewiele należało się po nim spodziewać. Prawdę mówiąc można by nawet twierdzić, że Heath zdołał niemal cudem uchronić swój wycofujący się III Korpus Indyjski od zagłady. A więc kogo należało winić? Nie mógł absolutnie winić za tę wciąż pojawiającą się skazę siebie ani swego sztabu. Bardzo często krzyżowało jego plany po prostu ukształtowanie kraju... a może wszystko to było wynikiem partackiej roboty starego Brooke'a? Niezależnie od przyczyn skaza wciąż się pojawiała. Osobliwa sprawa. A nawet gorzej niż osobliwa.

W nocy czwartego stycznia, znużony nieustannym wysiłkiem i zatroskany perspektywą jutrzejszej ważnej konferencji z generałem Heat- hem i generałem Gordonem Bennettem w Segamat, Percival zapadł w głęboki sen. Niemał natychmiast zaczęło mu się śnić jakieś nie kończące się przyjęcie u gubernatora. Nie odbywało się ono jednak teraz, w roku 1942, bowiem naprzeciwko widniało przyzwoite, otwarte, szczere oblicze starego generała Dobbie, głównodowodzącego. Musiał to być zatem rok 1937, gdy Percival pełnił rolę szefa sztabu. U końca stołu widział przystojną, nieco wyniosłą twarz gubernatora. W cieniu za gubernatorem stał ktoś i szeptał mu do ucha. Percival wiedział, że tam ktoś stoi, bo widział jego rękę wspartą poufale na oparciu krzesła. Widział, że ręka ta wysuwa się z rękawa munduru, lecz nie mógł stwierdzić jakiego.

Nagle i energicznie rzucił wyzwanie temu człowiekowi w cieniu. Po chwili ręka cofnęła się z oparcia krzesła gubernatora. Zapadła ciemność. Usiadł spocony, dusząc się pod moskitierą. Twarz gubernatora patrzącego z protekcyjnym uśmiechem rozplynęła się z wolna. Była jeszcze noc.

Percival spojrział na zegarek, wypił łyk wody ze szklanki przy łóżku i położył się ponownie. Było bardzo gorąco. Obracający się wentylator nie chłodził powietrza we wnętrzu jego moskitiery. Pragnął rozerwać jej siatkę i spać dalej na świeżym powietrzu, ale nie mógł ryzykować, że go ukąsi jakiś owad, co mogłoby spowodować malarię albo gorączkę tropikalną. „W ten sposób jednak nigdy nie zasnę” - pomyślał. Lecz mimo upału, niemal natychmiast zasnął i tym razem śniło mu się, że jest znowu w Szkole Sztabu i zdaje jakiś egzamin, od którego ma zależeć cała jego przyszła kariera wojskowa. Zaraz, zaraz, właśnie przypominał sobie, o co szło. Miał zapobiec zajęciu przez Japończyków bazy marynarki wojennej na wyspie Singapur, a Japończycy tymczasem dotarli do Kuala Lumpur. Teraz już nie był w szkole Sztabu. Znajdował się na Malajach i to była rzeczywistość. Zaczął się pocić i martwić we śnie.

Ale przed świtem Percival miał miłą wizytę. Przyszły odwiedzić go duchy Clausewitza i Metternicha, aby mu udzielić rady. Wkrótce przyłączyły się do nich duchy Liddela Harta i sir Edwarda Hamleya, autora książki Operacje wojenne, objaśnione i zilustrowane. Panowie ci rozważali trudności, które przed nim stały. Metternich zalecał, aby wszystko postawić na raptowne uderzenie na północ celem przerwania japońskich linii komunikacyjnych, Hamley mówił coś niejasno o manewrach oskrzydających (a także, mniej stosownie, o kawalerii), Clause- witz chciał, aby Percival wycofał swe wojska nietknięte na wyspę Singapur, aby je zachować do czasu przybycia posiłków z Europy i Ameryki. Ach, jakie to było ciekawe! Percival słuchał pilnie rady tych duchów i każda następna wydawała mu się bardziej przekonująca od poprzedniej. Lecz wkrótce ich głosy nieco przycichły i duchy strategów jęły się kłócić między sobą. Za wcześniej rozległ się tupot ciężkich buciorów dyżurnego na korytarzu.

Później, na jawie, na spotkaniu z generałem Heathem i generałem Gordonem Bennettem w Segamat, Percival zdecydował, że choć pozycja nad rzeką Slim zezwala na skuteczną obronę, groźba desantu bardziej na południe mogłaby na dalszą metę przeszkodzić w jej utrzymaniu-

I niu, o ile nie dałoby się ściągnąć posiłków do obrony obszarów przybrzeżnych. Jednakże wąwóz rzeki Slim stanowi ostatnią szansę powstrzymania wroga przed Kuala Lumpur... albo gdzieś znacznie dalej na południe od tego miasta. Bo w miarę posuwania się na południe guzowate grzbiety gór zapadają się głębiej pod piękny naskórek półwyspu, który staje się pocięty siecią dróg. W takim przyjemnym terenie mała byłaby szansa powstrzymania Japończyków w Malakce. A zatem trzeba, by ich próbować zatrzymać w Johore... jeśli nie na samej wyspie Singapur. Tymczasem trzeba bronić przed Japończykami lotniska w Kuantan na wschodnim wybrzeżu przynajmniej do czasu przybycia posiłków w ludziach i samolotach, spodziewanych w połowie stycznia. Ponadto, jeśli obrona Johore ma być należycie zorganizowana, Japończycy muszą zostać na pewien czas zatrzymani, a oddanie Kuala Lumpur oddalone. Wszystko wskazywało zatem na kluczowe znaczenie pozycji nad rzeką Slim. Japończycy muszą tam zostać zatrzymani, w przeciwnym bowiem razie obrona Johore będzie zaprzepaszczone. To dlatego w najbliższym okresie Pendżabowie i Argyllowie musieli okopywać się nawet po zapadnięciu zmroku. Wszystko miało zależeć od nich.

Późnopołudniowe cienie zaczęły się wydłużać w coraz bardziej zaniedbanym i zarośniętym ogrodzie Mayfair, gdy na wydeptanej ścieżce wiodącej do domu państwa Blackettów pojawiły się dwie postaci - w jednej z nich łatwo można było rozpoznać Matthew, ubranego normalnie, nieco zamyślonego, lecz kim była ta druga postać, to indywidualizm ubrane w coś jakby szkarłatną pilotkę, z której sterczały rogi, i dzierżące w ręku wielki rożen? Tak się złożyło, że był to tylko major, który z ogromną niechęcią włożył kostium, jaki przysłała mu firma Blackett i Webb Sp. z o.o. na próbę generalną pochodu jubileuszowego. Major żałował teraz swojej decyzji, bo było mu stanowczo za gorąco - trudno z radością nosić w tropikach pilotkę z rogami. Ponadto obawiał się, że może się okazać jedyną osobą, która się przebrała, i teraz żałował, iż uległ namowom Waltera, by ucieleśnić Inflację. Uderzył z irytacją różnym jeden z olbrzymich krzaków ostu, rosnących przy korcie tenisowym, i w powietrze wleciała chmura białego puchu.

Jednakże miał powód, aby utrzymywać dobre stosunki z Walterem. Firma przeznaczyła kilka furgonetek do przerobienia na platformy na pochód jubileuszowy i major, dla którego już od pewnego czasu stało się całkowicie jasne, że pochód nigdy się nie odbędzie, pragnął je móc w razie potrzeby wykorzystać dla swego P.S.P., którego środki transportowe ograniczały się dotychczas do jego własnej lagondy, buicka pana Wu, motocykla jednego z zarządców plantacji i kilku rowerów.

Na budowę platform wybrano miejsce przylegające do posesji Blackettów. Było to podwórze otoczone rozpadającymi się magazynami, które w minionym wieku służyły jako składy plantacji muszkatołowej, ale od wielu lat stały puste, przynajmniej do niedawna, kiedy to dla ominięcia nowych przepisów amerykańskich Walter zaczął skupywać nadmierne ilości kauczuku, który zapełnił wszystkie magazyny aż po dach jak również i te walące się budynki, które zostały spiesźnie połatane. Walter wykupił niegdyś tę dawną plantację muszkatołowców, którą do dziś zdobiły dorodne kępy wysokich, wiecznie zielonych drzew. Uczynił to po to, aby się ustrzec od niemiłych sąsiadów. Teraz jednakże

■ wydało mu się, że nie mógł zrobić lepszej inwestycji. Gdzie znalazłby dogodniejsze miejsce do przygotowania w skrytości platform do tryumfalnego pochodu firmy?

Major czekał cierpliwie od trzech tygodni, aż rzeczywistość położy kres przygotowaniom Waltera. Zakładał, że przynajmniej praca przy wznoszeniu platform zostanie przerwana. Przy stale rosnącym braku rąk do pracy w porcie i rozpaczliwych wysiłkach wojska, aby zwerbować ludzi do budowy umocnień obronnych i pomieszczeń, które winny były być wzniesione już przed laty, nie mieściło mu się w głowie, że można zatrudniać ludzi do czegoś tak trywialnego, jak budowa platform. A mimo to, prace przy platformach, choć znacznie opóźnione, nadal trwały - ponadto brało w nich udział dwa razy więcej robotników niż poprzednio. Wyjaśnienie było proste: ludzie ci to Azjaci, normalnie pracujący jako cieśle, malarze i spawacze w dokach, którzy woleli względne bezpieczeństwo muszkatołowych gajów od pracy przy budowie umocnień nadbrzeżnych, w dokach lub bazie marynarki, gdzie była stała groźba nalotów.

Z drugiej jednak strony istniały wyraźne oznaki przenikania rzeczywistości do rojeń Waltera. Jedynymi Europejczykami, którzy zdecydowali się przyjść na tę próbę generalną, byli: Monty, jeszcze dziwniej ubrany niż major, i kilku młodszych dyrektorów firmy, którzy przypuszczalnie nie mogli się wymówić, ale żaden z tych ostatnich nie uznał za stosowne przebrać się w swój kostium. Stała się niespełna połowa Chińczyków wezwanych do animowania smoków. Na kupie rdzewiejącego żelastwa w końcu podwórza siedziało nie więcej niż trzy czwarte chińskiej orkiestry dętej, chwilami pobrząkując i podmuchując w swoje instrumenty, lecz głównie popatrując powątpiewająco, gdy Walter, zniecierpliwiony i jakby nieswój, pokrzykiwał na pomocników i usiłował zwerbować dostateczną ilość ochotników, aby poruszyli jednego ze smoków. Ujrawszy nadchodzących Matthew i majora, przerwał te czynności i podszedł do nich.

- Dobrze, że przyszlście - powiedział. - Doceniam to. Większość ludzi jednak nie przyszła i wątpię, czy uda nam się cokolwiek zrobić z tymi, którzy są... - Urwał gestykulując gwałtownie. - Nie tam, ty ośle! Tam, gdzie inni! Ile razy mam ci to powtarzać? - Westchnął z irytacją, wetknął ręce do kieszeni i przyjrzał się chaotycznej scenie, którą miał przed sobą. Pocił się obficie i wydawał się jakiś krępy, groźny i lekko obłąkany. - To nie ma sensu - mruknął raczej do siebie niż do majora i Matthew - co można zrobić z takimi ludźmi?

Major podniósł ostrożnie palec, żeby podrapać się w jeden z rogów, który swędział. Troszkę go zdziwiło, że mu się zrobiło żal Waltera. Jednakże nic nie powiedział. Ruszyli razem na przegląd platform. Walter wyjaśnił, iż miał nadzieję, że mu się uda zebrać cały pochód i oprowadzić kilka razy wokół basenu kąpielowego i z powrotem, aby wyrównać ostatnie niedociągnięcia. Teraz stało się to wykluczone, chyba że nieobecni zaraz nadejdą. Minęli dwie platformy zaparkowane w cieniu muszkatołowców - na jednej z nich siedziała Joan ubrana w rzymski hełm z kitą z piór i fałdzistą białą szatę na grecką modłę, dzięki czemu jej nagie ramiona wyglądały bardzo pojętnie. W lewej ręce trzymała trójząb, a w prawej brytyjską tarczę. Patrzyła przed siebie obojętnym wzrokiem i kiedy Matthew mruknął: - Jak się masz! - nie odpowiedziała (może dlatego, że nie usłyszała jego słów). Na drugiej platformie siedziała Kate obejmując ramieniem gigantyczny róg obfitości - rozpromieniła się na widok Matthew i pomachała mu ręką.

Ten róg obfitości Kate stał się kilka minut wcześniej powodem wścieklej awantury między Walterem a synem. Z ogromnego wylotu wylewała się obfitość przedmiotów produkowanych z gumy: opony samochodowe najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, opony i dętki rowerowe, kalosze i buty, gumowe rękawice, zbudwestki, rękawice do krykie- ta, gumowe prześcieradła i płytki, poduszki amortyzujące, ołówki z gumką, poduszeczki, podkładki pod kolana, baloniki, opaski elastyczne, pasy, szelki i sto różnych innych rzeczy, nie zawsze rozpoznawalnych. Do tego wspaniałego zestawu Monty spróbował dodać dla żartu paczkę prezerwatyw. Trzeba trafu, że Walter spostrzegł, jak jego syn chichocząc radośnie kładzie coś na widocznym miejscu na samej krawędzi owego rogu obfitości. Nawet nawykły do gniewu Waltera Monty wyraźnie się przestraszył. Walter rozżościł się nie dlatego, że Monty uczynił coś, co mogłoby ośmieszyć róg obfitości, ale że tak mało go obchodziła skromność młodszej siostry. Monty wycofał się jak niepieszny i siedział teraz zgarbiony i z ponurą miną w cieniu pobliskiego drzewa.

- Poderwij ten swój tyłek i postaraj się w czymś pomóc! - krzyknął do niego szorstko Walter. Monty poruszył się niespokojnie, ale najwyraźniej nie mógł wymyślić nic takiego, co by mogło coś tutaj naprawić, bo znów zastygł w bezruchu. Monty, jak zauważył major, otrzymał tak samo jak on rolę w kontrpochodzie, który miał towarzyszyć pochodowi

właściwemu, nekając go w sposób symboliczny dla zobrazowania różnych pułapek, na jakie prosperująca firma może natrafić w swym wieloletnim rozwoju. Szczerze mówiąc major z przyjemnością myślał o tym, jak by dręczył rożną małą, pulchną Kate, chociaż doprawdy nie widział powodu, dla którego by Inflacja miała być zaopatrzona w rożen. Kostium Monty'ego także nie bardzo pasował do roli, którą ów miał odgrywać-składał się ze starego kostiumu kąpielowego w paski i na- miączka, futbolowych skarpet, również w paski, sięgających mu aż do włochatych ud, oraz maski z kłami, która niepokojącym zbiegiem okoliczności przypominała generała Percivala-w tej chwili zarówno maska jak i przywiązany do kija balonik leżały na ziemi u jego stóp - ostatnim i najbardziej przerażającym akcentem stroju Monty'ego były budzące lęk zakrzywione szpony, przymocowane do pary rękawic krykietowych. Walter przydzielił synowi rolę Paraliżujących Kosztów Administracyjnych i zdecydowanie sprzeciwił się wszelkim jego prośbom o bardziej heroiczną rolę.

Teraz major spoglądał z niejaką wątpliwością na parę innych platform, które Walter mu pokazywał z lekkim ozywieniem (Matthew zszedł na bok, żeby pogawędzić z Kate, a może nawet w nadziei pogodzenia się z Joan). Mimo rozlicznych trudności i odwlekań, mówił Walter, w przygotowaniach firmy nastąpił pewien postęp - byłby straszny wstyd i dla niego osobiście bardzo przykre rozczarowanie, gdyby jubileusz „z takich czy innych przyczyn” miał się nie odbyć. Ów postęp, z czym major nie może się nie zgodzić, był znaczny - cztery furgonetki odkomenderowane do tego celu zostały już zaopatrzone w specjalne klamry i belki, na których zostaną w odpowiednim czasie umocowane platformy. Inne konstrukcje podtrzymujące i platformy nadal znajdują się w stanie budowy i z czasem doda się dalsze furgonetki. Tu oto na przykład piętrzy się kopulasty łeb ośmiornicy, która w miejsce częściej używanego do tego celu lwa symbolizuje sam Singapur - ta mile uśmiechnięta ośmiornica została wyposażona w zdumiewająco realistyczne gumowe macki specjalnie wykonane w miejscowych zakładach firmy przy udziale miejscowych rzemieślników „wszystkich ras” (jak wyjaśnił Walter). Użyta to tego celu guma ma tę zaletę, ciągnął, że jest giętka i zwinięte normalnie w pierścieniu macki można rozchylić, aby ktoś mógł zostać „wzięty w przyjazny uchwyt” - w ten sposób młode kobiety z transparentami głoszącymi, że są Szanghajem, Hongkongiem, Bata- wia, Sajgonem i tak dalej, mogą iść obok platformy sprawiając wrażenie, że się wiją w uchwytach macek ściskających je za szyję, „w bardzo naturalistyczny sposób”. Major musi się zgodzić, że jest to pełne inwencji.

Za ośmiornicą była następna platforma z ośmioma ramionami, tym razem ludzkimi. Ramiona te, niezmiernie długie, ciemnobrązowe, jasnobrązowe, żółte i białe, wyciągały się nad kabinę ciężarówki, ku uosobieniu Dobrobytu nad transparentami z napisem w języku tamilskim, malajskim, chińskim i angielskim: **WSZYSCY W NIM RAZEM.**

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby napis brzmiał po prostu „Wszyscy razem” albo „Wspólnym wysiłkiem”?- zasugerował major. - Wydaje mi się, że „Wszyscy w nim razem” jest trochę dziwaczne.

- Och, nie sądzę - odparł Walter niezdecydowanie. - Mnie się wydaje, że jest dobre... Nie do środka tego cholernego samochodu, idioto, tylko na wierzchu! - ryknął z oburzeniem na cieśnię Chińczyka, który bezmyślnie usiłował wepchnąć wielką tablicę z napisem „Ciągłość w Dobrobycie” do kabiny jednej z furgonetek. - Wciąż ani śladu tych wszystkich, którzy obiecali przyjść! - Spojrzał na zegarek wydając się nagle jakiś bezbronny. — No cóż, chodźmy, damy im jeszcze pięć minut, a jak nie przyjdą, skończymy na dziś.

Poszli dalej. Rumianolicy młodzieniec, jeden z młodszych urzędników firmy Blackett i Webb, podbiegł spieszenie do Waltera z jakimś problemem. Po krótkiej naradzie Walter powiedział:

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, majorze, ten młody człowiek pokaże ci resztę. Ja wrócę za kilka minut. - Odszedł przywołując hinduskiego sekretarza z notesem, aby mu towarzyszył. Gdy tylko znikł z pola widzenia, uczestnicy planowanego pochodu wyraźnie się odprężyli.

Major z młodzieńcem u boku znalazł się następnie przed samym Dobrobytem, który przedstawiał dwie złożone z sobą tablice na całą długość samochodu i dwa razy od niego wyższe. Tablice te zostały zręcznie wymalowane, imitując banknoty dolara kolonijnego w olbrzymim powiększeniu - z jednej strony niebieski banknot jednodolarowy, z drugiej czerwony dziesięciodolarowy, i oba z owalnym portretem króla, jaki znajduje się na prawdziwych pieniądzach, pięknie wymalowany, z zaznaczonymi wszystkimi szczegółami falistych włosów i wysokiego ceremonialnego kołnierza, chociaż z oczyma może nieco bardziej skośnymi niż w rzeczywistości, bo i to też było dziełem chińskiego artysty. „Blackett i Webb 1892-1942. Pięćdziesiąt Lat Dobrobytu Robotników Wszystkich Ras”.

- Spodziewam się, że pan to pochwała, majorze - rzekł młody człowiek grzecznie. - My w firmie uważamy to za dość cenny wkład.

- Muszę powiedzieć - zauważył major powątpiewająco - że nie wiem, czy to właściwy moment, aby się wdawać w podobne sprawy.

Jak to! Czy major nie widzi, że właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek w dziejach kolonii, taki jubileuszowy pochód jest potrzebny?

Podeszli do jeszcze jednej platformy w kształcie korony utworzonej z pionowych, pomalowanych na srebro, by wyglądały jak metal, i zakończonych grotami, drewnianych żerdzi. Platforma ta, z napisem: „Grupa Towarzystw Firmy Blackett i Webb”, też była wyposażona w slogany „Ciągłość w Dobrobycie” i „Wszyscy w nim razem”. Major przystanął zafascynowany, bo za słupkami korony, niczym za prętami klatki, znajdowała się gromadka nieco zasepionych młodych kobiet z ondulowanymi włosami, jaskrawoczerwonymi wargami i w sukniach ze srebrnej lamy. Każda z tych kobiet najwidoczniej miała reprezentować jedno z przedsięwzięć firmy, bo chociaż ich suknie były identyczne, każda była przepasana szarfą z innym napisem, jak na przykład: „Transport morski”, „Ubezpieczenia”, „Import-eksport”, „Kauczuk”, „Prace inżynierskie”, „Konserwy ananasowe”, „Przeladunki” i wiele innych. Spoglądając na tę platformę major przypomniał sobie z zażenowaniem swoją rozmowę z Matthew o tym, jak firma Blackett i Webb zawładnęła spółkami kauczukowymi, którymi zarządzała, poprzez kazirodzkie inwestycje, gdy nagle młode kobiety z platformy spostrzegły jego towarzysza. Widocznie go poznały, bo stłoczyły się przy prętach korony i zaczęły pokrzykiwać wyzywająco używając określeń, które zaskoczyły majora w ustach tak ładnych młodych dam.

- Kiedy nam wreszcie dacie ten cholerny szmal? - wrzeszczały do niego. - Czekamy już całe pieprzone popołudnie!

Młody urzędnik zaczerwienił się gwałtownie, odwrócił wzrok i spieszenie odciągnął majora tłumacząc półgłosem, że zaangażowanie tych dam było być może „błędem” - są one zespołem piosenkarskim zwanym Siostrami Da Sousa, który chwilowo utknął w Singapurze z braku kontraktów. Aczkolwiek warunki zaangażowania ich w pochodzie jubileuszowym zostały im z góry szczegółowo przedstawione, okazało się, że jako „zawodowe artystki” oczekują specjalnego traktowania. Jednakże, ciągnął lekko dysząc, on pragnął właśnie powiedzieć, że najważniejszą rzeczą jest ciągłość w dobrobycie kolonii. Wszystkie rasy muszą zdać sobie sprawę, że nie ma najmniejszych korzyści z długiego

okresu ubóstwa i szybkiego oraz niepewnego wzbogacenia się, jak w wielkiej wygranej w rulecie. Tego rodzaju sprawy nie wzbogacają kraju! Potrzebne jest stałe i powolne bogacenie się, trwające przez lata... właśnie to, co takie firmy jak Blackett i Webb umożliwiają od ponad pięćdziesięciu lat. Kiedy się tak rozwodził z podnieceniem nad tym aspektem dobrobytu, używając takich określeń jak „infrastruktura” i „rozwój ekonomiczny”, co tylko wywołało u majora uczucie otepienia, zabrzmiała syrena alarmowa. Momentalnie powstał chaos. Ludzie biegali to w tę, to w ową stronę. Wkładano stalowe hełmy. Jedni spoglądali bojaźliwie w niebo, inni pędzili do schronów. Siostry Da Sousa podniosły przeraźliwy wrzask, aby je wypuszczono z korony, w której były uwięzione.

- Przypuszczam, że będziemy musieli je wypuścić - mruknął młody urzędnik - ale nie mam pojęcia, jak zdołamy później sprawić, żeby tam weszły z powrotem. - Lecz Monty właśnie otwierał drzwi ich klatki, zapewne aby wkupić się w ich łaski, nie wcześniej jednak, nim „Import-eksport” nie zdjął pantofla, aby wraz z „Radiem i elektrycznością” zacząć nim tłuc w słupki korony. Towarzysz majora pociągnął go spieszenie do zaimprovizowanego schronu, raczej w obawie przed Siostrami Da Sousa, które wydostały się na wolność, niż przed ewentualnymi bombami.

Major przycupnął w czymś, co przypominało igloo z bel kauczukowych, które stanowiło miejsce najbardziej zbliżone do schronu przeciwlotniczego. Kuląc się tu w sposób demokratyczny z „robotnikami wszystkich ras” zauważył, że jego towarzysz włożył hełm; żałował teraz, że nie zabrał swojego, ale przecież nie wcisnąłby go na te rogi. Głupstwo, za późno już, by temu zaradzić! Tym niemniej, gdy młody urzędnik jął tłumaczyć, że pod określeniem „infrastruktura” rozumie takie rzeczy jak drogi, koleje i inne usługi, które choć same nie wytwarzają bogactwa, są na dalszą metę nieodzowne do jego wytwarzania, choćby przez wabienie zamorskiego kapitału, major nie przestawał obmacywać niepewnie swych rogów, żałując, że dał z siebie zrobić takiego błazna. Nie zabrał z sobą również maski gazowej.

Lecz młody człowiek ciągnął dalej, że nie można budować dróg i kolei na zasadzie „dziś tu, jutro tam”... do takich inwestycji potrzebny jest stały rozwój handlu na przestrzeni lat! Taka oto jest istotna treść magicznego hasła „ciągłość w dobrobycie”, które jak major niewątpliwie zauważył jest wymalowane wszędzie zarówno po chińsku jak i po angielsku.

■ Czy nie byłoby jednak lepiej, odparł major, gdyby zarówno furgone- tki jak i robotników wszystkich ras wprzęgnąć do zadań pilniejszych, jak na przykład obrona Singapuru przed spalaniem aż do fundamentów, naprawa zniszczeń bombowych lub rozładowanie statków, które stoją w porcie z ładunkiem pilnie potrzebnej amunicji i dostaw wojskowych?

Ostatecznie to przecież absurd, żeby żołnierze, tak potrzebni do obsadzenia linii obronnych, musieli rozładowywać te statki, ponieważ robotnicy umknęli do budowy platform na pochód jubileuszowy firmy Blackett i Webb! I właśnie gdy major wypowiadał te słowa, od strony portu Keppel dobiegł ich odgłos eksplodujących bomb, więc musiał przyznać, że robotnicy, źle opłacani i bez należytych schronów przeciw- lotniczych, z całą pewnością i tak by uciekli, za co trudno byłoby ich winić. W końcu zabrzmiała syrena odwołująca alarm i major wypełził niezdarne z gumowego igloo i stanął na nogi. Najwyższa pora, by wrócił do Mayfair, gdzie mógł być potrzebny.

Lecz istniało jeszcze coś, co młody człowiek z firmy Blackett i Webb pragnął mu przed odejściem pokazać i major, protestując słabo, dał się poprowadzić ku jeszcze innym platformom, które miały unaocznic społeczne korzyści towarzyszące pięćdziesięciu latom pomyślnego handlu. Był tam wykonany z papier m&chc nauczyciel stojący przy gigantycznej tablicy, na której wypisano w tych samych co zwykle językach „Wszyscy w tym razem”, a małe szare bryłki, które jeszcze należało pomalować na ciemnobrązowo, jasnobrązowo, żółto i...

- Tak, wiem, to „dzieci wszystkich ras” - rzekł major, który zaczynał już pojmować, w czym rzecz.

- A ta postać na koniu, która ma być kimś w rodzaju chińskiego świętego Jerzego, zabija włóczęgę... nie, nie smoka, Chińczycy lubią smoki... ale glistę tęgoryjca, oczywiście bardzo powiększoną. A teraz... i to jest właśnie to, co chciałem panu naprawdę pokazać... jesteśmy przed najambitniejszą platformą z technicznego punktu widzenia... chociaż, przyznaję, że nie wygląda zbyt efektownie, trzeba to zobaczyć w czasie funkcjonowania. Tak, przedstawia symboliczne drzewo kauczukowe... musi być symboliczne, bo prawdziwe drzewo kauczukowe wygląda nieciekawie... które daje bogactwo wszystkim rasom. Jeśli pan się przyjrzy bliżej, majorze, zobaczy pan w korze otwór, przedstawiający jakby nacięcie wykonane nożem narzynacza. A teraz, kiedy pociągnę za tę tutaj dźwignię, z otworu zaczyna wypływać do tej miski płynne złoto...

- Płynne złoto?

- No nie, tylko odpowiednio zabarwiona woda... no, co się stało? Ach, rozumiem, pompa nie jest włączona. Teraz! - Pociągnął dźwignię i z drzewa trysnęła woda lejąc się z chlupotem do miednicy.

- Wygląda, jakby to drzewo... noooo - rzekł major.

- Muszę przyznać, że tak. Ale nic innego nie mogliśmy zrobić. Początkowo próbowaliśmy zastosować mały pas transmisyjny, umieszczony wewnątrz pnia, który wyrzucał przez otwór monety, i to wyglądało nieźle, ale ci faceci ciągle je kradli. Jednakże to był dobry pomysł. — Westchnął i na jego twarzy pojawił się wyraz zniechęcenia. - Tak czy owak, nie uważa pan, iż po tym pochodzie każdy powinien zrozumieć, że zamieniając nas na Japończyków musi stracić?

W części rejonu rzeki Slim, gdzie generał Percival uznał za nieodzowne utrzymać pozycje, jeśli południowe Malaje miały zyskać czas na przygotowanie się do obrony, był obszar niezwykle gęstej dżungli - leżał on trochę na północ od wsi i plantacji drzew kauczukowych w Tro- lak, gdzie jedną z odnóg rzeki spinał most. Aby się przebić przez ten obszar gęstej dżungli, szosa główna i linia kolejowa musiały się ścisnąć i bieć tuż obok siebie wąskim wąwozem, który przypominał niezwykle długą szyjkę butelki. Jeśli japońskie czołgi chciały kontynuować swój pochód na południe, nie miały innego wyboru, tylko musiały przejść tym właśnie wąskim wąwozem. Lecz tuż za tą długą szyjką butelka rozszerzała się (przypominając raczej karafkę niż butelkę) w plantację drzew kauczukowych Klapa Bali i plantację koło wsi Trolak. Gdyby japońskim czołgom udało się precyzyjnie przejść przez szyjkę i wydostać między drzewa kauczukowe, wówczas... wówczas nic już nie zdołaloby ich powstrzymać. Jedyną zatem szansą zatrzymania ich byłoby zapewne zniszczenie mostu w Trolak i mostu na rzece Slim położonego o pięć mil dalej. Założono więc na wszelki wypadek ładunki wybuchowe na obu mostach.

Generał dowodzący 12 Brygadą, która otrzymała zadanie obrony wąwozu, urządził kwaterę główną w głębi plantacji Klapa Bali, po zachodniej stronie drogi. Wśród drzew kauczukowych po przeciwnej stronie drogi ulokował się drugi batalion jego własnego pułku, Batalion Górali Argyllskich i Sutherlandzkich, znany od czasów Balaklawy pod nazwą Wąskiej Czerwonej Linii. Obecność Argyllów była dla generała pociechą, bo w przeciwieństwie do innych jednostek pozostających do jego dyspozycji, nie wykształconych i niedoświadczonych, okazali się oni skuteczną siłą w walce z Japończykami, głównie dzięki osobistym wysiłkom generała, aby ich wyszkolić w walce w dżungli jeszcze przed rozpoczęciem kampanii. Generał był mężczyzną wysokim o pociągłej, szczupłej, inteligentnej twarzy, na której nieodmiennie malował się nieco ponury wyraz. Pod nosem rósł mu bujny wąs, równie zaskakujący wśród tych surowych rysów jak kępa dzikich kwiatów na skalnej ścianie.

Ramiona miał cienkie, tułów cienki, kolana wystające z nogawek szortów też cienkie i w ogóle był cały cienki. Zaskakujące było więc, że mimo tego widocznego braku siły, promieniował takim zdecydowaniem i pewnością siebie. Nawet teraz, wyczerpany trzema tygodniami przebywania w odwrocie, okopywania się, walki i znów wycofywania się, a wszystko w strasznych warunkach, jego pewność siebie pozostała niewzruszona.

Tym niemniej, kiedy wraz z nastaniem mroku szósty stycznia miał się ku końcowi, oczekujący rozwoju wypadków generał był poważnie zatroskany. Z powodu niesamowitej ciszy panującej cały dzień zaczął żywić nieśmiałą nadzieję, że dotkliwy cios zadany Japończykom w zasadzce, urządzonej poprzedniego dnia przez Argyllów na linii kolejowej, na razie ich powstrzymał. Jednak skonsultowany telefonicznie generał Paris wyraził opinię, iż istnieje możliwość przeprowadzenia przez Japończyków manewru oskrzydającego przez gęstą dżunglę, który może rozwinąć się w nagły atak od tyłu. Takie rzeczy się zdarzały.

Generał rozważał już problemy walki w dżungli i zwrócił uwagę, że zamiast mozolnego posuwania się szerokim frontem Japończycy woleliby szybki i gwałtowny atak wąskim korytarzem szosy. Ktokolwiek bowiem panował nad szosą, jak generał zdążył się już zorientować w sytuacji, gdzie mapy i radio były rzadkością, panował nad jedyną praktyczną rzecz biorąc linią komunikacyjną. W gęstej dżungli lub w bezdrożnym oceanie identycznych drzew kauczukowych było bardzo trudno lub wręcz niemożliwe obliczyć swoją dokładną pozycję, a bez dokładnej orientacji, gdzie się jest, nie można wykonać żadnego skutecznego manewru. Z drugiej strony, jeśli się ma w swoich rękach szosę, ma się wszystko.

Generał więc oczekiwał, że Japończycy zaatakują szosę. W każdym razie nie mogli w tym położeniu wiele więcej zrobić. Dopiero gdyby ich atak został powstrzymany, można się było spodziewać, że porzucą szosę i spróbują okrążyć jej obrońców. Generał więc rozmieścił swoją 12 Brygadę wzdłuż szosy i linii kolejowej, gdzie na pewnej odległości biegły obok siebie, z dwoma batalionami w wąwozie - jednym, Hajdarabów, na wysuniętej pozycji, aby przyjęli na siebie pierwszy atak i następnie wycofali się, i drugim, Pendżabów, dla rozprawienia się z głównym atakiem. Liczył na to, że Japończycy zostaną w tym punkcie zatrzymani i zmuszeni do manewru okrążającego, przez dżunglę. Dla stawienia czoła tej ewentualności u południowego końca wąwozu ulokował czte

ry kompanie Argyllów po obu stronach szosy, które miały odeprzeć ataki okrążające w miejscu, gdzie Japończycy wydostaną się z dżungli na teren plantacji.

Jednakże tym, co powodowało, że pociągała twarz generała wydawała się jeszcze surowsza niż zwykle, kiedy tak czekał na dalszy rozwój wypadków, była świadomość osłabionego stanu brygady. Nawet jego własni Argyllowie znajdowali się u krańca wytrzymałości fizycznej - trzeba im było, a hinduskim batalionom jeszcze bardziej, odrobiny czasu na odzyskanie sił... choćby tylko kilku godzin. Przez cały jednak czas trwania kampanii Japończycy przypuszczali swe ataki szybciej niż oczekiwano. Generał zatem wcale się nie zdziwił, gdy kapitan Sinclair niebawem mu doniósł, że Chińscy uchodźcy przechodzący przez brytyjskie pozycje w ucieczce przed nacierającymi Japończykami przynieśli wiadomość o dużej kolumnie czołgów posuwających się szosą.

— Mówią, że ich saperzy u... u... uwijają się jak mrówki przy każdym zniszczonym moście, panie generale — wyjął Sinclair w podnieceniu. Generał zaskoczył go i bardzo mu zaimponował, bowiem pozostał niewzruszony na wieść o nadciągających czołgach. Obaj wiedzieli, ile się można spodziewać po zaporach przeciwczołgów go wy ch w wąwozie... W ciągu tych czterech dni od powzięcia decyzji obrony w tym miejscu praca przy zaporach trwała bezustannie, w miarę jak na to pozwalały naloty lotnicze. Hindusey i Chińscy kulisi pod kierunkiem saperów przysłanych z 11 Dywizji kopali rowy i rozciągali zasieki z drutu kolczastego. Ledwie przybyło wojsko i ono musiało pomagać w tych pracach, choć było bardzo zmęczone po ostatnim nalocie. Lecz jedno jedyne, co mogło w razie potrzeby skutecznie powstrzymać czołgi, to kilka betonowych bloków i kilkadziesiąt min przeciwczołgów go wy ch, które już zostały założone w wąwozie. Wszystko to bardzo dobrze. Sinclair wiedział jednak (był znacznie lepszym żołnierzem niż dyplomata), że czołgi są zbyt masywne. Jedyńm sposobem zatrzymania ich przez zaporę z betonowych bloków - a nie da się tego zrobić na długo, przynajmniej tak prowizorycznymi metodami — jest umożliwienie wzięcia ich na cel przez działka przeciwpancerne. Niestety owe liche zapory przeciwczołgowe, które 12 Brygada mogła zbudować, były wzmocnione przez zaledwie trzy działa przeciwpancerne obsługiwane na dobitkę przez artylerzystów, których nikt nigdy nie uczył, jak strzelać do czołgów, nawet« świetle dziennym, a cóż dopiero do czołgów strzelających pociskami smugowymi w najczarniejszą noc. Nawet najwytrawniejszemu artylerzyście mógłby się od tego zjeżyć włos, a cóż dopiero świeżo upieczonemu hinduskiemu rekrutowi.

Cóż więc jeszcze miało posłużyć do zatrzymania Japończyków? Wyszadzano most kolejowy na przedpolu (sądono, że Japończycy mają czołgi z kołami, które mogą poruszać się po torach). Argyllowie, a także reszta sił brytyjskich na Malajach, nie mieli własnych czołgów, tylko wozy pancerne i opancerzone transportery, które, choć mogły się przydać na drogach w uporaniu się z manewrami oskrzydłającymi japońskiej piechoty, były oczywiście całkiem bezradne wobec czołgów. Co zaś najważniejsze, brytyjskie rusznice przeciwpancerne nie przebijały pancerza średnich czołgów japońskich. Więc cóż można było zrobić? Gdyby czołgi przebiły się przez wąwóz, pozostawały już tylko dwa mosty, jeden w Trolak, a drugi na rzece Slim, oba przygotowane do wysadzenia, jako przeszkoda przed czołgami na otwartej drodze do Singapuru. A teraz na dodatek wyglądało, że japoński atak nastąpi o dwadzieścia cztery godziny wcześniej, niż oczekiwano.

Jeśli generał przyjął wiadomość młodego Sinclaira o nadciągającym ataku niewzruszenie, to tylko dlatego, że jego zadaniem było pozostawać niewzruszonym, oraz ponieważ wiedział, iż nigdy nie wiadomo, jak się potoczą wypadki - bitew nie rozstrzyga się na papierze przez porównanie uzbrojenia jednej strony z uzbrojeniem drugiej, po czym przyznanie zwycięstwa stronie lepiej uzbrojonej. Z pewnością istniało prawdopodobieństwo, że czołgi zdobędą przewagę... lecz bardzo dużo zależy od jakości żołnierza i tego, co się w jego duszy dzieje. To prawda, że bataliony hinduskie są w bardzo kiepskiej formie i Argyllowie w niewiele lepszej. Ale kto wie, co może się stać po paru odniesionych sukcesach? W każdym razie dzięki Bogu za te nieliczne posiłki, które dopiero co przybyły z Singapuru w tę ciemną, ulewną noc pod dowództwem kapitana Hamisha Rossa, ponieważ było wśród nich kilku najlepszych żołnierzy batalionu. Kilka zdań, które zamienił z Rossem, podniosły na duchu generała.

- Mieliliśmy niewielki kłopot z Tyersall Park, generale - powiedział wówczas Ross popatrując na niego ukradkiem. - Myślę, że można by to nazwać buntem.

- Bunt? Chyba nie oczekujecie, że w to uwierzę, Ross!

No więc, kapitan Ross opowiedział, jak to było. Gdy jego oddział defilował w obozie tyersallskim w Singapurze, grupa odkomenderowanych do pracy w sztabie Argyllów, których Dowództwo Sił Malajskich

specjalnie kazało mu pozostawić, defilowała również, domagając się pozwolenia na powrót do pułku i wzięcia udziału w walce.

- No tak, w to jestem skłonny uwierzyć - rzekł kiwnąwszy głową generał i choć wyraz jego twarzy pozostał surowy, Hamish Ross poznał po błysku w oku, że generał jest zadowolony. Nowo przybyli dodadzą ducha innym, jeżeli będą mieli dosyć czasu, żeby się tu zainstalować.

Deszcz teraz nieco sfołgował. Idąc przez plantację drzew kauczukowych do drogi, aby zobaczyć, czy nie da się jeszcze czegoś wyciągnąć od chińskich uchodźców, Sinclair przystanął owładnięty uczuciem nierze-
czywistości, które jest następstwem podniecenia i braku snu. Po południu chodził z generałem na inspekcję prac prowadzonych przez Hajda- rabadów i Pendżabów przy umocnieniach obronnych i spotkał Char- lie'ego Tyrella, brata pani Blackett. Nie znał dobrze Charlie'ego. W Singapurze spotkali się zaledwie parę razy u Blackettów i nawet wtedy ledwie zamienili z sobą parę słów. Ale spotkawszy się teraz w tych niezwykłych, a nawet wręcz rozpaczliwych okolicznościach, natychmiast zaczęli rozmawiać jak starzy przyjaciele. Charlie przyszedł z nim na godzinkę na teren Argyllów na plantacji.

Sinclair był wstrząśnięty stanem, w jakim ujrzał Charlie'ego. Jego przystojna twarz była zapadnięta z wyczerpania, brudna i czerwona od ukąszeń insektów, nawet mundur miał w strzępach. Ale to nie wygląd fizyczny Charlie'ego tak wstrząsnął Sinclairem, bo trudno oczekiwać, by w ogniu walki w dżungli żołnierz wyglądał jak na defiladzie - wstrząsnął nim rozgorączkowany wyraz oczu i obsesyjny, fatalistyczny sposób mówienia... zupełnie jakby Charlie mówił do siebie, jakby Sinclaira w ogóle nie było. Charlie mówił bezustannie o swoich żołnierzach-nigdy nie byli tacy apatyczni i przygnębieni! Gonili resztkami sił, to rzecz oczywista!

- Jak można ich za to winić? - pytał nie czekając odpowiedzi. - Większość z nich to ledwie wyszkoleni rekruci.

Sinclair pokiwał głową ze współczuciem. W przeciwieństwie do Argyllów Pendżabom brak było tej witalnej siły do życia i walki w dżungli, która to siła pochodzi z ćwiczeń w okropnych warunkach, z dyscypliny, z tradycji pułkowej, co wszystko razem wzięte hartuje jednostkę i tworzy to, co Sinclair uważał za jakąś zbiorową siłę woli, władczą i nieugiętą (a jednak nawet niektórzy z jego własnych Argyllów byli bliscy zała-
mania).

Charlie obserwował swoich żołnierzy przez dwa dni i wie, iż my®W tylko o jednym (choć to najdzielniejsi z ludzi!), aby się skulić w swoich okopach, które są najbezpieczniejszym z dostępnych im miejsc. Ale kto mógłby ich za to winić! W czasie długiego odwrotu przez północne i środkowe Malaje batalion stracił dwustu pięćdziesięciu ludzi, z których wielu zostało zabitych. Od przedwczorajszego świtu znajdują się pod nieustannym atakiem bombowców i myśliwców japońskich, które bombardują i ost rze-
li wuj ą skraj dżungli po obu stronach wąwozu, gdzie kryją się siły brytyjskie. Naloty te pozbawiły Pendżabów jakiegokolwiek szansy odpoczynku przed następnym atakiem, spowodowały też dalsze straty w ludziach. A jednak, nie to było najgorsze... Najgorsze było...

Stali w cieniu nie opodał drogi. Charlie opierał się plecami o pień drzewa. Mówiąc klepał się bezustannie dłonią po spoczonej twarzy, jakby chcąc odegnąć owady, ale machinalnie, z rezygnacją (Sinclair nie widział żadnych owadów wokół twarzy Charlie'ego)... Nagle Sinclair przestraszył się, że może nadejść generał i zobaczyć Charlie'ego w tym stanie. Czuł, że nie można do tego dopuścić, choć nie wiedział dokładnie czemu, ale chyba wystarczyło rzucić okiem na tego człowieka, opartego o drzewo kauczukowe, mówiącego i poklepującego się po wychudłej i pełnej rozpaczny twarzy, na której igrały plamki słońca i cienia, aby wiedzieć, jak blisko jest punktu, gdzie po prostu przestanie dbać o cokolwiek!

Lecz Charlie wciąż starał się wytłumaczyć przed Sinclairem, z niemal wzruszającym pragnieniem uzyskania zrozumienia... Próbował powiedzieć, że straszne było to, kiedy japoński Zero leciał z rykiem nad drogą i ostrzeliwał z broni maszynowej skraj dżungli, lecz gdy kładł się na skrzydło i odlatywał nad czubkami drzew, wcale nie robiło się lepiej. Ponieważ po kilku sekundach zapadała niesamowita cisza tłumiąca nawet warkot odlatującego samolotu.

- Jeśli pobędziesz w tej cholernej dżungli trochę dłużej, Sinclair - rzekł uśmiechając się, jakby w jego słowach było coś zabawnego, niejednocześnie drapał się po żebrach zajadle przez wyświechtaną koszulę - zrozumiesz, co mam na myśli.

- Cóż, od trzech tygodni robiłem, co mogłem, żeby tu przyjechać - odparł Sinclair; bo to prawda, że przyjechał tu z Singapuru zaledwie przed czterema dniami - lecz sądzę, że wiem, co masz na myśli. W tej ciszy, mówił dalej Charlie ignorując go, było coś, co nadawało również dźwiękowi głosu jakieś odległe, nierealne brzmienie. Nawet całkiem ostre dźwięki, jak upuszczenie blaszanej menażki na twardą

Sein Blick ist vom Voriibergehen der Stabe So miid geworden... dass er nichts mehr halt...

- W wolnym tłumaczeniu znaczy to: „Jego wzrok tak się zmęczył patrzeniem przez pręty klatki, że nie może zobaczyć nic innego”.

Ihm ist, ais ob es tausend Stabe g&be Und hinter tausend Stiben keine Welt.

nawierzchnię drogi, zostawały natychmiast stłumione przez ściany zielonego gąszczu po obu stronach. Dźwięk jakby się w ogóle nie rozchodził, nie było żadnego rezonansu. Wywoływało to takie samo głupie uczucie, jak mówienie do głuchego telefonu. Dopiero w nocy zaczynało się znowu słyszeć dźwięki. Ale te głosy nocy były tak niepokojące, że już lepsza wydawała się cisza. A do tego, działanie też zdawało się mieć nie większy rezonans niż dźwięki. Kiedy za dnia człowiek przestawał się poruszać, zamierał wszelki ruch, jakby się było na dnie martwego oceanu. Wszystko musiało wyjść od ciebie, i to właśnie było nie do zniesienia. Jego żołnierze odczuwali to samo, wiedział, bo ich obserwował. Dla ludzi już wyczerpanych ta konieczność inicjowania wszelkiego ruchu własnymi siłami była nie do zniesienia.

Dwaj mężczyźni umilkli na kilka chwil. Charlie najwidoczniej doszedł do kresu tego, co pragnął powiedzieć. Chociaż nadal stał w przygnębieniu oparty o drzewo, przestał już poklepywać się po twarzy i wydawał się spokojniejszy.

- Przepraszam, że się tak rozwiódłem na ten temat - powiedział po chwili. - Oczywiście każdy przeżywa to samo. Poza tym, wy tutaj, na plantacji, macie niewiele lepiej. - To prawda, myślał Sinclair, że nawet w najlepszych czasach było w plantacjach drzew kauczukowych coś denerwującego. Gdziekolwiek stanąć, człowiek czuł się w samym środku oszalałającego labiryntu identycznych drzew, które jak okiem sięgnąć ciągną się geometrycznie we wszystkich kierunkach. Ale na Malajach oko z reguły nie widzi daleko. Mało jest takich miejsc, skąd można spojrzeć ponad dżunglę lub plantacje drzew kauczukowych, które pokrywają kraj niby zielona pokrywka sosjerki.

- Znasz poemat Rilkego o panterze? - zapytał nagle Charlie z uśmiechem.

- „Wydaje jej się, że tych prętów są tysiące, a za tysiącami prętów nie ma nic”. I tak właśnie jest ze mną i tymi cholernymi drzewami kauczukowymi.

Sinclair przypomniał sobie tę rozmowę, kiedy szedł teraz po ciemku między ociekającymi wodą rzędami drzew, starając się odpędzić od siebie przeczucie, że jeśli Japończycy zaatakują tej nocy, będzie to dla Pendżabów walka ostatnia, bez względu na to, jak silną zajmują pozycję w wąwozie.

Później deszcz ustał i zaczął się pokazywać księżyc pomiędzy chmurami, najpierw z rzadka, potem coraz częściej. Z dżungli napłynął wstrętny odór gnijącej roślinności i zastygł w wilgotnym powietrzu nad oczekującymi Pendżabami. Niebawem jaśniejszy niż dotychczas księżyc zawisł jak wielka biała lampa nad dwiema czarnymi ścianami dżungli świecąc tak jasno, że gdyby wyjść z osłaniającej gęstwy, można by zobaczyć własny cień wyraźnie zarysowany na nawierzchni szosy. Za Pendżabami, nieco dalej wzdłuż szosy, strzegący wyjścia z wąwozu na plantację Argyllowie nasłuchiwali z drżeniem nieustannego wrzenia dżungli.

Charlie spojrzął na świecąca zielonkawo tarczę zegarka - była północ. Tuż obok pobrzmiwał metaliczny głos jakiegoś owada, którego nigdy nie zdołał zidentyfikować, przypominający nakręcanie mechanicznej zabawki. Wsłuchiwał się sennie w ten głos przysięgając sobie zarazem, że nie zamknie oczu, gdy nagle, niczym paraliżujący cios z ciemności, rozległ się wreszcie dźwięk, na który Charlie tak długo czekał, pierwszy łoskot dział od strony pozycji Hajdarabadów. Kanonada nie ustawała. Przez pewien czas nic innego się nie działo. Minęła godzina, dwie, trzy. Charlie zaczął znowu drzemać. Nagle ocknął się. Huk armat ustał. Japończycy rozpoczęli atak.

Niedaleko od miejsca, gdzie czekał Charlie ze swoimi Pendżabami, na ciężarówce siedziała mała postać w okularach i mundurze polowym ściskając z napięciem między kolanami swój karabin. Był to szeregowiec Kikuchi i siedząc tak w zupełnej ciemności starał się jak mógł skoncentrować myśli na bohaterskim przykładzie swego stryja, trębacza Kikuchi, który wydał w trąbkę swe ostatnie tchnienie. Szeregowiec Kikuchi wiedział, że za kilka minut, na znak swojego dowódcy, porucznika Matsushity, będzie się musiał rzucić naprzód z bagnietem, „jak ślepiec, który nie zna trwogi przed wężami”. Tak to wyraził porucznik Matsushita. Czy zdoła pójść za świetlanym przykładem stryja Kikuchi? Czuł obok siebie na skrzyni ciężarówki pełną bez światła obecność swoich skulonych kolegów z pułku Ando. Może i oni zastanawiali się, co im przyniosą godziny przed świtem? Czy przeżyją do świtu? Może i oni mieli nadzieję oddać życie w chwalebnej walce za cesarza? Porucznik Matsushita z pewnością o tym marzył. Był to oficer o dziwnie płonących oczach, który już wcześniej służył w Armii Cesarskiej przepędzając bandytów z Mandżurii.

Porucznik Matsushita budził w szeregowcu Kikuchi lęk i zdumienie. Ilekroć kierował na niego wzrok, Kikuchi czuł się jak porażony prądem. Intensywność uczuć Matsushity, jego całkowite oddanie dla cesarza i kraju były niczym objawienie dla szeregowca Kikuchi, który, jak można by się spodziewać, nie musiał się uczyć Japońskiego Ducha Narodowego mając takiego stryja. A jednak było w tym człowieku coś, co przerażało Kikuchi... Czasami miało się wrażenie, że porucznik nie tylko sam pragnie zginąć, ale chce, aby zginęli również pozostali. Niekiedy parł naprzód wśród kul padających jak krople wiosennego deszczu, gdy tymczasem mógł posuwać się względnie bezpiecznie inną drogą.

Co gorsze (lub lepsze, zależnie z której na to spojrzeć strony) upodobał on sobie szczególnie szeregowca Kikuchi, czy to ze względu na jego sławnego stryja, czy też ponieważ czuł, że jego osoba fascynuje szeregowca Kikuchi. Zdarzyło się kiedyś, że wziął szeregowca Kikuchi na bok i pokazał mu swoje medale, które nosił z sobą w nieprzemakalnym woreczku nawet na najbardziej niebezpieczne wypadki w dżungli. Pozwolił szeregowcowi Kikuchi popatrzeć na swój Order Wschodzącego Słońca czwartej klasy, swoją Odznakę Mandżurską czwartej i piątej klasy.

- Kiedyś, Kikuchi, i ty będziesz miał takie medale - rzekł przygwaźdżając szeregowca wzrokiem niczym rozpalonymi pałeczkami do ryżu, aby nie mógł się odwrócić. - Lub zginiesz - dodał ostudzająco jakby po namyśle.

Nie dlatego, że Kikuchi miał coś przeciwko temu, aby umrzeć za cesarza, gdyby zaszła potrzeba. Przeciwnie wzorem towarzyszy pozostawił kosmyk włosów i skrawki paznokci w Japonii do ceremonii pogrzebowych, na wypadek gdyby reszta jego ciała nie wróciła. Nie darmo nazywał się Kikuchi! A jednak, gdy patrzył na Matsushitę i jego serdecznego przyjaciela, porucznika Nakamurę, którzy kończyli razem Akademię Wojskową, szeregowcowi Kikuchi przemknęła kilkakrotnie przez głowę myśl (a właściwie została przewleczona pod silną strażą, w dodatku szybko, jak to się czyni z dezertorem, aby jego przykład nie zaraził innych), że wszystko, co ludzkie, nawet chwała bitewna, bywa czasem traktowane z przesadą. Czyżby Naczelne Dowództwo uważało tak samo? Nie, to jest mało prawdopodobne. Jednakże mimo swojego bohaterstwa ani Matsushita, ani Nakamura nie zaszli w wojsku daleko. Obaj byli oczywiście jeszcze młodzi, ale może za tym brakiem awansu kryło się coś innego... Kikuchi słyszał jakieś niejasne pogłoski, że byli oni uwikłani w próbę odnowienia Afery Listopadowej w Akademii poprzez nowy bunt ultrapatriotycznych kadetów... ale może stanęli na czele ataku na oficerów, których podejrzewano o małpowanie europejskich zwyczajów, coś w tym rodzaju... tak czy owak służba pod tak nieulekzionymi i patriotycznymi oficerami to zaszczyt, zapewniał sobie Kikuchi ściskając mocniej kolana, aby zapomnieć o ssaniu w żołądku (może powinien był połknąć parę pigułek jintańskich?). Tak się złożyło, że obaj oficerowie znajdowali się w tej chwili bardzo blisko - Matsushita nawet tuż obok niego we wszechwładnych ciemnościach - Kikuchi nie widział go, lecz wyobrażał go sobie siedzącego w swej zwykłej pozycji, z dłońmi opartymi o zdobną chwastami rękojeść szabli, z bezlitosnym wyrazem twarzy.

A co do Nakamury, ten jechał na czele kolumny czołgów, a więc należało sądzić, że nie mógł się znajdować w pobliżu ciężarówki wiozącej piechotę. Tymczasem Nakamura był tuż przed nią. Stało się tak, ponie

waż Matsushita, jak zawsze junacki, uparł się, aby tuż za czołgiem dowódcy kolumny szturmowej, podążającej teraz drogą ku brytyjskim pozycjom, jechał pluton doborowej piechoty pod jego wodzą. Nie wahał się ani chwili przed wyborem szeregowca Kikuchi, by zajął wraz z nim miejsce w ciężarówce wciśniętej między dwa pierwsze czołgi kolumny. Reszta piechurów z oddziału Ando jechała w nieco bezpieczniejszej pozycji na końcu kolumny pancernej. Kikuchi naturalnie był głęboko świadom zaszczytu, jaki go spotkał. Mimo to pierwsze pojazdy kolumny miały bezsprzecznie wziąć na siebie całą siłę ognia wroga. Ogień ten był bardzo groźny nawet dla czołgów, a cóż dopiero dla piechoty na niczym nie osłoniętej ciężarówce! Mimo to należało działać bohaterko i nie tracić nadziei.

Kolumna czołgów i ciężarówek posuwała się bez świateł wciąż naprzód. Było bardzo cicho, jakby ludzie w ciężarówce wstrzymywali oddech. Kikuchi nasłuchiwał jednostajnego grzechotu gąsienic o nawierzchnię drogi, lecz nawet ten odgłos wydał się ledwie dosłyszalny, wchłonięty natychmiast przez ciemny maszyw dżungli po obu stronach. Jak długo jeszcze będzie to trwało? Był zmęczony i chciało mu się spać. Był również głodny. Jacyż oni byli wszyscy zganiani! Zdawało mu się, że ta wojna, choć trwała zaledwie trzy tygodnie, zaczęła się przed wiekami. Czasami trudno mu było wręcz uwierzyć, że żył kiedyś inaczej... szli wciąż dalej i dalej, rzadko jedząc cokolwiek prócz suchego chleba i soli, nie zatrzymując się nawet, aby się posilić obfitym jadłem pozostawionym przez wycofujących się Brytyjczyków.

A jak straszliwej wytrzymałości wymagało od nich Naczelne Dowództwo! W umyśle szeregowca Kikuchi jedna ciężka próba zaczęła się zlewać i mieszać z drugą i tylko niektóre szczególne wydarzenia stały mu wyraźnie przed oczyma - pamiętał przedzieranie się przez dżunglę do mostu pod Kuala Kangsar, kiedy nie mieli nic do jedzenia prócz znajdujących po drodze owoców (oczywiście pamiętał, aby nie jeść owoców o pięknych kształtach i barwach) i gulaszu z mięsa wężowego (pamiętał też, oczywiście, by zgodnie z instrukcją, ilekroć nadarzy się okazja, zjadać surową wątrobę węża), gotowanego z tych ponurych stworów, które wiły się w poszyciu dżungli pod ich stopami. Pamiętał zaciekły atak Szkotów na północ od rzeki Perak - zatrzymani tam przez pewien czas nie mogli się porozumieć ze swoim dowództwem. Ale później nad dżunglą pojawił się lekki samolot i rzucił im zasobnik z rozkazem od pana oficera sztabowego Okady. Matsushita powiedział szeregowcowi Kikuchi, co zawierał rozkaz... „Głęboką wdzięczność za kilkudniową bohaterską walkę chlubnego oddziału”. Jakże się cieszył Matsushita tą pochwałą pana oficera sztabowego Okady. A jeszcze bardziej się ucieszył z rozkazu zaatakowania południowego brzegu rzeki Perak. Należało opanować most, zanim zostanie zniszczony przez odstepujących Brytyjczyków. Jakże rozbłysły oczy porucznika Matsushi - ty na wieść o tym desperackim zadaniu!

Matsushita wychudł w czasie marszu przez dżunglę, choć nikt nie umiał zręczniejsz od niego zabijać węży i połykać ich wątrób jedną po drugiej niczym ostrygi. Wybebeszone gady pozostawiał żołnierzom, którzy je żuli i ssali na surowo, bo nie mogli palić ognisk, aby nie zdradzić swojej pozycji. W miarę jak Matsushita chudł, jego oczy stawały się coraz większe i bardziej pałające. Oto miał wziąć udział w chlubnym przechwyceniu mostu na rzece Perak! Poderwał więc swoich żołnierzy, aby do niego dotrzeć i przeciąć lśniące druty, zanim brytyjscy saperzy zdążą nacisnąć guzik. Zrobi to! Dla cesarza!

Matsushita zapytał, kto pójdzie na ochotnika wykonać to brawurowe zadanie. Oczywiście wszyscy się zgłosili. Jeżeli nawet któryś z nich nie bardzo miał na to ochotę, nie należało pozwolić porucznikowi Matsushicie, aby wbił sobie do głowy, że ma wśród swoich żołnierzy tchórza.

- A więc będę musiał sam wybrać ludzi na ten patrol - powiedział wówczas przesywając oczyma każdego po kolei. Kiedy to czynił, żołnierze czekali w milczeniu jak na wyrok. Wkrótce Kikuchi usłyszał swoje nazwisko. Około północy 22 grudnia, kiedy obozowali w niewielkiej odległości od mostu na rzece Perak, w dżungli dzikich drzew kauczukowych, straszliwy huk rozbrzmiał z południa. Było to tak zaskakujące, że przez kilka chwil wszystkie nocne głosy w dżungli zamilkły i nastąpiła straszna cisza - nawet małe owady zawahały się przed zjadaniem się wzajem i węże zatrzymywały się w trakcie wślizgiwania się lub wyslizgiwania ze swoich błotnych legowisk. Kikuchi i jego towarzysze spojrzeli na siebie z przerażeniem - huk mógł pochodzić tylko z jednego źródła. Brytyjczycy zniszczyli most, który oni mieli nadzieję zdobyć nietknięty. Poblądły na twarzy Matsushita uparł się, by zbadać swoje mapy i sprawdzić, czy położenie mostu zgadza się z kierunkiem, w którym rozległ się huk. Zgadzało się. Matsushita wydał z siebie jęk i rzekł cicho:

- Moje serce opanowały myśli samopotępienia, Kikuchi. Będziemy musieli naprawić naszym życiem ten błąd. - Kikuchi skinął głową po

ciesząc się, chociaż pomyślał przy tym, iż nie ma powodu, aby żołnierze, którzy tylko wypełniają rozkazy, czuli się współodpowiedzialni za błąd porucznika.

Jadący w przodzie czołg Nakamury stanął zatrzymując całą kolumnę. Odbyła się prowadzona szeptem narada — uważano, że kolumna znalazła się bardzo blisko pierwszej linii obrony Brytyjczyków. Matsushita ześlizgnął się z ciężarówką jak pantera, niewidoczny w mroku. Kikuchi wstał ostrożnie i spojrzął w tył, na kolumnę. Za ciężarówką ciągnął się szereg kilkudziesięciu dwudziestotonowych czołgów z wieżyczkami połyskującymi w blasku księżyca. Za czołgami były ciężarówki z piechotą, a za nimi dalsze czołgi. Kikuchi wiedział, że za średnimi czołgami znajdował się oddział lekkich czołgów, „tankietek”, ale nie widział ich, bo szosa w tym miejscu zakrecała.

Kikuchi opadł na ławkę uspokojony nieco tym imponującym widokiem. Wiedział, że każdy ze średnich czołgów jest wyposażony w czte- rofuntowe działko przeciwpancerne i dwa ciężkie karabiny maszynowe. Czołgi zostały jednak zaopatrzone dodatkowo w moździerz i chociaż były one zamocowane w ten sposób, że mogły strzelać tylko na jedną stronę szosy, ustawiono czołgi tak, iż za jednym, który ostrzeliwał lewą stronę, jechał drugi, który ostrzeliwał prawą. Była to ogromna siła ognia. Kikuchi pomyślał, że może jednak istnieje szansa przeżycia. Ale jeżeli nawet teraz uda mu się ocaleć, po tej bitwie nastąpi dalsza i jeszcze dalsza. Ile tygodni lub miesięcy będzie trwało to koszmarnie życie? Zatracił już orientację, w jakim punkcie Półwyspu Malajskiego się znajduje, a nawet jaka jest dzisiejsza data. Jedno wiedział na pewno, że już się zaczął nowy rok.

A jaki był dzień Nowego Roku! Matsushita uparł się, że poprowadzi oddział szerokim kołem przez gęstą dżunglę i bagna na zachód od drogi i uderzy na ufortyfikowane pozycje brytyjskie w Kampar od tyłu. I kiedy w położonym o setki mil Tokio jego rodzina i przyjaciele składali sobie życzenia i częstowali się półmiskami soba, Kikuchi i jego towarzysze brnęli przez straszliwe bagna, często zapadając się po pierś w cuchnący szlam grożący pochłonięciem ich z głowami i pełen pijawek, które tuczyły się na ich ciałach. Zamiast nasłuchiwać dzwonów świątynnych w wieczór poprzedzający dzień Nowego Roku, dzwonów wydzwanających swe posłanie:

„Wszystko na tym świecie jest marnościami nad marnościami i nierzeczywistością”, i dobrze się bawić, Kikuchi musiał wlec się za Matsushitą z ciałem podrapanym ciemnymi pnączami i stający mi dęba włosami, gdy wszędzie na lewo i prawo jadowite węże unosiły głowy. I w dodatku nie mając nic innego do jedzenia prócz surowego ryżu i czasem kawałka węża, który mu cisnął Matsushita połknawszy jego wątrobę, według zaleceń księżeczki: Przeczytaj tylko to, a wojna będzie wygrana. Prawdę mówiąc właśnie w czasie tego zadania Kikuchi jął się po raz pierwszy zastanawiać, czyjego dowódca jest całkiem zdrowy na umyśle. Bo chociaż zawsze przejawiał tendencję do rozwodzenia się na temat stryja szeregowca Kikuchi, legendarnego trębacza, obec- nie zaczął od czasu do czasu wypowiadać o nim lekceważące uwagi, da- jąc do zrozumienia, iż jeśli idzie o męstwo i oddanie sprawie, on, Matsushita, wcale nie ustępuje stryjowi Kikuchi... a nawet posunął się tak daleko, że spróbował dać do zrozumienia, iż wydanie ostatniego tchnienia w trąbkę jest na swój sposób bardzo piękne, bo jeśli i tak ma się umrzeć, to można to zrobić dmuchając w trąbkę. I jakby to nie było dość przerażające, przyszło coś jeszcze gorszego. Gdy bowiem Matsushita brnął nieugięcie przez dżunglę rąbiąc z zapalem swą szablą chwasty, przystawał czasem i z płonącymi oczyma wyśpiewywał jakąś dziwną pieśń w języku, jakiego Kikuchi nigdy dotychczas nie słyszał. Często Matsushita parł naprzód tak ręczo, że pozostawiał swoich ludzi w tyle, a potem czekał niecierpliwie, aż go dogonią. Któregoś dnia Kikuchi pospieszywszy za swoim dowódcą, który jak zawsze daleko wyprzedził oddział, niespodziewanie doścignął go na jakiejś polance. Matsushita zrzucił nie wiedząc czemu mundur i stał golusieński, jeśli nie liczyć pęczniejących pijawek, które okrywały jego ciało od stóp do głowy. Ponadto otaczał go krąg jadowitych węży, które stały z uniesionymi łbami i słuchały, jak im śpiewa dyrygując sobie szablą. Kikuchi próbował zrozumieć dziwne słowa:
... Hanc sententiam dicamus... Flore a t Sand.. .ha.. .haa.. .liaaaaa!

Gdy ten dziwny i mrożący krew w żyłach zaśpię w ucichł, Matsushita wziął szablę i szybkim, zgrabnym ruchem uciął wężom głowy. Potem chwycił wijące się ciała za ogony i stał chwilę z garścią miotających się w konwulsjach ciał, broczących krwią na jego uda, jakby głęboko pogrążony w myślach, a w końcu usiadł pod pniem drzewa i zaczął dwoma palcami rozrywać wężom brzuchy w poszukiwaniu wątroby i wpychać sobie do ust. Kikuchi nie mógł nie zauważyć, że jedna olbrzymia

pijawka uczepiła się genitaliów porucznika. Patrzył z przerażeniem zza paproci na swojego dowódcę nie wiedząc, co począć. Ale cóż innego mógł zrobić, jeśli nie zameldować swojego przybycia, jak gdyby nigdy nic?

Jednakże kiedy Kikuchi się zbliżył, Matsushita przemówił do niego zupełnie rozsądnie, a nawet, gdy nadciągnęła reszta oddziału, wygłosił krótką przemowę na temat Japońskiego Ducha Narodowego, rozwodząc się nad dobrodziejstwami, jakie ów Duch sprowadzi na uciśnione rasy Azji Wschodniej, gdy Armia Cesarska przegna dekadencjonalnych Europejczyków. Podczas gdy mówił, jego oddział stał wyczerpany w szeregu na „spocznij”, nie odrywając oczu od pijawki, która przysysała się do genitaliów porucznika, i myśląc, czy powinno mu się zwrócić na nią uwagę.

Kolumna znów się zatrzymała. Na rzucony cicho rozkaz piechurzy wygramolili się z ciężarówek i rozproszyli po obu stronach drogi. Kikuchi miał zeszywniałe nogi po tylu godzinach siedzenia w kucki na skrzyni ciężarówki! Od tych straszliwych przeżyć w dżungli, a następnie zdobycia twierdzy Kampar był zmuszony przebyć pięćdziesiąt mil lub nawet więcej na własnych nogach. Pułk Okabe, który dokonał ataku frontального na Kampar, doznał poważnych strat i musiał go zastąpić w pogoni za Brytyjczykami pułk Ando (a z nim Kikuchi). Ponieważ wycofujący się wróg postarał się, aby zniszczyć za sobą mosty, Kikuchi i jego koledzy musieli się poruszać na rowerach. To początkowo wydawało się nawet dość przyjemne (wszystko wydawało się lepsze od brodzenia po pachy w bagnie pełnym pijawek), lecz wkrótce Kikuchi opadł z sił. Ilekroć bowiem napotykali na rzekę lub strumień, trzeba go było przebrnąć pieszo niosąc na plecach rower i cały ekwipunek. Wkrótce też opony zaczęły pękać w upale i wszyscy musieli posuwać się naprzód na grzechoczących obręczach (ów grzechot, przypominający odgłos posuwającej się w oddali kolumny pancernej, siał popłoch wśród wycofujących się Brytyjczyków). Ale 15 Pułk Saperów tak szybko reperował zniszczone mosty, że w odpowiednim czasie pułk Ando został znów doścignięty przez ciężkie pojazdy, artylerię i czołgi. W ten sposób znaleźli się tutaj, gotowi do ataku przy świetle księżyca! Na bagnecie szeregowca Kikuchi załśnił odbłask księżyca i żołnierz pomyślał: „Jak pięknie!”

Ledwie zdążył się nad tym zastanowić, gdy nagle noc wybuchła jak wulkan plujący ogniem i pociskami. Huczały i błyskały ogniem działa czołgowe, popłynęły w mrok ogniste strumienie pocisków czołgowych i Kikuchi pobiegł do ataku. Chwilę wcześniej wydawało mu się, że ledwie może się poruszać, tak mu zeszywniały nogi... a teraz pomykał jak zając, z ustami otwartymi, wydając przeraźliwy krzyk, którego sam nie mógł słyszeć, taki był huk. Przed nimi galopował Matsushita z szablą w jednej i rewolwerem w drugiej ręce. Błysnął przed nim granat, lecz porucznik zdążył wskoczyć czy też raczej wpadł niechcący w rów przydrożny w cieniu dżungli. Kikuchi wskoczył do tego rowu chwilę wcześniej.

■a teraz podczołgał się do Matsushity. Przed nimi przegradzały drogę zasieki ze zwojów drutu kolczastego i bloki betonowe. Kiedy tak patrzyli, jadący na czele czołg, ostrzeliwując bez przerwy brytyjskie pozycje pociskami smugowymi, dojechał do tych żalonych zapór, zgniótł drut kolczasty i poroztrącał na boki bloki betonowe niczym pudełka zapalek. Był to czołg Nakamury. Kikuchi usłyszał, jak Matsushita syknął przez zęby z uznaniem.

Choć Brytyjczycy zostali przyparci do skrajów dżungli, z ciemności sypał się wciąż grad pocisków karabinowych przerywany wybuchami granatów. Tylko szalenciec mógłby chcieć wyskoczyć na drogę pod takim ogniem, lecz Matsushita właśnie to uczynił dając jednocześnie znak swoim ludziom, aby ruszyli za czołgiem torującym drogę przez umocnienia brytyjskie. Kolumna musiała wdrzeć się jak najgłębiej w brytyjskie linie obronne i przechwycić mosty, zanim zostaną zniszczone. Nakamura nie może zagarnąć całej chwały dla swej kompanii czołgów!

Spiesząc za swoim porucznikiem, Kikuchi potknął się o zabitego Hajdarabada i obtarł sobie dłonie o nawierzchnię drogi. Pochwyciwszy karabin pobiegł dalej przez spleśnione zasieki z drutu. Czołg Nakamury zjechał na bok, żeby obłożyć ogniem umocnione stanowisko w dżungli, z którego wciąż terkotał karabin maszynowy krzesząc pociskami iskry na wieżycze czołgu. Tymczasem inne czołgi z rykiem silników przejechały obok czołgu Nakamury w osłonę mroku i spokoju po drugiej stronie umocnienia.

W pewnej chwili Kikuchi zdał sobie sprawę, że ma za plecami ciężarówkę, która pokonywała na zwiększonych obrotach rozbitą i porzuconą linię obrony Brytyjczyków. Odskoczył w bok i rzucił się na jej skrzynię, kiedy go mijała. Koledzy z plutonu, którzy już się na niej znajdowali, chwycili go i wciągnęli do środka. O kilka kroków dalej inna postać wychynęła z mroku i wskoczyła na ciężarówkę jak pantera. Za ciężarówką wybuchł pocisk moździerzowy i oświetlił twarz tego człowieka... był to Matsushita, poruszający bezgłośnie wargami, z płomiennymi oczyma i czerwony z podniecenia. Kikuchi pociągnął nosem. Gdyby nawet nie widział twarzy porucznika, poznałby go po dziwnym, tak bardzo specyficznym zapachu, który bił od niego. Pociągnął nosem jeszcze raz. Gdyby elektryczność miała zapach, byłby to właśnie taki zapach, jak w tej chwili bił od Matsushity.

Teraz ciężarówka wjechała w osłonę ciemności między Hajdarabada a następną linię obrony Brytyjczyków. Za ciężarówką podążały dalsze czołgi, ciemne kształty na oświetlonej księżycowym blaskiem drodze, i wkrótce odgłos wystrzałów pozostał daleko za nimi. Jechali drogą jak mogli najszybciej bez świateł za dwoma czołgami, które teraz przejęły prowadzenie. Czołg Nakamury jechał tuż za nimi.

Jechali tak i jechali w ciemność. Kikuchi znajdował się jak w transie i w głowie mu wirowało. Wkrótce zdał sobie sprawę, że usta ma otwarte i dyszy jak pies z wywieszonym językiem. „To pewnie przez ten upał” - pomyślał. Zamknął usta i spróbował nie sapać w obawie, że Matsushita może to uznać za objaw lęku. Dano mu znać z pierwszego czołgu, że zbliżają się do 61 mili. Lotnicze rozpoznanie wykryło w tym miejscu następne zapory na drodze. Była 4.30. Wciąż panowała gęsta ciemność. Kikuchi odczuł ogromne pragnienie ujrzenia jeszcze raz światła dziennego.

Nagle nastąpił błysk i gwałtowny wybuch tuż przed nimi. Prowadzący czołg wjechał na minę zakopaną na drodze. Spokojna noc natychmiast wybuchła ogniem i hukami. I znów Kikuchi wyskoczył wraz z innymi na drogę wrzeszcząc ile sił w płucach. Strugi pocisków smugowych z czołgu Nakamury popłynęły nad jego głowę tak nisko, że aż zdawały się parzyć mu policzki swym ognistym tchnieniem.

W ciemności coś uderzyło go mocno w bok głowy - może kłapa ciężarówki, a może kolba karabinu kolegi. Cios oszołomił go. Kikuchi stał w kałuży mroku nieruchomo. Czuł się jakby uwięziony w klatce jasnych, cętkowanych, przecinających się linii... jak na pokazie sztucznych ogni: wśród mknących strumieni ognia rozkwitały i zamierały przepyszne białe i pomarańczowe chryzantemy. Białe ogniki migocące i wyblęskujące z bunkrów ustawionych z boku drogi mogłyby być po prostu zimnymi ogniami w rękach dzieci. Powietrze też było pełne szumu i furkotu owadzych skrzydełek jak wówczas, gdy wiosną gałązki wiśni okrywają się kwiatem niczym śliczną pianką i uwijają się wśród nich roje pszczoł. „Jak pięknie!” - pomyślał po raz drugi. I stał nadal w miejscu, a tymczasem kule wroga padały wokół niego tak gęsto, że przypominało to nagłe gradobicie na stokach góry Fudzi. „Patrzcie, patrzcie!” - dziwował się spoglądając, jak owe kule ryją bruzdy w miękkiej smole nawierzchni szosy, niczym tłuste robaki w świetle księżyca.

Nagle poczuł szarpnięcie za ramię i znalazł się znów w przydrożnym rowie. Oprzytomniał od tego wstrząsu i pomyślał, że to może jakiś Anglik gmera mu przy koszuli chcąc mu wsadzić nóż pomiędzy zębra. Lecz

głos, który zabrzmiał, mówił po japońsku i należał do kaprala Hayashi. Obok miejsca, w którym siedzieli skuleni, stał jeszcze jeden unieruchomiony czołg, może nawet samego majora Tody - gąsienica czołgu, ugodzona pociskiem przeciwpancernym, rozwinęła się i leżała na płask na drodze. Czołg ten jednak nie przestawał strzelać w dżunglę. Po paru minutach pierwszy czołg, próbując jeszcze raz się przebić przez linię obronną, natrafił na minę i został zniszczony. Na tle rozświetlonego księżycowym blaskiem nieba uniosły się i znów opadły małe figurki. Granaty! Kapral Hayashi chwycił po ojcowsku szeregowca Kikuchi za głowę i wcisnął ją w rów. Kikuchi poczuł, jak wokół zatrzęsła się ziemia. Lecz uchwyt kaprala na jego szyi zelżał i kiedy Kikuchi znów podniósł głowę, ręka kaprala opadła. Hayashi dostał odłamkiem szrapnela w skroń, ale jego okulary, nietknięte, wciąż błyskały przyjaźnie do szeregowca.

Tymczasem nadjechały inne czołgi i stanęły zwartą grupą, jakby w głąb dżungli popłynął krążownik i stanął tu na kotwicy zionąc nieustannym skoncentrowanym ogniem wszystkich dział na obie strony drogi. Czas płynął. Drugi czołg został unieruchomiony pociskiem przeciwpancernym wystrzelonym z rusznicy na umocnionej pozycji. Minęło jeszcze trochę czasu. Pociski smugowe płynęły wciąż strugą w dżunglę, działa i moździerzce nieustannie grzmiały. Ogień z pozycji brytyjskich jednak zmalował. Rusznice przeciwpancerne milczały. Teraz czołgi porzuciły zwartą formację i zaczęły przeć w dżunglę. Kikuchi zobaczył inne postaci skulone nie opodal w rowie. Dostrzegł wśród nich Matsu- shitę wydającego rozkazy ludziom, którzy z nim byli. Wkrótce rozpoczną atak na bagnety, aby zakończyć zaciekle opór Pendżabów.

Zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym Kikuchi czekał na ów decydujący moment, gdy będzie musiał wyskoczyć z osłony rowu, Charlie Tyrrel kłęczał wśród łusek pocisków za skarpą ziemi usiłując ocenić na podstawie błysków dział, czy czołgom wroga udaje się uczynić jakieś postępy w próbie przełamania linii obrony. Gdyby udało się powstrzymać czołgi do świtu, wówczas byłaby jakaś szansa na kontratak, którego mogliby dokonać Argyllowie i Pendżabowie z 28 Brygady odpoczywającej o kilka mil dalej. Z drugiej strony, jego własny batalion odniósł tak ciężkie straty od ognia zaporowego czołgów, że należało wątpić, czy zdoła odeprzeć zdecydowany atak piechoty japońskiej. Sam Charlie jak dotąd nie odniósł szwanku, jeśli nie liczyć rany łydki, od której skarpetka nasiąkała krwią i przy chodzeniu niemile chlupało mu w bucie. Rana ta jednak, w połączeniu z ogłuszającym hukiem dział i jego własnym ogromnym zmęczeniem, wprawiła go w dziwnie senny nastrój, w którym było mu trudno myśleć konstruktywnie. Lecz gdyby nawet jego stan ducha był bardziej normalny, nie ułatwiłoby to sprawy. W tych ciemnościach, z utrudnioną łącznością z batalionem, a także zerwaną linią pomiędzy batalionem a dowództwem brygady, było niemal niemożliwe wytworzyć sobie jasny obraz tego, co się działo.

Tymczasem dowódca brygady krążył niespokojnie po kwaterze głównej w głębi plantacji. Wszystkie linie telefoniczne zostały do tej pory przecięte, ale wiedział już, że tak jak oczekiwał, Japończycy przedarli się przez Hajdarabadów i zostali powstrzymani, przynajmniej na jakiś czas, przez Pendżabów. Wezwał łącznika i posłał go do Pendżabów z rozkazem, aby nie opuszczali swoich pozycji przy drodze, jeżeli nawet japońskie czołgi się przebiją. Jednocześnie kazał Argyllom wnieść zapory przeciwczołgowe na drodze.

Argyllowie mieli zwyczaj śniadać wcześniej, by walczyć o pełnym żołądku. Zjadłszy więc śniadanie przed świtem, zabrali się do improwizowania zapór w ciemnościach, jednej w miejscu, gdzie szosa wkraczała na teren plantacji, drugiej o kilkadziesiąt jardów przed mostem w Trolak (to znaczy pierwszym z dwóch, do których Japończycy mieli dotrzeć) - tę zaporę osłaniały dwa samochody pancerne z rusznicami przeciwpancernymi. Jednocześnie wybrano ochotników do koktajli Moło- towa i trzymano w pogotowiu.

Choć niebo zaczęło nareszcie błędnąć, na szosie było jeszcze bardzo ciemno. Sinclair, pragnąc się dowiedzieć, jak sobie radzą kompanie A i D po drugiej stronie szosy głównej na plantacji, pożyczył motocykl i ruszył dość niepewnie drogą plantacyjną ze sztabu Brygady. Gdy wypadł pędem pomiędzy drzew, jadąc szybciej niż zamierzał i chcąc przeciąć szosę w poprzek i pojechać dalej drogą, która biegła po drugiej stronie między drzewami, nagle w mroku zamajaczył jakiś ogromny cień. Czołg japoński! Skręcając gwałtownie zderzył się z nim, niemal czołowo... ale na szczęście dla siebie został odrzucony w bok. Jedna z gąsienic przejechała po motocyklu, zmiażdżyła go swymi zębami i wypluła na szosę za sobą. Kiedy czołg znikł w ciemnościach, Sinclair otTze- pał się z kurzu drżącymi rękami.

- Ś...ś...ś...świnie! - krzyknął za czołgiem. - Jeździecie b... b... ś... ś... światel! - Ale kiedy stał klnąc przy splaszczonym motocyklu, widział tylko szybko malejący ogień z rury wydechowej czołgu. I wtedy

pomyślał: „Rany Boskie! Przecież japoński czołg wcale nie powinien się tu znajdować!” A chociaż wiedział, że teraz już prawie na pewno za późno, aby kogoś ostrzec, zaczął biec ile sił w nogach z powrotem tam, skąd przyjechał.

Lecz jeśli ów czołg przeszedł już przez długą szyjkę i przedostał się do butelki, oznaczało to, że Japończycy nie tylko przebili się przez pozycje Pendżabów, ale również, że pierwsze umocnienia Argyllów, gdzie szosa główna opuszcza dżunglę i wkracza na tereny plantacji, też ich nie powstrzymały. A więc japońskie czołgi, skutecznie powstrzymywane przez Pendżabów na szosie głównej, znalazły sposób, aby ich ominąć - bowiem linia, którą obecnie biegła szosa, nie była linią pierwotną. Pierwotna droga wiła się przez wąwóz ostrymi zakrętami. Kiedy przebudowano drogę, pozostawiono nie używane pętłe własnemu losowi i nie wzniesiono na nich zapór przeciwczołgowych. Czołg Nakamury znalazł właśnie taką pętlę i okrążył nią brytyjskie pozycje wyłaniając się na tyłach. Opór Pendżabów teraz w końcu się załamał. Charlie zebrał swoich żołnierzy, którzy jeszcze mogli chodzić, i wycofał się z nimi do dżungli w nadziei, że zdoła dotrzeć do mostu na rzece Slim i dalszych linii brytyjskich. Zaczynało się właśnie rozwidniać, kiedy Charlie'ego i jego ludzi pochłonęła wielka, ciemnozielona ściana dżungli. Odtąd wszelki śluch o nich zaginął.

Teraz czołgi majora Tody i porucznika Nakamury, z dwoma innymi średniej wielkości (z których ostatni właśnie rozpląszczył motocykl) oraz ciężarówką piechociarzy, wśród których znajdował się przerażony Kikuchi i nieustraszony Matsushita, zmiotły jedną żalosną zaporę na krańcu dżungli i pomknęły dalej szosą. Już to było zwycięstwem, przebili się bowiem przez wąwóz i mogli działać teraz swobodnie na terenie plantacji, gdyby zechcieli. Lecz Nakamura dążył do jeszcze większego zwycięstwa... do zawładnięcia dwoma mostami, nim wróg zdoła je zniszczyć!

W mgnieniu oka czołgi dotarły do drugiej zapory, którą Argyllowie wzniesli tuż przed mostem w Trolak. Ta druga przeszkoda, zbudowana w pośpiechu, była równie mało imponująca jak pierwsza, ale osłaniały ją dwa samochody pancerne Argyllów, wraz z oddziałem zbrojnym w koktajle Mołotowa, czyhającym w rowie z pełnymi po brzegi puszkami od konserw i nasyconymi benzyną szmatami. Zrobiło się już o tyle jasno, że można było dostrzec kontury czołgów, gdy wychyły z mroku i stanęły zatrzymane blokami z betonu i żelaznymi łańcuchami przegradzającymi drogę.

Gdy tylko stanęły nieruchomo, oficer dowodzący samochodami pancernymi dał znak i z obu stron drogi samochody otworzyły ogień z rusznic przeciwpancernych. Ale ich pociski tylko ześlizgiwały się po pancerzu czołgów i rykoszetowały z wyciem w drzewa kauczukowe. Teraz podbiegli żołnierze z koktajlami, rzucili swoje pociski i uciekli ile sił w nogach. Tu i ówdzie buchnęły płomienie i zdawało się przez chwilę, że jeden z czołgów się zapalił. Ale to tylko paliła się benzyna, którą był zlany pancerz - wkrótce zgasła i znów zapanowała szarość przedświt. Tymczasem czołgi obróciły swoje spłaszczone łby jakby w zdziwieniu, żeby popatrzeć na te żalosne samochody pancerne, które się im przeciwstawiły. Zagrzały działa. Natychmiast jeden samochód pancerny przemienił się w dymiący wrak, drugi został uszkodzony. Pociski smugowe zaczęły fastrygować spieszenie przygotowane umocnienia Argyllów. Działa czołgowe i karabiny maszynowe nie zaprzestawały ognia - do huku dział i granatów dołączył się przeraźliwy trzask gruchotanych drzew kauczukowych.

Kikuchi i jego koledzy leżeli rozpląszczeni na podłodze ciężarówki, podczas gdy kule dziurawiły plandekę nad nimi. Nawet Matsushita siedział skulony. Lecz w pewnej chwili jakiś instynkt mu podszeptnął, że właśnie nadszedł odpowiedni moment, i nagle, chwyciwszy lekki karabin maszynowy od leżącego obok żołnierza, wyskoczył na szosę. Uczynił to w samą porę, aby móc zobaczyć, jak kłapa wieżyczki pierwszego czołgu się otwiera i ukazuje się spod niej głowa Nakamury. Czołg majora Tody nie przestawał strzelać, aby osłonić bohaterskiego Nakamurę, który gramolił się z szablą przez zaporę. Przy drugim końcu mostu można już było dostrzec ładunki wybuchowe umocowane do jednego z filarów, a nawet prowadzące od nich druty. Kule wzbijały wokół niego kurz, a Nakamura biegł z szablą w dłoni, gnający zaś za nim Matsushita zdążył w samą porę zauważyć podrywającego się brytyjskiego żołnierza, który chciał rzucić granat - Matsushita skosił go serią z karabinu. Potężnym cięciem szabli Nakamura przeciął druty wiodące do ładunków wybuchowych, potem odwrócił się i pognął z powrotem do swojego czołgu. Zdawało mu się niemożliwe, by zdołał dobiec żywy wśród gradu kul, ale po chwili już był na czołgu i wślizgnął się węzowym ruchem do jego bezpiecznego wnętrza. Kłapa wieżyczki zatrzasnęła się za nim z łoskotem.

J Ile trzeba było czasu, żeby czołgi przebiły się przez zaporę przed mostem? Z rykiem silnika czołg Nakamury zaczął odpychać lekką zaporę na bok. Zrozpaczony oficer dowodzący samochodami pancernymi, nie zwracając uwagi na ogień z czołgów o kilkadziesiąt jardów dalej, zwolnił hamulec uszkodzonego samochodu i zepchnął go po niewielkiej pochyłości na most, gdzie spróbował go przewrócić, ale nie zdołał. Lecz nawet ten desperacki czyn nie mógł powstrzymać czołgów. Ze zgrzytem metalu o beton czołg Nakamury przebił się wreszcie na most, a za nim czołg majora Tody, nie przerywając ognia. Zepchnięcie uszkodzonego samochodu pancernego na bok na moście zajęło ledwie parę chwil. Znow przed czołgami droga była otwarta.

Mknęli po szosie w kierunku Kampong Slim, teraz już w pełnym świetle dnia. Około mili na północ od tej miejscowości Nakamura, który jechał wychylony z otwartej wieży czołgowej śledząc drogę orlim wzrokiem, dostrzegł ruch. Czy mu załśniły. W jednej chwili kłapa wieżyczki zamknęła się z brzękiem i czołg przyspieszając wpadł na batalion Pendżabów 28 Brygady, który został wysłany w pośpiechu na pomoc walczącym i maszerował szosą niczego nie podejrzewając. Pierwsza kompania stopniała w ogniu karabinu maszynowego Nakamury, z drugiej zaledwie kilkunastu uszło bez szwanku, trzecia i czwarta zdołały dać nurka między drzewa plantacji po obu stronach szosy. W Kampong Slim szosa skręcała ostro w lewo i biegła na wschód przez plantację Cluny. Tutaj Nakamura znalazł dalszy łup, batalion Gurkhów podążający szosą w kolumnie marszowej, nie podejrzewający ani trochę, że w pobliżu może się znajdować czołg japoński - spotkał ich ten sam los co Pendżabów, zostali skoszeni z bliskiej odległości ogniem karabinów maszynowych Nakamury.

Następnie przyszła kolej na dwie baterie 137 Pułku Polowego drzemiącego spokojnie przy drodze na plantacji Cluny-cisza i porządek ich obozowiska zostały w mgnieniu oka przemienione w parujące jatki i czołgi pojechały dalej. Major Toda chciał objąć przewodnictwo, bo oto w ich zasięgu znalazła się największa zdobycz całej kampanii: most na rzece Slim! A tak raptownie jednostka czołgowa majora Tody przebiła się przez całą linię obrony Brytyjczyków, że ten ważny most miał za całą obronę jedynie baterię lekkich dział przeciwlotniczych i oddział saperów przygotowujących most do wysadzenia.

Tak jak widuje się czasami stada przerażonych ptaków umykających przed czołem huraganu, tak samo teraz przed grupą czołgów Tody pę-
400

dzi zbieranina różnych pojazdów. Ludzie w ciężarówkach, samocho dach i na motocyklach (nawet jeden człowiek galopuje na koniu, chociaż nikt nie wie, co on tutaj robi), ludzie pedałują wściekle na rowerach i skręcają na drogi plantacyjne umykając przed dudniącymi czołgami. Grupa sygnalistów na ciężarówce wpada z klekotem na most i krzyczy do saperów kończących zakładać ładunki przy odległych filarach i do innych, którzy rozwijają druty:

- Czołgi japońskie! Czołgi japońskie! - Słyszysz to oficer dowodzący działami przeciwlotniczymi. Tylko dwa działa dają się skierować na szosę. Oficer przygotowuje się do oddania ognia schylony nad nie osłoniętym celownikiem i czeka, aż się pojawią czołgi. I oto widzi pierwszy ze złowrogich pojazdów, a za nim drugi i trzeci, i czwarty. Z odległości kilkudziesięciu jardów otwiera ogień do pierwszego czołgu, lecz lekkie pociski odbijają się od pancerza czołgu i rykoszetują z wyciem między drzewa. Z kolei czołgi otwierają ogień na nie osłonięte działa. Po kilku chwilach wyłączają je z akcji. Wokół nich leżą zabici i ranni, owiani chmurą dymu i kurzu.

Nakamura udaje chytrze, że nie dostrzega prób majora Tody, aby objąć prowadzenie, i gasienice jego czołgu pierwsze zaczynają hurgotać na długim moście. Wzrok ma przykuty do ładunków wybuchowych, które są już tak blisko, do saperów rozpraszających się wśród drzew plantacji i do tych dwóch, którzy biegą rozwijając z bębna drut. Głuchy grzmot gasienic na moście, a ten most wydaje się taki długi! Nakamura został wcześniej ranny w prawą dłoń i nie może teraz trzymać w niej szabli. Ponadto kule karabinowe znow uderzają o pancerz. Bierze więc karabin maszynowy i kieruje ogień na drut biegnący wzdłuż i w bok od mostu, aż wreszcie, tak, kule go przecinają. Most na rzece Slim zostaje zdobyty w nieuszkodzonym stanie!

Major Toda rozkazuje jednemu z czołgów strzec mostu, aby Brytyjczycy go nie wysadzili. Potem z Nakamurą wciąż na czele jadą milę dalej w kierunku Tanjong Malim. Jest teraz wpół do dziesiątej i zaczyna się robić gorąco. Nagle czołgi wpadają na jeszcze jedną formację niczego nie podejrzewających Brytyjczyków posuwających się ku linii frontu (który, jak sądzą, znajduje się o dziewiętnaście mil dalej). Nakamura wreszcie pobłażliwie puszcza przodem porucznika Ogawę. Brytyjczycy, choć zaskoczeni, okazują się tym razem nie tak łatwym łupem, jest to bowiem wspaniały 155 Pułk Polowy. Jeden z oddziałów, pracując gorączkowo pod ogniem czołgów, odprzodkowiec haubicę, daje ognia z

odległości ledwie dwudziestu paru jardów w jadący na czele czołg i niszczy go. Natarcie czołgów zostaje wreszcie wstrzymane.

Trochę później, gdy Brytyjczycy się wycofali, Kikuchi zbadał wrak czołgu. Znalazł w nim porucznika Ogawę, który choć martwy, siedział wciąż wyprostowany dzierżąc w ręku szablę. Tak zakończyła się bitwa nad rzeką Slim.

Mimo przykrości, jakich doznał spotykając niektórych mieszkańców domu konających, Matthew myślał teraz o tej instytucji z przyjemnością, stworzyła bowiem zdecydowaną więź pomiędzy nimi. Widok ludzi konających sprawia, że człowiek czuje się niezwykle pełen witalności. Opuściwszy ten cienisty świat, Matthew i Vera aż kipieli z podniecenia. Przed drzwiami domu konających, gdy tylko spojrzeli na swoje gładkie twarze, wzięli się za ręce i mocno je ścisnęli. Na nieszczęście wizyta u umierających zajęła im tak wiele czasu, że musieli niemal natychmiast się rozstać, lecz tym razem umówili się na spotkanie. I w ten sposób, w niedługim czasie, ujrzeni się znowu pod łukowatym wejściem do „Wielkiego Świata”.

Vera już z daleka zobaczyła uwodzicielsko pochyloną linię pleców Matthew i serce jej zabiło (nie przepadała za młodymi ludźmi o pięściach ze stali!). On zaś chodził tam i z powrotem mruczając coś do siebie i raz po raz unosząc rękę, aby wepchnąć głębiej na nos okulary. W pewnej chwili, najwidoczniej zapomniawszy, co tu robi, ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem, lecz wkrótce, przypomniawszy sobie, wrócił. W tym momencie Vera zdecydowała, że najlepiej będzie podejść i powiedzieć, że już jest. Wzięła go pod rękę i weszli do „Wielkiego Świata”. Wewnątrz panował tajemniczy tropikalny półmrok, w którym tu i ówdzie przemykały nietoperze, piszcząc i mlaskając. Matthew się zdziwił, że „Wielki Świat” jest w ogóle otwarty, bo przecież w końcu front nie był teraz taki odległy. I tu zaszły jednak zmiany. Przede wszystkim nie było już tak wielu światła, tylko gdzieś tam słaba poświata, na której tle widziało się w mroku niewyraźne zarysy sylwetki. Ale to uczucie tropikalnej tajemniczości, te nieznanne zapachy i doznania, wszystko to jakby podwoiło swoją intensywność i tłumy o tej porze wydawały się niemniej liczne. Ta atmosfera dymu cygar i drzewa sandałowego, kadzidła i perfum, ten podniecający złożony zapach jada i kurzu, i kwiatów cytrusowych nappełnił Matthew takim podnieceniem, że serce zaczęło tłuc mu się w piersi jak dopiero co złowiona ryba w koszu.

Matthew był spragniony. Dostrzegłszy grupę ciemnych postaci pija

cych coś przy jednym ze stoisk poprowadził tam Verę. Pili przez słomki wetknięte w orzechy kokosowe, które miały ścięte czubki jak jaja na miękko. Co za rozkosz! Lecz Vera odciągnęła go stamtąd. Wyjaśniła mu, że mleko kokosowe nie jest dobre dla mężczyzn.

- Jak to?

Otóż Malajczycy mówią, że ono ich osłabia, mruknęła wymijająco i poprowadziła go do innego stoiska, nalegając, aby spróbował jakiejś dziwnej zupy z mięsem i korzeniami, której nazwę podała mu tylko w brzmieniu chińskim (była to małpia zupa, potężny afrodyzjak). Spróbował i stwierdził, że ma dosyć dziwny smak. Z czego jest ta zupa? Lecz znów Vera powiedziała mu tylko chińską nazwę. Stary, pomarszczony Chińczyk, który ją warzył - a wyglądał jak na chwilowym urlopie z domu konających - zachichotał rozbawiony widokiem tego tegiego wojaka ostrzającego swe jadeitowe strzały, zanim je straci w Pałacu Koralewym. Pogładził kosmyki włosów na brodzie i zajrzał do garnka z bulgoczącą zupą wspominając ze smutkiem, jak to w minionych latach i on lubił sobie czasem fang-shih.

Tak, ta zupa nie jest wcale taka zła, zawyrokował Matthew spróbowałszy jej ponownie. W mgnieniu oka spałaszował całą jej miskę i poprosił o jeszcze. Przepyszna! Zamówiłby i trzecią porcję, lecz Vera uznała, że zjadł już dość, więc ruszyli dalej przez zadymioną, tłumną ciemność. Tu i ówdzie połyskiwały blade ognienki oświetlając krąg wschodnich twarzy i Matthew zauważył nawet kilku żołnierzy. Jeden z tych żołnierzy miał rękę na temblaku, drugi gruby bandaż wokół głowy. Inni byli pijani, ale milczący teraz i ponurzy. Tępyimi oczyma obserwowali kłębiącą się kosmopolityczną krzątanicę wokół nich, jakby zza szyby wystawy sklepowej. Niewątpliwie nieszczęśnicy zostali ranni w walkach na północy. Trudno oczekiwać, żeby się weselili.

Vera była zaniepokojona postępem działań wojennych. Mówiła już wcześniej Matthew, że przyjechała do Singapuru, aby uciec przed Japończykami w Szanghaju. A teraz, -codziennie, na przekór temu, co piszą gazety, Japończycy zbliżają się coraz bardziej. Dokąd się uda, gdy zajmą Singapur? Takie pytania zadawała Matthew z niewinnym i bezbronnym wyrazem twarzy, być może zastanawiając się jednocześnie, czy ta małpia zupa, której tyle zjadł, nie wprawi go w opiekuńczy nastrój.

- Och, nie przejmuj się, zajmę się tobą - rzekł Matthew opiekuńczo i objął ją ramionami (jak lekkie i gibkie było jej ciało w porównaniu z jego własnym!). - Ponadto, nie sądzę, że dojdą aż tak daleko. - Wepchnął głębiej na nos okulary i dodał już ostrożniej: - Przynajmniej zrobię, co tylko będę mógł. Porozmawiajmy o czymś weselszym. - Vera zgodziła się zdając sobie sprawę, że kontakt z tym przystojnym mężczyzną spowodował w niej zwiększenie wypływu esencji yin pomimo wszystkich kłopotów. Spacerowali dalej. Czas płynął niepostrzeżenie. Wkrótce stwierdzili, że „Wielki Świat” już zamykają - ostatnio, z powodu wojny i zaciemnienia, musiano zamykać wcześniej.

Wyszli wraz z wylewającym się z bramy tłumem i podążyli wolnym krokiem przez ciepły mrok ulicą walących się sklepików. Ogromny, żółty księżyc wychynął nad kryte dachówkami domy. Jakiś człowiek z opaską Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej i torbą na ramieniu poświęcił im latarką w twarzę i mruknął coś po kantońsku, ale nie próbował ich zatrzymać. Matthew chciał, żeby Vera wróciła z nim do Mayfair, lecz ona odmówiła z oburzeniem. Nie miała zamiaru iść tam, gdzie jej nie chcą!

—• Kto cię nie chce? O czym ty mówisz?

- Pan i panna Blackett powiedzieli mi...

- Oni nie mają nic do gadania. Ten dom należy do mnie.

-To nie jest ważne. Zachowali się nieładnie. Nie będę padała przed nimi plackiem, żeby się im przypodobać!

- No, wiesz!

Lecz Vera zdenerwowała się wspomnieniem krzywdy, jaką jej wyrządzili Blackettowie. Przez chwilę miała łzy w oczach, a nawet winała Matthew, że pozwolił, aby ją tak znieważono, choć sama nie wiedziała, jak mógłby temu zapobiec.

- Powinieneś był im powiedzieć, żeby się zachowywali w stosunku do mnie przyzwoicie — rzekła nadąsana. — Nigdy już nie wrócę do Mayfair. — Tymczasem powrót do Mayfair bardzo by jej odpowiadał, ponieważ zbyt się wstydziła swojej wynajętej klitki, aby zaprowadzić tam Matthew. Zająwszy jednak tak zdecydowane stanowisko na temat nie- wracania do Mayfair, nie mogła teraz zmienić zdania. Za rogiem mieściła się restauracja - może któryś z gabinetów okaże się wolny.

Weszli w otwarte drzwi, gdzie grupa mężczyzn i kobiet, sami Chińczycy, siedzieli przy stolikach pijąc i grając w madzonga w słabo oświetlonym lokalu. Matthew i Vera przeszli między stolikami do jeszcze ciemniejszego korytarza, gdzie w dusznym powietrzu wisiał silny zapach czosnku. Właściciel lokalu dreptał obok nich coś mówiąc, lecz

Vera nie zwracała na niego uwagi. Po obu stronach korytarza mieściły się za zasłonami gabinety i idąc odsuwała zasłony w poszukiwaniu wolnego. W każdym z nich siedziały pijąc przytulone pary. Jednakże mimo atmosfery silnej zmysłowości nie sprawiało to wrażenia czegoś niestosownego. Vera spojrzała na Matthew i skrzywiła się. Wszystkie gabinety były zajęte i uważała, że Matthew mógłby okazać więcej inicjatywy i coś zaproponować. Lecz Matthew będąc już czymś innym zaabsorbowany przestał myśleć o... znalezieniu miejsca, w którym mogliby być sami. Przed chwilą wstrząsnęły nim własne słowa, kiedy powiedział: „Ten dom należy do mnie”. Wydało mu się bowiem, że nawet to proste zdanie miało własny sens moralny. Problem był następujący: czy można posiadać na własność coś takiego jak Mayfair i nadal uważać się za człowieka sprawiedliwego? Lecz zanim zdążył uporać się z tym zagadnieniem, dostrzegł coś w ostatnim gabinecie, kiedy Vera bezceremonialnie tam zajrzała. Dostrzeżony widok kazał Matthew zastanowić się nad czymś zupełnie innym. Bowiem w ostatnim gabinecie spostrzegł dwu sponoszonych Chińczyków w dość osobliwym uścisku. Zapytał Verę, co oni robią.

- Nie wiem - odparła wzruszając ramionami. - Może to jakieś tajne stowarzyszenie?

— Nie sądzisz, że to mogą być Singapurskie kleszcze?

Lecz Vera zaprzeczyła ruchem głowy, uśmiechając się. Uznała jego pytanie za tak śmieszne, że cała irytacja jej przeszła.

Wszystkie gabinety zajęte. Nie było więc innej rady, jak wziąć Matthew do siebie. Zagłębili się znów w ciepły mrok miasta i kiedy szli, Vera próbowała przygotować go na to, co zobaczy w czynszówce, w której mieszkała, nie opodal rzeki, przy New Bridge Road. Wkrótce stanęli przed nią. Westchnęła poczuwszy smród dobywający się z kanalizacji i ujrawszy łuszczącą się na ścianach farbę i skulone postaci, które trzeba było przestępować, kiedy wchodziło się po schodach, wcale nie przekonana, że nie zrobiła błędu przyprowadzając tu Matthew. Jakże słodkie było powietrze Tanglinu w porównaniu z tutejszym! Dzięki Bogu, że przynajmniej nie musiała dzielić tak jak jej sąsiedzi swojej klitki z kilkoma innymi osobami!

Nie przestając się zastanawiać nad Singapurskimi kleszczami Matthew szedł za nią czymś w rodzaju korytarza, na którym spali pokotem ludzie. Przystąpił przez jakiegoś staruszka o twarzy jak mapa, który spał na schodach nad fajką z długim metalowym cybuchem. Nie było tam żadnego przyzwoitego oświetlenia, tylko jedna goła żarówka u góry schodów i wąski promień księżycy z dalekiego okna... ale to wystarczyło, by dostrzec ciemniejsze bryły cienia, które leżały równymi rzędami po obu stronach, przy ścianie. Nie wiedzieć jak, ale od razu poznawał, które z tych tobołków były rzeczami, a które ludźmi. W powietrzu unosił się też zapach, niezależnie od smrodu z rur popsutej kanalizacji, o który się tak martwiła Vera... rozpoznał go, lekko dymny zapach jakby tłących się śmieci lub szmat, zapach ubóstwa.

Okazało się jednak, iż te ściany z obu stron nie były wcale ścianami, a tylko kruchymi drewnianymi przepierzeniami. Pierwotnie piętro składało się z trzech, może czterech pokoi, lecz aby wyciągnąć z nich jak największy czynsz, właściciel poprzegradzał je na niezliczoną ilość klitek, niewiele większych od szaf, oddzielonych od korytarza zasłonami lub sznurami paciorków. Matthew próbował zajrzeć do kilku takich ciemnych klitek, ale musiał uważać pod nogi, żeby nie nastąpić na jakiegoś wyczerpanego kulisa, który osunął się we śnie na przejście. W jednej z tych klitek stara kobieta z włosami zwiniętymi w kok kłęczała mrużąc modlitwy przed zwojem czerwonych ideogramów z tłącymi się obok czerwonymi świecami i laseczkami kadzideł. W innej wokół błękitnego płomyka siedziała cała rodzina jedząc ryż. W pobliżu ktoś ciężko kaszłał, długim, paskudnym, gruźliczym kaszlem, który był jak głos rezygnacji lub rozpacz. A więc to tak się tu żyje!

Klitka Very była w porównaniu z innymi wygodna. Mieściła się przy końcu korytarza i blisko jedyne go kranu, z którego woda kapała do kubła, poza tym miała okno, które dzieliła z następną klitką. Była bardzo mała (Matthew mógłby ją przesadzić jednym susem), ale schludna i umeblowana - miała żelazne łóżko, które dla Very symbolizowało jej rosyjskie pochodzenie, stolik zrobiony z drzwi szafki położonych na skrzynce od herbaty, na których stało lustro i kilka flakoników z kosmetykami. Była tam również lampka olejna i prymus - na podłodze leżała jasnobrażowa mata. Suknie, które dostała od Joan, wisiały pizy oknie (jej chińskie stroje leżały zapakowane z kulkami naftaliny pod łóżkiem), a pod nimi stała równiutko para drewniaków i skórzane pantofle. Na podłodze koło prymusa widniały dwie miseczki i sosjerka, a w słoiku po dzemie tkwiły pałeczki do ryżu i porcelanowa łyżeczka.

Gdy Vera zapalała lampę, Matthew stał nieswój obok niej z rękami w kieszeniach, wzruszony prostotą jej mieszkania. Kiedy zrobiło się dostatecznie jasno, by mogli się nawzajem widzieć, oboje poczuli się skre-

powinni. Chcąc ukryć zawstydzenie Vera zaczęła grzebać w torebce. Matthew patrzył na wycięte z pism obrazki przypięte do przepierzenia nad łóżkiem - znajdowała się wśród nich fotografia człowieka, który zapewne był carem rosyjskim, bardzo zarośniętego, i króla Jerzego VI oraz Myrny Loy. Usiadł na łóżku, przy którym leżał stos magazynów i jakieś książki. Kilka z tych książek było w języku chińskim (wśród nich, o czym Matthew nie wiedział, rozprawa na temat technik miłosnych, bo Vera traktowała te rzeczy bardzo poważnie). Był tam egzemplarz Samopomocy z pieczęcią Amerykańskiego Towarzystwa Misyjnego w Harbinie i zniszczony zbiorek innych książek po angielsku włącznie ze 170 chińskimi poematami Waleya, niegdyś własność Klubu Połączonych Służb, i Czołgi nprzódPercy F. Westermana, bardzo pobazgranc czerwonym ołówkiem przez jakieś dziecko.

Vera usiadła przy nim na łóżku. Już nie miała tego uczucia śliskości, co przedtem, które zwykle odczuwała, gdy była podniecona. Strach przed wrażeniem, jakie jej pokój mógł wyrzucić na gościa, spowodował zmniejszenie wpływu jej esencji yin. Czują też, że siły yang u Matthew popłynęły innym torem i brak im niepokohumowanej koncentracji nieokiełznanego ducha yang.

Istotnie bowiem Matthew siedząc w tej słabo oświetlonej klitce, nie większej niż szufa, w jakiej Wulter Blackett wieszał swoje ubrania, znowu zadumał się nad kwestią, czy człowiek bogaty może wieść sprawiedliwy żywot. Bo w warunkach konkurencji można być bogatym tylko kosztem innych ludzi, tych biedniejszych. Choćby nie wiadomo jak człowiek sturął się być sprawiedliwy, choćby nie win* domo juk był uczciwy, dobroczynny i współczujący wobec cierpień innych, czyż to posiadanie bogactw, które mu pozwolu chodzić do opery i pić doskonale wina, nie rzuca lekkiego cienia na wszystkie jego aspiracje? Czy można żyć sprawiedliwie w dzielnicy Tanglin. gdy jednocześnie tylu ludzi mieszka w tej okropnej czynszówce, nie dojadając i chorując na gruźlicę (wciąż słyszał dręczący, nieustanny kaszel za przepierzeniem)? Była to kwestia całkiem niezależna od faktu, że ów kaszlący został wessany na Mulaje przez wielką implozję kapitału brytyjskiego zainwestowanego w tanią podzwrotnikową ziemię i siłę roboczą, bo z całą pewnością można dowodzić, że jest on ruczej beneficjentem niż ofiurą brytyjskiej przedsiębiorczości, włącznie z przedsiębiorczością firmy Blackett i Webb. Matthew objął pocieszająco Verę myśląc, że musi ją stąd zabrać, aby nic zuruzitn się gruźlicą od sąsiadów, a jednocześnie zastanawiając się, jak się winno postępować, aby żyć sprawiedliwie.

Tymczasem Vera w objęciach Matthew zuczęła znów doznawać uczucia śliskości, tuk iż wkrótce, gdyby ją spróbowano schwytać, wysliznęłaby się z palców niczym kostka mydła w wannie. Przysunęła się bliżej i objęła Matthew w pasie. To z kolei wywarło odpowiednie wrażenie nu Matthew, bowiem małpia zupa krążyła wciąż obficie w jego żyłach. Duch yang, który drzemał jak tygrys w swej juskini, został nagle przebudzony tą szczupłą i do tego śliską ręką. która obejmowała go w pasie: i oto wyszedł warcząc ze swego leża, zdecydowany znaleźć zaspokojenie za wszelką cenę.

Nic otrzymując świadomych instrukcji od swego właściciela, dłonie Matthew zuczęły błędzić po ubiorze Very i wkrótce znuluzły jakieś guziki. Ale te guziki okazały się jedynie ozdobą i po dość długim szurpuniu i pociąganiu, które wyraźnie doprowadziły dłonie donikąd, Veru postanowiła dyskretnie wprowadzić jc na właściwą drogę, aczkolwiek podkopywało to nieco wrażenie zaskoczony niewinności, jukic miała nu- dzieję wywołać. Jednakże nawet to na nic się zdulo, ponieważ palce Matthew stały się niezręczne wskutek spóźnionych instrukcji teoretycznych, jakie zaczęły do nich napływać z jego mózgu. W końcu Vera musiała się w pełni odwołać do swego zmysłu pruktycznego i sama się rozebrać - co wcale nic oznaczulo, że miała wiele do zdejmowania, bo cuły jej ubiór po zgnieceniu zmieściłby się w jednej kieszeni Matthew. Matthew skorzystał z tej okazji, by zdjąć własne ubranie i kiedy to czynił, z okolic jego ud wzbiłu się gęsta chmura białego pyłu i zawisła połyskliwie w świetle lumpy. Veru wyglądała nu zaskoczoną tuką ilością kurzu, zustanuwując się, czy toż przypadkiem genitalia Matthew nie są okryte również pajęczyną. Lecz Matthew spiesznie wyjaśnił, że to tylko talk, którym się posypał po wieczornej kąpeli. Kiedy ta kwestia została w końcu rozstrzygnięta, bliźniacze rzeki yin i yang, które, choć płynąc w tym samym kierunku, jedna w cieniu, drugu w słońcu, były przedzielone łuńcuchem gór, teraz jęły przybliżyć się ku sobie, góry bowiem przechodziły w ługodne wzgórze, te zaś z kolei opadały w rozległą dolinę.

A jednak nim owe rzeki się połączyły, nim jednu wpłynęła w drugą, czokuł je jeszcze szmat drogi. Veru bowiem, którą się pilnie wykształciła w sztuce miłoNnej, nie uważała, iż ów uświęcony akt, którego celem było połączenie jej nie tylko z kochankiem, lecz także z ziemią i firmamentem, winien się odbywać na sposób zachodni, który przywoził nu

I myśl krótkie zderzenie na skrzyżowaniu ulic dwóch pijanych kulisów ciągnących riksze w środku nocy. Jasne było, że aby postępował jak należy, musiała udzielić Matthew szybkich, lecz zasadniczych wskazówek, by wiedział, czego po nim oczekuje. Po pierwsze, należało ustalić wspólną terminologię. Jego pojęcie o tych sprawach okazało się jeszcze mniejsze, niż przypuszczała. Wydawał się całkiem oszołomiony, kiedy tak stał nago i mrugał powiekami, ponieważ zdjął okulary i położył je na stosie książek przy łóżku. Więc Vera wzięła się do pracy i jęła go uczyć, jak się nazywają różne części, pokazując je na Matthew, gdy odnosiły się do niego, a potem na własnej wdzięcznej postaci.

- To się nazywa „kuei-tou” albo „yii-ching”, albo jak to powiedzieć, hmm... „jadeitowa łodyga kwieciana”... albo czasem „nan-ching”, lub nawet „yang-feng”, okej? - Lecz Matthew patrzył tylko ze zdumieniem i musiała mu to powtórzyć.

- Teraz rozumiesz? ^ pytała dość protekcyjnym tonem, który zapożyczyła przed laty od swego nauczyciela języka angielskiego, misjonarza.

| - Wszystkie te słowa znaczą to jedno? - zapytał Matthew wskazując palcem omawianą część ciała.

-i r- Nieściśle, oczywiście. Jedno, rozumiesz, znaczy „głowa żółwia”, drugie „jadeitowa łodyga” i tak dalej... ale wszystkie razem składają się na to, rozumiesz teraz? — Vera zaczynała się już trochę niecierpliwie.

- Nie jestem pewien...

- Słuchaj, ja ci teraz tylko powiem, co się jak nazywa, dobra? A porozmawiamy sobie o tym później.

Matthew przystał na to, wciąż nieco oszołomiony.

- To się nazywa „yin-nang”, czyli „sekretny woreczek”, a to u mnie... - lecz Matthew niezbyt pilnie uważał i trzeba było wszystko powtórzyć od początku. Pokazano mu „yu-men” czy też „ch'iung-men”, jak to się czasem nazywa, a to naturalnie doprowadziło ich do „yu-tai”, przejście od szczegółów do całości, do „fang-shih” lub „ou-yu”. Vera mówiła o tym wszystkim szybko, ale zdążyła jeszcze napomknąć o Pięciu Naturalnych Nastrojach lub Cechach, które mógłby w sobie odnaleźć, a także o Pięciu Znakach Objawiających, które winna przejąć jego partnerka, a więc zaczerwienienie szyi i policzków, wystąpienie kropelek potu na nosie jak rosa na trawie o poranku, przyspieszony oddech, zwiększenie śliskości i temu podobne. Matthew musiał również zdobyć wiedzę o Stu Niespokojnych Uczuciach (choć nie było czasu, aby omówić je wszystkie po kolei), Pięciu Męskich Przeciężeniach i leczniczym płynie, który może wypływać z ciała jego kochanki na Trzech Poziomach, na przykład ten słodki biały kordiał zwany Płynnym Śniegiem, dobywający się pomiędzy piersi na Poziomie Średnim (dobry na kamienie żółciowe).

Vera spostrzegła teraz, że potężny duch yang, który nieco wcześniej porwał Matthew i trzymał go za uszy jak królika, już go nie trzyma z tą samą mocą. Postanowiła więc zadowolić się jedynie powtórzeniem nazw wszystkich najważniejszych części, aby nie było żadnych nieporozumień. I całe szczęście, że to uczyniła, bowiem okazało się, że za pierwszym razem pominęła jedną rzecz, mianowicie „chieh-shan-chu”, czyli „perłę na jadeitowym proggu”. Podciągnąwszy kolana pod brodę pokazała mu ją paznokciem karmazynowego koloru.

Matthew patrzył na nią mrugając powiekami. Nie mógł za żadne skarby świata pojąć, po co to całe wymyślne nadawanie nazw. Schylił jednak posłusznie głowę, żeby poszukać „chieh-shan-chu”. Po kilku chwilach przyglądania się, przysunął bliżej lampę i włożył okulary.

-Ach tak, zdaje się, że już wiem, o co chodzi - mruknął grzecznie.

-To dobrze - powiedziała Vera. - Teraz możemy zaczynać.

Matthew rozpogodził się i po krótkim wahaniu znowu zdjął okulary.

Lecz Verze szło o to, że może teraz zacząć wyjaśniać, co on powinien wiedzieć, by doprowadzić do pomyślnego zakończenia ich pierwszy i stosunkowo prosty manewr, który się nazywa Bambus Kołyszący się w Wiosennym Wietrze. Później będą mogli spróbować Motyla Unoszącego się nad Śnieżnobiałą Piwonią, a jeszcze później, jak wszystko pójdzie dobrze, zaprosi przyjaciółkę, która śpi za przepierzeniem, do Złotej Rybki Poruszającej Pyszczkiem w Kryształowym Akwarium, o ile nie będą jeszcze zbyt zmęczeni. Ale na razie Matthew musi się jeszcze kilku rzeczy nauczyć.

-Powiedz, czego nie rozumiesz, Matthew? - spytała z niewzruszoną cierpliwością, którą tak podziwiała u swego przyjaciela misjonarza. Matthew westchnął. Musiało najwyraźniej upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim rzeki yin i yang połączą wreszcie swoje nurty. Przez cały ten czas odgłos nekającego kaszlu nie ustał ani na chwilę.

W dwóch pierwszych tygodniach stycznia wydarzyło się w Singapurze wiele niespodziewanych wypadków, lecz bardzo mało było aż tak zaskakujących jak ten, który dotyczył Blackettów i Langfieldów. Jak mogło się stać, że te dwa rody, dotychczas odnoszące się do siebie wzajem z taką odrazą i pogardą, nawiązały z sobą po tak wielu latach miłe stosunki towarzyskie? Każdy baczny obserwator (doktor Brownley, na przykład, który uczynił sobie hobby z podlegania jednej rodziny na drugą) uznałby za wielce nieprawdopodobne, aby Blackettowie kiedykolwiek wysłali zaproszenie do Langfieldów, ci zaś je przyjęli. Tym niemniej właśnie tak się stało. Niewątpliwie pod presją okoliczności, jako że głowy tych rodzin ogarnęła troska o los kobiet.

Walter i Solomon Langfield wpadłszy przypadkiem na siebie w Długim Barze Klubu Singapurskiego, jak im się to zdarzało co drugi tydzień od prawie trzydziestu lat, dziwnym trafem wreszcie się poznali. Rozpoznanie to doprowadziło do ostrożnej propozycji stengah, propozycji dokonanej zresztą tak niejasno, że niemal nie zauważalnej, i równie ostrożnego jej przyjęcia. Po chwili już się zaczęli klepać po plecach i uprzejmie ubiegać wzajem o przywilej podpisania kwitu. A chociaż za każdym razem jeden z nich z całą serdecznością gryzmołił swój podpis na bloczku, który mu podsuwał barman, z pewnością myślał zarazem: „Wiedziałem... Ten stary drań ma ołówkowstręt” (co uchodziło za samą kwintesencję skąpstwa w klubach singapurskich). Pozornie jednak najmniejsza nawet zmarszczka niezgody nie mąciła tej nowo zawartej przyjaźni. Wkrótce Walter jął się zwierzać staremu Langfieldowi ze swego niepokoju o los żony i córek. Odzwierciedlało to ściśle, jak się okazało, podobną troskę, „odkąd RAF nie bardzo sobie radzi”, która dręczyła Solomona odnośnie pani Langfield i małej Melanii. Zgodzili się, że należy wysłać panie w bezpieczniejsze miejsce, być może do Australii, gdzie obie firmy miały swoje filie. Lecz ani pani Langfield, ani pani Blackett nie potrafiłyby należycie dbać o siebie. Czemu więc nie miałyby wyruszyć razem? Na pewno dawałyby sobie radę znacznie lepiej. Może przy użyciu pewnych wpływów dałoby się załatwić, żeby im towarzyszył Monty lub młody Nigel Langfield. I tak w mgnieniu oka doszli do porozumienia - pozostawało tylko przekonać panie, że tak będzie najlepiej.

-Przy okazji, Blackett - stary Solomon Langfield nie mógł się oprzeć, aby nie powiedzieć że źle ukrywaną złośliwością, kiedy się rozchodzili - masz pecha z tym swoim jubileuszem. Chyba w obecnych okolicznościach będziesz go musiał odwołać.

-Ale skądże - odparł Walter zimno. - Poproszono nas, abyśmy nie rezygnowali ze względu na morale ludności cywilnej. Mam nadzieję, że nie zamierzasz odwołać swojego?

-Nasz będzie dopiero za parę lat - musiał przyznać Solomon Langfield, czując się wymanewrowany i klnąc w duchu.

-Ach tak? Nie przypuszczałem, że nasza firma istnieje dłużej niż twoja i Bowsera - rzekł Walter protekcyjnym tonem.

-Ale przynajmniej do tego czasu zapanuje znowu pokój i będziemy mogli urządzić jubileusz jak należy - odparł Solomon usiłując odzyskać utracony teren.

-Do tego czasu - odparł Walter zadając coup de grce - pewnie wybuchnie nowa wojna albo się Bóg wie co zdarzy.

Gdy Walter napomknął swoim paniom o ewentualnej ewakuacji do Australii w towarzystwie pań Langfield, jego propozycja została przyjęta z lękiem i oburzeniem. Już sama perspektywa podróży z Langfieldami wydawała się im straszna, ale żądanie od nich, by mieszkały razem, było czymś więcej, niż człowiek mógłby znieść. Joan z miejsca odmówiła zgody na wyjazd z kimkolwiek, a cóż dopiero z Langfieldami. Jest wojna i mnóstwo do roboty w Singapurze dla takich jak ona młodych, zdrowych kobiet! Co zaś do Kate, ta była przerażona perspektywą posiadania za stałą towarzyszkę Melanii, którą uważała za zdolną do wszelkich wybryków i ekscesów. Zdarzało się bowiem, zwłaszcza gdy szło o wyszydzenie jakiegoś autorytetu, że zachowanie Melanii graniczyło z obłędem, jak wydawało się Kate. Obecnie, słuchając sporu rodziców, przypominała sobie, jak kiedyś, w szkole, dziewczęta z jej dorobitorem postanowiły urządzić sobie ucztę o północy. Postanowiono, że każda z nich przyniesie coś do jedzenia lub picia, parę ciasteczek z podwieczorku albo lemoniadę w proszku. Pamiętała, jak siedziały wszystkie w kucki, trzęsąc się i z zapartym z podniecenia tchem, na wywoskowanej podłodze między dwoma łózkami i każda z nich wykladała, co zdołała zdobyć... aż wreszcie Melania z tryumfalną miną cisnęła

coś nu podłogę z głuchym łoskotem. Ogiromną martwą kurę! Zdołała się włamać do kurnika stróża, udusić kurę, oskubać ją i proszę! Otóż, wydało się Kale, że ktoś, kto zamiast tabliczki czekolady lub paru ciasteczek przynosi na ucztę o północy surową kurę, ten nic może być zdrowy na umyśle. Na co będzie sobie pozwalała w Australii, gdzie znajdzie się pod wyłączną opieką matki?!

Monty, ze swej strony, poweselał usłyszawszy, iż jest możliwość, że albo Nigel Langfield, albo on będzie towarzyszył paniom do Australii. Mógł liczyć na to, że Nigel okaże dostateczne męstwo i głupotę, aby wytrwać z uporem na swym posterunku. Ostatnio niezbyt wiodło się Mon- ty'emu, ale teraz otwiera się jakaś perspektywa. Tymczasem musiał stoczyć zdecydowany bój na tyłach, zbrojny w zaświadczenia lekarskie od doktora Brownlcy, aby nic zaciągnięto go do Lokalnego Korpusu Obrony. Naloty też coraz bardziej go niepokoiły. Jeśli więc istnieje szansa na to, aby móc eskortować kobiety do Australii, tylko idiota mógłby pozostać w Singapurze i dać się zbombardować. Ucieknij do Australii i przejmij tamtejsze biura firmy... co przy odrobinie szczęścia będzie ową „niezbędną pracą”, która uchroni go przed tym cholernym wojskiem.

Ale po paru dniach znowu stał się markotny. Żaden Europejczyk nie mógł opuścić Singapuru bez specjalnego pozwolenia i wkrótce stało się jasne, że takiego pozwolenia w obecnych warunkach nie otrzyma ani on, ani Nigel mimo użycia wszelkich wpływów Waltera i Solomona. Widocznie jakiś złośliwy urzędnik w którymś z biur skorzystał z okazji, aby odegrać się na kupieckiej społeczności. A tymczasem on musi cierpieć!

Wkrótce postanowiono, że Kate, Melania i ich matki wyjadą do Australii na pokładzie „Narkundy”, która odpływała w połowie stycznia. Walter zgodził się, że Joan na razie pozostanie, ale zażądał stanowczo, aby i ona wyjechała, o ile sytuacja się pogorszy. Rzecz w tym, że Walterowi potrzebna była obecność Joan w Singapurze nie tylko do kierowania domem pod nieobecność żony, lecz również do pomocy w coraz to bardziej szaleńczej pracy w firmie, której biura zostały przeniesione do Tanglinu, bowiem naloty na port, dotychczas sporadyczne, sprawiły, że przebywanie na terenie Collyer's Quay stało się zbyt niebezpieczne. Ponadto Walter wciąż miał nadzieję, że Matthew zmieni zdanie i zdecyduje się ożenić z Joan. Pomysł tego związku był tak wspaniały! To właśnie najbardziej denerwowało Waltera - marnowanie wspaniałych pomysłów. Żył w duchu uporczywe przekonanie, że małżeństwo Joan mogłoby posłużyć za fundament naprawy sytuacji firmy. Ale jak? Było to czysto instynktowne przekonanie.

Firmie brakło impetu, to rzecz pewna! Bez względu na to, czy Singapur pozostanie nadal bazą wojskową na Dalekim Wschodzie, jasne było, że jako centrum handlowe skończył się na jakiś czas. Wszystkie więc poczynania Waltera zmierzały teraz do zakończenia operacji singapurskich firmy i przeniesienia gros interesów do filii zamorskich w Anglii, Ameryce i Australii oraz zawieszenia tego, czego nie dało się przenieść.

A jakby dla przypomnienia jego własnej słabości, pozostawały wciąż ogromne ilości kauczuku zgromadzonego w magazynach nad rzeką Singapur. Zdołał wyekspediować zaledwie ułamek tych zapasów. Nie pomogło też tłumaczenie sobie, iż padł ofiarą okoliczności od niego niezależnych. Trudności są po to, by je pokonywać! Biznesmen musi kształtować swoje otoczenie, aby odpowiadało jego potrzebom - jeśli choć raz mu się podporządkuje, jest skończony. Kiedyś, przed laty, przerzucając egzemplarz „Szerokiego świata”, natrafił na rozmazaną fotografię, która z niewiadomych wówczas powodów wywarła na nim wielkie wrażenie. Otóż jeśli nie rozumiał ich wtedy, z pewnością rozumiał teraz! Była to bardzo źle odbita fotografia konającego zwierzęcia, pantery lub lamparta, trudno orzec. Za słabe, aby móc się bronić, zwierzę to było pożerane żywcem przez stado ohydnych ptaków. Walter nigdy nie mógł zapomnieć tej fotografii. Myślał o niej nie tak dawno stojąc przy łóżku starego pana Webba. A teraz znów mu się przypomniła, gdy rozmyślał, że przychodzi taki czas, nieunikniony, kiedy silni stają się najpierw słabi, a potem bezradni.

Walter bardzo dobrze wiedział, że inni przedsiębiorcy zajmujący się handlem kauczukiem dzielą przynajmniej część kłopotów, które go nękają. Nawet stary Solomon Langfield przyznał w chwili roztargnienia, że ma duże zapasy kauczuku oczekujące na nabrzeżu na transportowiec. Była to jednak mała pociecha - Walter zawsze odnosił się z pogardą do biznesmenów, którzy tłumaczyli swe niepowodzenia porównując je z niepowodzeniami innych. Wiedział, że na wyekspediowanie kauczuku musi być jakiś sposób, tak samo jak na wszystko. Ale obecny stan doków krzyżował i udaremniał jego plany. Przy nabrzeżach stał stutek przy statku z ładunkiem jakoby pilnie potrzebnym wojsku. Jednakże nikt się tym nic przejmował; robotnicy portowi w większości uciekali,

I niewątpliwie dlatego, że nie chcieli ryzykować życia pod stałymi nalotami. Jeśli ktokolwiek rozładowywał te statki, to tylko żołnierze. Walter próbował zasugerować jednemu ze swoich znajomych wojskowych, że ci sami żołnierze powinni załadować na statki kauczuk „pilnie potrzebny dla Wysiłku Zbrojnego gdzie indziej”, lecz ów znajomy spojrział na niego jak na wariata.

Walter, nawet w tak podłym nastroju, miał w sobie dość uporę, aby nie zaprzestawać prób. Złożył wizytę gubernatorowi i zaproponował, aby ów zwrócił się do Rady Wojennej z żądaniem utworzenia zmilitaryzowanej brygady robotniczej (co zmusiłoby robotników do stawienia się do pracy), która by zajęła się ładowaniem kauczuku na statki, nim stanie się za późno. Ale sir Thomas Shenton ledwie go wysłuchał. Chociaż normalnie odnosił się z sympatią do społeczności handlowej kolonii, wyraźnie się zniecierpliwiał wobec trudności Waltera. Co za bufon! Nawet nie zadał sobie trudu, żeby znaleźć jakąś wymówkę, mruknął tylko coś o tym, że wszystko, co mu się udało zrobić, to tylko zapobiec, aby wojsko nie rekwirowało tej siły roboczej, która pozostała do dyspozycji przemysłu gumowego... Stosunki z Dowództwem Malajskim i twierdzą Singapur, już i tak złe z chwilą wybuchu wojny, jeszcze się pogorszyły... Walter powinien łaskawie zdać sobie sprawę, że społeczeństwo ma ważniejsze potrzeby niż te, które jego trapią, a przede wszystkim obrona cywilna... No! Walter o mało go nie zapytał, z czyich podatków jest wypłacana jego pensja! Wyszedł, obrażony. Bele kauczuku, tysiące ton kauczuku nadal spały niezmaconym snem w magazynach.

A jednak Walter czuł w głębi serca, że nadeszła chwila, kiedy należy powziąć jakiś zdecydowany plan, być może odkomenderować do ładunku własnych robotników, kosztem innych form działalności firmy, które wkrótce i tak trzeba będzie zawiesić, przez przeniesienie robotników z plantacji (jeszcze nie zajętych przez nacierających Japończyków) do doków, proponując im w razie konieczności podwójne płace, cokolwiek, byle tylko wyekspediować kauczuk. Na nic się zdało Walterowi, zagubionemu i przepracowanemu, wmawianie sobie, że nie powinien do tych zapasów kauczuku przywiązywać nadmiernej wagi... Czymże one były w porównaniu z ilością kauczuku, który przeszedł dotychczas przez jego ręce? Niczym!... Lecz jemu wydawały się jak guz zniekształcający jego karierę singapurską. I tak jak guz wciąż rosły, bo przez Groblę nieustannie napływały nowe dostawy kauczuku, chociaż zmniejszone przez toczącą się wojnę i katastrofalny chaos na drogach w Johore.

Fakt, że wszystkie rozpatrywane przez Waltera możliwości były obwarowane nieprzebytymi trudnościami administracyjnymi. W rozpaczy myślał nawet, choć tylko przez chwilę, o możliwości utworzenia wspólnej brygady roboczej z innymi firmami znajdującymi się w podobnym, choć mniej rozpaczliwym położeniu... może nawet z firmą Langfield i Bowser. Lecz to rozwiązanie, zapewne jedyne do zrealizowania w praktyce, było dzięki długotrwałemu nawykowi konkurencji nie do przyjęcia dla Waltera. Nie mógł zawrzeć takiej ugody bez ujawnienia rozmiarów swoich zapasów przed rywalami, którzy natychmiast zorientowaliby się, że popełnił śmieszny błąd. Pójście w pokorze do starego Solomona Langfielda w roku jubileuszu firmy Blackett i Webb, aby zaproponować podobny plan, było ponad siły Waltera. Ale w tym punkcie los, w postaci bomby japońskiej, wziął sprawę w swoje ręce.

HNawet biorąc pod uwagę nowo zaistniałe przyjazne stosunki między tymi dwiema rodzinami trudno było nie poczuć się zaskoczonym oglądając w domu państwa Blackett to niezwykle widowisko lwów w otoczeniu jagniąt i to nawet tylko z rzadka się obliżających. Walter siedział przy własnym stole jadalnym otoczony zdawało się samymi Langfieldami. Rzecz jeszcze bardziej nieoczekiwana, iż podobna scena miała miejsce poprzedniego dnia i będzie miała miejsce również następnego... choć już bez kobiet, była to bowiem wigilia ich wyjazdu do Australii. Czymże więc to wytłumaczyć? Nie trzeba bowiem mówić, że nie było to towarzystwo, jakie Walter mógłby sobie wybrać z własnej woli do wieczornego posiłku, jako że obejmowało starego Solomona Langfielda z lekko protekcyjnym wyrazem chytrej starej twarzy oraz siedzącego obok Joan młodego Nigela, który w porównaniu z ojcem miał niemal ludzki wygląd.

Langfieldowie byli ogólnie biorąc jacyś przygaszeni, co Walter uznał nawet za dość miłe. Nie wyływało to jednak wyłącznie z tego, że ich rodzina miała się wkrótce rozłączyć. Langfieldowie przeżyli nieszczęście. Rzucona na chybił trafił z japońskiego samolotu bomba spadła na Nassim Road i zniszczyła częściowo ich dom. Na szczęście wszyscy wyszli bez szwanku, jeśli nie liczyć paru zadraśnięć. Walter pozwolił sobie początkowo na potraktowanie całej tej sprawy żartobliwie, ponieważ szkody dotyczyły tylko budynku. W Klubie zabawiał przyjaciół opowiadaniem niby naoczego świadka, jak „na zagrodę niedźwiedzią spadła bomba”. Szczurami, karaluchami, które uciekały z dymiących ruin, nikt się nie przejmował. Czemu więc stary Solomon błąkał się wokół gruzów wyjąć z rozpacz? Ponieważ, jak wszyscy wiedzą, trzymał swoje pieniądze pod materacem, a materac został wysadzony w powietrze razem z całą resztą! Po chwili jednak Walter umilkł, gdyż zdał sobie sprawę, iż część słuchaczy wcale nie śmieje się z jego dowcipu. Jednakże Walter był w zasadzie dobrym człowiekiem i rozumiał, że gdy komuś zburzą dom, może to mieć swoje niemiłe strony. Naprawił więc swój nietakt zapraszając Langfieldów do siebie, póki nie odbudują własnego

418

domu. A ponadto, skoro panie miały i tak razem jechać, czemuż obie rodziny nie mogłyby trochę pomieszkać pod wspólnym dachem? W Klubie uznano, że po tym kiepskim starciu Walter zachował się bardzo przyzwoicie wobec nieszczęścia Langfieldów, zważywszy na niemal legendarną antypatię między dwiema rodzinami.

Tak się składało, że Solomon wyglądał nieszczęśliwie. Postarzał się i osiągnął wiek, w którym człowiek trudno przyjmuje takie ciosy jak zburzenie własnego domu. Pani Langfield zwierzyła się pani Blackett (obie damy, przełknąwszy niesmak długich lat w ciągu kilku minut, odkryły, że mają z sobą ogromnie wiele wspólnego i tyleż samo nagromadzonych plotek do opowiedzenia, co Walter kauczuku w magazynach), że trzeba było sporo czasu, żeby nakłonić starego nieszczęśnika do wyjścia z ruin. Chciał tam w ogóle zostać! Gdy lada chwila mogły zawalić się stropy! A kiedy dowiedział się o zaproszeniu Blackettów, stał się jeszcze bardziej uparty. W końcu zaproszenie przyjął w jego imieniu Nigel, a doktor Brownley musiał się osobiście pofatygować do zniszczonego domu przy Nassim Road, żeby starego stamtąd wyprowadzić.

Doktor Brownley, siedzący naprzeciwko starego Solomona, niewątpliwie mógłby się zorientować, że twarz starszka ma niezdrowy wygląd, jest żółtawa ze szkarłatnymi plamami. Ale jego uwagę bardziej pochłaniała kolacja, która była wyjątkowo smakowita. Walter, bębniąc w roztargnieniu w stół skórką „chleba zdrowotnego”, bo ku oburzeniu mieszkańców Tanglinu zaprzestano na polecenie rządu wypiekać biały chleb, rozglądał się po stole i myślał, że jutro, kiedy kobiety popłyną do Australii, będzie miał nareszcie czas, żeby się zająć poważną pracą. Będzie mu ich niewątpliwie brakowało, ale nie ma na to rady. Ponadto pozostawała mu na pociechę Joan. Przy końcu stołu Matthew prowadził zagorzałą dyskusję z Nigelem. Do uszu roztargnionego Waltera dolatywały jej urywki... coś o polityce kolonialnej w czasie wielkiego kryzysu. Matthew, trzeba przyznać, rozczarował Waltera. Trochę zeszczipał podczas tych kilku tygodni w Singapurze, ale pozostał równie zapalczymy i zarozumiały. Onegdaj twierdził nawet, że europejskie plantacje oszukały małorolnych tubylców zagrabiając ich udziały w malajskim eksporcie kauczuku objętym Planem Restrykcyjnym. A jak, zapytał Walter z ironicznym uśmiechem, moglibyśmy to zrobić? Jak to zrobiliśmy, skoro rzecz się odbywała pod rządowym nadzorem? Plantacje europejskie dokonały tego za pośrednictwem swego organu, Urzędu do Spraw Kontroli Produkcji

419

Kauczuku! Przez obsadzenie komitetu utworzonego do „pomocy” urzędowi... to znaczy danie mu instrukcji, co ma uczynić, aby ich poczynania otrzymały urzędową pieczęć!

- Nie bądź głupi!

- Ja wcale nie mówię, że postąpiliście wbrew prawu, ale że użyliście swoich wpływów, aby nagiąć prawo do własnych celów. Czyż nie tak się zawsze robi? Na dobrą sprawę, mój ojciec i jego przyjaciele nic innego nie robili w handlu ryżem w Rangunie przed laty. Przypuszczam, że prowadzenie interesów tutaj polega właśnie na tym.

W tym miejscu Walter wmieszał się ostrym tonem. Nie był przygotowany na wysłuchiwanie zarzutów Matthew przeciwko staremu panu Webbowi, który był uosobieniem prawości i jednym z filarów singapurskiej społeczności. Stanowił przykład uczciwości i pracowitości i Matthew świetnie by zrobił, gdyby poszedł w jego ślady, zamiast... Zamiast... Walter już, już miał powiedzieć „zadawać się z Eurazjatkami”, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. Słyszał pogłoski, że widywano Matthew z panną Chiang, ale nie chciał wywlekać tej sprawy, póki nie był całkowicie pewien swego, bo to rzecz absolutnie wykluczona, by człowiek nazwiskiem Webb mógł otwarcie zadawać się z jakąś stengah, zwłaszcza w roku jubileuszu firmy Blackett i Webb... „zamiast tracić czas”, dokończył dość nieporadnie. Matthew porzucił temat, sprawiając wrażenie przygnębionego.

A teraz mówił:

- Ministerstwo do Spraw Kolonialnych nie czyni nic, aby dopomóc koloniom w rozwinięciu własnego narodowego przemysłu, tylko bacznie pilnuje, aby to, co zaczyna się rozwijać, jak najszybciej upadło!

- Czemuż by miało to robić? - rzekł drwiąco Nigel Langfield zyskując tym aprobatę starszych. - Co pan na to powie, panie Blackett? Czyż nie jest to taka sama bzdura, jaką recytują nacjonaści?

- Czemu? - ciągnął Matthew zapalczywie. - Bo chcemy im sprzedawać własne towary. Nie chcemy mieć konkurencji w krajowcach. Chcemy ich zatrzymać na plantacjach, aby produkowali potrzebne nam surowce.

- Wierutne bzdury, mój stary! - zachichotał Nigel. - Westminster zdziałał ogromnie dużo swoimi dotacjami dla stworzenia przemysłu w koloniach.

- Dotacje... Ale na co? Aby mogły kupić brytyjskie urządzenia do budowy mostów i kolei. Jedynym celem tych dotacji było uporanie się z bezrobociem w Anglii. Wygospodarowano fundusze, aby nieszczęsne kolonie zakupiły urządzenia, na które nie mogły sobie pozwolić i które przyniosły im wątpliwą korzyść, chociaż zapewne były korzystne dla europejskich firm w koloniach!

Walter spojrzął na Solomona Langfielda, ciekawy jego reakcji na te dziwaczne poglądy. Ach, było tak, jak się obawiał! Na chorowitej twarzy starego malował się wyraz zdumienia i wstrętu. Unosząc wzrok ten przebiegły starzec przyłapał spojrzenie Waltera, nim ten zdołał skierować je w inną stronę. Szybko wyraz jego twarzy zmienił się na sarkastyczny, nawet rozradowany, jakby chciał powiedzieć: „A więc to takie zdegenerowane rozmowy prowadzi się w domu Blacketta... powinienem był się tego domyślić!” Ale może Walter tylko wyobrażał sobie, że jego rywal cieszy się z tego, bo stary zaraz znów opuścił ze znużeniem brodę nad talerzem. Naprawdę wyglądał na chorego. Może więc i dobrze, że miał pod ręką lekarza. Aczkolwiek bardzo nie cierpiał Langfieldów, Walter nie pragnął specjalnie, aby jeden z nich zmarł pod jego dachem.

- W Birmie, w czasie wielkiego kryzysu, był tak wysoki podatek na zapalki, że krajowcy stworzyli kwitnący przemysł lokalny produkując tanie zapalniczki. Zgadnij, co się stało. Rząd, któremu nie spodobała się utruta dochodów, zdusił ten przemysł nakładając ogromne podatki! Otóż ciekawym zbiegiem okoliczności to samo zdarzyło się w Holenderskich Indiach Wschodnich. Tam również tanie zapalniczki zagroziły zyskom z zapalek. Lecz Holendrzy pozwolili im na produkcję zapalniczek, ponieważ dawała ludziom pracę. I to samo odnosi się do wielu innych miejscowych dziedzin przemysłu... Wynik jest taki, że Holenderskie Indie Wschodnie mają teraz własne przedziałnie i zamiast importować sarongi, same je tkają. To samo jest z mydłem, papierosami i mnóstwem innych rzeczy. Mają nawet bank krajowy, który finansuje krajowe przedsięwzięcia! A co my robimy? Pilnie baczmy, aby nawet tak podstawowe rzeczy jak gwoździe były importowane z Anglii!

- Wszystko pięknie ładnie! - obruszył się Nigel. - Każdy potrafi przytoczyć pojedyncze fakty, ale to tylko wypacza ogólny obraz. -1 Nigel zaczerwienił się, dotknięty do żywego tonem Matthew i świadom, iż nie zablęsnął w tej dyskusji tak, jak pragnął, zwłaszcza że obok siedzia- ła piękna Joan Blackett milcząco ją oceniając. Wspaniała dziewczyna! Nigel zwłaszcza zachwycał się odblaskiem światła na jej falujących się włosach, co sprawiało, że lśniły jak... jak...

- Matthew nie orientuje się, Nigel, jak się tu sprawy naprawdę mają - rzekła nagle Joan z taką goryczą, że nawet Nigel spojrział na nią ze zdziwieniem, chociaż rad, że wzięła jego stronę.

Walter przez cały czas pilnie przysłuchiwał się wymianie zdań między dwoma młodymi ludźmi u końca stołu. W trakcie rozmowy twarz mu pociemniała i szczecina na grzbiecie uniosła się wypychając koszulę, a nawet marynarkę płóciennego garnituru na podobieństwo garbu. Pani Blackett, choć zaprzątnięta myślą o bliskim wyjeździe, spostrzegła te znaki ostrzegawcze i wstrzymała oddech przerażona, że mąż lada moment wybuchnie gniewem. Lecz w chwili, gdy wydawało się, że ten wybuch jest nieunikniony, ujęcie się córki za Nigelem skierowało myśli Waltera na spokojniejsze tory. A te nowe tory były tak obiecujące, że po kilku chwilach szczecina opadła i legła znów płasko na szorstkiej różowej skórze pleców Waltera. Zaczął snuć plany w związku z młodym Nigelem Langfieldem.

Walter znał Nigela od dziecka. Zgodnie z ogólną tezą, że Langfieldowie stają się ohydni i nieodpowiedni dopiero po osiągnięciu dojrzałości, Nigel mógł jako dziecko bywać u państwa Blackettów i bawić się z Montym, tak samo jak teraz Melania i Kate. Ponadto, nawet gdy Nigel przemienił się z mile widzianej kijanki w niepożądaną żabę, Walter nadal widywał go tu i ówdzie, jako że należał oczywiście do tych samych klubów, było więc nieuniknione, że ów młody człowiek wpadał w pole widzenia Waltera w ciągu tych lat to z teczką w rękę, to znów z rakieta tenisową, ponieważ Singapur koniec końców był bardzo małym światem. Tym niemniej dopiero teraz, kiedy zbombardowani Langfieldowie znaleźli się pod jego dachem, miał Walter możliwość naprawdę wyrobić sobie zdanie o młodym człowieku - został też mile zaskoczony. Nigel miał dobrze poukładane w głowie. Nie był, jak Monty, mydłkiem. Przeciwnie, z podsłuchanej wymiany zdań pomiędzy Nigelem a ojcem wynikało, że ten młody człowiek był już doskonale zorientowany w sprawach firmy Langfield i Bowser. Walter, aczkolwiek tego wieczoru zaprzątnięty innymi sprawami, nie mógł nie spostrzec, że oczy Nigela kierowały się raz po raz ukradkiem ku Joan i pochłaniały ją chciwie. Czyżby to były normalne u młodego odruchy pożądania? Nie, Walter tak nie sądził. Był przekonany, że jest w tym coś więcej. Nigel bowiem robił, co mógł, by się przypodobać Joan, a parę razy bez jakiegokolwiek widocznej przyczyny głęboki rumieniec oblewał policzki młodego człowieka, które były wciąż mile poznaczone dziecięcymi piegami.

Tak, Walter stał wciąż przed problemem znalezienia męża dla Joan. Jakże zmieniły się czasy, skoro on teraz zastanawia się poważnie nad kandydaturą potomka Langfieldów! Lecz biznesmen musi przystosować poglądy do zmiennych warunków, w przeciwnym razie osiadłby na mieliźnie. Walter nie zapomniał (ileż to razy opowiadał to Monty'emu, gdy ten był jeszcze dzieckiem) o losie właścicieli łuszcarni ryżu w Londynie, którzy splajtowali, ponieważ nie potrafili przewidzieć skutków otwarcia Kanału Sueskiego na ich interesy. Należy iść z postępem. Jeżeli związek Blackettów z Langfieldami jest tym, czego wymagają czasy, więc niech do niego dojdzie. Ponadto, im więcej Walter o tym myślał, tym bardziej mu się wydawało, że może to być mistrzowskie posunięcie, które rozwiąże wszystkie problemy jednocześnie. Gdyby dwie firmy złożyły się w jedną spółkę, Blackett, Webb i Langfield, wówczas niebezpieczeństwo, że Matthew Webb będzie mógł wykorzystać swoje udziały do narzucenia Walterowi jakiejś niezależnej, szalonej, moralizacyjnej polityki, samo przez się zniknie. Pozycja Matthew zmaleje. Walter będzie miał oczywiście duży problem z narzuceniem swojej woli Langfieldowi, ale stary Solomon nie jest nieśmiertelny, a z pomocą Joan łatwo będzie się uporać z młodym Nigelem. Związek dwóch rodzin może mu nawet dopomóc w rozwiązywaniu bardziej naglącego problemu - załadunku na statki kauczuku, stawiając Waltera w lepszej pozycji do zasugerowania Solomonowi wspólnego rozwiązania tego problemu.

Pan Webb nie zaaprobowałby związku, nad którym się Walter zastanawiał. Ale to głupstwo, pomyślał Walter z ponurym chichotem, stary Webb nie żyje, a wpływ człowieka leżącego w grobie na radę dyrektorów jest znikomy. Żona Waltera też by tego nie pochwałała... lecz już jutro Sylwia będzie w drodze do Australii. Co do Monty'ego, wyszkolonego w nienawiści do Langfieldów, tak jak się szkoli psy policyjne, aby skakały do gardel włamywaczy, z pewnością nie będzie tym zachwycony, ale jego zdanie się nie liczy. Na chwilę oko Waltera spoczęło ze smutkiem na jedynym synu. Czemu nie wyrósł na takiego człowieka jak któryś z synów Harveya Firestone'a? Jakby świadom ojcowego rozczarowania Monty w tej właśnie chwili spojrział na niego. „Ciekawe, co starego gryzie? - zastanawiał się. - Może chce czegoś ode mnie?” Ale zaraz powrócił myślami do własnych problemów, które podobnie jak jego ojca były złożonej natury. Jak uciec z tej dziury, Singapuru, unosząc całą skórę na grzbiecie? I bardziej naglący problem, jak przebrnąć

przez jeszcze jeden ponury wieczór, kiedy się już widziało prawie wszystkie filmy w mieście? Jedyne, czego nieszczęsny Monty jeszcze nie oglądał, to Myrny Loy w „Trzecim palcu lewej ręki”. To ponad ludzkie siły! Z pewnością jakaś romantyczna bzdura, którą normalnie omijałby z daleka. Ale skoro to jedyne, co pozostało, nie ma innego wyboru. Będzie to musiał jakoś przecierpieć. „Trzeci palec lewej ręki, no, no! - myślał ponuro biorąc się energicznie do puddingu. - Za jakie grzechy ja tak cierpię?”

- Biznesmen musi iść z postępem czasu! - Minęły dwie godziny i na domostwo Blackettów zstąpił znowu spokój, lecz myśli Waltera wciąż krążyły wokół tych samych problemów. Teraz on wraz z Solomonem Langfieldem i doktorem siedzieli na nie oświetlonej werandzie paląc cygara. Na piętrze, po nieudanej próbie uzyskania pozwolenia, aby się mogły później położyć w ten ostatni wieczór w Singapurze, Kate i Melania leżały prawie nagie na swych łóżkach uskarżając się na upał i zwracając się do siebie afektowanym tonem per „kochanie”. Melania wciąż nie traciła nadziei, że zostanie ocalona z tego wczesnego wygnania przez nalot lotniczy, i zamierzała wywołać sensację, jeżeli Japończycy nie zawiodą, przez ukazanie się w prowizorycznym schronie Blackettów mając na sobie jedynie to, co teraz. Kate nie czuła się już tak nieszczęśliwa z powodu wyjazdu, ponieważ ojciec po długich perswazjach zgodził się, aby zabrała z sobą do Australii ukochanego kota, Ming Toya. Pani Blackett i pani Langfield udały się wcześniej na spoczynek. Matthew, mruknawszy paniom kilka słów pożegnania (jedynie Kate uroniła łzę żegnając się z Jednostką Ludzką), wyniósł się do siebie. Joan i Nigel poszli do ogrodu i siedzieli teraz przy basenie patrząc, jak księżyc ślizga się leciutko po ciemnej powierzchni wody.

Walter dumiał nad kwestią oleju palmowego, jak mu się to od czasu do czasu zdarzało w ostatnich tygodniach. Olej palmowy to z pewnością dobry interes na przyszłość. Był to też bezsprzecznie interes, który Walter zaniedbał. Stały mu na przeszkodzie inne sprawy, nie pozwalając na podjęcie zdecydowanych działań - choroba starego Webba, wojna, niepokój o udziały, należące do młodego Webba... a wcześniej wielki kryzys i jego skutki, walka o Plan Restrykcyjny i Bóg wie co jeszcze. A gdy on się wahał, co się wówczas stało? Firma Guthrie wzbogaciła się dzięki swej nowej spółce olejowej. Nawet Francuzi wzięli się za to, a Socfin (La Société Financière des Caoutchoucs) zbudowała przeładownię oleju luzem w Port Swettenham. Walter słyszał nawet, że firma Guthrie ma dwadzieścia tysięcy akrów obsadzonych palmami olejowymi! Co zaś bardziej irytujące, to, że olej z Malajów został uznany za

lepszy od zachodnioafrykańskiego. Kto wie, czy któregoś dnia olej palmowy nie stanie się równie ważny jak kauczuk... albo jeszcze ważniejszy, jeżeli zostanie wymyślony syntetyczny kauczuk. Gdzie wówczas się znajdzie firma Blackett i Webb?

Walter zdawał sobie oczywiście sprawę z tego od lat. Nie ma co udawać, że tak nie było. Gdyby był młodszy, może zdecydowałby się na stanowczy krok, zbudował nowoczesną olejarnię i przeladownię oleju luzem, wynegocjował plantacje. Absurdem byłoby myśleć, że można się utrzymać w konkurencji transportując w nowoczesnej dobie olej w drewnianych beczkach. Trzeba by było sporo zainwestować. Był to rodzaj takiego przedsięwzięcia, na jakie mogłaby się poważnie być może taka firma, jak Blackett i Langfield razem wzięte. Walter czuł się głęboko przygnębiony myślą, że minęło dobre piętnaście lat, odkąd firma Guthrie wzięła się ostro za olej palmowy. A przez ten czas on nie zrobił absolutnie nic! Jedną była pociecha odnośnie Socfin, że Port Swetten- ham znalazł się już zapewne w rękach japońskich.

Doktor Brownley wstał, by udać się do domu, i teraz mruzczał, że któregoś dnia Walter musi...

- Tak, tak - odburknął Walter ze zniecierpliwieniem, chcąc, aby doktor jak najprędzej sobie poszedł. Chciał przedyskutować z Solomonem Langfieldem pewną sprawę. Zbity z tropu pożegnaniem Waltera, doktor wycofał się. Walter pozostał sam w półmroku werandy ze swoim starym, odwiecznym rywalem.

- No cóż, Solomonie - zaczął Walter z ostrożną - ciężkie czasy przyszły na Singapur i czuję, że już nigdy nie będzie tu jak dawniej. - Od siedzącej koło niego w trzcinowym fotelu postaci doszło go potwierdzające chrząknięcie. Zachęcony nim Walter ciągnął dalej: - Wkrótce nadejdzie pora, by nowe pokolenie przejęło od nas budowanie tej kolonii. Mimo to sądzę, że zrobiliśmy, co do nas należało, ludzie tacy jak ty i ja... i mój nieodżałowany wspólnik, Webb, oczywiście. -1 dodał po namyśle: -... A także nie możemy zapominać o starym Bowserze. - Walter uznał za wspaniałomyślne ze swej strony, że zaliczył tego nieudolnego, zapijaczanego Bowsera i chytrego, nawet występnego Langfielda w poczet założycieli nowoczesnego Singapuru. Mimo to czekał z niecierpliwością na reakcję Solomona, która nadeszła w formie jeszcze jednego chrząknięcia, tym razem nieco wymijającego. Na pociemniałej werandzie Walter niewiele widział oprócz rozjarzonego koniuszka cygara swego towarzysza i słabego odbłasku księżycy na łysej czaszce w miejscu, gdzie przechodziła w wysokie, rozważne czoło, na którym wyrastały niby obłoki niedorzeczne brwi.

-Muszę przyznać, że czuję się spokojny na myśl, iż nasze dzieło znajdzie się w dobrych rękach, kiedy je przejmą nasze dzieci. Zwróć uwagę, że mój syn, Monty, nigdy się nie zajmował biznesem, tak jak ja bym chciał... to go nie interesuje, ale cóż, każdy z nas ma własną rolę do odegrania, a on ma raczej... można by powiedzieć bardziej akademickie zacięcie - ciągnął Walter dość niezręcznie. - Za to moja córka, Joan, ta dopiero ma głowę i kiedyś będzie z niej świetny handlowiec. Już teraz mogłaby kupić i sprzedać swojego starego ojca!

Uwagę tę powitało leciutkie parsknięcie i Walter umilkł, zażenowany. Wyobraził sobie, że miało w sobie nutę sarkazmu, jakby stary chciał powiedzieć: „No cóż, to wcale nie byłoby trudne!”

-Tak - ciągnął, podsumowując swą wypowiedź - nie sądzę, abyśmy musieli się martwić o tych, którzy przyjdą po nas. -1 dodał, jakby po namyśle: — Nigel jest też wspaniałym chłopcem. Muszę powiedzieć, że bardzo mi się podoba. Wielka szkoda, że w dzisiejszych czasach nie ma więcej takich jak on na Wschodzie... Onegdaj w Klubie ktoś, nie pamiętam już kto, powiedział: „Słuchaj, Blackett, czemu wy z Langfieldem nie skojarzycie tych młodych? Guthrie i Sime Darby dopiero by mieli nad czym łamać sobie głowy!” I na Jowisza, gdy się nad tym zastanowić, facet chyba ma rację.

Słaby, enigmatyczny rehot powitał ostatnią uwagę, po czym nastąpiła cisza.

-No więc, Solomonie - zaryzykował Walter - co byś powiedział o takim układzie, gdyby zainteresowanym stronom to się spodobało? W interesach za naszego życia wcale nie zachodzi potrzeba jakichś wielkich zmian. Szczerze mówiąc, sądzę, że nie wyszlibyśmy na tym źle. Co ty na to?

Teraz wreszcie, po tak długim trwaniu w bezruchu, że mogłaby uchodzić za mebel, bierna sylwetka obok Waltera zaczęła się poruszać, aby unieść się ze skrzypieniem bambusa na nogi, czemu towarzyszyło jakieś osobliwe sapanie, w którym dopiero po chwili Walter rozpoznał śmiech. W końcu jednak charczenie i sapanie ustało. Langfield stanął przed Walterem z podrygiem. Minęło znowu parę chwil, nim Walter zdał sobie sprawę, co ta mgliście majacząca postać czyni. Nagle wszystko stało się jasne: stary dziwak wykonywał przed nim obraźliwy pląs.

- A więc masz kłopoty z upchnięciem jej, co, Blackett? - zakrzakał. - Otóż mój syn nie spojrzalby na nią nawet za sto lat. Nigdy! Choćbyś mu dawał pół Singapuru razem z nią! A to dobre... Od lat nie słyszałem takiego kawału... Cha! Cha! Cha!... Twoja córka i mój syn! On nawet by na nią nie spojrzal! Cha, cha, cha! - Solomon przystanął w uchylonych drzwiach prowadzących w głąb domu i jego twarz starej małpy, oświetloną blaskiem z wewnątrz, wykrzywiła ohydna radość. - Dobranoc, Blackett. To najlepszy dowcip, jaki słyszałem od lat. Aleś mnie rozbawił!

Drzwi zatrzasnęły się. Walter pozostał sam na werandzie i słyszał jeszcze oddalające się kroki Langfielda w korytarzu. Potem, gdzieś w głębi domu, drżący głos wykrzyknął słabo:

- On by nawet nie tknął tej suki! Nigdy! Przenigdy! - Rozległ się wybuch szaleńczego śmiechu i zapanowała cisza.

Niedaleko stamtąd, w innej i mniej eleganckiej dzielnicy miasta, Matthew siedział na łóżku Vera, gdzie właśnie miał zacząć już drugą tego wieczoru kolację. Przez cały tydzień Vera powtarzała, że któregoś dnia coś mu ugotuje, nie zważając na jego protesty, że nie brakuje mu jedzenia, świetnie sobie radzi. Teraz zaś trzymała na kolanach obiecany posiłek i wszystko wskazywało, że będzie musiał jeść. Spoglądał na to, co leżało na talerzu, a co nie było bynajmniej łatwe do zidentyfikowania w mglistym świetle lampy olejnej. Tracił to podejrzliwie.

- Co to takiego?

- Pieczona fasola.

- Widzę, że to jest pieczona fasola. Ale co to są te dwie bryłki czegoś śliskiego?

- Kurza krew... chiński przysmak. Spóbij. Na pewno będzie ci bardzo smakowało, Matthew.

- A te dwie inne grudki, te polane sosem?

- To inny przysmak chiński... To są białe myszki, gotowane na sposób chiński. Spróbuj. Są bardzo dobre.

- Prawdę mówiąc, nie jestem głodny. Jadłem już kolację... ale naprawdę spróbuję tego z przyjemnością - dodał spiesznie, widząc, że Vera poczuła się urażona - jeżeli nawet nie zdołałbym zjeść wszystkiego. - Chwyć pałeczkami pieczoną fasolkę i nadgryź ostrożnie.

- Och, Matthew, ty myślisz, że jestem złą kucharką, prawda?

- Ależ skąd — zaprotestował Matthew i w przypiływie męstwa uniósł jedną z białych myszek do ust, po czym jął ją ogryzać wydając odgłosy zachwytu. Przekonał się, że nawet nieźle smakuje, lecz wolałby wiedzieć, który z jej końców zjada.

- Ty myślisz, że panna Blackett lepiej ode mnie gotuje - powiedziała Vera oskarżająco. - Nie wiem, jak możesz dotykać Europejkę taką jak panna Blackett, co się tak strasznie poci. To coś okropnego!

- Ale...

- Tak, ty wolisz się kochać z panną Blackett, choć ona się poci, że coś okropnego...

- Nie bądź głupia. Mówisz tak tylko dlatego, że nie chce mi się jeść, kiedy ugotowałaś mi posiłek! Ty wiesz, że lubię być tylko z tobą. Chodź i usiądź koło mnie. — Odstawiając talerz mruknął: - Resztę skończę później.

- Ja wiem, ty uważasz, że nie jestem dobrą kucharką, ale moja mama nie mogła mnie nauczyć gotować. Była otoczona służbą, bo ona była księżniczką. W naszych żyłach płynie błękitna krew i dlatego nie umiem gotować.

- Ale Vera, ja myślę...

Siedziała już przy nim, a teraz zakryła mu dłonią usta i powiedziała:

- Jeżeli pozostaniemy razem, nauczę się być dobrą kucharką, żebyś mógł zaprosić swoich przyjaciół i żebyśmy mogli się zabawić.

- Ja nie mam żadnych przyjaciół oprócz majora, Dupigny'ego... i oczywiście Jima Ehrendorfa, ale nie wiem, gdzie on teraz jest. - Spojrzał na zegarek. - Niedługo będę musiał pójść. Mam dzisiaj w nocy dyżur.

- Jeszcze nie teraz. Poleż ze mną trochę. „Przy tylu kłótniach i tak niewielu pocałunkach, jak długo, myślisz, potrwa nasza miłość?” Takie są słowa chińskiej piosenki, którą przetłumaczył na angielski pan Wa- ley. Przeczytać ci jeszcze jakiś wiersz? Ale najpierw rozbierz się i połóż tu, koło mnie.

- Pani Blackett i Kate wyjeżdżają jutro do Australii... podobno mnóstwo innych kobiet też wyjeżdża. Jutro musimy spróbować załatwić, żebyś i ty wyjechała. Lepiej, żebyś nie zostawała w Singapurze, gdy Japończycy są tak blisko.

Nie spałam całą noc, Bo księżyc na łóżko mi się kładł,

Słyszałam, jak znikąd woła jakiś głos, I Nic odpowiedziało „tak”.*

Matthew leżał bezwładnie nasłuchując słabych odgłosów dobiegających z innych klitek domu czynszowego i z ulicy, a nad tym wszystkim, jak rytm ubóstwa i rozpacz, rozbrzmiewał nieustanny, nękający kaszel gruźlika.

- Jutro, słyszysz?

Płaszcz zarzucę na ramię i nie włożę pasa, Nie czerniąc brwi w oknie od frontu stanę. Zawadza mi spódnica, trzepie się po nogach, Gdy się rozchyła, wiatr wiosenny winię.*

— Co się z nami stanie? - zastanawiał się Matthew myśląc, jak bardzo są zagrożeni oboje, leżąc tu, w tej dusznej klitce, i oddychając tym dziwnym zapachem, który zalegał nad całą Dzielnicą Chińską, tym odorem rur kanalizacyjnych i palących się szmat. I jakie to dziwne, że ktoś ułożył te wiersze, według niego tak niezwykle wzruszające, przed setkami lat, a mimo to brzmiały tak współcześnie, jakby zostały skomponowane przez kogoś, kto był tutaj, w tej klitce, zaledwie przed chwilą. A co jeszcze bardziej wzruszające, to że ta osoba należała do całkiem innej kultury niż Matthew. I z wolna jakieś osobliwe uczucie ogarnęło Matthew, niemal jak przecucie kłęski. Najrozmaitsze sprawy, zarówno w jego życiu prywatnym jak i poza nim, które go zaprzętały w ciągu ostatnich kilku tygodni a nawet lat, jego stosunek do ojca i firmy Blackett i Webb, czas, który spędził w Oksfordzie i w Genewie, jego przyjaźń z majorem, jego spory o Ligę, a nawet ten ostatni o politykę kolonialną, który miał wcześniej tego wieczoru z Nigelem, i tak, nawet pożegnanie z kochaną małą Kate... wszystko to zdawało się teraz Ignąć do siebie, należeć do siebie wzajem i zmierzać z impetem ku zniszczeniu, któremu niepodobna się oprzeć.

Słyszałam, że do Jang-czu odjeżdża mój miły, I aż do Czu szan razem z nim pojechałam, Przez chwilę, gdy twe ręce mocno mnie tuliły, Rzeka, zdało się, w miejscu się zatrzymała.*

- Posłuchaj mnie, Vera. Musimy załatwić ci wyjazd, i to nie później niż jutro.

* Tłumaczyła Ewa Żyrienska.

Część piąta

I -

NALOTY: DWIE WAŻNE UWAGI DLA LUDNOŚCI CYWILNEJ

1. Nie wolno gromadzić się w miejscach, w których spadły bomby. Wróg może wrócić i ostrzelać was z broni maszynowej. Poza tym tłum przeszkadza w akcji Obrony Cywilnej.
2. W czasie nalotów ludzie często duszą się od kurzu i tynku. Można zmniejszyć niebezpieczeństwo przez zasłonięcie ust i nosa wilgotną chusteczką.

W ciągu kilku ostatnich dni major, z pomocą Matthew, Dupigny'ego, Nigela Langfielda i innych ze straży ochotniczej, którzy byli pod ręką, postarał się o przemienienie Mayfair w skuteczniejszy oddział straży. Dawne biuro Matthew stało się obecnie sypialnią dla strażaków na nocnym dyżurze, by mogli wypocząć między alarmami - ustawiono kilka łóżek polowych przy ścianach i zainstalowano dodatkowy wentylator. Natomiast pokój sąsiedni przemieniono w dyżurkę, w której major przesiadywał przy telefonie i nad planami miasta Singapur. Nie było żadnego sposobu, aby zabezpieczyć należycie podobny budynek przed bombami - wzniesiony z drewna i cegły rozleciałby się nawet od podmuchu spadłej w pobliżu bomby. Tym niemniej te dwa pokoje zostały jako tako zabezpieczone workami z piaskiem ułożonymi na zewnątrz i rozpoczęto budowę czegoś w rodzaju schronu na terenie Mayfair w miejscu, gdzie tworzyło się dogodne wzniesienie ku drodze na tyłach domu. Na wzniesieniu tym wykopano rów o takiej długości, by pomieścić maksymalną ilość osób, które przebywałyby akurat w danym momencie w Mayfair. Następnie rów ten przykryto belkami i blachą falistą, którą major zarekwirował bez pytania o zezwolenie Waltera z terenu budowy platform jubileuszowych w lasku muszkatołowców.

Z upływem dni rów trzeba było jednakże wciąż wydłużać i wydłużać, z uwagi na wciąż rosnącą liczbę strażaków-ochotników, a także uciekinierów z głębi kraju, którzy nie mogli znaleźć innego schronienia poza Mayfair, oraz najrozmaitszych przygodnych gości. Wśród nowo przybyłych w pierwszych dniach nowego roku byli ludzie, którzy zatrzymali

się tylko noc, wojskowi w marszu z jednego miejsca odkomenderowania do drugiego i bardzo często z butelką whisky lub dżinu w swoich plecakach, radzi uczcić kilka godzin swobody przed rzucając się znów do walki. W takich przypadkach w Mayfair panowała wesoła, a nawet huczna atmosfera - przywlekano pianino z domu rekreacyjnego, znajdowano kogoś, kto potrafił w nie grzmocić i z werandy, gdzie chociaż było ciemno, ludzie przynajmniej mieli czym oddychać, płynęły w ogród zgiełkowe pieśni. Inni przyjeżdżali i odjeżdżali według własnego tajemniczego rozkładu, sypiali na łóżkach polowych w różnych kątach lub nawet na podłodze, często nawet nie rozmawiali z nikim, tylko wpadali skorzystać z ubikacji, bo Mayfair, choć pod wieloma względami podupadłe, miało ubikację z bieżącą wodą, co w Singapurze było ogromnym luksusem.

W miarę napływania coraz to większej ilości uchodźców na wyspę Singapur, gdziekolwiek się poszło, widać było nowe twarze, a niektórzy ludzie, od dawna mieszkający w mieście, przystosowali się do nowego, jakby wędrownego stylu życia. Toteż pewnego dnia, wróciwszy z ćwiczeń, którym poddawał kilku rekrutów, major nie był specjalnie zdziwiony, gdy zastał na werandzie dotychczas nie widzianego starszego pana. Staruszek ów, siedząc sobie wygodnie na fotelu i popijając herbatę, której zażądał od Cheonga, wcale nie wyjaśnił swojej obecności, tylko przedstawił się w trakcie rozmowy. Nazywał się John Brown i miał osiemdziesiąt lat, jak poinformował majora pewnym sobie tonem człowieka nawykłego do rozkazywania. Większą część życia spędził na wschodnich wodach, co było głupotą, ponieważ nienawidził ich po ostatnią kropkę, ostatnie ziarnko piasku mielizny i ostatni kanał... W wyniku tego zniszczył sobie zdrowie, a jeśli idzie o oszczędności, ha! Gdyby major zobaczył jego konto bankowe, byłby zdziwiony, tak, zdumiony, że to jest wszystko, co człowiek zdołał odłożyć na starość przez sześćdziesiąt pięć lat pracy na morzu.

- Tutejszy klimat zmarnował mi zdrowie, Archer, to fakt.

Przyjrząwszy się pilnie kapitanowi Brownowi, major pomyślał, że zważywszy jego wiek, wyglądał nadzwyczaj zdrowo. Był drobnym, żyłastym mężczyzną o niezwykle wielkich uszach. Jego cienką szyję i wystające jabłko Adama otaczał kołnierzyk o kilka numerów za duży i w ogóle jego wygląd był zbyt niepozorny, aby móc tłumaczyć władczość, jaka z niego była. Okazało się, że kapitan mieszkał w domu marynarza w pobliżu doków i ciągle naloty zmusiły go do przeniesienia się w głąb wyspy, jakąś milę lub dwie, do Tanglinu. Miał on jednak najwidoczniej jeszcze jedną kwatere prócz Mayfair, bowiem po paru dniach opowiadania młodemu strażakom o tym, jak życie na Wschodzie brutalnie się z nim obeszło, i wyrokowania we wszystkich sprawach, jakie w jego obecności wypływały, ponownie znikł zarzucając sobie worek z rzeczami na plecy, jakby był dwudziestolatkiem. Przez kilka dni nie dawał znaku życia, lecz kiedyś major znowu minął się w przejściu z Cheongiem spieszącym na werandę z kanapką i filiżanką herbaty, której zażądał kapitan Brown, usadowiony wygodnie na swym ulubionym fotelu.

- Jak się pan ma? - zapytał major, rad, że go znowu widzi.

- Bardzo źle - odparł kapitan ponuro i przez kilka chwil rozwodził się nad stanem swego zdrowia, co nie przeszkodziło mu pochłonąć w międzyczasie kanapki. Przez prawie tydzień, odkąd kapitan Brown zamieszkał w Mayfair ponownie, gdziekolwiek się znajdował, czy to na werandzie, czy w przerobionej z biura dyżurce oddziału P.S.P., wszystko było wokół niego we wzorowym porządku. Nie mógł znieść niedbalstwa i bałaganu i miał wyrobione zdanie, jak należy kierować różnymi sprawami. Gdyby mu się major w końcu nie postawił, kapitan Brown przejąłby od niego dowództwo oddziału straży.

Dola Człowiecza, któremu instynkt nakazywał składanie hołdu najpotężniejszemu źródłu władzy, jaka się znajdowała w jego zasięgu, nieodmiennie instalował się pod fotelem kapitana, ilekroć ten przebywał w Mayfair. „Doprawdy, muszę kazać to nieszczęsne zwierzę uśpić” - myślał major. Ale major miał bardzo dużo roboty i bez zajmowania się psami. Aczkolwiek kapitan Brown wkrótce okazał się bardzo pomocny w kierowaniu oddziałem P.S.P., major miał teraz na swej głowie dodatkowy problem uchodźców z bardziej zagrożonych części Singapuru.

Któregoś dnia, na przykład, kiedy jak zwykle zajmował się swoimi sprawami, otrzymał pilne polecenie skontaktowania się telefonicznie z panem Smithem z Protektoratu Chińskiego. Major pamiętał Smitha jako dość wyniosłego młodego człowieka, który już raz go wzywał, aby go przestrzec przed niebezpieczeństwami komunizmu, i zastanawiał się, czy i teraz usłyszy następne kazanie na ten temat. Lecz tym razem Smith, z włosami wciąż sterczącymi niepokojąco nad uszami i nie sprawiając wrażenia, że zmienił się choćby troszeczkę w czasie tych tygodni, które minęły, odkąd major widział go ostatni raz, pragnął wiedzieć, ile

jest w Mayfair pustych pokoi. Major nie miał najmniejszych trudności z odpowiedzią na to pytanie.

- Ani jednego. -I opowiedział o uchodźcach.

- Ile więc jest zajętych pokoi?

Major poinformował go.

- Wybornie. Ponieważ mieszkańcy, o których pan wspomniał, nie są urzędowo ewakuowani, będzie ich pan mógł wyrzucić i zakwaterować dziewczęta, które przysłyśmy panu z Poh Leung Kuk.

| Skąd?

- Z Domu Chińskich Dziewcząt.

- Ależ to niemożliwe. Nie możemy wyrzucić ludzi, którzy nie mają gdzie się podziać!

- Znajdą sobie jakieś mieszkanie, majorze, niech pan się o to nie martwi. Poza tym takie jest zarządzenie.

Ja z tym nie mam nic wspólnego. Oficjalne zarządzenie i nic pan na to nie poradzi. Może chciałby pan dowiedzieć się o nich czegoś bliższego? -I Smith zaczął wyjaśniać, że Poh Leung Kuk jest zarządzany przez komitet chiński pod nadzorem Protektoratu. Import młodych dziewcząt do kolonii, gdzie miały zostać prostytutkami, przybrał takie rozmiary, zwłaszcza przed zamknięciem burdeli w roku 1930, że powstała konieczność utworzenia instytucji, która by się zajęła ich zakwaterowaniem. Przybywające z Chin dziewczęta były zabierane na stację kontrolną i wydawane jedynie swoim krewnym lub pracodawcom. Pracodawcy o wątpliwej wiarygodności musieli wystawić obligacje na odpowiednią sumę, że dziewczyna nie zostanie przekazana komuś innemu ani zmuszona do nierządu. Inne dziewczęta znalazły się w Domu w wyniku nalotów policyjnych na nielegalne lokale. Na nieszczęście, ponieważ Poh Leung Kuk był usytuowany w narażonej na naloty części Singapuru, w budynkach w pobliżu Outram Road (mając z jednej strony więzienie, a z drugiej wytwórnię lodu Teck Lee Ice), uznano za konieczne wykwaterować mieszkanki, gdzie się tylko da. Wybór padł między innymi na majora, jako człowieka uczciwego, który może dać chwilowe schronienie kilku dziewczętom.

- Och, i jeszcze jedno, majorze. Zapewne przekona się pan, że niektóre, jeśli nie wszystkie z pana dziewcząt, są na tak zwanej „liście małżeńskiej”. Wydaje mi się, że nie zna pan procedury w wypadku...

- Nie, nie znam i szczerze mówiąc...

| Niepotrzebnie pan się unosi, majorze. Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, że jest wojna i musimy improwizować, jak potrafimy. A co do tej „listy małżeńskiej”...

W oznaczonym czasie major, wzięwszy sobie dla wsparcia moralnego Dupigny'ego, pojechał jedną z furgonetek firmy Blackett i Webb do Poh Leung Kuk po odbiór kilku dziewcząt, które zostały przydzielone do Mayfair. Stał czekając na czymś w rodzaju podwórka, świadom, że ze wszystkich okien szacuje go wiele par oczu. Po chwili urzędnik, któremu wyłożył swoją sprawę, wrócił mówiąc dość nerwowo:

-Będą tu za chwilę. - Pewien czas stał w milczeniu, a potem dodał pogodnie: - O ile mi wiadomo, żadna z pańskich dziewcząt nie ma choroby wenerycznej. - Major chrząknął posepnie, ale nic nie powiedział. -Ach, już idą.

-Ale miało ich być tylko kilka. A tu jest kilkanaście!

-Mówiliśmy tylko w przybliżeniu...

-Co sądzisz, François? Wyglądają na milutkie. Zdołamy ich tyle pomieścić? Myślę, że mogłyby pomóc Cheongowi przy kuchni i sprzątanu. - Major przyjrzał się szeregowi schludnie ubranych Chinek, które ustawiły się przy furgonetcie ze swoimi tobołkami. Podczas gdy obaj panowie zastanawiali się, co robić, one stały ze skromnie opuszczonymi oczyma. Dupigny, który widział, że major zaczyna mięknąć, i który znał podstępny urzędników, wyraził opinię, iż winni wrócić do Mayfair i wziąć tylko te dziewczęta, które Protektorat narzucił im siłą.

-Ale, François, nie możemy ich tutaj zostawić! Jak będziemy się czuli, jeśli w nocy spadnie bomba na ten dom? Nigdy nie będziemy mogli sobie tego wybaczyć!

I tak, z pełną furgonetką młodych kobiet, major i Dupigny ruszyli do Mayfair.

- Jestem pewien, że nie sprawią nam kłopotu, François... jak myślisz? - Ale Dupigny tylko uniósł brew i nic nie odpowiedział. - Wystarczy sprawdzić, które z nich są na „liście małżeńskiej”, a które nie... i to cały problem. - Smith wyjaśnił mu, że wobec braku kobiet w kolonii, istniało wielkie zapotrzebowanie na kandydatki na żony z Poh Leung Kuk wśród mniej zamożnych Chińczyków, którzy nie mogli sobie pozwolić na szukanie żony w zwykły sposób, to jest przez pośredników, co narażało kandydata na wielkie wydatki. Mężczyzna, który pragnął się ożenić, mógł przedstawiwszy dokładne dane o stanie majątkowym obejrzeć dziewczęta z listy i dokonać wyboru. Z kolei dziewczyna albo go akceptowała, albo odrzucała. W razie przyjęcia płacił czterdzieści

/dolarów na wyprawę panny młodej i poddawał się badaniu lekarskiemu. I na tym koniec.

- Nie sądzę, aby w obecnej sytuacji było wielu mężczyzn pragnących się ożenić - rzekł z przekonaniem major. - Myślę, że nie ma się o co martwić. Co ty na to, François?

Dupigny uśmiechnął się, lecz nadal nic nie powiedział. Z tyłu furgonetki dobiegło ich kilka stłumionych chichotów.

Mimo to było całkowicie wykluczone, by major miał wyprosić kogokolwiek z uchodźców dla zrobienia miejsca nowym. Przydzielił na sypialnię dziewcząt dawną salę konferencyjną, polecił Cheongowi, aby wykorzystał je do pracy w kuchni i przy sprzątaniu, oraz wyznaczył kapitana Browna do zajęcia się ewentualnymi problemami, jakie mogły wyniknąć, po czym powrócił do swoich dawnych zajęć patrząc ufnie w przyszłość.

A z każdym dniem napływali dalsi uchodźcy i wkrótce nowo przybyli musieli obozować pod gołym niebem na terenie Mayfair. Teraz centrum miasta zrobiło się zatłoczone uchodźcami z głębi kraju, krążącymi bez celu przez cały dzień po rozgrzanych ulicach w nadziei, że natkną się na kogoś znajomego, kto im pomoże. Wśród nich było wiele kobiet z małymi dziećmi, które zgubiły mężów w tej zawierusze i nie wiedziały, jak ich odnaleźć. Patrząc na tych roztrzęsionych ludzi major czuł gniew i trwogę, zdawał sobie bowiem sprawę, jak niewiele uczyniono, aby zapewnić byt tym uchodźcom. Lecz teraz, gdy całą administrację miejską ogarnął chaos, co można było zrobić?

Był jednak w Mayfair gość, którego wszyscy z radością powitali. Wróciwszy wcześniej pewnego ranka po wyczerpującej nocy w dokach Matthew ujrzał znajomą postać siedzącą z Dupignym na werandzie. Był to Ehrendorf.

- Zeszczuplałeś, Matthew - rzekł z uśmiechem, wstając. - Ledwie cię poznałem.

- Ty też zeszczuplałeś! - Matthew aż oniemiał na widok zmiany, jaka zaszła w wyglądzie przyjaciela w ciągu tych kilku tygodni nieobecności. Przystojna twarz Ehrendorfa skurczyła się i była poznaczona zmarszczkami, jak gdyby nagle postarzała o dziesięć lat. Uwydatniły się kości policzkowe, a przy kącikach ust utworzyły się bruzdy, których przedtem nie było. Gdy mówił, jego wzrok co chwila odrywał się od twarzy Matthew, jakby Ehrendorf na podstawie wystrzałów baterii przeciwlotniczych usiłował ustalić kierunek nalotu bombowego na południu.

Jednakże mówił silnym głosem, opowiadając, jak zachorował na dyzenterię w Kuala Lumpur i jak spędził pewien czas w Kuantan na wschodnim wybrzeżu, a kiedy wrócił, okazało się, że Kuala Lumpur jest ewakuowane. Nie miał własnego zdania o przebiegu kampanii, ale to jasne, że jest on niepomyślny. Drogi przez Johore są zatłoczone podążającymi w jedną stronę posiłkami i dostawami dla wojska oraz usiłującymi poruszać się w drugą uciekinierami. Stracił wiele godzin na przebiecie się samochodem do Singapuru i wciąż groziło niebezpieczeństwo, że cała ta linia komunikacyjna zostanie zagarnięta. Była ona i tak łatwym celem za dnia dla japońskich bombowców. Słyszał natomiast jedną dobrą wiadomość. W ubiegły wtorek, w opatrnościowym deszczu, jeden z konwojów z posiłkami zdołał dzięki niepogodzie przemknąć się nie roztraskany na strzępy przez japońskie bombowce, które teraz patrolują wody wokół Singapuru. Gdyby się jeszcze udało znaleźć sposób, aby przerwali dość szybko tych świeżych ludzi i sprzęt na linię frontu... Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie za kilka dni wyjadę do Stanów, jeśli mi się uda.

- A tymczasem możesz tu mieszkać i pomóc przy pompach. — Zauważywszy, że Ehrendorf się waha, Matthew dodał: - Nie spotkałeś jeszcze Joan? Pani Blackett i Kate wyjechały do Australii. Joan chyba tu jeszcze jest, ale nie widziałem jej ostatnio. Chodź, bierz plecak, pokażę ci twój przydział, kilka cali desek podłogowych do spania. Wkrótce zrobimy z ciebie strażaka jak się patrzy.

Tiffin curry serwowane od 12.30 do 14.30 Ś.P.

PAN SOLOMON R. LANGFIELD LAT 63

UPRASZA SIĘ O NIES KLAD ANIE KWIATÓW

Otrzymaliśmy dziś wiadomość o śmierci pana Solomona Langfielda, współzałożyciela firmy Langfield i Bowser Sp. z o.o. i popularnej postaci w kołach handlowych Singapuru od wielu lat. Pan Walter Blackett, oddając hołd zmarłemu, powiedział, że aczkolwiek nie pierwsza w swojej branży, firma pana Langfielda położyła wielkie zasługi.

Czasy były takie trudne, że dla ogółu ludności zejście starego Solomona Langfielda, który o dziwo okazał się nie taki stary, jak się wszystkim wydawało, nie wywołało rozgłosu. Nie było żadnych oficjalnych przejawów smutku, jakie towarzyszyły odejściu starego pana Webba, żadnych listów kondolencyjnych od gubernatora ani opuszczenia do połowy masztu flag na budynkach uczęszczanych przez przedstawicieli branży kauczukowej i kupców. Bardzo niewielu dawnych kolegów z Klubu i Komitetu znalazło drogę do rezydencji Blackettów, aby mu złożyć ostatnie wyrazy szacunku i współczuć młodemu Nigelowi Langfieldowi. Jeśli nawet nie było ich tylu, ilu należało się spodziewać, zważywszy na długą i oddaną służbę, którą Solomon Langfield pełnił nie szczędząc sił dla kolonii w różnych dziedzinach, stało się to częściowo dlatego, że w tych trudnych czasach każdy miał własne kłopoty. Częściowo też i dlatego, że ci, którzy pierwsi wyruszyli w smutną pielgrzymkę, aby pożegnać przyjaciela, po powrocie donieśli innym, iż Walter jakoś dziwnie i kapryśnie się zachowywał udając, że nie wie, po co w ogóle przyszli, gdy zaś mu wyjaśnili, sprawiał wrażenie, że ich wyprawa jest stratą czasu i że zakłócają bez potrzeby jego spokój tak trywialną sprawą. Wzruszywszy jednak ramionami kierował ich do pokoju, gdzie wystawiono ciało (na szczęście chłodzone) w oczekiwaniu na ceremonie pogrzebowe.

Kapryśne zachowanie Waltera byłoby niewątpliwie bardziej wytlumaczalne dla przyjaciół zmarłego, gdyby znali oni ogrom jego rozczarowania, że Solomon Langfield odrzucił proponowany związek między ich dziećmi. Walter bolał nad tym. Był to przecież taki dobry pomysł. Gdy się jest w tak wielkich opałach, mając wspólnika, na którym nie można polegać, córkę, którą trzeba wydać za męża, zapasy kauczuku, którego nie można wysłać, trudno oczekiwać, by odrzucenie propozycji tak eleganckiego rozwiązania tych zasadniczo różnych problemów za jednym zamachem nie było ciosem. Wystarczy dodać do tego obelżywe zachowanie starego Solomona Langfielda, by człowiekowi zawrzała krew w żyłach.

Trzeba sobie dobrze nałamać głowę, zanim się wyda córkę za męża. W przeciwnym razie wykradnie się jak kotka w ciemną noc i da się zapłodnić gdzieś pod krzakiem Bóg wie komu! Tak, nawet tak rozsądnej córce nie można w tym zaufać, zwłaszcza w tych czasach... Albo, ujmując rzecz inaczej, nie ma rozsądnych córek. Nawet z taką dziewczyną jak Joan, która ma lepiej poukładane w głowie niż większość dziewcząt, nie

I można mieć pewności, że człowiek nie obudzi się pewnego ranka i nic stwierdzi, że uwikłała się w romans z jakimś bezwartościowym awanturnikiem. Aczkolwiek Walter był pewien, że prędzej czy później obecne kłopoty z Japończykami zostaną pokonane i życie w Singapurze wróci do normy, to jednak coraz bardziej sobie uzmysławiał, iż na jakiś czas społeczność Singapuru rozproszy się na cztery wiatry. A kiedy Joan znajdzie się w innym otoczeniu, powiedzmy w Australii lub Indii, czy wówczas nie zagrozi jej utrata owego rozsądnego spojrzenia, jakie nabyła w Singapurze? Walter najwięcej się obawiał, aby nie dała się oczarować jakiemuś pilotowi z wąsikami, który mógłby ją ująć swym bohaterstwem w służbie dla kraju.

Następnego ranka po tak zuchwałym odrzuceniu jego propozycji przez Langfielda Walter omówił tę sprawę z Joan.

- Ten stary dureń jest przeciwny temu pomysłowi - wyjaśnił ponuro
- i gdyby nawet Nigel był tak w tobie zakochany, że chciałby się ożenić bez zgody starego, nic by to nie dało, bo o ile znam starego Solomona, po prostu obciąłby synowi fundusz. Wtedy ubralibyśmy się w Nigela bez udziału w firmie Langfielda, co byłoby najgorszym rozwiązaniem.
- Tak, Walterowi przyszło na myśl, że zajął się kwestią wydania córki za mąż zbyt późno. Lecz oto los wziął sprawę w swoje ręce.

Kiedy Abdul przyszedł poinformować Waltera, że najpierw Tuan Langfield nie wstał na śniadanie, a później, że Tuan Langfield nigdy już na tej ziemi nie wstanie, Walter jedynie rzekł do siebie: „Cóż za utrapienie! Co jak co, ale mogłem polegać na tym starym kutwie, że mi wytnie kawał!” Wkrótce jednak przyszło mu na myśl, że jeśli Solomon nie rozmawiał na ten temat z synem, śmierć starego może w końcu wcale nie być takim utrapieniem. Joan podzielała jego zdanie.

Walter był zdumiony wrażeniem, jakie wiadomość o śmierci ojca wywarła na Nigelu. Ten młody człowiek wydawał się nią szczerze zasmucony, a nawet bliski załamania. Walter przyglądał mu się z ciekawością, dziwiąc się bogactwu ludzkiej natury, która potrafi wyzwolić w człowieku uczucie tak głębokie nawet dla takiego Solomona. Ale miał przed sobą dowód: Nigel siedział przed nim z twarzą ukrytą w dłoniach, zupełnie przybity. Takiemu żalowi należy się tylko szacunek.

Walter kiwnął głową do Joan i zmrużył oko, kiedy podeszła, aby położyć kojącą dłoń na ramieniu chłopca. Walter wycofał się wówczas do swojej ubieralni, żeby podumać w spokoju. Czuł, że wymyślił sposób ukojenia Nigela w tej godzinie bólu. I tak, trochę później tego samego ranka, gdy Nigel odzyskał znów panowanie nad sobą, Walter przywołał go i powiedział:

- Wiem, mój chłopcze, jak musisz się czuć. Nie będę owijał w bawełnę. Między mną a twoim ojcem bywało różnie, ale zawsze się wzajem szanowaliśmy. Gdy się nad tym zastanowić, byliśmy pod wieloma względami bardzo do siebie podobni. Waham się nieco, czy powiedzieć ci, co chcę powiedzieć, gdyż wiem, że on nigdy nie chciał, aby wywierać na ciebie jakikolwiek nacisk. Sądzę, że biedny Solomon przezuwał bliskość końca, ponieważ wczoraj, gdy gawędziliśmy sobie o dawnych czasach i radościach, jakie przeżyliśmy, gdy byliśmy w tej kolonii młodzi, zwierzył mi się, że martwi się o przyszłość... Tak, ujmując rzecz w paru słowach, dał mi do zrozumienia, że nie byłby wcale przeciwny, gdybyś się ustatkował i założył rodzinę. „Słuchaj, Walter - powiedział do mnie - może cię to zaskoczy zważywszy, że różnie pomiędzy nami bywało w sprawach interesu, ale istnieje tylko jedna młoda dama, którą rad bym widział jako jego żonę, a tą młodą damą jest twoja córka, Joan”. Muszę przyznać, Nigel, że byłem tym bardzo zaskoczony, ale kiedy się nad tym bliżej zastanowić, czemu... Boże, znowu te przeklęte syreny alarmowe?

- Ale, proszę pana! - wykrzyknął Nigel, który w ciągu paru sekund poczerwieniał, zbladł i znów poczerwieniał.

- Do diabła! Dopiero za pięć dziesiątą. Za wiele już tego dobrego...

- Sądziłem, że mój ojciec...

- No proszę. Porozmawiamy o tym później... oczywiście, jeżeli zechcesz. Może postąpiłem zbyt pochopnie, może powinienem trzymać język za zębami, niełatwo było mi się zdecydować, żeby ci to powiedzieć. Bo zważ, wiem, że on nie chciał wpływać na twoją decyzję i mówi! mi nawet, że woli udawać, iż byłby niezbyt zachwycony takim układem, abyś nie sądził... Ach, teraz znowu artyleria! Do diabłaż tymi nalotami! Jak tu cokolwiek zrobić w tych warunkach! Sądząc z wystrzałów armatnich samoloty lecą w naszą stronę... Chodźmy lepiej tym razem do schronu. Idź i sprowadź Joan, a ja powiem służbie, żeby się schowała...

Nie było czasu na dalszą rozmowę. Bomby zaczęły już padać, a łoskot dział przeciwlotniczych był równy łomotaniu serca młodego Nigela, gdy pędził po schodach na górę, aby wziąć Joan i pobiec z nią do schronu, który Walter kazał wykopać koło Ogrodu Orchidei. Wyglądało na to, że tym razem Japończycy nie chcieli się zadowolić atakiem na

Keppel Harbour czy Bazę Marynarki Wojennej - zabrali się teraz za samo miasto, a Tanglin w szczególności.

Nie opodał, w Mayfair, ci ze strażaków majora, którzy nie spali po nocnym dyżurze, nasłuchiwali ze znużeniem wycia syren. Dopiero gdy działa na Bukit Timah otworzyły ogień, ruszyli w stronę schronu. Tutaj, jak wszędzie na wyspie, można było sięgnąć wzrokiem dalej jedynie w górę. Kiedy więc wyszli z budynku, wciąż oszołomieni i z czerwonymi oczyma z braku snu, spojrzeli ku górze i... zobaczyli wielką falę japońskich bombowców lecących bardzo wysoko i prosto nad Tanglin. Po chwili lecący na czele bombowców miał oddać serię z broni maszynowej i na ten sygnał wszystkie bombowce miały zrzucić bomby jednocześnie, czyniąc na ziemi spustoszenie. Tymczasem o kilkaset jardów od miejsca, w którym stali, lekka artyleria przeciwlotnicza za krawędzią wzgórza otworzyła ogień całkiem niepotrzebnie, jak się wydawało, ponieważ bombowce były poza zasięgiem jej ostrzału.

Teraz samoloty w górze, jak monstrualne owady, zaczęły wyrzucać siebie grona czarnych jajeczek i straszliwy gwizd jął narastać wokół ludzi biegnących przez grządki z kwiatami. Wkrótce schron się zappełnił i ludzie padali w jakąkolwiek błądź dziurę lub rów w ziemi, a tymczasem major, w stalowym hełmie na głowie, zapakował dziewczęta z Poh Leung Kuk i innych spóźnionych do domku rekreacyjnego, którego ściany zostały wyłożone belami kauczuku, materacami i poduszkami raczej na pokaz niż dla rzeczywistej osłony. W trakcie tego, pierwsza bomba wpadła do dawno nie używanego basenu pływackiego wzbijając ogromny słup wody, który zawisł na chwilę w powietrzu niczym blok zielonego marmuru, zanim opadł rozpryskując się wokół. Druga bomba wylądowała jednocześnie na drodze wzbijając chmurę czerwonych dachówek z Mayfair i rzucając je na ogród, a jeszcze jedna spadła w stary laszek kauczukowy leżący pomiędzy Mayfair a rezydencją Blackettów. Ta ostatnia eksplozja, choć w znacznym oddaleniu od obu prowizorycznych schronów, była tak silna, że wgniotła jedną ze ścian domku rekreacyjnego, rzucając tymi, którzy siedzieli przy niej skuleni, w płataninę poduszek, materaców i ciał ludzkich przy drugiej ścianie - dach też zaczął się osuwać i wydawać niebezpieczne trzaski. W głębokiej ciszy, która nastąpiła, słychać było cichutki dzwonek telefonu dobiegający z pustego bungalowu. Ludzie zaczęli wygrzebywać się z rumowiska na podłodze domku rekreacyjnego. Nikt nie wydawał się poważnie ranny.

Nagle nad ich głowami rozległ się ryk i wszyscy się skulili.

- To jedna z maszyn RAF-u! - ktoś krzyknął i zobaczyli Hurricane'a niknącego ponad wierzchołkami drzew. Wzniesiono nieporadny okrzyk. Telefon bezustannie dzwonił - aż dziw, że bomby nie zerwały drutów. Major pobiegł do bungalowu, żeby go odebrać. Musiał wciągnąć się za poręcz na werandę, bo podmuch eksplozji na drodze porwał drewniane schodki werandy i cisnął je skręcone w pijaną harmonię o kilka kroków dalej. Tak jak się spodziewał, zwymano ich do pożaru: paliły się domy i skład drewna pomiędzy River Valley Road a rzeką.

Wkrótce potem można było obejrzeć dziwną kawalkadę wyruszającą z Mayfair. Na przodzie jechała lagonda majora ciągnąca pompę na kołach, a za nią buick pana Wu załadowany pasażerami. Za nimi podążały dwie furgonetki firmy Blackett i Webb zarekwirowane przez majora z lasku muszkatolowców i one to właśnie nadawały charakter jakiegoś desperackiego karnawału jednostce strażackiej z Mayfair, bowiem nie było czasu na zdjęcie dziwacznych drewnianych nadbudówek, które przyśrubowano na ich dachach, a poza tym służyły one za dodatkową osłonę przed szrapnelami. Pierwsza furgonetka, ciągnąca drugą, nowo nabytą pompę, miała w dalszym ciągu gigantyczne kopie czerwono-niebieskiego dolara kolonialnego wraz z lekko skośnooką podobizną króla. Z drugiej furgonetki osiem długich rąk pomalowanych na ciemno-brązowo, jasnobrązowo, żółto i białą, a każda para zaopatrzona w głowę z papier młchć, wyłaniało się w sposób symboliczny spomiędzy szczęk Ubóstwa - ponieważ owe ręce ogromnie długie i wyciągnięte nad kabiną furgonetki miały sięgać po Dobrobyt, ustalono wspólnie, że furgonetka z banknotami ma jechać pierwsza. W przeciwnym razie, jak zauważył Dupigny, mogłoby wyglądać, że te banknoty ścigają reprezentantów czterech ras, oni zaś, z wyciągniętymi przed siebie rękami, zmykają w przerażeniu.

Gdy wyjechali na Orchard Road, zobaczyli po raz pierwszy rozmiar zniszczenia spowodowanego nalotem. Seria bomb burzących spadła na domy poczynając od skrzyżowania z Tanglin Road, dwie bomby z jednej strony, trzy z drugiej, i przemieniła szereg budynków w kupę gruzu, zerwała kable napowietrzne i roztrzaskała okna wystawowe, tak iż płyty chodników w podcieniach błyszczą warstwą stłuczonego szkła. Wjazd w Patterson Road był zablokowany szeregiem płonących pojazdów, które podmuch nucił na drugą stronę ulicy. Jakaś ciężarówka leżała do góry kołami. A wszędzie ludzie grzebali rozpaczliwie w gruzach szukając zasypanych. Szarobiała chmura kurzu tłumiała blask płoną-

lych pojazdów i przemieniała ludzi pracujących na ulicy w postaci jak- by wzięte z zimowej scenerii.

Major jechał wciąż po Orchard Road w nadziei, że przedostanie się do River Valley Road od drugiej strony. Obejrzał się raz i drugi, aby się upewnić, czy inni podążają za nim. Za dwiema furgonetkami jechał motocykl zamykający kolumnę. Wiózł on Turnera, dawniej dyrektora plantacji Johore, ale teraz zmuszonego przygotowaniami wojskowymi za Groblą do powrotu do Singapuru, i chińskiego przyjaciela pana Wu, silnego, milkliwego osobnika nazwiskiem Kee, niezwykle odważnego.

Musieli jechać ostrożnie, często używając klaksonów ze względu na ludzi, z których wielu najwyraźniej było wciąż w szoku, to błędząc bez celu po jezdni, to układając zabitych i rannych z boku drogi. Raz musieli się zatrzymać i poczekać, aż ludzie odciągną na bok porzucony samochód, potem natrafili na cysterne, która wpadła na drzewo, ale chyba cudem się nie zapaliła. Nie opodał Magazynu Towarów Mrożonych, który o mało nie został trafiony, wyprowadzano teraz roztrzęsionych klientów. Koło znajdującego się obok rynku warzywno-owocowego płonął blok mieszkalny. Policjant Sikh, wciąż ze śmiesznymi skrzydłami z plecionki u rąk, które mu nadawały wygląd ważki, zamachał energicznie ramionami próbując skierować majora ku płonącym mieszkanom. Lecz major nie dał się do tego skłonić - miał własny pożar do ugaszenia. Przejeżdżając zobaczył, jak policjant osuwa się na kolana, a potem przytyka czoło do lepkiego asfaltu jezdni, widocznie złamany przeżyтым szokiem - jedno z jego wyplatanych skrzydeł było równiutko złamane w środku i odgięte w tył za łopatką. W chwilę później pozostał w tyle w wirującym kurzu i dymie, nieruchomy jak umierający na jezdni owad.

Zanim dojechali do składnicy drewna, pracowały tam już dwie chińskie jednostki P.S.P. odkomenderowane przez Centralne Dowództwo Straży Pożarnej, było jednak jasne, że nie istnieje najmniejsza szansa na ocalenie zarówno składnicy jak i przylegających do niej tartaków, które stały w morzu ognia. Na domiar złego wiał silny wiatr z północnego wschodu w kierunku grupy domów czynszowych stojących nieco dalej od rzeki - właśnie czyniono próby zatrzymania ściany ognia posuwającej się w ich stronę.

Kiedy wrzucono do rzeki koniec węża ssawczego i rozwinięto wąż tłoczny, natychmiast włączono pompy: major i Ehrendorf pobiegli naprzód z jedną prądownicą, a pan Wu i Turner z drugą. Kee, który był mechanikiem, zajął się obiema pompami, w czym mu pomagał kapitan Brown, a Matthew, Cheong, Dupigny i pozostali biegali jak opętani rozwijając następne odcinki węża, dawali sygnały do pomp, rozłączali węże i złączali ponownie, bez tchu i oszołomieni z bijącego żaru. Czując, jak mu się kręci w głowie, Matthew stał i patrzył na tryskające z kilku prądnic strumienie wody i opadające łukiem w płomienie, które mimo to rosły i rosły. Obejmowały one teraz z pół akra ułożonego w stosy drewna i hucząc unosiły się na trzydzieści jardów w górę, a woda jakby wyparowywała, nim jeszcze miała czas ich dotknąć. Raz, gdy został przypadkiem opryskany wodą z innej prądnicy, kiedy biegł zmienić majora, który słał się jak pijany i wydawało się, że zaraz się przewróci, Matthew wydał mimo woli okrzyk bólu: woda parzyła.

Wkrótce ogień, niby jakiś niedostatecznie spętany łańcuchami orientalny demon, zaczął ryczeć i szaleć z jego lewej strony, rzucając się chwilami ku niemu, jakby chciał schwycić go za nogę i wciągnąć do swego legowiska. Za nim była rzeka, po prawej ręce drewniany płot, za płotem zaś domy czynszowe, a w oknach domów mnóstwo krągłych chińskich głów, jak pomarańczy w skrzynkach, obserwujących pożar, jakby to ich nie dotyczyło.

- Czemu nikt im nie powie, żeby uciekali póki czas?! - krzyknął do Ehrendorfa stojącego obok, lecz Ehrendorf był zbyt zamoczony bijącym od ognia żarem, aby odpowiedzieć.

Przy tym oceanie ognia godziny mijały jak we śnie. Co chwila ludzie trzymający prądnice byli zastępowani innymi i prowadzeni nad rzekę, aby się mogli ochłapać jej cuchnącą wodą. Raz po raz Matthew parzyła woda z innych prądnic, ale już nawet tego nie czuł. Chwilami robił się mokrusieńki od stóp do głowy, a w następnym momencie jego ubranie było znowu suche i sztywne.

Nagle Matthew zdał sobie sprawę, że ten ogień ma własną osobowość. Nie był po prostu ogniem, ale żywym stworem. Matthew próbował to wytłumaczyć stojącemu obok Ehrendorfowi, który tak jak on ścisnął koniec miotającego się węża, ale Ehrendorf nie zrozumiał. A to takie oczywiste! Ogień ten nie tylko miał swój własny rozkoszny zapach (jak drewno sandałowe), lecz także niespokojne, podstępne usposobienie, wysyłając bezustannie strużki płomienia niczym wyciągnięte szpony, aby ogarnąć i schwytać walczących z nim ludzi, przycisnąć ich do swego płomiennego serca. Lecz Ehrendorf, na którego czole pojawił się wielki biały bąbel, potrafił tylko kiwać głową i mamrotać... a tym

czasem bąbel rósł, aż wreszcie pękł zalewając mu twarz płynem, który natychmiast wysechł jak strużki łez na jego policzkach. Te płomieniste szpony, które wyciągały się z ognia, jak zauważył Matthew, bardzo często przebiegały wzdłuż napęczniałego węża i wkrótce jego płócienna powłoka została tak nadżarta przez ogień, iż widać było przez nią płynącą wodę, jakby to były wpół przezroczyste żyły pulsujące w kierunku ognia, aby dostarczyć mu pożywienia. Lecz oni usiłowali zatruć ogień a nie karmić, a zatruć. Ogień na to zachichotał i zatrzeszczał wesoło, po czym rzekł:

- Nie zatrujesz mnie tak szybko. Lepiej sam miej się na baczności!

Matthew odkrył coś dziwnego w tym pożarze. Ten ogień go zahipnotyzował. I to nie tylko jego, ale wszystkich dokoła. Był w tyra czasie jeszcze jeden nalot, lecz nikt tym razem nie zwrócił na niego uwagi. Fakt, że gdzieś ponad tym żarem i dymem jakieś samoloty rzucały bomby, wydawał się w porównaniu z tym monstrualnym pożarem czymś całkiem trywialnym.

Godziny upływały bez żadnej widocznej zmiany, prócz tego, że żar od ognia jeszcze się wzmógł. Wczesnym popołudniem przybyła nowa jednostka P.S.P. i nowo przybyli bez słowa wrzucili końce węży ssawczych do rzeki i wzięli się do pracy. Ten nowy zespół przejawiał jeszcze większą różnorodność ludzi aniżeli jednostka majora. Gdy się im bliżej przyjrzało, można było wśród nich rozpoznać Hindusów, Malajczyków, Chińczyków, Europejczyków i nawet jednego Afrykańczyka, który mówił tylko po francusku. Ci ludzie jednak działali już przy innym pożarze i ich ręce i twarze były tak usmolone i okryte pęcherzami, że trudno było odróżnić jednego od drugiego. Znali się jednak na rzeczy i ułożyli swoje węże tak, aby móc odeprzeć niespokojne szpony ognia, które bezustannie groziły, że zagarną ludzi majora.

Matthew stwierdził, że był przy ogniu tylko wrywkowo, z długimi przerwami - raz trzymał z kimś prądownicę i starał się osłaniać przed okropnym żarem, a za chwilę już leżał jak kłoda na brzegu rzeki próbując wytłumaczyć Ehrendorfowi, jakie wszystko byłoby proste, gdyby ludzie uczynili wzajemną współpracę a nie interes własny podstawą całego swojego postępowania.

- Tak wielu ludzi już to zrobiło! - wykrzyknął, lecz Ehrendorf, który nie był tak jak Matthew przyzwyczajony do zwalczania pożarów, czuł się zbyt skonany, aby odpowiedzieć. Jeśli się przyjrzeć nauczycielom, pielęgniarcom i różnym zwyczajnym ludziom, którym społeczeństwo oddaje szacunek, zresztą dość niechętnie i protekcyjnie, dochodzi się do wniosku, że istnieje sporo ludzi, których największym dążeniem jest dobro innych! Czemuż by więc nie rozciągnąć tego na wszystkie dziedziny życia? Ach, ale chwileczkę, zaprotestował, bo Ehrendorf

[otwierał i zamykał usta jak złota rybka, wiem, że chcesz powiedzieć, iż [tacy ludzie też się powodują interesem własnym, ale znajdują satysfakcję w inny sposób. To jest po prostu wybieg psychologiczny! Istnieje ogromna różnica pomiędzy kimś, kto znajduje satysfakcję w pomaganiu innym, a tym, kto dba tylko o siebie! Wyobrażasz sobie, jakie wspaniałe byłoby wówczas życie? Spójrz na tych wszystkich ludzi przy pożarze: jeden dla drugiego zrobiliby wszystko, chociaż niektórzy z nich nie mówią nawet tym samym cholernym językiem! Ale być może Matthew, zamiast powiedzieć to głośno, tylko pomyślał sobie, bo kiedy Ehrendorf wreszcie zdołał odpowiedzieć, jego słowa nie miały żadnego sensu.

Ehrendorf, na wypadek gdyby miał nie przeżyć, co prędzej usiłował przekazać Matthew swe wielkie odkrycie: Drugie Prawo Ehrendorfa! Że wszystko w dziedzinie ludzkich spraw jest w danej chwili nieco gorsze niż w każdym poprzedzającym momencie. Było niezwykle ważne, aby to szeroko rozpowszechnić...

- Powtórz jeszcze raz.

Ehrendorf powtórzył.

- Co? Ależ to nieprawda!

- A właśnie że prawda. Pomyśl chwilę.

- Czekaj, zaraz... Z całą pewnością dla nas, w Singapurze, wszystko się pogarsza, ale nie dla Japończyków.

- Właśnie że tak, dla nich też. Tylko wydaje się, że nie. Bo dzieją się rzeczy, które nikomu nie dają nic dobrego!

- Tak, ale jest całe mnóstwo spraw... - lecz zanim Matthew zdążył dokończyć zdanie, znalazł się z powrotem przy ogniu czując się straszliwie wyczerpany. Przyjrzał się stojącemu obok mężczyźnie zamierzając wypowiedzieć otwarcie, co o tym myśli, gdyby się okazało, że to Ehrendorf. Śmieszne, że człowiek o jego inteligencji i kulturze nie dostrzega, że to takie ważne, by nastąpiła w ludziach ogromna, powszechna przemiana. Że w tym jest jedyne rozwiązanie.

- Mógłbyś z równym powodzeniem oczekiwać, aby maklerzy byli gotowi oddać swe życie za giełdę - zachichotał ogień usiłując go pochwycić płomiennym pazurem za kostkę u nogi.

Człowiekiem stojącym obok okazał się jednak nie Ehrendorf, lecz Dupigny. Jego normalnie blada twarz przypiekła się od żaru na gniewnie czerwony kolor, a włosy, przystrzyżone krótko jak szczoteczka do zębów tam, gdzie były najbujniej sze, z tyłu i po bokach głowy, opaliły się. Matthew miał właśnie poprosić Dupigny'ego o wyjaśnienie jego obecności, gdy zatrzymawszy się chwilę, aby zamrugać bolącymi oczyma, uległ nowemu irytującemu przeskokowi w czasie i znów trzymał prądownicę, ale tym razem z Chińczykiem, na którego kościach policzkowych utworzyły się dwa białe pęcherze. Jego twarz stała się prawie nie do rozpoznania, ale możliwe, że to był Kee. Matthew czuł palącą potrzebę dotknięcia własnych pęcherzy na twarzy, które dokuczały boleśnie, ale się bał, że jeśli puści jedną ręką prądownicę, będzie za słaby, aby ją utrzymać... prądownica wyrwie mu się i roztrzaska głowę.

Z pożaru dobiegła teraz seria głuchych wybuchów, jakby wnętrzości puchły i eksplodowały.

- Skład farby! - zawył stojący obok niego Chińczyk, wskazując w środek ognia, gdzie jeszcze było widać szkielet dziko płonącego budynku. Rozpłynął się, gdy Matthew patrzył przysłaniając oczy.

- A co z czyszówkami? - zapytał, nieoczekiwanie powracając znów do rzeczywistości. Czyszówki wciąż stały, a także drewniany płot, ale kragłych chińskich głów już nie było w oknach. Widocznie ktoś w końcu pomyślał, żeby ewakuować mieszkańców, i dobrze się stało, ponieważ ogień wciąż przerzucał się w tamtą stronę.

Pod koniec popołudnia kilka ogromnych dźwigów, które stały półkolem nad ogniem od strony południowo-zachodniej, zaczęło się chwiać. Potem jeden po drugim powoli zginały się i padały w ogień wzbijając wielkie fontanny iskier i płonących głowni, które spadając na ziemię wszczynały dokoła nowe pożary. Te nowe pożary jeszcze raz zagroziły odcięciem ludzi stojących przy prądownicach. Major bardzo się niepokoił o bezpieczeństwo swoich strażaków i zdecydował się na zarządzenie apelu: ale nawet to niełatwo było wykonać w gęstym dymie i coraz to większym żarze. Wreszcie sprawdzono obecność. Jednego strażaka brakowało. Odkąd zmieniono pana Wu przy prądownicy węża, nikt go nie widział. Kiedy to było? Przed godziną, półgodziną? Nikt nie wiedział. Ale gdy właśnie stwierdzili z przerażeniem, że pan Wu został pewnie odcięty jednym z mniejszych pożarów wzniesionych przez padający dźwig i zginął w płomieniach, nagle pan Wu pojawił się pogodny jak zawsze, furgonetką, którą zarekwirował, wynajął czy też porwał pełną butelek oranżady firmy Frazer i Neave... i to w samą porę, ponieważ wszyscy przy pożarze cierpieli bardzo z powodu odwodnienia. Chiński kierowca furgonetki, która najwyraźniej wyruszyła w objazd, aby rozwieźć wodę, zgłosił się na ochotnika na pomoc strażakom i został z

Jr miejsca przyjęty. Następnym razem, pomyślał major, trzeba będzie zabierać z sobą jadło i napoje. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogą spędzić tak wiele czasu poza Mayfair.

O zmierzchu pożar stał się jeszcze wspanialszy. Gdy niebo pociemniało, zdali sobie sprawę, że w powietrzu jest pełno iskier, które padały wszędzie wokół niczym bezustanna złota mżawka, chwilami gęstniejąc w istny deszcz, aż myśleli niespokojnie, żeby tylko nie zajęły im się ubrania. Tym niemniej, tak wielkie było piękno tej złotej ulewy, że Matthew opanowała jakaś dziwna radość i nie czując już uządleń iskier na nie osłoniętej twarzy i ramionach, patrzył zachwycony jak dziecko.

Od pewnego czasu ogień przestał posuwać się ku domom czynszowym i łatwiej było teraz, po ciemku, wysledzić jego nowe próby rozprzestrzenienia się. Ale chociaż sam ogień przestał się posuwać naprzód, a nawet się cofnął, jądro pożaru, w którym płonęły tysiące ton drewnianych bali, stało się coraz gorętsze, tak że nawet ze znacznej odległości nie można mu było stawić czoła i ludzie przy prądownicach wytrzymywali na stanowiskach tylko po kilka minut. W mroku widać było, że rury odpływowe na zewnętrznej stronie ścian domów czynszowych jarzyły się czerwono, jak żyły, które wystąpiły na ciemnych masywach budynków. I nagle drewniany płot sam z siebie buchnął płomieniem, choć pożar był już o wiele dalej. Płonął wściekle przez parę minut, potem roztopił się i powróciła gęsta krwawa ciemność.

Nieco po północy przybył Adamson przywożąc dwie jednostki od innego pożaru w dokach. Dokonał szybkiego przeglądu akcji, odkomenderował nowo przybyłych do polewania dachów i ścian domów czynszowych, wypowiedział parę słów zachęty do wyczerpanych ludzi i wrócił do swego własnego pożaru w dokach. Wkrótce potem stwierdzono, że brakuje dwóch ludzi z którejs z jednostek P.S.P. - rozpoczęto szaleńcze poszukiwania. Jednego znaleziono nieprzytomnego nie opodal pomp - nie mógł wytrzymać tego dymu i żaru. Ocucono go wodą z rzeki i napojono oranżadą z furgonetki pana Wu. Nad ranem znaleziono drugiego. Leżał martwy na ziemi niczyjej pomiędzy ogniem a domami czynszowymi, gdzie najprawdopodobniej zemdłał. Skąpe odzienie na jego grzbiecie zwęgliło się, a hełm jarzył się matową czerwienią. Przez kilka godzin nie sposób było podejść, aby zabrać zwłoki, a kiedy się nareszcie udało i ktoś chwycił go za rękę, żeby go unieść na nosze, ręka oderwała się niczym skrzydełko pieczonego kurczęcia.

Pożar osiągnął swój zenit około piątej nad ranem i odtąd można go było stopniowo zmusić do odwrotu - co godzina parę kroków, plan bowiem był taki, aby go ograniczyć i dać mu się wypalić. Nagle Matthew zdał sobie sprawę, że jest znowu dzień - stojąc blisko przy ogniu nie zauważył, że niebo pobladło. W ciemnościach trudno było odróżnić ludzi z Mayfair od innych, ale za dnia stało się to niewiele łatwiejsze, tak brudne i niechlujne były postaci zataczające się jakby po pijanemu na nierównym gruncie. Ponadto, od rzeki biegło tyle węży, że kiedy stało się konieczne przedłużyć któryś, trzeba było wiele trudu, aby odnaleźć wśród nich te, które należały do jednostki z Mayfair, a które do innych jednostek. Było to tym trudniejsze, że wszyscy ślaniali się na nogach ze zmęczenia, spędzili już bowiem prawie dwadzieścia godzin przy pożarze i jeśli ktoś upadł, miał trudności ze wstaniem. W pewnej chwili, zajęty żmudnymi poszukiwaniami właściwego złącza wśród węży, które leżały jak zwoje arterii na wpół zagrzebane w zlanym wodą wiórach, Matthew potknął się o leżącego na ziemi człowieka z jakiegoś innego oddziału straży.

— Dzięki, kolego, nic mi nie jest - powiedział, gdy Matthew chciał mu pomóc wstać. - Za chwilę będę w porządku. - Spojrzał na Matthew rozpoznając go.

— Na pewno nic panu nie jest? - Był to Evans, strażak, który opowiadał Matthew przed kilku dniami o Adamsonie.

— Na pewno. Zaraz przyjdę do siebie — odparł Evans. Matthew poszedł więc dalej szukać węża, który mu był potrzebny. Ale pół godziny później Evans wciąż leżał.

Wkrótce Matthew też potknął się i przewrócił w kupę wiórów—miały przyjemny świeży zapach - leżał z przytulonym do nich policzkiem, a w głowie mu wirowało. Czuł się cudownie zaspokojony i mimo zmęczenia ożywiony poczuciem koleżeństwa z innymi strażakami. Po chwili spróbował wstać, ale udało mu się tylko usiąść. Siedział tak na wiórach między pożarem a rzeką czekając na powrót sił - ogień teraz osłabł i w świetle dziennym wydawał się nikły i przytłumiony, lecz nadal buchał tym samym potwornym żarem. „To jest życie, jakie powinienem być wieść od lat - myślał Matthew, znów doświadczając tego niezwykłego uczucia swobody i spełnienia - zamiast trwonić czas na teoretyzowanie i częste dysputy! Gdy wojna się skończy, muszę zacząć żyć z pożytkiem dla innych”.

Niebawem Ehrendorf i Dupigny przyszli go szukać i podnieśli na

nogi. Oddział z Mayfair został zwolniony, jak mu powiedziano. Lepiej zrobi, jeśli położy się spać na jednym z łóżek w dyżurce w Mayfair. Kiedy wyjeżdżali, Evans wciąż leżał wyczerpany na ziemi. Ledwie przejechali przez zburzone ulice i dobrnęli do Mayfair, syreny alarmowe znów zawyły. Właśnie zaczynał się nowy nalot, jeszcze cięższy niż na Tanglin, na gęsto stłoczone warsztaty i domy czynszowe rejonu Beach Road.

Dostrzeżliśmy wczoraj oznaki współpracy społecznej, kiedy hinduski ochotniczy oddział samoobrony zajął się na swoim obszarze ofiarami nalotu... które to ofiary były przeważnie narodowości chińskiej. Jeden z członków Ligi Młodzieży Hinduskiej, pan N.M. Marshall, okazał największą pomoc dostarczając furgonetki w celu przewiezienia ofiar.

W pewnym znanym hotelu bomba zniszczyła wczoraj pomieszczenia boyów, lecz to nie przeszkodziło gościom w spożyciu południowego posiłku. Sami udali się do kuchni, aby się obsłużyć.

ROBOTNICZY, w bitwie o Singapur liczy się każda godzina. Nie pozwólcie, aby syreny przerwały wam pracę. Bombowce wroga mogą być jeszcze daleko. Mogą wcale nie dolecieć do was. Pracujcie, póki obserwatorzy na dachu nie dadzą znaku, abyście się chronili. Wojsko liczy na was. Poprzyjcie je w fabrykach, stoczniach i biurach. Każda godzina pracy czyni Singapur silniejszym.

Ogłoszenie Zapobież blitzkriegowi... termitów!

Borneo Company Ltd.

JAPONCZYK MÓWI: TRUDNO ZDOBYĆ SINGAPUR

„Byłoby ryzykowne oczekiwać, że zajęcie Singapuru jest łatwym zadaniem, które można wykonać w niedługim czasie” - oświadczył rzecznik japońskiego Ministerstwa Wojny w swoim przemówieniu radiowym cytowanym przez radio rzymskie.

Reuter

Ogłoszenie

Zakupy u Robinsona w czasie alarmu lotniczego. Posiadamy dyżurnych obserwatorów na dachu, którzy przebywają tam przez cały czas trwania alarmu, aby przekazać ostateczny sygnał wzywający do schronów, gdy niebezpieczeństwo jest bliskie. Aż do tego sygnału staramy

się handlować normalnie. Nasza załoga nie ustaje w pracy i pozostaje z radością na usługach klientów. Posiadamy schronienie i miejsca siedzące w suterenie dla wszystkich przebywających w naszym budynku na wypadek, gdyby obserwatorzy dali sygnał o grożącym niebezpieczeństwie. Zrobiliśmy to dla ochrony i wygody naszych klientów, aby nie potrzebowali się o nic martwić dokonując zakupów u Robinsona w czasie alarmu. „Straits Times”, dn. 21,22,23 stycznia 1942 r.

W ciągu tego ostatniego tygodnia stycznia miasto uległo ostatecznej metamorfozie: spokojny i zamożny Singapur, który Walter pamiętał ze swych pierwszych lat pobytu, zdążył już wcześniej ulec erozji czasu i zmian, tak jak wszystkie miasta. Lecz teraz nastąpiło jej gwałtowne przyspieszenie: w czasie ostatnich kilku dni i nocy wiele znajomych dzielnic miasta uległo zburzeniu. Bomby spadły na Tanglin przerywając ważną rozmowę Waltera z Nigelem. Zostały rozrzucone po terenie siedziby gubernatora i runęły istną ulewą na Beach Road. Obsypały doki, lotniska i Bukit Timah. Wybuchły gęsto wokół palangu i Urzędu Miejskiego, wybijając okna wystawowe na High Street i Armenian Street pod Fort Canning Hill, i jedną tarczę zegara na wieży Victoria Memorial Theatre, gdzie w dawnych latach Walter tak często bywał wraz z innymi rodzinami, by patrzeć, jak dzieci społeczności europejskiej występują w bożonarodzeniowej pantomimie pana Buckleya. „Czymże to było - dumiał Walter ponuro - jeśli nie widomym świadectwem wszystkich - co bardziej fundamentalnych zmian, które^zaszły w Singapurze w ciągu ostatnich dwudziestu lat”.

Walter nieczęsto oddawał się rozmyślaniom abstrakcyjnym i jeśli to czynił, było to oznaką, iż jest przygnębiony. Tym razem jednak zadumał się nad tym, czym jest chwila historyczna. Gdyby wziąć nóż i przeciąć równiutko chwilę historyczną, jak wyglądałaby w przekroju? Czy jak przerażany udziec barani, gdzie końce mięśni, nerwów, żył i kości jednego kawałka znajdują odpowiedni układ w drugim? Walter uznał, że ogólnie biorąc tak. Chwila historyczna składałaby się więc z niezliczonych milionów wypadków o różnym stopniu doniosłości, z których jedne byłyby niezależne, inne powiązane z sobą wzajem. A skoro te wszystkie wypadki musiałyby mieć swoje przyczyny i skutki, z pewnością pasowałyby do siebie w miej*scu rozcięcia, jak udziec barani. Ale czy wszystkie te wypadki razem wzięte posiadają jakiś sens?

Większość ludzi, zdaniem Waltera, odpowiedziałaby: „Nie, są jedynie przypadkowe”. Być może czasem, w retrospekcji, możemy przykleić całemu ciągowi zdarzeń nalepkę zwać go na przykład „Wiek Oświecenia”, tak jak możemy nazwać długi zwój mięśni polędwicą, lecz wówczas tylko narzucamy jakieś znaczenie temu, co w przeciwieństwie do polędwicy, której komórki są celowo urządzone, jest z zasady przypadkowe. Otóż, jeśli większość ludzi tak uważa, Walter nie zgadza się z nimi.

Z pewnością niełatwo jest dostrzec wspólną zasadę w ogromnej masie wypadków zachodzących w danym momencie daleko i blisko. Lecz Walter wierzył, iż trudności te powoduje brak perspektywy. To tak, jakby się było gimnastykiem na ogromnym stadionie z kilkoma tysiącami innych gimnastyków. Wówczas twoje ruchy i tych innych gimnastyków mogą się wydawać z miejsca, w którym stoisz, chaotyczne, gdy tymczasem widziani z samolotu zbiorowo tworzą litery, składające się na napis „God Save the King” w pięknych kolorach.

Czym więc jest ta zasada? Walter nie miał na ten temat jasnego poglądu. Wierzył, że każde jednostkowe wydarzenie w chwili historycznej jest subtelnie modyfikowane przez nieuchwytny mechanizm, który mógł jedynie pojmować jako „ducha czasów”. Gdyby bombowiec japoński otworzył drzwi komory nad Singapurem w roku 1920, żadna bomba nie spadłaby na miasto. Jego bomby osiadłyby na przezroczystym dachu, jaki okrywał Singapur niczym bańka, albo odbiłyby się i wpadły do morza. Ten przezroczysty dach to „duch tamtych czasów”. Niestety, duch tych czasów pozwolił bombom Azjatów spaść na brytyjskie miasto. Walter widział, jak ten dach słabnie już na początku lat trzydziestych - tak druzgocącej japońskiej konkurencji w handlu bawełną duch czasów wcześniejszych na pewno by nie dopuścił. Teraz już żadna bańka nie okrywa Singapuru, a jeśli okrywa, wszystko przepuszcza.

Jak dotąd dom Waltera uniknął zniszczenia, choć stracił kilka szyb w naloce 20 stycznia. Ale atmosfera domu zmieniła się znacznie od wyjazdu żony Waltera i Kate. Za dnia się tego tak nie odczuwało - zawsze tam było sporo krzątający, zwłaszcza odkąd Walter przeniósł do domu swoje biura z Collyer Quay. Gdy jednak praca się kończyła, na dom spadało przygniatające uczucie samotności. Walter siedział wówczas wierząc się niespokojnie na werandzie lub przechadzał się po trawniku

czekając na syreny alarmowe albo przyglądając się reflektorom omiatającym światłem niebo. W tej chwili siedział właśnie po ciemku na werandzie.

Dziwił się, że nieobecność żony i Kate tak na niego wpływa. Nie był sam. Nigel i Joan zwykle kręcili się po domu (dzięki Bogu, że przynajmniej z tym mu się powiodło!). Byli jeszcze boye i Abdul, choć służba kuchenna częściowo znikła. Czasami widywał Monty'ego nadchodzącego ciężkim krokiem z ogrodu. Nie, Waltera nie denerwował brak ludzi, lecz brak normalności. Życie przybrało wygląd koszarnej nierze- czywistości. Gdyby ktoś powiedział przed rokiem, że pewnego styczniowego dnia będzie miał pod swoim dachem Solomona Langfielda, uznałby to za śmieszne. Jednakże Langfield nie tylko gościł pod jego dachem (a w każdym razie jego doczesne szczątki), lecz właśnie w tej chwili podlegał procesowi balsamowania na stole pokoju jadalnego, którą to czynność wykonywał doktor Brownley... a raczej wykonywałby, gdyby umiał. Ponieważ jednak nie umiał, od kilku minut tkwił przy telefonie, prosząc kolegę o instrukcje. Ponieważ połączenie było nie najlepsze, musiał krzyczeć. Toteż melancholijne myśli Waltera były co chwila przerywane pouczeniami medycznymi, które doktor Brownley wykrzykiwał do słuchawki dla upewnienia się, że dobrze usłyszał. Najwyraźniej był zatroskany, czy przypadkiem nie upłynęło już zbyt wiele czasu, odkąd stary lis przeniósł się na tamten świat. Nic dziwnego więc, że Walter chwilami odnosił wrażenie, że jego kontakt z rzeczywistością trochę się rozluźnił.

Cóż to za pomysł, żeby w takich czasach balsamować starego Langfielda! Balsamowanie go w jakichkolwiek czasach wydawało się Walterowi przedsięwzięciem nierentownym, a teraz, gdy bomby lecą na miasto jak grad i wszędzie na chodnikach leżą trupy, pomysł balsamowania tego starego capa był wręcz śmieszny. Jednakże rada dyrektorów zażądała tego ze względu na firmę Langfield i Bowser oraz jej brytyjskich i zamorskich udziałowców, w imieniu których, wyjaśnił, czynią ten „jakże naturalny gest”.

- Akurat, naturalny! - mrucał Walter do siebie. - Cóż może być bardziej nienaturalnego? Powinienem być go kazać pochować natychmiast. Z takim facetem, jakiego teraz mają na czele, poszliby pewnie w środku nocy na cmentarz, żeby pomóc sekretarzowi odkopać starego z grobu!

Walter westchnął i zaczął rozmyślać na temat cmentarzy... Biedny 460 stary Webb, pewnie już zgnił. Trzciny fotel zaskrzypiał, gdy Walter poruszył się w nim niespokojnie, próbując przekonać siebie, że najlepiej byłoby wejść do domu i zająć się papierkową robotą, która na niego czeka. Nagle zdał sobie sprawę, że w cieniu za basenem przesuwają się jakieś dwie widmowe postaci. Poruszył się znów niespokojnie próbując je zidentyfikować. Nigel i Joan? Ale ci dwoje już jakiś czas temu weszli do domu. Białe widma przybliżyły się stając się jaśniejsze po wyjściu z cienia drzew na otwartą przestrzeń. Teraz dobiegły Waltera głosy, jakby się spierały, toteż odprężył się, nie były to bowiem duchy starego Webba i Langfielda, powracające z grobu, aby mu czynić wymówki, lecz Matthew i Ehrendorf rozprawiający o polityce kolonialnej.

- Jeśli przez „postęp” rozumiesz wzrost dobrobytu krajowców, to obawiam się, że będziesz miał sporo roboty z udowodnieniem dobroczynnego wpływu tych robót publicznych, nad którymi tak się rozplywasz... - mówił Matthew. Nie zapomniał tej chwili olśnienia, gdy siedział wyczerpany przy pożarze składu drewna - nadal zamierzał porzucić wszelkie teoretyzowanie i poświęcić życie czemuś praktycznemu. Lecz istniała para spornych kwestii, które musiał najpierw rozwikłać, a poza tym, sama obecność Ehrendorfa, nawet niemego, wystarczała, aby jego mózg zaczął wydzielać teorie, a język je wypowiadać. Co do Ehrendorfa, ten patrzył przed siebie na ciemny dom z drżeniem serca, trochę ludzając się, trochę lękając, że natknie się na Joan. Przed chwilą dzielnie zaoferował swoje towarzystwo Matthew, który wybierał się z jakąś sprawą do Waltera, lecz nie spodziewał się, że będzie się czuł tak niepewnie.

- Przypuszczam, że mówisz o kolei... W naszych afrykańskich koloniach około trzech czwartych pożyczek zaciąganych przez rządy kolonialne idzie na budowę kolei. To prawda, że są one przydatne dla administracji... ale jeszcze bardziej po to, aby Europejczycy mogli zakładać nowe plantacje. Innymi słowy, robi się to nie dla dobra tubylców, lecz naszego! Na co zapewne odpowiesz, Jim, że co służy nam, służy również im... Na co ja ci z kolei powiem: Niekoniecznie! Ty zaś...

- Chwileczkę - doszedł do Waltera, na przyciemnioną werandę, słaby głos doktora Brownleya, przerywając Matthew, który w zapale wypowiadał się raz jako jedna, a raz druga strona sporu. - Muszę się upewnić, że zanotowałem proporcje płynu balsamującego prawidłowo... Powtarzam... Roztwór aldehydu mrówkowego 13,5 centymetra sześciennego, boran sodowy 5 gram... i wody do 100 centyme-

Itrów szczęśliwych. Dobrze? Tak, rozumiem... Czym? Pompką od roweru?

I „Coś takiego! Pompką od roweru!” - pomyślał Walter z roztagnieniem.

Tymczasem, w porównaniu z dość niespokojnymi objaśnieniami doktora Brownleya (pocziwy doktor, chociaż od lat lekarz firmy Langfield i Bowser sp. z o.o., nigdy dotąd nie stanął wobec takiego problemu... I pomyśleć! Sam prezes! Cóż za odpowiedzialność), dobiegł cieniutki rozsądny głos Ehrendorfa ganiącego Matthew za jego stronnictwo w poglądach na sprawę kolei w koloniach i pomijanie aspektów pozytywnych...

- Subsydujemy operacje handlowe białego człowieka kosztem dobrobytu ludności tubylczej... Otóż zgadzam się, że to nie byłoby ważne, gdyby zyski pozostały tam, gdzie je wyprodukowano, ale nie pozostają... są w mig odsyłane do Anglii, Francji, Belgii, Holandii czy gdziekolwiek...

- Trzygalonowa butla z dwiema szklanymi rurkami przechodzącymi przez gumowy korek, tak, mam... Jedna rurka sięga dna butelki, skąd pobiera płyn i przepuszcza go do gumowej rurki i dalej do strzykawki. Rozumiem. Drugą rurkę szklaną, która przechodzi przez korek gumowy, podłącza się do pompki od roweru... Och, rozumiem, nożnej pompki... Myślałem, że może...

- Nie zapominajmy, że koleje to narzędzia cywilizacji - rzekł Ehrendorf niejasno, zgłębiając wzrokiem mrok w poszukiwaniu znaku nadziei - łączące odizolowanych ludzi z nowoczesnym światem.

- Niegdyś tymi samymi słowami broniono niewolnictwa! Ponadto, krajowcy w Afryce ginęli setkami tysięcy przy budowie tej przeklętej kolei. Spójrz na Kongo Belgijskie pod rządami Leopolda! Staram się, rozumiesz, wytłumaczyć, że wszystko w koloniach, nawet rzeczy z pozoru dobre, jak koleje i eksperymentalne stacje hodowli ryżu, są tak ustawiane, by przynosiły handlowe korzyści Europejczykom lub Amerykanom, którzy zainwestowali pieniądze w dany kraj...

- Pozwolisz, że powtórzmy jeszcze raz miejsca wstrzykiwania! - wykrzyknął doktor Brownley głosem rozpacz. - Nie, proszę pani, to ważna sprawa, sprawa życia i śmierci. Jestem lekarzem, proszę uprzejmie nie rozłączać. No więc, płyn równy piętnastu procentom wagi ciała do systemu krwionośnego! 450 cm³ na funt, tak, mam. Dwa procent wagi ciała należy wstrzyknąć do obu tętnic udowych w kierunku palców nóg. Po jednym procencie do tętnic ramieniowych w kierunku dłoni, tak. Dwa procent do tętnicy szyjnej. Siedem procent do tej samej tętnicy w kierunku serca. Ogólna ilość wstrzykniętego płynu winna równać się piętnastu procentom wagi ciała. A co zrobić, jeśli krew w tętnicach zakrzepła, a obawiam się, że tak, i nie będzie można wstrzyknąć płynu? Chwileczkę, staram się to sobie zanotować, tak... należy owinąć kończynę watą namoczoną w płynie i obandażować... a następnie polewać watę płynem co jakiś czas. Jeszcze tylko jedno chciałem wiedzieć... czy wstrzykuje się płyn do jamy brzusznej i śródpiersia?

„Przerazające!” - pomyślał Walter i mimo upału dostał gęsiej skórki, a szczecina na grzbiecie zjeżyła mu się ze strachu. Tymczasem dwaj młodzi ludzie doszli do podnóża białych marmurowych schodów biegnących lukawo do portyku, a stamtąd na werandę. Nie przestając gadać bzdur zaczęli wchodzić do góry.

- A co z prawami jednostki, importowanymi wraz z zachodnim systemem prawnym? Czy nie zasługują na uznanie, Matthew?

- Wolność jednostki kosztem jadła, ubrania i harmonijnego życia, kosztem dawania się oszukiwać przez system stworzony na korzyść ludzi posiadających kapitał? Gdybyś zapytał kulisów mieszkających w barakach w Rangunie, umierających setkami z niedożywienia i chorób, jestem pewien, że odpowiedzialiby, że chociaż wolność jest cudowną rzeczą, w tym stanie, w jakim się obecnie znajdują, niewiele może im pomóc. Po co nazywać kogoś wolnym, jeśli nie jest gospodarczo wolny, przynajmniej w pewnym stopniu... Prawda?... Ale brak wolności jednostki może przerazić angielskiego intelektualistę siedzącego przy swym biurku z gorącym obiadem w brzuchu.

- Lecz jeśli nawet przyznać, a ja nie mówię, że to robię - odparł Ehrendorf - iż położenie krajowców w koloniach brytyjskich i innych jest niekorzystne lub nawet że są oszukiwani czy wykorzystywani, czy twierdzisz, że byłoby im lepiej, gdyby ich pozostawić samym sobie? Ja bym powiedział, że kapitał zachodni jest po prostu gorzką pigułką, którą muszą przełknąć, jeśli mają kiedykolwiek osiągnąć wyższy stopień cywilizacji... Innymi słowy, że kapitalizm jest jak choroba, której żadna kultura tradycyjna nie może się oprzeć i że w takim razie na Malajach i w innych koloniach mogłoby być gorzej, a będzie z pewnością lepiej.

- Może kiedyś - rzekł Matthew powątpiewająco - w przyszłości, ludzie obejrzą się za siebie i powiedzą, że była to tylko gorzka pigułka, którą musieli przełknąć, aby osiągnąć obecny stan szczęśliwości, ale na

razie widać tylko, co stracili wraz ze swoim tradycyjnym stylem życia, ale niełatwo dojrzeć, co zyskali. W niektórych krajach lepsze leczenie, ale głównie do zwalczania nowych chorób, które sami przywieźliśmy. Wykształcenie... głównie po to, aby mogli być bezrobotnymi lub wyszukiwanymi urzędnikami w naszych firmach albo administracji państwowej... i tak dalej.

- Walter, jesteś tu? - zawołał doktor Brownley, który zakończył rozmowę telefoniczną, a teraz zajrzał na zaciemnioną werandę. - Och, jesteś. Z początku cię nie widziałem. Co za sprawa! - dodał ocierając chustką czoło. - Wygląda na to, że musimy umyć całe ciało płynem, wyłącznie z twarzą, uszami i włosami... I możemy pozbyć się wszelkich plam pośmiertnych na twarzy stosując masaż.

Walter nie odpowiedział. Patrzył na sylwetki Matthew i Ehrendorfa, którzy przystanęli przy siatkowych drzwiach werandy i spoglądali na reflektory niespokojnie omiatające niebo nad dokami. Doktor Brownley, w roztargnieniu, zadumał się nad sprawą, która zaprzętała jego umysł niemal całkowicie w ciągu ostatnich kilku dni: idąc sobie ulicą niewinnie, z pogodnym, niezmaczanym troską wyrazem twarzy zawędrował wzrokiem za szybę okna wystawowego Whitewaysa i tam, na nieszczęście, napotkał bazyliszkowe oko pewnego przedmiotu, który w nim wzbudził bezgraniczne pożądanie, ale kosztował 985 dolarów i 50 centów. Jak człowiek może sobie pozwolić na zapłacenie takiej sumy? Tak, ale jak człowiek mógłby się obyć bez takiego czegoś? Trudny wybór dla doktora. Lecz najpierw musi zabalsamować tego cholernego Langfielda.

- Wydaje mi się - rzekł Matthew z westchnieniem - że jest tylko jeden sposób, w jaki nasi kulisi mogliby skorzystać na kontaktach z nami...

- A jaki to sposób, jeśli łaska? - zabrzmiał z wewnątrz ponury głos Waltera plosząc młodych ludzi.

- O, jak się masz, Walter! No więc, przez wyrzucenie nas stąd i zajęcie się plantacjami i kopalniami dla własnego zysku. Innymi słowy, przez rewolucję! - Matthew uśmiechnął się ze znużeniem. - Jedyne kłopot w tym, że rewolucja rzadko cokolwiek naprawia, a bardzo często pogarsza.

- Bo ona też podlega memu Drugiemu Prawu - rzekł z uśmiechem Ehrendorf.

- Ale ja nie chciałem z tobą o tym mówić, Walter. Chciałem poprosić cię o pomoc w całkiem innej sprawie.

- A cóż to za sprawa? - Głos Waltera nie brzmiał zachęcająco. Matthew wyjaśnił, że usiłuje pomóc pannie Chiang w wyjeździe z Singapuru, ponieważ w razie dostania się miasta w ręce Japończyków, byłaby narażona na szczególne ryzyko. Uzyskanie jednak paszportu i zezwolenia na wyjazd dla niej wydawało się niemożliwe. Czy Walter nie mógłby zrobić czegoś w tej sprawie?...

- Nie widzę możliwości - odparł Walter gniewnie. - Przy tej całej biurokracji nie mogę w ogóle nic ostatnio załatwić. - I chociaż było w tym źdźbło prawdy, Walter nie miał zamiaru pomóc. Uważał to za oznakę „ducha czasu”, że Matthew doprasza się względów do Eurazjatki nie zachowując choćby pozorów, jakby była ona jego żoną.

- Sądziłem, że może łatwiej byłoby dla niej o zezwolenie na wyjazd, gdyby mogła wyjechać z kimś, kto ma brytyjski paszport. Czy Joan nie będzie wkrótce wyjeżdżała? Jeśli tak, może by wyjechała z Joan?

- To zależy od Joan - odparł Walter krótko. - Zapytaj ją i Nigela. - Z tonu jego głosu wynikało, że nie chce dłużej rozmawiać o tej sprawie.

Kiedy dwaj młodzi mężczyźni wyszli, tym razem w milczeniu, doktor chrząknął.

- Słuchaj, Walter. Czy nie mógłbyś mi trochę pomóc w stołowym? Przez te cholerne naloty nie mogę znaleźć nikogo innego do pomocy. Ta cała robota nie powinna być na szczęście trudna, ale ja jeszcze nigdy nie musiałem nic takiego wykonywać!... A przy okazji, dopilnuj, żebym nie zapomniał zatkać odbytnicy, ust i nosa watą nasączoną płynem do balsamowania. Ach, i jeszcze jedno: chciałem cię zapytać, czy twoim zdaniem udziałowcy firmy Langfield i Bowser chcą zachować ciało na długo? Nie chcą go chyba trzymać w szklanej trumnie w sali konferencyjnej? Bo jeśli tak, będziemy go musieli natrzeć mnóstwem wazeliny i zabandażować, żeby nie wysychł... Słuchaj, Walter, co ci jest?

- Postaram się, żeby miała pieniądze, oczywiście, i zajmę się sprawą biletu. Myślmy, że łatwiej byłoby uzyskać dla niej zezwolenie na wyjazd, gdyby była zatrudniona, choćby symbolicznie, u kogoś z brytyjskim paszportem. Nie sprawi żadnego kłopotu Joan, gwarantuję.
- Nigel - zawołała Joan do narzeczonego, niewidocznego w pokoju za jej plecami - Matthew pyta, czy możemy kogoś wziąć z sobą! Nie sędzę, abyśmy mogli, prawda?
- Myślę, że chyba nie zdajesz sobie sprawy, jakie to ważne...
- Eurazjatkę, mówisz? Jakąś amah? Służącą? Doprawdy, to niemożliwe.
- Nie służącą... przyjaciółkę.
- Bardzo żałuję.
- Joan, to nie jest nikt obcy. To osoba, którą znasz. Będzie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdy Japończycy zajmą Singapur i znajdą ją tutaj. Vera mówiła mi, że byłaś przy tym, jak ją aresztowali w Szanghaju... Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, co się stanie, kiedy ją tu znajdą!
- Nigel, nic na to nie poradzimy, prawda?

Z głębi pokoju dobiegła odpowiedź, której Matthew nie zrozumiał.

- Żałuję, ale panna Chiang powinna była wcześniej o tym pomyśleć. Obawiam się, że nic na to nie poradzimy.

- Więc niech cię diabli wezmą, ty suko! - wykrzyknął Matthew głosem, który zaskoczył nawet jego samego. Odkąd Tanglin, Beach Road i centrum miasta dzień po dniu dewastowano nalotami, wielu Europejczyków wreszcie zdało sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa, na jakie są narażeni. Jeśli nawet wciąż wydawało się nieprawdopodobne, że Japończycy zdołają wylądować na samej wyspie Singapur, pozostawał jeszcze fakt, iż ich panowanie na niebie, którego już nie poddawały w wątpliwość nieliczne i wciąż zmniejszające się jednostki RAF-u, mogło doprowadzić do całkowitego zniszczenia. Japońskie bombowce stały się tak pewne siebie, że obe

466
 cnie huczały nad miastem bezustannie za dnia, latając na ogromnej wysokości ponad dwieście tysięcy stóp wielkimi grupami, które z niewiadomych przyczyn zawsze były wielokrotnością dwudziestu siedmiu, sprawiając, iż Europejczycy na ziemi zaczęli się dopatrywać czegoś złowrogiego i niezwyklego w japońskiej arytmetyce. Na takiej wysokości bombowce były znacznie poza zasięgiem lekkiej artylerii przeciwlotniczej stanowiącej główne wyposażenie obrony singapurskiej. I tak wreszcie w umysłach mieszkańców miasta zaświtała prawda: że zaatakowani z powietrza są bezbronni.

Wiele Europejek, które przedtem dzielnie oświadczyły, iż wytrwają, teraz jakby nieco zmiękło albo przynajmniej uległo żądaniom mężczyzn, aby natychmiast wyjechały. Wynik był taki, że codziennie przed biurami linii okrętowych zbierały się tłumy pragnące wyjechać do Europy, Australii lub Indii. Ale choć na początku miesiąca z Singapuru wypłynęło wiele statków z wolnymi miejscami (pani Blackett i pani Langfield dziwiły się, że pokłady są puste, a salony „Narkudy” głucho), obecnie człowiek czuł się szczęśliwy, jeśli zdobył byle jaką kaję na statku udającym się gdziekolwiek bądź. Było to częściowo wynikiem chaosu w dokach, gdzie wyładunek niemal ustał podczas bombardowań, a częściowo zmniejszonej zdolności RAF-u do obrony konwojów wpływających na wody w pobliżu wyspy, obecnie uznane za niebezpieczne w promieniu dwudziestu lub więcej mil od brzegu ze względu na bombowce japońskie.

Wysiłki Matthew, aby pomóc Verze, były jak dotąd udaremniane w równej mierze przez kłopotliwe przepisy wyjazdowe z kolonii, co przez gwałtownie wzrastającą ilość pragnących wyjechać. Ponadto jego obowiązki strażaka pochłaniały tyle czasu, że pozostało mu go niewiele na pomoc i podtrzymywanie jej na duchu. Największą trudność sprawiało znalezienie miejsca, dokąd mogłaby się udać. Po całym szeregu żmudnych i czasochłonnych dowiadywań się, zdołał w końcu odkryć, że polityką rządu było, aby zezwolić na wyjazd wszystkim kobietom i dzieciom, niezależnie od rasy. Sądził, że na początek najlepiej byłoby wysłać Verę do Australii... lecz Australia zgodziła się przyjąć tylko ograniczoną liczbę Azjatów i Vera wróciła z australijskiego tymczasowego biura imigracyjnego przygnębiona i zmęczona wielogodzinnym wyczekiwaniem, nic nie

załatwiwszy.
 Czemu jej odmówiono? Czy ma papiery nie w porządku, czy też jest jakaś inna przyczyna? Vera pokręciła głową, nie mogła wydobyć żad

nych wyjaśnień od zmęczonych i zniecierpliwionych urzędników. Jej papiery z pewnością nic wyglądały przekonująco. Zgodnie z rozporządzeniem w Sprawie Cudzoziemców, z 1932 roku, otrzymała jedynie zezwolenie na zejście na ląd, które musiała wymienić na zaświadczenie pobytu ważne na dwa lata i podlegające odnowieniu, Matthew poprawił okulary i przyjrzał się dokumentowi ze zważeniem: stwierdził on jedynie, że Vera jest imigrantką zamieszkałą w Straits Settlements, Gdyby potrzebowała paszportu, czy otrzymałaby go w tej ostatniej chwili? I jaki kraj dałby jej paszport? Czas tak szybko upływał. Podtrzymywała go jednak na duchu świadomość, iż oficjalną polityką rządu było, aby Vera, wraz z innymi kobietami, opuściła wyspę, jeżeli tego pragnęła.

Następnie Vera udała się do innego biura, aby się dowiedzieć, czy otrzyma zezwolenie na wyjazd do Indii. Znowu musiała czekać wiele godzin i znowu okazało się, że na próżno. Tym razem, chociaż nie było przeszkód rasowych jak w przypadku Australii, zażądano od niej dowodu, że będzie miała dość pieniędzy, aby się mogła utrzymać w Indiach. Nic miała żadnego i zanim Matthew wystarał się dla niej o list kredytowy Banku Szanghajsko-Hongkongskiego i wysłał ją tam ponownie, minęły dwa cenne dni i Vera znów musiała ustawić się w długiej kolejce ludzi oblegających biuro, które się zamknęło, gdy jeszcze była daleko. Co gorsza, Matthew widział, że poza zmęczeniem i rozczarowaniem wpadła w nastrój fatalistyczny - już nie wierzyła, że otrzyma zezwolenie* nie na wyjazd z Singapuru przed przybyciem Japończyków. Matthew, który tymczasem stał w innej kolejce, w Protektoracie Chińskim, aby uzyskać dla niej zezwolenie na wyjazd, zaczął się w głębi duszy zastanawiać, czy nie ma racji. Starał się jednak jak umiał ją uspokajać, mówiąc, że na pewno zdoła wyjechać i że to absolutnie nieprawdopodobne, by Japończycy zajęli Singapur.

Matthew był tak wyczerpany w ostatnich dniach, że spędzał nieliczne wolne godziny jak w transie. Jeśli gdziekolwiek usiadł na chwilę, zaraz zasypiał. Jego umysł działał jakby na zwolnionych obrotach. Czuł, że gdyby tylko mógł się wyspać, wówczas może wymyśliłby jakieś rozwiązanie, jakiś sposób przebicia się przez ten kłopotliwy labirynt administracyjnych zarządzeń. Trzeba jeszcze dodać do tego, z jakim trudem załatwiała się w czasie ciągłych nalotów najprostsze formalności. W poszukiwaniu jakiegoś dokumentu szło się do biura, by się przekonać, że zostało ewakuowane nie wiadomo dokąd. Potem następowały dalsze wyczerpujące poszukiwania przez inne biura, które same mogły zostać przeniesione w bezpieczniejsze miejsce gdzieś za miastem, aby znaleźć właściwy urząd.

Stojąc w kolejce w Protektoracie Chińskim Matthew dowiedział się od oczekujących, że Vera będzie potrzebowała zdjęć paszportowych, aby uzyskać zezwolenie na wyjazd. Nic miała ich i ostatnio zrobienie takich stało się niemożliwe, Change Alley, w której niegdyś było roj- no od fotografów aż nadto chętnych, aby cię sfotografować w jakiegokolwiek oficjalnej pozycji lub nawet w tekturowej gromadzie wśród tygrysów i palm, obecnie opustoszała, bo fotografowie byli Japończykami i teraz umieszczono ich w obozie dla internowanych. Cóż więc można było zrobić? Matthew zastanawiał się, czy nie kupić aparatu i nie zrobić zdjęć samemu, ale to nie miało sensu, bo jeszcze musiałby znaleźć kogoś, kto wywoła kliszę i zrobi odbitki. Co gorsza, Matthew słyszał od majora, który z kolei słyszał od kogoś w sztabie Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej, że transportowce „West Point” i „Wakefield”, które wiozły 18 Dywizję, mają wkrótce zabrać wielką ilość kobiet i dzieci, jeżeli zdołają uniknąć japońskich bombowców. Świadomość, że tylko biurokratyczne formalności nie pozwalają Verze skorzystać z tej sposobności ucieczki, napępiała Matthew goryczą i rozpaczą. Po pięciu dniach wędrowania z nią po upalnych i coraz bardziej zrujnowanych ulicach w ostatnim tygodniu stycznia, zmuszony kryć się co jakiś czas w najbliższej studzience burzowej, Matthew czuł się straszliwie wyczerpany.

- Nic martw się, znajdziemy jakieś wyjście - powiedział, gdy żegnał się z nią któregoś popołudnia po jeszcze jednym nieudanym poszukiwaniu fotografa. - Czy ty nie miałaś kiedyś aparatu? - Pamiętał, że chciała mu kiedyś pokazać fotografie jego ojca. Tak, ale to był tylko aparat pudełkowy, a i tak został skradziony. Vera leżała na swoim łóżku w jakiejś dziwnej skrzyżowanej pozycji, istny obraz beznadziejności. Uśmiechnęła się jednak do niego słabo i powiedziała, żeby się nie martwił. Po jego wyjściu wstanie i pójdzie zobaczyć się z kimś, kto pewnie jej pomoże. W kilka godzin później, wracając z doków ze swoim oddziałem P.S.P. z Mayfair, przejeżdżał koło jej domu i poprosił majora, aby zatrzymał się na chwilę, żeby móc pójść i dowiedzieć się, czy się jej udało. Z powodu napływu uciekinierów z Grobli ilość mieszkańców domu czynszowego Very znacznie się powiększyła i Matthew miał trudności z przedostaniem się do jej klitki między śpiącymi na schodach i w korytarzu ludźmi. Gdy wreszcie tam dotarł, stwierdził, że Vera wciąż leży na

łóżku w tej samej dziwnej pozie, w jakiej ją zostawił. Sprawiała wrażenie, jakby straciła ochotę na wszystko absolutnie.

- Musisz pojechać ze mną do Mayfair - powiedział. - Weź szczoteczkę do zębów i co tam jeszcze potrzebujesz.

Lecz Vera pokręciła głową.

- Nie, Matthew. Lepiej zostanę tutaj. Zaraz przyjdę do siebie.

- Ale tu jest niebezpiecznie. Jesteś za blisko doków i rzeki.

Znowu pokręciła głową. Nie było siły, by zmieniła zdanie.

- Muszę iść. Czekają na mnie przed domem. Ty leż i odpoczywaj... Wiem, jaka musisz być zmęczona. I nie martw się o fotografie. Ja coś wymyślę...

Powróciwszy do Mayfair i mimo uspokajających słów, jakie wypowiedział do Very, w dalszym ciągu nie miał pojęcia, co robić; nagle Matthew ujrzał uśmiechniętą twarz pana Wu, z którym rozmawiał przedtem o trudnościach ze znalezieniem fotografa. Pan Wu zdążył tymczasem rozwiązać ten problem. Miał udział w chińskim dzienniku, który niewątpliwie zatrudnia fotoreportera. Wystarczy tylko zatelefonować i wieczorem Vera będzie miała swoje fotografie. Rozwiązanie wydawało się za dobre, by mogło być prawdziwe.

Choć bardzo zmęczony, Matthew wyruszył znowu, tym razem na pożyczonym rowerze, aby przekazać dziewczynie tę radosną wiadomość. Na ulicach zaczynało właśnie świtać. W Dzielnicy Chińskiej, po nocnej godzinie policyjnej, pojawiły się pierwsze cieniste postaci. Jadąc wzdłuż Southbridge Road Matthew zdziwił się jednak na widok ogromnego tłumu kobiet i dzieci zgromadzonych przy jednym z budynków i pomyślał: „Boże! Czegóż oni mogą chcieć o tej porze?” Lecz zaraz zdał sobie sprawę, że czekają na otwarcie biura paszportowego, i serce mu zamarło na myśl, iż fotografie to tylko początek.

Vera spała, a kiedy ją zbudził i powiedział o fotografiach, patrzyła na niego zamglonym wzrokiem.

- Nie rozumiesz? - wykrzyknął z irytacją. — Teraz będziemy mogli dostać zezwolenie na wyjazd i wszystko inne! - Był zły, że nie zareagowała na wiadomość z entuzjazmem. Zdawało mu się, że zwątpiła właśnie w chwili, gdy otworzyła się przed nią szansa powrodozenia. Ale jego złość natychmiast się rozviała. - Nie wolno ci tracić nadziei - rzekł łagodnie. - Kiedy ostatni raz jadłaś? - Poszedł do kramów z jedzeniem na końcu ulicy i zaraz wrócił z zupą i miseczką smażonego ryżu. Musiał ją karmić pałeczkami jak dziecko: była skrajnie wyczerpana. Karmiąc

mówił, aby ją podnieść na duchu: gdy będą mieli fotografie, pójdą do Protektoratu Chińskiego i wydobędą dla niej pozwolenie na wyjazd i inne potrzebne papiery. Ostatecznie przecież władze chcą, aby wyjechała! Same to oświadczyły! Potem pójdą i wykupią jej koję na statku do Kolombo albo do Anglii. Każe jej tam wysłać pieniądze na jakiś bank. Zamieszka sobie w hotelu, a on przyjedzie do niej, jak tylko zdoła się wydostać z Singapuru. Jutro wieczorem, a może pojutrze, powinni mieć już wszystkie konieczne papiery, a wtedy pójdą razem do biura linii okrętowych i wciągną ją na listę pasażerów. Z całą pewnością zdążą, aby się mogła dostać na jeden ze statków, które wkrótce odpłyną.

- Nie chcę wyjeżdżać bez ciebie.

- Ale musisz. Jeżeli Japończycy zajmą Singapur...

- Zawsze mówiłaś, że nie zajmą - powiedziała uśmiechając się nareszcie.

- Może nie zajmą. Kto wie? - Matthew w końcu sam już nie wiedział, czy wierzy, że Singapur się utrzyma. - Muszę teraz iść, zanim się rozpoczną poranne naloty. Masz gdzie się schronić, jeśli bombowce atakują tę dzielnicę?

Vera potrząsnęła głową.

- Nie martw się. Czuję się już lepiej. - Znowu uśmiechnęła się i ścisnęła jego rękę. - Przepraszam, że taki ze mnie słabeusz.

- Wcale nie jesteś słabeusz - zaprotestował Matthew, zachwycony, że trochę poweselała. - I nie zapomnij coś dzisiaj zjeść, choćby to były dwie białe myszki na grzance.

W tydzień ostatnich dniach stycznia goieral Percivał nabrał zwyczaju wstawania przed świtem, by spędzić godzinę w swoim biurze, przed udaniem się samochodem do Johore tuż za Groblą, gdzie obecnie toczyły się walki. Było więc zazwyczaj ciemno za oknem łazienki, kiedy I się golił. Lecz noc miał niespokojna i tym razem znalazł się w łazience trochę później niż zwykle—niebo zaczynało jaśnieć, kiedy przeciągnął dłonią po szczebiastej brodzie. I wie sprawy ogromnej wagi zaprzęta- Ily jego pogrążony w pół lnie umysł dopominając się: „Pamiętaj o nas j u- tfo!” Lecz teraz, gdy starał się je wywlec na światło dzienne, nie wierzył, że mógł je brać poważnie. Jeden z tych niepokojów dotyczył transportu; perspektywa, że wszystkie samochody i ciężarówki w jego armii będą miały jednocześnie przebite opony powodując unieruchomienie sił brytyjskich, bardzo go niepokoiła. Czyżby chodziło tylko o to? Najwyraźniej tak,

O cóż więc byto się martwić? Postanowił w ciągu nocy, że musi wydać rozkaz, aby natychmiast zamknięto dopływ wody do wszystkich ciekących kranów, wojsk/mydl i cywilnych, i wymieniono w tych kranach uszczelki. To też byto śmieszne, ale przynajmniej wiedział, skąd wzięto, Poprzedniego dnia odbył krótką rozmowę z generałem brygady Simsonem, głównodowodzącym Obrony Cywilnej, który wypowiedział kilka ponurych uwag na temat zaopatrzenia Singapuru w wodę. Okazuje się, że Ui, w tropikach, gdzie nie istnieje niebezpieczeństwo zamarzania rur, inżynierowie miejscy nie zakopali ich głęboko w ziemię, fak jak w Anglii, stad są narażone na zbombardowanie, Już teraz uległy poważnym uszkodzeniom,

W chwili przebłysku intuicji zdał sobie również sprawę, co było źródłem jego zmartwienia o przebite opony samochodów,, byt nim lęk, że zarówno 53 (brytyjska) Brygada jak i siły Segamat mogą zostać odcięte przez Japończyków, nim zdaża się wycofać przez przewężenie w Yong Peng jteez to niebezpieczeństwo, dzięki Bogu, już minęło, Dziwne, że jeszcze dręczy go w snach, Ale,, odsunął na bok tę sprawę. Miał ważniejsze rzeczy do przemyślenia.

Nie myślał jednak o nich, gdy zaczął się golić Myślał o innych rzeczach, o gubernatorze, o zbiornikach paliwa, o twojej matce w Hert- fordshire. Jaki straszny był ten rok 1941! A wydawało się, że zaczął się tak dobrze, kiedy go mianowano głównodowodzącym w Singapurze. W kwietniu, nim opuścił Anglię, umarła nagle jego matka. Prawda, że była! już stara, ale dla niego byt to wielki cios. Mimo to ostatnio, gdy bywa w ponurym nastroju, przychodziło mu na myśl, że może ta imierć była dla niej w pewnym sensie błogosławieństwem, bo oszczędziła jej niepotrzebne zmartwienia o syna.

Zastygł w bezruchu z umiętóna brzytwą, patrząc na swoją namydloną twarz w lustrze. Dowódca musi być mężczyzną silnym, zdecydowanym i władcym jak generał Dobbie, który niegdyś niewątpliwie golił się przed tym właśnie Hmtrem. Lecz jego własna twarz, z tą gęstą białą brodą z piany, też wyglądała na dostatecznie władcą i zdecydowaną. Pieczołowicie, byt bowiem oficerem sztabowym wystarczająco długo, by wiedzieć, że należy być skrupulatnym odnoime Meżę&ów, zaczął atakować obrzeża piany, spychając ją z okolic uszu i krtani małymi po- ciągnięciami ostrza w kierunku brody, ust i wąsika. Tutaj niebawem zmusi ją do poddania się, jeśli może liczyć na swe doświadczenie, i skończy z nią kilkoma zdecydowanymi ruchami

Tymczasem jego umysł znów zaczął czerpać pożywkę z tego ciągu niepowodzeń, który tak nagle na mego spadł. Jeszcze me minął rok od śmierci matki, a już cała jego kariera i być może nawet życie znalazły się w niebezpieczeństwie. Byt na (roncie zachodnim w czacie wojny światowej i miał oczy otwarte, Tak, wiedział, o co «zto! Prawda bowiem jest taka, że jeśli się nie byto na froncie zachodnim, nie byto się nigdzie,, przynajmniej w oczach „góry”. To tamo odnosi sse do tej wojny. Od początku ani chwili w to nie wątpił. Dość spojrzeć na przestarzały ekwipunek i niewykszolonych ludzi, różne wyblórki i hołotę z Indii i Australii, mówiącą wszelakimi językami Dość zobaczyć, jak jego najlepszych oficerów zabiera się do zadawania szyku na śród- kowo-wschodnim i europejskim teatrze wojny, by wiedzieć, że w Whj- tehał niewiele się troszczą o Dowództwo Malajskie. Wielkie stawy narodzą się w Europie - tak było zawsze i tak będzie teraz, Europa jest dla żołnierzy modnym miejscem pokazu swych umiejętności Tutaj ktoś może dokonywać cudów strategii wojskowej i co mu z tego? Nikt nie zwróci na to najmniejszej uwagi. Ale mech się ktoś potknie, ohohof Wtedy się wszystko zmienia.

- Tutaj można sobie tylko złamać karierę, ale nie zrobić. W każdym razie nie ziemską.

Klamka zgrzytnęła cicho, kiedy ktoś spróbował dyskretnie otworzyć drzwi, lecz były zamknięte na klucz. Czy to możliwe, że Pulford już wstał? Percival znów zastygł bez ruchu, aby przypuścić atak na flanki wzdłuż szczęki, od strony prawego ucha. Jeśli to rzeczywiście Pulford, musi być zatem później, niż mu się zdawało. Zwykle wyprzedzał Pulforda o cały ciąg czynności, aż do usadowienia się przy stole śniadaniowym. Biedny Pulford! Jego kariera też zawisała na przestarzałym sprzęcie... pomyśleć tylko, że się wysłała stare nieszczęsne Vildebeeste przeciw nowoczesnym japońskim myśliwcom! Percival polubił Pulforda, częściowo z samotności, bo obaj nie mieli z sobą rodzin. Ani przez chwilę nie żałował, że zaprosił go do swego mieszkania. Człowiek potrzebuje wiernego przyjaciela w miejscu tak pełnym intryg i oszczerstw jak Singapur.

- Oni wszyscy nic, tylko pilnują własnych interesów, każdy co do jednego, od gubernatora poczynając!

Jakże można oczekiwać od głównodowodzącego sił malajskich, by bronił kraju, którego mieszkańcy robią wszystko, aby zniweczyć jego inicjatywę! Co się stało z Siłami Ochotniczymi Straits Settlements, na przykład? Można długo pytać! Siły ochotnicze! Kiedy próbował wezwać część tych sił na przeszkolenie, cywile podnieśli taką wrzawę, że rząd wymusił na nim rezygnację z reszty programu szkolenia. Czemu? Bo winę za wybuch strajków na plantacjach przypisano temu, że nie było tam Europejczyków... Prawda zaś jest taka, iż robotnikom za mało płacono. Naturalnie zaprotestował. Ale to strata czasu! Gubernator pomachał mu przed oczyma zarządzeniami Ministerstwa Kolonialnego - dowodziły one, że zwolnienie od ćwiczeń nie powinno następować według zasad, które on (głównodowodzący) uznał za stosowne, „lecz według tego, co gubernator uważa za konieczne dla utrzymania produkcji cyny i kauczuku”.

A teraz, gdy wycofanie się na wyspę stało się nieuniknione (co tam! „Ucieczka” na wyspę), kto w to uwierzy? Znowu robi kawały! Tym razem sir Shenton nie chce interweniować w Protektoracie Chińskim, który odmawia zezwoleń na wyjazd Chińczykom pragnącym opuścić kolonię. Percival postarał się wyłożyć to gubernatorowi jasno: w bardzo niedługim czasie zostaną oblężeni na wyspie już teraz rojącej się od

474

uciekierów. Cywilom trzeba nie tylko pozwolić na wyjazd, ale wręcz zachęcić do niego, a w razie konieczności zmusić. Ale nie, gubernator nie chciał nawet słuchać... dla niego ten cały interes z zezwoleniami na wyjazd to jeszcze jeden rozdział w dziejach, które zaczęły się na długo przed inwazją. Sir Thomas Shenton był zbyt dostojną osobistością, aby chcieć się tłumaczyć przed głównodowodzącym. Lecz Percival dowiedział się o wszystkim z innych źródeł. Najwyraźniej społeczność chińska żywiła ogromną antypatię do dwóch wyższych urzędników sekretariatu chińskiego - urzędnicy owi mieli obsesję na punkcie konieczności wykorzenienia komunistycznych przecieków do kolonii i nawet najazd Japończyków na Johore nie osłabił ich zapału w ich antykomunistycznej misji. Byłoby rozsądniej pozbyć się tych ludzi już jakiś czas temu, aby przeciągnąć ludność chińską na brytyjską stronę, lecz tego gubernator nie chciał zrobić. W grę wchodziła godność rządu brytyjskiego. Nie można, jego zdaniem, zacząć ulegać żądaniom miejscowej ludności. No cóż, tym gorzej dla wszystkich. Wielu ludzi próbowało robić gubernatorowi z tego powodu wymówki, na przykład Simson, komendant obrony cywilnej, i szereg wpływowych chińskich biznesmenów. Wielu Chińczyków znalazłoby się na japońskich listach śmierci, gdyby Singapur upadł. Ale wszystko na nic.

Percival skrobał systematycznie brzytwą swoją władcą twarz z białą brodą. Stopniowo, w miarę jak brzytwa posuwała się naprzód, a biała broda odpadała, rysy w lustrze stawały się bardziej niepewne - ukazała się dość delikatna szczęka, za nią niezbyt silny podbródek i usta za mało stanowcze na wąsik na górnej wardze. Tym niemniej była to twarz człowieka, który pragnął postępować jak najlepiej. Percival umył brzytwę starannie i wytarł lekko zdyszany. W chwili, gdy to robił, klamka znów się poruszyła.

- Chwileczkę! - zawołał. Cisza i niejasna atmosfera oczekiwania odpowiedziały mu zza drzwi. Ale czemu, dziwił się Percival, Pulford musi korzystać z tej łazienki, skoro ma własną? Być może zostawił tu swoje przybory do golenia. Niewątpliwie ta dość zużyta szczoteczka do zębów do niego należy. Percival przyjrzał się z dezaprobatą jej zwichrzonym i wyliniałym włoskom - wyglądała, jakby ordynans czyścił mu nią insygnia na czapce.

Jego wzrok powrócił do lustra, by przyjrzeć się z sympatią ogolonej, ale ściągniętej twarzy. W Singapurze znużenie stawało się chorobą o

475

epidemicznych proporcjach, a ostatni tydzień był zapewne najbardziej wyczerpujący w życiu Percivala; spędził go w długich podróżach samochodem na front i z powrotem na konferencje z dowódcami. Aby jednak uniknąć kłeski, postanowił, że musi sam nadzorować obrony Johore,

Niestety, jakby tego jeszcze było za mało, myślał szorując wystające zęby proszkiem z okrągłej puszki przy lustrze, to Gordon Bennett popełnił błąd. Według Percivala nie było wcale zaskakujące, że popełnił błąd, zważywszy na jego mentalność i kapryśne postępowanie. Na nieszczęście nie można było nic zrobić z Bennettem nie narażając się na obrazę rządu australijskiego. Bennett ponadto wywarł dobre wrażenie na Wavellu, i ten ostatnio uparł się, aby mu powierzyć obronę zagrożonego zachodniego wybrzeża, które to zadanie dotąd spoczywało na sponiewieranym III Korpusie. A przecież to właśnie Bennett pozostawił na tym wybrzeżu nieszczęsną, nie wyszkoloną 45 Brygadę Indyjską do zabezpieczenia linii komunikacyjnej na południe od rzeki Muar, przed atakami lądowo-morskimi. Japończycy naturalnie szybko się uwinęli z otoczeniem 45 Brygady i wszelkie wysiłki ocalenia jej zawiodły. Szczęście, że w końcu udało się ewakuować resztę sił kolejną i główną szosą, nie dopuszczając do odcięcia znacznej ich części przez japońskie natarcie z wybrzeża. Percival westchnął. Teraz stało się w każdym razie jasne, że odwrót na wyspę Singapur będzie nieunikniony.

Od rozpoczęcia wojny na Malajach zdarzały się takie chwile, kiedy Percivala nawiedzała niezmiernie dziwaczna myśl. Chociaż jako pragmatyczny żołnierz robił, co mógł, aby ją odpędzić, powracała coraz częściej, zwłaszcza w ostatnich dniach. Teraz znów go nawiedziła, kiedy przerzucał ręcznik przez ramię i otwierał drzwi.

- Dzień dobry - rzekł do Pulforda, który krążył przygnębiony po przedpokojach w piżamie koloru lotniczego. Pulford miał też wychudłą twarz, lecz bardziej poraną zmarszczkami i sterczące uszy. Ponadto jego wąsik był wyraźnie mniej bujny... mała plamka w rowku pod nosem, rozpełzająca się na boki nad górną wargą. Mimo to jego rysy świadczyły, że jest przyzwoitym człowiekiem, na którym można polegać. - Potrzebna ci nowa szczoteczka, mój stary - powiedział mu Percival w przejściu.

- Naprawdę? - zapytał Pulford, nieco zaskoczony. Niestety ta wymiana zdań nie wystarczyła, aby oderwać Percivala od nowego biegu myśli, które można by streścić w jednym, prostym pytaniu. Czy ta kampania, w której brały udział czołgi, okręty i samoloty i w której już zginęły tysiące żołnierzy, nie została przypadkiem wymyślona i pokierowana przez Los albo niewidzialną rękę jedynie po to, aby zadrwić sobie z jego prywatnych nadziei i ambicji? Percival był niena- wykły do myślenia w takich kategoriach. Był człowiekiem praktycznym. Nie wierzył w „niewidzialne ręce”. Tego rodzaju sprawy były w jego pojęciu bzdurami. A mimo to sposób, w jaki raz po raz w liniach jego obrony występowała skaza, najpierw na jednej flance, potem na drugiej... sposób, w jaki zawsze okazywało się, że brakuje jednego elementu (na przykład lotniskowca, który mógłby zapobiec zatopieniu „Prince of Wales” i „Repulse”, ale osiadł na mieliźnie w drodze do Singapuru - a czy tak często w życiu człowieka lotniskowce osiadają na mieliźnie, że ten musiał to zrobić w tym jednym jedynym wypadku, gdy on go potrzebował?), jednego elementu, który w odpowiednim czasie zburzy kluczową część umocnień obronnych wznoszonych przez niego, i właśnie to zaważyło na Percivalu, jak musiałoby zaważyć na każdym rozsądnym człowieku.

Percival wiedział, że gdy się jest zmęczonym, widzi się niektóre sprawy w wyolbrzymionych proporcjach. On był zmęczony. Wiedział to i przyznawał wprost. Mimo to był świadom ryzyka i zdecydował się być obiektywnym. Interesowało go tylko to, o czym świadczyły fakty. Otóż fakty były takie, że wszystkie pozornie przypadkowe wypadki losowe, wszystkie pechowe zdarzenia zaczęły się teraz (człowiekowi, który wkładał właśnie swoje chude nogi w tak szerokie szorty, że mógłby się w nich zmieścić nie tylko sam głównodowodzący, lecz także któryś z członków jego sztabu na dokładkę) wydawać podejrzenie wymierzone w niego. Bo gdy wnikliwie rozważyć to, co się stało, i zachować obiektywizm, można zobaczyć, że jakaś niewidzialna dłoń wyraźnie manipuluje tym, co można by uważać za normalny bieg wypadków. Zupełnie jakby podcinała szereg ważnych szczebli na drabinie życia.

Obrona Malajów została zorganizowana przed wojną w oparciu o założenie, że RAF rozbije siły wroga, jeszcze nim zdążą one dobiec do brzegów. Lecz w tym wypadku RAF, cierpiący na podejrzaną brak samolotów, nie zdołał tego uczynić. No cóż, trudno. Był zajęty gdzie indziej. Takie rzeczy się zdarzają. Ale jeśli postawiwszy nogę na szczeblu RAF -u i usłyszawszy, jak pęka, człowiek liczy, że ma jeszcze drugą nogę opartą na uderzeniu przez granicę syjamską, a tymczasem i tutaj

spotyka go zawód, bo odpowiada za tę operację stary nieszczęsny Bro- HN^ okers, aktor dość niedorzecznie obsadzony w roli głównodowodzącego sił zbrojnych na Dalekim Wschodzie.

Dowódca, o czym Percival bardzo dobrze wiedział, nie zawsze może sprawić, by wszystko było po jego myśli. Ale gdy wszystko dzieje się jemu na przekór, powinien się zacząć dziwić. Żądać, by walczył nie wyszkolonymi ludźmi z wyszkolonym wrogiem, walczył bez wsparcia lotniczego i morskiego w upalnym kraju apatycznych tubylców i denerwujących Europejczyków, których jedynym celem jest rzucanie mu kłód pod nogi, to żądać za wiele - i wówczas zaczyna dostrzegać, iż padł ofiarą dość osobliwych okoliczności.

Weźmy na przykład taką obronę Johore, którą usiłował zorganizować. Gdy był dowódcą pierwszego oddziału sztabu generalnego u generała Dobbie w 1937, zaplanowano stałe umocnienia w Johore dla osłony wyspy Singapur przed atakiem z ładu. Ale czy one teraz są, gdy atak nastąpił? Nie ma. Bardzo dobrze. Weźmy takiego Gordon Bennetta, dowódcę Australijskich Imperialnych Sił Zbrojnych na Malajach, na którego musiał się zdać, jeśli idzie o obronę Johore (z Heathem „Prosiaczkim”, oczywiście, i jego Hindusami). Wiadomo powszechnie, że Bennetta wielokrotnie pomijano, o ile chodzi o dowództwo sił australijskich na Środkowym Wschodzie - uważano go za zbyt trudnego i kapryśnego. Można by więc sądzić, że nie istnieją widoki, aby taki człowiek (którego kandydatury nie pochwalili zarówno australijski minister wojny jak i dowódca Sztabu Generalnego) otrzymał dowództwo nad Australijczykami na Malajach. Ale już dał się słyszeć dyskretny odgłos podpiłowywania i wkrótce ci dwaj wpływowi ludzie, którzy nie pochwalali Gordon Bennetta (minister wojny i dowódca Sztabu Generalnego), wdepnęli jednocześnie na podpiłowany szczebel i samolot, którym lecieli, rozbił się w Canberze. Na ich miejsce przybyli ludzie mający słabość do Bennetta. No i Bennett nie tracił czasu, tylko promował pułkownika Maxwella, z zamiłowania policjanta, a z zawodu lekarza, z pominięciem starszych dowódców batalionów, na dowódcę 27 Brygady Australijskiej na Malajach. Nawiasem mówiąc, Maxwell lubił się trzymać w pobliżu Bennetta, na wypadek, gdyby potrzebował pomocy. Maxwell, zwykły outsider!

Albo zastanówmy się, w jaki sposób Johore zostało utracone - bezsprzecznie w wyniku ich nieudolności w zabezpieczeniu obu flank przed japońskimi desantami. Zmienne koleje wojny? Ale to przecież

478

wcale by nie nastąpiło, gdyby lotniskowiec nie osiadł na mieliźnie koło Jamajki i gdyby „Prince of Wales” i „Repulse” nie zostały w konsekwencji zatopione. Ale nie, nie bądźmy wymagający. Niech sobie lotniskowiec osiada na mieliźnie! Niech toną okręty! Był to okrutny i nieoczekiwany cios, ale niech tam, on z pokorą skłoni głowę. Głównodowodzący musi czasem znosić okrutne i nieoczekiwane ciosy. Tak, ale czego nie powinien znosić, to tego leciutkiego chrzęstu metalowych zębów tnących drewno! Bo gdyby Percival przeszedł sytuację Floty nieco wstecz i wyteżył słuch, usłyszałby znów całkiem wyraźnie ten dyskretny chrzęst. Myślał teraz o Dalekowschodniej Flocie Francuskiej i jak ze wszelkich miar dążyła, aby dołączyć do Brytyjczyków w Singapurze. Zmieniłoby to sytuację i to znacznie, co do tego nie ma wątpliwości. Ale pod lojalnością admirała Decoux, przyjaciela i wielbiciela Brytyjczyków, najbardziej patriotycznego z ludzi (można by sądzić), zaczął się zbierać złowrogi stożek trocin. Ten jedyny człowiek, który był w mocy uniemożliwić przyłączenie się floty francuskiej do Brytyjczyków, miał nieszczęsnym zbiegiem okoliczności (szu, szu, szu) skrytą ambicję zostania Gubernatorem Generalnym Indochin.

Percival stłumił jęk i wstał, by przeciągnąć sprzączkę poprzeczki od pasa pod prawym naramiennikiem bluzy. Kiedy to czynił, jego palce przypadkiem namacały małą koronę na naramienniku, co było jakby ostrym przypomnieniem jego rangi i obowiązków. Jeśli do nich należała walka nie tylko z Japończykami, ale również z niewidzialną ręką, niech i tak będzie. Spełni swój obowiązek i pozostawi spekulacje przyszłym historykom, którzy z pewnością dostrzegą, jak podejrzenie sprzęgły się przypadki przeciw niemu. Spojrzał na prostokątną tarczę swojego zegarka. Jak już późno! Nic dziwnego, że Pulford tak się dobijał do łazienki! Idąc przedpokojem zauważył przez uchylone drzwi, jak Pulford poprawia podwiązkę skarpety na szarej łydce.

Śniadanie. Chłodny i soczysty plaster papai, herbata i grzanki. Gdy skończył, udał się wprost do swojego biura, aby przestudiować ostatnie raporty sytuacyjne i ocenić wypadki minionej nocy. Potem z łysiejącym, długonosym i dość ponurym z wyglądu szefem sztabu przejrzał punkty do omówienia na codziennej Radzie Wojennej: musi pamiętać, aby dokonać ostatecznej próby zmuszenia gubernatora do zrobienia czegoś w sprawie tych zezwoleń na wyjazd dla Chińczyków, jeśli już nie jest za późno. Jeżeli nie zdąży wrócić na czas z Johore Bahru, szef sztabu będzie musiał go zastąpić na Radzie Wojennej. Dzisiaj, 28 stycza

479

nia, miały się rozegrać nowe decydujące wypadki po drugiej stronie Grobli.

O 8.40 mknął samochodem przez wyspę w drodze na konferencję z generałem Heathem w Główniej Kwaterze III Korpusu, obecnie mieszczącej się tuż za Groblą, w Johore Bahru. Siedząc na tylnym siedzeniu samochodu, z twarzą pięknie opaloną, ale bez wyrazu szybko przeglądał plany poczynione przez Heatha i jego sztab a dotyczące odwrotu wszystkich jego sił przez Groblę na wyspę Singapur. Do wczoraj żywił nadzieję, że nie będzie musiał wcielić tego planu w życie, zwłaszcza że miała przybyć 18 (brytyjska) -Dywizja. Ale niestety, trzeba było to zrobić! Gdyby wojsko pozostało w Johore, jego flanki byłyby narażone na akcje desantowe, tak jak oczywiście sama wyspa Singapur. Ponadto cała łączność ograniczałaby się do wąskiej Grobli, aż nadto narażonej na ataki z powietrza.

Odwrot jest bardzo delikatną sprawą w najlepszych nawet warunkach, lecz wycofanie tak różnorodnego zbiorowiska sił z szerokiego frontu przez wąski lej i do tego w obliczu tak szybko nacierającego wroga będzie wymagało dokładności i dyscypliny graniczących z cudem. Gdyby jeden z kontyngentów wycofał się za szybko, wówczas tym samym odsłoniłby flankę sąsiadów. 11 Dywizja generała Heatha ma osłaniać skrzyżowanie dróg w Skudai, gdzie zbiegają się drogi ze wschodu i zachodu (aby się precyzyjnie przez wąską gardziel leja), póki siły z zachodniego wybrzeża nie przejdą na wyspę. Tymczasem wczoraj po południu 8 Brygada 9 Dywizji Indyjskiej generała Barstowa zaczęła wycofywać się wzdłuż linii kolejowej w kierunku Layang Layang, mijając 22 Brygadę generała Paintera, która otrzymała rozkaz pozostania w miejscu, zgodnie z ogólnym planem odwrotu.

Ten manewr może się okazać kiepskim interesem - dumiał Percival unosząc rękę, aby osłonić oczy przed nagłym blaskiem odbitych od powierzchni wód promieni słońca, kiedy samochód wyjechał z cienia roślinności wyspy i mknął przez Groblę. Tak, złe pokierowanie tak delikatną operacją mogłoby spowodować straszliwy bałagan. Westchnął. Samochód pędził nad wodą.

Gdyby obserwować to z wyspy, byłoby widać, jak ten pomalowany farbą maskującą samochód sztabowy stopniowo maleje, aż staje się małą kropką w dali. Za chwilę niknie zupełnie wpadając na ulice Johore Bahru. Minęła godzina, dwie. Słońce zmieniło swą pozycję tak, iż blask cieśniny Johore stał się jeszcze bardziej oślepiający. Wreszcie mała, ru

480

J

choma kropka znów się pojawiła na lądzie stałym po drugiej stronie Grobli, to wpadając w sznur wolno poruszających się pojazdów, to znów wydostając się z niego i rosnąc raptownie. Okazało się, że to ten sam samochód wiozący Percivala z konferencji z Heathem. Heath martwił się, czy 11 Dywizja (biedne chłopaki, którzy byli w ogniu od Jitry) będzie zdolna dużo dłużej odpierać ataki Japońskiej Gwardii Cesarskiej. W związku z tym przyspieszono przejście przez Groblę o dwadzieścia cztery godziny. Jedno dobre, pomyślał Percival znowu osłaniając oczy, że nie narazi się szefom sztabu, bo Wavell pozostawił kwestię odwrotu do jego uznania. Ten stary żołnierz dostrzegł wreszcie, że nic innego nie da się zrobić. W przeciwieństwie do Churchilla, który przed tygodniem wydał polecenie, aby walczyli w ruinach Singapuru, o ile to się okaże konieczne, Wavell zdawał sobie sprawę ze swego położenia. Jak ponura i smętna wydawała się wyspa Singapur z oddali. A jednak to właśnie tu, na tej szarozielonej płycie lądu, otoczonego blaskiem wód, zajdą niewątpliwie najważniejsze wypadki w jego życiu pod warunkiem, że zdoła przerwucić na nią bezpiecznie swoje wojsko. Ta myśl przypominała mu, że doszła do niego w III Korpusie lekko niepokojąca wiadomość. Na razie jeszcze nic poważnego, tylko że kontakt z 22 Brygadą został chwilowo przerwany. Była to właśnie ta brygada, która otrzymała rozkaz utrzymania się w okolicy Layang Layang. Generał Barstow zamierzał udać się tam, aby się przekonać, co zaszło.

Później tego dnia, gdy Percival był w pokoju operacyjnym przy Sime Road, zobaczył go Sinclair, który się znalazł tam z powrotem, bardzo utemperowany i zmieszany swoim udziałem w akcji nad rzeką Slim. Stanowiła ona dla niego niemiły wypadek drogowy i jeszcze bardziej niemiłe pełnienie przez całe mile dżungli, by wrócić na pozycje brytyjskie. Co gorsza, w zdezeniu z czołgiem złamał sobie kość w nadgarstku, chociaż z przejścia nie zdawał sobie początkowo z tego sprawy. Ten nadgarstek zaczął go niebawem bardzo boleć, zwłaszcza że idąc przez dżunglę człowiek musi używać obu rąk. Zapewne nie przedostałby się przez nią, gdyby nie pomoc napotkanej szczęśliwym trafem grupki zaradnych i zdecydowanych Argyllów, których tak jak i jego zaskoczył atak nieprzyjaciela i też wracali na własne pozycje. Było to, oczywiście, bardzo wyczerpujące, ale trudno ukryć fakt, że nie tego się spodziewał po swoim pierwszym starciu z wrogiem. Gdybyż był przy moście i mógł się włączyć w prawdziwą walkę! Dowiedział się jednak od braci oficerskiej, że nawet tam nie trwała ona długo. Sinclair zaczął się zastana

481

wiać, czy rzemiosło wojenne nie zostało trochę zepsute przez zastosowanie w armiach nowoczesnego sprzętu. Co to za frajda w walce z czołgami? Szarża kawaleryjska bardziej by mu odpowiadała. W każdym bądź razie znalazł się teraz tam, gdzie zaczął, na dodatek z ręką w gipsie. Dzięki Bogu, że przynajmniej pozwolono mu robić coś pożytecznego.

Sinclair, chociaż był bardzo zajęty, ogromnie się interesował zachowaniem głównodowodzącego w krytycznym momencie kampanii, toteż co chwila popatrywał w jego stronę. Twarz Percivala miała nieodgadniony wyraz, przypominający wyraz twarzy wyższych oficerów sztabowych w czasie służby. Sinclair uważał to za wyraz zawodowy... gdy zawód wymaga, by dbać o własną godność. Fascynowała jednak Sinclaira myśl, że oto ma przed oczyma człowieka, który dowodzi obroną Malajów. Za tą twarzą bez wyrazu, w chwili gdy patrzył na jej zastygłą zewnętrzną skorupę, wrzała lawa historii!

Teraz nadeszła dość niepokojąca wiadomość: 22 Brygada została odcięta. Chociaż skonsternowany, Sinclair nie mógł przestać zerkać ukradkiem na głównodowodzącego, by się przekonać, jak przyjął tę wieść. Percival tylko skrzywił się lekko i wydał się strapiiony oczekując na dalsze szczegóły. Wyglądało na to, że 8 Brygada wycofała się dalej, niż zaplanowano, pozwalając, aby Japończycy przeszli przez plantacje wokół wschodniej flanki Paintera i zajęli Layang Layang. Co gorsza, generał Barstow pojechał pociągiem z dwoma oficerami sztabowymi, aby przekonać się, jak sprawy stoją, wpadł w zasadzkę i teraz słuch o nim zaginął. Barstow wyskoczył bowiem z wagonu na jedną stronę nasypu, zaś jego oficerowie sztabowi na drugą, dzięki czemu zdołali uciec Japończykom. Barstow, zdolny i doświadczony oficer, zapewne został zabity lub wzięty do niewoli, co stanowiło ogromną stratę. Teraz powstała kwestia, czy uda się ocalić 22 Brygadę bez uszczerbku dla ewakuacji wszystkich sił. Wkrótce stało się jasne, że Painter i jego ludzie będą musieli zdać się na własne siły w próbie przebicia się przez dżunglę. A jaka jest nadzieja, że po przebicciu się zdołają przepłynąć przez cieśninę?

Wkrótce Percival stanął koło Sinclaira omawiając coś z szefem sztabu, lecz mówił za cicho, by Sinclair mógł usłyszeć. Sinclair uznał, że przyjął on wiadomość o 22 Brygadzie z godnym podziwu spokojem, lecz oczywiście należało pamiętać, iż Percival był zawodowcem i trudno byłoby oczekiwać, że rzuci się ze złości na podłogę, jak nie można by się spodziewać, iż mistrz szachowy będzie wydawał okrzyki bólu, ilekroć mu zabiorą pionka. Sinclair zdał sobie sprawę, że nieodgadniona twarz Percivala jest twarzą człowieka, który nie dopuszcza żadnych zbędnych uczuć, bo mogłyby mu tylko przeszkodzić w zajmowaniu się ważnymi sprawami. Lecz nagle, zupełnie nieoczekiwanie i na przekór nieodgadnionemu wyrazowi twarzy, Percival zaczął krzyczeć. Wrzasnął, że w takich warunkach ludzie nie mogą pracować.

Pokój operacyjny przy Sime Road był drewnianą chatą szerokości mniej więcej kortu do tenisa, ale o połowę dłuższą. Od końca do końca biegły przez nią stoły, na których leżało oszalałające mnóstwo map, wykresów i dokumentów. Tu i ówdzie rechotały przenikliwe grupki telefonów, wszystkie razem, jak żaby w sadzawce. Do tego dodać należy tłok, bo obok sztabu armii w pomieszczeniu znajdował się sztab RAF-u, przepychanie się do map ściennych i map z zaznaczonymi zasięgami lotów, krzyki do słuchawek, stukanie w klawisze maszyn do pisania i ruch, jakiego należy oczekiwać w centralnym systemie nerwowym tego klekoczącego robota, jakim się stała nowoczesna armia. Można więc świetnie zrozumieć, że generał Percival, który koniec końców ponosił za tę kampanię główną odpowiedzialność, mógł uznać za koszmarną prowadzenie jej w tym domu wariatów.

Ale po pewnym czasie okazało się, że generał Percival nie skarży się na hałas wewnątrz chaty, lecz na zewnątrz, gdzie dla zmniejszenia tłoku w pokoju operacyjnym grupa saperów pracowała przy budowie innego, dodatkowego pomieszczenia. Szef sztabu podrapał się w łysiejącą głowę, lecz nie okazał większego zdziwienia wybuchem Percivala. Jednakże dla Sinclaira wydał się on dziwny. Fakt faktem bowiem, że przy tak wielkim hałasie wewnątrz chaty ledwie było słyhać, co działo się na zewnątrz. Sinclair wyteżył słuch... usłyszał jednak tylko słańki chrzęst piły, gdyż żołnierze pracowali przy budowie nowej chaty.

Liczba osób, głównie mężczyzn, którzy zamieszkali w budynku Mayfair lub w jego pobliżu, rosła z dnia na dzień. Byli tam teraz ludzie, których major znał ledwie z widzenia albo nie znał wcale. Niektórzy z nowo przybyłych przychodzili jedynie za dnia, bo dzięki jednostce P.S.P. Mayfair stało się ośrodkiem działania i informacji, jeśli nie prawdziwych, to przynajmniej plotek. Według ostatniej pogłoski gigantyczne amerykańskie siły złożone z kilku dywizji miały jakoby przepłynąć w ciągu nocy Cieśniną Malakka i wylądować w pobliżu Alor Star na północy. Jednakże spytany o potwierdzenie tej pogłoski Ehrendorf jedynie pokiwał ze smutkiem głową.

| Ze wszystkich nowych mieszkańców nikt nie cieszył majora bardziej niż dziewczęta z Poh Leung Kuk, które się rozgościły w Sali Konferencyjnej. Okazały się takie uczynne, życzliwe i grzeczne! Major był nimi zachwycony - budziły u niego silny instynkt ojcowski. Zdziwił się nieco jednak, gdy pewnego dnia kapitan Brown, którego uczynił ich opiekunem, zapytał, co robić z ich kandydatami na mężów? Tymi, wyjaśnił Brown, którzy wciąż przychodzą, żeby obejrzyć dziewczęta z zamiarem małżeństwa. On sam obejrzał tych kandydatów i rozprawił się z nimi krótko: są nieodpowiedni. Ale dziewczęta są niepocieszone - pragną same oceniać kandydatów! Nie chcą, aby kapitan Brown, który przywykł, by wszystko było bez zarzutu, i spędził życie w portach na całym chińskim wybrzeżu wybierając załogę podejrzliwymi oczyma człowieka doświadczonego, dokonywał za nie wyboru.

Był to trudny problem. Major zdziwił się, że w czasach, gdy miasto jest systematycznie bombardowane, znaleźli się w ogóle jacyś kandydaci do małżeństwa, lecz może właśnie niepewność sytuacji spowodowała, iż wielu samotnych mężczyzn decydowało się na ten krok. No więc, jeśli mężczyźni mają odpowiednie listy uwierzytelniające, które by dowodziły, że nie chcą tych dziewcząt zatrudnić w burdelach i mogą dać czterdzieści dolarów na wyprawę panny młodej, wówczas major nie ma żadnej wątpliwości, iż to dziewczęta, nie zaś kapitan Brown, winny dokonać wyboru.

Kapitan Brown był oburzony. Nic przywykł, by kwestionować jego decyzje, a w ogóle to tylko z grzeczności wspominał o tej sprawie majorowi. Odkąd otrzymał licencję kapitana przed wielu, wielu laty, postawił sprawę jasno, o czym się sporo armatorów z bólem przekonało, że nie należy do tego rodzaju ludzi, którzy by komukolwiek pozwalali wtrącać się do jego wzorowo spełnianych obowiązków. Zaskoczony major próbował wytłumaczyć kapitanowi, że nic jest to zupełnie to samo, że te dziewczęta ostatecznie... Lecz kapitan Brown pozostał niewzruszony. Albo dziewczęta będą pod jego dowództwem, albo nie! I odszedł zirytowany pozostawiając majora samego z tym problemem.

Zapytany o zdanie Dupigny wyraził opinię, że dziewczęta powinny same zająć się sprawą swego zamążpójścia. Aczkolwiek major pragnął i rzeczywiście zamierzał sprawować coś w rodzaju nadzoru nad wyborem kandydatów na mężów, miał ostatnio tyle spraw na głowie, że naprawdę brakło mu na to czasu, tak samo jak innym. Dupigny i Ehrendorf mogli wygospodarować w najlepszym razie jakieś pół godziny na zbadanie listów uwierzytelniających, ale w istniejących warunkach nawet i tego nie można było przeprowadzić jak należy. Dziewczęta były naturalnie zachwycone swoim zwycięstwem nad kapitanem Brownem i stały się jeszcze bardziej uczynne i mile dla majora, wyświadczać mu drobne uprzejmości, przyszywając guziki i czyszcząc buty. Cóż to za miłe panienki! Nic mógł w żaden sposób zapobiec, aby te urocze osóbkę nie przynosiły mu herbaty, ilekroć gdzieś przysiadł na chwilę. I rzeczywiście, jeżeli nie przyjmowały kandydatów na mężów w Sali Konferencyjnej, przynosiły wszystkim herbatę o każdej porze dnia i nocy. W majorze wzbudzał lekki niepokój fakt, że chociaż szeregi ewentualnych kandydatów wciąż rosły i oczekiwały na wezwanie do Sali Konferencyjnej (raz po raz drzwi się otwierały i buchała z nich fala chichotów), żaden z mężczyzn nie wybrał żony. Ale to nie jego sprawa.

Teraz major i Dupigny szli właśnie na werandę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Szli ostrożnie przestępując przez śpiących strażaków. Major zauważył, że wielu z nich padło po prostu na podłogę z poduszką lub kurtką pod głową, z twarzami i ubraniami wciąż usmolonymi od ognia, który skończyli gasić. Znużenie teraz dało znać o sobie u wszystkich, powodując, że zataczali się jak pijani i zapominali o najbardziej palących sprawach. „Doprawdy - pomyślał - trudno oczekiwać, abyśmy mogli jeszcze długo w ten sposób pociągnąć”.

W miejsce schodków, które wybuch zmiotł w czasie nalotu w ubie-

głym tygodniu, stała teraz drabina. Major zszedł po niej sztywno, jego niezdarne ruchy spowodowane były zmęczeniem.

- A któż to jest, u licha? - zapytał z rozdrażnieniem, bo od ostatniego obchodu przybyło jeszcze więcej ludzi i zainstalowali się w czymś w rodzaju obozu cygańskiego, wśród licznych słupów z cegły, na których stał bungalow. Tu w cieniu siedziały smutne kobiety i dzieci wśród stosów walizek i tobołków. Niektóre z kobiet drzemały lub karmiły płaczące dzieci, inne patrzyły tępo na majora i Dupigny'ego zaczerwionymi oczyma i jakby w odurzeniu.

- Uchodźcy.

- To jasne, ale czemu rząd nic nie robi, aby ulżyć ich losowi? Trudno od nas oczekiwać, abyśmy ich karmili. A co z sanitariatami? Lada chwila wybuchnie epidemia, jeśli tu zostaną. Podobno przeznaczono dla nich na mieszkanie szkoły. Dowiedz się, François, czy jest gdzieś jakieś miejsce... Nieszczęśnicy są najwyraźniej zbyt wyczerpani, aby mogli to zrobić sami.

Dupigny uśmiechnął się do przyjaciela z bezradnym gestem. Jego doświadczenie z Hanoi mówiło mu, że nawet w najlepszych warunkach musiałyby minąć całe dni, nawet tygodnie, nim władze Singapuru odzyskają zdolność zajęcia się należycie problemami administracyjnymi, z których uchodźcy stanowią zaledwie jeden. A co z dostawą wody? Z grzebaniem zmarłych? Z rozbiórką zburzonych domów? Naprawą zniszczeń na drogach, instalacji gazowych, elektrycznych i telefonicznych? A do tego jeszcze dochodzi przechowywanie i rozdzielanie żywności, walka o zapobieganie epidemii tyfusu i cholery, i sto innych trudności... Żadna z tych spraw nie zostanie potraktowana jak należy z tej prostej przyczyny, o czym Dupigny doskonale wiedział, że nie ma dostatecznie doświadczonych ludzi, którzy potrafiliby to zrobić... a niektórymi sprawami w ogóle nikt się nie zajmie, wyjaśnił majorowi, chyba że ludzie sami je wezmą w swoje ręce... - Jak ten tutaj człowiek - dodał.

Przeszli przez drugą grupę koczowniców mieszkającą tym razem w wojskowych namiotach gdzieś zwędzonych i wyszli z pewną ulgą na otwartą przestrzeń, która ich wkrótce doprowadziła do gęstych krzewów na granicy posiadłości Blackettów. W cieniu rambutanu jakiś Chińczyk kopał grób, a właściwie zasypywał go teraz ziemią. Kiedy się bliżej przyjrzeni, Chińczykiem okazał się Cheong, który w ciągu kilku ostatnich dni pracował ze zdumiewającą energią i męstwem nad przyrządaniem posiłków dla wciąż rosnącej liczby strażaków i ich rodzin. A teraz, nie poprzestając na karmieniu ludzi, zajął się jeszcze sam grzebaniem kogoś.

- Ach, Cheong - rzekł major zaglądając do grobu, gdzie jednak nie było widać oprócz pary wypolerowanych nosków solidnych angielskich butów. - Dobra robota - dodał pragnąc wyrazić jasno, że docenia wysiłek Cheonga.

- Czyj to grób?

Cheong nie przestając kopać mruknął jakieś nazwisko, które major ledwo usłyszał.

- Chyba nie stary Tom Prescott! - wykrzyknął z przerażeniem. - Słuchaj, François, znałem go dobrze. To ten, co popisował się takim trickiem z jajkiem na twardo na przyjęciach. - I major zapatrzył się w grób z zatroskaniem.

Dupigny wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czegóż innego można się spodziewać w takich warunkach?”

Poszli dalej. Major, zdenerwowany, wytarł czoło jedwabną chusteczką.

- Biedny stary Tom - rzekł. - Co to był za człowiek! Potrafił nas rozśmieszyć do rozpuku. Zważ, że nie był taki młody. Przeżył swoje.

Dupigny nie mógł się powstrzymać od myśli, że major też zaczyna wyglądać na swoje lata. Brak snu i bezustanna aktywność kilku ostatnich dni nadały jego twarzy wynędzniały wygląd, akcentując zmarszczki pod oczyma i nawet jego wąsik wydawał się zmietoszony i podskubany, być może przypalony iskrami pożaru.

- Ludzie są jak banieczki - oznajmił Dupigny w ponury i sentencjonalny sposób. - Unoszą się chwilę, a potem pękają.

- Och, François, proszę cię!

- Nie takie czyste banieczki, które lśnią, ale banieczki z błotnistej, zabarwionej krwią wody. Przekłuj je, a pękają. Ponadto jest to stwierdzenie naukowe - dodał przymrużając oczy. - Jesteśmy utworzeni w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z wody, jak ogórki. Więc czego się spodziewać? - Ogórek, kiedy go przekłuć, nie pęka, chciał powiedzieć major, ale się rozmyślił, aby nie zachęcać przyjaciela do dalszych wywodów w tym ponurym stylu. Wróciwszy do bungalowu zastali Ehrendorfa, którego nie było z godzinę, ponieważ wozził jakieś uciekinierki z głębi kraju do Cluny, by mogły stanąć w kolejce ludzi usiłujących się wciągnąć na listę odpływających w biurze linii okrętowej

f w

P.&O. Opisał im scenę rozpacz i chaosu. Teraz, kiedy ostatnie statki pasażerskie szykowały się do odplynięcia, mężczyźni, kobiety i dzieci mężnie znosili spiekotę i naloły, by tylko udało im się wyjechać.

- Może i ty powinienes się znaleźć na jednym z tych statków, Jim, chyba że się spodziewasz przybycia waszej armii i po prostu czekasz, aby móc ją powitać na brzegu.

- Póki François jest w kolonii, wiem, że tu bezpiecznie - odparł Ehrendorf z uśmiechem.

- Chyba się nie spodziewasz, że mógłbym odplynąć... quelle horre- ur... transportowcem. Jeżeli kiedykolwiek płynąłeś takim statkiem, to wiesz, że lepiej jest dobić do kresu podróży, niż podróżować. Ponadto ciekaw jestem, jak się skończy ta historia Singapuru.

Wkrótce przybył też Matthew. Spędził popołudnie w Protektoracie Chińskim próbując uzyskać dla Very pozwolenie wyjazdu. Mieli teraz wszystko, co potrzeba, włącznie z fotografiami i oboje żywili nadzieję, że wreszcie zdołają pokonać ostatnią przeszkodę, wciągnąć Verę na listę pasażerów w P.&O. Lecz odmówiono im wydania zezwolenia bez żadnych wyjaśnień. Matthew był jeszcze teraz wstrząśnięty tym niepowodzeniem: tak wierzył, iż im się uda. Ciekawe, że tym razem Vera wydawała się mniej przygnębiona niż on i pocieszała go, jak umiała, a nawet przyjechała z nim do Mayfair.

- Znam kogoś w Protektoracie - powiedział nagle major. - Myślę, że pójde i powiem mu słówko. Dopiero po południu znalazł major czas, żeby zadzwonić do Smitha z Protektoratu Chińskiego i zapowiedzieć swoją wizytę. Smith próbował go zniechęcić.

- Jesteśmy bardzo zajęci, majorze. Mamy mnóstwo Chińczyków na głowie. O co chodzi?

- Zaraz do pana przyjadę, Smith - powiedział major ostro - i radzę panu czekać na mnie, bo inaczej zastanie pan jutro w biurze tuzin chińskich dziewcząt rozłożonych obozem.

- Nie dojedzie pan tutaj. Na ulicach korki. - Na chwilę zapadło milczenie, a potem zabrzmiał podejrzliwy głos Smitha: - O co chodzi?

Major odłożył słuchawkę.

Rozeszła się wieść, że dwa lub nawet więcej transportowców, które przywiozły 18 Dywizję, odplyną tego wieczoru po zapadnięciu zmroku. Był to dla Matthew dalszy cios, którego bynajmniej nie łagodziła świadomość, że gdyby nawet uzyskali dla Very zezwolenie wyjazdu, nie

488

zdołaliby zakończyć w porę innych formalności, by Vera mogła dostać się na statek. Od wczesnego popołudnia pasażerowie, którzy mieli szczęście zdobyć bilety na odplywające statki, zaczęli gromadzić się na nabrzeżu, co spowodowało, że wkrótce zaczęły powstawać na ulicach korki. Z czasem ci, którzy usiłowali dotrzeć do portu Keppel wzdłuż Tanjong Pagar Road, utknęli w miejscu, bowiem tak wielu pasażerów przyjechało do portu własnymi samochodami, które następnie porzucili na ulicy, że ruch został zablokowany. Sytuację na drogach dojazdowych pogarszały leje bombowe, gruz z rozwalonych budynków, którego nie zdołano jeszcze uprzątnąć, i wysiłki, jakie czyniła nowo przybyła 18 Dywizja, aby rozładować sprzęt i przebić się z tym sprzętem w przeciwnym kierunku. Wszędzie zropanieni ludzie mdleli od upału w samochodach, które posuwały się w ślimaczym tempie przez chmury dymu i pyłu, między rzędami zniekształconych w rozgrzanym powietrzu domów, czemu towarzyszył koszmarny wyjący klaksonów, łoskot działek przeciwlotniczych i huk rozrywających się bomb. Blżej doków szereg budynków stało w ogniu - były to magazyny zgrabnie przykryte prostokątami ognia i fabryki z wydostającymi się z każdego okna niczym pomarańczowe pnącza płomieniami. Niektórzy pasażerowie zaczęli sobie zdawać sprawę, że nie zdążą dotrzeć do portu na czas, lecz wraz z rosnącą paniką sytuacja tylko się pogarszała. Stało się oczywiste nawet dla majora, który przybył do Protektoratu Chińskiego na rogu Havelock Road, że zaokrętowanie zmieniło się w jatki.

Major myślał, że już nie zastanie Smitha w biurze, ale ten siedział przy biurku, wpatrując się pilnie w jedną z szuflad, w której jednakże nie było nic prócz kilku pasków perforowanego papieru od znaczków pocztowych, jednego mocno pogryzionego ołówka i kilku spinaczy. Ignorując obecność majora Smith włożył sobie ołówek między zęby i wybrał po dłuższym namyśle jeden ze spinaczy. Rozparłszy się w krześle zapytał ironicznie:

-Czym mogę panu służyć, majorze?

Major wyjaśnił, że chce zezwolenie na wyjazd dla Very.

-Czy ona ma ważne zezwolenie na pobyt? Cemu nie zgłosiła się sama?

- Zgłaszała się... i otrzymała odmowę bez żadnych wyjaśnień.

- Obawiam się, że w takim razie... - rzekł Smith zaczynając sobie czyścić spinaczem ucho i pilnie sprawdzając skutki.

- Będzie w poważnym niebezpieczeństwie, jeśli Japończycy opanują miasto.

489

- Obawiam się, że niewiele mogę zrobić. Ale w drodze wyjątku zajrzemy do jej kartoteki, zgoda? Jeżeli jest zarejestrowana jak należy, powinniśmy mieć jej fotografię i odfiskę palca... Chwileczkę.

Smith wstał i podszedł do drzwi wiodących do sąsiedniego pokoju. Zostawił drzwi otwarte i major słyszał, jak z kimś szepce, ale nie słyszał co. Rozejrzał się. Nic w tym biurze się nie zmieniło od jego pierwszej bytności, tylko na szybach były naklejone paski papieru, które miały zapobiec rozpryskowi szkła. Minęła spora chwila, nim Smith ponownie się ukazał. Był teraz w okularach i niósł kartotekę. W pokoju było duszno, mimo że wentylator nad biurkiem mełł powietrze. Smith usiadł i przez chwilę studiował kartotekę podejrzliwie, cmokając co chwila językiem. Od czasu do czasu unosił spinacz i kręcił nim w uchu jak kluczem w zamku. Nareszcie uniósł wzrok i zapytał ostro:

- Czemu interesuje się pan tą sprawą, majorze?

- Jestem przyjacielem tej dziewczyny...

- O ile wiem, rozmawialiśmy już o niej, prawda? Mówiłem, że jest to osoba niegodna zaufania, może nawet kurwa. Nie będzie pan chyba teraz twierdził, że jest pan jej przyjacielem!

- Gdyby nawet pańskie złośliwe sugestie były prawdziwe - odparł major chłodno — nie stanowiłoby to jeszcze powodu, aby odmawiać zezwolenia na wyjazd, kiedy jej życie jest w niebezpieczeństwie.

Smith ponownie spuścił wzrok na kartotekę i gryzł wargi w nieprzyjemny sposób. Jak mało się tu zmieniło, odkąd major odwiedził to biuro pierwszy raz! Smith wciąż mrugał powiekami i pocił się obficie. Kosmyki włosów po obu stronach jego łysiny migotały jak iskry elektryczne, tańcząc dziwnie w podmuchu wentylatora. Major zanadto był zajęty zwalczaniem pożarów, żeby poświęcać wiele myśli okresowi, gdy jego Komitet Obrony Cywilnej wyczekiwał w różnych urzędach, aby wyklócić się o maski gazowe i schrony przeciwbombowe dla mieszkańców bardziej zagrożonych dzielnic miasta. Lecz teraz jego poczucie zawodu, jakie go spotkało ze strony drobnych urzędników, powróciło z całą siłą, wraz z rozgoryczeniem ich nieudolnością, której był świadkiem jeżdżąc w ostatnich kilku dniach po bezbronnym mieście.

- Ta kobieta miała kiedyś powiązania z Powszechnym Związkiem Pracy - ciągnął Smith, nieświadomy gniewu majora. - Chyba pan wie, że to organizacja komunistyczna?

Major nic nie odpowiedział. Na zewnątrz znów rozległo się zawodzę-

nie syren, rosnące i opadające, rosnące i opadające. Smith nadstawił w zaniepokojeniu ucha i ciągnął dalej:

-Mamy informację, że była również przed wojną zamieszana w Szanghaju w jakąś sprawę kryminalną, kiedy zginął oficer japoński. To bez wątpienia było z inspiracji komunistów. Więc jak pan widzi...

-Nic nie widzę, oprócz tego, że znajdzie się na japońskiej czarnej liście, jeśli pozostanie w Singapurze! - krzyknął major tracąc panowanie.

-Niech pan nie podnosi głosu, majorze - rzekł Smith nieprzyjemnym tonem. - Nic pan tym nie wskóra.

-Sądząc z tego, co pan mówi, jest pan po stronie Japończyków. Pozwolę sobie panu przypomnieć, że to właśnie oni, a nie Chińczycy są naszymi wrogami!

-Niech pan posłucha, ojczulku - rzekł Smith protekcyjnie. -Tak się składa, że wiem znacznie więcej o tej sprawie niż pan. Jasne, że naszym wrogiem są Japończycy! Ale to wcale nie znaczy, że Chińczycy są po naszej stronie, zwłaszcza komuniści. Nie wie pan, jacy oni są niebezpieczni dla naszej struktury społecznej. Są jak... jak... zawsze to mówię... glisty tęgoryjca w ludzkim ciele. Nie respektują naturalnych granic organów... przenoszą się z jednego do drugiego...

- Już mi pan to mówił. Ale przyszedłem po zezwolenie na wyjazd dla tej kobiety i nie wyjdę, póki go nie dostanę.

- Wykluczone, ojczulku. Tutaj, w Singapurze, komuniści są wyizolowani. Nie możemy im pozwolić, aby się rozprzestrzenili. Zwykłem to określać w ten sposób, a niektórzy uważają to nawet za pouczające, że są oni jak miliony nasion w strączku. Gdybyśmy pozwolili, aby taki strączek pękł, dajmy na to w Indii albo Australii, rozsialiby się na całe Imperium Brytyjskie... O Boże! - dodał podbiegając do okna i otwierając je. - Wygląda na to, że lecą w tę stronę. Lepiej zejdźmy do schronu.

Major też podszedł do okna. Biuro mieściło się na najwyższym piętrze budynku, którego okna wychodziły na wschód, na miasto. O tej porze dnia woda rozciągająca się od mostu Andersona po horyzont miała delikatną, niezwykle piękną barwę błękitu kaczego jaja. Major jednakże spoglądał na małą formację srebrno-czarnych samolotów lecących na bardzo dużej wysokości ku miastu. Gdy bombowce minęły Kallang, pojawiły się pod nimi na niebie małe kłęбки, jakby naniesione tu i ówdzie muśnięciem pędzla. Po chwili dotarł do okna odgłos wystrzałów armatnich.

- Tak, lecą w tę stronę - zgodził się major.

- No więc, skończymy tę pogawędkę innym razem. - Smith zamknął kartotekę i wetknął ją sobie mocno pod pachę, jakby się bał, że major mu ją wyrwie. Patrzył na majora czujnie z przekrzywioną głową. Major sam się zdziwił usłyszawszy własne słowa:

- Nie wyjdę z tego biura bez zezwolenia na wyjazd i pan też nie wyjdzie. - Ruszył w stronę Smitha z groźną miną, wyczuwając, że mimo różnicy wieku, Smith się go boi. Być może Smith z kolei wyczuwał jego wściekłość i oburzenie po tylu dniach ciężkiej pracy na opanowanych przez chaos ulicach. Major schwycił za oparcie krzesła i Smith cofnął się 0 krok. Na zewnątrz zawyła syrena alarmowa.

- To obserwator na dachu! - wykrzyknął Smith z przerażeniem, t- Niechże pan będzie rozsądny. Ja tu nawet nie mam potrzebnych formularzy. Musi pan przyjść później. Niech pan przyjdzie kiedy indziej.

- Niech pan je wypisze na urzędowym papierze, podpisze i przystawi pieczętkę! - Maj or zrobił krok do przodu. - Mam j už tego dosyć - dodał 1 zdjął marynarkę. - Niech pan się broni.

- Co to znaczy? - zapytał Smith wybałuszając ze zdumienia oczy.

- To znaczy, że zaraz przyłożę panu pięścią w nos - odparł major.

- Ależ to absurd - mruknął Smith. Zrobił się bardzo blady. Kępki włosów wciąż podrygiwały mu nad uszami. Potworny świst rozległ się za oknami, świst ten narastał, aż wreszcie domem targnęła eksplozja. - Niech pan nie będzie śmieszny-rzekł Smith przyciskając guzik dzwonka. Ale nikt nie zareagował. Widocznie ludzie z sąsiedniego pokoju udali się do schronu innymi drzwiami.

- Co pan... - zaczął Smith rzucając się ku drzwiom i zadając nogą majorowi paralizujący cios w goleń. Lecz major schwycił go za ramię i wciągnął z powrotem do pokoju.

- Chwileczkę - rzekł. - Broń się.

- Pozwól mi choć zdjąć okulary - powiedział Smith i znów kopnął majora w goleń, a potem zdzielił pięścią w brzuch na dokładkę.

- Obawiam się, że przebrałeś miarękę - jęknął major i nie zważając na okulary zamachnął się pięścią. Lecz zanim zdążył go ugodzić, Smith już siedział przy biurku i pisał zawzięcie.

- Czemuś nie powiedział wprost, że to twoja dziwka? - zapytał urażonym tonem. - Dla dziwek koleśków robimy wyjątek.

Skończył pisać. Major wziął dokument, przeczytał uważnie i schował do kieszeni.

- I jeszcze jedno. Jeśli usłyszę, że zrobiłeś coś, aby ten papier unieważnić... Lecz Smitha już nie było. Umykał przed bombami i majorem.

Pierwszy tydzień lutego był dla generała Percivala tygodniem szaleńczej pracy. Przez całą kampanię ataki japońskie następowały tak szybko po sobie, że wiedział, iż nie dalej jak za tydzień zaatakują wyspę Singapur. Tak wiele było jeszcze do zrobienia, a tak mało na to czasu. Generał nie wracał nawet na noc do swojej kwatery. Kładł się w swoim biurze w Głównej Kwaterze Dowodzenia przy Sime Road i po kilku chwilach wpadał w nurt niepokojów, jeszcze bardziej przygnębiających niż na jawie. I tak, chociaż zmęczony, wolał nie spać kryjąc się w pracy jak na ufortyfikowanych pozycjach.

Ponadto, odnosił chwilami wrażenie, że jego szczęście się odmieni, że niewidzialna ręka przestała wpływać na bieg wypadków. Bo jeśli spojrzeć na sprawy obiektywnie, natychmiast rzuca się w oczy, że mogło być znacznie gorzej. Przecież w końcu udało się przerzucić bez uszczerbku większość sił z ładu stałego na wyspę, gdzie zajęły one pozycje obronne i okopywały się jak mogły w ogniu pocisków, które zaczęły nadlatywać ponad cieśniną z Johore. To prawda, że 22 Brygada została stracona, jeśli nie liczyć nielicznych maruderów, którzy przedostali się przez cieśninę w małych łódkach lub zostali wyłowieni przez tę resztkę floty, jaka ocalała. Z drugiej strony, resztki 18 (brytyjskiej) Dywizji miały przybyć piątego. Percival uznał, że przybędą w porę.

Wyspa Singapur przypomina nieco kształtem głowę słonia, który stąpa ciężko z odchylonymi na boki uszami, zaś miasto Singapur znajduje się mniej więcej w miejscu jego paszczy. Na samym koniuszku lewego ucha słonia (to znaczy na wschodnim wybrzeżu) stały wielkie, na trwałe umieszczone działa baterii Johore i Changi. Na drugim uchu było lotnisko Tengah i brzeg z licznymi zatoczkami i bagnami mangrowcowymi. Tak się złożyło, że Percival nie mógł wykorzystać ani jednego, ani drugiego. Tengah znalazło się w łatwym zasięgu ognia artyleryjskiego z ładu i nie mogło już być wykorzystane przez te nieliczne Hurricane'y, które pozostały na wyspie raczej z psychologicznych względów niż do rzeczywistej obrony ostatnich konwojów - samoloty te musiały teraz korzystać z lotniska cywilnego w Kallang. Co się tyczy tych olbrzymich, pomalowanych w lamparcie paski, piętnastocalowych dział, które przyczyniły się do tego, że Singapur miał reputację twierdzy, zostały one tam umieszczone, by dawać sobie radę z atakami z morza, choć niektóre z nich można było rzeczywiście nakierować, żeby strzelały w stronę Johore. Ich amunicja (nawiasem mówiąc w bardzo mizernej ilości) była też przeznaczona przeciwko opancerzonym okrętom i zarywała się zbyt głęboko w ziemię, by mogła być skuteczna na lądzie.

Chociaż uszu należało również bronić przeciwko wrogim desantom, naprawdę liczyła się głowa, bowiem właśnie w samym środku wyspy było ulokowane wszystko, co najważniejsze. Na czubku głowy słonia znajdowało się połączenie wyspy z ładem stałym za pomocą Grobli, która miała około mili długości. Kiedy ostatni z Argyllów, którzy otrzymali niebezpieczne zadanie osłony odwrotu, przeszli bezpiecznie na wyspę, wysadzono w Grobli wielką dziurę... albo tak początkowo się zdawało. Percival był bardzo zadowolony z tej dziury widząc, z jaką szybkością przepływa przez nią woda. Ale niedługo nawet ta dziura go rozczarowała, bo była dziurą podczas przypływu... a przy odpływie już nią nie była. I nie wydawała się wówczas taką skuteczną przeszkodą. Mimo to była znacznie lepsza, niż gdyby jej wcale nie było.

Główna droga o dość istotnym znaczeniu, która w normalnych czasach biegła Groblą i wpadała na czubek głowy słonia, podążała stamtąd prosto w dół ku jego paszczy i trąbie, gdzie leży miasto Singapur... to znaczy mniej więcej w kierunku południowym. W dwóch trzecich swego biegu przechodziła przez Bukit Timah Village i dlatego na ostatnim odcinku nazywała się drogą Bukit Timah.

Na tej drodze przysiadły okrakiem niezbyt imponujące wzgórza: Bukit (co znaczy góra) Mandai, Bukit Panjang, Bukit Tomah i Bukit Brown, co stanowiło jedyny górzisty obszar wyspy, koło nieokreślonego obszaru zwanego Sleepy Valley, niedaleko toru wyścigowego, klubu golfowego i cmentarza (tego ostatniego na Bukit Brown), a wszystko to wokół Głównej Kwatery Dowodzenia przy Sime Road, gdzie Percival właśnie próbował zabijać muchy, które zawzięcie siadały na jego spoconych rękach, kiedy ślęczał nad mapami.

Nieco dalej na wschód, akurat między oczami słonia, znajdowały się zbiorniki, które mogły mieć ogromną wagę, gdyby oblężenie się przedłużało, a jeszcze dalej na wschód stacja pomp w Woodleigh. Oprócz wody w zbiornikach na torach wyścigowych zgromadzono ogromne zapasy jedzenia przywiezionego z ładu stałego. Obok torów wyścigowych

zrobiono dwa składy paliwa, nie mówiąc o składach żywności, benzyny i amunicji w okolicy Bukit Timah. Tak, wszystko to stanowiło obszar, którego Percival musiał bronić za wszelką cenę, bo miasto Singapur zaczynało się już po drugiej stronie drogi.

W opracowanych dla obrony Singapuru planach zdecydowano, że gdyby doszło do najgorszego i Japończycy przedostali się na wyspę, obszary wschodni i zachodni (uszy słonia) mogłyby zostać & la rigueur oddane, a broniące ich wojska wycofane na drugą linię obrony. Ta druga linia obrony, znana jako „linia zamienna”, przebiegała z grubsza biorąc wzdłuż zarysu głowy słonia, tam wyrastają uszy-po wschodniej stronie ta linia zamienna odsuwała się nieco do góry, ażeby objąć lotnisko Kal- lang. Również wielkie armaty w Changi trzeba było oddać. Po zachodniej stronie linia zamienna była szczególnie łatwa do zakreślenia, a to dzięki dwu rzekom czy strumieniom, z których jeden, Jurong, podążał na północ, drugi zaś, Kranji, na południe, odcinając ucho. Była to więc po prostu kwestia połączenia obu strumieni Unią obronną, aby odizolować całkowicie zachodnie ucho. Nic prostszego.

Ta linia zamienna, znana pod nazwą „linii Jurong”, została więc należycie zbadana, ale nie podjęto na niej żadnych prac zmierzających do stworzenia stałej obrony. Przyczyną tego były dwa względy. Jeden z nich to ten, że wojsko było zajęte pospieszonym okopywaniem się wzdłuż północnego wybrzeża, by przygotować się na atak Japończyków zza Cieśniny Johore, i nie miało czasu. Drugim był fakt, iż Percival nie uważał, by Japończycy mieli natrzeć z tej strony. Był święcie przekonany, że należy oczekiwać ataku z wierzchołka drugiego (wschodniego) ucha, gdzieś między Changi a Seletar.

Percival uważał, iż Japończycy zaatakują północno-wschodnie brzegi wyspy dlatego, ponieważ Wavell, z którym omawiał tę ewentualność przed paroma tygodniami, był odmiennego zdania - spodziewał się, że atak nastąpi na północno-zachodnie brzegi. Wavell nie był w tym przekonaniu odosobniony: generał Simson, szef obrony cywilnej, najwyraźniej myślał tak samo, bowiem wraz ze swym zastępcą, głównym inżynierem, gromadzili z własnej inicjatywy materiał obronny na zachód od Grobli. Już od grudnia go tam gromadzili: miny, drut kolczasty, zasieki przeciwczołgowe, nawet beczki z benzyną, aby je rozlać na powierzchni wody i podpalić, oraz reflektory, by móc oświetlić wody przybrzeżne w ewentualnym miejscu lądowania. Złożyli nawet przeciwczołgowe słupy, bloki i łańcuchy wzdłuż drogi. Niewątpliwie Simson miał dobre za miary. Pozostawało jednak faktem, zdaniem Percivala, że miał on zadatki na strasznego nudziarza. Od pierwszej chwili, gdy przybył, wciąż domagał się zbudowania stałej linii obronnej wzdłuż północnego wybrzeża wyspy. Nie chciał zrozumieć, jak taka linia obronna wpłynęłaby na morale żołnierzy walczących w głębi kraju lub nawet samych cywili. Najnowszym wyczynem Simsona było rozpoczęcie ogoławania cywilnych samochodów z lamp dla zasilenia swych reflektorów! Gubernator jednak bardzo szybko położył temu kres. On zaś, Percival, świadom, że już niewiele pozostało czasu do ataku japońskiego, dopilnował, aby ten cały materiał obronny został przeniesiony z zachodniej części wybrzeża na wschodnią, gdzie, o czym był przekonany, stanie się bardziej przydatny.

Drażniony przez muchy, mając zawroty głowy z bezsenności, Percival siedział w swoim biurze przy Sime Road dumając nad mapami i nasłuchując odległego, monotonnego dudnienia dział. Japończycy szybko ściągnęli ciężką artylerię, są dobrymi żołnierzami, trudno zaprzeczyć. Teraz nękali północne wybrzeże ciężkim ogniem... zwłaszcza na zachód od Grobli. Ach, lecz Percival nie da się im zwieść, że niby tam nastąpi atak! Bombardowanie jednego odcinka, a następnie atakowanie innego jest jednym z najstarszych podstępów wojennych. Stwierdził, że jest coś nieomal miłego w tym stałym huku dział, do którego przyczyniała się i jego własna artyleria ostrzeliwująca Johore, i terkot działek przeciwlotniczych... przypomniał mu młodość i nie kończące się wymiany ognia artyleryjskiego w czasie pierwszej wojny. Straszne to było, lecz teraz wydawało się niemal miłym wspomnieniem. Przez chwilę zamierzał powiedzieć o tym Brookersowi... jemu też miło byłoby to wspomnieć. Ale zaraz uświadomił sobie, że przecież Brooke-Popham wyjechał do Anglii. To i dobrze. Stary już raczej nie nadawał się do czegoś takiego.

Przyszło mu na myśl, że wszystko najgorsze w tej kampanii wynikało stąd, iż do tej pory nie mógł atakować. Że raz po raz był zmuszony tylko przeciwdziałać. Dzięki wahaniom Brooke-Pophama dowódca japoński przejął inicjatywę i nie wypuścił jej aż dotąd. To prawda, że on sam padł ofiarą najbardziej niezwykłego (i podejrzanego) ciągu niepowodzeń. Lecz faktem jest, że ta niewidzialna ręka wodziła go za nos. Gdy Wavell wyraził zdanie, że atak japoński nastąpi na zachód od Grobli, a niezależnie od tego główny inżynier zaczął składować materiał też na zachód od Grobli, jakże łatwo byłoby założyć, iż właśnie tam nastąpi

atak! Lecz coś w nim się zbuntowało. Wyczuł, że znów niewidzialna ręka chce go schwycić za nos. Powiedział więc sobie: „Bądź obiektywny!” Pozbywszy się uprzedzeń spojrział ponownie na mapę, zapytując sam siebie, co by zrobił na miejscu japońskiego dowódcy. Odpowiedź brzmiała: przypuściłby atak na wybrzeże północno-wschodnie wykorzystując Pulau Ubin, długą wyspę w Cieśninie Johore, jako osłonę swoich przygotowań. W związku z tym Percival wyznaczył nowo przybyłym żołnierzom brytyjskim z 18 Dywizji, których morale nie zostało naruszone długim odwrotem przez cały półwysep, odcinek wybrzeża, jaki uważał za najbardziej narażony... choć oczywiście trzeba było bronić całego wybrzeża północnego.

Mimo to istniała możliwość, że mylił się oczekując ataku na wschód od Grobli. Faceci z wywiadu w Fort Canning, na przykład, przepowiadali atak na zachód od Grobli. Ale co oni mogą o tym wiedzieć! Nie więcej od niego - nie mają przecież samolotów zwiadowczych. Mimo to, dla pewności kazał Gordonowi Bennettowi wysłać nocne patrole na ląd stały, aby mieć lepsze pojęcie o tym, co knują Japończycy. A Bennett zwlekał z wykonaniem rozkazu. Będzie musiał mu powiedzieć parę cierpkich słów.

Sięgnął po jakieś papiery na biurku i kiedy je podnosił, wypadła z nich fotografia. Były to jego prywatne papiery, które tu przyniósł ze swojej kwatery z zamiarem spalenia. Fotografia zbiegiem okoliczności przedstawiała jego i Bennetta przed kwaterą. Stali obaj na „spocznij”, ubrani identycznie, z tym wyjątkiem, że Bennett miał bluzę z krótkimi rękawami, a on z długimi, podwiniętymi do łokci. Lecz co teraz uderzyło Percivala, to różnica w wyrazie ich twarzy - podczas gdy on sam uśmiechał się przyjemnie do aparatu, Bennett, niski, gruby facet, z pasem opinającym pokaźne brzuszysko, stojący nieco w tyle, wydawał się urażony, a nawet patrzył na niego kątem oka w sposób, który można by nazwać pogardliwym. Ale może to tylko jego wyobraźnia... fotografie słyną z tego, że dają mylne wyobrażenia. Mimo to musiał przyznać, że nie ma już takiego jak niegdyś zaufania do Bennetta. i chociaż Australijczycy walczyli bohatersko i skutecznie, Bennett jako ich dowódca okazał się dość nieudolny. Percival był koniec końców rad, że Bennett będzie dowodził północno-zachodnim obszarem, gdzie prawdopodobieństwo ataku było znikome.

Wkrótce myśli Percivala zostały przerwane wejściem oficera sztabu generalnego, który przyniósł złe wieści. Z lotniska Kallang przyszła za

pośrednictwem sztabu RAF-u pilna wiadomość: jeden z czterech okrętów „Empress of Asia”, wiozący pozostałe jednostki 18 Brytyjskiej Dywizji został nieco w tyle za trzema innymi i nie zdołał dotrzeć pod osłoną ciemności pod (względnie) bezpieczny parasol obrony lotniczej Singapuru. Zaatakowanemu przez bombowce nurkujące w pobliżu Wysp Sembilan grozi zatonięcie. Flota wszczęła próby ratowania rozbitków.

Przez kilka chwil, przeżuując tę wiadomość, Percival był jak oniemiały. Tak ufał, że niewidzialna ręka przestała już się wtrącać w jego sprawy, a tymczasem... Liczył, że 18 Dywizja przybędzie nienaruszona. W końcu jednak wziął się w garść i rzekł do oficera sztabowego drewnianym głosem:

- Możemy uważać się za szczęśliwych, że straciliśmy tylko jeden okręt. - Potem, ożywiając się, zajął się czymś innym. Było jeszcze sporo do zrobienia. Szczególnie pragnął się dowiedzieć, jak postępują prace przy niszczeniu warsztatów w Bazie Marynarki. Rzecz nie do wiary, lecz personel Floty wycofał się na rozkaz admiralicji na Cejlon, nie troszcząc się nawet, aby go poinformować, że pozostawia te warsztaty do zniszczenia jego zmordowanych żołnierzom.

Trochę później przyszła dalsza wiadomość o „Empress of Asia”. Aczkolwiek liniowiec został wraz z całym ładunkiem zniszczony, straty w ludziach okazały się niewielkie. Był to niewątpliwie dobry znak: Percival natychmiast kazał zawołać swojego kierowcę i zawieźć się do portu, aby powitać ocalałych. To prawda, że niewiele się przydadzą bez swojego sprzętu, w który wchodziły działa przeciwpancerne (ach, gdy- byż miał ich więcej nad rzeką Slim!), ale dobre i to. Każdy sprawny żołnierz mógł w końcu okazać się przydatny, pod warunkiem, że będzie dość czasu na wykonanie odpowiednich umocnień.

Jednakże później przyszła jeszcze bardziej niepokojąca wiadomość. Gdy wreszcie 7 lutego Bennett zdobył się na wysłanie nocnych patroli nad półwysep, o które go prosił, po powrocie złożyły przerażający meldunek, że Japończycy koncentrują siły naprzeciwko sektora północno-zachodniego. Czy to możliwe, zastanawiał się Percival, by jego przewidywania były mylne?

W tych pierwszych dniach lutego Matthew odnosił wrażenie, że zabudowania portowe stały bezustannie w ogniu. Oddział P.S.P. z Mayfair był tam posyłany, ilekroć w jego własnym rejonie nic się nie paliło, a zdarzało się to tak często, że stało się niemal rytuałem: meldowali się u Adamsona i podłączali do hydrantu, a jeśli nie było hydrantu, rzucali końcówkę węża w brudną wodę portu i włączali pompy. Bez względu na to, kiedy lub gdzie przyjeżdżali, niemal zawsze zastawali na miejscu Adamsona, który dowodził gaszeniem pożaru. Kiedy znajdował czas na sen, pozostawało tajemnicą. Wyłaniał się z kłębow dymu powolnym krokiem, jak na przechadźce, nigdy w pośpiechu, jakby nieświadom szalejącego obok ognia.

Któregoś z ostatnich dni Adamson zaczął pojawiać się z psem, czarno-białym owczarkiem, który w tajemniczy sposób przyplątał się do niego w czasie jednego z pożarów. Bardzo często, gdy przybywał oddział z Mayfair, najpierw z dymu wynurzał się pies, przyglądał się im, węszył i merdał ogonem, a potem znów nił w dymie, po czym wracał z Adamsonem. Następnie Adamson tłumaczył majorowi naturę pożaru i plan jego ugaszenia lub przynajmniej ograniczenia jego zasięgu... bowiem bomby powodujące pożary wciąż padały z zegarmistrzowską precyzją, dzień po dniu, bardzo często między dziesiątą a jedenastą przed południem, a potem po południu, lecz zawsze szybciej niż można się było zająć ogniem, zniszczeniem i śmiercią, które sprowadzały. Rzecz w tym, że chociaż sztab w Centralnej Stacji Straży Pożarnej przy Hill Street nanosił bezustannie wybuchy pożarów na mapę, bywało również drugie tyle pożarów „nieoficjalnych”, wybuchających błyskawicznie w dokach i gdzie indziej. Jednakże Adamson i jego pies jakoś dowiadywali się o tych pożarach, badali je i zestawiali ze stanem posiadanych pomp i wozów strażackich, po czym decydowali, które z nich są najmniej niebezpieczne i mogą być pozostawione samym sobie, a które muszą zostać z miejsca ugaszone. Parę razy, gdy jadąc do doków major napotykał jakiś pożar,

którym się nikt nie zajmował, natychmiast meldował Adamsonowi, ale po to tylko, aby się dowiedzieć, że Adamson już o nim wie.

— Niech się pali, majorze - mówił z dziwnym, ironicznym uśmiechem, a potem zaczynał wyjaśniać swym niedbałym tonem, gdzie mogą się przydać pompy oddziału Mayfair. Czasami widywano Adamsona w jeepie, który skądś zdobył, jak manewruje między stosami gruzu leżącego na ulicach, a jego czarno-biały pies siedzi obok niego i rozgląda się z żywym zainteresowaniem, jakby wypatrując nowych pożarów. Ale z powodu dużego ruchu pojazdów wojskowych przewożących sprzęt i żywność z zagrożonych magazynów w bezpieczniejsze miejsce, Adamson i jego pies częściej chodzili pieszo. Zwłaszcza Matthew obserwował ich z żywym zainteresowaniem.

Mimo zmęczenia, swego szalonego trybu życia, stałego niebezpieczeństwa i lęku, by Vera nie pozostała w Singapurze, Matthew nie opuszczało poczucie spełnienia, którego doznał po raz pierwszy podczas pożaru. Ta satysfakcja z wykonywania czegoś pożytecznego, czego wyniki były widoczne i potrzebne, w otoczeniu przyjaciół, wydawała mu się tak ogromna, że dziwił się, iż nigdy przedtem o tym nie pomyślał. Gdy łamał sobie głowę nad pytaniem: „Jak najlepiej przeżyć życie?”, a rezultat był taki, że znaczna część jego życia przeminęła, odpowiedź widniała wszędzie wokół niego, demonstrowana przez najwykleszych ludzi.

Przyglądając się Adamsonowi i jego psu, którzy spokojnie, lecz zdecydowanie, chodzą koło swoich spraw, Matthew myślał: „Z całą pewnością, tacy jak on ludzie są na całym świecie, w każdym kraju, każdym społeczeństwie i każdej klasie społecznej lub kaście! Ludzie, którzy po prostu zajmują się robieniem tego, co musi być zrobione, nie tylko dla siebie, lecz dla wszystkich”. Tacy ludzie, czy to socjaliści, kapitaliści, komuniści lub w ogóle nie interesujący się polityką, ponieważ praca całkowicie ich pochłania, stanowią kościół społeczeństwa. Bez nich tacy jak on, którzy trawili dni na spekulacjach i dysputach, nie mogliby przeżyć. Matthew pragnąłby poznać myśli Adamsona, dowiedzieć się, czy świadomie zachowuje się w ten sposób. Stwierdził jednak, że nie tylko trudno jest złapać Adamsona, ale jeszcze trudniej wydobyć z niego, jakie ma o czymkolwiek zdanie. Gdy Matthew pragnął go wysondować na temat jakiejś kwestii politycznej, odpowiadał jedynie uśmiechem lub wzruszeniem ramion. Kiedyś w odpowiedzi na pytanie Matthew

J

^przyznał niechętnie, że po wojnie, jeśli powróci do Anglii, będzie ^^ glosował na rządy Partii Pracy, by „Zmienić to wszystko”, i wskazał niejasno laską na tła się wokół nich magazyny. Po chwili namysłu dodał;

- Czytałem gdzieś, że wioślarz, który przewoził łódką króla Williama przez rzekę po bitwie pod Boyne, podobno spytał króla, kto wygrał „, Na co ten odparł: „A cóż cię to obchodzi? I tak pozostaniesz wioślarzem”. -1 Matthew musiał się tym zadowolić/

Któregoś z ostatnich dni Adamson skaleczył się w nogę i teraz lekko kulał, lecz nadal sprawiał wrażenie, jakby wyszedł na przechadzkę między płonące budynki. Tę niedbałą pozę podkreślał jeszcze fakt, że Adamson ostatnio chodził z laską, którą gdzieś znalazł. Kiedyś Matthew naszedł go niespodziewanie. Niedaleko od jednej z bram portowych leżał mały żaloszny tobolek zniszczonej odzieży i różnych drobiazgów osobistych, porzucony przez kogoś, kto nie mógł go już dalej nieść biegnąc do jednego z ostatnich odpływających statków. Inne podobnie porzucone walizki zdążyły już zniknąć lub zostały opróżnione z zawartości. Teraz Adamson, wsparty na lasce, dumiał nad starą, zniszczoną szczotką z włosiem wytartym od długiego używania, nad gąbką, kilkoma książkami, wśród których była jedna dziecinna z obrazkami, nad jakąś bawełnianą sukienką czy fartuszkami i kilkoma innymi niezidentyfikowanymi częściami garderoby. Patrzył na te rzeczy długą chwilę z uniesionymi brwiami i ponurym wyrazem twarzy, a potem pokulał dalej uderzając w przejściu laską w piłkę tenisową leżącą w rynsztoku koło jakiegoś buta i paru innych rzeczy. Pies, który wrócił, żeby zobaczyć, co się fitało, pognał dalej szukać nowych pożarów. Matthew na długo zapamiętał ten gorzki, ironiczny wyraz twarzy Adamsona kuśtykającego po pustej ulicy za swoim psem, który już znikł w kłębach dymu.

[Jccz oddział P.S.P. z Mayfair zdążył nabrać tyle doświadczenia, że jego członkowie coraz rzadziej musieli korzystać ze wskazówek Adamsona. Sam major stał się wytrawnym strażnikiem i już mu się nawet nie śniło, by podejmować takie ryzyka jak na początku. Nie dlatego, że zwalczanie pożarów stało się mniej niebezpieczne. Całkiem niezależnie od ciężkich nalotów dywanowych dokonywanych przez ogromne formacje bombowców (stanowiące wciąż wielokrotność dwudziestu siedmiu), które trwały nadal, a nawet się nasiliły w pierwszym tygodniu lutego, teraz zaczęły się pojawiać samotne myśliwce, nagle i nic wiadomo

ii

skąd, latające nad głównymi arteriami miasta i koszące z karabinów maszynowych wszystko, co się rusza, nawet riksze i trójkołowce z produktami mleczarskimi... Któregoś dnia mijali taki przewrócony trójkołowiec z leżącym obok młodym Chińczykiem z mózgiem rozprysniętym w kałuży mleka czy roztopionych lodów na jezdni. Kiedy jechali do pożaru lub wracali, wszędzie napotykali rzędy rozciągniętych na chodnikach trupów, świadczących o bytności takiego myśliwca.

Miasto Singapur, które wraz z rozwojem firmy Blackett i Webb wyrosło z małej mady na największy port handlowy na Dalekim Wschodzie, dawało schronienie w czasach pokoju ponad pół milionowi ludzi. Teraz w ciągu kilku tygodni ludność miasta podwoiła się do ponad miliona, kiedy przez Groblę zaczęli do niego napływać uchodźcy z półwyspu. Zanim w końcu wysadzono Groblę i napływ uchodźców ustał, wyspa, a zwłaszcza miasto Singapur aż roiło się od ludzi, którzy nie mieli gdzie się podziać. Odtąd niemal wszędzie widziało się ludzi z walizkami i tobołkami siedzących w każdym skrawku cienia - pod drzewami, w zakrytych pasażach, wokół kranów ulicznych - albo zebrzących o jadło u przechodniów. Dla Matthew i majora, a nawet dla Dupigny'ego, który spędził wiele lat w rojnych miastach Wschodu, ten nagły wzrost liczby ludności był bardzo denerwujący. Wśród tych beczynnych tłumów uchodźców oni sami czuli się zagubieni. Czuli, że tracą swoją rangę europejską, do której przywykli, swój specjalny status w tym ogromnym, amorficznym, anonimowym stadzie ludzi uwięzionych w płonącym mieście i niezdolnych do sprawowania kontroli nad własnym losem.

Nawet po wysadzeniu Grobli w mieście pojawiali się nowi uchodźcy, ewakuowani z północnej części wyspy przez wojsko przygotowujące się do obrony. Od początku lutego obowiązywała od dziewiątej wieczorem do piątej rano godzina policyjna, ale nie można zmusić ludzi do pozostawania w domach, jeśli tych domów nie mają. Bardzo szybko ludność miasta, której liczba została nadmiernie powiększona o uchodźców i zdemoralizowanych żołnierzy, zaczęła wymykać się spod kontroli. Pierwsze sporadyczne wypadki grabieży zaczęły występować w zbombardowanych dzielnicach. Wśród zaniepokojonych Europejczyków krążyły pogłoski o ekscesach rozpasanych żołnierzy, głównie Australijczyków: komuś pijani żołnierze z prostytutkami z Lavender Road zabrali samochód przyłożywszy pistolet do skroni, a ktoś inny słyszał o zgwałceniu angielskich pielęgniarek w ruinach koło wytwórni ciastek.

503

Ten nagły upadek, który nieomal czuło się w powietrzu, normalnych standardów postępowania, był bardziej przerażający niż naloty japońskich bombowców. W rezultacie wszyscy, którzy dotychczas zwlekali z wyjazdem, a mieli na to pozwolenie, teraz się zdecydowali.

Dzięki interwencji majora w Protektoracie Chińskim Matthew zdołał wreszcie, po długich godzinach niespokojnego oczekiwania, wciągnąć Verę na listę pasażerów linii P.&O. Lecz Vera, choć była śmiertelnie przerażona Japończykami, gdy znajdowali się o setki mil na północ, teraz, kiedy znaleźli się tuż, tuż i można ich było zobaczyć gołym okiem (jak zapewniał bawiący w Mayfair przejazdem jeden z oficerów), przechadzających się nad brzegiem w Johore Bahru, stała się spokojna i zrezygnowana. Gdy Matthew dzwonił, tak jak co dzień, do P.&O. z pytaniem, czy nie wypływają z portu jakieś statki, i tak jak co dzień otrzymywał odpowiedź przeczącą, nie wydawała się specjalnie rozczarowana. Po prostu wzruszała ramionami i uśmiechała się. W każdym bądź razie Matthew miał teraz coraz mniej okazji widywania jej. Podczas gdy on spędzał większość czasu przy pożarach, ona poświęcała nie mniej godzin pielęgnowaniu rannych w jednym z licznych prowizorycznych szpitali, które powstały na obrzeżu dzielnicy chińskiej, w miarę jak rosła ilość rannych cywilów. Matthew jednakże nie przestawał dzwonić do P.&O. Miał niezłomną pewność, że nie powinna zostać w Singapurze, gdy przyjdą Japończycy. Ale czy jeszcze jakieś statki zdołają wypłynąć? Tak minął pierwszy tydzień lutego.

Spali obok siebie. Matthew snił głęboko i niespokojnie o Genewie. Staniąc się coś okropnego, jeśli nie będzie bardzo uważał - wiedział, że życie Very będzie zagrożone, jeżeli nie przekona o czymś kogoś, ale o czym i kogo, nie było jasne. Krzyknął i obudził się. Usłyszał, że ktoś stuka w ścianę i mówi, żeby wstał. Usiadł natychmiast w duszącym mroku. Zobaczył kogoś stojącego w słabym poblasku spod podwiniętych bambusowych rolet w oknie i pomyślał: „Więc jednak przyszli ją aresztować!”

- Przepraszam, ale chyba miałeś jakiś koszmarny sen - zabrzmiał znajomy głos. To przyszedł major. Chciał mu powiedzieć, że ktoś w Pokoju Kontrolnym przy Hill Street powiadomił go, iż za kilka godzin wypływa do Bombaju okręt Wolnych Francuzów „Félix Roussel” i każdy, kto chciałby się nim zabrać, winien bezzwłocznie zarezerwować sobie miejsce. Biura P.&O. są już obleżone. Nie ma czasu do stracenia.

Rankiem wśród bałaganu krzeseł i materacy siedział w Mayfair pogodny tłumek. Wszystko zostało wreszcie załatwione. Matthew, promieniejący radością, siedział odczytując raz po raz drukowaną instrukcję, którą otrzymali w P.&O. Vera miała się zgłosić na Collyer Quay o ósmej wieczorem, zabierając z sobą tylko to, co zdoła udźwignąć. Matthew otrzymał przepustkę, która zezwalała mu na powrót do domu po godzinie policyjnej. Co do Very, to choć chwilami się uśmiechała, cały czas milczała. Matthew był zaskoczony jej spokojem. Czy była zdenerwowana perspektywą znalezienia się samotnie w Bombaju?

- Trochę - przyznała. - Ale nie, doprawdy. - Przywykła do takich rzeczy od dzieciństwa, przenosząc się wciąż z miejsca na miejsce.

- Masz adres Banku Hongkongsko-Szanghajskiego? - spytał niespokojnie Matthew już nie po raz pierwszy. - Mieści się przy Churchgate Street. Napiszę tam do ciebie i przyjadę, jak tylko będę mógł. - Vera uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń. Matthew podejrzewał, że nadal nie wierzy, iż wydostanie się z Singapuru.

Kiedy tak siedzieli i rozmawiali, poderwał ich nagły świst, jakby nad domem przeleciało jakieś ogromne ptaszysko, a potem nastąpił wybuch, mniej więcej ćwierć mili dalej.

- Nie słyszałem syren, a wy? - Patrzyli na siebie ze zdziwieniem. Tylko major zorientował się natychmiast, co spowodowało wybuch. Westchnął, ale nie powiedział nic nachylając grzecznie ucha ku swemu sąsiadowi. Człowiek ten, purpurowy na twarzy plantator spod Kuala Lumpur, był jednym z rzeszy uchodźców, którzy przybywali nie zapowiedziani, ponieważ gdzieś posłyszeli, że w Mayfair mogą znaleźć kawałek dachu nad głową. Przywiózł z sobą kilka butelek whisky, którą się co chwila wzmacniał wymachując zwitkiem papieru. Na tym zwitku papieru, mówił, są plany nowego typu działa przeciwlotniczego, które obmyślił podczas długich wieczorów na swojej plantacji. Miało ono strzelać dwa razy wyżej niż te, które są obecnie w użyciu. Napisał o tym do generała Percivala, ale jak dotąd nie otrzymał odpowiedzi.

- Można by ocalić cały Singapur, stary - mówił teraz ochrypłym głosem do majora. - A ci faceci nie chcą nawet rzucić na to okiem... Można by ocalić całe Imperium, skoro o tym mowa! - I pomachał planami w zniechęceniu.

Znów usłyszeli ten świszczący, furkotliwy dźwięk i znów nastąpiła eksplozja, tym razem gdzieś dalej.

_JCóż to, u licha, może być?

- Obawiam się, że już rozpoczęli ostrzał - rzekł major. - Musieli podciągnąć cięższe działa, by ich pociski mogły sięgnąć tej części wyspy. - Poczul nagłą ochotę, żeby wstać i zacząć chodzić, bo jeśli się jest w ruchu... Nieraz w okopach w czasie pierwszej wojny zdarzało się, że pocisk padł akurat tam, gdzie siedział lub stał przed chwilą. Zmusił się jednak, aby pozostać na miejscu patrząc nieco szklanym wzrokiem na Matthew i Verę siedzących naprzeciwko. Nie chciał zaczynać tego wszystkiego na nowo w swoim wieku! Zwalczenie owej potrzeby pozostawania w ruchu zajęło mu po wojnie całe lata. Ileż to lat spędził z niewidzialnymi pociskami, które wybuchały w pokojach stołowych i salonach, dopiero co przez niego opuszczonych!

- Taki zasięg mogą mieć tylko lżejsze pociski - dodał zapalając fajkę.

- Major chce dać do zrozumienia, że przy odrobinie szczęścia można dostać jedynie lżejszym pociskiem - zauważył Dupigny ironicznie od drzwi.

- Ach, François! Wiesz, że dziś odpływa do Bombaju francuski statek? Popłyniesz nim?

Dupigny zaprzeczył ruchem głowy.

- Zostanę tutaj jeszcze trochę.

- To może być twoja ostatnia szansa. Dupigny jednak wzruszył ramionami.

- Widziałem przed chwilą Waltera. Mówił, że Joan i Nigel odpływają dziś wieczorem. Mają się pobrać w Bombaju, a potem pojechać do Australii... Joan miała odpłynąć przedwczoraj, ale nie mogła się dostać na statek. Wygląda na to, że... - major umilkł, Matthew bowiem przyłożył palec do ust i wskazał Ehrendorfa, który leżał na materacu w drugim końcu pokoju, z twarzą zakrytą gazetą.

- Co zrobisz z tym nieszczęśnikiem? - zapytał Matthew chcąc zmienić temat.

Spod eleganckiego lakierowanego biurka z telefonem polowym „do użytku w nagłych wypadkach”, którego nikt nie umiał uruchomić, telefonem zwykłym i różnymi innymi rzeczami, przy każdym wybuchu pocisku dobywał się jęk. Wkrótce autor tych jęków wyczołgał się spod niego i wpełzł pod krzesło majora. Przy swoim wyrafinowanym poczuciu grożącego niebezpieczeństwa Dola Człowiecza wyczuł najwidoczniej, że te dziwne nowe wybuchy źle wróżą, o ile chodzi o jego przetrwanie.

- Obawiam się, że będę go dziś musiał zaprowadzić do weterynarza. Weźmiemy tego biedaka, jak będziesz jechał wieczorem do portu. - Na te słowa Dola Człowiecza podniósł oczy na majora i zaskomlał żałośnie liżąc zarazem jego dłoń.

- Sądzę, że ten pies gnije od wewnątrz-zauważył Dupigny obiektywnie.

Ehrendorf szedł z ręcznikiem i kąpielówkami w ręku w stronę domostwa Blackettów. Zatrzymał się na chwilę wśród egzotycznych kwiatów, które jarzyły się jak lampy na tle ciemnego listowia. Przyglądał się motyloom, które pikowały i trzepotały skrzydłami na tej małej polance, nieczule na niedawno spadłe wokół bomby. Potem, z melancholijnym westchnieniem, które było udawane, ponieważ obecnie widział siebie jako nieszczęsnego bohatera swej powieści w pierwszej wersji (niewinny Amerykanin nadużywany przez cynicznych Europejczyków), ruszył w kierunku basenu pływackiego.

Chociaż onegdaj po zapadnięciu zmroku złożył Walterowi krótką wizytę, minęło kilka tygodni, odkąd Ehrendorf widział dom Blackettów ostatni raz za dnia. Teraz dom ten wydał mu się zaniedbany i opuszczony. W czasie nalotu na Tanglin jedna z bomb upadła na skraj trawnika wyrwijając z korzeniami drzewo „płomień lasu”, pod którym przed kilkoma miesiącami stał z Joan, kiedy chlusnęła mu winem w twarz podczas garden-party. Nikt nie spróbował nawet zasypać leja, którego krawędź zaczynała już porastać trawą. Kilka okien domu, kiedyś oszklonych ze względu na zastosowanie klimatyzacji, w których zwykle odbijały się odbłaski słońca z basenu, teraz czerniało ponuro.

Minął kort tenisowy, którego białe linie, zmyte przez deszcze monsunowe, były teraz ledwie dostrzegalne. Normalnie natknąłby się na Ta- milów pracujących przy grządkach lub przycinających lalang, ale dziś nie ujrzał żywej duszy; Przystanął, aby popatrzeć z zaciekawieniem na kupę połamanych żerdzi i podartego kartonu na skraju lasu muszkato-łowców, nie rozpoznając w nich szczątków zniszczonych platform na pochodź jubileuszowy. A może Walter i Joan wyjechali? I choć pogodził się już, że pewnie nigdy więcej nie zobaczy Joan, myśl ta zaskoczyła go ogromem smutku, jaki nagle w nim wzbudziła.

Letni domek, do którego Blackettowie w czasach szczęśliwych zapraszali gości, aby się przebrali do kąpieli, pozostał nietknięty. Ehrendorf przebrał się szybko w kąpielówkę i wskoczył do basenu, w którym było pełno liści i śmieci. Przepłynął kilka stóp pod wodą, ale woda była szara i nieprzyjemna. Jak tu się wszystko zmieniło! Wypływając na powierzchnię uderzył głową o kawałek deski, na której było napisane: „... w Dobrobycie”, Zacerpnął głęboko powietrza i znów zanurkował, tym razem przesuwając się przez ciche, szare korytarze, licząc szare kafelki na dnie i przyglądając się dziwnym przedmiotom: rozbitej doniczce z jakąś szarą mulistą rośliną, która zachwiała się lekko, gdy przepływa łą, cegle, rdzewiejącemu metalowemu kijowi od golfa, zamulonej niewielkiej nabrzmiałej głowie, szarej i straszliwie rozradowanej, która niegdyś należała do jednej z platform i w której również nie dopatrzył się podobieństwa do nikogo. Chciałby tak płynąć i płynąć przez ten szary świat, ale płuca nakazały mu powrót na powierzchnię. Przetarłszy oczy zobaczył, że w stronę basenu idzie szybko Joan. Była zaczerwieniona i podniecona.

- Och, witaj! Nie gniewasz się chyba, że się tu kąpię? Nie widziałem nikogo w pobliżu i pomyślałem, że wszyscy już wyjechali, - Uświadomił sobie, że miał dziwnie sztywne mięśnie twarzy, kiedy to mówił.

Joan stanęła na krawędzi basenu i patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, skubiąc palcami niespokojnie turban, który miała na głowie, Zignorowała jego słowa, odwróciła się, spojrzała na zegarek, po czym znów popatrzyła na niego, W końcu powiedziała:

- Musisz mi pomóc dostać się na statek. Próbowałam dzwonić do różnych ludzi, ale nikogo nie ma. Tu został tylko Abdul, ale on jest za stary, .. Podobno już się zrobił straszliwy korek na ulicach... Wszyscy boye pouciekali, nawet ci z kuchni, a ojciec gdzieś pojechał... i zupełnie nie wiem, gdzie jest Monty... Nigel musiał w ostatniej chwili pójść załatwić jakąś sprawę i mam się z nim spotkać przy statku, lecz jeśli mi nie pomożesz... Rozumiesz, nie ma nikogo! Ojciec miał już dawno wrócić i zawieźć mnie na statek, ale nie ma nawet saisa, a robi się późno... Jim, nic dam sobie sama rady z tym bagażem, rozumiesz? Och, odejdz! Jesteś zupełnie do niczego! - wrzasnęła nagle do Abdula, bo ten stary sługa przyszedł tu za nią i stał niespokojnie zacierając dłonie. Wstrząśnięty cofnął się kilka kroków, ale nie spuszczał wzroku z Joan.

Ehrendorf obrócił się na plecy i już nic patrzył na Joan, ale prosto w niebo, które było bezchmurne, choć spowite lekką mgiełką. Unosząc się na wodzie z wyciągniętymi rękami i nogami myślał: „Z góry wyglądam pewnie jak rozgwiazda... albo jak kawałek drewna na wodzie”. Mimo że woda bulgotała mu w uszach, słyszał wciąż głos Joan, chociaż słabiutko. Domyślał się z jego natężenia, że jest przerażona. Oto dziew

■H

czyna, która odmówiła Matthew, gdy prosił, aby pomogła wyjechać Verze! Unosząc się spokojnie na wodzie powiedział sobie: „Nie pomogę jej, choćby od tego zależało moje życie!”

Kiedy odwrócił się na brzuch, aby podплыć do brzegu, nie słyszał już jej głosu, ale widział ją klęczącą we łzach wściekłości i tłukącą w brzeg basenu kawałkiem drewna. Chwyił się rękami zaokrąglonej obmurówki i wydzwignął z wody dumając nad zjawiskiem, jakim jest piękna kobieta o przykrych osobowości. „Taka kobieta - myślał - jest jak piękny szkuner z obłąkanym kapitanem”. Strażniczką tego ślicznego ciała była suka o zatwardziałym sercu. Wydawało mu się to zdumiewające.

- Pomogę ci, oczywiście - rzekł. - Poczekaj tylko, aż się przebiorę.

Buick pana Wu, który przez kilka dni stał w warsztacie, teraz znów był na chodzie i zdążył ku Wilkie Street, by pozostawić u weterynarza Dolę Człowieczą, a następnie udać się na Collyer Quay. Pies siedział na przednim siedzeniu i patrzył niepewnie na ciemniejące ulice. Lecz kiedy przyjechali na Wilkie Street, zastali tłum znękanych ludzi z psami, kotami i ptakami najrozmaitszych kształtów i wielkości, którzy tam już czekali. Wydawało się, że te nieszczęsne stworzenia wyczuwały udrękę swych właścicieli, czyniły bowiem ogromną wrzawę piszcząc, skamłając, miaucząc, szczekając i ćwierkając. Major nie znosił takich widoków, toteż powiedział:

- Zajedziemy wracając z portu. Po godzinie policyjnej nie będzie tu nikogo. Poza tym szkoda czasu. - Dola Człowieczą, który spoglądał z przerażeniem na tę szaleńczą kolejkę współofiarn, wydał chwytny za serce skowyt. Na jak długo jego wyrok został zawieszony?

Kiedy przyjechali na Collyer Quay, dziękowali Bogu, że nie zwlekali z przybyciem, bo całe nabrzeże i jego okolice były już zatłoczone samochodami pełnymi zdenerwowanych ludzi. Trzymając w ręku papier, który Vera otrzymała w Cluny, Matthew zanurzył się w tłum, aby się dowiedzieć o bilety i zaokrętowanie. Nie było go bardzo długo, tymczasem korek uliczny jeszcze się powiększył. Gdy wreszcie Matthew wrócił z biletem Very, miał zatroskany wyraz twarzy - wyjaśnił, że muszą jeszcze jechać do nabrzeża linii P.&O. położonego o jakieś trzy mile dalej, a samochody poruszały się teraz noga za nogą. Co gorsza, pasażerów wpuszczano na statek grupami utworzonymi alfabetycznie, aby wszyscy

nie przybyli na nabrzeże jednocześnie. Ponieważ nazwisko Very zaczynało się na literę C, zarządzenie to winno działać na jej korzyść, ale urzędnik, który ją zapisał, uznał zapewne, że podała najpierw swe nazwisko, jak zwykli czynić Chińczycy, i włączył ją do ostatniej grupy. W każdym bądź razie pasażerowie nie przybywali co jakiś czas, jak się spodziewano, i tym, którzy przybyli za wcześnie, kazano czekać blokując nabrzeże. Aczkolwiek rozporządzenia co do sposobu wchodzenia pasażerów na statek nie spełniły oczekiwań, przeciwnie, tylko zwiększały bałagan, były ściśle przestrzegane przez władze nadzorujące zaokrętowania.

- Powinniśmy mimo to zdążyć. Statek odplywa dopiero o pierwszej. W najgorszym razie pójdziemy pieszo.

Minęło dobrych kilka minut, zanim zdołali wcisnąć się między samochody pełnące wolno po Collyer Quay, potem zatrzymywali się co jakiś czas na dłużej. Czasami dowiadywali się o przyczynie tych postojów - jakiś silnik się przegrzał lub zabrakło benzyny. Wyprzedzali wówczas odchodzącego od zmysłów mężczyznę, który stał patrząc w silnik swojego samochodu w kłębach pary, albo płaczącą kobietę z górą bagażu, na którą jadący dalej klęli i wrzeszczeli, aby zepchnęła samochód na bok.

i To straszne. - Twarz majora stawała się posępniejsza z minuty na minutę. Wkrótce minęła godzina. Wciąż jeszcze nie dojechali nawet do ruin Domu Marynarza przy końcu Anson Road.

- Może przesuną godzinę odpłynięcia. - Lecz to, Matthew wiedział, było mało prawdopodobne, bo jeśli „Félix Roussel” miał umknąć przed japońskimi bombowcami, musiał się znaleźć przed świtem daleko od Singapuru.

Od pewnego czasu jechali za dużym, odkrytym bentleym wiozącym grupkę elegancko ubranych dziewcząt siedzących na walizkach ze świńskiej skóry, oklejonych kolorowymi nalepkami różnych hoteli i parowców. Ponieważ było już dość ciemno, a wszystkie latarnie zgodnie z przepisami o zaciemnieniu wygaszone, jedynie zaklejone papierem reflektory buicka rzuciły słaby blask na jadącą przed nim grupę. Ale od czasu do czasu błyskał płomień zapalniczki i ktoś przypalał papierosa (widocznie młode damy jadące bentleym nie wzbraniały się przed publicznym paleniem papierosów)... a wówczas dawało się na chwilę zauważyć wesołą scenkę, bo dla uczczenia swego wyjazdu z Singapuru damy zabrały z sobą kilka butelek szampana i kieliszki. I tak przez całą nastę-

pną godzinę ponura grupka z Mayfair, ze swoim skazanym na zagładę psem na przednim siedzeniu, siedziała i patrzyła na pięknie ondulowane włosy jadących przed nią dam i słuchała chichotów, pisków i strzelania korków. Wkrótce wydało się majorowi, że ów bentley jest jakiś znajomy.

— Czy to nie jest jeden z samochodów Waltera?

— Właśnie myślałem o tym samym. Ale co w nim robią te młode kobiety? One też wydają mi się jakieś znajome. Jednakże to na pewno nie Walter siedzi za kierownicą ani jego sais. - Kierowca, kimkolwiek był, pozostawał niewidoczny, zagłębiony jakby w załękaniu w fotel, w przeciwieństwie do swoich pasażerek.

— Przyszło mi na myśl, że może to ta grupa śpiewacza - rzekł major. - Siostry Da Sousa... dziewczęta, które Walter chciał mieć na swoim pochodzie jubileuszowym. Pewnie zgodził kogoś, żeby je zawiózł na statek jego samochodem.

Po chwili, jakby dla potwierdzenia jego teorii co do ich tożsamości, młode kobiety siedzące na walizkach w bentleyu uniosły swe ondulowane główki i objawszy się ramionami zaczęły śpiewać:

Singapur, huloo, huloo!

W jedwabiach, satynach i boa,

Jesteśmy dziewczynki z Goa!

Major był zbyt ztroskany, aby się bardzo przejąć tożsamością jakichś podchmielonych młodych kobiet w samochodzie Waltera. Bardziej martwiła go jarząca się tarcza zegara na desce rozdzielczej (czy ten zegarek stoi, czy jest naprawdę kwadrans po jedenastej?). To prawda, że dojechali już prawie do rogu Trafalgar Street, ale im bliżej byli przystani, tym wolniej się posuwali. Teraz co chwila musieli przystawać na kilka minut. Upał, spaliny i wszechobecny dym sprawiały, że trudno było oddychać. Vera siedziała z głową na oparciu i zamkniętymi oczyma. Duża wskazówka na tarczy zegara na desce rozdzielczej wciąż przesuwiała się naprzód.

Z upływem czasu wesołość Sióstr Da Sousa w jadącym przed nimi samochodzie zastąpiło ponure milczenie: widocznie i one zaczęły się denerwować, czy zdążą na statek. Wkrótce wybuchła wśród nich sprzeczka i zaczęły wrzeszczeć, nie wiadomo, czy na siebie wzajem, czy na swojego kierowcę. Potem zaczęły wymyślać na samochód, który tarasował

512

im drogę, ponieważ opuścili go pasażerowie. Po pewnym czasie bentley zdołał go ominąć i kolumna przesunęła się nieco do przodu. Na nadmorskiej stronie drogi płonął magazyn, podpalony w czasie nalotu i pozostawiony swojemu losowi, rzucając czerwoną poświatę na rząd samochodów w przodzie i powodując, że zewsząd bił żar nie do opisania. Teraz stało się jasne, że szereg samochodów porzucono blokując nieodwołalnie drogę.

- Lepiej chodźmy piechotą - rzekł Matthew. Vera powiedziała, że może iść, ale widać było, że od tego upału, dymu i spalin źle się czuje.

- Wy idźcie - rzekł major - a ja postaram się pozbyć tego samochodu i przyjdę wam pomóc.

Matthew otworzył drzwi, wyjął walizkę Very i pomógł jej wysiąść. W tym momencie Dola Człowiecza nagle wyskoczył z przedniego siedzenia w mrok i znikł.

- Hej, wracaj! - zawołał słabo major, ale nie była to pora, aby się przejmować zbiegłym psem. Matthew wziął walizkę i podtrzymując troskliwie Verę ruszył z nią w migocącą noc. Kiedy przechodzili obok bentleya, między młodymi damami a ich kierowcą wybuchła nowa sprzeczka. Wynikało z niej, że obciążały go odpowiedzialnością za korek uliczny, w którym utknęły.

- Mówiłeś, że nas zawieziesz na ten cholerny statek! - wrzeszczały. - Spróbuj nas teraz nie dowieźć!

- Matthew! - rozległ się zrozpaczony głos z bentleya i gdy Matthew zajrzał do wnętrza samochodu, ze zdumieniem zobaczył w nim skulonego za kierownicą Monty'ego Blacketta z twarzą oświetloną niesamowitym migotliwym blaskiem niby ogni piekielnych.

- Słuchaj, stary, nie mógłbyś mi trochę pomóc z tym bagażem? Jest tak ciężki, że sam sobie nie poradzę. No, chodź, bądź równy!

- Niemożliwe! Mam dosyć swojego.

- Słuchaj, Matthew, fajny z ciebie facet - błagał Monty poufniej- szym tonem - te młode damy, które nawiasem mówiąc są przeurocze, pozwolą nam w zamian za wyświadczoną przysługę schować się w swojej kajucie, póki statek nie odpłynie... Znajdziemy się w Bombaju, zanim ktokolwiek się połapie. A jeszcze na dodatek dadzą nam pewnie trochę pobawić się z sobą. To nasza jedyna szansa! Nie bądź frajer! Z Singapurem już koniec! Wszyscy o tym wiedzą. Obiecałem tym dziewczętom, że załaduję je na statek, i będę miał się z pyszna, jeżeli tego nie zrobię! Wejdzimy na pokład mówiąc, że tylko pomagamy im wnieść

513

JHHHHH

[walizki, a potem zostaniemy. Tutaj jest taki bałagan, że nikt się nie zorientuje.

| — Przykro mi. Monty, ale nie mogę ci pomóc. Jesteś prawie na miejscu. Na pewno dasz sobie radę. Żegnaj.

Gdy Monty w ten sposób błagał o pomoc, dwie z Sióstr Da Sousa, które już zaczęły go okładać pięściami i szarpać za włosy, przestały się nad nim znęcać i utkwily swoje błyszczące, antracytowe oczy w Matthew. Tymczasem pozostałe z Sióstr Da Sousa przeskoczyły przez walizki na przód samochodu i przysiadły na oparciu fotela Monty'ego, na drzwiach z jego strony, a nawet na obudowie przedniej szyby niczym błomastoskrzydłe harpie, trzymając się szponami o długich czerwonych paznokciach i patrząc na niego błyszczącymi okrucieństwem oczyma. przy czym paru z nich zaczynała już kapać ślinka ze szkarłatno upo- madowanych ust.

— Bądź równy gość! — zaskomlał Monty.

Lecz Matthew już zdążył z Verą ku odległej przystani linii P.&O. Obejrzał się raz i zobaczył, jak oświetlona migotliwym blaskiem, przerażona twarz Monty'ego niknie pod falą kąsających, drapiących i szarpiących za włosy Sióstr Da Sousa. Po chwili widać było tylko wewnętrzną wianuszek undulowanych głów i zewnętrzny wianek opiętych spódnicami tyłków. „Biedny Monty - pomyślał Matthew. - Co za łosP Popędził jednak z Verą naprzód, zbliżała się bowiem północ, a „Felix Ro- ussel" miał odpłynąć o pierwszej.

Uszedłszy kawałek zobaczyli, że droga jest zablokowana nie tylko porzuconymi samochodami, ale i najrozmaitszymi innymi przedmiotami. Najwyraźniej nikt nie wziął poważnie pouczenia, by zabrać tylko bagaż podręczny. Na dachach samochodów widać było porzucone teraz najrozmaitsze sprzęty domowe: stoły, fotele, komody i skrzynie, z okien wystawały zwinięte dywany. Gdzieś tam porzucone przedmioty leżały wprost na drodze, co stopniowo nabierało wyglądu jakiegoś koszmarnego składu meblowego - niektóre meble były wleczone dalej w stronę przystani przez właścicieli, którym trudno było się z nimi rozstać. W innych przypadkach właściciele nie mogli się jeszcze zdecydować na ich porzucenie - tu i ówdzie widziało się człowieka z wybałuszonymi oczyma i nabrzmiałymi zębami, jak wlecze jakiś przedmiot, zbyt cenny, aby się z nim rozstać, jakiś mahoniowy stół albo komplet rzeźbionych chińskich krzeseł, a u jego boku jęczy żona dźwigając ciężki mosiężny posąg Buddy lub inny ciężar.

Miejscami meble i skrzynie, walizy i kufrы leżały w tak wielkich ilościach, że Matthew i Vera nie widzieli innego sposobu, jak wspinać się po nich. Musieli przeciskać się między szafami lub drapać przez fortepiany, a wszystko w blasku płonących w dali budynków, czasem dostrzegając słabo własne odbicie w długich lustrach, czasem zaś słysząc jęki i łkania mglistych postaci klęczących przy drodze. Na jednym z mrocznych odcinków drogi słyszeli pod stopami chrzęst najlepszej chińskiej porcelany. Zatrzymawszy się dla odpoczynku, ponieważ Vera była zmęczona, usiedli na chesterfieldzkiej kanapie nie zdając sobie początkowo sprawy, że jakiś mężczyzna i kobieta usiłują ją wlec w stronę przystani.

Wreszcie zaczęli się zbliżać do bram portu i dostrzegli nawet rysujące się na tle różowej poświaty kominy „Felix RousseP. Nagle z mroku na Keppel Road w tłumie zdążającym ku 3 Bramie wyłoniła się riksza. Zdumiony Matthew zdążył spostrzec Joan siedzącą wśród stosu walizek i Ehrendorfa, obnażonego do pasa i ociekającego potem, jak galopuje, ile sił, ciągnąc riksze. Nie mogąc podobnie jak Vera i Matthew dojechać samochodem, Ehrendorf musiał go porzucić, lecz Joan odmówiła zgody na rozstanie się z bagażem, który zawierał cenne prezenty ślubne, komplet kufla cynowych, bieliznę pościelową, materiał na firanki w odcieniu, jaki sobie umyśliła do pierwszego samodzielnego mieszkania, komplet srebra stołowego i temu podobne rzeczy. Cóż było robić? Ehrendorf zauważył porzuconą riksze przy drodze i tak TnóStitA się tutaj z głową pochyloną i bez tchu w płucach, roztrzając ludzi na lewo i prawo w pędzie ku otwartej bramie.

— Kochanie! Tak się bałam, że nie zdązysz na czas! - wykrzyknął jakiś głos niemal wprost do ucha Ehrendorfa. Słowa te były skierowane do Joan, a wypowiedział je młody człowiek z różowymi policzkami, ubrany w biały lniany garnitur i filcowy kapelusz. - Mam zajętą kolejkę na przodzie. Słuchaj, co to za facet? - dodał zauważywszy wreszcie, że riksziarz Joan jest nieco niezwykły. Przez chwilę Ehrendorf patrzył w lekko wyłupiaste niebieskie oczy swojego szczęśliwego rywala. Potem kosmyk blond włosów osunął się znad czoła Nigela jak kurtyna i tylko jedno niebieskie oko stało się widoczne. Nigel sięgnął ręką do czoła i odsunął natrętny kosmyk przeczesując go palcami i nie przestając przyglądać się Ehrendorfowi z niesmakiem. Ehrendorf rzucił dyszle rikszy na ziemię i sięgnął po koszulę mruczając:

- Resztę pozostawiam tobie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. -

IZawahał się chwilę badając wzrokiem Nigela bez uczucia wrogości. „Co ona widzi w takim facecie?” - zapytał siebie ze zdziwieniem... ale zawsze uważał, że jeśli chodzi o mężczyzn, kobiety miały straszne gusta. Nie spojrzawszy nawet na Joan odszedł przepychając się przez tłum.

- Hej, nie pomożesz mi z tym bagażem? - doszedł go z inroku słaby, pełen oburzenia głos.

Gdy wreszcie Matthew i Vera przebrnęli przez bramy i zobaczyli, co dzieje się na nabrzeżu, spojrzeli na siebie z przerażeniem. Między miejscem, w którym stali, a wąskim korytarzem, którym przechodzili pasażerowie, kłębił się gęsty tłum. Za tym tłumem stało lub siedziało kilku znękanym urzędników, którzy sprawdzali bilety, robili ludziom wymówki, zapisywali nazwiska, pokrzykiwali, wzruszali ramionami, niecierpliwili się. Raz po raz od tłumy odrywał się jakiś człowiek i ruszał w samotną wędrówkę przez korytarz, następnie po trapie z płóciennymi bokami, po czym nikł we wnętrzu majaczącego w mroku statku, odprowadzany wzrokiem kłębiącego się w dole tłumy. Gdy Matthew i Vera wepchnęli się w tłum, zobaczyli, jak w stronę trapu idzie łkająca kobieta wlokąc za rękę małą dziewczynkę o ładnej, szczerej twarzyczce i ze wstążką we włosach, która dźwiga lalkę w długiej dziecięcej sukience. Za nimi szedł chłopczyk w helmie korkowym i z „małym konstruktorem” pod pachą. Po nich na chwilę nastąpiła przerwa, po czym pojawili się Nigel i Joan, obładowani walizkami. Raz zapalił się na chwilę ogromny reflektor na nadbudówce statku, omiół blaskiem tłum na dole i zgasł.

Kiedy zbliżała się pierwsza godzina i na statku dały się zauważyć oznaki krzątaniny, tłum zaczął jeszcze bardziej napierać. Ludzie krzyczeli i wymachiwali biletami w nadziei, że zwrócą na siebie uwagę urzędników i dadzą im do zrozumienia, iż są jeszcze na brzegu pasażerowie z biletami. Tempo przechodzenia ich po trapie jednak się nie zwiększyło, mimo że urzędnicy musieli zdawać sobie sprawę, iż nie wszyscy mogą zdążyć na statek. Tymczasem wciąż napływali nowi, spóźnieni pasażerowie, pchając się ile sił.

Nagle, po zdać by się mogło wieki trwającym przepychaniu, Vera i Matthew znaleźli się jakby cudem w pobliżu jednego z biur. Matthew rzucił się do przodu i zdołał jakoś cisnąć na nie bilet Very. Urzędnik wziął bilet, obejrzał go i oddał Matthew kręcąc przecząco głową.

- W porządku alfabetycznym, proszę pana. Bardzo mi przykro. Ale jeszcze nie doszliśmy do tej litery.

- Przecież statek odpływa za pięć minut!

- Nic na to nie poradzę. Następny, proszę.

Rozmawiając z człowiekiem przy biurku Matthew puścił Verę. Obejrawszy się teraz zobaczył, że wpadła w przeciwny prąd pchających się pasażerów i została odrzucona do tyłu. Co to za typ z tego urzędnika! Matthew wyciągnął ręce, żeby schwycić urzędnika za gardło, lecz stojący za nim i wymyślający mu za tracenie czasu ludzie schwycili go za ubranie i odciągnęli. Kiedy przepychał się do Very, coś przemknęło mu między nogami i pognęło w stronę trapu. Był to stary spaniel. Jeden z urzędników próbował go schwycić, ale pies skręcił i wymknął mu się, po czym ze spuszczoną głową popędził trapem na górę, przemknął obok zdumionych marynarzy i dawszy nura w zatłoczony pokład znikł z pola widzenia właśnie w chwili, gdy wydano polecenie podniesienia trapu (następnie nieomylny instynkt kazał mu ruszyć na mostek kapitański, na którym kapitan, choć zatroskany japońskimi bombowcami i niespokojnymi godzinami, jakie go oczekiwały, myślał właśnie z żalem i tęsknotą o swoim własnym piesku, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności rozstał się przed kilku dniami z życiem spędzonym w komforcie).

Znowu zabłysło światło reflektora i omiotło spiesznie zatłoczony brzeg zatrzymawszy się na chwilę na wielkiej kołysce z sieci, w której wciągano na statek wielki samochód. Matthew nie wierzył własnym oczom: przecież to Bentley, którym przyjechał Monty! Ale jak zdołał się precyzyjnie do nabrzeża? Monty'ego nie było widać. Może leżał na podłodze. Natomiast widać było Siostry Da Sousa. Bardzo przystojny francuski marynarz stał jedną nogą na stopniu Bentley'a trzymając się rękami liny. Obejmowały go za szyję szkarłatne szpony jednej z Sióstr Da Sousa. Nagle niczym ptaki, na które padł pierwszy promień słońca, Siostry Da Sousa pochyliły ku sobie ondulowane główki i zaśpiewały:

Matelot, halo, ha!o!

W jedwabiach, satynach i boa,

Jesteśmy dziewczynki z Goa!

Reflektor został wyłączony. Zapadła ciemność i nagła cisza. W następnej chwili z zawiedzionych gardel pasażerów na nabrzeżu dobył się ryk wściekłości. Trap zaczął unosić się do góry.

Tłum nacisnął z mocą, przygniatając ramiona Matthew do tułowia i

wyciskając mu niemal powietrze z płuc. W końcu zdołał wyswobodzić rękę i wyciągnąć w stronę Very... lecz kiedy to robił, zobaczył tył jej rudawej głowy nikaący pod nacierającym tłumem. Przepchał się w szale wściekłości do miejsca, w którym upadła, krzycząc do ludzi, aby odstąpili na bok. Oni jednak jakby go nie słyszeli. Szukając jej na ziemi na- macał kawałek drewna i zaczął nim okładać wszystkich dokoła, aż odpędził ich z miejsca, w którym leżała na płytach nabrzeża. Wziął dziewczynę na ręce i ruszył przepychając się ku bramom, ciągle młócąc drewnem na lewo i prawo. Krew z twarzy Very spływała mu stróżką po plecach. Na północy trwał bezustanny łoskot dział. Japoński atak na wyspę miał się rozpocząć za kilka minut.

W drodze do domu major, który poniechał prób odnalezienia Very i Matthew w tłumie, zajechał do przyjaciela w Centrali Ratownictwa w Biurach Miejskich, po czym razem udali się na obserwację bombardowania z płaskiego dachu budynku, na którym już zgromadziła się garstka ludzi. Błyski dział brytyjskich, huk i nieustanne migotanie baterii japońskich na północy, wszystko to zaczęło przywozić majorowi wspomnienia z młodości, o których wołałby zapomnieć. Po kilku minutach pożegnał się z przyjacielem i wrócił do Mayfair. Wczesnym rankiem zjawili się Matthew i Vera, wstrząśnięci przeżyciami i wyczerpani. Vera, chociaż pokaleczona i posiniaczona, nie odniosła cięższych obrażeń. Major bardzo im współczuł, ale nie zdziwił się specjalnie, gdy się dowiedział o pozostawionych na nabrzeżu tłumach.

Mimo wczesnej pory zebrała się współczująca grupka ludzi, aby wysłuchać, co się wydarzyło w porcie. Ludzie nie mogli spać, gdyż czuło się w powietrzu, że zbliża się kryzys. Straszliwy ogień artylerii z Johore nasuwał przypuszczenie, iż niedługo będą próbowali przeprowadzić desant na wyspę. Wcześniej, w odpowiedzi na pogłoskę, że cały alkohol w Singapurze ma zostać zniszczony, aby wojsko japońskie w razie udanego lądowania nie zaczęło grabić, z Mayfair wyruszyła grupa ludzi pod przewodnictwem Dupigny'ego oraz pana Wu, aby się zakraść do domu Blackettów, i powróciła z kilkoma skrzynkami wina z piwnicy Waltera. Ponieważ nie było dostatecznej ilości kieliszków, każdy otrzymał dla siebie całą butelkę. Wkrótce zabawa była w pełni.

Stopniowo, dzięki wspaniałemu trunkowi Waltera, ponurą atmosferę zaczął zastępować nastrój uniesienia. Wesołe głosy zaczęły również dobiegać z Sali Konferencyjnej, gdzie dziewczęta z Poh Leung Kuk, które przyspieszyły z rozkazu majora wybór kandydatów na mężów, poświęciły temu najwyraźniej całą noc. Poprosiły majora, żeby im pożyczył swój gramofon. Major odniósł się niezbyt entuzjastycznie do ich prośby pragnąc wiedzieć, po co im gramofon do tego celu. One jednak wydawały się tak rozczarowane i zbite z tropu jego odmową, tak trzepotały długimi rękami (a przecież ostatecznie spisywały się znakomicie,

jeśli się zważy na prymitywne warunki, jakim musiały stawić czoła), że major im uległ wbrew własnej woli. I tak, nie bez obaw, dał im ów gramofon, dwie płyty, które pozostały całe, i pudełeczko igieł, surowo przykazując, aby zmieniały igłę, ilekroć nastawiają płytę, i nie nakręcały sprężyny za mocno, bo może pęknąć.

- I chcę widzieć każdą z was z mężem najpóźniej do jutra - dodał surowo. - To całe wybieranie już za długo trwa. Jeśli się która nie zdecyduje do jutra, poproszę kapitana Browna, aby to za nią zrobił.

Prawdę mówiąc major liczył na to, że zostanie spokojny w domu, kiedy wróci z portu, ale widocznie dziewczęta, chcąc powziąć ostateczną decyzję, uznały za konieczne zatrzymać swych kandydatów na mężów po godzinie policyjnej. Teraz zza zamkniętych drzwi Sali Konferencyjnej po piosence Noela Cowarda „London Pride” dobiegł głośny śmiech. Major spróbował ocenić, czy miały dość czasu, aby zmienić igłę, zanim zaczęła grać następna płyta.

A księżyc, który zwlekał nad wielkim Londynem, Zmarszczył brwi, zatroskany, niepewną miał minę.*

On też zmarszczył brwi. Pociągnął łyk z butelki Chateaux Ducru Be-aucailou, którą trzymał w ręku, żywiąc nadzieję, że w Sali Konferencyjnej nie dzieje się nic niestosownego. Powinien był doprawdy wymóc na dziewczętach, aby ich przyszli mężowie wyszli przed godziną policyjną. Nie mógł oczekiwać, że wyjdą teraz. Może wyrzuci ich po piątą.

I skąd miał wiedzieć, że my się tak kochamy, Że ten cholerny świat stanął na głowie, Gdyśmy się na dobranoc już całowali, Na Berkeley Square słodko zaśpiewał słowik.*

Major nie wątpił, że zaraz przyjdzie znów kolej na Noela Cowarda. Niebawem do grupki przyłączył się Cheong, który też nie mógł spać, i on również otrzymał butelkę czerwonego wina. Pozycja Cheonga uległa ostatnio znacznej zmianie. Nie uważano go już za służącego. Przeciwnie, stał się postacią o znacznym autorytecie, organizując na wielką skalę posiłki, przydzielając uciekinierom miejsca do spania zarówno w bungalowu jak i pod nim. Był dla majora ogromną pomocą. Zajmował się z własnej inicjatywy szeregiem spraw, które inaczej pozostałyby nie załatwione. Czyż major nie zastał go grzebiącego kogoś spokojnie w ogrodzie? Pochowanie kogoś w ogrodzie między śniadaniem a lunchem stało się ostatnio dla Cheonga rzeczą powszednią. Przejawiał tak wiele inicjatywy, że major czasem zastanawiał się, czy przypadkiem Cheong nie jest absolwentem Uniwersytetu Robotników Wschodu. Lecz to oczywiście nie miało żadnego znaczenia.

Pod wpływem wina rozmowa stała się ożywiona. Matthew, wciąż pełen gorczy po przeżyciach w porcie i nie mogąc o nich zapomnieć, jął się rozwódzić zmęczonym głosem na temat społeczeństwa, jakie musi przyjść po obecnym. niesprawiedliwość, którą widział wszędzie dookoła, doprowadzała go do szału! Czemu wszystkim rządzi przywilej i prywatnie w miejscu sprawiedliwości i rozsądku? One do niczego nie prowadzą. Społeczeństwo oparte na sprawiedliwości wyciągnęłoby ze swoich członków wszystko, co najlepsze, apelując do tej lepszej, a nie gorszej części ich natury! Dupigny pokręcił głową ze smutkiem, lecz nie pokusił się o wyjaśnienie, że taki pogląd na ludzką psychikę jest z gruntu naiwny, widział bowiem zdenerwowanie Matthew. Lecz gdy po pewnym czasie Matthew nawiązał do Genewy, jak to zwykle czynił, kiedy był podniecony, aby wysunąć dość ekstrawaganckie twierdzenie, że tacy ludzie jak cesarz Haile Selassie i on sam już przed laty przewidzieli, iż pozbawione zasad i przebiegłe postępowanie Wielkich Mocarstw zakończy się powszechną rzezią, Dupigny zagulgotał w błogo Haut Brion w gardle musiał zaprotestować.

- Nie wierzę, że nawet inspirowany włoską inwazją na Etiopię Haile Selassie mógł w 1939 roku przewidzieć nasze obecne kłopoty... chyba że miał wśród swoich dworzan wróżbitę z kryształową kulą.

- Tak? - wykrzyknął Matthew. - A mimo to w 1936 roku powiedział: „Czy narody świata nie zdają sobie jeszcze sprawy, że walcząc aż do końca wypełniam nie tylko święty obowiązek wobec swego ludu, ale też stoję na straży ostatniej cytadeli zbiorowego bezpieczeństwa? Muszę ją utrzymać, póki nie pojawią się moi opieszali sprzymierzeńcy. A jeśli się nie pojawiają, wówczas powiem proroczo i bez gorczy, że Zachód musi zginąć”. Lecz Cheong, a być może i pan Wu, miał trudność w zrozumieniu słów cesarza i teraz patrzył pytająco na majora. Przeprosiwszy za kiepską jakością swej chińskiej angielszczyzny, której urywkową znajomość

zawdzięczał swoim przedwojennym podróżom po Dalekim Wschodzie, major przetłumaczył, jak umiał:

- Cesarz mówić w ten fason,.. Moja walczy długi czas a światowe ludzic nie chcieć dać latunek, Moja złościć moja ludzic gołąb numel jeden, w ten sam czas złościć gołąb z wszystkie ludzic. Cesarz mówić: Która przyjsć? Moja nic przestać patrzeć i patrzeć, a przyjaciel nic przychodzić i nic przychodzić. Ona nic przychodzić, Blytania, Flancja, Melyka, wszystko chytła sztuka pfuj! Wszystko śmićć jeden laz, jeden dwa!.., Hm, obawiam się, że lepiej nic potrafię - i major opadł na fotel pykając fajkę.

- Zawsze jest tak samo, Franęois. Twoje Ministerstwo Spraw Zagra- nicznych i moje, zamiast trwać niezłomnie przy Konwencji Ligi Narodów, zawsze wołały jakieś prywatne konszachty za kulisami, - Matthew przyłożył szyjkę butelki do ust i pociągnął z niej w oburzeniu spory haust Lafite; niemal natychmiast doznał dziwnego złudzenia, że jest latarnią morską, a jego oburzenie malutką odpływającą łódeczką. Jednakże myśl o lordzie Halifaxie sprawiła, że łódeczka zaczęła się przybliżać.

Podczas gdy major próbował rozpaczliwie tłumaczyć na chińską angielszczyznę, Matthew opisywał, jak było w Genewie, gdy Haile Selas- sie przybył z etiopską delegacją, by zaprotestować przeciwko aneksji Etiopii przez Włochy j zażądać, aby Rada Ligi jej nie uznała. Przy tej okazji Halifax wstał, by wygłosić jedno z najbardziej hipokryzyjnych przemówień w dziejach stosunków międzynarodowych - to przemówienie Matthew również przypadkiem znał na pamięć, po prostu dlatego, że nie mógł go zapomnieć.

- Halifax powiedział: „Oto są dwa sprzeczne ideały: z jednej strony ideał poświęcenia, stoickiego acz niepraktycznego, szczytnemu celów i, z drugiej ideał praktycznych zwycięstw na rzecz pokoju... Każdy z nas wie z bolesnego doświadczenia, jak konsekwentnie należy odróżnić to, co może być idealnie słuszne, od tego, co jest praktycznie niemożliwe. ..” i tak dalej. Skoro Liga nie była przygotowana do użycia siły, więc winna pogodzić się z „realnością” włoskiego podboju w interesie pokoju. Czy to nie oburzające, Franęois?

- Loid Halifax mówić w ten fason - tłumaczył major starając się znaleźć jakiś sposób skrócenia przemowy Matthew. - Liga Nalodów być mnóstwo jak trzeba, ale ona być wszystko jedno jak samochód, nawala nie jedzie. Liga Nalodów ona nie wysyłać żołnierz, nic a nic. blytyski

rząd on móc moc. (Och, obawiam się, że to było trochę skomplikowane) - przeprosił major,

- Ach tak - Cheong kiwnął głową w zamydleniu. - Ltg-Na-Lód nic dać lady,.. W jaki fason loid Ha-Li-Paks on nie chcieć Ugi? Maskee, to być wszystko głupia mowa! -I zdegustowany też pociągnął / butelki Margaux (krzywiąc się, bo wołał wino ryżowe).

- Cesarz odpowiedział Halifaxowi: „Wielka Brytania opowiada się za zachowaniem ogólnego pokoju kosztem jednego narodu. Pozostaje to w sprzeczności z ideałami Rady i tymi ideałami, które Wielka Brytania i Francja wciąż głoszą - i zakończył: - Jest to czeza hipokryzja będąca próbą proceduralnego zniszczenia narodu*,

- Cesarz mnóstwo zły - podsumował major, - On mówić: „Wy nawalona Liga Nalodów!”^H

Cheong pokiwał głową z powagą. Domyślał się takiej reakcji cesarza, bo jakże inaczej można się było odnieść do tego, że lord Ha-Li- -Faks przekłada „realizm”, ową ewangelię przepokupnych, przedsiębiorczych dyplomatów Zachodu nad zasadę? Czegóż innego można się było spodziewać, dumał Cheong, od tak mocno pachnących dyplomatów? Nic jeden raz, w swoim poprzednim zawodzie, w Szanghaju, miał okazję zdejmować płaszcz z drugiego czy trzeciego sekretarza tego czy innego poselstwa i wie, o czym mówi, Kiedy powstaną Nowe Chiny, w co wcale nie wątpił, na scenę światową wkroczy nowy typ dyplomaty, nie używający pachnidła i o niezłomnych zasadach.

- Czyż nigdy nie rozluźnimy uścisku, w którym jak w żelaznych kleszczach trzyma ludzkość prywatna i korupcja?

- A propos kleszcze - zauważył Ehrendorf, który ochlapał lię wodą z szanghajskiego dzbana w łazience i teraz przyszedł wysuszyć włosy w towarzystwie przyjaciół - wydaje się, że wyrażenie „Singapurskie kleszcze” odnosi się do umiejętności, którą nabyły pewne panie w Singapurze, umiejętności operowania mięśniami pochwy, niewątpliwie z rozkosznymi wynikami. Zgodziły się mi to powiedzieć za dobra dziewczęta z Poh Leung Kuk, Dały mi też do zrozumienia, że za dziesiątka mogą to zademonstrować, Hm... nie skorzystałem, oczywiście, z propozycji - dodał widząc, że major bardzo się stropił.

- Nie, Jim, Singapurskie kleszcze to coś zupełnie innego! - wykrzyknął Matthew z ogniem w oczach. -Ja wiem, co to jest! To kleszcze naszej zachodniej kultury i gospodarki dławiące Daleki Wschód... to szpony kapitału duszące tradycyjne kultury Malajów, Chin, Birmy,

Jawy, Indochin, a nawet Indii! To kierowanie sprawami w nasz sposób... to znaczy pogoń za prywatą, a nie służba wspólnym interesom! Ale kiedyś będziemy mieli nową Ligę Narodów, która pokieruje sprawami świata w sposób rozumny, sprawiedliwy i humanitarny! Ligę Narodów, która nie będzie stworzona z ludzi kupczących władzą, lecz z filozofów i filantropów, których jedynym pragnieniem będzie zjednoczenie wszystkich narodów i ras!

Ehrendorf westchnął myśląc, że jeśli tym są Singapurskie kleszcze, to właśnie się rozlatują. Po chwili wahania i porównania roczników, wybrał butelkę Lafite. Ogólnie rzecz biorąc dzień był bardzo ciężki.

Część szósta

Gdyby prześledzić wzrokiem bieg rzeki Singapur, od jej ujścia, gdzie »ę wybrzusza, zakręca pod gmachem Fullertona, przez liczne zakręty i zakola, między sampanami i barkami tak ciasno utkanymi, że miejscami ledwie pozostawał wąski przesmyk dla ruchu rzecznego, aż niemal do „Wielkiego Świata”, wówczas można by zobaczyć na jej prawym brzegu wyjątkowo gustowny magazyn, wyższy od innych magazynów, które na tym odcinku obrzeżają rzekę, wyższy od wszystkich innych budynków na tym obszarze i jeszcze podwyższony znajomym szyldem na dachu: Blackett i Webb Sp. z o.o., wymalowanym z okazji jubileuszu na biało... A raczej można by zobaczyć w tamtych czasach, bo teraz już nie istnieje. Nad miejscem, w którym stał, dominuje szereg wielopiętrowych budynków mieszkalnych, gdzie mieszkają dawni mieszkańcy chińskich slumsów, i nawet sam „Wielki Świat” jest teraz zamknięty i pusty, drżący na krawędzi dalszego niebytu-jego wróżbici, znachorzy, tancerki ronggeng, chińscy aktorzy i sztukmistrze, warzyciele małpiej zupy, sprzedawcy owoców, stręczyciele, kurwy i żołnierze poszli na śmietnik historii, którego pokrywę mocno potem zatrzęsnięto. Ich miejsce zajęli zamożni robotnicy przemysłu elektronicznego przechadzający się wieczorem z dziećmi, grupka grzecznych japońskich turystów z aparatami fotograficznymi, którzy zabłąkali się tu, i autor tej książki piszący skrzętnie w małym czerwonym notesie i drapiący się w knykcie, gdzie go w czasie tego gryzmolenia ugryzł jeden z ostatnich komarów (bo nawet one stąd odeszły albo zostały wytrute) nie bacząc na jego dostojny wygląd.

Ów szczególny magazyn to właśnie ten, do którego Walter zaprowadził kiedyś Joan (jakże to się wydaje dawno!), aby jej powiedzieć, że powinna wyjść za Matthew. Był to najstarszy, największy»ulubiony budynek Waltera, replika pierwszego magazynu w Rangun,e który w szczęśliwszej dobie z taką przyjemnością pokazywał gościom kiedy objaśniał im obrazy wiszące w salonie. Kto wie, co ^»tało z ym pierwszym magazynem w Rangunie. Na pewno ^tał zbu^ny a^o .Rozwalił, alL ktoś zaoferował za niego piękną sumkę, a może nawet prze

mieniono go na kino. Walter nie wiedział. Ale był rad, że ten tutaj wciąż stoi. Bo Walter nauczył się czegoś ważnego w swoim życiu handlowca: że handel to nie tylko kwestia osiągnięcia zysków.

Szacowny i prosperujący interes jest, przeciwnie, głęboko zakorzeniony w życiu. Szacowny interes popiera panujące przekonania społeczeństwa, którego częścią stanowi. Natomiast gdy społeczeństwo uważa za niemoralne, jeśli kobiety palą na ulicy papierosy albo mężczyźni siedzą przy obiedzie w kapeluszach, wówczas z całą pewnością firma Blackett i Webb nie popiera takiego zachowania u swoich pracowników. Nie tylko w firmie Blackett i Webb, ale także i w innych znaczących firmach w Singapurze urzędnicy musieli nosić mimo upałów białe garnitury i czarne krawaty. Nawet co lepsze azjatyckie domy przyswoiły sobie ten zwyczaj. Powszechny szacunek jest ważny w interesach, ponieważ przyciąga większą i lepszą klientelę - oznacza, że spłacisz długi i dostarczysz towary, a nie czmychniesz w las. Lepszy zaś interes stwarza z kolei większy szacunek. Lecz po to, aby zasłużyć sobie na szacunek, trzeba wiedzieć, co społeczeństwo pochwała, czego zaś nie. Kiedy się to wie, wówczas nie ma problemu: firma może spełniać swoją rolę w społeczeństwie. Tylko w takich czasach jak te, gdy trudno wiedzieć na pewno, jakie są przekonania ogółu i czy ma on w ogóle jakiegokolwiek przekonania, biznesmen jest zbity z tropu i czuje się niepewnie, i być może ze wzruszeniem ramion daje za wygraną i ogranicza się do pogoni za zyskami.

Walter oczywiście nie osiągnął jeszcze tego etapu. Świadczy o tym wysiłek i koszta, na jakie się zdobył dla uczczenia jubileuszu firmy. Lecz jego firma, jak mu się zdawało, zaczęła się już wybijać jako oaza dawnych cnót na pustyni mniej sumiennych przedsiębiorstw. Znowu dał znać o sobie „duch czasów"! Gdziekolwiek się obrócić, wszędzie widać było jego dzieło. Walter słyszał nawet, że w Anglii kobiety przestały nosić kapelusze i zaczęły chodzić do barów. Niektóre z kobiet, nawet w Singapurze, nabrały zwyczaju noszenia spodni, na co on, Walter, nigdy by nie pozwolił swoim paniom. Cóż, jeśli tak dalej pójdzie, słowo dżentelmena przestanie być święte. Czemu ten magazyn był dla Waltera taki ważny? Bo w jego oczach symbolizował dawne wartości i przekonania, które topniały dokoła, coraz szybciej, razem z rozkładającym się duchem czasów wcześniejszych, do których przywykł.

A mimo to... trzeba kroczyć z postępem czasu. Wystarczy pomyśleć o właścicielach łuszczarni ryżu w Londynie, dla których Kanał Sueski okazał się skórą banana na drodze do dobrobytu! Magazyn ten był dla Waltera również ważny ze względu na wielkie ilości złożonego w nim kauczuku. Firma nie może wcielać najwyższych celów społeczeństwa nie prowadząc zyskowego handlu ze swych magazynów. To, co się w nich mieści, nie może zostać zmarnowane ani porzucone. Za wszelką cenę nie wolno pozwolić, aby to, co nagromadzone w ich cienistych murach, nie przyniosło zysku.

Teraz, w poniedziałek, 8 lutego, przyszła wieść, że Japończycy zdołali wylądować pod osłoną nocy na wyspie. Walter stanął wobec niepokojącej perspektywy: zawartość tej budowli nad rzeką oraz kilku innych magazynów w pobliżu będzie najprawdopodobniej zniszczona, zgodnie z planem niszczenia wszystkiego, co mogłoby się okazać przydatne dla Japończyków. Od dawna spodziewał się czegoś takiego w razie udanego natarcia japońskiego. W ostatnich tygodniach doszły go wieści, że Wydział Robót Publicznych węszy i wypytuje o zawartość jego rozlicznych magazynów. Pierwsze wizyty były dyskretne: władze nie chciały podkopywać morale ludności otwartymi przygotowaniem do kapitulacji... Ostatnio stały się bardziej natrętne.

Dziś przyszła wiadomość, że gubernator zatwierdził zniszczenie fabryki brytyjskiej, zapasów ropy i kauczuku, alkoholu oraz innych towarów i materiałów, które mogłyby się okazać cenne dla Japończyków. Walter spodziewał się, że do tego dojdzie... Ale najwięcej dotknął Waltera selektywny charakter tych planów zniszczenia: zakłady firmy Blackett i Webb Sp. z o.o. miały ulec zburzeniu, sąsiednie zaś chińskie przedsiębiorstwa miały pozostać nietknięte. To granda! Natychmiast zatelefonował do gubernatora... lecz nie mógł uzyskać połączenia. Próbował umówić się na wizytę poprzez kancelarię gubernatora: nigdy dotąd nie miał z tym trudności, a teraz, kiedy to było naprawdę konieczne, został spławiony przez jakąś sekretarską miernotę. Kazano mu przez całe długie minuty czekać ze słuchawką przy uchu i słuchać oszałamiających zakłóceń: dziwnych czkawek, słabo podzwaniających ksylofonów, terkotu odległych telefonów na innych liniach i niesamowitych głosów bełkocących jakieś bzdury, które czasem brzmiały dziwnie znacząco.

- Starzy muszą umrzeć, bo by inaczej byli nieludcy - zauważył ktoś pogodnie wśród zamieci brzęków i stuków. - Jesteśmy wszyscy na pasie transmisyjnym, każdy z nas. Musimy wszyscy spaść z drugiego końca. Czy to odpowiada na twoje pytanie? - Walter wyczerzył słuch, ale usly-

szła tylko, jakby w całym biurze rozdzwoniły się wszystkie telefony. Odłożył słuchawkę, wstrząśnięty. Nawet w najlepszych czasach nie załatwiał rozmów telefonicznych: to była rola sekretarki. Znowu podniósł słuchawkę - tym razem usłyszał jakby potok japońszczyzny, a po nim wysoki chichot. Ależ oni są na wyspie dopiero od ubiegłej nocy, z pewnością jeszcze nie używają telefonów! Wezwał jednego ze swych urzędników, który znał japoński, ale nim ten przyszedł, w słuchawce zapadła cisza, a później rozległo się złowróżbne tykanie zegara.

- Niech się pan z łaski swojej wyłączy - zażądał kobiecy głos niegrzecznie.

- Ani mi się śni! - warknął Walter. - Tu Blackett... z firmy Blackett i Webb. Chcę rozmawiać z gubernatorem i czekam już czterdzieści minut. - Stuk odkładanej słuchawki. Żadnej odpowiedzi.

Waltera opanowała nagle przerażająca myśl: ten kobiecy głos był przecież znajomy. Czy to nie głos samej lady Thomas? Był tego prawie pewien. Lecz nie, chwileczkę. Lady Thomas jest chora. Słyszał, jak ktoś mówił o tym w Klubie, i przecież sam posłał jej do siedziby gubernatora kosz orchidei z bilecikiem podpisanym przez... żonę, oszustwo, do którego zdążył już przywyknąć i któremu żona nigdy się nie sprzeciwiła. Zapomniał wówczas, że żona jest w Australii. Lady Thomas z pewnością o tym wiedziała i bardzo się zdziwiła otrzymawszy od niej bilecik z Singapuru... Lecz człowiek, którego wysłał z kwiatami, wrócił z nimi i bilecikiem z powrotem (czemu wówczas nie zabrał mu bileciku, głupiec!) twierdząc, że nie puścili go za bramę i wszystko tam jest w ruinie. Jak to w ruinie? Wszystko jest zryte lejami po bombach. Walter wpadł w szal, podejrzewając, że pracownik w ogóle nie raczył się pofatygować do siedziby rządu, że uznał rolę posłańca za uwłaczającą jego godności urzędnika. Wszystko zryte, też coś! Walter kazał mu pójść jeszcze raz i nie wracać, póki nie doręczy orchidei. Od tej pory po posłańcu, orchideach oraz bileciku wszelki śluch zaginał. Lady Thomas pewnie uważa go za wariata... bilecik wysłany przez nieobecną żonę... i takie grubiańskie zachowanie wobec niej przez telefon...

- Sprawy nie wyglądają specjalnie różowo - zgodził się telefon. A potem: - Bzdety, cholera! - A może: „Trzy sety do zera!?” Walter wyteżał słuch, ale nie był pewien.

Wszystko jedno. Nieważne, co sobie pomyślała. Poza tym wydało mu się teraz jasne, że jest rozmyślnie odsuwany przez ludzi z siedziby rządu, z polecenia lub bez polecenia gubernatora. Dobra, dobra, my 530

śłał czyniąc słabiutki wysiłek, by spojrzeć na dwie strony zagadnienia - to prawda, że gubernator musi mieć mnóstwo na głowie, gdy Japończycy znaleźli się na wyspie... ale to oburzające, żeby człowiek nie mógł do niego dotrzeć w tak ważnej sprawie!

- A czyje to podatki umożliwiają płacenie pensji tym ważniakom?

Ale to nieistotne. Gdyby nawet zdołał dopaść gubernatora, wątpił, czy ten okazałby się bardzo pomocny. Sir Shenton był zbyt konwencjonalny, aby poważnie potraktować propozycję, z jaką chciał wystąpić Walter. Bo dla Waltera sprawa była prosta: cokolwiek się stanie, Japończycy będą mieli w swoich rękach więcej kauczuku, niż zdołają zużytkować! Cała produkcja Indochin i Malajów już się znalazła w ich władaniu. Z pewnością zgodziliby się, że nie ma sensu niszczyć kauczuku w magazynach Waltera. Czemu więc nie zachować go do końca wojny albo, jeszcze lepiej, nie sprzedać pod ścisłą gwarancją jakiemuś neutralnemu krajowi, jak na przykład Meksyk Czy Portugalia? Walter miał w tej dziedzinie kontakty i doświadczenie, które Japończycy mogliby z powodzeniem wyzyskać - z całą pewnością można by doprowadzić do korzystnego dla wszystkich stron porozumienia z jednym z zaibatsu. Walter miał w tej sprawie przewagę nad gubernatorem. Od lat prowadził interesy z Japończykami. Nie uważał ich za potworów, tak jak gubernator. Byli na pewno twardymi konkurentami, ale za to Walter mógł ich tylko podziwiać. Tak, w porozumieniu z takim dajmy na to Mitsubishi można by wyciągnąć jakąś korzyść dla firmy, bez żadnej szkody dla kogokolwiek, a już najmniej dla Brytyjskiego Wysiłku Zbrojnego. Lecz Walter wiedział, że musi podejść do sprawy realistycznie. Słabe są widoki na to, że gubernator zaakceptowałby podobny plan.

Znów podniósł słuchawkę.

- Kto tam? - zapytał. Przez chwilę słyszał tylko odległą kaskadę dźwięków cymbałów.

- Bo rozumiesz - zadźwięczało nagle w słuchawce - kapitalizm oznaczał niegdyś konkurencyjny eksport towarów, ale to już należy do przeszłości. Obecnie eksportujemy gotówkę... wysyłając ją tutaj, gdzie może dać większy zysk, dzięki niskim płacom i dostępności ziemi pod uprawę. Wynik jest taki, że staliśmy się pasożytami żerującymi na ziemi i sile roboczej Malajów i innych naszych kolonii. Czy wiesz, Walter, że posiadanie akcji przyniosło pięciokrotnie większy zysk Wielkiej Brytanii niż rzeczywisty handel zagraniczny?

531

- Co? - zapytał Walter. - Mówisz do mnie? - Ale głos ucichł i przeszedł w jakieś niesamowite poszarpywanie strun harfy. Tak czy tak, musiało chodzić o kogoś innego, komu jest również na imię Walter.

Z drugiej strony, zdał sobie nagle sprawę Walter, zapewne nie ma potrzeby martwić się o kauczuk, przynajmniej na razie. Jest go tak bardzo dużo, kilka tysięcy ton. Jeśli nie przyjdzie im do głowy szalona myśl, by spalić wraz z nim budynki, co z pewnością nie wchodzi w rachubę, ważniacy z Wydziału Robót Publicznych będą potrzebowali kilku tygodni, żeby przewieźć kauczuk z magazynów na odpowiednie do spalania miejsce. To samo odnosi się prawdopodobnie do innych towarów, które firma Blackett i Webb przechowuje w magazynach. Jasne jest, że najbardziej narażone na straty są inwestycje w zakładach mechaniki i montażu silników. One to właśnie wymagałyby ochrony. To za te zakłady ludzie z Wydziału Robót Publicznych wezmą się najpierw.

Lecz dziwna rzecz, okazało się, że nie. Zabrali się za magazyn z alkoholem w porcie. Telefoniczna wiadomość o tym ściagała go po całym mieście. Walter nie mógł dłużej siedzenia w swoim zaimprovizowanym biurze w Tanglinie w otoczeniu swego personelu, który ze względu na powołanie do służby w obronie cywilnej skurczył się teraz _ do bardzo pracowitego młodego Kantończyka, paru starszawych Anglików, którzy gdyby nie wojna, dawno by poszli na zieloną trawkę, i kilku eurazjatyckich stenotypistek. Toteż mimo niebezpieczeństwa Walter sam jeździł po mieście dokonując inspekcji różnych dóbr firmy i wypowiadając słowa otuchy do personelu, który tam pozostał (bo ilość pracowników kurczyła się z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę). Mohammed, jego sais, nie miał nic przeciwko temu - on też pragnął prowadzić normalny tryb życia.

Chociaż rzadko pozostawał dłużej niż kilka minut w każdym z wizytowanych miejsc, przejazd przez zrujnowane miasto trwał tak długo, że Walter spędzał większą część dnia w samochodzie, starym alvisie, który Mohammed skądś wytrzasnął. Monty'emu najwidoczniej udało się odpłynąć wraz z bentleyem na „Félix Roussel”. Lekko tym zdziwiony, że chłopak okazał dostateczną inicjatywę, Walter odniósł się do dezercji syna obojętnie. Ogólnie biorąc dobrze się stało, że usunął się z drogi. Parę razy jednak, gdy patrzył niewidzącymi oczyma na ruchliwe ulice, myśl o pięciu operatywnych synach Harveya Firestone'a sprawiała, że zaciskał pięści i włos zaczynał mu się jeżyć na grzbiecie. Jakże obiecujące wydawało się kiedyś życie, a jakże katastrofalne się okazało!

532

Nawet samo miasto trudno było teraz poznać jako to miejsce, w którym spędził większą część życia. Ulice zapchane wojskowymi pojazdami, co kilka kroków stanowiska artyleryjskie, na każdym skrzyżowaniu korek, który spoceni żandarmi próbowali rozładować. I gdziekolwiek spojrzął, widział leje po bombach i gruzy, strzaskane drzewa, przewrócone latarnie, splątane druty sieci trakcyjnej tramwajów i dym z płonących wszędzie budynków. Wraz z dymem zaczął dolatywać początkowo niezauważalny niemiły zapach. Starzy singapurczycy, tacy jak Walter, przywykli do nieprzyjemnych zapachów: dobywały się one zewsząd... ze ścieków i przede wszystkim z rzeki, ale także z mniej prawdopodobnych miejsc jak ogrody różane w Tanglinie, gdzie boje czasem nie zakopali jak należy ekskrementów i czyjś spaniel je odkopał. W Singapurze nie można było nigdy czuć się bezpiecznym: nawet kiedy się stało z przylepionym uśmiechem pod wielkim kandelabrem w sali balowej siedziby rządu, kandelabrem podarowanym przez cesarza Franza Josefa trzeciemu księciu Buckingham, można było czasem pochwycić w nozdrza jakąś nieprzyjemną woń. Ale ten zapach był inny. Ten bardziej przyprawiał o mdłości. Jakby przywierał do ubfania i włosów. Był też w chusteczce, kiedy się w nią wycierało nos. Wkrótce stał się silniejszy i nawet kłębiący się dym nie mógł zatuszować faktu, że pochodził z rzędów ułożonych na chodnikach trupów, których jeszcze nie zdążono pogrzebać!

Zmęczony nie kończącymi się korkami ulicznymi w drodze do Tan- glinu, Walter kazał sobie wstawić biurko i łóżko polowe w nie używanym kantorze w magazynie nad rzeką, do którego jeszcze tak niedawno przyprowadził Joan. Dzięki Bogu, że przynajmniej ona i Nigel zdołali się stąd wydostać! Mały kantorek na poddaszu, który właściwie był kłitką z drewna i szkła, budził w Walterze wiele wspomnień z przeszłości. Było tu również spokojnie i bardzo cicho. Mdłe światło, zapach kauczuku w piętrzących się belach, wyniosłość dachu, wszystko to działało na Waltera niezmiernie kojąco. W kantorze było też okienko, przez które mógł przyglądać się rzece, prawie nie zmienionej, na jaką patrzył z tego miejsca jako młody człowiek. Potrzebny był mu ten spokój, aby się odświeżyć i odpocząć po swoich jazdach przez miasto.

A mimo to upadek miasta nie osiągnął jeszcze granic, które ktoś mógłby uznać za krańcowe. Przeciwnie, znajome ulice były nadal w coraz szybszym tempie zżerane przez ogień, niszczone bombami i pociskami artyleryjskimi. Na północy wyrósł grzyb czarnego dymu - Walter

533

przystanął, aby mu się przyjrzeć z okna Klubu Singapurskiego, dokąd udał się na lunch. Dobywał się ten dym, jak mu powiedziano, ze zbiorników paliwa w bazie Marynarki. Zbiorniki podpalono, aby tak bardzo potrzebne Japończykom paliwo nie dostało się w ich ręce. Z gmachu Fullertona patrzyło się na most Andersona i rzekę, potem ponad otwartą przestrzeń z obeliskiem i solidną bryłą, teraz wyraźnie samotną, Victoria Memorial Hall i teatru oraz dalej na prawo tym, co można by nazwać dwiema przyjaznymi cebulastymi kopułami Łuku Wspólnoty Arabskiej. Dym unosił się grubą czarną kolumną, która wydawała się wyrastać tuż przy wieży zegarowej, choć w rzeczywistości jej źródło znajdowało się na północnym wybrzeżu-jej grzybiaste zwieńczenie rosło bezustannie i rozszerzało się ku południowemu wschodowi. Wkrótce miało okryć większą część miasta, a nawet wyspy obsypując ziemię oleistą czarną sadzą, która przywierała do wszystkiego, czerniąc zarówno skórę jak ubranie.

Kiedy po lunchu wyruszyli w dalszy objazd, tym razem do doków, Mohammed musiał włączyć wycieraczkę ze względu na czarną warstwę sadzy, która okryła szybę. Ale ostatnio trzeba było widzieć nie tylko to, co jest przed samochodem, ale i to, co jest nad nim, bo japońskie samoloty bezustannie nadlatywały sponad strzaskanych palm lub unosiły się jak jastrzębie nad głównymi arteriami wypatrując, czy coś się pod nimi nie rusza. Mohammed zatem otworzył rozsuwany dach alvisa, by jadąc mógł spoglądać na niebo. Zerknął też parę razy w lusterko wsteczne, żeby zobaczyć, czy Walter nie zaprotestuje. Lecz Walter siedział w milczeniu. Wkrótce na jego białym płóciennym ubraniu ukazało się kilka czarnych plam. Próbował je zetrzeć, ale to tylko pogorszyło sprawę. Niebawem jego ubranie, koszula i twarz okryły się oleistymi czarnymi smugami.

Japońskie myśliwce w poszukiwaniu ludzi lub pojazdów latały teraz tak nisko, że nawet cywile, którym udało się zdobyć broń, często strzelali do nich zza osłony. Walter i Mohammed musieli kilka razy zostawiać samochód na ulicy i szukać schronu. Kiedyś, zanim zdążyli się ukryć, dwusilnikowy bombowiec Mitsubishi zasłonił niebo nad nimi i puścił z tylnej wieżyczki serię pocisków po murze tuż nad ich głowami, obsypując ich odłamkami cegieł. Tymczasem z obłożonego workami z piaskiem stanowiska karabinu maszynowego ubrany w stalowy hełm kapral strzelał z brena. Bren się zaciął. Klnąc, kapral wybił magazynek wierzchem dłoni i wcisnął nowy. W pobliżu stała rozbita ciężarówka wojskowa, w której siedział bezgłowy żołnierz, wciąż ściskając rękami kierownicę.

Walter widział raz, jak w czasie takiej strzelaniny został trafiony japoński myśliwiec i przestał panować nad sterami waląc się z rykiem na strome zalesione zbocze opodal Bukit Timah Road. Chociaż jednak kiwnął głową do rozradowanego Mohammeda i uśmiechnął się ponuro do wiwatujących żołnierzy mrużąc:

- Świetnie... Dobra robota! - nie zainteresowało go to naprawdę. Był nazbyt zajęty innymi sprawami, aby się przejmować, czy samolot japoński się rozbił, czy nie. Kiedy zaś jeden z dwóch starszych asystentów wybiegł za Walterem udającym się do magazynu z alkoholem, gdzie ludzie z Wydziału Robót Publicznych mieli właśnie rozpocząć niszczenie, i zaproponował, aby na wszelki wypadek wziął pistolet, Walter odparł na to ostro: - Człowieku, nie bądź niemądry! Nie będziemy własnymi rękami wymierzać prawa.

- Ale ja tylko... - wyjąkał zdumiony asystent.

Lecz jeśli chodziło o alkohol, Walter nie tylko nie wziął prawa we własne ręce, lecz osobiście się do tego niszczenia przyłączył, każąc jednemu z urzędników zatelefonować do „Tribune” i „Straits Timesa”, aby przysłano fotoreportera. Chciał, aby go sfotografowano, jak będzie rozbijał pierwszą butelkę whisky. Jednakże fotoreporter nie przyjechał, tym niemniej Walter się uparł, że rozbije pierwszą butelkę.

I- Nie przyszliśmy tu chrzcic jakiegoś zasranego statku, panie szano- lwny - rzekł sierżant służby ochotniczej przydzielony do W.R.P. - Mu- Isimy rozprawić się z tym magazynem i jeszcze kilkoma innymi. Nie licząc sklepów, klubów i hoteli w całym mieście. - Walter kiwnął głową: wiedział lepiej niż ktokolwiek, ile alkoholu musi być na wyspie. Ostatecznie Singapur był ośrodkiem dystrybucyjnym na cały Daleki Wschód. Sama firma Blackett i Webb posiadała kilkadziesiąt tysięcy skrzynek (dżinu, whisky i wina. Domyślał się, że razem było dobrze ponad milion butelek whisky należących do różnych kupców i instytucji, oczekujących na wysłanie z wyspy, może nawet znacznie więcej, jeśli się zważy, że przepływ alkoholu z Singapuru do rozmaitych portów dalekowschodnich został wstrzymany na skutek wybuchu wojny i zamrożenia japońskich kapitałów.

Ekipa wyznaczona do niszczenia zabrała się do otwierania skrzynek łomami. Walter, myśląc ponuro o swoim roku jubileuszowym, chwycił butelkę z pierwszej otwartej skrzynki i ro traskał ją z impetem pod nogami.

- Nie tu, proszę pana, bo opary nas wykończą - rzekł sierżant przypuszczając, że Walter chce im pomóc.

Walter odstał na bok i patrzył w milczeniu, jak ludzie wynoszą butelki i rozbijają je o ścianę. Później, jakby oszołomiony upałem i hukiem działek przeciwlotniczych, tym jakby odległym trzaskaniem drzwi, które było słychać wszędzie w mieście, on też wziął kilka butelek i rozbił je o ścianę. I mimo upału, nie przestał tego robić. Wkrótce musiał zdjąć marynarkę - pot kapął słonymi kroplami z jego policzków, a koszula kleiła mu się do pleców. Inni rozebrali się do pasa, lecz Walter nie mógł tego zrobić z powodu szczeciny na grzbiecie.

Rozbijanie butelek wprawiło go w dziwne uniesienie. Czuł, że mógłby je tak rozbijać bez końca. Podczas gdy inni, oszczędzając energię, po prostu je rozbijali, Walter grzmocił butelkami ile sił o ścianę. Raz odwróciwszy się szybko zobaczył dwóch mężczyzn wymieniających ukradkiem uśmieški, ale nie dbał o to, że się z niego śmieją. Dalej tłukł butelki. Zaciskał zęby i walił butelkami o ścianę, aż mu w uszach dzwoniło. Pod ścianą rosła kupa błyszczącego szkła i niebawem stwierdził, że człapie po betonie tam i z powrotem przez kałużę whisky. Nawet tu, na dworze, opary alkoholu stały się nieznośne. Raz idąc na chwiejnych nogach przez kałużę Johnny Walkera stracił równowagę i przykucnął rozcinając sobie rękę utrzymaną w dłoni butelką, która się przy tym rozbiła. Wstał natychmiast ocucony ostrym pieczeniem rany i dalej rozbijał butelki, ale już ostrożniej. Poczul się zmęczony.

W kantorku magazynu od pewnego czasu dzwonił telefon. Pomiędzy Mohammedem a magazynierem, który spoglądał niepewnie na Waltera, odbyła się szeptem rozmowa. W końcu Mohammed podszedł do Waltera i powiedział mu, że dzwoniło z biura, aby mu przypomnieć o umówionym spotkaniu z dyrekcją firmy Langfield i Bowser. Mohammed chciał też zapytać Waltera, czy dobrze się czuje, ale nie śmiał. Walter popatrzył chwilę tępym wzrokiem na Mohammeda, po czym rzekł: - Tak, jestem z nimi umówiony. Która godzina? Umył pod kranem twarz, owiązał chustką skaleczenie, wziął marynarkę i wyszedł do samochodu, gdzie czekał Mohammed przytrzymując drzwiczki. Wsiadając Walter zobaczył własne odbicie w szybie. Koszulę i spodnie miał czarne od sadzy z płonących zapasów paliwa po drugiej stronie wyspy. Zawahał się chwilę myśląc, że powinien najpierw kazać się zawieźć do Klubu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Ale był już i tak spóźniony. Poza tym toczyła się wojna.

Główne biura firmy Langfield i Bowser mieściły się na rogu ulic Cecil i Cross. Gdyby dom Solomona Langfielda przy Nassim Road nie został zbombardowany podczas styczniowych nalotów, z pewnością biura zostałyby tam przeniesione, dalej od centrum, tak jak uczynił to Walter. Tymczasem z powodu nagłego napływu do Singapuru ogromnej ilości wojsk, którym należało dać kwatery, nie można było znaleźć dogodnego miejsca poza strefą zagrożenia.

- Wszystkie bezpieczne miejsca zostały zagarnięte przez to cholerne wojsko - wyjaśnił pozostałym na wyspie zaniepokojonym dyrektorom sekretarz rady dyrektorów. Dzięki przebiegłości i kontaktom Solomona Langfielda mogliby zapewne znaleźć odpowiednie miejsce, gdyby prezes nie przeniósł się nagle w zaświaty. Spowodowało to powszechny bałagan. W rezultacie biura pozostały na dawnym miejscu i dyrektorzy odbywali swoje nerwowe narady w gmachu Bowsera, w „samym środku działań wojennych”, jak to ujął sekretarz. Czknął w przygnębieniu - nie wiadomo dlaczego wszystko, co ostatnio jadł, wywoływało u niego wzdęcia. Zebrania odbywały się teraz w miarę możliwości jak najrzadziej, ale niestety musiały się odbywać ze względu na wagę spraw, które należało poddać dyskusji. Dyrektorzy przyjęli ze zdumieniem i przerażeniem wiadomość o zamierzonym małżeństwie Nigela Langfielda z Joan Bla-

Blackett i spędzili wiele trwoźnych godzin na dociekaniach, jakie mogą być [implikacje tego kroku dla nich i dla firmy. Gdyby Walter Blackett położył rękę na akcjach Nigela lub, co się sprowadza do tego samego, położył rękę na Nigelu, wówczas przyszłość firmy Langfield i Bowser przedstawiałaby się w czarnych barwach. Walter z pewnością nie traciłby czasu, aby skierować dochody z najzyskowniejszych interesów Langfielda do skarbca własnej firmy przy pomocy całego mnóstwa wiarygodnie brzmiących argumentów na rzecz „racjonalizacji”. Lecz zatroskani dyrektorzy firmy Langfield i Bowser, siedzący w stalowych hełmach wokół stołu konferencyjnego i trzęsący się ze strachu na odgłos dochodzących z zewnątrz niepokojących dźwięków, nie mieli ochoty na dawkę racjonalizmu przepisaną przez Waltera... jeśliby miała oznaczać to, co ich zdaniem oznaczała.

Lamali sobie głowy zastanawiając się, co w takiej sytuacji zrobiliby I Solomon, choć znali odpowiedź aż nazbyt dobrze. Solomon nie dałby rsię wmanewrować w taką sytuację. Lecz jedna rzecz była dla nich niepojęta. Czemu Solomon dał błogosławieństwo temu małżeństwu? Niebezpieczeństwo, że Nigel zostanie zaanektowany wraz z akcjami przez Blackettów, musiało mu być znane, a mimo to udzielił zgody na ten związek. Było to całkowicie zaskakujące. Znali bowiem Solomona dostatecznie dobrze, aby zdawać sobie sprawę, że nie uczyniłby tego nie mając jakiegoś z góry opracowanego sprytnego planu, na podobieństwo mistrza szachowego, który poświęca pionka, wiedząc, że wyjdzie mu to na korzyść. Zdarzało się to raz po raz w przeszłości, choć nigdy na tak wielką skalę. Solomon proponował jakiś pozornie brawurowy manewr, który następnie dojrzewał przed ich zachwyconymi oczyma, że ledwie mogli się powstrzymać, aby nie zacząć klaskać z radości. Ale co w tym konkretnym wypadku przewidział Solomon? Co to mogło być?

Zdejmowali swoje hełmy, drapali się w głowy i nakładali hełmy z powrotem, wszystko na nic! Gdybyż Solomon mógł się pojawić, żeby odpowiedzieć na to jedno jedyne pytanie! Tak się złożyło, że Solomon wciąż przebywał z nimi, ponieważ wszystkie frachtowce i statki pasażerskie odmówiły przewiezienia go do kraju, do jego wdzięcznych akcjonariuszy. Nawet wyglądał prawie jak żywy - ponieważ oczy miał i tak zawsze w półprzymknięte. Ale choć nadal sprawiał wrażenie, jakby słuchał pytań, nie dawał już odpowiedzi. Czyżby Solomon zrobił im kawał? A może to Blackett zrobił im kawał? Albo obaj? Zatroskana rada dyrektorów nie mogła się w tym połapać. Jedyne, co w takich okolicznościach mogli zrobić, to żywić nadzieję, że statek wiozący młodą parę zostanie storpedowany. Przynajmniej ten problem uległby wówczas likwidacji.

Po wyjeździe Nigela z Singapuru zatelefonował Walter, mówiąc, że pragnąłby omówić z nimi kwestię wspólnego ustosunkowania się do problemu niszczenia towarów. Dyrektorzy spojrzeli na siebie niespokojnie (do czego on zmierza?), ale nie mogli odmówić. I właśnie teraz jechał do nich, choć z niewiadomych przyczyn spóźniony o całą godzinę. W miarę upływu czasu, co bardziej krwiożerczy z dyrektorów zaczęli doznawać kuszących wizji Waltera leżącego w jakimś rowie z ciałem podziurawionym kulami jak sito. Lecz właśnie w chwili, kiedy ich optymizm wzrastał, powiadomiono o jego przybyciu. A gdy go zobaczyli, ledwie wierzyli własnym oczom.

W miejsce brutalnego, opanowanego wilkołaka, jakiego spodziewali się ujrzeć, zobaczyli osobnika przypominającego nędzarza, który wtoczył się przez drzwi i patrzył na nich dzikim wzrokiem. Wszyscy znali oczywiście Waltera, co najmniej z widzenia i reputacji, jeżeli nie osobiście, a nie było w Singapurze ani jednego pracownika Langfielda, dla którego sama obecność Waltera nie byłaby przytłaczająca. Nawet gdy się przechodziło obok niego pijącego piwo w Długim Barze w Klubie, czuło się elektryczność, którą była naładowana cała atmosfera. Tymczasem Walter, gdy teraz się pojawił, był... cóż, żalony. Jak mogli się kiedykolwiek czuć przytłoczeni tym indywiduum w zmiętoszonym ubraniu i z ręką przewiazaną zakrwawioną chusteczką do nosa, jakby przyszedł tu wprost po jakiejś bójce w porcie, a jego ubranie nadawało się tylko do pralni!... Nie, nawet pralnia nie potrafiłaby doprowadzić je do porządku, ono się nadawało na śmietnik. Rada dyrektorów firmy Langfield i Bowser patrzyła długo i surowo na Waltera. Patrzyła z lubością. Sekretarz rady, W.J. Bowser-Barrington, skrzywił się w grzecznym uśmiechu i podsunął Walterowi krzesło.

Walter nie tracił czasu. Jeszcze nim usiadł, zaczął mówić szybko i trochę nieskładnie o niszczeniu zakładów mechanicznych... selektywnym, zważcie, Wydział Robót Publicznych nie zamierza niczego niszczyć Chińczykom. Co to oznacza? Oznacza, że po skończeniu wojny Chińczycy będą mieli znacznie lepszy start w mechanice na całym Dalekim Wschodzie. Otóż dyrektorzy wiedzą, jaka jest sytuacja, równie dobrze jak on, nie musi im jej przedstawiać. Powinni więc bez zbędnych cere-

BPJonzdecydować, jak mają na to zareagować. Jedna firma występująca przeciw nakazowi niszczenia zapasów i urządzeń technicznych nie ma żadnych szans na zwycięstwo. Razem mieliby większe szanse, aby przywołać gubernatora do rozsądku. Pytanie, jak sprawić, aby gubernator odwołał zarządzenie w porę! - W porę! - powtórzył Walter, tłumiąc jęk, a pracownicy Langfielda patrzyli na niego jak zahipnotyzowani. Nie tyle słuchali słów Waltera, co dziwowali się jego wyglądowi i zachowaniu.

- W porę! - jęknął znowu, uderzając w stół skałeczoną pięścią, aż krew trysnęła między zabandażowanymi palcami.

Gdy Walter mówił, W.J. Bowser-Barrington puścił dokoła stołu karteczkę, na której napisał ukradkiem: „Blackett nieźle się urznął!!!” Dyrektorzy kiwali do siebie z powagą głowami przekazując dalej karteczkę. Była to niezaprzeczalna prawda. Gdy Walter mówił, mocny zapach whisky przesycił duszne powietrze sali konferencyjnej. Tak, ten facet niewątpliwie był na niezłej hulance. Wygląda na bliskiego załamania.

W końcu Walter zaczął się zająkiwać, aż umilkł zupełnie. Żaden z ludzi Langfielda nie miał nic do powiedzenia i przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu w tym ponurym niewielkim pokoju, nasłuchując odległego grzechotu i huku wystrzałów. W.J. Bowser-Barrington miał różowy goździk w butonierce i przekreślił głowę tak, aby dotknąć nosem jego płatków. Słodki zapach goździka sprawił mu ulgę po bijącym od Waltera odorze potu i alkoholu. Ponieważ zaś Walter wyraźnie czekał na odpowiedź, wypowiedział swoje zdanie jak tylko mógł najogólniej i nie zobowiązująco. Oświadczył, że niewiele można zdziałać, zarówno pojedynczo jak grupowo, by zapobiec temu bezsprzecznie niepożądanemu rozwojowi wypadków, ale że trzeba niezwłocznie wywrzeć nacisk na odpowiednie czynniki w Londynie, by uzyskać pełną kompensatę za wszystko, co zostało zniszczone.

- I to jest coś - dodał ostrożnie - w czym może dopomóc jednolita postawa także innych firm singapurskich, które znalazły się w takim samym położeniu. A ponadto...

- Ach, rozumiem... - rzekł Walter przerywając mu. Lecz zamiast przekonywać lub protestować, jak oczekiwali (i już wyobrażali sobie, jak opowiadają starym przyjaciółom w Klubie: co za hałaśliwa scena, moi drodzy, nie macie nawet pojęcia!), Walter po prostu siedział dysząc ciężko i błędząc wzrokiem po pokoju.

- A mówiąc nawiasem, gdzie jest Solomon? - zapytał nagle, A po tem widząc, że zebrani zachnęli się na jego pytanie, dodał: - Chodzi mi o to, czy wysłaliście go do kraju, czy też leży gdzieś w jakimś magazynie?

- No nie, on jest tutaj - odparł Bowser-Barrington wskazując pod stołem długą drewnianą skrzynię, o którą Walter jeszcze przed chwilą miał oparte nogi. - Prawdopodobnie zabierzemy go z sobą, kiedy będziemy wyjeżdżali. Wszystko wskazuje na to, że za parę dni nastąpi koniec. Mamy łódź motorową czekającą w basenie Telok Ayer, która zawiezie nas na Sumatrę, gdy wszystko będzie stracone. Niech się pan lepiej z nami zabierze, przyjacielu - dodał zwięźając obraźliwie oczy, podczas gdy reszta dyrektorów patrzyła na niego z konsternacją.

- Dzięki, zastanowię się nad tym - odparł krótko Walter. Gardził Bowserem-Barringtonem, który nie był nawet prawdziwym Bowse-rem, lecz ożenił się z jedną z Bowserówni, a następnie zmienił nazwisko, aby coś znaczyć. Westchnął. Podniósł się ciężko na nogi, spojrzął po siedzących wokół stołu i wzruszywszy ramionami wyszedł bez słowa z pokoju.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, wszyscy zaczęli paplać w podnieceniu. Co sekretarz sobie myśli! Żeby zapraszać Blacketta, aby jechał razem z nimi? Co za pomysł! Bowser-Barrington siedział spokojnie z wyrazem zadowolenia na twarzy, póki podniecenie trochę nie opadło. Następnie unióśł dłoń prosząc o ciszę i jął im wyjaśniać. Oto wreszcie znalazł odpowiedź na kluczowe dla nich pytanie, a mianowicie, co stary Solomon mógł mieć na myśli, kiedy zgodził się na małżeństwo Nigela z panną Blackett? Bowiem Solomon, ze zwykłą dla siebie bystrością, dostrzegł, że prawdziwa sytuacja była w rzeczywistości dokładną odwrotnością tego, co oni sobie wyobrażali. To nie Nigel i firma Langfield i Bowser znaleźli się w niebezpieczeństwie, że zostaną pochłonięci przez Waltera Blacketta, lecz firma Blackett i Webb stoi wobec groźby przejścia przez Langfielda, dzięki faktowi, że Walter się załamał. Stary Solomon musiał dostrzec pewne wymowne oznaki upadku Waltera i z zapierającą wręcz dech w piersi jasnością umysłu wyciągnął należyte wnioski.

To prawda! Cóż by innego! Sprawa stała się teraz dla nich tak oczywista, że aż dziw brał, iż prędzej na to nie wpadli. Ponad stołem konferencyjnym uniosła się radosna wrzawa. Tak głośno wiwatowali na cześć swojego sekretarza oraz prezesa-elekta, że nawet Walter to usłyszał i zatrzymawszy się w drodze do samochodu pomyślał ponuro, że pierw

szą rzeczą, jaką zrobi, gdy obejmie władzę nad firmą Langfield i Bowser, będzie rozpędzenie tej rady półgłówków. Ale przyjmując gratulacje swoich kolegów, Bowser-Barrington doznał na chwilę przerażającego uczucia, jakby usłyszał słabe poirytowane chrząknięcie i postukiwanie w drewno pod stołem. Ale nie, on to sobie tylko wyobraził. To jeden z dyrektorów bębnił z podniecenia butem w wieko skrzyni pod stołem.

Wyspa Singapur (która, jak pamiętacie, przypominała na mapie w biurze generała Percivala głowę i uszy słonia) była teraz obleżona. W niedzielny wieczór pierwsza japońska łódź desantowa przebyła cieśninę, aby zaatakować północno-zachodnie wybrzeże. Było to dla generała Percivala przykrą niespodzianką, ponieważ oznaczało, że Japończycy zaatakowali wierzchołek prawego ucha słonia. Innymi słowy atakowali nie to ucho, co trzeba! On zaś z ufnością oczekiwał, że zaatakują drugie ucho, wykorzystując Pulan Ubin jako osłonę. Nawet gdy patrol rekonesansowy wysłany przez cieśninę przez generała Gordona Bennetta zameldował o dużej koncentracji wojsk naprzeciw tego prawego ucha, generał Percival nie przestawał żywić nadziei, że Japończycy zaatakują lewe ucho... gdzie natrafiliby na wypoczetą, nowo przybyłą brytyjską 18 Dywizję, która tam na nich czekała. Ostatecznie mogło się okazać, że ten atak na północny zachód był jedynie celowym manewrem dla odwrócenia uwagi i zmuszenia go, aby przeniósł swoje rezerwy właśnie na ten odcinek frontu, zaś główne natarcie pójdzie z północno-wschodu, żeby mu zadać ogłuszający cios w lewe ucho, gdy będzie zwrócony w drugą stronę.

Percival, który w oczekiwaniu na wieści z pola walki próbował się zdrzemnąć w swoim biurze przy Sime Road, po prostu nie chciał uwierzyć, że to, co osłabiona 22 Brygada Australijska Gordona Bennetta musiała teraz odeprzeć, było głównym natarciem. Silny ostrzał artyleryjski z lądu stałego przed atakiem zerwał linie łączności i minęło sporo czasu, nim do Sime Road zaczęły docierać meldunki. Początkowo wydawało się, że nie jest tak źle. Doszła wieść o zaciętym oporze Australijczyków i zniszczeniu wielkiej ilości japońskich łodzi desantowych. Lecz linia brzegu była za długa i za rzadko obsadzona. Stopniowo nadzieje Percivala zaczęły się rozwiewać. Nad ranem stało się oczywiste, że był to istotnie główny atak sił japońskich i że nim zrobi się dzień, prawe ucho dostanie się w ręce Japończyków.

O 8.30 Percival w końcu przekazał swoje jedyne oddziały dyspozycyjne, 12 Brygadę Indyjską złożoną z ocalałych po Slim River Argyllów

1 Hajdarabadów, pod dowództwo Gordona Bennetta, dla obrony klu- czowej linii północ - południe w miejscu, gdzie ucho łączy się z głową. Była to linia Jurong, ostatnia i najkrótsza linia, na której można było jeszcze powstrzymać Japończyków i przeszkodzić im w zajęciu niezwykle ważnej środkowej części wyspy i wzgórz koło Bukit Timah. Gdyby bowiem Japończycy dostali się do Bukit Timah, wówczas nie tylko zajęliby tę część wyspy, gdzie znajdowały się główne zapasy żywności, paliwa i amunicji, lecz mieliby miasto Singapur jak na dłoni. Wtedy musiałby nastąpić koniec.

Tym niemniej, chociaż ta linia północ - południe była w rzeczywistości ostatnią możliwą do obrony pozycją przed samym miastem Singapur, Percival musiał naturalnie nakreślić plan zastępczy, bo nawet jeśli klęska jest sprawą przesądzoną, trzeba coś robić (w przeciwnym razie można wyjść na durnia). W związku z tym, po wizycie u Gordona Bennetta w jego sztabie koło Bukit Timah, gdzie omawiano, jak najlepiej bronić głowy przed utraconym uchem (to znaczy linii Jurong przed atakiem z zachodu), generał Percival i jego sztab zasiedli do map, aby zakresić ostateczny perymetr, poza który już się nie można cofać, jeśli się nie chce walczyć na ulicach miasta.

Ów perymetr z konieczności przylegał do przedmieść, rozpoczynając się na wschodzie przy klubie pływackim Tanjong Rhu, obiegał lotnisko Kallang, dalej podążał ku północy obejmując stację pomp w Woodleigh, następnie zbiorniki wodne i składy w Bukit Timah, a potem w dół, z powrotem do brzegu wyspy, koło wsi Pasir Panjang. Było oczywiście sprawą najistotniejszą, aby wiadomość o tej ewentualności, o tym ostatecznym perymetrze, nie przedostała się w dół łańcucha dowodzenia, zachęcając do wycofania się poza ostatnią pozycję, na której można się skutecznie bronić, linię Jurong. Percival podał szczegóły dotyczące ostatecznego perymetru generałowi Heathowi i generałowi Simmonsowi, kiedy go odwiedzili na Sime Road w ten poniedziałkowy wieczór. Przesłał je również Gordonowi Bennettowi we wczesnych godzinach następnego ranka z zastrzeżeniem, iż mają być zachowane w tajemnicy. Bennett jednakże przekazał swoim dowódcom brygad tę część, która mogła ich dotyczyć, w formie planu operacyjnego. I znów, teraz już po raz ostatni w tej kampanii, gdyby Percival wyteżył słuch, usłyszałby dyskretny odgłos piłowania drewna.

W ów wtorek, gdy o kilka mil dalej Walter rozbijał butelki whisky, generał Percival na Sime Road próbował zawzięcie ustalić, skąd wzięły się przecieki w jego linii obronnej. Nie było to łatwe. Ciężki ostrzał artyleryjski północnego brzegu zniszczył w znacznym stopniu przewody telefoniczne, natomiast meldunki radiowe, jeśli w ogóle przychodziły, były sprzeczne. Rankiem z chmur wyłonił się hydroplan i wodował w przystani przywożąc z Jawy na swym pokładzie generała Wavella, głównodowodzącego sił na Dalekim Wschodzie. Percival musiał się wobec tego zająć trudną sprawą reorganizacji obrony pod ponurym szklanym okiem zwierchnika. Pojechali razem na nową kwaterę Gordona Bennetta przy Ulu Pandan Road tuż przy Holland Road, na południe od wsi Bukit Timah. Pomarszczona i sterana twarz Wavella coraz bardziej poważniała, gdy Percival relacjonował mu wydarzenia z minionej nocy. Głębokie zmarszczki biegnące od nosa do kątek ust pogłębiły się, czoło nachmurzyło, a prawe zdrowe oko jakby cofnęło się głębiej pod czaszkę. Usta miał rozchylone, jakby chciał wypowiedzieć jakąś ciekawą uwagę na temat umiejętności dowodzenia sztabu malajskiego i samego Percivala. Milczał jednakże. Nie poweselał też na widok Gordona Bennetta, którego agresywna i optymistyczna postawa podniosła go na duchu na początku kampanii na Półwyspie. Przeciwnie, sponsepniał jeszcze bardziej, gdy Bennett zaczął wyjaśniać, że niewiele wie, co się dzieje na jego obszarze. Sam Bennett bardzo przycichł. Było to dla niego wielkim wstrząsem, że Japończykom udało się z taką łatwością przebić przez australijskie oddziały. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. W konsekwencji jego porywczosć prawie nie dawała znać o sobie, gdy trzej generałowie jęli zastanawiać się nad sytuacją.

Ledwie jednak zaczęli dyskutować, kiedy wszędzie wokół nich odezwały się działka przeciwlotnicze niczym budzące się psy, które zwietrzyły obcego. Po kilku chwilach usłyszeli gwizd spadających bomb.

- Kryj się! - wrzasnął ktoś na zewnątrz i generałowie dali nura pod najbliższe stoły. Natychmiast pokój wypełnił się odłamkami szkła i tynku. Następne wybuchy zatrzęsły fundamentami domu. Skulony pod swoim stołem Percival spostrzegł, jak coś jasnego i połyskliwego toczy się ku niemu. W pierwszej chwili pomyślał: „Mój Boże! To szklane oko Wavella!” Ale przyjrawszy się bliżej stwierdził, że to tylko szklana kulka z pudełka pozostawionego przez jakieś dziecko w kącie pokoju.

Gdy trzej mężczyźni wstali i otrzepali się z kurzu, okazało się, że żaden z nich nie jest ranny. Ponadto, choć róg budynku został zniszczony przez bombę (która na szczęście nie wybuchła) i zarówno samochód

Percivala jak i Wavella były rozbite, nikt w samym sztabie nie poniósł szwanku. Wydawało się, że to istny cud. Generałowie usunęli tynk i odłamki szkła z mapy, którą studiowali, i podjęli naradę.

- Doprawdy - oświadczył w końcu Wavell - to stałe cofanie się do niczego nie prowadzi. Musicie atakować, atakować!

Percival i Bennett pokiwali głowami. Co myśleli, kiedy tak stali wszyscy trzej w tym rozwalonym pomieszczeniu, jak w małej łódce miotanej przez wezbrane fale morza chaosu?

Znaleziono inne samochody. Wavell, który postanowił przekonać się naocznie, co się dzieje w rejonie Grobli, wybrał się do generała Heatha i jego 11 Dywizji. Gdy wyruszyli ze sztabu wojsk australijskich, Percival z przerażeniem zobaczył grupę żołnierzy hinduskich w brudnych mundurach wlokącą się wzdłuż drogi z niedbale trzymanymi karabinami i nawet nie uformowaną w należytą kolumnę marszową. Spojrzał na Wavella - bezlitosne szklane oko nie zdradzało żadnych uczuć, lecz Percival odgadywał, co musiał myśleć sobie jego zwierzchnik. Straszne! Niezdyscyplinowani żołnierze wlokący się noga za nogą na oczach głównodowodzącego, taka rzecz potrafi pogrzebać szanse człowieka, gdy dojdzie do uszu Odpowiednich Czynników. W porównaniu z innymi doznanymi klęskami był to oczywiście drobiazg. Rzecz w tym, że ta kolumna Hindusów to nie wszystko. Za nimi, jak rana wypełniona ropą, w mieście Singapur zbierało się coraz więcej dezertersów i maruderów, zwłaszcza, jak donoszono, dezerterszy z nie wyszkolonych australijskich oddziałów posiłkowych w Głównej Bazie Wyszkożenia ostro sobie poczynali.

Chociaż był wyczerpany, Percival ze stoicką determinacją postanowił wykorzystać jak najlepiej każdą okazję, jaką może stworzyć sytuacja militarna. Był zdecydowany nie okazać ani odrobiny defetyzmu przed Wavellem. Dopiero jednak kiedy dojechali do sztabu generała Heatha, zaczęły spadać naprawdę ciężkie ciosy. Dowiedzieli się od Heatha, że 27 Brygada Australijska pod dowództwem generała Maxwella wycofała się w ciągu nocy. Maxwell? Czy to nie ten sam oficer, z zawodu lekarz, którego Bennett promował jako swojego protegowanego na stanowisko dowódcy brygady, mimo jego braku doświadczenia i z pominięciem prawa starszeństwa? To wycofanie się stworzyło krytyczną lukę pomiędzy Groblą a rzeką Kranji: co z kolei oznaczało, że najważniejsza droga na wyspie (która zaczynała się na Grobli i biegła na południe, przez wieś Bukit Timah do miasta Singapur) stała a teraz dla Japon-

czyków otworem, zezwalając im na przedostanie się na południe poza linię Jurong, którą Percival miał nadzieję utrzymać. To była klęska. Czemu Maxwell wycofał się ze swojej kluczowej pozycji? Twierdził, że Gordon Bennett upoważnił go do tego posunięcia. W każdym razie rezultat był taki, że cała budowla obronna Percivala zaczęła się walić. Natychmiast kazał Maxwellowi kontratakować, aby odzyskać wieś Mandai i zająć dawne pozycje. Wydał również rozkaz, aby trzy bataliony 18 Dywizji przeszły pod dowództwo Bennetta na Bukit Timah Road, koncentrując je na torze wyścigowym jako niezbędną rezerwę. Były to jednak, o czym Percival dobrze wiedział, kroki podyktowane rozpaczą.

O wpół do trzeciej po południu Wavell i Percival powrócili do sztabu Gordona Bennetta. Tutaj Bennett zaprzeczył, że upoważnił Maxwella do wycofania się w ciągu minionej nocy. W każdym razie gorsze ciosy miały dopiero nastąpić. 22 Brygada Australijska generała Taylora, rozbita w walkach stoczonych nocą, musiała się cofnąć na linię Jurong. Teraz, gdy Percival i Wavell inspekcjonowali inne jednostki, doszła do Bennetta wieść, że Taylor otrzymawszy tajne plany odnośnie ewentualnej ostatniej linii obrony wokół samego miasta, włącznie ze szczegółami dotyczącymi odcinka na południe od Bukit Timah Road, który przydzielono jego brygadzie, zinterpretował te plany jako rozkaz wycofania się na tę pozycję. W ten sposób ostatnia możliwa i obrony pozycja przed miastem, jeśli wykluczyć ewentualny udany kontratak, została porzucona jeszcze przed jakąkolwiek poważniejszą próbą ataku ze strony Japończyków. Wziąwszy jednak pod uwagę chaos, jaki panował za brytyjskimi Uniami: jednostki z utraconą łącznością ze sztabem, zatory na szlakach komunikacyjnych, trudności łącznościowe, ryzyko organizowania oporu z niejednorodnych sił w obcym dla nich terenie, istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że kontratak by się powiódł.

Zanim wrócili na Sime Road, była czwarta. Percivala powitał tutaj generał Torrance - przyszedł meldunek, że Japończycy zbliżają się do wsi Bukit Timah. Wiadomość ta wskazywała również, że dużemu zapasowi paliwa na wschód od tej wsi grozi dostanie się w ręce wroga. Percival rozkazał go natychmiast zniszczyć i o szóstej paliwo podpalono. Wavell tymczasem polecił się zawieźć do gubernatora, żeby się zobaczyć z sir Shentonem Thomasem. Czuł się zmęczony po długim dniu inspekcji i narad. A jak musiał się czuć Percival i inni, którzy nie zaznali odpoczynku od wielu dni, a może nawet tygodni? Kiedy przejeżdżał przez bramę wiodącą do siedziby rządu, jego oczy przypadkiem spoczęły na wiel-

I kim koszu orchidei ozdobionym kolorowymi wstążkami, który leżał na trawie tuż za ogrodzeniem. Zapewne ktoś zbyt nieśmiały, aby wręczyć kwiaty osobiście, przerzucił kosz przez ogrodzenie. A więc, dumając Wavell, oznacza to, że Brytyjczycy mimo swoich niepowodzeń militarnych wciąż cieszą się sympatią tubylców. Westchnął, kiedy samochód się zatrzymał i otworzono drzwiczki. Musi przekonać lady Thomas, która jest chora, że powinna wrócić z nim „Catalina” na Jawę.

O dziewiątej wieczorem, przed odlotem z Singapuru, Wavell udał się do sztabu, żeby pożegnać się z Percivalem. Dzień, który zaczął się dla obrońców z przynajmniej kilkoma kartami atutowymi w ręku, zakończył się załamaniem obrony. Tym niemniej przed odjazdem kazał łanowi Grahamowi, swojemu adiutantowi, napisać na maszynie ostatnie Jwskazówki, które Percival miał przekazać swoim żołnierzom. Zainspirował go do tego otrzymany wcześniej w ciągu dnia sygnał od Churchilla, który oceniał niekorzystnie opór brytyjski na tle oporu Rosjan i Amerykanów na innych frontach i polecił wojskom brytyjskim walczyć do końca. Następnie wydał rozkaz ewakuacji z wyspy ostatniego dywizjonu Hurricane'ów, uściśnął rękę Percivala i ruszył przez ciemne ulice do przystani w towarzystwie hrabiego Mackaya, członka swego sztabu na Jawie, i wicemarszałka lotnictwa Pulforda. Po drodze słyszeli pojedyncze strzały. Szabrownicy, przeczuwając bliski upadek miasta, już zaczęli łupić sklepy i magazyny w mniej uczęszczanych rejonach.

„Catalina” stała zakotwiczona pośrodku przystani. Samochód zatrzymał się w ciemnościach na nabrzeżu i Pulford wysiadł, żeby poszukać motorówki, która miała zawieźć Wavella i jego ludzi na hydroplan. Nie było go tak długo, że Wavell, zniecierpliwiony, nagle otworzył drzwi po lewej stronie, stronie ślepego, szklanego oka, które przez cały długi dzień chwyciło refleksy brytyjskiej kłęski. Wskoczył... lecz samochód stał tak blisko krawędzi murowanego nabrzeża, że po lewej stronie nie było już miejsca. Wavell runął kilka stóp w dół, na jakieś skały. Przez chwilę leżał cicho tam, gdzie upadł, pozbawiony tchu ze wstrząsu i bólu, myśląc: „Singapur jest skończony”, aż wreszcie udało mu się krzyknąć i adiutanci macając w ciemnościach znaleźli go i zanieśli na motorówkę. Położyli go na dnie i zaraz wypłynęli na czarne wody, rozświetlone tu i ówdzie płonącymi dokoła pożarami. Gdy wreszcie dotarli do hydroplanu, stwierdzili, że nie zdołają dźwignąć Wavella na pokład bez rozmontowania karabinu maszynowego zamocowanego przy drzwiach. Holenderska załoga hydroplanu, która nie znała mechanik

mu mocującego karabin, zabrała się do roboty najlepiej jak umiała. Wreszcie udało jej się usunąć karabin maszynowy i wciągnąć Wavella z rozkołysanej motorówki. Lecz kiedy już Wavell znalazł się bezpiecznie na pokładzie, dano mu whisky i aspirynę na uśmierzenie bólu i ułożono przy nim torby z dokumentami, które sir Shenton Thomas powierzył mu dla bezpieczeństwa, hydroplan nie mógł wystartować. Pilot zameldował, iż wszędzie jest tak wielka ilość małych jednostek pływających, które usiłowały uciec z Singapuru pod osłoną nocy, że nie może znaleźć odpowiedniej przestrzeni na wodzie, aby móc wystartować. Dopiero gdy zaczęło świtać, mogli wyruszyć do Batawii, pozostawiając chaos i zniszczenie Singapuru jako małą smużkę na horyzoncie, nic nie znaczącą w porównaniu z ogromem lśniących wód pod nimi.

Wróciwszy od pożaru Matthew znalazł karteczkę od Very, że pojechała do Bukit Timah, aby poszukać przyjaciela, który mógłby ją ukryć przed Japończykami. Matthew z przerażenia uderzył się dłonią w czoło. Czy ona zwariowała? Czy nie zdaje sobie sprawy, że zmierza do najniebezpieczniejszego miejsca na wyspie? Ani Matthew, ani nikt, kogo spotkał, nie miał jasnego obrazu, gdzie teraz przebiega linia frontu, lecz sądząc z huku dział Japończycy właśnie zbliżali się do Bukit Timah. Miał nadzieję, że na drogach są zapory, które nie pozwolą jej tam dotrzeć, co było zresztą bardzo prawdopodobne. Po kilku jednak minutach chodzenia tam i z powrotem po pokoju, nie wiedząc, co zrobić, postanowił pójść jej szukać. Choć wiedział, że miał nikłe szanse odnalezienia jej po ciemku i w tym zamęcie, postanowił jednak spróbować, aby się czymś zająć. Wkrótce więc wyruszył na motocyklu Turnera.

Matthew dotychczas jeździł motocyklem zaledwie parę razy i wcale nie był przekonany, że będzie umiał nim jechać teraz, po ciemku i z zaciemnionym reflektorem, po drogach pełnych lejów po bombach. Jednakże po pięciu minutach treningu w ogrodzie, pod kierunkiem Turnera, przejechał kilka razy wokół kortu i po grządkach z kwiatami, chwycił lewarek zmiany biegów i przygotował się do włączenia sprzęgła. Maszyna skoczyła na drogę jak tygrysyca.

W mgnieniu oka znalazł się na Stevens Road mknąc przez ciepłą tropikalną ciemność w kierunku Bukit Timah Road. Pędząc przed siebie cały czas szukał nogą wystającego kawałka metalu, który powinien być hamulcem... jednakże, gdy go nadeptywał, jechał jeszcze szybciej, a im szybciej jechał, tym bardziej był zaniepokojony, bo nie zdawał sobie w podnieceniu sprawy, że przekreślił prawą dłonią rączkę gazu. Pędził wciąż szukając stopą pedału hamulca. Przy skrzyżowaniu z Dalvey Road zorientował się wreszcie, że zaciskając kurczowo rączkę gazu zwiększa szybkość jazdy. Udało mu się nieco zwolnić, i to w samą porę, bo na drodze była zapora.

Przyciemniona latarka kazała mu się zatrzymać. Jeszcze bardziej rozpaczliwie zaczął szukać pedału hamulca. - Nie mogę się zatrzymać! - wrzasnął do maj aczących postaci na dro

dze. W podnieceniu znów zapomniał, żeby nie przekreślać rączki gazu. Ludzie rozpięchli się na lewo i prawo.

- Wariat! - krzyknął któryś z nich za nim. Ale Matthew już był na rogu Bukit Timah Road. I właśnie w chwili, gdy był całkowicie pewien, że zderzy się z jadącymi nią pojazdami, jego stopa natrafiła na inny kawałek wystającego metalu, który okazał się hamulcem. Cudem uniknął uderzenia w bok ciężarówki, majaczącej u wylotu Stevens Road.

Trudno się było zorientować, co się dzieje. Na drodze pełno było wlokących się noga za nogą, przeklinających postaci, z których jedne podążały w stronę miasta, drugie w przeciwną. Żandarm pokrzykiwał ochryple do kierowców stojąc na środku drogi przy studzience burzowej. Za studzienką błyski światła zdradzały inną ogromną kolumnę wojskową na Dunearn Road, usiłującą podążać w przeciwnym kierunku. Ktoś błysnął Matthew w oczy latarką i wrzasnął chrapliwie:

- Cholera, jedziesz chłopie nie w tę stronę! Tam jest wojna! - Nie było już zapór i nikt nie próbował go zatrzymać, ale na całej długości drogi ludzie i pojazdy wciąż miotali się w mroku niczym członki jakiegoś spętanego, oszalałego potwora.

Matthew wkrótce nabrał wprawy w przeciskaniu się na swym motocyklu przez wąskie luki między ciężko posuwającymi się pojazdami, lecz jechał wolno. Koło toru wyścigowego ogromny płomień buchał na jakieś sto stóp w niebo. Były to rezerwowe zbiorniki paliwa, które generał Percival kazał podpalić na godzinę przed zapadnięciem zmroku. W blasku ognia Matthew widział rzucające długie cienie sylwetki ludzi i armat, posuwające się głównie w kierunku miasta Singapur, ale wciąż zatrzymywane przez pojazdy włączające się w ten strumień ruchu lub przecinające go. Wkrótce i on musiał się zatrzymać, wkliniowany między dwie ciężarówki z milczącymi, zastraszonymi Hindusami. Tymczasem zrozpaczeni ludzie nadal zmierzali w przeciwnym kierunku, z twarzami zniekształconymi blaskiem ognia. Jeden z nich zatoczył się w jego stronę zionąc oparami whisky.

— Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony Matthew. - Czy się wycofujemy?

— Święta racja, dowcipnisiu! - odrzekł żołnierz i poszedł ciężko dalej śmiejąc się histerycznie.

Nawet w blasku płonącego paliwa nie było na tyle jasno, aby móc cokolwiek rozpoznać. „Jakże odnajdę Verę w tym wszystkim?” - zastanawiał się Matthew, tracąc nadzieję. Od czasu do czasu, wśród uciekają-

Je^^^tron^s^uki^nma^oFnier^ przemykały grupki cywilów [z tobołkami na plecach lub ciągniętymi za sobą wózkami. Na poboczach drogi widział cienie biegnących truchtem mężczyzn dźwigających na plecach żerdzie, na których wisiały kufarki, walizki lub toboły, lecz wszyscy przemykali odwracając od blasku głowy i tylko po ubraniu można było odgadnąć, czy są to Hindusi, Malajczycy czy Chińczycy, Tak, sprawa przedstawiała się beznadziejnie. Matthew zastanawiał się, czy lnie zawrócić, ale minął już tor wyścigowy po prawej stronie i do Bukit Pnma pozostało nie więcej niż pół mili, toteż postanowił przeciskać się dalej. Jechał jak w oszołomieniu poruszając się coraz swobodniej. Minął skrzyżowanie z drogą z lewej strony. Droga ta była cicha i kusząca, ale minął ją i wkrótce, gdy teren po obu stronach stał się wynio- ślejszy, poznał, że Bukit Timah i skrzyżowanie z Jurong Road musi leżeć gdzieś przed nim w mroku.

Zawieszony nad szeroką ulicą między dwoma rzędami domów pęk kabli elektrycznych rzucał snopy iskier oświetlając scenę takiego chaosu, że serce w Matthew zamarło. Ciężarówki i samochody pancerne stały zaklinowane pod najrozmaitszymi kątami, a wokół nich kłębił się tłum żołnierzy. Żandarmi, wrzeszcząca na kierowców i na siebie wzajem i usiłujący zebrać grupę ludzi, aby usunąć zepsute lub porzucone pojazdy, wydawali się całkiem bezradni wobec powstałego korka. W samym środku tego bałaganu czterech generałowie w odkrytym samochodzie sztabowym usiłowali czytać mapę w świetle latarki i co chwila patrzyli w kipiący mrok, jakby zastanawiali się, gdzie się znajdują.

Matthew zawrócił i ruszył w strumieniu cwałujących indyjskich żołnierzy z powrotem tam, skąd przybył. Żołnierze ci porzucili karabiny i buty i biegli boso, trajkocąc do siebie histerycznie w biegu. Zarażony ich przestachem Matthew co chwila oglądał się przez ramię, jakby spodziewał się zobaczyć Japończyków depczących im po piętach. Nagle znalazł się przy owej cichej drodze, którą widział przedtem. Dodał gazu, wyjechał pomiędzy trajkocących Hindusów i skręcił na nią. Jeszcze długo słyszał za sobą ich okrzyki i podniesione głosy, gdy biegli drogą ku miastu Singapur.

Droga, w którą skręcił, to Reformatory Road, wiodąca do Pasir Pan- jang na wybrzeżu. Nie był pewien, czy nie zaprowadzi go na linie Japończyków... bo gdzież są te linie? Jednakże pod warunkiem, że droga nie skręci ku hukom i błyskom dział po prawej stronie, gotów był nią je

552

chać zachowując jak największą ostrożność. Zaczęły padać pierwsze ciepłe krople deszczu.

Dostrzegł w mroku przed sobą błysk latarki. Natychmiast zatrzymał motocykl i stał z łomocącym sercem, wstrzymując oddech. Wkrótce potem latarka znów zabłysła oświetlając przód samochodu. Nie przybliżyła się, więc zostawił motocykl i podkradł się bliżej. Zobaczył sylwetkę jeepa i mężczyznę w mundurze zaglądnącego pod maskę, który powiedział coś do drugiego siedzącego z tyłu i pobiegł drogą w kierunku Pasir Panjang, widocznie po pomoc.

Matthew podszedł ostrożnie bliżej, nasłuchując oddalających się kroków kierowcy na twardej nawierzchni drogi - nie chciał, aby go przez pomyłkę postrzelono. Kiedy się znalazł o kilka kroków od unieruchomionego jeepa, latarka znów rozbłysła ukazując w swoim blasku tęgiego, niskiego mężczyznę z wąsikami i w generalskim mundurze. On też przyglądał się mapie. Ależ w tej krągłej, niezadowolonej twarzy o wylupiastych oczach było coś znajomego! Ten tłusty jegomość siedzący samotnie w ciemnościach, w kropkach deszczu padających na czapkę z czerwonym otokiem i mapę, którą czytał, był z całą pewnością generałem Gordonem Bennettem, dowódcą wojsk australijskich! Matthew widział w gazecie jego fotografię, jak dokonywał przeglądu wojsk. A teraz oto generał siedzi sobie w zepsutym jeepie, i to w dodatku w kluczowym momencie bitwy o Singapur! Może on, Matthew, dzięki swojemu motocyklowi, zdoła dopomóc generałowi w tak ważnej chwili. Zawahał się, czy podejść i zaoferować swoje usługi.

Gordon Bennett, siedząc w jeepie, nie słyszał kroków zbliżającego się Matthew. Był zbyt zaabsorbowany innymi, bardziej tragicznymi sprawami. Kilka ostatnich godzin należało do najgorszych, jakie w życiu przeżył. Rano doznał wstrząsu dowiedziawszy się, że Japończycy przedarli się przez jego australijskie linie, co mu się wcześniej wydawało nie do pomyślenia. Potem zbombardowano kwatery jego sztabu w czasie odwiedzin Wavella i Percivala. A jakby tego jeszcze nie było do- syc, wyszedł na głupca w oczach Wavella, ponieważ nie wiedział, co Maxwell naknocił na swoim odcinku przy Grobli. Nie, stanowczo nie wiodło mu się w ciągu ostatnich godzin. Może jedyną pociechą było to, że na początku kampanii sułtan Johore bardzo go polubił i zachowywał się bardzo wielkodusznie. Dał mu nawet do zrozumienia, że w wypadku totalnej klęski Brytyjczyków, nie jest wykluczone, iż udzieli mu pomocy w ucieczce do Australii.

553

Tak, Gordon Bennett rozpoznał w sultanie człowieka naprawdę wysokiej klasy, a zdaniem generała sultan zapewne zauważył również jego zalety. Niedawno, jak opowiadano generałowi, goszcząca u sultana pewna utytułowana dama wyraziła pragnienie popływania w pełnej rekinów Cieśninie Johore. Dla wielu gospodarzy byłoby to niewykonalne, ale nie dla sultana. I cóż wobec tego zrobił? Otóż rozkazał kilkuset członkom swej gwardii pałacowej wejść do wody i wziąć się za ręce, aby utworzyć w ten sposób zapórę przeciwko rekinom, wewnątrz której dama mogła się bezpiecznie wykąpać. To dopiero, zdaniem generała, była klasa. Generał umiał ocenić czyjąś klasę na miłę. Westchnął i bardzo niechętnie wrócił myślami do mapy. Właśnie w tej chwili, jakby samej klęski było za mało, z mroku wyskoczył jak wilkołak jakiś cywil z dzikim wzrokiem. Gdy Matthew wynurzał się z otaczających ciemności, Bennet skurczył się i wstrzymał ze strachu oddech, aż mu oczy wyszły na wierzch.

- Kto pan, do diabła, jest i czego pan chce? - zapytał z furją.

- Mam motocykl - rzekł Matthew zaskoczony tym wrogim przyjęciem. - Myślałem, że może pan zechce, żeby pana podwieźć... lecz widzę, że nie - dodał, kiedy policzki generała zrobiły się purpurowe. Kaszląc z zakłopotania zanurzył się z powrotem w mrok. Wkrótce zawarczał silnik motocykla i z wolna ucichł w dali. Generał został sam wśród deszczu i nocy.

Gdy Matthew przyjechał do Mayfair, dowiedział się, że Vera nie mogąc dotrzeć do Bukit Timah wróciła, ale zaraz znów gdzieś wyruszyła, nie mówiąc nikomu gdzie.

Walter już dawno przestał wierzyć, że uda się ocalić Singapur. Skoro nie można było zatrzymać albo przynajmniej przyhamować natarcia Japończyków w głębi kraju, z pomocą zawczasu przygotowanych linii obronnych i stosunkowo wypoczętych żołnierzy, teraz istniało małe prawdopodobieństwo, że się je zatrzyma tu, u wrót miasta. Ciekawe, lecz Walter nie myślał ani o ucieczce, ani o połączeniu z rodziną. Ostatecznie rodzina była bezpieczna. Jego żona i Kate przebywały w Australii. Monty Bóg raczy wiedzieć gdzie... może w Indiach. Joan i Nigel wkrótce winni się znaleźć w Bombaju. Fakt, że Joan zdołała usidlić Nigela, stanowił niewątpliwie powód do satysfakcji wróżący firmie dobrą przyszłość. Pod tym względem udało jej się nawet lepiej, niż gdyby złośliwa w swoje sieci Matthew Webba - kiedy te dwie firmy zleją się w jedno, wszelkie próby użycia przez Matthew swoich akcji w celu wpłynięcia na politykę firmy zostaną bardzo łatwo przegłosowane.

A mimo to, ileż firma straciła w ciągu tych kilku minionych tygodni! Upłynie dużo czasu (on sam może nawet będzie wtedy starcem, zrzedną starą marionetką, do której młodzi dyrektorzy będą podchodzili po kolei, by wypowiadać grzeczne uwagi podczas garden-party), zanim firma Blackett i Webb odzyska swą dawną handlową siłę na Dalekim Wschodzie, jaką stanowiła przez minione trzydzieści, czterdzieści lat. Cały malajski kauczuk, cyna i olej palmowy wpadły już w ręce japońskie, na Jawie i Sumatrze wkrótce stanie się to samo. Wszystkie agencje... okrętowa, ubezpieczeniowa, importowo-eksportowa i przeładunkowa, robót inżynierskich i bankowa... znajdowały się w stanie zawieszenia lub zostały przeniesione do Australii czy Anglii, a ich zarządy i pracownicy rozproszeni na cztery wiatry. Czegoś na tak wielką skalę nie da się odbudować z dnia na dzień! Co się tyczy materialnej substancji tych przedsiębiorstw (magazynów towarów i produktów, fabryk, pojazdów itp.) były one z równym zapałem niszczone przez japońskie bombowce, co przez brytyjskie oddziały. Być może właśnie to jednomyślne niszczenie wszystkiego, co świadczyło o obecności firmy Blackett i Webb w

I Singapurze, graniczące, jak mu się zdawało, niemal ze złością, tak bardzo go dezorientowało.

Jego rodzina opuściła Singapur. Nie miał już żadnej odpowiedzialności, prócz tej, jaką ponosi wobec ludzi, którzy dla niego pracowali... lecz nawet jego obowiązki wobec nich nabrały pod bombami mglistego charakteru. W każdym razie nie miał już żadnych wpływów, dzięki którym mógłby im pomóc. Spędzał więc te ostatnie dni włócząc się po mieście samotnie i bez celu, prawie tak samo, jak to zwykł czynić w młodości, gdy mieszkał w internacie, prowadzonym przez jeden z wielkich domów handlowych, wspólnie z mnóstwem innych młodzików. Snuł się po mieście jak cień lub dumał samotnie w kantorku magazynu nad rzeką, który uczynił swoim tymczasowym domem. Parę razy, zamiast iść piechotą lub pojechać samochodem, brał jeden z sampanów, które stały w kilku rzędach wraz z tongkangami przy nabrzeżu firmy i płynął rzeką do Klubu. Ale i Klub zmienił się nie do poznania, zatłoczony uciekinierami, chorymi i rannymi, więc Walter szybko wychodził nie zamieniwszy z nikim słowa. W środowe popołudnie zjawił się nagle w wolnocłowym magazynie whisky, gdzie ta sama grupa, która niszczyła zapasy firmy Blackett i Webb, zaczęła właśnie pracę. Bez słowa zdjął marynarkę i wziął się do roboty razem z nimi. Byli mu wdzięczni - potrzebowali pomocy. Walter rozbijał zawzięcie butelki aż do zmroku, a potem wrócił do swojego magazynu nad rzeką, aby znowu dumać w samotności.

Wędrując wąskimi korytarzami między belami kauczuku próbował sobie wytłumaczyć, co się stało. Gdyby udało mu się zrozumieć, w czym tkwił błąd, może zdołałby znów zapanować nad biegiem wypadków, zamiast dryfować bezradnie to w tę, to znów w tamtą stronę. Z pewnością bowiem nie samych Japończyków należało winić za to, co zaszło. Niewątpliwie pierwszą oznaką, że firma Blackett i Webb zaczyna tracić swoje dotychczas niezachwiane panowanie nad własnym losem, były zamieszki wśród robotników na plantacjach przed pięciu laty... nie tylko jego plantacjach, ale również plantacjach innych firm. Czy można za to winić Japończyków? Może i tak. Z pewnością oni to właśnie byli inspiratorami strajków przeciw Brytyjczykom w Szanghaju. Strajk w 1939 w China Printing and Finishing Company w Pootungu, który trwał sześć miesięcy, póki nie sprowadzono brytyjskiej piechoty morskiej, aby zaprowadziła porządek, był na pewno wywołany przez Japończy

ków. Dość spojrzeć na całą antybrytyjską propagandę, która mu towarzyszyła, na te plakaty, demonstracje, pamflety, wykrzykiwanie sloganów... nawet strajk solidarnościowy zorganizowany w brytyjskiej fabryce Yee Tsoong Tobacco. A potem cała seria strajków przeciw brytyjskim koncernom: China Soup Company, Asiatic Petroleum Company, Ewo Brewery i Ewo Cotton Mills, Ewo Cold Storage (Jardine Mat- heson był ich ulubionym celem) i przędzalnie wełny firmy Paton i Bal- dwin. Ale istniała pewna trudność, której Walter nie mógł nie wziąć pod uwagę. Choć było bardzo prawdopodobne, że niektóre, jeśli nie wszystkie z tych strajków były inspirowane przez Japończyków, to z kolei nie można powiedzieć, czy nie wybuchłyby spontanicznie, nawet bez zachęty ze strony Japończyków.

W pewnym sensie nie było ważne, czy te strajki zostały ze względów politycznych zainspirowane przez Japończyków, czy komunistów, czy też powstały niezależnie wśród niezadowolonych robotników, którzy identyfikowali wszystkich pracodawców z Brytyjczykami. Bo zdaniem Waltera istnienie tak ogromnych rezerw taniej siły roboczej i towarzyszących im „porzuconych trupów” pour encourager les autres musiało spowodować mieszaninę krańcowej uległości i krańcowego oporu. W ten sposób niekorzystne zjawisko zamieszek wśród robotników wiązało się w sposób nierozzerwalny z korzystnym istnieniem taniej siły roboczej.

Jednakże na Malajach, które utraciły swoją pulę taniej siły roboczej, kiedy w wyniku kryzysu imigracja została ograniczona, nie było „porzuconych trupów” rano na ulicach i robotnicy nie byli skrajnie wykorzystywani. Niewątpliwie na Malajach nie można winić Japończyków za zamieszki robotnicze. Szereg strajków wywołała czysto polityczna agitacja nacjonalistyczna, przede wszystkim skierowana przeciwko Brytyjczykom, ponieważ strajki te nie były oparte na rzeczywistym niezadowoleniu robotników. Walter wyczuwał, że tu właśnie firma zaczęła wraz z innymi firmami brytyjskimi tracić panowanie nad własnym losem. Jeśli robotnik jest niezadowolony, można temu jakoś zaradzić. Można mu więcej płacić, można go wyrzucić albo poprawić jego warunki życia. Ale co można zrobić z robotnikiem, który chce, aby jego pracodawca opuścił kraj, lub pragnie przejąć jego firmę, co na jedno wychodzi?

- Pewnie chcieliby, żebym pomalował twarz na brązowo i ubrał się

w sarong! - burknął głośno Walter opierając się ze znużeniem o belkę kauczuku, na którym zrobił majątek. Jęknął. Bez trudu rozpoznał, co mu stało na przeszkodzie. To „duch czasów”, który go znów ukradkiem wyprzedził.

Niebawem poczuwszy głód ponownie wyszedł na ulicę. Nie zjadł jednak nic, tylko poszedł do Klubu Krykietowego wziąć prysznic. Ubranie miał brudne, ale nie różnił się tym od napotkanych osób-nikt nie widział nic niezwykłego w jego wyglądzie. Doznał jednakże wstrząsu na widok własnego odbicia w lustrze i kiedy się wykąpał, wysłał kogoś do Tanglinu, żeby Mohammed przywiózł mu czyste ubranie. Poczul się wówczas lepiej i zjadł kanapkę.

Mohammed, który czekał na niego w samochodzie, chciał go zawieźć do Tanglinu, lecz Walter kazał mu jechać do magazynu nad rzeką. Był bardzo zmęczony. Żeby się dostać do kantorku, musiał się wspiąć prawie czterdzieści stóp po chwiejnej drabinie ku mrocznemu sklepieniu, gdzie znajdowała się półka tworząca na niewielkiej przestrzeni coś w rodzaju szczątkowego poddasza. Na dwóch trzecich wysokości drabiny upuścił latarkę elektryczną. Zobaczył, jak zapalona latarka obraca się w powietrzu padając. Potem zgasała i przestał widzieć cokolwiek. Na szczęście Mohammed, zatroskany o jego bezpieczeństwo, stał i patrzył na jego niepewne wspinanie się po drabinie od drzwi magazynu. Krzyknął do Waltera, aby się nie ruszał, i popędził do samochodu po drugą latarkę.

Czekając na lekko skrzypiącej, uginającej się drabinie, zbyt niepewny swojej równowagi, by wejść wyżej lub zejść na dół w kompletnej ciemności, Walter myślał, jak łatwo byłoby machnąć ręką na wszystko, oderwać się od drabiny i zanurzyć w te ciche, spokojne głębie na dole. Mohammed nie nadchodził. Tyle kauczuku! Był wszędzie dokoła. Walter nie widział go, lecz wiedział, że jest. Pomyślał znów o oleju palmowym, och, nie, to tylko błahostka... Człowiek musi iść z duchem czasu, w przeciwnym razie czeka go zguba. Trzymając się w ciemnościach kurczowo drabiny Walter zaczął dumać nad sprawą kroczenia z duchem czasu. W Szanghaju udawało mu się to bardzo zręcznie, czemu nie udało się na Malajach? Przecież w Szanghaju powinno to być trudniejsze. Na pewno żadne miasto handlowe nie uległo tak drastycznym zmianom w ciągu tak krótkiego czasu jak Szanghaj przez minione pięć lat - wojna japońska na lądzie stałym, dokonana przez Japończyków blokada

por

558

tów, zakończenie w konsekwencji polityki Otwartych Drzwi, nie wspominając już o rozmyślnych próbach zdławienia przez Japończyków brytyjskiego handlu poprzez restrykcje i monopole. A mimo to on nie tylko szedł z duchem czasu i ocalał w tym obłożonym, potwornie przeludnionym mieście, ale wyraźnie prosperował.

Ach, lecz jeśli chodzi o Szanghaj, mógł być obiektywny. Inaczej z Malajami. Malaje uważał za swój kraj. Przeżył tutaj większą część życia, założył rodzinę. Miał z góry powzięty sąd, jaki ten kraj powinien być. Nie pragnął, aby on się zmieniał. Chciał, aby pozostał taki, jaki był kiedyś. „Zaczynam podzielać poglądy starego Webba” - myślał. Cóż, dostosowywał się jak mógł do tych nowych zamieszek robotniczych. Może w końcu tak źle na tym nie wyszedł.

Wrócił Mohammed i Walter ruszył dalej po szczeblach drabiny w blasku świecącej z dołu latarki. Gdy wspiął się na górę, Mohammed podążył za nim z koszem pełnym jedzenia. Walter podziękował, wyjął portfel i dał mu kilka dolarów, dodając, że nie będzie go przez jakiś czas potrzebował. Kazał mu też ukryć samochód, gdzie uzna za stosowne, i że najlepiej byłoby, gdyby Mohammed wrócił do swojego kampongu, póki sytuacja się nie unormuje.

- Czł o wiek musi iść z duchem czasu, Mohammed - rzekł z lekkim uśmiechem. Potem odprowadził go do drabiny i poświecił przy schodzeniu.

- Do widzenia, Tuan.

- Do widzenia, Mohammed. -1 sais odszedł czując się bardziej zatroskany niż kiedykolwiek. Uznał, że tylko szalenie mógłby chcieć pozostać w tym magazynie nad rzeką, w którym szczury harcowały w ciemności, a komary siadały na człowieku całymi chmurami. A poza tym, oczywiście, były jeszcze bomby.

Z okienka kantoru Walter miał rozległy, zawdzięczając rzece, widok na wschód i południowy wschód w kierunku placu Rafflesa. Ponad niskimi dachami po drugiej stronie rzeki widać było zarys wyższych budynków wokół placu Rafflesa na tle innych, płonących za nimi. Gmach Fullertona też był widoczny, dzięki jakiemuś statkowi płynącemu na kanale za nim. Reflektory omiały niebo krzyżując się ze sobą, czasem widać było ognie dział. Doków nie mógł stąd dostrzec, ale sądząc po różowa wych chmurach nad nimi, wciąż płonęły. Bliżej wybuchł jeszcze jeden wielki pożar magazynów nad rzeką między Nabrzeżem Clarke'a

559

a Nabrzeżem Robertsona, a na przeciwległym brzegu też się paliło, pomiędzy Magazine Road a częścią Havelock Road biegnącą wzdłuż rzeki. Walter, czasami mrucząc coś do siebie, lecz przeważnie w milczeniu, przestał większą część nocy oparty o ramę okna, przyglądając się tym pożarom.

Właśnie do tego pożaru nad rzeką został skierowany oddział straży pożarnej z Mayfair. Mknęli ku niemu korytarzami ognia. Niemal na każdej ulicy, którą przejeżdżali, płonęły jakieś domy. Major siedział zgarbiony za kierownicą nasłuchując niespokojnie warkotu silnika la- gondy i wdychając benzynę, która gdzieś przeciekała. Lagonda zepsuła mu się parę razy, ale udało się jakoś ją naprawić. Miała teraz poszarpaną szramę z boku od odłamka szrapnela, a lakier na masce był okryty w kilku miejscach bąblami od żaru z poprzednich pożarów. Dobrze im służyła. Lecz chyba nie było zbyt mądre jechać do pożaru samochodem, z którego cieknie benzyna.

Mimo godziny policyjnej ulice były pełne ludzi, w większości uchodźców z zagrożonych obszarów. Lagonda przemykała obok postaci dźwigających tobołki, minęła tłum szabrowników wywlekających towary z wybitych okien wystawowych niby wnętrzości z martwego zwierzęcia. Siedzący obok majora Matthew patrzył na majaczącą w mroku baterię dział przeciwlotniczych z lufami skierowanymi ku niebu, które po kolei czekały ogniem, kiedy przejeżdżali. Najwidoczniej był właśnie nalot.

Odczuł ulgę, kiedy przyjechali do pożaru i wzięli się do pracy. To przynajmniej było czymś znajomym: szukanie źródła wody, rozkładanie węży, rozruch pompy. Gdy byli zajęci obieraniem dogodnego miejsca do rzucaenia węża ssawczego do rzeki, przybiegł pies, obwąchał ich i pomknął z powrotem.

- Pewnie Adamson jest gdzieś w pobliżu! - Uśmiechnęli się wszyscy, bo to była rzecz pocieszająca i znajoma. I wkrótce Adamson rzeczywiście się pojawił, wciąż utykający i z laską. Zachowywał się równie niedbale jak zawsze, ale teraz nawet on wyglądał na zmęczonego.

- Na waszym miejscu zważyłbym ten płot- rzekł -i gasiłbym stąd. Bo gdybyście podeszli bliżej, któraś ze ścian mogłaby was przygnieść. -I zaraz pokuśtykał dalej, niktąc wraz z psem w drżącej od żaru mgiele.

Kee, Turner i Cheong pozostali, aby przygotować pompy, inni ruszyli w stronę ognia rozwijając w drodze wężę. Najwidoczniej pożar szalał

nieskrępowanie już od dłuższego czasu, bo w jego centrum trudno już było odróżnić poszczególne magazyny nadrzeczne - stały się one teraz paliwem gigantycznego pieca. Przybywszy na miejsce zmieszali się z innymi strażakami, którzy z pochylonymi głowami przed zamiecią iskier, wlekli węże ku ośrodkowi ognia. Matthew znalazł się wśród ubranych w hełmy ludzi w tej burzy iskier i krew mu w żyłach łomotała z podniecenia jak zwykle, gdy zbliżał się do ognia. Czy popukał w drewno? Tak. A może to było wczoraj? Stracił rachubę czasu, wypadki nałożyły się jeden na drugi. Wkrótce woda zaczęła płynąć węzłem i skierowali strumień na zewnętrzne ściany ogromnej areny żaru i blasku. Daleko za płonącymi budynkami, które usiłowali objąć, ogień wziął w posiadanie wnętrza innych budynków, i teraz ledwie można było na nie patrzeć gołym okiem.

Mijał czas. Zdawało się, że upłynęło kilka minut, lecz spojrzawszy na zegarek Matthew stwierdził, że jest przy tym pożarze od dwóch godzin. Czasem, spiesząc po jeszcze jeden odcinek węża, spostrzegał jarzące się wnętrza budynku, kiedy przebiegał przez wiodącą do niego ulicę. Uderzała go wówczas fala buchającego od niego żaru, póki nie schronił się za następną ścianą. Raz, gdy biegł przez tę rzekę osłaniając zgiętym w łokciu ramieniem twarz, zobaczył, jak dwie latarnie, których wydłużone cienie sięgały na bruku niemal jego stóp, wykrzywiły się i opadły zaczynając się topić. W chwilę później znalazł się dzięki Bogu w następnym gęstym cieniu nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą widział.

Jaki dziwny był ten przeskok z zalanej blaskiem alei w czarny mrok bocznej uliczki! Tu, w ciemnościach, jakiś wyczerpany strażak siedział na krawężniku i swoim stalowym hełmem czerpał płynącą rynsztokiem wodę i lał ją sobie na głowę. Gdy Matthew przyjrzał się bliżej, zobaczył, że strażak ten nie jest sam - tu i ówdzie leżeli inni strażacy, którzy ściągnęli do tej ciemnej przystani, by odpocząć. Dziwna rzecz, że wśród tych zmęczonych ludzi panował dobry humor, nastrój niemal uniesienia. Pokrzykiwali wesoło do Matthew w językach, jakie znali... po angielsku, tamilsku, holendersku, kantońsku... śmiali się i żartowali z siebie wzajem, obejmowali się ramionami, a gdy niebawem dach jednego z magazynów zawalił się z hukiem i nowa fala iskier wzbijała się w powietrze, oświetlając ich miejsce schronienia, podniósł się radosny okrzyk i ktoś zaczął śpiewać: „Wytoczcie nową beczkę”. Śmiejąc się niepoohamowanie, sam nie wiedząc czemu, Matthew ruszył z nowym odcinkiem węża, po który został posłany, idąc po obwodzie ognia. Zdumiało go, jak szybko ogień zmieniał swój charakter z odcinka na odcinek. W jednym miejscu huczał wesoło buchając iskrami, w innym płonął ponuro pod kłębami gryzącego dymu. Tu, gdzie pożar wypływał rzeki płonącej cieczy w stronę rzędu ciemnych domów czynszowych, strażacy walczyli z ogniem z ponurą zaciekłością. Nie opodał, gdzie palił się magazyn wolnocłowej whisky, zataczali się wesoło, przewracali zaczepiając jeden o drugiego niby miot szczyeniąt, pijani od oparów alkoholu, które kłębiły się wokół nich.

Noc wlokła się w nieskończoność. Matthew i pan Wu stali razem przy prądownicy kierując strumień wody na łagodne niebieskie płomyki, które uroczo przybierały dachy rzędu sklepów, gdy nagle usłyszeli nad sobą złowrogie syczenie. Śpiewający za nimi ludzie umilkli. Syk narastał gwałtownie i przeszedł w niski gwizd. Matthew i pan Wu cisnęli prądownicę i rzucili się co sił w nogach w ciemność. W następnej chwili Matthew stwierdził, że leży twarzą w kałuży wody płynącej z pękniętej rury wodociągowej. Bruk pod nim dygotał, a z góry sypały się odłamki cegieł i pecyny ziemi. Po kilku chwilach poczuł szarpnięcie za ramię - otworzył oczy i zobaczył nad sobą wiecznie uśmiechniętą twarz pana Wu. Zaczęli razem szukać prądownicy i wkrótce ją znaleźli młócacą na wszystkie strony w ciemnościach. Gdy Matthew spróbował ją chwycić, uniosła się i uderzyła go z taką siłą w pierś, że aż stracił oddech, ale pan Wu rzucił się na nią i przygniótł do ziemi, póki jej znów nie pochwycili mocno. Wkrótce przyjechała furgonetka z centrali straży ogniowej przywoząc gorącą, słodką herbatę w metalowym pojemniku.

Gdy Matthew siedział oparty o ścianę i pił herbatę w pewnej odległości od pożaru, pojawił się Adamson z psem. Płoneły położone o parę kroków od rzeki dwa magazyny z kauczukiem, olejem silnikowym, koprą, olejem palmowym i mleczkiem kauczukowym. Chociaż nie było nadziei na ocalenie samych magazynów, Adamson obawiał się, że płonąca ciecz może z nich wypłynąć do rzeki i zapalić stojące tam gromadnie sampany i tongkangi. Chciał, aby Matthew zmienił jednego z jego ludzi, który kierował strumieniem wody z dachu stojącego obok wysokiego budynku.

-^v Poradzisz sobie sam? Jak tylko będę mógł, przyślę ci kogoś do pomocy. -Matthew kiwnął głową. Pies przyjrzał mu się powątpiewająco, a potem podniósł wzrok na Adamsona, jakby w obawie, że Matthew nie podoła zadaniu. Matthew zdawało się, iż całe wieki trwało wspinięcie się po drabinach

w ciemnym wnętrzu magazynu, nim spostrzegł sylwetkę mężczyzny, którego przyszedł zmienić - przymocował on prądownicę do żelaznej barierki, nie tak sztywno jednak, by nie móc kierować strumieniem, i leżał przy parapecie, który biegł wokół dachu. Z trudem się podniósł, kiedy zobaczył Matthew.

- Siedzę tu całą noc - powiedział. - Już myślałem, że o mnie zapomnieli.

- Na dole dają herbatę, pospiesz się, to może jeszcze dostaniesz. †

- Pozachwycaj się widokiem! - zawołał strażak odchodząc i pozostawił Matthew samego. Matthew skierował całą swą uwagę na ogień. Z tej pozycji widział cały pożar i zastanawiał się, czy Adamson zdaje sobie sprawę, ile magazynów już przepadło. Wydawało się mało prawdopodobne, że ten pojedynczy strumień wody coś pomoże. Matthew jednak omiatał nim dachy od strony rzeki, by woda spływając po zewnętrznych ścianach chłodziła je i żeby stały jak najdłużej.

Wkrótce zaczął doznawać dziwnego uczucia, że wisi nad miastem w upalnym mroku. Przenikało go uczucie odizolowania i smutku. Słyszany chwilami warkot bombowca na czarnym niebie, odgłosy dział przeciwlotniczych brzmiące jak zatraskiwanie drzwi w oddali, głuchy łoskot padających bomb, raptowne trzaski i gwizdy dział Boforsa, nawet głębokie poszczekiwanie artylerii... wszystko to wydawało się dziwnie odległe z tej pozycji nad dachami. Tutaj do jego świadomości docierały tylko jęki i skrzypienie prądownicy ocierającej się o barierkę i słaby, równy syk strumienia wody spadającego łukiem w ogień. Widział stąd na znaczną odległość - dostrzegał raptowne błyski przesuwające się wzdłuż Raffles Quay i basenu Telok Ayer, gdy spadały bomby, widział kadłub jakiejś barki płonącej przy moście Andersona u ujścia rzeki i inny statek palący się jasno na kanale, widział też inne pożary w gęsto zaludnionych dzielnicach mieszkalnych na południe i na wschód od New Bridge Road. „Gdyby jakaś bomba spadła tutaj - pomyślał nagle - nikt by mnie nigdy nie znalazł” - po czym spojrział niespokojnie w dół, żeby zobaczyć, czy nie wysłano mu kogoś do pomocy, ale ulica była spowita dymem i nic nie mógł dojrzeć.

Po chwili uspokoił się, ukojony regularnym skrzypieniem prądownicy. Ostatecznie był przecież bardzo daleko od tego, co działo się na dole. Wydawało mu się niemożliwe, aby to, co się działo na ziemi, mogło dotyczyć jego. Na dole szalał ogień, a za ogniem i wszędzie dokoła rozciągało się miasto Singapur, gdzie dwie wrogie armie walczyły ze sobą w ciemnościach. Tutaj to wszystko było mu obojętne. Zajmował go jedynie ogień szalejący w dole, musiał się skoncentrować na tym, aby kierować strumień wody tam, gdzie był najpotrzebniejszy. Lecz wkrótce jął się zastanawiać, czy jego wysiłki nie są zbędne. Przy zmianie pływów płonąca ropa z rażonego bombami statku u ujścia rzeki skierowała się ku ciasno stłoczonym sampanom i barkom w samym środku miasta. Gdy niebo na wschodzie zaczynało błednąć, Matthew patrzył z przerażeniem na to leniwe przybliżanie się ognistego węża.

- Magazyn firmy Blackett i Webb jest zagrożony. Walter jest wewnątrz i nie chce wyjść. Ktoś z jego ludzi doniósł o tym na Hill Street, a oni przekazali tę wiadomość nam. Czy nie zechciałbyś spróbować go przekonać?

Matthew i major siedzieli na krawężniku, koło firmowej furgonetki, z której niedawno osiem kolorowych rąk wyciągało się ku Dobrobytowi. Te ręce nie okazały się trwałe - większość z nich odłamała się podczas jazdy na wybojach, jedno u ramion, inne w łokciu. Tylko dwie pozostały nietknięte aż do zakrzywionych palców. Matthew podejrzewał, że białe, ale nie miał pewności. Nieustanne osiadanie oleistych kłap- ciów sadzy nadało wszystkiemu, co białe, żółte, jasnobrązowe i ciem- |nobrązowe, a nawet samej furgonetce, jednolity czarny kolor. Wszystko, na co spojrzeć, było czarne lub szare jak niebo i dym.

- Sam bym poszedł - rzekł major - ale muszę zawieźć tę całą gromadę do Mayfair, żeby coś zjedli i odpoczęli. - Patrzył na swoje dłonie, pokaleczone i krwawiące od trzymania węża, w którym utkwiły odłamki szkła leżącego wszędzie na ulicach. Dłonie Matthew były tak samo poranione. Czekali teraz na swoją kolej, gdy jeden z zawodowych strażaków chodził z dzbanem jodyny smarując rany innym, przy wtórze żartów, przekleństw i okrzyków bólu. Adamson siedział z nimi z wyciągniętymi dłońmi do tego bolesnego rytuału. Pies spał z głową na jego bucie. Kiedy niebawem Adamson wstał, aby się udać na Hill Street na śniadanie, musiał potrząsnąć nogą, by obudzić psa.

Matthew ruszył wzdłuż pierwszego rzędu budynków, które spaliły się w ciągu nocy - obecnie majaczyły w szarym świetle ociekając wodą jak wydrażone skorupy. Skręciwszy za róg natrafił na kilka węży leżących obok siebie i wciąż nabrzmiałych jak grube żyły od wody, która nimi płynęła. Nieco dalej ich prądownice, zapewne porzucone podczas nalotu, unosiły się i miały na wszystkie strony na pustej ulicy niczym wielogłowy potwór. Matthew szedł dalej zastanawiając się, gdzie może być Vera. Miał nadzieję, że zdążyła do tej pory wrócić do Mayfair. Kto wie,

może istnieje jeszcze możliwość wysłania jej z Singapuru przed wkroczeniem Japończyków...

Matthew był w magazynie firmy Blackett i Webb tylko raz, w towarzystwie Waltera, w pierwszych dniach pobytu w Singapurze. Po raz drugi widział ten magazyn nad rzeką, kiedy był z Verą w „Wielkim Świecie” (teraz mrocznym i opuszczonym, jeśli nie liczyć posterunku Cywilnej Obrony Przeciwlotniczej), bowiem znajdował się tuż obok. Nie dojrzał w nim jednak nic szczególnie interesującego prócz tego, że było na nim wypisane wielkimi białymi literami jego nazwisko. Obecnie, dziwnie ocalały wśród zbombardowanych budynków po obu stronach, wyglądał bardziej imponująco niż przedtem.

Wewnątrz wydawało się początkowo bardzo ciemno i cicho. Hen, z wysoka, do mrocznego amfiteatru, w którym stał Matthew, przedostawała się odrobina światła. A w powietrzu rozchodził się przyjemny zapach, może z bel kauczuku, które piętrzyły się wokół, a może ze ścian starego budynku.

-Walter! - zawołał niepewnie, a jego głos zabrzmiał bardzo cicho w tej wielkiej przestrzeni. Przez chwilę wydawało się, że nie będzie odpowiedzi, lecz zaraz na antresoli w górze rozległo się stapanie i znajomy głos zapytał niecierpliwie:

-Kto tam?

- To ja, Matthew Webb. Chcę z tobą porozmawiać.

- Kto? Ach, to ty. No, dobrze... Pewnie chcesz zniszczyć cały ten kauczuk? — Walter zaśmiał się ponuro.

- Nie wiem, co twój ojciec pomyślałby o całym tym szaleństwie, które wszystkich opanowało.

-Chodzi o coś innego. Mogę wejść na górę? - Nie czekając na zaproszenie Matthew zaczął się wspinać po drabinie, którą dostrzegł mającą w pobliżu. Znalazł Waltera u szczytu drabiny, zniecierpliwionego i poirytowanego. Przystanął, aby zaczerpnąć tchu, i spoglądał na Waltera niepewnie. - Czy moglibyśmy pójść gdzieś, gdzie jest więcej światła?

- Dobrze. Chodź ze mną. - Walter poprowadził go korytarzami kauczuku. Na zakręcie stanął na ich drodze stary szczur i przyglądał im się przez chwilę beczelnie, zanim pokulał w jakąś boczną dróżkę. Za następnym rogiem z małej klatki z drewna i szkła dobywało się szare światło. Rząd ogromnych nietoperzy, zgrabnie ułożonych, wisiał śpiąc u krokwi nad ich głowami. Walter zaprosił Matthew do środka i wskazał mu krzesło. Nim jednak usiadł, Matthew podszedł do okna, chcąc zo-

Pbaczyć, czy ogień bardzo się ku nim zbliżył. Ale chociaż okno wychodzi - ło na wschód, a więc w stronę, skąd nadciągał pożar, dym tak zasłaniał widok, że Matthew nie mógł nic zobaczyć. Wiedział, że ogień musi być blisko.

- Nie możesz tu zostać, Walter! Czy poczyniłeś jakieś przygotowania, żeby opuścić Singapur?

1 Przymuszczam, że tak jak inni chcesz, abym stąd wyszedł i pozwolił wam spalić magazyn? - rzekł Walter ponuro.

- Absurd. On spłonie bez naszej pomocy. W każdym razie my próbujemy gasić pożary, a nie wzniecać. - Umilkł zauważywszy dopiero teraz oplakany wygląd Waltera. Czyste ubranie, które włożył poprzedniego wieczora, było już pokryte warstwą kurzu. Kurz okrywał nawet jego włosy. Powieki miał czerwone i opuchnięte, zapewne od ukąszeń owadów. Oczy wciąż wędrowały niespokojnie z miejsca na miejsce, unikając spotkania ze wzrokiem Matthew.

- Ciesz się, że twój ojciec nie dożył tej chwili - rzekł z rezygnacją. Po chwili milczenia dodał z westchnieniem: - Był tu wczoraj jakiś dureń, wojskowy... Wiesz, co mi powiedział?

- Co?

| To ci powiem. Miał czelność powiedzieć, że każemy żołnierzom się bić, a sami myślimy tylko o tym, żeby się obłowić! I co ty na to? Twierdził, że cywile próbowali odwieść jego oddział od demolowania wytyczonych obiektów... Powiedział...

- Ale to prawda, Walter. To się zdarzało... Słuchaj, musimy już iść. Porozmawiamy o tym innym razem. - Matthew wstał i znów wyjrzał niespokojnie przez okno. Tym razem zobaczył przemykającą obok chmurę jasnych iskier. - Nie masz żadnego sposobu wydostania się z Singapuru? Bo już niedługo zdołamy się utrzymać.

- Prawdę mówiąc mam - rzekł Walter chichocząc ponuro. - Moi znajomi od interesów pragną, abym skorzystał z miejsca na ich jachcie. Która godzina? Mówili, że odpływają dziś wieczorem z basenu Telok Ayer. Uważam, że powinieneś też jechać. Nie odmówiliby miejsca człowiekowi o nazwisku Webb, choćby mieli kogoś wyrzucić za burtę! -1 Walter nagle wybuchnął śmiechem, który się poniósł wysoko aż do krokwi ponad nimi. Rząd nietoperzy spał jednak dalej niezmaconym snem.

| Ostatecznie - rzekł wkrótce idąc za tokiem własnych myśli - wojna jest tylko fazą przejściową w życiu handlowym... Nie, to Lever z firmy

Bracia Lever tak powiedział, nie ja! Tak, wydaje się, że w czasie pierwszej wojny światowej pragnął dalej sprzedawać Niemcom swoje... jak on je nazywał? Słoneczne Mydło... Narobił nie lada wrzawy, kiedy mu nie pozwolono. Twierdził, że im więcej mydła produkuje, tym więcej jest gliceryny do produkcji amunicji... co jest całkiem słuszne, gdy się nad tym zastanowić. Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, nie tak nie zaślepią ludzi, jak odrobina patriotyzmu. A teraz zrobiliby znacznie lepiej, gdyby zostawili pewne sprawy w Singapurze własnemu biegowi... Niechby zniszczyli sobie paliwo, które jest tak bardzo potrzebne Japończykom, ja wcale nie jestem za tym, aby przeszkadzać brygadom likwidacyjnym, gdy postępują rozsądnie... Ale z tymi ludźmi nie można rozmawiać. Nie można powiedzieć, słuchajcie, porozmawiamy rozsądnie! Zaraz pękają z patriotycznego oburzenia. Nie chcą wierzyć, że z czasem, może za parę miesięcy, dojdziemy do porozumienia z Japończykami i wszystko będzie jak dawniej... A dlaczego? Bo kupa obłudnych durniów chce zniszczyć nasze inwestycje... i będziemy musieli zaczynać od początku!

- Walter! - wykrzyknął Matthew wstając w podnieceniu. - To nie kupa durniów niszczy twoje inwestycje, tylko te cholerne japońskie bombowce! O Boże! Spójrz...

Chwilowa zmiana kierunku wiatru odsunęła płachtę dymu z rzeki niczym plaster z rany. Rząd płonących magazynów mierzył ku ich oknu niczym ognista strzała, której grot utkwił w palące się szopie tuż pod nimi. Nie to jednak, ale sama rzeka wywołała przerażenie Matthew, przedstawiała bowiem jedną płachtę ognia, od brzegu do brzegu. Płonąca ropa, która wpłynęła do koryta rzeki wraz z wodami przypływu, objęła małe drewniane łodzie stojące tam tak gęsto, że zajmowały prawie całe jej koryto, pozostawiając zaledwie wąski przesmyk w środku. Rozdmuchany powiewem od morza ogień pożarł prawie wszystko wzdłuż zagiętego w łuk biegu rzeki, minął inny pożar przy Ord Road, przeszedł pod mostem Pulo Saigon i dotarł niemal do Robertson Quay.

Matthew odwrócił się od okna, wstrząśnięty, żywiąc nadzieję, że Adamson zdołał ewakuować te tysiące chińskich rodzin, które mieszkały na rzece. Walter podszedł do niego do okna i patrzył na tego lśniącego smoka wijącego się aż po most Andersona.

- Straszne! Straszne! - wymamrotał i odwrócił się. - Ale posłuchaj - ciągnął dalej po chwili - zapominasz o tej ogromnej odpowiedzialności, jaka ciąży na barkach biznesmena...

P Och, Walter, daj spokój, nie teraz. Musimy już iść. - Matthew po- I ciągnął nosem pewien, że widzi dym unoszący się między belami kauczuku. Jeden ze śpiących nietoperzy poruszył się niespokojnie. Lecz Walter opadł ciężko z powrotem na krzesło.

- Pewnie sądzisz, że odpowiedzialność wobec akcjonariuszy nie jest ważna, ale zapewniam cię... Pomyśl o biednej wdowie, duchownym, starej pannie, która złożyła swoje oszczędności w twoje ręce i której życie może zależeć od tego, jak pokierujesz interesami. Zapewniam cię, Matthew, że sądziłbyś inaczej, gdyby od ciebie zależał dobrobyt innych, i do tego słabych ludzi. W dawnych czasach my z twoim ojcem pracowaliśmy często długo w noc, kiedy wszyscy inni już... Tak, czasami nawet zasypiałem przy tym właśnie biurku z wyczerpania... A co mną powodowało? Po prostu strach, że firma, z którą wielu ludzi związało swój los, może zaprzepaścić ich dywidendy! Tak, śmieję się ze mnie, jeśli chcesz. Nie dbam o to.

- Ja się wcale nie śmieję, Walter. Naprawdę! Chcę tylko, abyśmy stąd wyszli, nim będzie za późno. Możemy mieć odciętą drogę.

Walter znów go zignorował.

- No, ale myślę, że wtedy świat był inny. Duch czasów był inny niż teraz. A w każdym razie Singapur był zupełnie inny, możesz mi wierzyć! Nie mieliśmy tych wygod, kiedy byłem chłopcem, jakich teraz każdy oczekuje. Nie uwierzysz, ale nie mieliśmy nawet w kranach zdanej do picia wody... W tamtych czasach, kiedy jeszcze żyła moja droga matka, zawsze przepuszczała wodę przez muślinowy filtr... teraz się już ich nie widuje, ale wtedy... A czy mieliśmy te piękne drogi i studzienki burzowe i temu podobne rzeczy? Oczywiście, że nie. Musieliśmy radzić sobie z monsunami, jak umieliśmy. Czasami można się było poruszać jedynie łodziami. Nie tak jak dziś, że spada deszcz i za kilka chwil nie ma po nim śladu.

- Walter, słychać z dołu trzaski... Słuchaj! Walter pokiwał głową ze smutkiem.

- To była dla nas, dzieci, świetna zabawa. O tak, uważaliśmy za wielką frajdę to przejście z rikszy na łódź. Co wcale nie znaczy, że riksze nie sprawiały nam przyjemności. Każdy z nas, chłopaków, miał riksę i własnego kulisa. Tak. Ścigaliśmy się na tych riksach i było wspaniale. Tak... Wspaniale! Wspaniale!

Matthew rozgarnął ręką dym, żeby lepiej widzieć Waltera. Potem zdjął okulary, przetarł je brudną chusteczką i włożył z powrotem na

piekące oczy. Masywna głowa Waltera była pochylona, jakby spal. Za chwilę ją uniósł i rzekł:

- Ale byli także wobec nas surowi. Nie jak twój ojciec z tymi nowomodnymi ideami. Chłopcy i dziewczęta spleceni z sobą w kąpielni jak kłębowisko węży! I to teraz nazywa się wychowaniem! A potem ludzie zastanawiają się, czemu ich dzieci zeszyły na złą drogę. Ja tam nie wiem. Kiedy my jako dzieci jedliśmy podwieczorek, zawsze czuwał przy nas chiński boy. I na dodatek musieliśmy być przyzwoicie ubrani. Ach, jak dziewczęta nie lubiły nosić pończoch w tym upale! Ale musiały, nie tak jak dziś, kiedy biegają prawie nago. A jak się coś niestosownego powiedziało czy zrobiło, zaraz się dostawało od boya po łapach!

- Walter! - krzyknął Matthew, ale zaraz przerwał mu gwałtowny atak kaszlu. Nietoperze opuściły swoją krokiew i zaczęły krążyć pod dachem magazynu z nieprzyjemnym piskiem. Na Matthew ścierpła skóra, ale nie troszczył się o nietoperze.

- Tak, moją matkę zawsze otaczał krąg młodych ludzi... chłopaków, którzy przyjechali na Wschód i popadli w długi, tepe łby, wystawiając weksle. Matka zajmowała się nimi, jakby byli jej własnymi dziećmi. Pilnowała, żeby się dobrze odżywiali i nie wydawali wszystkich pieniędzy na alkohol. Zwykle mówiła: „Co by twoja matka w Anglii powiedziała, gdyby cię teraz mogła zobaczyć? Pomyśl, jaka by się czuła nieszczęśliwa!” Ach, oni ją uwielbiali. Wielu z nich w głębi duszy tęskniło za domem, ale nie przyznawali się do tego, bo uważali, że to niemęskie. Gotowi byli dla niej na wszystko.

Matthew znów pomachał ręką, żeby rozproszyć dym, który gęstniał pomiędzy nimi z minuty na minutę.

- Tak, tutaj rzeczywiście musiało być wtedy przyjemnie - zgodził się z westchnieniem.

W ciszy słychać było trzask drewna na dole. Walter chrząknął, a potem wstał nagle. Poruszył ręką, zaskoczony, w zadymionym powietrzu.

- Skąd wziął się ten dym? - zapytał z irytacją.

Tego popołudnia Matthew, major, pan Wu i Adamson poszli do kina. Ostatnia pompa oddziału straży z Mayfair zepsuła się koło Gazowni, a ciśnienie wody w całym mieście tak spadło na skutek pęknięć wodociągów, że już nie można było posługiwać się hydrantami. Wracając spod Gazowni mijali dwa kina sali ćwiczeń ochotników po odmorskiej stronie Beach Road. Ku swemu zdziwieniu stwierdzili, że jedno z tych kin, Alhambra, małe i na pierwszy rzut oka obskurne domiszcze, było wciąż otwarte i wyświetlało film pod tytułem „Dziewczyna od Ziegfelda”. Tak bardzo ich to zdziwiło, że zatrzymali się na krótką naradę. Czemu nie? Tylko na parę minut. Tak bardzo zatęsknili za normalnym życiem, że choćby jeden rzut oka na nie... choćby tylko przez kilka minut. Więc weszli do środka, a kiedy usiedli w ciemnościach, to zasypiali, to budzili się, obezwładnieni znużeniem i wygodą. Toteż trudno im było wyjść, kiedy już się znaleźli w środku.

Kronika filmowa, pogodna w tonie, ukazała kobiety w chustkach, które zgodnie ze wskazaniem Fyontu Krajowego zbierały garnki i patelnie, następnie demontowały żelazne płoty parków i ogrodów. Matthew uznał to za śmieszne i wzruszające i zdziwił się, gdy poczuł na policzkach łzy. Po kronice wyświetlano „Dziewczynę od Ziegfelda”. Zasnęła na kilka minut i kiedy się obudził, minęło trochę czasu, nim się zorientował, że film dotyczy losów kilku tancerzek rewiowych. Jedną z dziewcząt, którą grała Hedy Lamarr, była piękna, poważna i smutna. Jej mąż, skrzypek o dość wybuchowym charakterze, nie chciał, aby była tancerką rewiową.

- No więc, co mam robić? Zrezygnować z tej pracy? Ja wiem, że to dosyć głupi sposób zarabiania, ale, Franz, nam są potrzebne pieniądze!

- Czy wyobrażasz sobie, że mógłbym spokojnie patrzeć, jak pokazujesz się innym mężczyznom?

Matthew westchnął, głowa opadła mu na piersi i wydawało mu się, że zasnęła na chwilę. Kiedy się jednak obudził, ta sama rozmowa trwała dalej.

- Więc nigdy nie mieliśmy tego, co przypuszczałam - mówiła Hedy

Lamarr. - Wiary w siebie wzajem. Jeśli się ją ma, nie dba się o inne rzeczy. Nie wie się nawet, że się ich nie posiada.

- Dobra, weź tę pracę! Bądź sobie tancerką rewiową!

- Ależ, Franz!

Nad głowami publiczności, z której wicie osób miało na głowach hełmy rysujące się na tle migającego ekranu, zaryczał nisko lecący samolot. „Chyba przydałoby się włożyć na głowę blaszankę” - pomyślał major skierowując uwagę ponownie na ekran. Lecz nie włożył hełmu. Był nadto wrażliwy na zimną, raczej smutną urodę Hedy Lamarr. Nigdy nie potrafił się oprzeć tego rodzaju kobiecie - przypominała mu kogoś, kogo znał, och, ileż to lat temu... Ten melancholijny uśmiech. „Jak ona teraz wygląda?” - zastanawiał się. - Posunęła się, oczywiście. Czas płynie” - myślał ze smutkiem. Tak, Hedy Lamarr była w guście majora.

Teraz pokazano scenę z garderoby w dzień pierwszego występu.

- Zdenerwowana?

- Och, Jenny, ja... ja nawet nie mogę sobie uszminnować ust.

- Uspokój się, kochanie. Oni nie będą patrzyli na twoje usta. - Do garderoby wpadła bez tchu zwariowana Judy Garland. Dziewczęta szczebiotały z podnieceniem. Uciszył je mężczyzna, który powiedział:

- Słuchajcie, dzieci... mam wam do powiedzenia coś ważnego... Za kilka chwil wystąpicie w swoim pierwszym numerze. Wiecie, co to znaczy? To znaczy, że każda z was stanie się dziewczyną od Ziegfelda. To znaczy, że nagle otworzą się przed wami ogromne szanse, szanse waszego życia. I wszystkie pokusy...

- Och - westchnął Matthew drzemający z opuszczoną na pierś brodą - zaraz pójde szukać Very.

- Numer „Marzenie”. Miejsce dla numeru „Marzenie”.

- No, dobra, dziewczęta. Życzę powodzenia.

Zabrzmiała muzyka kiedy jej tony zaczęły narastać, zrzucona w pobliżu bomba wstrząsnęła budynkiem, aż z sufitu posypało się trochę tynku. W ciepłym mroku publiczność poruszyła się niespokojnie i kilka skulonych sylwetek przesunęło się pod snopem światła z projektora ku wyjściu.

Ale właśnie rozpoczął się „Marzeniowy” numer. Pulchny, przylizany tenor w obszernych pumpach śpiewał:

Wymarzyłem cię,

Nazbyt piękna jesteś, abyś mogła być realna.

Czy te oczy mogą być prawdziwe? Czy te usta mogą być prawdziwe?
| Czy ten uśmiech może być prawdziwy? Uczciwie i szczerze: Wymarzyłem cię,
Chciałem cię zabrać daleko od ludzi...

Matthew zasypiał, budził się, znowu zasypiał i znowu się budził. Nogi mu zeszywniały od długiego siedzenia w tej samej pozycji. Zapraǳął wyciągnąć się i zasnąć... na czystym prześcieradle, w poczuciu bezpieczeństwa. Pokaleczone szkłem dłonie zaczęły pulsować nieznośnie. Na ekranie jedna scena zastępowała drugą i już nie mógł się w nich połapać. Ekran nagle wypełnił się balonikami, spośród których wynurzyła się Judy Garland, ubrana na biało. Potem były dziewczęta tańczące na białych ruchomych łózkach, dziewczęta w białych futrach, dziewczęta z owczarkami. Potem akcja zaczęła nabierać takiego tempa, że Matthew przestał za nią nadążać, gdy Lana Turner porzuciła kierowcę ciężarówki dla starszego mężczyzny z angielskim akcentem, bywalca za kulisami, który zapraszał ją na kolację do francuskich restauracji, ofiarowywał klejnoty i futra. Człowiek ten trochę przypominał majora. Judy Garland tańczyła jak szalona i śpiewała:
Zwą ją z Trynidadu Minnie, I wszyscy mieliby smutne miny, Aj aj aj aj!
Gdyby z Trynidadu wyjechała Minnie.

Była w turbanie, miała trzy sznury dużych białych paciorków i suknię w paski, w której rozcięciu, z przodu, widać było chwilami jej dziecięco umięśnione nogi. Matthew dostrzegł coś niepokojącego w jej maniackalnej niewinności. Zasnął i znów się obudził.

Teraz na żaglu jachtu widać było cień pulchnego tenora. Kręcąc kołem sterowym śpiewał:
Pójdź, pójdź, gdzie księżyc świeci tak uroczo.
Wysoko na granatowym niebie.
Pójdź, gdzie wonna bryza pieści melodią upojną,
A moje serce szepce: „Kocham cię”.

Potem Hedy Lamarr, widoczna w zaparowanym lustrze, wchodziła do wanny, lecz Matthew już przestał cokolwiek rozumieć, a wszyscy jego koledzy spali - nawet major przegapił ten ważny moment. Raz po raz dziewczęta wbiegały i spływały ze lśniących schodów mając na perukach wymyślne konstrukcje z gwiazd, wypchanych papug, błyskotek, z całymi milami wlokącego się za nimi białego szyfonu... a na zewnątrz, niby tło dla muzyki filmu, trwał bezustanny łoskot dział. Dziewczęta teraz ukazały się ubrane wyłącznie w białe lśniące paciorki. Bez przerwy przesuwały się w górę i w dół schodów. Ich stroje stawały się coraz to wymyślniejsze. Jedna z dziewcząt miała uczepionego do piersi martwego łabędzia z szyją owiniętą wokół jej szyi. Lana Turner, schodząca z innych schodów, choć już nie tak pewnie jak przedtem, bo w międzyczasie sobie podpiła, potknęła się w końcu i padła bez czucia puszczając stadko wypchanych gołębi, które niosła.

- Jak można sobie tak popsuć karierę? i dziwiła się jedna z dziewcząt.

- Muszę iść szukać Very - szepnął Matthew do majora. Lecz major spał. Matthew nie budził go, tylko ruszył na zeszywniałych nogach do wyjścia. Stał w nim przez chwilę czekając w oszołomieniu, aż błyszcząca schody znikną zastąpione widokiem kilku płonących samochodów na parkingu o kilkaset kroków dalej.

Chociaż Matthew nie miał pojęcia, gdzie szukać Very, wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że prędzej czy później ją znajdzie. Ostatecznie bowiem przestrzeń, na której mogliby się nie spotkać, kurczyła się gwałtownie. Byli jak dwie ryby schwyte w ogromną sieć - w miarę jak sieć się zaciskała, zbliżali się w sposób nieunikniony ku sobie. Trudność polegała na tym, że w tę samą sieć zostało schwytych ponad milion osób i teraz wszyscy byli razem zbici niby śledzie rzucone w wielkiej lśniącej sieci na brzeg... jak tu dostrzec jednego śledzia wśród tylu innych. Stwierdziwszy, że właśnie stoi przed hotelem Rafflesa, wszedł i zatelefonował do Mayfair. Lecz Vera jeszcze nie powróciła i nikt o niej nic nie wiedział.

W ciągu minionych kilku godzin uchodźcy zaczęli uciekać z zachodu na wschód przez miasto, ponieważ Japończycy napierali na peryferie Tanglinu, a od strony Pasir Panjang ku cegielniom, na Alexandra Barracks i fabrykę herbatników. Gdy walki jeły się przybliżyć, dzielnice azjatyckie opustoszały i ludzie umykali w kierunku dróg Changi i Se-

rangoon, dźwigając z sobą, co zdołali unieść, płynąc wielką zanikającą falą, która odbita niebawem wracała z mniejszym impetem.

Matthew dał się ponieść tej fali uciekinierów płynącej od strony pa- dangu i katedry. Nie miał pojęcia, która może być godzina, bo jego zegarek stanął... Kiedy był w kinie, zapadł zmrok, i już nie rozróżniał rysów twarzy mijanych na ulicach ludzi... pełnych napięcia, nieodgadnio- nych, orientalnych twarzy, mężczyzn i kobiet niosących kołyszące się na drągach w takt marszu tobołki. Matthew było ich żal. Cóż oni mieli wspólnego z tą wojną, która się wylęła o setki mil stąd, w Genewie!

Szedł ciężko, ze zmęczenia nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. W pokaleczonych dłoniach krew ciągle pulsowała, ale to pulsowanie było jakieś odległe, jakby dłonie już do niego nie należały. Wkrótce dotarł do miejsca, w którym asfaltowa nawierzchnia, roztopiona w dziennym upale, zapaliła się od bomby i płonęła pomarańczowym ogniem. Przeszedł obok spiesznie, świadom, że ogień ten tworzy palmę blasku, która ściąga samoloty czające się na czarnym niebie. Widział też ślady grabieży - piaszczyste kopce, które napotykał na swej drodze, okazały się cukrem wyniesionym z pobliskiego sklepu. Widział mężczyzn i chłopców wpełzających i wypełzających z rozbitych okien wystawowych, a jakaś ciemna postać z rikszą pełną butelek zaproponowała mu butelkę koniaku za dolara. Z pół mili dalej natknął się na dwu- dziestopięciofuntowe działo polowe, które ugrzęzło w kolosalnym korku ulicznym przy rozwidleniu dróg. Nieco dalej stały inne działa i dochodziły stamtąd przekleństwa. Na kole jednej z dwudziestopięciofun- tówek siedział młody oficer.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie jesteśmy? - zapytał ujrawszy Matthew. - Całe popołudnie kierowaliśmy ogień według współrzędnych zaznaczonych na mapach, które dostaliśmy z brygady Sherwood Fore- sters, ale Japończycy przyłożyli z moździerza w wóz operacyjny i nasze mapy diabli wzięli.

- Zdaje się, że jesteśmy na Serangoon Road - rzekł Matthew. - Jak skróćcie w lewo, dojedziecie do Woodleigh, ale nie wiem, dokąd prowadzi ta tutaj droga.

- Usiłujemy przedostać się do Kallang.

- Kallang powinien być gdzieś tam - tłumaczył Matthew niejasno, wskazując w ciemność pulsującą ręką. - Te błyski to pewnie artyleria przeciwlotnicza na lotnisku. Ale żeby się tam dostać, musicie wrócić do miasta. Chyba nie ma żadnej drogi na przelaj. Czy Japończycy są tu gdzieś blisko?

- Nie mam pojęcia, chłopie. Prawdę mówiąc wątpię, czy poznałbym Japończyka, gdybym go spotkał. Jestem tu dopiero od tygodnia. Pewnie znajdziesz ich, jeśli pójdziesz dalej tą drogą. Dziękuję ci bardzo.

Matthew poszedł dalej w mrok. Teraz napotkał uchodźców ciągnących sznurem z przeciwnej strony. Ledwie ich dostrzegał, kiedy go mijali z tobołkami, jedni wlokąc za sobą wózki, inni prowadząc potwornie obciążone rowery. Przeszła grupa żołnierzy z karabinami-Matthew krew załomotała w skroniach na myśl, że to może być patrol japoński. Domy już się skończyły: powstała chwilowa przerwa w ruchu na drodze i słyszał huk dział na mile dokoła. Zastanawiał się, czy nie byłoby mądrze wyciągnąć się gdzieś przy drodze i pospać, ale szedł dalej. Chciało mu się bardzo pić i idąc rozmyślał tępo o chłodnej wodzie. W końcu nie mógł już iść dalej - nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przy drodze stał porzucony samochód. Matthew wpełzł do niego i natychmiast zasnął, zakrywając rękoma twarz przed moskitami. Spał, a wokół niego toczyła się bitwa o Singapur.

Świtało, gdy Matthew się obudził. Otaczający go krajobraz był spowity szarym, ponurym światłem, które mu przypominało zimę w Anglii... z tą różnicą, że było strasznie gorąco. Gdy spał, o parę kroków od niego, w cieniu kilku starych, wyeksploatowanych drzew kauczukowych, zaparkowała ciężarówka. Obok ciężarówki siedział oficer brytyjski i kapral australijski popijając na zmianę z manierki obciążonej materiałem koloru khaki. Po przebudzeniu pragnienie Matthew odżyło ze straszliwą i zdumiewającą mocą, toteż nie mógł oderwać wzroku od manierki. Kapral zauważył to i rzekł:

- Wyglądasz, jakby ci się chciało pić. Chodź i pociągnij łyk na śniadanie.

Matthew wziął manierkę z wodą i zaczął pić. Był tak spragniony, że musiał użyć całej siły woli, żeby ją zwrócić, zanim ją opróżni. Oficer nazywał się Williams.

- Paskudnie wyglądasz, stary - rzekł. - Co ci się stało w ręce? - Matthew wyjaśnił. Williams pokiwał głową ze współczuciem i powiedział: - Chodź z nami, to ci je opatrzymy.

Wsiadli do kabiny ciężarówki i ruszyli. Major Williams dowodził mieszaną baterią 3,7-calowych ciężkich dział przeciwlotniczych i 40 mm Boforsów na lotnisku w Kallang. Powiedział, że wreszcie japońskie samoloty latają dostatecznie nisko, aby mogły je objąć swoim zasięgiem Boforsy. Do tego tygodnia tylko 3,7-calowe działa mogły być dla nich groźne.

1 Straciliśmy jednak kilku ludzi w jednym tylko wczorajszym nalocie. Co wcale nie znaczy, że na lotnisku pozostał choćby jeden nasz samolot. Nie wiem, czemu ci Japończycy zawracają sobie tym lotniskiem głowę. - Jechali pewien czas w milczeniu i Matthew zaczął znów odczuwać pragnienie.

- To wszystko według mnie nie ma żadnego sensu - rzekł po chwili Williams wskazując ulice zawałone gruzem. - Przed wojną pracowałem w towarzystwie ubezpieczeniowym.

Ledwie dojechali do lotniska, zaczęły wyć syreny. Kapral, który się dział za kierownicą, skręcił szybko w jedną z dróg dostawczych i zahamował o jakieś pięćdziesiąt kroków od najbliższego stanowiska ogniowego. Wszyscy trzej pobiegli co sił w nogach, żeby się ukryć.

- Wieziemy tą ciężarówką amunicję - rzekł kapral, gdy przestał dyszeć. - Kiepsko by z nami było, gdyby w nią trafili, kiedyśmy w niej siedzieli.

Teraz wokół lotniska zaczęły grzmieć działa. Zbliżał się dywizjon japońskich bombowców. Nie był to nalot dywanowy na dużej wysokości. Samoloty leciały nisko i rozłączyły się przed lotniskiem na klucze, aby zmylić artylerię. Na obłożonym workami z piaskiem stanowisku, gdzie znalazł się Matthew, powstał piekielny ruch. Nie miał pojęcia, co się dzieje, i trzymał się z boku, aby nie wchodzić w drogę pracującej jak szalona obsłudze dział. Patrzył z podziwem na majaczące nad nim wielkie 3,7-calowe działa, na jego dwa olbrzymie ogumione koła, które odrywając się od ziemi nadawały mu wygląd jakiegoś wierzgającego przedpotopowego potwora. Tymczasem odczytywano na przeliczniku odległość, przynoszono pociski, nastawiano ich zapalniki i układano na podajniku. W niewielkiej odległości po obu stronach stanowiska rozległo się straszliwe wycie i trzaski, kiedy Boforsy zaczęły pruć w niebo swoimi małymi pociskami z zapalnikami uderzeniowymi z częstotliwością dwóch na sekundę. Do tego wycia i trzasku dochodził potężny huk ciężkich dział i wybuchy bomb, od których ziemia drżała pod nogami Matthew.

Matthew nigdy dotąd nie widział strzelającego działą z tak bliska i opanował go entuzjazm.

- O, tutaj leci, strąćcie go! - krzyczał pokazując samolot palcem, a nawet wspinając się w podnieceniu na worki z piaskiem. - Tutaj! - Ale żołnierze nie zwracali na niego uwagi. Pracowali z ponurymi minami, prawie nie patrząc w niebo. Pracowali jakby w otępieniu, automatycznie. Ich dłonie były pokryte pęcherzami, a nierzadko tak pokaleczone jak u Matthew. Byli złani potem. Czasem chwiali się pod ciężarem pocisków, kiedy je podawali.

„Jacyż to wspaniali ludzie” - myślał Matthew, krzycząc i dopingując ich niby załogę łodzi wyścigowej.

Lecz teraz inny bombowiec nadlatywał ku nim z warkotem znad płyty lotniska, leciał bardzo nisko, na wysokości kilkuset stóp, od strony rzeki. Matthew znów wyskoczył na parapet z worków z piaskiem i wyciągnął w jego stronę rękę, półprzytomny z podniecenia, bo artylerzyści - ci najwidoczniej go nie zauważyli. Nadal strzelali, ale nie do tego, który

Iprzesuwał się prowokująco niemal u wylotu ich lufy, tylko do innego unoszącego się całe mile nad nimi i ledwie widocznego nad baldachimem dymu i chmur. Matthew, który nie wiedział, że ogromne 3,7-calowe działo jest bezużyteczne wobec lecących nisko samolotów, bo jest za wolne (potrzebne było szybkoobrotowe i szybkostrzelne, jak Bofors, istny karabin maszynowy), skakał jak oparzony.

- Patrzcie na ten! - darł się bez opamiętania i pokazywał bombowiec nadlatujący ku nim równo i groźnie, tuż nad dachami drewnianych chat po drugiej stronie lotniska.

- Ognia! - wył Matthew machając rękami. - Bo ucieknie! O, Boże! Szybko! - Ale żołnierze nadal obsługiwali działo nie spokojnie, o nie, tylko jednostajnie, z zacięciem, i działo wciąż dawało ognia w ten drugi samolot, odległy może cztery mile od nich i już nawet niewidoczny za zasłoną dymu.

- Czyżby byli głusi? - jęknął Matthew patrząc zdać by się mogło prosto w oczy pilota nadlatującego bombowca i doszedł do wniosku, że bardzo możliwe, iż są głusi, bo stoją przy tych działach cały dzień. „To może być niebezpieczne”-pomyślał zeskakując z parapetu. Był jednak tak podniecony, że zaraz znów wyskoczył, żeby zobaczyć, jak Boforsy po obu stronach strzelają przez otwarte celowniki do samolotu, który był teraz zaledwie o jakieś sto jardów. Przez parę sekund dwie strugi pocisków tworzyły dwa boki trójkąta, którego wierzchołek stanowił samolot. Szklana pokrywa kabiny nagle znikła, jakby wyparowała. Matthew skurczył się mimo woli. Okrył go nagle ciemny cień, jak pokrywa garnka. Poczul straszliwe uderzenie powietrza i drzenie ziemi w zupełnej, jak się zdawało, ciszy.

Matthew znów wyskoczył na parapet, żeby zobaczyć przez dym, jak bombowiec odlatuje spokojnie ponad płaskim, bagnistym terenem w stronę Geylang, lecz bardzo powoli... i nagle jakby potyka się o jakąś przeszkodę, a potem wali na ziemię eksplodując. Następnie przemienia się w kilka niezależnych kul ognia, które jasno płoną i pozostawiając za sobą główną część kadłuba ścigają się z sobą po płaskim terenie. Nawet ten ogromny huk, jaki temu towarzyszył, ledwie dotarł do uszu Matthew. Obsada 3,7-calówki przestała strzelać. Żołnierze uśmiechali się, poruszali ustami i wymachiwali pięściami. Matthew przełknął ślinę i nagle zaczął znowu słyszeć. I on też zaczął wiwatować. Wszystkie działa wokół nich na chwilę umilkły. Wrócił Williams, który wysłał jednego ze swych ludzi po opatrunek dla Matthew.

- Cieszę się, że zestrzeliliśmy jeszcze jeden przed poddaniem się - zauważył.

- Co to znaczy „przed poddaniem się*”? - zapytał Matthew. Czuł się teraz zdeglustowany sobą, że go tak uradowała śmierć załogi bombowca japońskiego. Choć ta załoga przypuszczalnie pragnęła zabić jego i jego towarzyszy, nie wydawało mu się właściwe, aby pozwalać sobie na taki przejaw własnych uczuć.

- Krąży pogłoska, że mamy w ciągu dnia kapitulować. - Williams wzruszył ramionami. - Tak czy owak niewiele dłużej może to już potrwać. Kilku z nas myśli o próbie przedostania się na Sumatrę, kiedy ogłoszą oficjalnie kapitulację. Mamy łódź motorową koło klubu pływackiego po drugiej stronie lotniska. - Spojrzał na Matthew współczująco. — Znalazłoby się miejsce i dla ciebie, gdybyś chciał.

- A mógłbym zabrać z sobą młodą Chinę? Ona jest na czarnej liście Japończyków.

Williams skinął głową.

- Może być ciasno. Jeśli kapitulacja nastąpi dzisiaj, wypływamy zaraz po dziewiątej. Jeżeli nie, to jutro.

- Może nie zdołam odnaleźć jej w porę, ale spróbuję. Nie czekajcie na mnie, jeśli mnie nie będzie.

Matthew wyruszył ku centrum miasta, lecz zaraz po wyjściu za bramę lotniska wziął go do furgonetki milkliwy Szkot. Zaledwie jednak samochód ruszył, usłyszeli nad głowami ryk silnika samolotu i nawierzchnię drogi zryły kule. W chwilę później samolot, japoński Zero, wyprzedził ich, wzbił się w górę i zaczął zawracać. Kierowca przyspieszył i furgonetkę zaczęło zarzucać na obie strony. Matthew wychylił głowę przez okno śledząc drogę samolotu, który zatoczył półkole i znalazł się za nimi.

- Do licha! Wraca.

Furgonetka zatrzymała się z piskiem opon przy moście Kallang, obracając się na jezdni tak, że stanęła w poprzek drogi. Kierowca i Matthew wyskoczyli z kabiny. Matthew schronił się w drzwiach opuszczonego sklepu i osunął się na ziemię oparty plecami o ścianę, czując się chory i wyczerpany. Zero powrócił. Rozległ się grzechot karabinu maszynowego i samolot znów poderwał się do góry. Potem na chwilę zapanowała cisza. Nic się nie poruszało ani na drodze, ani na moście. Po młodym Szkocie nie pozostało ani śladu. Matthew siedział dalej patrząc na budynki po drugiej stronie drogi.

Nad kanałem stała fabryka Firestone'a - długi, kremowy budynek murowany z zielonymi oknami, nieco przypominający kino, być może dlatego, że miał na fasadzie wypisane czerwonymi gotyckimi literami nazwisko „Firestone”. Matthew przypomniał sobie, że Monty mu go pokazywał w pierwszy wieczór pobytu. Odbywał się tam jakiś strajk. Nieco dalej, wciśnięta między zbiornik gazu Towarzystwa Gazowego a Nanyang Lights Company, stała dziwaczna mała świątynia. Jej zewnętrzna ściana była pomalowana w czerwono-białe pasy, a podtrzymywały ją dziwne rzeźby pomalowane na srebrno: pulchny srebrny guru, który trzymał uniesione w górę trzy palce i spoglądał z samozadowoleniem na Matthew, obok guru odpoczywały trzy srebrne kruki, głowy słonia podierały słupki bramy, a na łuku ponad nimi siedziała na kwiecie lotosu jakaś przypominająca Buddę postać, której salutowały trąbami dwa słoniątka. Za słoniątkami, o dziwo, grały na skrzypcach i trąbach dwa skrzydlate anioły. Dalej, na samym dachu, jakiś bożek o głowie słonia jechał na krowie, a kobra na pawiu. Przed świątynią, niby złożony w ofierze, leżał w rynsztoku martwy człowiek pod brzęczącym, rojącym się czarnym całunem.

„Muszę, choćby nie wiadomo co, dostać się z Verą na tę łódź dziś wieczorem” - myślał pragnąc znaleźć się w kraju i zapomnieć o tych wszystkich okrutnych widokach. Dźwignął się z wielkim wysiłkiem na nogi i poszedł szukać młodego Szkota, dowiedzieć się, czemu nie wrócił do furgonetki.

Ostatnia linia, z której można by jeszcze skutecznie bronić Singapuru, została utracona, lecz miasto nadal się nie poddawało.

Poprzedniego dnia, 14 lutego, w sobotę, generał Percival stanął wreszcie przed problemem, którego obawiał się od tygodni - jak długo można walczyć. Woda była na wyczerpaniu. Na wyższe tereny już nie docierała. Brakowało zwłaszcza pitnej. Ze względu na uszkodzenia głównych rur wodociągowych wszędzie szalały pożary. Generał Percival dwa razy odwiedzał generała Simsona w Urzędzie Miejskim, aby zapoznać się ze stanem zaopatrzenia miasta w wodę poprzedniego dnia. Stwierdził, że dwie trzecie pompowanej wody się marnuje i sytuacja się pogarsza.

Była to wyraźnie sprawa do przedyskutowania z gubernatorem, który przeniósł się ze swojej zbombardowanej rezydencji do Klubu Singapurskiego. To spotkanie z gubernatorem wywarło na Percivalu przygnębiające wrażenie. Sir Shenton Thomas obawiał się wybuchu poważnej epidemii w mieście. Czemu więc Percival wciąż wahał się z kapitulacją? Bo Wavell, z powrotem na Jawie, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że powinien walczyć jak najdłużej, jeżeli zajdzie potrzeba nawet na ulicach miasta. Za tą niechęcią Wavella do kapitulacji kryło się niewątpliwie zdanie samego Churchilla. Z drugiej strony, kapitulacja była jedynym sposobem uchronienia ludności cywilnej przed ogromną klęską, jaką byłby wybuch epidemii lub dalsze walki.

Konieczność działania z impulsywnego rozkazu kogoś, kto w sytuacji wyjątkowo trudnej nie wie, o czym mówi, bardzo przygnębia. Percival, żołnierz ogromnie lojalny, był dostatecznie rozsądny, aby nie dać się opanować myśli, że Churchill, usiłujący mu mówić z odległości kilku tysięcy mil, co najlepsze, jest zwykłym durniem, który na dodatek narobił już dość głupstw, o ile chodzi o kampanię na Malajach. Lecz ledwie Percival odegnał tę nielojalną myśl, musiał zaraz odpędzić od siebie inne, jeszcze bardziej okrutne przekonanie, a mianowicie, że siedzący naprzeciwko niego gubernator jest nierealny. W dodatku nie tylko on cierpiał na tę ułomność, ale i jego żona, a także jego współpracownicy

liwogóle wszyscy w Klubie Singapurskim, i również poza nim. Na Percivala bowiem spłynęło nagłe olśnienie, iż padł ofiarą okrutnej i zawiłej szarady: że gdy tylko rozstanie się z gubernatorem, człowiek ten przestanie istnieć. Percival potarł dłonią czoło i spróbował zebrać myśli. Czy to możliwe, że Churchill, Wavell, Gordon Bennett, nawet jego własny sztab nie posiadają prawdziwej substancji, że są jedynie zjawami nasłanymi, aby go wypróbować i dręczyć, ludzako podobnymi do istot żywych, ale tak samo bez krwi i kości jak migotliwe postaci, które się widuje na ekranach kin? Tak, gdziekolwiek spojrzął, wszędzie wyrastały te zwodnicze obrazy, lecz gdy odwracał wzrok, ginęły. Jakież to dowód na to, że istniały, kiedy nie patrzył na nie? Wątpił nawet, czy gubernator, ufny, że godność jego urzędu powstrzyma Percivala od próby dotknięcia go palcem, zatroszczył się, by przybrać nie tylko wizualne, ale namacalne podobieństwo. Pewnie palec Percivala przeszyłby gubernatora na wskroś! Przez chwilę patrząc na gubernatora podejrzliwym okiem znad stolika, który ich rozdzielał, generał czuł nieprzepartą ochotę przeprowadzenia próby - schwycenia go za gardło. Opanował się jednak ogromnym wysiłkiem woli i mruknął:

i Póki jeszcze mamy wodę, musimy walczyć. To nasz obowiązek. - Lecz wciąż wpatrywał się w gubernatora, aż ten zaczął się wiercić niespokojnie.

„Co mu się stało?” jż zastanawiał się w duchu sir Shenton, gdy oczy Percivala, które nie wiadomo czemu zrobiły się niezwykle błyszczące, wwierały się w niego jak dwa świdy. „Żyje w okropnym napięciu, oczywiście. Ale nie on jeden”.

Gubernator odczuł ulgę, gdy Percival wreszcie wstał, żeby wyjść. Skorzystał jednak z okazji i poruszył raz jeszcze temat epidemii, której się obawiał, ale nie po to, aby przekonać Percivala o konieczności kapitulacji, lecz aby się upewnić, że nie będzie wątpliwości co do jego stanowiska, gdyby epidemia naprawdę wybuchła. Percival kiwnął głową, jakoś dziwnie oblizując usta, i spytał ni stąd, ni zowąd:

- Co pan teraz zrobi... gdy wyjdę z pokoju?

- Co? - Gubernator zaniemówił słysząc to pytanie, które wydało mu się bardzo dziwne, wręcz impertynenckie. Co może Percivala obchodzić, co on teraz będzie robił? A może... zaraz. Chwileczkę. Może Percival podejrzewa, że on zaraz wyśle telegram do Ministerstwa Spraw Kolonialnych i złoży całą odpowiedzialność za decyzję prowadzenia dalszej walki na wojsko? Odparł krótko, że musi teraz odwiedzić żonę,

która jest chora. Słyszając to Percival kiwnął głową, uśmiechnął się bezczelnie i tajemniczo, jakby chciał powiedzieć: „Aha, akurat!” - i wyszedł.

Mimo to gubernator nie przestawał zastanawiać się nad dziwnym zachowaniem Percivala, nawet gdy redagował telegram do Ministerstwa Spraw Kolonialnych, aby donieść, iż na przestrzeni trzech mil kwadratowych znalazło się obecnie ponad milion ludzi. „Na ulicach leży wiele trupów, których pochować nie sposób. Stoimy przed groźbą całkowitego braku wody, który musi wywołać zarazę. Uznałem za swój obowiązek zwrócić na to uwagę głównodowodzącego”. Gotowe. Zabezpieczywszy sobie w ten sposób flanki, gubernator poczuł się lepiej. Trudno jednak zaprzeczyć, że byli w opałach.

Tej nocy Percivalowi nie śniła się wojna, ale epidemia.

- Co twoja epidemia ma wspólnego ze mną? - pytał z oburzeniem.

Na co gubernator odparł:

- Jak sam nie rozumiesz, to nie będę ci tłumaczył. - Potem postać gubernatora się rozwiła i Percival spał spokojnie, póki wokół jego łóżka nie zgromadziła się grupka doradców wojskowych pod przewodnictwem Hamleya, autora książki Operacje wojenne, objaśnione i zilustrowane. Doradcy byli mniej pewni siebie niż poprzednich nocy, ale zalecili śmiało pociągnięcie - ten milion ludzi, który obecnie tłoczył się w Singapurze, winien uzbroić się w co kto znajdzie pod ręką i zaatakować równocześnie jeden punkt linii japońskich. Potem, rozprawiwszy się z tym punktem, zabrać się do następnego i znów następnego aż do ostatecznego rozgromienia Japończyków.

-r Ataku w sile miliona ludzi - oświadczył Hamley pompatycznie I nie można lekceważyć.

Zaczęło świtać, rozpoczynała się niedziela, złowrózba, nieznośnie upalna. Percival przystąpił do Komunii świętej i modlił się żarliwie I trudno mu było przełknąć Hostię, w ustach miał za sucho. Jednakże jego stan ducha nieco się poprawił. Tylko jeden raz, gdy kapelan patrzył na niego z zainteresowaniem i współczuciem, Percival jął się zastanawiać, czy ten duchowny posiada własny byt poza rolą statysty polegającą na nadawaniu pozorów rzeczywistości jego, Percivala, niedzielnym modłom. Przegnał jednak spiesznie tę myśl. Będzie miał jeszcze mnóstwo czasu na zastanawianie się nad istnieniem czy nieistnieniem innych ludzi. Kampania była na ukończeniu. Zwołał naradę wszystkich podległych sobie dowódców na godzinę

I dziewiątą trzydzieści rano. Generał Simson zameldował, że w ciągu dwudziestu czterech godzin skończy się prawdopodobnie zaopatrzenie w wodę. W świetle tego faktu istniały tylko dwie możliwości. Jedną z nich był kontratak i odzyskanie zbiorników wody i składów żywności w Bukit Timah. Drugą - kapitulacja.

Zgodzono się jednomyślnie, że z tych dwu możliwości tylko jedna jest realna. Narada zakończyła się po dwudziestu minutach i Percival zabrał się natychmiast do delikatnego i upokarzającego zadania wynegocjowania kapitulacji Singapuru. Dopiero jednak późnym popołudniem, po wielu trudnościach, Percival znalazł się w fabryce Forda, gdzie zasiadł naprzeciw dowódcy sił japońskich, generała Yamashity. Chociaż już wydano rozkaz zaprzestania ognia na godzinę czwartą po południu, zgodzono się, że wszelkie działania powinny oficjalnie ustać o ósmej trzydzieści wieczorem. Yamashita zgodził się, że jego trzy dywizje bojowe pozostaną poza granicami miasta tej nocy, aby zapobiec ekscesom i zakłóceniom porządku. W żadnym punkcie tego trudnego spotkania generał Yamashita nie wydał się Percivalowi ani odrobinę nierealny (jedynie Torrance, jego szef sztabu, który siedział po jego prawej ręce, chwilami przygasał jak światło elektryczne w czasie burzy z piorunami).

Niedziela ta była więc ostatnim dniem obrony Singapuru, ostatnim dniem wolności dla Brytyjczyków, którzy pozostali na wyspie... można by z pewnym wyprzedzeniem powiedzieć, że niemal ostatnim dniem Imperium Brytyjskiego w tej części świata. Minęło trochę czasu, nim wieść o bliskiej kapitulacji przesączyła się przez miasto, zwłaszcza że bombardowanie, ostrzał artyleryjski i kanonada trwały cały ranek i popołudnie. Matthew nie wiedział jeszcze nic, gdy w żarze południa szarpał się, żeby wciągnąć zwłoki młodego Szkota do furgonetki przy fabryce Firestone'a... prawdę mówiąc zdążył do tej pory stracić już rachubę dni i nie wiedział, że jest niedziela. Nie wiedział też o kapitulacji major, który po dosyć dziwnym posiłku złożonym z puszek sardynek i gruszek konserwowych, przeprowadzał spieszną aukcję reszty dziewcząt z Poh Leung Kuk w obecności garstki kandydatów na mężów, jakich dzięki pomocy pana Wu zdołał zgromadzić. Kandydaci byli apatyczni i nieswoi i licytacja postępowała wolno. Major pocieszał się jednak myślą, że w tych okolicznościach zdobycie jakichkolwiek mężów dla tych dziewcząt jest sukcesem. Jak te dziewczęta, które odrzucały jednego kandydata po drugim, będą radziły sobie w czasie nieuniknionej okupacji Singapuru? Podejrzał, że niektóre z nich przynajmniej, sądząc po umalowanych ustach i paznokciach, będą radziły sobie aż nadto do-

brze,
Matthew wiozł zwłoki młodego Szkota do Szpitala Ogólnego przy Outram Road. Wieki minęły, zanim wciągnął je do furgonetki (zwłoki są ciężkie, a Matthew był słaby), i zbliżała się druga, kiedy dojechał do wiodących w górę wzniesienia do głównego budynku był wykopany grób masowy. Porażony widokiem mnóstwa ciał leżących na trawniku i czekających na pochówek, Matthew podniósł głowę i zobaczył białą wieżę zegarową nad portykiem głównego budynku, z czterema czarnymi tarczami. Doznał niemal wstrząsu. Zegar wyglądał tak spokojnie, tkwiąc na swoim miejscu pod klasycznymi, opadającymi girlandami, gdy na ziemi odbywała się i panowała rzeź i gwałtowna śmierć. Druga godzina.

Dwie, trzy godziny minęły jak sen. W końcu umilkły działa i bomby przestały spadać na miasto. W Mayfair nie było Very. Matthew marzył, żeby się położyć i wyspać, ale musiał odnaleźć Verę, i to szybko, jeśli mieli uciec tej nocy. Nieco później, nie pamiętając, skąd się tam wziął, siedział w kucki i patrzył na ściankę kanału burzowego biegnącego wzdłuż Orchard Road. Część kanału zapadła się odsłaniając wielki klin z równiutko ułożonych różowych cegieł, jak ikra wypatroszonej ryby, a każda z tych cegieł miała na sobie odcisnięte słowo „Jurong”.

Jeszcze później minął doktora Brownleya pędzącego wzdłuż Battery Road w kierunku Whiteawayów - zawołał, lecz doktor nie zwrócił na niego uwagi. Oczy mu błyszczały, krew łomotała w skroniach, w krtani odczuwał bolesny skurcz radości. W uszach, zamiast pozdrowienia Matthew, słyszał niebiańską muzykę, a w kieszeni spoczywało 985 dolarów i 50 centów, które za chwilę miał wymienić na prawdziwy przedmiot swego pożądanego przedmiotu, który go przykuwał swym bazyliskowym spojrzeniem z okna wystawowego Whiteawayów, czymkolwiek był. Doktor Brownley pędził jak na spotkanie z ukochaną (lecz dajmy mu biec, bo któż z nas jest tak ubogi duchem, że nigdy nie doświadczył rozkoszy połączenia więzami własności z jakimś przedmiotem - J tem?).

Następnie Matthew, życzywszy doktorowi w duchu wszystkiego najlepszego, zatrzymał się przed katedrą i przyjrzał kupie mebli wyniesionych na zewnątrz. Ławki, zauważył, były wykonane z solidnego drewna jak w każdym angielskim kościele, ale z wyplatany z sitowia siedze-

(piał? i oparciami jako ustępstwo na rzecz tropików. W katedrze zaim- prowizowano szpital. Okiennice w bocznych ścianach katedry stały otworem i tak samo górne ich rzędy pod belkowanym stropem. Na brązowych kamiennych płytach podłogi, pod cicho obracającymi się wentylatorami, które zwisały ze wsporników wzdłuż nawy, leżeli ranni. Bliżej ołtarza klęczała modląc się grupa mężczyzn i kobiet, przy czym wielu mężczyzn było w mundurach. Z oddali scena ta, podobnie jak teren Szpitala Ogólnego, wydawała się stosunkowo spokojna. Matthew odniósł wrażenie, że widoczni tam ludzie nic nie znaczą wobec ogromu wznoszącej się nad nimi budowli. Wentylatory, obracające się jak śruby okrętowe pod mroczną wyniosłością sklepienia, wywoływały kojące złudzenie, że się jest pod wodą... Dopiero gdy się zwróciło baczniejszą uwagę na rannych na podłodze, człowiek zaczynał zdawać sobie sprawę, że i tu leżą pokiereszowani i umierający ludzie. Wstrząśnięty cofnął się zamierzając kontynuować swe poszukiwania gdzie indziej. Lecz nagle spostrzegł nie opodal Verę pracującą wśród pacjentów.

Vera zobaczyła go nieomal w tej samej chwili. Pobiegła ku niemu, ale zatrzymała się w pół drogi. Matthew początkowo myślał, że jest ubrana w biało-czerwoną suknię. Teraz zobaczył, że był to fartuch lekarski, poplamiony od góry do dołu krwią.

- Wiem - powiedziała zaraz. - Przebiorę się, jak tylko będę mogła. - Uśmiechnęła się do niego i nagle wybuchnęła płaczem.

Wyszli na chwilę na zewnątrz.

- Zauważyłaś coś dziwnego? - zapytał. - Nie ma wcale ptaków. Wszystkie uciekły. To dlatego wydaje się tak cicho.

- Powiedz, gdzie będziesz później. Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Muszę wracać.

- Przyjdę tu po ciebie zaraz po siódmej. Dziś wieczorem odpływa łódź motorowa, która może zabierze nas oboje.

Vera pożyczyła od niego chusteczkę, otarła oczy, uśmiechnęła się i pobiegła z powrotem do katedry. Matthew chwilę patrzył, jak chodzi od jednego pacjenta do drugiego.

Później, poleżawszy czas jakiś na trawniku katedralnym, wmieszał się w tłum krążący powoli po placu Rafflesa. Dziwna cisza zapadła wokół. Słychać w niej było chwilami wyraźniej trzask ognia z pobliskiej Battery Road lub Market Street. Ludzie wałęsali się przeważnie bez celu po sklepach, które były jeszcze otwarte, albo po prostu stali grupkami i rozmawiali. Wielu z nich miało walizki lub tobołki, widocznie byli uchodźcami z głębi łądu. Było też sporo smutnie wyglądających dzieci: niektóre z nich leżały na rozłożonych przez rodziców posłankach na ulicy lub w drzwiach domów. A przede wszystkim byli żołnierze - niektórzy z nich mimo niszczenia alkoholu pijani i wojowniczy.

U odległego krańca placu Rafflesa, przed Bankiem Handlowym, zebrał się gęsty tłum. Tam, pod potężną kamienną kolumnadą, ktoś coś wykrzykiwał. Matthew wpełchnął się w tłum, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nad imponującym wejściem do Banku Handlowego unosił się rzeźbiony w kamieniu płomień przypominający rożek z lodami. Nad nim dwie żłobkowane kamienne kolumny podtrzymywały jeszcze cztery kręcone rożki z lodami wstawione w miski. Pod tą majestatyczną fasadą obszarpany żołnierz brytyjski przemawiał do tłumu. Matthew wyczuł słuch, aby go usłyszeć.

- Brudna kapitalistyczna wojna! - krzyczał żołnierz. - Po cośmy się tu znaleźli? Słuchajcie, koledzy, co nas obchodzi ci Chińczycy? Niech sobie sami załatwiają swoje sprawy z tymi cholernymi Japończykami... Co my mamy z tym wspólnego? Powiem wam... To ci zachłanni paska- rze z Londynu nas w to wrobili...

Słowa te poparł pijacki wrzask żołnierzy stłoczonych przed krzykaczem. Były też i drwiny, i szyderczy śmiech. Matthew mruknął:

- Nie, to nie tak... — i spróbował precyzyjnie się przez tłum. Lecz teraz nagle tuż koło niego wybuchła bójka na kopniaki i pięści. Odepchnięto Matthew w tył i czyjś łokieć zdzielił go w twarz. Upadł i przez chwilę, oszołomiony, bał się, że tłum go strąca, nim zdąży wstać. Słyszał wciąż głos krzykacza, gdy podniósł się na nogi i przepychał prawą stroną, przy gmachu Meyera, mrużąc do siebie po drodze.

Wkrótce przepchał się pod kolumnadę i był tuż koło stolika, na którym stał żołnierz wciąż wykrzykujący przeciwko paskarzom i ich tubylczym stronnikom. W pewnej chwili jakiś pocisk, być może butelka ciś- nięta z tłumu, ugodził mówcę, który opadł na kolana, skulony jak dzikie zwierzę z krwią ciekącą ze skroni. Matthew widział błyszczące gwoździe na podeszwach jego butów. Potem ktoś pomógł mu zejść ze stołu i Matthew natychmiast wskoczył na jego miejsce unosząc do góry rękę i krzyżąc:

- Nie! Czy nie rozumiecie? Wcale nie musi tak być... Posłuchajcie, proszę! To tylko kwestia, jak będziemy siebie wzajem traktowali. Ludzie sądzą, że interes własny człowieka... Nie, chciałem powiedzieć... Chwilczkę! Wcale nie różnimy się między sobą! Nie musimy... tak, ja

w to wierzę i kiedyś tak będzie! Nie musimy... Będziemy żyli... - Próbował powiedzieć coś więcej, ale w tłumie rozległy się głośne drwiny i wrzaski i głos mu się załamał. - Och, czy nie rozumiecie, że to woda na ich młyn?... - mruknął patrząc na ujadający przed sobą tłum, aż w chwilę później nadleciała koziółkując butelka, która zadała mu paraliżujący cios w żebra. Łapiąc ustami powietrze zrobił krok w tył i wtedy jakaś dłoń schwyciła go mocno za ramię i ściągnęła ze stołu. Ujrzał przed sobą uśmiechniętą twarz Dupigny'ego.

- François - mruknął. - Co robisz...

jj Chcesz, żeby cię zabili? - zapytał Dupigny. - Teraz nie czas na takie bzdury.

W hotelu Adelphi koło katedry ktoś okazał się tak przewidujący, że napelnił kilka wanien, nim przerwano dopływ wody. Choć woda w wannach była już kilkakrotnie używana i miała ciemnoszary kolor, Matthew i Dupigny skorzystali z niej i poczuli się wyraźnie odświeżeni, gdy wyszli z hotelu w zapadający zmierzch i skierowali się na teren katedry. Dupigny zdecydował, iż nie będzie próbował ucieczki. Czuł się na to za stary, jak wyjaśnił ze wzruszeniem ramion, a poza tym „avec la Boche en France"... Chciał zostać i dotrzymać towarzystwa swojemu przyjacielowi majorowi w obozie dla internowanych, który z całą pewnością ich czeka. Zgodził się jednak odwiedzić Matthew i Verę na łódź koło Tanjong Rhu.

Wokół katedry zgromadził się o zmierzchu wielki tłum i Matthew znów się zaniepokoił, że nie zdoła znaleźć w nim Very. Odbywała się msza i ludzie stali w nabożnym milczeniu w kilku rzędach wokół świątyni, ponieważ już nie zmieścili się wewnątrz. Gdy Matthew i Dupigny przeszukiwali obrzeża tego tłumu, ludzie zaczęli śpiewać:

Błogosław, duszo moja, Pana i wszystko, co we mnie - święte imię Jego. Błogosław, duszo moja, Pana i nie zapominaj o wszystkich Jego dobrodziejstwach. On odpuszcza wszystkie twe winy, On wszystkie niemoce twe leczy...

Nagle z tłumu wysunęła się młoda kobieta i wzięła Matthew pod rękę. Była to Vera. Spojrzał na nią uśmiechając się z ulgą i przypomniał sobie, że tak samo podeszła do niego o zmierzchu w „Wielkim Świecie", kiedy ją pierwszy raz zobaczył.

- Chodźcie - rzekł Dupigny.

Zrobiło się bardzo ciemno, nim dojechali do lotniska. Zostawili samochód koło bramy, ponieważ zdecydowali, że aby nie zwracać na siebie uwagi, lepiej odbyć resztę drogi pieszo. Gdy weszli jednak na płytę

lotniska, wydało się, że jest jeszcze ciemniej i musieli posuwać się po omacku i z ogromną ostrożnością, aby ominąć leje po bombach i inne przeszkody. Ta wędrówka przez czerń nocy zdawała się trwać wieki. Raz dostrzegli niedaleko grupkę mężczyzn z silną latarką, idących także przez płytę lotniska. Skulili się i wstrzymali oddech, kiedy ci ludzie przechodzili rozmawiając między sobą. Nie można było zrozumieć, w jakim mówili języku. Skaczące światło latarki oddaliło się o paręset kroków, potem nagle zgasło. W chwilę później znów się zapaliło, nieco dalej, i przez moment oświetliło strzaskaną lunę działu przeciwlotniczego. Następnie zgasło ponownie. Matthew, Vera i Dupigny ruszyli w dalszą uciążliwą drogę. W końcu usłyszeli plusk wody i jakiś głos przemówił do nich cicho z mroku. Był to głos majora Williamsa.

- Cieszę się, że wreszcie jesteście. Są tu jeszcze jacyś inni ludzie, więc lepiej być cicho. Może to Japończycy albo inni uciekinierzy. Zdażyliście w samą porę, bo właśnie mieliśmy odpływać. Łódź jest tutaj.

Przed nimi zapaliło się na parę sekund przyćmione światło oświetlając trap. Matthew dostrzegł australijskiego kaprała, który był rano z Williamsem. Za nim majaczył na wodzie ledwie widoczny zarys łodzi.

- Chodźcie, im prędzej odbijemy, tym lepiej.

Matthew i Vera pożegnali się z Dupignym życząc sobie wzajem szczęścia. Uścisnęli dłonie. Matthew i Vera weszli po trapie, a za nimi Williams. Dupigny pozostał, aby odcumować łódź, i właśnie się schylał, żeby to zrobić, gdy z mroku padł silny snop światła i oświetlił najpierw szalupę, a potem zatrzymał się na Dupignym. Postaci na łodziach znieruchomiały. Australijski kapral, który trzymał latarkę, zaświecił ją. W jej blasku ukazała się grupa żołnierzy w obszarpanych mundurach i kapeluszach australijskich. Jeden z nich miał w rękę rewolwer, lekki karabin maszynowy. Było ich kilkunastu.

- Przykro nam, chłopaki, ale zabieramy łódź - rzekł mężczyzna oświetlający Dupigny'ego. - Wyskakiwać. Nikt się nie ruszył ani nie rzekł słowa. Jednakże Dupigny sięgnął po linę, by odcumować łódź. Padł strzał i Dupigny zaczął podskakiwać jak ranny ptak trzymając się za nogę.

- Poszukajcie sobie innej łodzi! - wrzasnął australijski kapral w przystępie wściekłości.

- Wyskakiwać! Ty też, mądrało.

592

- Obawiam się, że nic nie poradzimy - rzeki Williams. Wyszli po trapie jedno po drugim.

- A teraz jazda stąd i zabrać tego tutaj, zanim go załatwimy.

Podnieśli Dupigny'ego, który upadł i próbował wstać. Powiedział, że nie jest ciężko ranny, lecz Matthew i Williams wzięli go pod ramiona, aby mógł iść. Nogawka jego drelichowych spodni była cała przesiąknięta krwią. Nie mogąc słowa wydusić z siebie z wściekłością ruszyli z powrotem przez płytę lotniska w ciemność.

Gdzie indziej na wyspie inne grupy pragnące uciec gromadziły się w ciemnościach. Generał Gordon Bennett szukał w dokach łodzi, którą mógłby dopłynąć do Malakki, by tam z kolei znaleźć większą, zdolną zawieźć go do Australii, na wolność. Uznał, że lepiej nie mówić o tym projekcie głównodowodzącemu, i kazał będącym pod jego dowództwem wojskom australijskim pozostać na posterunku... ale, ale, gdzie ta cholerna łódź, której potrzebuje?

Tymczasem Walter szedł wzdłuż kei przy basenie Telok Ayer, gdzie czekał na niego i jego towarzysza, W.J. Bowsera-Barringtona, „Nigel”, piękny jacht motorowy. Nieszczęsny Bowser-Barrington został w tyle i ciężko dyszał pod owiniętym w brezent ciężarem, który dźwigał na swych barkach. Bowser-Barrington nie miał powodu do zadowolenia, chciał bowiem, aby to Walter dźwigał ów ciężar, jaki stanowiły doczesne szczątki prezesa, który choć nie był mężczyzną ciężkim, nie był również lekki. Walter jednakże stanowczo odmówił niesienia szczątków starego Solomona, a nawet ośmielił się wystąpić z radą, aby Bowser-Barrington cisnął swojego prezesa w jakąś dziurę. To naturalnie absolutnie nie wchodziło w rachubę.

„No cóż - myślał Bowser-Barrington z zakłopotaniem stąpając ciężko po kei za Walterem - jak tylko znajdziemy się na morzu, ja mu pokażę, kto tu szefem”. A może raczej... nie. Może należy przedyskutować tę sprawę z Radą Dyrektorów? Chyba lepiej poczekać z tym, aż znajdą się w Australii.

- Aaaach! - potknął się w ciemnościach i wydało mu się, że prezes rozmyślnie wbił mu ostre kolano w ucho. Lecz to, oczywiście, było wykluczone. - Gdzie jesteś, Walter? - zaskamlał w mrok. - Błagam cię, nie zostawiaj mnie samego!

593

Gdy Dupigny, którego rana okazała się na szczęście niezbyt poważna, został dowieziony do Mayfair, Matthew musiał się zastanowić, co teraz robić. Ponieważ do wejścia Japończyków zostało zaledwie kilka godzin, trzeba było jak najprędzej znaleźć takie miejsce, gdzie Vera mogłaby się ukryć. Najlepiej gdyby jakaś chińska rodzina zechciała ją wziąć do siebie, lecz ani Vera, ani Matthew nie znali takiej. Major powiedział, że powinni zapytać o to pana Wu. Ale pan Wu znikł. Albo udało mu się uciec wraz z zapadnięciem nocy, albo i on, jako były chiński oficer lotnictwa, postanowił się ukryć. Matthew i Vera stracili dwie cenne godziny na bezskuteczne poszukiwania pana Wu. W mieście panował tak straszny bałagan, że nikt o nikim nic nie wiedział. Gdy szli znów przez centrum miasta, Matthew patrzył z zazdrością na żołnierzy, którzy spali wyciągnięci na chodnikach. Teraz zarówno on jak Vera byli zbyt zmęczeni, aby móc myśleć konstruktywnie - po prostu błądzili bez celu, trzymając się za ręce, rozgoryczeni i zniechęceni nieudaną próbą ucieczki, i pragnęli już tylko spokoju.

W końcu zrozpaczeni poszli do domu czynszowego, w którym Vera przedtem mieszkała. Budynek był na wpół opuszczony i już nikt nie spał w nim na schodach i korytarzach. Najwidoczniej wielu mieszkańców domu przeniosło się do kampongów za miastem w obawie przed bombardowaniem i ostrzałem artyleryjskim. Klitka Very była nietknięta. Nikt tu niczego nie ruszył podczas jej nieobecności.

- Nie możesz tu zostać. Ktoś z sąsiadów doniesie o tobie prędzej czy później.

- A dokąd mam iść? - Vera dotknęła jego ramienia uspokajająco. - To prości ludzie. Oni nie wiedzą, co się stało w Szanghaju.

- Będą cię podejrzewali. Musieli cię widywać ze mną.

- Pomyśl tylko, że jestem prostytutką. Dla nich wszyscy Anglicy są tacy sami - uśmiechnęła się słabo. - Naprawdę dam sobie jakoś radę. Bywałam już w podobnych sytuacjach. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym nie mam wyboru. - Oparła głowę o jego ramię i chwilę siedziała w milczeniu, a potem powiedziała: - Musisz teraz iść, Matthew. Lepiej, żeby nas już nie widywano razem. Jak pójdziesz, obetnę sobie włosy i zdejmę to europejskie ubranie.

- Czy już nie mogę nic dla ciebie zrobić? Dam ci trochę pieniędzy, choć może na nic się nie zdadzą, gdy przyjdą Japończycy. Może najlepiej byłoby kupić jutro jakieś rzeczy, a potem wymieniać je na inne, kiedy już nasza waluta nie będzie tu miała wartości.

Vera kiwnęła głową i wzięła pieniądze. Zaczęła cicho płakać i powiedziała:

- Przepraszam, że się tak zachowuję. Jestem po prostu zmęczona. Jutro, jak się wyśpię, poczuję się lepiej.

- Spotkamy się jeszcze, prawda?

- Tak, kiedyś, na pewno - zgodziła się.

We wtorek, wczesnym popołudniem, poprowadzono wreszcie europejskich cywilów do Katongu, na pierwszy etap ich długiej podróży do changijskiego więzienia, gdzie mieli być internowani. Stali na padangu całe przedpołudnie w tropikalnym słońcu. Wielu z nich już chorowało pod wpływem upału, zmęczenia i pragnienia. Major i Matthew szli po obu bokach Dupigny'ego, który, mimo że był ranny, uparł się, że będzie szedł. Matthew niósł zawiniątko Dupigny'ego, manierkę z wodą i swoją walizkę. Szli początkowo w milczeniu. Major, oprócz walizki, niósł zwinięte nosze, które zaimprovizowali na wypadek, gdyby trzeba było nieść Dupigny'ego.

Zburzone, spieczone w słońcu ulice ciągnęły się bez końca. W niektórych z mijanych sklepów Matthew zauważył uszyte naprędce japońskie chorągiewki. Dupigny też je dostrzegł i rzekł z cynicznym uśmiechem:

- No i co, Matthew, czy naprawdę sądzisz, że pewnego dnia wszystkie rasy przestaną myśleć o własnych interesach i będą żyły w harmonii?

- Tak, François, na pewno.

Szli z trudem w upale zatrzymując się w każdym napotkanym cieniu. Raz, gdy odpoczywali, jakiś Chińczyk w starszym wieku wyszedł z warsztatu i poczęstował ich papierosami z okrągłej puszki, kiwając głową i uśmiechając się współczująco. Podziękowali mu serdecznie i poszli dalej czując się podniesieni na duchu.

Chińczycy i Hindusi, którzy znikli z ulic po kapitulacji, zaczęli teraz nieśmiało powracać. Koło rzędu wypalonych domów zebrała się grupka młodych Hindusów, żeby popatrzeć na kolumnę przechodzących Europejczyków. Gdy obok nich przechodził kulejąc boleśnie Dupigny, zaczęli się śmiać i drwić z niego. Zachwycony Dupigny odwrócił się do Matthew z uśmiechem ironii.

- Tak, François, na pewno.

Szli dalej. W miarę upływu czasu Dupigny i coraz większym trudem

dotrzymywał kroku innym. Twarz miał teraz szarą i zlaną potem. Major kazał mu pokazać nogę: rana znów się otworzyła i jego but był pełen krwi. Chciał, żeby przyjaciele szli dalej sami, a on postara się dogonić ich jakimś japońskim samochodem, które czasem przejeżdżały. Lecz przyjaciele uznali to za zbyt ryzykowne. Ignorując jego protesty major rozłożył nosze i kazał mu się położyć. Potem major i Matthew ponieśli go pozostawiając swoje walizki ludziom, którzy zgodzili się je nieść na ochotnika, a tymczasem inny ochotnik przeszedł przez całą kolumnę szukając lekarza, lecz zaraz wrócił mówiąc, że lekarzy nie ma, widocznie zatrzymano ich, aby zajęli się rannymi w mieście. Ruszyli znowu naprzód. Dupigny nie miał nawet sił do odpędzania much z ust i oczu. Nakryli mu twarz chustką, żeby go słońce nie poraziło.

Mijał czas. Wreszcie znaleźli się w pobliżu Katongu. Dupigny leżał z zamkniętymi oczyma i wydawał się nieprzytomny. Znowu minęli tłum szydzących Hindusów. Usłyszawszy ich Dupigny otworzył na chwilę oczy i skrzywił usta w uśmiechu.

W ciągu tygodni, potem miesięcy, a później lat, które spędził najpierw w Changi, następnie w cywilnym obozie przy Sime Road, Matthew stwierdził, że jego świat nagle się skurczył. Przywykły do rozmyślań o stanie i losie narodów stwierdził teraz, że jego myśli ograniczają się do bardzo drobnych spraw... szklanka wody, ołówek, garść ryżu. Nadzieja opuściła go całkowicie. Zdziwiło go, gdy zdał sobie sprawę, jak wiele niegdyś budował właśnie na niej.

W pierwszych tygodniach internowania zaczęły docierać do Changi wieści o masowych egzekucjach Chińczyków podejrzanych o współpracę z Brytyjczykami.

- Czy nadal sądzisz, że wszyscy ludzie będą kiedyś braćmi, Matthew? - spytał Dupigny usłyszawszy o tych egzekucjach.

- Chyba tak, François. - I Matthew wzruszył ramionami.

- Eech! - rzekł Dupigny.

Wielu z tych skazanych na śmierć Chińczyków wywożono galarami na morze i tam, związanym po dwóch i trzech, kazano skakać za burtę. Innych koszono na plażach ogniem z karabinów maszynowych. Według pogłosek, które dotarły do obozu, we wszystkich częściach Singapuru, gdzie mieszkali Chińczycy, Japończycy zmuszali ich do opuszczania mieszkań o świcie i defilowania przed zakapturzonymi donosicielami.

Matthew wyobraził sobie tę krew mrozącą scenę... Zakapturzony człowiek, którego twarzy nie widać, a tylko błysk oczu za maską, przechodzi jak uosobienie Śmierci przed szeregiem oczekujących ludzi i wybiera bez żadnych wyjaśnień to tę, to inną osobę. Jakie szanse przeżycia miała w tych warunkach Vera? Nic dziwnego, że nadzieja opuściła Matthew i wołał skupić myśli na najprostszyc sprawach. Szklanka wody, ołówek, garść ryżu.

Ale oto pewnego dnia, w drugim roku niewoli, gdy Matthew był w grupie prowadzącej roboty drogowe, otarł się o niego młody Chińczyk i wcisnął mu coś do ręki. Matthew przyjrzał się temu ukradkiem - było to pudełko od papierosów zawinięte w chusteczkę do nosa. Kiedy je otworzył, ukrył twarz w dłoniach - w pudełku była kostka cukru i dwie ugotowane białe myszki. „Kto wie? - pomyślał. - Przynajmniej jest szansa. Może w końcu uda się jej jakoś przeżyć, i mnie też”.

Lecz minęło kilka lat i jeszcze kilka. Przypuśćmy, że Kate Blackett, teraz już matka dorosłych dzieci, siedzi sobie przy stole nakrytym do śniadania przy cichej ulicy w Bayswater. Kate jest miła, życzliwa i pogodna (jak wszystkie postaci, które autor dobrze traktuje) i pokój, w którym je śniadanie, jest bardzo przyjemny - na ścianie wisi uroczy obraz Patrycji Moynagh, przedstawiający zwiniętego kota, rozkoszny, pogodny obraz Mary Newcomb, na którym widnieje grupka ludzi na promie, i jeszcze jeden, z psem śpiącym spokojnie wśród czerwonych kwiatów. Z miejsca, w którym siedzi Kate, widać kawałek ogrodu i kota próbującego schwytać motyla... Albo lepiej nie. Przypuśćmy, że jest zima. Wymażmy kota i motyle i przenieśmy się do wnętrza domu, gdzie jest cieplej.

Naprzeciwno Kate, przy stole, siedzi mężczyzna i czyta „Timesa” z 10 grudnia 1967 roku. Kate nie widzi go (swojego męża, miejmy nadzieję), jeśli nie liczyć czubka siwej głowy i dwóch dłoni trzymających gazetę. Czy jest w okularach? Tego nie sposób stwierdzić. Twarz jest zakryta gazetą. Palce, które ją trzymają, są wąskie i długie, a on ma na sobie zielony sweter... (widzimy kawałek rękawa) i to już wszystko, co o nim możemy powiedzieć, póki nie zdecyduje się odłożyć gazetę. Niezupełnie jednak wszystko, bo oto zwraca się do Kate lekko przeciągając głoski. Czyżby więc był Australijczykiem? Lecz sądząc po głosie mógłby być również Anglikiem lub nawet Amerykaninem, który długo mieszkał w Anglii. Może więc Kate wyszła za Ehrendorfa, tego niepoprawnego anglofila, który wreszcie oprzytomniał i zorientował się, która z Blackettówien jest atrakcyjniejsza.

- Posłuchaj, Kate - mówi. - Tu jest coś, co może zainteresować córkę kauczukowego potentata: „Za pracę na plantacjach płaci się mniej niż dolara dziennie”. Od naszego korespondenta, Genewa, 9 grudnia. „Według Międzynarodowego Biura Pracy miliony robotników na plantacjach kauczuku, trzciny cukrowej, bawełny, herbaty i kawy zarabiają poniżej dolara dziennie”. Zaraz, zaraz, co oni tu jeszcze piszą? Prawa związkowe... et cetera... niedożywienie..1 choroby... Tak... „Wielu ro botników sezonowych na plantacjach kauczuku lub trzciny cukrowej żyje w warunkach okropnego zagęszczenia. Czasem w jednym dużym pomieszczeniu gnieździ się po 100 osób”. Dzielne zarobki... i tak dalej. No proszę.

Kate patrzy na pokój, lecz nic nie mówi. Singapur wydaje się jej teraz bardzo odległy i już niezupełnie realny... jest zaczarowanym miejscem, w którym spędziła dzieciństwo. Przecież Malaje teraz nie nazywają się już nawet Malajami. Rzeczy, które kiedyś wydawały się niezmiennie, okazały się zdumiewająco podatne na zmiany.

A może nie? Mężczyzna schowany za gazetą, jeśli jest rzeczywiście Ehrendorfem i jeśli pamięta swoje dyskusje z Matthew o kolonializmie i uprawach roślin tropikalnych, mógłby powiedzieć sobie na widok nagłówka w gazecie: „Za pracę na plantacjach płaci się mniej niż dolara dziennie”, że ostatecznie nic się tak bardzo nie zmieniło mimo ogromnego przewrotu na Dalekim Wschodzie. A skoro, nawet po uzyskaniu niepodległości przez kraje Trzeciego Świata, jest nadal tak, jak jest, to coś widocznie nie wyszło i jakaś inna, być może miejscowa elita zastąpiła brytyjską. Gdyby tym mężczyzną był Ehrendorf, to czy nie przypominałby sobie uwagi Adamsona (usłyszanej od Matthew) o królu Williamie i wioślarczy, który zapytał go, kto wygrał bitwę („Co cię to obchodzi? I tak pozostaniesz wioślarczy”)?

Lecz Ehrendorf ze swoimi nienagannymi manierami z pewnością dawno by już odłożył gazetę lub przynajmniej dał jej część Kate do czytania. Zamiast jednak to uczynić, ów osobnik zaczął czytać o jakichś innych sprawach w innej części świata, pozwalając Kate patrzeć przez okno na ogród, gdzie nagle zrobiło się znów lato i kot próbuje schwytać motyla. W każdym razie...

W każdym razie nie ma już naprawdę nic do dodania. A zatem, jeśli, czytelniku, czytałeś sobie na leżaku przed domem, pora już wejść do mieszkania i zrobić herbatę. A jeśli czytałeś w łóżku, pora zgasić lampę i zasnąć. Jutro będzie nowy dzień, jak powiadają, jak powiadają...

Posłowie

W czterdzieści lat później

Pani Kate dobiła sześćdziesiątki. Czasy, w których tata Walter Blackett trząsł kauczukowym biznesem Malajów, a pancerniki Royal Navy strzegły jego interesów, jawią się jej kolorową bajką dzieciństwa. Pewnie ma już dorosłych wnuków. Może któryś jest wybitnym elektronikiem albo programistą komputerów najnowszej generacji, albo specjalistą od mikroprocesorów? Jeśli tak, to ma szansę powrócić na wyspę, która - choć liczy zaledwie 618 kilometrów kwadratowych - stanowi państwo, imponujące Azji, nawet całemu światu, dynamiką rozwoju gospodarczego. Do roku 1990 Singapur będzie potrzebował 7800 ludzi do obsługi wyrafinowanych komputerów, przeto wnuk pani Kate mógłby tam zapewne znaleźć korzystny angaż w którymś z chińskich albo międzynarodowych towarzystw. Może nawet w drodze wyjątku rząd Singapuru przyznałby mu prawo osiedlenia się, a później obywatelstwo? To są rzadkie przypadki, ale zdarzają się - gdy kandydat ma najwyższe kwalifikacje. Jeśli tak, to niewykluczone, że prawnuk Waltera Blacketta, potentata z lat imperialnej świetności, ożeni się z chińską stenotypistką, wzorem innych białych Singapurczyków, cierpiących z powodu niedoboru pań własnej rasy (skądinąd i panów pochodzenia europejskiego pozostało niewiele, poniżej jednego procenta populacji Singapuru). Epoka, w której Anglik mógł się do woli zabawiać z kolorowymi niewiastami, byle czynił to dyskretnie i bez trwałych konsekwencji, także przeszła w niepamięć. Małżeństwa mieszane stały się w Singapurze zjawiskiem pospolitym, obyczajową normą i tylko społeczność chińska, najliczniejsza, kultywuje jeszcze tradycję rasowej separacji, z której młode Chinki wyłamują się zresztą coraz śmielej. Chińczycy, jak dowiedli socjologowie, są pod tym względem pięciokrotnie bardziej konserwatywni. Dlatego wielu pozostaje w stanie starokawalerskim, bo za import chińskiej żony spoza Singapuru trzeba wnieść podatek, sięgający ćwierć miliona dolarów.

Co się stało z panną Verą? Ostatni po niej ślad na kartach Singapurskich kleszczy to ten maleńki dar dla wiernego Matthew Webba: kostka cukru i dwie ugotowane białe myszki. Chyba jednak Vera nie przeżyła japońskiej gehenny; pewnie zdemaskował ją, jako groźną agitatorkę, któryś z tych zakapturzonych delatorów, japońskich szpiclów, skinieniem dłoni przesądzając jej los. Zepchnięto ją do morza, na żer rekinom, lub przeszyto serią karabinu maszynowego na Walej plaży, pod pióropuszcami palm. Ale jeśli nie podzieliła losu pięćdziesięciu tysięcy swych zmasakrowanych ziomeków, to pewnie w końcu lat czterdziestych Poszła do komunistycznej partyzantki na Malajach; może była sanitanusz-

ką, łączniczką, oficerem politycznym? Tak czy inaczej, kula jej chyba nie ominęła. Tyle, że brytyjska.

Zalóżmy jednak, iż panna Vera, piękna Eurazjatka, przeżyła jakimś cudem i tę drugą gehennę - malajskiej dziesięcioletniej wojny wyzwolenczej, w której gros bojowników (i ofiar) stanowili najbliżsi jej Chińczycy. Być może na stare lata znalazła uspokojenie po burzliwym życiu. Społeczność Eurazjatów, jeszcze mniej liczna niż czystych Europejczyków, ma się nieźle w dzisiejszym Singapurze; stanowią małą, odrębną, ale bezpieczną wyspę singapurskiego archipelagu etnicznego, zachowując własny styl życia, w którym europejskość i „wschodniość” stopiły się w nową, oryginalną kulturę.

Losy dziwoląga politycznego, jakim od narodzin był i do dziś pozostał Singapur, potoczyły się wbrew naiwnym rojeniom starego Waltera Blacketta, że po wojennej poździe znowu nad Azją zapanuje Pax Britannica, a jego firma jak Feniks z popiołów odrodzi się i rozkwitnie jeszcze wspanialej. To się Anglikom nie powiodło, chociaż przez dwa dziesięciolecia - i intrygą, i orężem - próbowali ocalić swą dominację na Malajach. Walczyli o to z uporem tym bardziej zadziwiającym, że z sąsiednich Indii odeszli pokojowo i bez zwlekania. Aliści nie spełniły się także sceptyczne proroctwa doświadczanego w polityce pana Dupigny, który podrywał z wiary entuzjasty Matthew w możliwość harmonijnego współżycia różnych ras. Nie on miał rację, lecz właśnie młody Webb, gdy na ironiczne zaczepki Francuza odpowiadał cierpliwie: „Tak, François, na pewno kiedyś do tego dojdzie”. Wierzył w przyszłą zgodę narodów nawet wtedy, gdy w płonącej od japońskich bomb mieście również Indusi, tak zawsze uступliwi, pacyfistyczni, zostali ogarnięci nienawiścią do białych, amokiem ksenofobii.

Singapur przekreślił zarówno wiarę Blacketta w misjonarską rolę Zachodu, jak i niewiarę Dupigny'ego w wielorasową koegzystencję. Niespodziewanie dla wszystkich Singapur stał się miastem na kształt niegdysiejszej Wenecji, przedsiębiorczym miastem-państwem budzącym zazdrość i zawiść sąsiadów. To prawda, przez długie dziesięciolecia wyrastał jak polip, pasożytujący na otoczeniu, lecz obecnie żyje już bytem nieomal samoistnym, napędzanym przez wewnętrzne mechanizmy rozwoju. Dla Zachodu jako całość jest Singapur czymś więcej niż reklamowym szyldem kapitalizmu, jest także jego koniem trojańskim w Trzecim Świecie. Szczególnie widoczne stało się to w roku 1979, w Hawanie, podczas Szóstego Szczytu Niezaangażowanych. Państewko ledwie dostrzegalne na mapie przejęło rolę lidera grupy kilkudziesięciu państw, oponujących przeciwko „linii Fidela Castro”, wedle której blok socjalistyczny stanowi „naturalnego sojusznika” ruchu niezaangażowanych. Singapur, powołując się na pierwotne założenia tego ruchu - na pryncypium „równego dystansu” od światowych bloków - w rzeczywistości stał się rzecznikiem Zachodu. Spłacał mu historyczny dług; bo przecież, gdyby nie kolonialna ekspansja XIX-wiecznego kapitalizmu, gdyby nie przedsiębiorczość panów Blackettów, Webbów, Langfieldów, mała

wyspa u koniuszka Malajów mogłaby do dziś pozostać malarycznym pustkowiem albo kauczukową plantacją - i cała Azja Południowo-Wschodnia miałaby inny kształt polityczny i gospodarczy. Lepszy czy gorszy? Byłyby to jałowe spekulacje. Jest jak jest: Brytyjczycy stworzyli ogromną aglomerację, która po ich odejściu stała się ważnym podmiotem stosunków międzynarodowych, funkcjonującym zgodnie z globalnym interesem Zachodu. Droga Singapuru do takiego statusu była długa i ciernista. Pierwszy jej etap - klęskę militarną Brytyjczyków - opisał Farrell wiernie i plastycznie, nie szczędząc ironii angielskim generałom. Co prawda, zawahał się przed konstatacją sformułowaną przez historyków: w dziejach wojen trudno byłoby znaleźć podobny przykład całkowitej kompromitacji jednej z walczących stron. Garnizon brytyjski, obwarowany w systemie umocnień, które budowano przez całe lata, po kilkudniowej zaledwie obronie kapitulował przed słabszym liczebnie korpusem japońskim. Historycy są zgodni, że w tym dniu na zawsze runął militarny prestiż Wielkiej Brytanii, Azjaci uznali ją za „papierowego tygrysa”, wyzwolili się z kompleksu niższości.

Drugi etap najnowszych dziejów Singapuru - grabież i bestialstwo Japończyków - został przez Farrella naszkicowany pobieżnie. Warto dopowiedzieć, że tajna policja „Kempeitai” - japońskie Gestapo - zabijała wszystkich Chińczyków, podejrzanych o sympatie dla komunistów lub Kuomintangu, zaś ludność indyjską masowo pognano w malaryczne dżungle pogranicza birmańskiego, na budowę kolei strategicznych. Wrócił tylko co trzeci z tych niewolników. Nie lepszy był los jeńców europejskich. Samurajski etos oficerów japońskich, bezwzględnie zakazujący poddawania się wrogom, skazał Anglików na hańbę i bezlitosność zwycięzców. Ponieważ złożyli broń, zamiast walczyć do końca, traktowano ich jako osobników wyzutych z człowieczeństwa, do cna zbezczeszczonego aktem kapitulacji, niegodnych względów, jakie jeńcom przysługują wedle zasad i praw europejskich. Można ich było zabijać jak zwierzęta, bez moralnych skrępowań. Jedynie wobec ludności malajskiej (w Singapurze nielicznej) Japończycy obrali politykę pojednawczą, łudzili ją mirażem przyszłej niepodległości i zjednoczenia w Państwie Wielkomalajskim, obejmującym też Indonezję. Dało to zrazu pewne rezultaty, skłoniło trochę Malajów do kolaboracji, ale bezwzględna grabież kraju i wynędznienie ludności rychło i w tej grupie etnicznej zgasiły projapońskie nastroje. Zawiązała się partyzantka, w której najliczniej walczyli Chińczycy, lecz nie brakowało ani Malajów, ani Indusów, ani nawet brytyjskich komandosów-spadochroniarzy. W Singapurze działały tajne komórki łądzki Antyjapońskiego, w którym czołową rolę odgrywali komuniści. Trzeci etap zapoczątkowało lądowanie na Malajach armii brytyjskiej. Nastąpiło ono 2 września 1945 roku. Winston Churchill w swym dziele o drugiej wojnie światowej napisał: „Musielismy odbierać należące do nas

prawnie posiada-

pci na Dalekim Wschodzie na polu walki, nie czekając, by przekazano nam je za stołem pokojowej konferencji". Brzmi w tych słowach duma imperialna, Lecz nie całkiem odpowiadają one prawdzie. Dokładnie tegoż właśnie dnia, 2 września, nastąpiło wszak na pokładzie okrętu „Missouri” podpisanie aktu kapitulacji Japonii. Na rzekomym „polu walki” nie było już wrogiej armii, były jedynie jej resztki, składające broń na rozkaz Cesarza, częstokroć nawet przed oddziałka- mi malajskich partyzantów.

W tym momencie Londyn nadal żył nadzieją, że powiedzie się odbudowa imperium kolonialnego, mimo że Waszyngton (nie mówiąc o Moskwie) opowiadał się stanowczo za wyzwoleniem ciemniejących narodów. Anglicy nie tylko odzyskiwali „swoje”, ale też wspomagali sąsiadów-Holendrów w próbach odnowienia ich władzy w Indonezji, która miesiąc wcześniej proklamowała niepodległość, dając przykład innym skolonizowanym narodom. Singapur na pewien czas znowu się stał bazą rozległych operacji morskich, powietrznych i lądowych.

W zmienionym powojennym świecie nie mogło już być jednak mowy o prostej kontynuacji dawnych metod podboju i władania. Struktura kolonialna została przecież starta przez. Japończyków, a ludność Singapuru i Malajów zdawała sobie sprawę, że świetność Wielkiej Brytanii przeminęła definitywnie. Nacjonałści malajscy domagali się niepodległości, lewica (głównie Chińczycy) nawet czegoś więcej: komunizmu. Ażeby te dążenia zablokować, rząd brytyjski szybko podjął działania polityczne. Towarzyszyły im policyjne.

Już w styczniu 1946 roku proklamowano Związek Malajski, który objął dziesięć tradycyjnych sułtanatów malajskich oraz dwie małe enklawy, przed wojną wchodzące w skład kolonii koronnej Straits Settlements: Panang i Malakkę. Trzecia część tej kolonii - Singapur - miała nadal pozostać pod bezpośrednim zarządem brytyjskim, podobnie jak czwarta - wyspa Labuan u północnych wybrzeży Borneo. Plan zakładał stworzenie zgromadzeń ustawodawczych i rad wykonawczych zarówno w Związku Malajskim, jak Singapurze, ale tylko z doradczymi kompetencjami przy urzędzie gubernatora. Ażeby osłabić prądy lewicowe, odmówiono praw obywatelskich osobom osiedlonym od niedawna - przybyszom z Chin. Zgodnie z tą klauzulą deportowano do Chin wiele tysięcy ludzi, uznanych za „elementy obce i wywrotowe”. Ponadto władze kolonialne wprowadziły antydemokratyczny przepis o przymusowej rejestracji związków zawodowych - w tym rejonie Azji dość rozbudowanych - uzurpując sobie prawo do legalizacji tych tylko, które są uległe władzy. Restrykcyjnym aktom prawodawczym towarzyszyły polityczne i policyjne represje wobec działaczy opozycji demokratycznej za domniemane przestępstwa przeciw państwu.

Wszelako, wzrostowi napięcia to nie zapobiegło. „Strajki i demonstracje tłumiono przy pomocy policji, a nierazdo salw karabinowych, zabijając i raniąc wielu robotników w miastach i na plantacjach” - podaje Bogusław Mrozek w książce Historia najnowsza Azji Południowo-Wschodniej.

Malajski ruch oporu potęgował się i radykalizował. Nie pomogły Brytyjczykom ciche układy z nacjonalistami i konserwatystami, którym przyznano szereg przywilejów kosztem społeczności chińskiej oraz obiecano rychłe powołanie Federacji Malajskiej - bez Singapuru, ale za to z szerszym zakresem samorządności. Na przykład, brytyjski gubernator miał zostać zastąpiony... przez brytyjskiego Wysokiego Komisarza. Lewica nie godziła się na kompromisy, na suwerenność częśćkową. Podjęła walkę zbrojną, przez autorów zachodnich nazwaną „komunistycznym bandytyzmem”.

Burzliwe i krwawe było na Malajach całe dziesięciolecie 1948-1957 r. Brytyjska Armia Kolonialna, korzystając ze specjalnych pełnomocnictw stanu wojennego, rozprawiała się z partyzantką brutalnie. Ponadto, ażeby skrytych w dżungli partyzantów pozbawić zaplecza, pół miliona ludności przesiedlono do „wiosek strategicznych”, otoczonych zasiekami i gniazdami karabinów maszynowych. To posunięcie było tragedią dla chłopów, ale w działaniach antyparty- zanckich przyniosło spodziewane skutki. Powstanie zaczęło wygasać.

Wygasło ostatecznie po decyzjach politycznych. 31 sierpnia 1957 roku Federacja Malajska otrzymała niepodległość, której towarzyszył układ obronny z Wielką Brytanią, dający jej prawo utrzymania baz wojskowych.

Singapur nadal pozostał kolonią. Ale nie na długo; tutejsze społeczeństwo także domagało się niepodległości. W warunkach miejskich walka zbrojna miała niewielki zasięg, ograniczała się do sporadycznych aktów terroru, natomiast demonstracje studenckie i strajki robotnicze były coraz bardziej masowe. Co prawda, nie zawsze protesty miały charakter polityczny. W1951 roku wybuchły rozruchy na tle religijnym, malajscy muzułmanie napastowali Chińczyków i wyznawców hinduizmu. Wielorasowa mieszanica nie miała jeszcze cech integrującego się narodu. Malajowie identyfikowali się z pobratymcami z Federacji, In- dusi gromadzili się w partii afiliowanej przy Kongresie Indyjskim, a dominująca ludność chińska była podzielona na wyznawców Mao oraz stronników Czang- -Kaj-szeka, obwarowanego na Tajwanie. Poza wszystkim, Singapur od dawna był kłębowskiem gangsterów i dintojry mafii przemytniczych (już się rozkręcał biznes narkotyczny w Złotym Trójkącie), pochłoneły one nie mniej ofiar, niż walki o podłożu ideowym.

W 1958 roku, kiedy Singapur po długich negocjacjach politycznych uzyskał status samodzielnego państwa w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, mało kto wierzył, że ten eksperyment uda się i przyniesie Singapurczykom oszałamiającą pomyślność.

Ale akurat w tym dziejowym momencie, w samą porę, jak nie raz bywało w historii, pojawiła się osobowość, która zdominowała tamtejszą scenę polityczną i potrafi (aż do dziś) urzeczywistnić dalekosiężną wizję: przekształcenia ludnościowej mozaiki Singapuru w naródsingapurski. Jest Chińczykiem z pochodzenia, absolwentem prawa i ekonomii w Cambridge, nazywa się Lee Kuan

Yew. Kierowana przez Partia Akcji Ludowej, o umiarkowanej orientacji centrowej, zdecydowanie wygrała wybory w 1959 roku, zdobywając 43 mandaty w Zgromadzeniu Narodowym, które liczyło wtedy 51 miejsc. Partie konkurencyjne poniosły klęskę: Singapurski Związek Ludowy (posługujący się postępową frazeologią, ale w istocie prawicowy) oraz Partia Pracy (w której spore wpływy mieli komuniści). Później, w miarę postępu gospodarczego, ich rola kurczyła się nadal.

Zanim jednak gospodarka się rozkręciła, Singapur przeżywał ciężkie chwile. Na progu lat sześćdziesiątych miasto-państwo, odcięte granicą od zaplecza Federacji Malajskiej, pogrążone było w stagnacji. Przyszłość jawiła się mgliście, więc inwestorzy czekali. Produkcja przemysłowa malała, rósł deficyt handlowy. Jeszcze wyraźniej rosło bezrobocie. W przedmiejskich slumsach świetnej dawniej metropolii, która straciła rację bytu wraz z likwidacją systemu kolonialnego, kłębił się zrozpaczony „motłoch” półproletariacki, pozbawiony nie tylko pracy, ale i orientacji: ku czemu zmierzać? Co stanie się bez Anglików? Lewicowa partia Barisan Sosialis, która oderwała się od Partii Akcji Ludowej, z nadzieją patrzyła na komunistyczne Chiny - i w tym nerwowym okresie zjednywała sobie wielu zwolenników. Pozycja Lee Kuan Yewa przejściowo osłabła. Próbował ułagodzić opozycję, określając swoją politykę jako: „lewicową, ale nie ekstremistyczną, nie komunistyczną, ale nie antykomunistyczną” - lecz mało kto pojmował tę szaradę. Narastały strajki i zamieszki głodowe. Zachodnia prasa alarmowała, że Czerwoni przystąpili do ataku na plexus solaris światowego systemu morskich połączeń. Przypomnijmy, że w Trzecim Świecie były to lata ogromnej fascynacji socjalizmem. Na Kubie zwyciężyła rewolucja Fidela Castro, która rozpałała nadzieje w całej Ameryce Łacińskiej. Afryka zrzuciła pęta kolonialne i jedno państwo po drugim proklamowało u siebie socjalizm z rozmaitymi przymiotnikami: „plemienny”, „islamski”, „humanistyczny” - zastrzegając co prawda, że w Afryce klas nie ma, więc tym bardziej nie może być walki klas... Wierzono powszechnie, że gdy tylko ogłosi się socjalizm, znikną automatycznie wszelkie kłopoty, praca będzie lżejsza, sakiewka cięższa i każdy będzie miał wedle potrzeb. Tylko bardzo nieliczni przywódcy Trzeciego Świata nie wstydzieli się, wbrew panującej modzie, przyznawać do kapitalizmu.

Lee Kuan Yew należał do tych właśnie wyjątków. Ażeby zapobiec eksplozji buntu, rozładować napięcia - zastosował marchewkę i kij. Najpierw przeznaczył wielką część budżetu na cele socjalne oraz ułaskawił skazanych na więzienie działaczy związkowych. Następnie zaś ograniczył prerogatywy związków zawodowych, wprowadził ostrą cenzurę i zaczął represjonować organizacje lewicowe.

Przed wszystkim jednak szeroko otworzył wrota dla zagranicznych kapitałów i zaczął częściej spotykać się na partyjce golfa z premierem Federacji Malaj-

skiej, Tunku Abdul Rahmanem (także absolwentem Cambridge, ale ze starszego rocznika). Nie bardzo wiadomo, który z panów dał pomysł przekształcenia mapy tego regionu Azji, lecz wiadomo, że ogłosił go premier Tunku 27 maja 1961 roku, podczas konferencji z prasą zagraniczną. Powiedział:

„Malajowie jako naród są świadomi, że nie mogą pozostawać sami w izolacji... Trzeba wcześniej czy później dojść do porozumienia z Wielką Brytanią, jak również z narodami Singapuru, Północnego Borneo, Brunei i Sarawaku... Musimy konsekwentnie zmierzać do tego celu, myśleć o planie, poprzez który narody te mogłyby się zbliżyć we współpracy politycznej i ekonomicznej...”

Dla borykającego się z kryzysem Singapuru, podminowanego przez skrajną lewicę, była to ponętna propozycja - poszerzenie rynku zbytu, dostęp do bogatego zaplecza surowcowego, asekuracja militarna. Lee Kuan Yew nie tylko połaszczył się na „korzyści wielkiej skali”, ale i na ewentualną pomoc wyszkolonej przez Brytyjczyków armii malajskiej, która z własnego terytorium miała już rozległe doświadczenia walki z komunistami. Ale nie chciał rzecz jasna wchłonięcia swego kraju przez znacznie większego sąsiada, zastrzegł więc dla Singapuru specjalny status autonomiczny w ramach nowej federacji, dla której wymyślono nazwę „Malezja”. Zachowując własny rząd, Singapur miałby też odrębny system prawny i oświatowy, odrębną regulację w zakresie polityki zatrudnienia oraz ochrony zdrowia. Wolnościowy port miał funkcjonować po dawnemu. Podatki zastrzeżono do dyspozycji rządu lokalnego, który zobowiązał się przelewać pewien ich procent na wspólne cele federacji.

1 września 1962 roku odbyło się referendum, w którym przytłaczająca większość ludności opowiedziała się za przystąpieniem do Malezji na powyższych warunkach. Małżeństwo zostało zawarte - z rozsądku, nie z miłości, bo między ludnością pochodzenia chińskiego, dominującą w Singapurze, a Malajami, mającymi nieznaczną przewagę na Półwyspie, stosunki nie były sielankowe. Premier-ekonomista nieźle wykalkulował finansowe korzyści z integracji, lecz nie docenił wagi czynnika emocjonalnego, który bardzo prędko zamącił spokój w niedobranym stadle. Malajowie obawiali się, by solidarni i prężni w interesach Chińczycy nie spili całej śmietanki z przyspieszonego rozwoju, im samym pozostawiając prestiżowe przywileje - bez pieniędzy. Rychło spory i podejrzliwość doprowadziły do burzliwych zamieszek. Malajska mniejszość Singapuru, wspierana przez pobratymców z Półwyspu i pod hasłem walki o „równe prawa” i zaczęła napastować Chińczyków, znacznie lepszych za sklepową lada niż w boju na pięści. Do kulminacji napięć doszło w lipcu 1964 roku, podczas muzulmańskich uroczystości religijnych. Nie wiadomo, kto zaczął awanturę, ale znany jest jej bilans: 33 trupy, kilkuset rannych, głównie spośród Chińczyków.

W rodzinny spór wmieszał się ponadto ten trzeci: prezydent Sukarno. Indonezja niechętnie patrzyła na rozrost antykomunistycznej Malezji, protegowanej przez Anglików, bo przeżywała właśnie okres mocarstwowej euforii i flirtu z

Chinami. Miał też Sukarno parę innych powodów, ażeby ogłosić „politykę konfrontacji” wobec Malezji i rozpocząć koncentrację floty w bazie Tandjung Pi-nang, na wyspach Riau, pod samym bokiem Singapuru (czego autor tych słów był naocznym świadkiem, jako gość Angkatan Laut - indonezyjskiej marynarki).

Pierwszy powód był prosty: Sukarno chciał zaokrąglić terytorium Indonezji przez włączenie dawnych posiadłości brytyjskich na Borneo (tak jak później Indonezja włączyła portugalską część Timoru).

Drugi powód był trochę jak z sensacyjnego filmu: przez Cieśninę Malakka od lat płynęły statki i łodzie przemytnicze, szmuglując z Sumatry kauczuk do portów na Półwyspie. Organizowali ten intratny przemysł indonezyjscy generałowie, mnożąc swoje fortuny, a w konsekwencji także wpływy polityczne, co zagrażało pozycji prezydenta.

Trzeci powód był kluczowy: filozofią polityczną Sukarno było tworzenie narodu indonezyjskiego, który dopiero zdobywał samoświadomość, a takiemu procesowi dobrze służyło istnienie wrogów zewnętrznych, jeszcze lepiej zaś toczenie z nimi mało kosztownej wojny.

Po drugiej stronie cieśniny sytuacja była jednak podobna: widok potężnego krążownika indonezyjskiego „Irian Barat”, którego lufy były wymierzone na Singapur, skłaniał jego mieszkańców do patriotycznej konsolidacji, zresztą pod bezpiecznym parasolem samolotów RAF.

Do wojny nie doszło, bo żadna ze stron nie była pewna swej przewagi. Ale jak bojowe nagłówki zdobyły gazety! Jak ekscytowano się na falach eteru! Malezja dowodziła, iż pokaźna część archipelagu Indonezji była niegdyś posiadłością sułtana z Johore, Indonezja - że pokaźna część Półwyspu Malajskiego należała ongiś do sułtana Mahmuda z wysp Riau. Nacjonalistycznej frazeologii towarzyszyły hasła z wokabularza marksistowskiego: że należy pogrzebać imperializm, kolonializm i neokolonializm. Lee Kuan Yew, atakowany tymi hasłami nie tylko z zewnątrz, ale i od wewnątrz przez partię Barisan Sosialis, aresztował setki jej działaczy. „To nie była przyjemna decyzja - stwierdził refleksyjnie - lecz ileż przecie mamy smutnych chwil w życiu!” Komuniści indonezyjscy byli bezpieczni. Wymordowano ich, setki tysięcy, dopiero w dwa lata później, po obaleniu Sukarno.

Konfrontacja rozeszła się po kościach, ale wkrótce Malezję i tak dotkną! rozwód. Nie jest całkiem jasne, kto był jego inicjatorem, ale wiadomo, że obie strony miały wobec siebie poważne pretensje. Singapur uważał, że rząd centralny ingeruje w jego wewnętrzne sprawy, a ten rząd narzekał na zachłanność singapurskiej burżuazji. Były to zarzuty obustronnie zasadne, przeto rozwód - który odbył się w atmosferze przyjacielskiej - i tu, i tam przyjęto z ulgą. Rozejście się nastąpiło 9 sierpnia 1965 roku. Niezadowolone wyraziła tylko komunizująca Barisan Sosialis, zwalając całą winę na knowania imperialistów - co było o tyle

612

nielogiczne, że dwa lata wcześniej ta sama partia potępiała integrację, także przypisując ją imperialistycznym intrygom.

Wreszcie, po dwudziestu latach nerwowych, przyszło dla Singapuru dwadzieścia lat błogostanu.

Właściwie, już w momencie, gdy łączył się z Federacją Malajską, Singapur nie był pariasem: dochód narodowy na głowę wynosił 450 dolarów, w azjatyckiej tabeli lepsze były tylko naftowe państewko Brunei i oczywiście Japonia. Ale ten dochód był dzielony podobnie jak w czasach, opisanych w Singapurskich kleszczach: między superbogatą elitę i wynędzniałe pospólstwo. Dopiero druga połowa lat sześćdziesiątych przyniosła miastu-państwu boom gospodarczy i jeszcze coś więcej: udaną próbę „spłaszczenia” zarobkowej piramidy. Lee Kuan Yew miał szczęśliwą rękę do biznesu i dobre wyczucie polityczne. Rozumiał, że statystyczne średnie nie cieszą tych, co ledwie wegetują. Mówiono o nim, że działa jak „rozważny dyrektor zarządu i prezes państwowej korporacji”.

W 1976 roku dochód narodowy na głowę przekroczył już 2500 dolarów i Międzynarodowy Fundusz Walutowy postanowił przenieść Singapur z listy krajów rozwijających się - do rozwiniętych. Premier stanowczo zaprotestował, gdyż Singapur straciłby dogodne warunki dalszego finansowania, a nawet sam musiałby się stać jałmużnikiem. Premier zapowiedział wtedy, z chwalebny umiarem, że osiągnięcie 3000 dolarów na głowę planuje dopiero za pięć lat.

Tymczasem, według Azjatyckiego Banku Rozwoju, już po trzech latach Singapur osiągnął 3820 dolarów! I nadal powiększał dochód narodowy, w tempie 9- 10 procent rocznie, z nieznacznym tylko zachwianiem na początku lat osiemdziesiątych. Ostatnie szacunki, z 1985 roku, stwierdzają, iż dochód per capita sięga już w Singapurze prawie 5500 dolarów. Miarą zaś sukcesów polityki socjalnej może być fakt, że bezrobocie przestało istnieć, a 70 procent ludności przeniosło się do nowoczesnych bloków. Na ogół zresztą wbrew własnym upodobaniom, bo tradycjoniści woleli swoje rodzinne chatynki, przytulne klitki, a nawet byle budy podmiejskie.

Eksperci są skonfundowani, bo nie potrafią jednoznacznie wytłumaczyć źródeł cudu gospodarczego w kraju, który nie ma żadnych bogactw naturalnych, nie ma rolnictwa, ma natomiast cztery tysiące obywateli na każdym kilometrze kwadratowym. Niektórzy ekonomiści sięgają do czasów wojny wietnamskiej, która zwiększyła ruch w porcie (dziś drugim na świecie po Rotterdamie) oraz zamówienia w przemyśle. Inni wskazują na wyzysk gasterbeiterów, zatrudnionych jako tania siła robocza. Ale tempo wzrostu bynajmniej nie spadło po

wycofaniu się Amerykanów z Wietnamu, zaś emigranci stanowią znikomy procent wśród dwóch i pół miliona Singapurczyków. Dalszy ich napływ rząd hamuje surowymi przepisami administracyjnymi. Korzyści ze strefy wolnocłowej? Pewnie, przyciąga ona na tanie zakupy po parę milionów turystów rocznie. Ale podobnych stref wolnocłowych istnieje na świecie kilkadziesiąt i żadna nie jest tak skuteczna

nym rozrusznikiem gospodarki. Dogodne położenie, tradycja handlowa, ruchliwość 135 singapurskich banków, do których stale napływają ogromne kapitały zagraniczne? Tak, to niewątpliwie ważne czynniki, wspomagające wzrost gospodarczy, lecz nie one z pewnością decydują o singapurskiej prosperity.

Ważniejsze jest to, że Singapur bez zwłoki „wskoczył” w nowoczesny przemysł elektroniczny, precyzyjny i chemiczny, zatrudnia komputery i roboty, osiąga znakomitą jakość produkcji. Kraj, wsławiony ongiś jako pośrednik i bankier, nauczył się też wytwarzać i eksportować wyroby, które nie napotykały żadnych trudności na najbardziej wymagających rynkach.

Jeszcze ważniejsza jest śmiałość, z jaką Lee Kuan Yew, nie oglądając się na przesady doktrynalne, połączył wolnorynkową gospodarkę kapitalistyczną z rygorystycznym planowaniem i inwestycjami rozległego sektora publicznego.

Ale bodaj najważniejszą dźwignią gospodarki jest... konfucjanizm. Ludność chińska hołduje takiemu etosowi i kulturuje taki system społecznej organizacji, który stawia obowiązek przed roszczeniami, pracę przed przyjemnością, zbiorowość przed jednostką, hierarchiczne podporządkowanie przed ambicją osobistą. Nie jest to model, który by satysfakcjonował Europejczyków, wychowanych w tradycji indywidualistycznej; ani Malajów, preferujących obyczajowy luz i życiową beztroskę; ani nawet Indusów, wśród których filozofia samodostępnienia nadal przeciwstawia się filozofii materialnego sukcesu - „być” nie przegrało jeszcze z „mieć”.

Jest to model patriarchalny. Można go też określić jako niedemokratyczny, skoro Partia Akcji Ludowej monopolizuje komplet 75 miejsc w Zgromadzeniu Narodowym, mimo że jedna trzecia elektoratu odmawia jej poparcia (dopiero w 1984 roku opozycja zdobyła dwa mandaty, co uznano za sensację i początek pluralizmu). Natomiast przeciwnicy Singapuru, którzy piętnują go mianem „despotii”, a nawet oskarżają tamtejszy rząd o praktyki faszystowskie, powinni lepiej rozejrzeć się po Trzecim Świecie. Znaleźliby parę tuzinów państw, rozmaicie nazywających swoje ustroje, ale bez porównania bliższych totalitaryzmu.

Władza w Singapurze jest rygorystyczna, bywa brutalna. Aliści warto pamiętać, że w chińskiej kulturze politycznej nigdy nie istniała koncepcja podmiotowych praw jednostki, natomiast Centrum kojarzono z mocą nieograniczoną i boską. Wielonarodowy skład ludności sprzyja konfliktom, a niebywałe zagęszczenie rodzi agresywność; to zjawisko jest znane nie tylko psychologii społecznej, ale nawet biologii (casus stłoczonych w klatce szczurów). Nie zawsze pomaga tolerancja i perswazja, oparta na dewizie, wyrażonej przez Lee Kuan Yew natychmiast po objęciu władzy: „Singapur nie jest krajem chińskim ani malajskim, ani indyjskim - Singapur należy do Singapurczyków”. Nadal zdarzają się bijatyki i krwawe starcia międzyrasowe, które policja tłumi siłą, choć o takich przypadkach rzadziej słychać w ostatnich latach.

Bogacące się społeczeństwo żyje obsesją bogacenia się z wielokrotnionego. Konsumpcyjny styl życia przyjął się aż zanadto, skoro główną troską władz jest obecnie amerykańska młodzież, która coraz mniej przejmuje się naukami Konfucjusza, nie docenia moralnej wartości ciężkiej pracy i marzy tylko o klimatyzowanym gabinecie urzędniczym. „Nie chcę dopuszczać do siebie myśli, że Singapurczycy tak prędko staną się snobami - westchnął premier przed kilku laty - ale istnieją oznaki, że idziemy w tym kierunku”.

Niewątpliwie miał rację. Singapur jest przesycony wszystkim, co można sobie wyśnić. Ten przesytny nakręca koniunkturę, lecz rozmywa tradycyjne azjatyckie wartości etyczne. Miasto-państwo stało się enklawą szczytowej cywilizacji industrialnej. To smutne dla starszej generacji, ale młodzież ignoruje moralizatorstwo wapniaków.

Jeśliby Matthew Webb wrócił do Singapuru na emerytalne lata, byłby zapewne zdegustowany. Niby spełniło się jego marzenie o zgodnym współżyciu ludzi wszystkich ras, o pokoju, o postępie, lecz nawet to wszystko razem - to, co niegdyś zdawało się być nieziszczalną utopią - jest jakieś inne, niż śnił, trywialne, pozbawione treści humanistycznej. Ci obecni Singapurczycy nauczyli się żyć w dostatku, w komforcie, w supertechnice, ale stracili umiejętności życia w miłującej się wielkiej rodzinie, otoczonej przyjaciółmi życzliwymi i bezinteresownymi.

Gdyby więc Matthew wrócił i odnalazł Verę - zdawałoby się im niewątpliwie, że tamte lata, kiedy to kochali się w jej ubożuchnej izdebce, były jednak piękniejsze niż obecne, i nie tylko dlatego, że oni byli młodszy; także świat był młodszy, bardziej spontaniczny, bardziej autentyczny, choć nie był przecież ani bogaty, ani sprawiedliwy.

Jednakże nie wymagajmy zbyt wiele. Singapur dał ludziom zamożność. I względny spokój między różnymi narodowościami: Dał im szansę realizowania życiowych aspiracji. Potrafił nawet dokonać cudu syntezy Wschodu i Zachodu oraz cudu jeszcze większego: połączenia najwartościowszych cech dwóch dzielących świat systemów ustrojowych.

Powinni być zatem szczęśliwi Singapurczycy, choć może szczęście towarzyszy raczej tym, co walczą o ideały, niż tym, którzy widzą ich realizację, ale nie w takim kształcie, o jakim marzyli.
Wojciech Giełżyński